

Kate Mosse



GROBOWIEC

Prószyński i S-ka

KATE MOSSE

Grobowiec

MOSSE KATE

Przełożyła

Agnieszka Barbara Ciepłowska

Tytuł oryginału: SEPULCHRE

**Mojej matce, Barbarze Mosse, w podziękowaniu
za pierwszy fortepian I – jak zawsze –
ukochanemu Gregowi za wszystko, co było, jest i
będzie**

*Lame d'autrui est uneforet obscure oii ilfaut marcher avec
precaution.* Dusza człowieka to ciemny las, przez który stąpać
trzeba szalenie ostrożnie.

Claude Debussy, Listy, 1891

Prawdziwy tarot jest symbolem. Nie przemawia w obcym
języku ani za pośrednictwem innych znaków.

„Obrazkowy klucz do Tarota” Arthur Edward Waite

PRELUDIUM

Marzec 1891

Środa, 25 marca 1891

Historia zaczyna się w nekropolii. Pośród alej miasta zmarłych. Na cichych bulwarach, promenadach i w ślepych zaułkach paryskiego cmentarza Montmartre, miejsca oddanego grobowcom i kamiennym aniołom oraz duchom ludzi zapomnianych przez żywych i martwych, zanim jeszcze ostygli w grobach.

Historia zaczyna się od gapiów przy bramach, od paryskich biedaków, którzy przyszli skorzystać na cudzym nieszczęściu. Otępiali żebracy i bystrzy *chiffonniers*, kwiaciarze sprzedający wieńce i kramarze, oferujący *ex voto* wszelkie błyskotki, dziewczęta zwijające bibułkowe kwiaty. Powozy o czarnych budach i matowych szybach.

Historia zaczyna się od pantomimy. Od spektaklu pogrzebowego. Drobne, tanie ogłoszenie w „Le Figaro” zawiadamiało o miejscu, dacie i godzinie pochówku, ten i ów przybył. Ciemne welony, surduty, wypolerowane buty i ekstrawaganckie parasole, chroniące przed niestosownym, marcowym deszczem.

Leonie stoi z matką i bratem nad otwartym grobem. Jej twarz również przesłania czarna koronka. Z ust kapłana padają słowa o rozgrzeszeniu, banały, które nie poruszają serc i nie budzą emocji. Duchowny jest brzydki, ma tłustą cerę, pogniecioną koloratkę i pospolite buciory z kłamrami. Nic nie wie o kłamstwach i zdradzie, które zakończyły się tutaj, na skrawku ziemi w osiemnastym *arrondissement*, na północnych obrzeżach Paryża.

Leonie ma całkiem suche oczy. Podobnie jak duchowny jest

ignorantką w sprawie wypadków, które sprowadziły żałobników na cmentarz w to deszczowe popołudnie. Wydaje jej się, że przyszła na pogrzeb, moment symbolicznie zamykający życie. Pożegnać wybrankę brata, nieco tajemniczą kobietę, której nie dane było jej poznać. Wesprzeć nieutulonego w smutku Anatola.

Leonie patrzy na trumnę spuszczaną do wilgotnego dołu, do królestwa pajaków i robaków. Gdyby się teraz szybko obróciła, przyłapałaby Anatola na zdumiewającej reakcji. Ukochany brat ma w oczach nie smutek, lecz ulgę.

Nie odwraca się jednak, więc nie widzi także mężczyzny w szarym cylindrze i surducie, ukrytego przed deszczem pod cyprysami w najdalszym kącie cmentarza. Jest bardzo przystojny, na widok takiego eleganta *une belle Parisienne* nieznacznym gestem odruchowo poprawi włosy i strzeli oczami spod woalki. Kształtne, mocne dłonie, obciążone sztytami na miarę rękawiczkami z cielejącej skórki, wsparł na srebrnej główce laski z mahoniu. To dłonie stworzone, by objąć talię kochanki, by gładzić biały policzek.

Mężczyzna przygląda się ceremonii z wytężoną uwagą. Oczy ma niebieskie, jasne, o smolistych źrenicach.

Ziemia głucho uderza o wieko trumny. Słowa duchownego zamierają echem w wilgotnym półmroku.

–*In nomine Patri et Filii, et Spiritus Sancti. Amen.* W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego.

Kreśli znak krzyża i odchodzi.

Amen. Niech się tak stanie.

Leonie wypuszcza z dłoni kwiat, symbol pamięci, różę zerwaną rankiem w parku *Monceau*. Spirala białych płatków znaczy jego drogę od czarnej rękawiczki do ciemnej ziemi.

Wieczne odpoczywanie. Pokój duszy.

Deszcz przybiera na sile. Dachy, wieżycy i kopuły Paryża za

wysoką cmentarną bramą z kutego żelaza okrywa całun srebrzystej mgły, który tłumi turkot powozów na *Boulevard de Clichy* i odległe zgrzytliwe jęki pociągów, ruszających w drogę z Gare Saint-Lazare.

Towarzystwo odchodzi od grobu. Leonie dotyka ręki brata. On poklepuje siostrę po dłoni, spuszcza głowę. Ruszają ku wyjściu. Oby to był rzeczywiście koniec. Po strasznych, tragicznych miesiącach dobrze byłoby wreszcie zamknąć ten rozdział.

Wtedy mogliby się uwolnić od smutku i na nowo zacząć żyć.

Setki kilometrów od Paryża coś się budzi.

Reakcja, połączenie, skutek. W pradawnym lesie nieopodal Rennes-les-Bains, modnej miejscowości uzdrowiskowej, podmuch wiatru trąca liście. Muzyka. Słyszalna i niesłyszalna zarazem.

Enfin.

Nareszcie.

Słowo jest westchnieniem powiewu.

Dotknięte czynem niewinnej dziewczyny na paryskim cmentarzu, coś drgnęło w kamiennym grobowcu. Dawno zapomniane i zagubione w porośniętych gąszczem, splątanych alejkach majątku *Domaine de la Cade*, coś się budzi. Przechodzień dostrzegłby może grę światła w zapadającym zmierzchu, pierś kamiennej rzeźby w ulotnej chwili zdaje się poruszona oddechem.

Obrazy na kartach zagrzebanych pod nagrobkiem, w korycie wyschniętej rzeki, na moment zyskują życie. Przelotne kształty, wrażenia, cienie, nic więcej na razie. Zapowiedź, złudzenie, obietnica. Załamanie światła, ruch powietrza pomiędzy czasem a

miejscem.

Gdyż tak naprawdę historia ta nie zaczyna się od pogrzebu na paryskim cmentarzu, ale od talii kart.

Od szatańskiej księgi obrazów.

CZĘŚĆ I

Paryż

Wrzesień 1891

ROZDZIAŁ 1

Paryż

Środa, 16 września 1891

Leonie Vernier stała na stopniach Palais Garnier. W dłoniach ścisnęła torebkę *chatelaine* i przytupywała już mocno zniecierpliwiona.

Gdzież on się podziewa?

Mrok zdążył otulić Place de l'Opera jedwabistą niebieskością.

Dziewczyna ściągnęła brwi.

Oszaleć można.

Od godziny czekała na brata pod beznamiętnym wzrokiem rzeźb z brązu, ustawionych na dachu opery. Znosiła impertynenckie spojrzenia przechodniów, obserwowała *fiacres* i prywatne wozy z postawionymi budami, czterokonne dorożki, dwukółki i pojazdy publiczne, które wcale nie chronią pasażerów od kaprysów pogody. Ze wszystkich wysiadali kolejni przybysze, wylewała się lśniąca rzeka smoliście czarnych cylindrów i wykwinnych sukni wieczorowych z eleganckich domów mody, Maison Leoty czy Charles Worth. W noc premiery socjeta przybywała, by podziwiać i być podziwianą.

Brakowało tylko Anatola.

W którejś chwili wydało jej się, że go dostrzega. Wysoki, barczysty, podobnie stawiający kroki. Oczyma wyobraźni już widziała błyszczące piwne oczy brata i zadbane czarne wąsy. Uniosła rękę, chciała mu pomachać na powitanie, lecz w tej właśnie chwili mężczyzna obrócił się, dojrzała go wyraźniej. Obcy.

Przeniósła wzrok w głąb *Avenue de l'Opera*. Ulica ciągnęła się aż do Luwru. Pamiątka kruchej dynastii, gdy znerwicowany król kazał zbudować najkrótszą i najbezpieczniejszą drogę od przybytku sztuki do pałacu, gdzie co wieczór odbywały się przyjęcia i bale. Chwiejne płomyki latarni gazowych rozrzedzały mrok, przez okna barów i kawiarni wylewał się ciepły blask.

Dziewczynę otaczały dźwięki charakterystyczne dla miasta o zmroku. Metropolii w chwili przemiany. *Entre chien et loup*. Wierny człowiekowi pies dziczał i stawał się wilkiem. Tu pobrzękiwanie uprzęży, ówdzie turkot kół. Śpiew ptaszęcia na *Boulevard des Capucines*, ochryple wołania domokrażców i stangretów, miłsze dla ucha glosy kwiaciarek na stopniach opery, przenikliwe zachęty chłopców gotowych za jednego sou uczernić i wypolerować obuwie dżentelmena.

Przed wspaniałą fasadą Palais Garnier ukazał się kolejny omnibus, dążący ku Boulevard Haussmann. Konduktor, dziurkujący bilety na wyższej kondygnacji, pogwizdywał wesoło. Jakiś stary żołnierz, odznaczony medalem *Tonquina*, szedł rozkołysanym krokiem, śpiewając sprośne żołnierskie strofy. W tłumie mignęła pobielona twarz klauna pod filcową czapką z maską. Błazen miał na sobie kostium upstrzony błyskotkami.

Jak on śmie kazać mi czekać?

Dzwony zaczęły zwoływać wiernych na nabożeństwo, od mocnego dźwięku zadrżała ulica. Czy to w kościele Saint-Gervais? Może w jakiejś innej, pobliskiej świątyni.

Ledwo dostrzegalnie wzruszyła ramieniem. Nie sposób dłużej

czekać. Pokręciła głową zawiedziona.

Ale zaraz oczy jej rozbliły.

Jeśli ma usłyszeć „Lohengrina”, dzieło pana Wagnera, musi wziąć sprawy we własne ręce i iść na przedstawienie. Sama.

Czy się odważy?

Towarzysz ją zawiódł, ale bilet na szczęście miała.

Czy znajdzie w sobie śmiałość?

Paryska premiera.

Miałaby zostać pozbawiona takiego doświadczenia jedynie dlatego, że Anatol nie potrafi zjawić się na czas?

Wnętrze opery jaśniało rześnistym blaskiem, spływającym ze szklanych żyrandoli, połyskujących setkami tęcz. W operze zebrała się cała śmietanka towarzyska. Szyk i elegancja. Nie. Tego nie wolno stracić.

Leonie podjęła decyzję. Wbiegła po schodach, minęła szklane drzwi i dołączyła do widzów.

Rozległ się dzwonek. Dwie minuty do podniesienia kurtyny.

Przemknęła po marmurach Grand Foyer. Połyskujące spod halek jedwabne pończochy przyciągały spojrzenia pełne aprobaty i podziwu. Siedemnastolatka to istota na progu kobiecości, a Leonie rozkwitała wielką urodą, obdarzona przez naturę modnymi rysami twarzy oraz wyrazistym kolorytem, tak wysoko cenioną przez monsieur Moreau i jego prerafaelickich przyjaciół.

Jej wygląd wprowadzał w błąd. W rzeczywistości była raczej pewna siebie niż posłuszna, więcej miała w sobie zuchwałości niż skromności, rozwijała własne zainteresowania i pasje – jak to

nowoczesna młoda dziewczyna, a nie jakaś średniowieczna panna z dobrego domu. Anatol drażnił się z nią, opowiadając, że choć wygląda jak pierwowzór malowidła Rossetiego „Błogosławiona damozel”. w rzeczywistości jest jego odbiciem w krzywym zwierciadle. Doppelgiinger. niby taka sama, lecz jednak nie ta sama. Bo nie utożsamiała się ani z wodą, ani z ziemią, ani z powietrzem. Spośród czterech żywiołów zawsze najbliższy był jej ogień.

Alabastrowe policzki dziewczyny nabrały kolorów. Kilka ciężkich miedzianych loków uciekło spod grzebieni i ześlizgnęło się na obnażone ramiona. Lśniące zielone oczy, okolone długimi, brązowymi rzęsami z kasztanowym połyskiem, błyszczały gniewem i zuchwalstwem.

Dał słowo, że się nie spóźni!

Jedną ręką przytuliła do piersi torebkę jak tarczę, drugą zebrała atlasowe spódnice i szybkim krokiem pokonała marmurowy hol, ignorując pełne dezaprobaty spojrzenia matron i wdów. Sztuczne perły i szklane łezki na rąbku sukni stuknęły o krawędzie stopni. Szybko zostawiła za sobą różowe kolumny, złożone posągi oraz fryzy, po chwili znalazła się na cudnym łuku głównych schodów. Gorset nie pozwalał jej swobodnie oddychać, serce waliło jak oszalały metronom.

Mimo wszystko nie zwolniła kroku. Już widziała biletera, który właśnie chciał zamykać drzwi prowadzące na główną salę widowni, Grande Salle. Przyśpieszyła i w ostatniej chwili stanęła w progu.

–Voilà!. – Pokazała kartonik z miejscówką. – *Monfrere va arriver...*

Tak, brat przyjdzie. Na pewno. Obiecał.

Mężczyzna odstąpił, wpuszczając ją do wnętrza.

Po nieustannym szumie, niesionym echem wśród marmurowych ścian Grand Foyer, widownia tchnęła ciszą. Tu i

ówdzie dało się posłyszeć stłumione rozmowy, słowa powitania, pytania o zdrowie i rodzinę – wsiąkające w grube dywany i rzędy czerwonych pluszowych foteli.

Z kanału dla orkiestry dobiegała znajoma kakofonia dźwięków płynących z instrumentów dętych, perkusyjnych i strunowych, szelest kartek tonął w pomieszczeniu, unoszący się to tu, to tam. jak smużki mgły jesienią.

Odważyłam się.

Zebrała się w sobie. Wygładziła suknię. Nowiutki nabytek, dzisiejszego popołudnia dostarczony z domu mody La Samaritaine; toaleta jeszcze odrobinę sztywna, pierwszy raz włożona. Dziewczyna podciągnęła zielone rękawiczki nad łokcie, pomiędzy ich krańcem a rękawkiem dawał się dostrzec tylko wąziutki paseczek skóry. Ruszyła szerokim przejściem między rzędami. W stronę sceny, na sam początek.

Dzięki uprzejmości przyjaciela Anatola, kompozytora Achille'a Debussy'ego, mieli najlepsze miejsca w sali.

Po obu stronach przejścia falowało morze czarnych cylindrów i stroików z piórami, trzepotały błyszczące od cekinów wachlarze. Mijała nalane, czerwone twarze mężczyzn, obok nich ciężkie od pudru oblicza wdów o siwych włosach. Leonie na każde spojrzenie odpowiadała serdecznym uśmiechem, lekkim skinieniem głowy.

Dziwna atmosfera...

Dziewczyna uważniej przyjrzała się publiczności. Im bardziej zagłębiała się w Grande Salle, tym dobitniej uświadamiała sobie, że coś jest nie tak, jak być powinno. Widzowie mieli się na baczności, rzucali czujne spojrzenia, wyraźnie spodziewali się jakichś kłopotów.

Poczuła mrowienie na karku. W powietrzu krzyżowały się spojrzenia rzucone z ukosa, na każdej twarzy dostrzegła nieufność.

Nie przesadzajmy. Nie dajmy się ponieść wyobraźni.

Usłużna pamięć przypomniała jej artykuł, który Anatol czytał na głos przy kolacji. O proteście przeciwko wystawianiu w Paryżu dzieł pruskich artystów. Cóż jednak z tego? Przecież Leonie znajdowała się w Palais Garnier, a nie na którejś z bocznych uliczek Montmartre'u.

Co złego mogłoby się zdarzyć w operze? Nic!

Doszedłszy do pierwszego rzędu, rozpoczęła wędrówkę obok licznych kolan i rękawiczek, aż wreszcie dotarła do swojego miejsca i z niemalą ulgą siadła. Szybko wzięła się w garść, podniosła wzrok na sąsiadów. Po lewej miała dystygowaną matronę, obwieszoną biżuterią. Towarzystwa dotrzymywał jej mąż, starszy mężczyzna o bladych oczach, ledwo widocznych spod krzaczastych siwych brwi. Upstrzone plamami dłonie wsparł na lasce, zwieńczonej srebrną główką, otoczoną u podstawy taśmą z jakąś sentencją.

Z prawej strony puste miejsce Anatola oddzielało ją, niczym głęboki rów, od czterech ponurych brodatych mężczyzn w średnim wieku. Wszyscy jak jeden mąż trzymali w dłoniach bukszpanowe laski bez żadnych oznaczeń, milczeli i tylko oczy im płonęły. Robili upiorne wrażenie.

Co więcej, wszyscy czterej nie zdjęli rękawiczek, a to budziło zdziwienie, bo z pewnością było im w nich niewygodnie i gorąco.

Nagle jeden odwrócił głowę i spojrzał Leonie prosto w oczy. Spłonęła rumieńcem, spuściła wzrok, a następnie utkwiała spojrzenie w zawiłym wzorze na purpurowo-złotej kurtynie, która ciężkimi fałdami spływała od stropu proscenium aż po drewnianą posadzkę sceny.

A może coś mu się stało?

Leciutko pokręciła głową, odganiając złe myśli. Wyjęła z torebki wachlarz, otworzyła go energicznym strzepnięciem. Z jednej strony, bardzo chciałaby usprawiedliwić nieobecność

brata, jednak z drugiej, była całkowicie przekonana, że należy ją przypisać brakowi punktualności.

Ostatnio bardzo częstemu.

Od czasu smutnej uroczystości na Cimetiere de Montmartre na Anatolu jeszcze trudniej było polegać. Ściągnęła brwi. Nie do wiary, jak długo prześladowały ją tamte wspomnienia.

W marcu miała nadzieję, że wszystko się skończyło, niestety, Anatol wciąż był niespokojny. Często znikał na całe dni, wracał w środku nocy, unikał przyjaciół, zamykał się w sobie i całkowicie poświęcał pracy.

Tak czy inaczej, obiecał, że dzisiaj się nie spóźni.

Pojawił się dyrygent. Na widowni rozbrzmiały brawa podobne do wystrzałów z broni palnej, gwałtowne, mocne. Leonie także klaskała mocno i z entuzjazmem, może nieco energiczniej, niż gdyby nie była zaniepokojona. Tymczasem kwartet dżentelmenów po prawej nawet nie drgnął. Ob-

ciągnięte rękawiczkami dłonie w dalszym ciągu spoczywały na brzydkich, tanich laskach. Dziewczyna obrzuciła ich pogardliwym spojrzeniem. Co za prostactwo! Po co się wybrali do opery, skoro chef d'orchestrę był dla nich nikim? Zirytowana stwierdziła, że wolałaby nie mieć blisko tak podłego towarzystwa.

Dyrygent skłonił się nisko i odwrócił twarzą do sceny, do orkiestry. Oklaski zamarły. Wielką salę spowiła cisza. Maestro kilka razy stuknął pałeczką w drewniany pulpit, błękitne płomyki lamp gazowych na widowni przygasły. Powietrze nabrzmiało oczekiwaniem. Wszystkie oczy skierowane były na dyrygenta. Muzycy się wyprostowali, przygotowali smyczki, podnieśli instrumenty do ust.

Pałeczka wzniosła się w górę. Leonie wstrzymała oddech.

Cudowną salę Palais Garnier wypełniły pierwsze akordy

„Lohengrina" pana Richarda Wagnera.

Miejsce z prawej ziało pustką.

ROZDZIAŁ 2

Gwizdy i pohukiwania w wyższych rzędach zaczęły się nieomal natychmiast. Z początku większa część publiczności usiłowała nie zwracać uwagi na te wybryki, udając, że nic się nie dzieje, ale po chwili trudno było ignorować hałasy, dobiegające także z balkonu i jaskółek, najwyższych bocznych łóż.

Jednocześnie trudno było określić, czego właściwie dotyczy protest.

Leonie wbiła spojrzenie w orkiestrę i starała się nie zwracać uwagi na coraz gęściejsze syki i szepty, lecz z każdą nutą uwertury widownię coraz szerszą falą ogarniał zdradliwy niepokój. Dziewczyna w końcu nie zdołała powstrzymać ciekawości. Nachyliła się ku sąsiadce po lewej.

–Co się dzieje? – szepnęła.

Starsza dama ściągnęła brwi niezadowolona, lecz odpowiedziała.

–Ci ludzie nazywają siebie abannes – odparła z za wachlarza. Sprzeciwiają się wystawianiu jakichkolwiek kompozytorów poza francuskimi. Chcą uchodzić za muzycznych patriotów. Można się z nimi zgodzić co do zasady, ale nie wolno manifestować swoich przekonań w taki sposób!

Leonie podziękowała skinieniem i znów usiadła prosto. Rzeczowy ton sąsiadki uspokoił ją, mimo że hałasy przybierały na sile.

Gdy tylko wybrzmiały ostatnie akordy uwertury, protest rozpoczął się na dobre. Kurtyna poszła w górę, odsłaniając chór germańskich rycerzy z dziesiątego wieku, stojących nad brzegiem rzeki w Antwerpii, a na widowni zapanował zgiełk. W wyższych rzędach balkonu grupa ośmiu czy dziesięciu mężczyzn

wstała z siedzeń. Gwizdali, pohukiwali, wolno, głośno klaskali. Pełne dezaprobaty syknięcia rozchodziły się od tego miejsca jak kręgi na wodzie. W którejś chwili ktoś zaintonował słowo, które nie od razu dało się rozpoznać, lecz podejmowane coraz gęściej tu i tam męskimi ochryplymi głosami przybrało na sile i w końcu odbiło się potężnym echem od zdobionego sufitu.

–Boche! Boche! Boche!

Szwab.

Leonie była zła, bo nie mogła w spokoju cieszyć się operą, ale z drugiej strony, po cichutku, przyznawała w duchu, że jest podekscytowana. Właśnie stała się świadkiem zdarzenia, o którym normalnie mogłaby jedynie przeczytać na łamach „Le Figaro”, ulubionej gazety Anatola.

Prawdę powiedziawszy, zwykle tonęła w nudzie codzienności, miała serdecznie dość towarzyszenia mamam podczas ciągnących się w nieskończoność wieczorków towarzyskich, w nijakich domach paryskich krewnych i dawnych znajomych ojca. Równie mało pasjonująca była grzecznościowa wymiana zdań z przyjacielem mamy, dawnym wojskowym, posuniętym w latach, który traktował dziewczynę, jakby ciągle jeszcze nosiła krótkie spódniczki.

Ależ będę miała wieści dla Anatola!

Tymczasem protest wszedł na zupełnie nowe tory.

Artyści, choć mocno umalowani, wyraźnie pobledli. Śpiewali dalej, lecz z ich oczu wyzierała niepewność. Szyki pomieszał im pierwszy pocisk. Ktoś rzucił butelką, o włos chybiając basa grającego króla Heinricha.

Na teatr spadło osłupienie tak wielkie, że zdawało się, jakby orkiestra przestała grać. Widownia wstrzymała oddech. Butelka sunęła nad głowami siedzących jakby w zwolnionym tempie, zielone szkło migotało srebrnymi refleksami światła. W końcu

uderzyła w płócienne dekoracje i z głuchym turkotem stoczyła się do kanału orkiestry.

Wtedy rozpętało się piekło. Na scenie i na widowni. Prysnął czar wielkiego dzieła. Operę wypełnił zgłęb przestraszonych i oburzonych głosów. Raptem w stronę sceny poszybował drugi pocisk. Ten spadł na deski i roz-bryztał się fontanną szklanych okruchów. Jakaś kobieta w pierwszym rzędzie krzyknęła i zasłoniła twarz, bo poraził ją koszmarny odór gnijących warzyw i krwi.

–Boche! Boche! Boche!

Uśmiech na twarzy Leonie zbladł. W oczach dziewczyny błysnął strach. Serce miała w gardle. Nic przyjemnego w takiej przygodzie. Nic. Czowała mdłości.

Kwartet po jej prawej stronie zerwał się na równe nogi i zaczął klaskać. Najpierw powoli, potem coraz szybciej. Mężczyźni wyli przy tym jak potępieni, naśladowali odgłosy wydawane przez świnie, krowy i kozy. Twarze mieli okrutne, zacięte, wykrzywione nienawiścią.

Zjadliwy antypruski refren rozbrzmiewał już ze wszystkich stron.

Brodaty dżentelmen o bladej cerze i w okularach na nosie, człowiek wyraźnie spędzający czas w towarzystwie inkaustu, wosku i dokumentów, trącił programem w ramię jednego z protestujących.

Usiądźże, człowieku, na litość boską! Ani to czas, ani miejsce na takie wybryki!

Racja – poparła go towarzyszka. Proszę usiąść.

Zaczepony odwrócił się gwałtownie i smagnął starszego pana laską po kłykciach. Laską, która miała w główce przemyślnie ukryty metalowy kolec. Napadnięty krzyknął, program wypadł mu z dłoni. Z rozciętej skóry popłynęła krew. Chciał odebrać napastnikowi broń, ale ten pchnął go mocno i przewrócił.

Towarzyszająca starszemu mężczyźnie dama zerwała się na równe nogi.

Leonie wstrzymała oddech.

Dyrygent starał się nadal prowadzić orkiestrę, lecz muzycy nie mogli się skupić. Rzucali na boki spłoszone spojrzenia, rwali frazy, grali w nierównym tempie, raz szybciej, w następnej chwili o wiele za wolno. Za kulisami wyraźnie zapadła jakaś decyzja, bo wychynęli stamtąd pracownicy techniczni, cali odziani na czarno, z rękawami podwiniętymi nad łokcie, i zaczęli sprowadzać śpiewaków ze sceny. Ktoś rozkazał opuścić kurtynę. Równoważące ją ciężary ruszyły w górę zbyt szybko, obijając się o siebie z ostrzegawczym brzękiem. Kotara ze świstem przecięła powietrze, zaczepiła o fragment dekoracji i tak została, zatrzymana w pół drogi.

Krzyki przybierały na sile.

Exodus rozpoczął się od prywatnych łóż. Spowita drzeniem piór i szelestem jedwabiu, otulona ciepłym blaskiem złota burżuazja spieszenie opuściła przybytek sztuki. Na ten widok zaczęły się wycofywać wyższe rzędy parteru, gdzie roiło się od protestujących nacjonalistów, w następnej chwili zaczęły się podnosić balkony i jaskółki. Pierwsze rzędy parteru podążyły ich śladem. Ze wszystkich stron Grande Salle dobiegały klapnięcia składających się foteli. Odciągnięte niecierpliwie aksamitne kotary na drzwiach wyjściowych obudziły brzęk mosiężnych kółek na karniszach.

Burzyciele jeszcze nie osiągnęli celu. Orkiestra nadal grała. W stronę kanału posypały się kolejne pociski. Butelki, kamienie, cegły, zgniłe owoce. Muzycy zerwali się w popłochu, chwytając instrumenty. Potykając się o krzesła i stojaki, ruszyli do wyjścia pod sceną.

Wtedy przez niezasuniętą kurtynę wyszedł na krawędź sceny dyrektor teatru. Błyszczącą od potu twarz ocierał szarą chusteczką.

**–Mesdames, monsieur, s'il vous plait. S'il vous plait! –
apelował o spokój.**

Choć był postawnym mężczyzną, ani jego głos, ani maniery nie wzbudziły szacunku. Nie znalazł posłuchu. I nic dziwnego, skoro rzucał na boki niepewne spojrzenia i na dodatek bezładnie machał rękami, usiłując zaprowadzić jakiś porządek w narastającym chaosie.

Za późno. Jego wysiłki spełzły na niczym.

W powietrzu śmignął kolejny pocisk. Tym razem nie była to butelka ani warzywo, lecz kawał drewna z wystającymi gwoździami. Trafił dyrektora w czoło. Ten przycisnął dłoń do twarzy, zatoczył się do tyłu. Między palcami pociekła krew. Upadł na bok, bezwładny jak szmaciana lalka.

W tej samej chwili Leonie opuściły resztki odwagi.

Muszę wyjść.

Zatrwożonym spojrzeniem omiotła salę. Niestety, znajdowała się w pułapce. Tłum uciekinierów falował ze wszystkich stron, po prawej drogę blokowała czwórka indywidualistów, na scenie rozgrywała się prawdziwa tragedia. Dziewczyna uchwyciła się oparcia, chciała przejść do wyższego rzędu i dalej, aż do wyjścia, ale gdy miała wstać, okazało się, że szklane łożki na rąbku sukni zaklinowane są w zawiasie fotela. Najpierw usiłowała je odczepić, potem szarpnęła spódnicę raz i drugi, podrze się, trudno, nieważne, byle stąd uciec!

Widownią wstrząsnął następny okrzyk.

–A bas! A bas!

Podniosła wzrok. Precz? Cóż to znowu ma znaczyć?

–A bas! A l'attaque!

Niczym krzyżowcy oblegający zamek nacjonałści ruszyli naprzód, wymachując laskami i pałkami. Tu i tam błysnęło ostrze. Leonie zadrżała. Szturmowali scenę, a ona znajdowała się

dokładnie na ich drodze.

Pozostali między siedzeniami widzowie ulegli hysterii, pękła maska wyniosłej paryskiej socjety. Prawnicy i dziennikarze, malarze i uczeni, bankierzy i urzędnicy, kurtyzany i nobliwe żony – wszyscy rzucili się ku drzwiom.

Ratuj się kto może!

Nacjoniści ruszyli na scenę. Pojawiali się ze wszystkich stron, maszerowali niczym wojsko, działali precyzyjnie jak dobrze naoliwiona maszyna, przeskakiwali kolejne rzędy, blokowali kanał orkiestry, zalewali wejścia dla artystów. Leonie mocniej pociągnęła spódnicę, drugi raz i trzeci... Nareszcie rozdarła materiał, udało jej się oswobodzić.

–Boche! Alsace française! Lorraine française!

Alzacja francuska. Lotaryngia francuska... Boże!

Protestujący niszczyli dekoracje, rwali tło. Malowane drzewa, woda i skały, figury żołnierzy z dziesiątego wieku uległy dziewiętnastowiecznemu motłochowi. W krótkim czasie deski sceny zaścieliły porwane płótna, karton i resztki drewnianych elementów dekoracji. Świat Lohengrina legł w gruzach.

Wtedy zrodził się opór. Grupa idealistów, zarówno młodych ludzi, jak i weteranów dawnych kampanii wojennych, zebrała się na parterze i ruszyła za nacjonalistami na scenę. Drzwi oddzielające widownię od zaplecza opery ktoś wyrwał z zawiasów. Obrońcy połączyli siły z pracownikami technicznymi teatru, nadciągającymi z głębi sceny.

Leonie przyglądała się całkiem nowemu przedstawieniu jak zahipnotyzowana. Przystojny młody mężczyzna, nieledwie chłopiec, z długimi, na-woskowanymi wąsami, w pożyczonym, zbyt obszernym surducie, rzucił się na herszta protestujących. Od tyłu chwycił go ramieniem za szyję i usiłował ściągnąć na ziemię, tymczasem sam legł na deskach. Mało tego, dostał solidnego kopniaka w brzuch podkutym butem. Wytchnął całe

powietrze z płuc, jęknął cicho.

–Vive la France! A bas! – grzmiało w wielkiej sali.

Żądza krwi. Z szeroko otwartych oczu wyczierała nienawiść. Czerwone twarze. Wykrzywione wściekłością usta.

–S'il vous plait! krzyknęła Leonie. Pomocy! Błagam!

Nikt jej nie słyszał.

Kolejny mężczyzna w mundurze pracownika opery został zrzucony ze sceny. Ciało poszybowało nad opustoszałym kanałem dla orkiestry, zawisło bezwładnie na mosiężnej poręczy.

Muszę się stąd wydostać. Byle dalej od sceny.

W uszach miała trzask łamanych kości, przed oczami krew, zniekształcone wrogością twarze. Nieomal na wyciągnięcie ręki jakiś mężczyzna w rozdartym surducie brnął na czworakach, zostawiając za sobą krwawe odciski dłoni.

Za nim pojawił się napastnik z nożem w ręku.

Nie!

Chciała krzyknąć, ostrzec, lecz głos uwiązł jej w krtani.

Świst. Cios. Mężczyzna ciężko upadł na bok. Podniósł wzrok na napastnika, zasłonił się przed nożem gołą ręką. Zgrzyt ostrza na kościach. Ofiara zawyła z bólu. A napastnik pchnął raz jeszcze, głęboko w klatkę piersiową. Ciało drgnęło kilka razy jak marionetka w którymś z kiosków na Polach Elizejskich i wreszcie znieruchomiało.

Nawet nie wiedziała, że krzyczy. Nie czuła już nic prócz strachu.

–S'il vous plait! – Od drzwi oddzielał ją przerażony tłum. – Muszę wyjść!

Usiłowała się przepchnąć, ale była za mała, za lekka. Środkowe przejście, nie wiedzieć kiedy, zostało zablokowane purpurowymi siedziskami.

Któraś z lamp gazowych pod sceną strzeliła iskrami na rozsypane w nieładzie kartki z nutami. Buchnął pomarańczowy płomień, syknął złoty strumień gorąca. Pod deskami sceny zafalował ogień.

–Pali się! Pożar!

Tego już było nadto. Ludzie mieli świeżo w pamięci wspomnienie piekła, które ogarnęło Operę Komiczną przed pięciu laty. Straciło wtedy życie ponad osiemdziesiąt osób.

–Muszę przejść – powtarzała Leonie jak w malignie. – Proszę, błagam,

muszę się stąd wydostać.

Nikt nie zwracał na nią uwagi. Ślizgała się na porzuconych programach, stroikach z piór i szkle z lornetek niczym na zeschniętych kościach w jakimś starożytnym grobowcu.

Widziała niewiele, tylko las łokci i tyły głów pozbawionych nakryć. Brnęła do przodu centymetr za centymetrem, po troszeczkę odsuwając się od ogniska walk.

Raptem jakaś starsza kobieta tuż obok potknęła się i zaczęła osuwać na ziemię. Dziewczyna odruchowo ją podtrzymała. Przez wykrochmaloną tkaninę ścisnęła bezwładne ramię.

–Chciałam tylko posłuchać muzyki – wyszeptała dama. – Niemiecka

czy francuska... To przecież bez różnicy. Co za czasy, co za czasy...

Leonie, obarczona ciężarem, ledwo utrzymywała się na nogach. Z każdym krokiem było jej coraz trudniej.

–Już niedaleko pocieszała swoją towarzyszkę, choć półżywa, nadal

dzielna. – Proszę, niech pani zbierze siły. Jesteśmy już blisko wyjścia. Pra

wie bezpieczne.

W końcu dostrzegła znajomą liberię.

–Mais aidez-moi, bon Dieu! Par ici. Vite!

Bileter usłuchał natychmiast, od razu przyszedł z pomocą. Bez zbędnych słów uwolnił dziewczynę od ciężaru. Wziął starszą panią na rękę i zaniósł do Grand Foyer.

Leonie wyczerpana, na drżących nogach, z trudem łapiąc oddech, brnęła dalej. Jeszcze tylko kilka kroków.

Nagle ktoś chwycił ją za nadgarstek.

–Nie! – krzyknęła. – Nie!

Nie pozwoli się uwięzić we wnętrzu, gdzie szaleje ogień, a tłum szturmuje przeszkody. Uderzyła na oślep, lecz trafiła powietrze.

–Zostaw mnie! Nie dotykaj!

ROZDZIAŁ 3

–To ja! Leonie! To ja!

Męski głos, tak dobrze znany, taki bliski. Symbol bezpieczeństwa. Zapach oliwki do włosów z nutą drzewa sandałowego i woń tureckiego tytoniu.

Anatol? Tutaj?

Silne ręce objęły ją w talii i wyciągnęły z tłumu. Dziewczyna wreszcie spojrzała przytomniejszym wzrokiem.

Anatol! – Zarzuciła bratu ręce na szyję. – Gdzieś ty się podziewał?! Jak mogłeś?! – Strach ustąpił miejsca wściekłości. Zadudniła piąstkami w jego szeroką pierś. – Czekałam na ciebie bez końca! Przecież obiecałeś...!

Wiem, wiem – rzucił pośpiesznie. – Masz prawo się gniewać, ale teraz musimy stąd ująć z życiem.

Leonie odzyskała równowagę tak samo szybko, jak zawrzała. Nagle znużona, wsparła głowę na piersi brata.

Widziałam...

Wiem, petite, wiem – rzekł cicho, gładząc ją po zmierzwionych włosach. – Teraz już wszystko będzie dobrze. Tylko musimy wyjść z opery, jak najszybciej, bo inaczej zostaniemy uwikłani w starcia z wojskiem. Przed budynkiem ustawiają się oddziały.

Ileż nienawiści mieści się w ludzkim sercu... Zniszczyli wszystko. Widziałeś, co się stało? Widziałeś? – Dziewczyna była o krok od hysterii. – Gołymi rękami...

Opowiesz mi później – rzucił Anatol zdecydowanie. – Teraz musimy się stąd wydostać. Vas-y. Idziemy.

Leonie wzięła się w garść. Zaczerpnęła głęboko powietrza, uniosła głowę, wyprostowała się, gotowa podjąć nowe wyzwanie.

–Doskonale – pochwalił ją brat. – No to pędem!

Był rosły i silny, więc zdołał utorować drogę przez tłum kłębiący się przed drzwiami. Minęli aksamitną zasłonę i znaleźli się w samym środku chaosu. Trzymając się za ręce, pobiegli do Grand Escalier. Droga do schodów usłana była butelkami szampana, przewracanymi kubelkami na lód i bezpańskimi programami, więc należało uważać na każdy krok. Cudem jakimś udało im się bez żadnego wypadku dotrzeć do drzwi wyjściowych. Wskoczyli na Place de l'Opera.

Tuż za nimi rozległ się brzęk tłuczonego szkła.

–Tutaj!

Sceny w Grande Salle wydawały się Leonie siódmym kręgiem piekieł, ale tu, na ulicy, było jeszcze gorzej. Nacjoniści uzbrojeni w pałki, butelki i noże zajęli pozycje na stopniach Palais Garnier. Czekali w trzech rzędach, wykrzykując swój nienawistny refren.

–A bas! A bas!

Niżej, na samym placu, żołnierze w krótkich czerwonych bluzach i złotych hełmach przyklękli, szykując się do strzału. Oddziały przygotowane do walki z tłumem. Czekali na rozkaz.

–Skąd ich się wzięło aż tylu?! – krzyknęła Leonie.

Anatol nie odpowiedział. Ciągnął siostrę przez tłum przed barokową fasadą pałacu. Gdy dotarli do rogu, skręcili w rue Scribe, schodząc wreszcie z linii ognia. Splótłszy dłonie, dali się ponieść ludzkiej rzece przez całą przecznicę, potrąceni, popychani, ściśnięci.

Leonie już się niczego nie obawiała. Miała u boku Anatola.

Rozległ się pojedynczy strzał. Strumień uciekinierów na moment zastygł, sekundę później ruszył jeszcze żwawiej. Ktoś nastąpił Leonie na nogę, męski but obtarł jej kostkę, rozwiązało się przydepnięte sznurowadło. Z trudem utrzymała równowagę. Tylko dłoń Anatola dawała jej oparcie.

Pod operą gruchnęła salwa.

–Trzymaj mnie! – krzyknęła Leonie.

Huknęła eksplozja. Dziewczyna obejrzała się przez ramię. Ujrzała brudną kopułę szarego dymu. Od drugiego wybuchu zadrżał chodnik. Powietrze zgęstniało, potem zapadło się w siebie.

Des canons! Ils tirent!

To nie armaty. Cest sont des petards. Zwykle petardy.

Mocniej chwyciła brata za rękę. Posuwali się ciągle coraz dalej od opery, choć jak długo trwała ucieczka ani gdzie się mogła zakończyć, żadne z nich nie umiało powiedzieć. Zwierzęcy instynkt przetrwania kazał im się nie zatrzymywać, dopóki nie zostawią daleko za sobą huk, dymu i krwi.

Leonie zaczynała tracić czucie w nogach, oddychała z najwyższym trudem, ale ciągle biegła, aż do kresu sił. Nie wiedzieć kiedy tłum się przeredził i w końcu rodzeństwo stanęło w jakiejś bocznej uliczce, z dala od walk, wybuchów i strzałów karabinowych. Dziewczyna ledwo trzymała się na nogach, dyszała ciężko, mokra od potu skóra paliła ją żywym ogniem.

Jedną dłoń położyła na piersiach, drugą oparła się o ścianę jakiegoś domu, inaczej nie zdołałaby utrzymać równowagi. Serce waliło jej jak młotem, krew huczała w uszach.

Anatol oparł się plecami o ścianę. Siostra przytuliła się do niego, więc objął ją za ramiona, wplątując palce w miedziane loki, spływające na plecy jak jedwabna przędza.

Powoli się uspokajała. Chłodne wieczorne powietrze koło

rozognione płuca ożywczym balsamem. Ściągnęła poplamione rękawiczki, upuściła je na chodnik.

Anatol odetchnął głębiej, odgarnął z twarzy gęste czarne włosy, odsłonił ostro zarysowane kości policzkowe i wysokie czoło. Mimo regularnych treningów szermierki też był zmęczony.

Na jego ustach pojawił się uśmiech.

Jakiś czas oboje milczeli. Jedynym dźwiękiem były ich głośne oddechy, tworzące we wrześnieowym zmroku białe obłoczki. Wreszcie Leonie doszła do siebie.

–Dlaczego się spóźniłeś? – zapytała, jakby to była najważniejsza kwe

stia na świecie.

Anatol popatrzył na nią z niedowierzaniem, a potem zaczął się śmiać. Z początku cicho i miękko, potem coraz głośniej, wreszcie zgiął się wpół i dłuższy czas nie mógł wykrztusić słowa.

–W takiej chwili – wydusił nareszcie – będziesz mnie besztać, petite?

Siostra przyszpiliła go srogim spojrzeniem, ale już w następnej chwili

kąciki ust, nieposłuszne jej woli, powędrowały w górę. Wyrwał jej się chichot, potem drugi, aż wreszcie i ona zaśmiała się głośno i śmiała tak długo, aż straciła oddech, a po policzkach spłynęły łzy.

Wreszcie uspokoili się oboje. Anatol zdjął surdut i zarzucił siostrze na ramiona.

–Niezwykłe z ciebie stworzenie – powiedział. Niesamowite.

Dziewczyna objęła spojrzeniem zniszczoną suknię. Rąbek spódnicy

ciągnął się za nią niby długi pociąg, ocalałe szklane paciorki wisiały na ostatnich nitkach. Tymczasem Anatol wyglądał

nieskazitelnie. Mankiety koszuli nadal miał śnieżnobiałe, usztywnione czubki kołnierza sterczały w górę jak należy, a na błękitnej kamizelce próżno by szukać najmniejszej plamki. Pokręciła głową z niedowierzaniem. Cały Anatol. Cały on. Odsunął się od ściany i podniósł głowę.

Rue Caumartin – przeczytał tabliczkę. – Doskonale. Zjadłabyś coś? Pewnie jesteś głodna?

Umieram z głodu.

Znam jedną kawiarenkę niedaleko. Na dole przesiadują artystki z kabaretu Le Grande-Pinte w towarzystwie wielbicieli, ale na piętrze jest kilka przyzwoitych prywatnych salek. Jak ci się podoba taki plan?

Doskonały.

Wobec tego – uśmiechnął się – idziemy. Zaszalejesz z bratem do późna w noc. Nie mogę ryzykować, że mama cię zobaczy w takim stanie. Nigdy by mi nie wybaczyła.

ROZDZIAŁ 4

Marguerite Vernier wysiadła z fiacre na rogu ulic Cambon i Sainte-Honore. Towarzyszył jej generał Georges du Pont.

Gdy mężczyzna płacił za kurs, otuliła się ciasniej etolą. Na jej ustach igrał pełen zadowolenia uśmiech. Wybrali się do najlepszej restauracji w mieście, o oknach zawsze dyskretnie przesłoniętych najwytworniejszą koronką z Bretanii. Wyprawa stanowiła niezbity dowód rosnących względów generała.

Ramię w ramię weszli do Voisin, gdzie od progu powitał ich szmer rozmów. Marguerite dostrzegła kątem oka, że Georges wyprostował się i unióś wyżej głowę. Najwyraźniej zdawał sobie sprawę, że wszyscy obecni w restauracji mężczyźni mu zazdroszczą. Ścisnęła go za przedramię, a on odpowiedział podobnym gestem. Tak, oboje mieli świeżo w pamięci minione dwie godziny. Generał objął swoją kobietę spojrzeniem szczęśliwego posiadacza, ona zaś odpowiedziała leciutkim uśmiechem, po czym delikatnie rozchyliła usta. Właśnie one były jej największym atutem: promienny uśmiech i pełne wargi stawiały ją między wyjątkowymi pięknosciami. Obiecywały i zapraszały.

Generał oblał się purpurą aż po czubki uszu. Wsunął palec pod kołnierzyk o sterczących rogach. Miał na sobie elegancki czarny smoking, zręcznie uszyty, skrywający fakt, że po sześćdziesiątce mężczyzna nie ma już tak wybornej postawy jak za czasów służby w armii. Z butonierki spływała kolorowa wstążka, symbolizująca medale otrzymane pod Sedanem i pod Metzem. Zamiast kamizelki, która mogłaby nieszczęśliwie podkreślić nieco zbyt wydatny brzuch, włożył bordowy pas smokingowy, idealnie dopasowany do muchy. Siwowłosy, z doskonale utrzymanym obfitym wąsem, Georges był teraz dyplomatą, osobą publiczną, stateczną, i życzył sobie, by świat o

tym wiedział.

Marguerite ubrała się skromnie, w jedwabną wieczorową suknię z fioletowej mory, o srebrnych wykończeniach, przetykanych koralikami, z długim rękawem. Szczupłą talię podkreślała suta spódnica. Wysoka stójka prowokacyjnie odsłaniała jedynie skrawek śnieżnobiałej skóry na karku, ukrytym pod ciężkim kokiem, ozdobionym niewielkim stroikiem z fioletowych piór. W jasnej twarzy o nieskazitelnej cerze lśniły orzechowe oczy.

Wszystkie znudzone matrony i wypacykowane żony patrzyły na nią z niechęcią i zazdrością, tym większą, że Marguerite nie była już młodką, ale kobietą po czterdziestce. Jej uroda w połączeniu z doskonałą figurą, a do tego brak obrączki na palcu, obrażały poczucie przyzwoitości oraz sprawiedliwości. Czy to uchodzi obnosić się z takim związkiem akurat we Voisin?

Właściciel, siwowłosa mężczyzna, równie dystyngowany jak jego klientela, wyszedł nowym gościom na spotkanie. Wystąpił z cienia za dwiema damami, siedzącymi przy ladzie recepcji, Scyllą i Charybdą, bez których aprobaty nikt nie mógł przebywać w tym kulinarnym przybytku. Swego czasu generał du Pont był tutaj stałym bywalcem, zamawiał najlepszego szampana i zostawiał szczodre napiwki. Ostatnio jednak pojawiał się rzadziej. Właściciel restauracji zaczął żywić obawy, iż stracił klienta na rzecz Cafe Paillard albo Cafe Anglais.

–Miło nam pana znowu widzieć, monsieur – zagaił. – Sądziłem, że ob

jął pan jakąś posiadłość poza granicami kraju.

Georges pochylił głowę z lekkim zakłopotaniem.

Jakiż on bezbronny, pomyślała Marguerite.

Wcale jej ta cecha nie przeszkadzała. Ten adorator miał lepsze maniery, hojniejszą rękę i mniejsze wymagania niż wielu innych mężczyzn, z którymi wiązała swoje losy.

–To wyłącznie moja wina – rzekła, spoglądając spod opuszczonych

rzęs. – Zaanektowałam go dla siebie.

Właściciel roześmiał się i strzelił palcami. Na ten znak szatniarz zdjął z ramion Marguerite etolę, od generała wziął laskę i zniknął równie bezszelestnie, jak się pojawił. Mężczyźni przystąpili do wymiany grzeczności: kilka słów na temat pogody i aktualnej sytuacji w Algierii oraz dwa zdania o tym, że podobno tu i ówdzie dochodzi do jakichś antypruskich demonstracji. Marguerite nie słuchała. Z ciekawością przyglądała się słynnej owocowej dekoracji na wielkim stole. Niestety, jeśli chodzi o truskawki, było już po sezonie, a przy tym Georges miał zwyczaj wcześniej się kłaść, więc raczej nie zechce jeść deseru.

Powstrzymała westchnienie ulgi, gdy panowie zakończyli zwyczajowe uprzejmości. Choć w restauracji było tłoczno, panowała atmosfera odprężenia i dyskretnego luksusu. Anatol nie zjadłby kolacji w takim miejscu za nic w świecie, uznałby je za nudne i staroświeckie, ale Marguerite, kobieta, która zbyt często musiała takie lokale mijać, zaglądając jedynie przez okno, czuła się rozkosznie spełniona. Kolacja w takim miejscu była dla niej miarą bezpieczeństwa, jakie zapewniał jej du Pont.

Właściciel restauracji uniósł dłoń, przywołując głównego kelnera. Ten poprowadził ich w miękkim blasku świec do jednego z najlepszych stolików, ustawionego we wnęce, skrytego przed wzrokiem innych gości i znajdującego się z dala od wahadłowych drzwi, prowadzących do kuchni. Marguerite zastanawiała się po drodze, nie po raz pierwszy, co też takiego robi Georges w ambasadzie, że nieposzlakowana opinia jest dla niego tak istotna.

Państwo życzą sobie aperitif? – zapytał kelner. Generał spojrzał na towarzyszkę.

Szampan?

Z przyjemnością.

–Butelkę cristala – zadysponował, pochylając się dyskretnie do przodu, jakby chciał oszczędzić damie prostackiej informacji, że zamówił najlepszy trunek, dostępny w lokalu.

Gdy kelner odszedł, Marguerite leciutko dotknęła stopą nogi generała. Z satysfakcją odnotowała, że drgnął i poprawił się na krześle.

–Marguerite, doprawdy – zaprotestował bez przekonania.

Zsunęła miękki pantofel i delikatnie pogładziła go po kostce, a potem wyżej, nad cieniuteńką skarpetką, jakby utkaną z pajęczej przędzy.

–Mają tu najlepsze czerwone wino w Paryżu – rzekł Georges nieco chrapliwym tonem. – Burgundzkie, bordeaux... najlepsze winnice... A i pośledniejsze trunki...

Marguerite nie lubiła czerwonego wina, bo zawsze po nim cierpiała na ból głowy. Wolą szampana, ale oczywiście wypije, cokolwiek Georges dla niej zamówi.

Jak ty się na wszystkim znasz! – pochwaliła. Rozejrzała się dookoła. – I taki jesteś zaradny! Niełatwo dostać stolik w środowy wieczór...

Trzeba wiedzieć, z kim rozmawiać – zbył komplementy od niechcienia, ale widziała, że jest zadowolony. – Jadłaś tu kiedyś? Wiesz, co to za miejsce?

Pokręciła głową. Pedantyczny Georges zbierał fakty i lubił się popisywać wiedzą. Oczywiście, jak każdy mieszkaniec Paryża, doskonale znała historię restauracji, lecz była gotowa udawać, że nic o niej nie wie. W czasie długich miesięcy Komuny lokal bywał świadkiem najzacieklejszych walk między komunardami a siłami rządowymi. Tu gdzie teraz czekały na pasażerów fiakry i dwukółki, dwadzieścia lat wcześniej stały barykady wzniesione z żelaznych łóżek, przewracanych wozów, palet i skrzynek po amunicji. Tam ona przez krótki, wspaniały moment stała wraz z mężem, pięknym i bohaterskim Leo, jako równorzędna partnerka

w walce przeciwko klasie panującej.

Kiedy Ludwik Napoleon poddał armię w bitwie pod Sedanem – zaczął generał – Niemcy ruszyli na Paryż.

Rozumiem. – Marguerite zatrzepotała rzęsami, konstatuując nie po raz pierwszy, że Georges mają za bardzo młodą osobę, skoro daje jej lekcję historii z wypadków, w których brała udział.

Gdy doszło do oblężenia Paryża, znajdowaliśmy się pod ciągłym ostrzałem. I, oczywiście, brakowało żywności. Tylko w ten sposób można było dać nauczkę komunardom. To jednak oznaczało, że wiele lepszych restauracji zamknęło podwoje. Cóż. naprawdę brakowało jedzenia. Wróble, koty, psy... żadne stworzenie, jakie się pokazało na ulicach miasta, nie było złą zwierzyną. Nawet mieszkańców zoo zabito któregoś dnia dla mięsa.

Coś podobnego!

I wiesz, co tego wieczoru serwowano we Voisin?

Nie potrafię sobie wyobrazić – rzekła Marguerite. ucieleśnienie nieświadomości o szeroko otwartych oczach. – I nawet nie śmiem. Może węże?

Nie – zaśmiał się generał ukontentowany – zgaduj dalej.

Naprawdę nie wiem... Krokodyle?

Słonia – oznajmił triumfalnie. – Danie z nogi słonia. Wyobrażasz sobie coś podobnego? Smakowite, doprawdy doskonałe. Jedyne w swoim rodzaju, możesz mi wierzyć.

Wierzę. – Marguerite uśmiechnęła się, choć jej wspomnienie z lata roku tysiąc osiemset siedemdziesiątego pierwszego wyglądało zupełnie inaczej. Długie tygodnie głodu, próby walki, wspieranie męża idealisty. Jednocześnie musiała wykarmić ukochanego synka. Suchy ciemny chleb i kasztany, jagody kradzione nocą z krzewów w ogrodach Tuileries.

Gdy Komuna upadła, Leo musiał uciekać i dwa lata ukrywał

się u różnych przyjaciół. W końcu go jednak pojmano, o włos uniknął plutonu egzekucyjnego. Ponad tydzień Marguerite chodziła po wszystkich komisariatach i sądach Paryża, nim odkryła, że był sądzony i został skazany. Jego nazwisko opublikowano na liście wywieszanej na ścianie ratusza: deportacja do francuskiej kolonii na Pacyfiku, do Nowej Kaledonii.

Amnestia, która objęła komunardów, dla niego przyszła zbyt późno. Zmarł na pokładzie statku, w czasie przeprawy przez ocean. Nawet nic wiedział, że ma córkę.

–Marguerite? – odezwał się du Pont gniewnie.

Milczała zbyt długo. Na powrót przywołała odpowiedni wyraz twarzy.

–Zamyśliłam się przeprosiła z uśmiechem. Wyobrażałam sobie, jakie wspaniałe musiało być to danie rzekła. Na pewno wiele zależało od

umiejętności... od geniuszu szefa kuchni. Czuję się częścią historii, odwie

dzając takie miejsce. Zwłaszcza z tobą – dodała po chwili.

Georges rozpromienił się w błogim uśmiechu.

Najważniejsza jest siła charakteru. Dzięki niej człowiek potrafi wykorzystać najtrudniejszą sytuację. Twoje pokolenie nic o tym nie wie...

–Państwo wybaczą.

Du Pont wstał, zawsze uprzejmy, nawet jeśli zirytowany. Marguerite obróciła się i zobaczyła wysokiego dżentelmena o gęstych czarnych włosach i wysokim czole. Przyszpilił ją ostrym spojrzeniem bardzo niebieskich oczu.

–Tak, monsieur? odezwał się generał.

Nieznajomy, choć z pewnością napotkany po raz pierwszy, obudził w Marguerite jakieś nieokreślone skojarzenia. Byli w

podobnym wieku.

Intruz miał na sobie ciemny wieczorowy garnitur, dyskretnie podkreślający nieskazitelną figurę i doskonałą kondycję. Szerokie bary, jak u człowieka przyzwyczajonego stawiać na swoim. Na palcu lewej dłoni złoty sygnet, który zapewne pomógłby określić jego tożsamość. W rękach mężczyzna trzymał jedwabny cylinder, białe rękawiczki oraz kaszmirowy szalik w tym samym kolorze, co sugerowało, że albo właśnie przyjechał albo wybierał się w drogę.

Splonęła rumieńcem pod jego wzrokiem, który zdawał się ją rozbierać. Skóra paliła Marguerite. Kropelki potu zrosiły piersi, ukryte pod siatką koronek gorsetu.

–Panowie wybaczą – powiedziała, rzucając generałowi spojrzenie pełne niepokoju – ale czy...

Przybyły lekko schylił głowę w niemym geście przeprosin.

–Czy mogę?

Du Pont, udobruchany, zezwolił kiwnięciem ręki.

–Jestem znajomym pani syna – rzekł obcy, wyjmując z kamizelki wizytownik, a z niego zadrukowaną tekturkę. – Victor Constant, hrabia de Tourmaline.

Po chwili zawahania Marguerite przyjęła wizytówkę.

–Ogromnie przepraszam, że państwu przeszkodziłem, ale bardzo zależy mi na spotkaniu z Vernierem – podjął, przenosząc spojrzenie na generała. – Mam do niego szalenie istotną sprawę. Czas jakiś byłem na wsi, dopiero co wróciłem do miasta i miałem nadzieję zastać go w domu. Tymczasem... – Oszczędnym gestem rozłożył dłonie.

Marguerite знаła wielu mężczyzn. Zawsze od razu wiedziała, jakie zachowanie będzie najkorzystniejsze. Pochlebstwo, potok słów, zauroczenie... Ale on...? Nie potrafiła go rozszyfrować.

Spojrzała na wizytówkę. Anatol niewiele jej mówił o swoich sprawach, ale tak czy inaczej z pewnością nigdy nic wymieniał tak dystyngowanego nazwiska. Ani w kontekście przyjaciół, ani klientów.

–Czy wie pani, gdzie go znajdę?

Zadrzała leciutko. Z pożądania. I z lęku. Jedno i drugie jednakowo fascynujące. Jedno i drugie tak samo alarmujące. Nieznajomy zmrużył oczy, przesywając jej duszę spojrzeniem na wylot, jakby potrafił czytać w myślach. Ledwo dostrzegalnie skłonił głowę.

–Niestety... powiedziała. Obawiam się, że nie. – Nie mało trudu kosztowało ją usunięcie z głosu najłżejszej niepewności. Może zostawi mu pan wizytówkę w biurze.

Tym razem Constant wyraźnie skłonił głowę.

–Tak właśnie zrobię. A znajdę je...?

–Na rue Montorgueil. Nic pamiętani numeru.

Hrabia nic spuszczał z niej wzroku.

–Doskonale odezwał się po chwili. Raz jeszcze przepraszam za najście. Będę wdzięczny, jeśli zechce pani przekazać synowi, że go szukam.

–Znienacka sięgnął po jej dłoń złożoną na kolanie i podniósł do ust.

Marguerite czuła przez cieniutką tkaninę rękawiczki nie tylko szorstki dotyk wąsów, ale i oddech nieznanego. Zaskoczyła ją reakcja własnego ciała, całkowicie sprzeczna z życzeniem umysłu.

–A bientot, madame Vemier. – Do zobaczenia pani. – Mon generał.

Skłonił się oszczędnie i odszedł. Natychmiast zjawił się kelner, który napełnił kieliszki.

–Co za impertynencja! – wybuchnął du Pont. – Za kogo się ma ten szubrawiec?! Jak śmiał cię obrażać!

–Obraził mnie? – zdziwiła się Marguerite.

–Przewiercał cię wzrokiem!

–Doprawdy, nie zwróciłam uwagi. Całkiem nieciekawym osobnikiem – łagodziła. Nie chciała dopuścić do sceny. – Proszę, nie wracajmy do sprawy.

–Czy ty go znasz? – Du Pont nagle zrobił się podejrzliwy.

–Nie. nie znam – odparła spokojnie.

–Skąd on miał moje nazwisko? – zastanawiał się generał, ciągle nieufny.

–Może widział twoją fotografię w gazetach. Jesteś taki skromny, nawet nie wiesz, jaką sławą się cieszysz.

Wyraźnie się odprężył. Pochlebstwo zrobiło swoje. Czas skończyć ze sprawą na dobre. Marguerite ujęła wizytówkę za róg i przytknęła do płomienia świecy. Po krótkiej chwili kartonik zapłonął żywym ogniem.

–W imię Boga, co też ty wyprawiasz!

Marguerite obrzuciła towarzysza spojrzeniem spod długich rzęs, po czym przeniosła wzrok na dogasający papier.

–Nie ma o czym mówić – rzekła, otrzepując palce nad popielniczką.

Jakby go nie było. Jeżeli hrabia jest osobą, z którą mój syn będzie sobie

życzył robić interesy, właściwym miejscem dla tego pana jest biuro Anato

la między godziną dziesiątą a piątą.

Georges pokiwał głową z zadowoleniem. Błysk podejrzliwości w jego oczach zgasł.

–I naprawdę nie wiesz, gdzie się twój syn podziewa?

–Ależ wiem, wiem – oznajmiła z porozumiewawczym uśmiechem, jakby dopuszczała generała do spisku. – Ale ostrożności nigdy za wiele. Lepiej powiedzieć za mało niż za dużo. – Nie miała nic przeciwko, żeby ją uważał za kobietę dyskretną i godną zaufania. Pan du Pont znów pokiwał głową.

–Racja, święta racja.

Anatol zabrał Leonie do opery, na premierę najnowszego dzieła Wagnera.

Wszystko to pruska propaganda – burknął Georges. – Powinno się tego zabronić.

–Po przedstawieniu wybiorą się na kolację.

Na pewno do którejs z tych tak zwanych artystycznych jadłodajni, jak Le Cafe przy Place Blanche! Siedzą tam wszyscy, upchnięci jak śledzie w beczce! zabębnił palcami po stole. Jak się nazywa to drugie miejsce... na Boulevard Rochechouart? Stanowczo powinni je zamknąć...

–Le Chat Noir – podsunęła Marguerite.

–Same lenie i darmozjady! – oznajmił Georges, zapalając się do nowego tematu. – Pacnie taki kilka plamek na płótnie i nazywa to sztuką! Zresztą cóż to za zajęcie dla mężczyzny! Ot, choćby ten bezczelny młodzik z waszego domu, cały ten Debussy...! Same nieroby i próżniaki! Dobrze lanie by ich nauczyło...!

–Kochanie, Achille jest kompozytorem – sprzeciwiła się Marguerite.

–Wszystko to pasożyty! Wiecznie niezadowoleni. A ten tylko wali w klawisze, dzień i noc. Ojciec powinien mu przetrzepać siedzenie! Może by mu przybyło trochę rozumu w głowie!

Marguerite skryła uśmiech. Ponieważ Achille był w tym samym wieku co Anatol, takie środki dyscyplinujące wydawały się nieco spóźnione. Zresztą madame Debussy miała ciężką rękę

i dzieci swego czasu doskonale wiedziały, co znaczy matczyny gniew, więc najwyraźniej metody wychowawcze, zalecane przez generała, nie przyniosły oczekiwanych rezultatów.

–Doskonały szampan – powiedziała, zmieniając temat. Sięgnęła po dłoń towarzysza i lekko wbiła paznokcie w miękkie wnętrze. – Jesteś taki mądry. – Okrasila słowa uśmiechem. – Zamówisz mi coś do jedzenia? Nabrałam apetytu.

ROZDZIAŁ 5

Leonie i Anatol zostali wprowadzeni do prywatnej sali na pierwszym piętrze Le Bar Romain, gdzie okna wychodziły na ulicę.

Dziewczyna zwróciła bratu surdut, po czym w niedużej łazience, przyległej do salki, odświeżyła się i poprawiła fryzurę. Przypięła brzeg sukni, dzięki czemu wyglądał dość przyzwoicie, choć bez szycia się nie obejdzie, rzecz jasna.

Przyjrzała się odbiciu w lustrze, nachylając zwierciadło ku sobie. Skórę miała błyszczącą, po galopadzie przez Paryż puder zniknął bez śladu, szmaragdowe oczy płonęły w blasku świec. Teraz, gdy niebezpieczeństwo minęło, widziała minione zdarzenia całkiem wyraźnie, a przy tym w jasnych barwach. Zapomniała o nienawiści na twarzach mężczyzn, o panice, o strachu.

Anatol zamówił dwa kieliszki madery, potem czerwone wino do kolacji złożonej z kotletów jagnięcych i tłuczonych ziemniaków ze śmietaną.

–Na deser weźmiemy duszoną gruszkę, jeśli jeszcze będziesz głodna rzekł, zwalniając kelnera.

W czasie jedzenia Leonie opowiedziała bratu, co się działo do momentu, gdy ją wybawił z opresji.

–Interesujący ludzie ci abonnes – zauważył Anatol. Twierdzą, że na francuskiej ziemi powinna rozbrzmiewać wyłącznie francuska muzyka. W tysiąc osiemset sześćdziesiątym doprowadzili do zdjęcia ze sceny „Tannhausera”. – Wzruszył lekko ramionami. – A przecież jest tajemnicą poliszynela, że muzyka ich nie obchodzi ani trochę.

–Wobec tego dlaczego wzniesają niepokoje?

–To czysty szowinizm. – Odsunął krzesło od stołu, wyciągnął

szczupłe nogi i z kieszeni kamizelki wyjął papierosa. Nie wydaje mi się, żeby Paryż znów zaprosił Wagnera. Przynajmniej teraz.

Leonie pograżyła się w myślach. Dlaczego Achille podarował ci bilety? Przecież sam uwielbia Wagnera. Uwielbiał sprostować Anatol, stukając papierosem o srebrną pokrywkę. – To już czas przeszły. Zapalił zapałkę. Ostatnio Achille stwierdził, że Wagner jest jedną wielką pomyłką. Pięknym zachodem słońca, pomyłkowo wziętym za prześliczny brzask. – Z drwiącym półuśmiechem stuknął dłonią w czoło. – O, przepraszam: Claude-Achille. Jak mogłem zapomnieć...!

I tak rozmowa zeszła na wspólnego znajomego. Debussy. zdolny pianista i kompozytor, mieszkał wraz z rodzicami i rodzeństwem w tym samym budynku co rodzina Vernier, przy rue de Berlin. Był en fant terrible paryskiego konserwatorium, a równocześnie jego największą nadzieją. Tymczasem w kręgu przyjaciół skomplikowane życie uczuciowe młodego człowieka zapewniało mu znacznie większą sławę niż rosnąca reputacja zawodowa. Aktualną faworytą była dwudziestoczteroletnia Gabrielle Dupont.

–Tym razem sprawa wygląda poważnie – oznajmił Anatol. – Gaby ro

zumie, że najważniejsza jest dla niego muzyka, więc może wytrwa jakiś

czas u jego boku. I toleruje jego wtorkowe wizyty w salonie u mistrza Mal—

larmego. A jemu to potrzebne, zwłaszcza przy ciągłych skargach akade

mii, gdzie nikt nie rozumie jego geniuszu. Są za starzy i za głupi.

Leonie uniosła brwi.

–Mnie się wydaje, że Achille sam jest sobie winien. Nie dba o przyjaźnie i szybko się rozstaje z tymi, którzy potrafiliby mu

pomóc. A jeszcze na dodatek ma cięty język, często niepotrzebnie rani ludzi. Musisz przyznać, że bywa grubiański, niegrzeczny, czasem trudno z nim wytrzymać.

Anatol palił w milczeniu.

Już nie wspominając o przyjaźni – ciągnęła dziewczyna, wsypując do kawy trzecią łyżeczkę cukru. – Muszę przyznać, że w pewnym stopniu zgadzam się z krytykami... Jego utwory wydają mi się jakieś... niejasne, niespójne... i niespokojne. Zawile. Zbyt często czuję, że czekam, aż pojawi się melodia. Trochę... jakbym słuchała pod wodą.

Proszę, proszę – rzekł z uśmiechem Anatol. – Achille twierdzi, że klucz do zrozumienia trzeba wyławiać z głębi. Ma zamiar dzięki muzyce rzucić światło na połączenia między światem materialnym a duchowym, widzialnym i niewidzialnym, a takich spraw nie sposób przedstawić za pomocą tradycyjnych sposobów.

Takie rzeczy ludzie mówią, kiedy chcą się wydać mądrzy, a nie mają nic do powiedzenia!

Anatol nie dał sobie przerwać.

–Jego zdaniem, sugestia i niuans są znacznie potężniejsze niż bezpo

średnie stwierdzenie i klarowny opis. Niewyraźne wspomnienia mają

większą moc niż świadome przemyślenia.

Leonie uśmiechnęła się szeroko. Uwielbiała lojalność brata w stosunku do przyjaciela, lecz jednocześnie miała świadomość, że teraz akurat jedynie powtarza on słowa, które padły z ust Achillesa. Bo choć przyjaciela cenił i podziwiał, chociaż gotów był bronić jego twórczości i talentu własną piersią, w zasadzie gustował raczej w dziełach Offenbacha i grze orkiestry z Folies Bergere niż w utworach Debussy'ego, Dukasa czy innych przyjaciół z konserwatorium.

–A skoro już tak szczerze rozmawiamy – podjął – muszę ci się przy

znać, że w zeszłym tygodniu wróciłem na rue de la Chaussee d'Antin i ku

piłem jego „Poemes de Baudelaire”.

W oczach dziewczyny zapłonął gniew.

–Obiecałeś mamie...!

–Wiem, wiem... Nic nie poradzę. Cena była bardzo rozsądna, na pewno zrobiłem dobrą inwestycję, bo Bailly wydrukował tylko sto pięćdziesiąt egzemplarzy.

–Musimy ostrożnie wydawać pieniądze. Mama ufa, że jesteś oszczędny. Nie możemy sobie pozwolić na kolejne długi. – Przerwała na chwilę. – A właściwie ile jesteśmy winni?

Dłuższą chwilę patrzyli na siebie w milczeniu.

Leonie – odezwał się wreszcie Anatol – domowe finanse nie powinny cię interesować.

–Ale...

–Żadnego „ale” – uciął stanowczo.

–Traktujesz mnie jak dziecko! – obruszyła się dziewczyna.

–Jak wyjdiesz za mąż, będziesz swojego nieszczęśnika do woli gnębiła pytaniami o stan rodzinnego budżetu, ale na razie, póki nie ma takiego straceńca... Zresztą daję ci słowo, że od tej chwili nie wydam ani sou bez twojego pozwolenia.

–Wolne żarty!

–Mówię zupełnie poważnie! Więcej: nawet jednego centime – żartował Anatol.

Zmierzyła go srogim spojrzeniem, ale szybko się poddała.

–Trzymam cię za słowo – ostrzegła z udawaną powagą. Brat położył rękę na sercu.

–Niech mnie piorun trzaśnie, jeśli kłamię.

Patrzyli na siebie uśmiechnięci. Anatol przykrył ręką drobną białą dłoń siostry.

–A wracając do poważnych spraw, petite – rzekł – bardzo mi przykro, że przez moje spóźnienie znalazłaś się sama w tym zamieszaniu. Wybacz mi, proszę.

–Już wybaczyłam.

–Nie zasługuję na taką łaskawość. I wiedz, że jestem dla ciebie pełen podziwu. Zachowałaś się wyjątkowo przytomnie. Większość dziewcząt na twoim miejscu straciłaby głowę. Jestem z ciebie dumny. – Rozsiadł się wygodniej w krzesło, zapalił drugiego papierosa. – Może się okazać, że wydarzenia dzisiejszego wieczoru jeszcze do ciebie wrócą. Wstrząs często pojawia się po jakimś czasie od zdarzenia.

–Dam sobie radę – zapewniła. Czuła się doskonale. Jakby urosła, nabrała sił, jakoś bardziej stała się sobą. Nic jej nie trapiło.

Zegar na kominku wybił godzinę.

–Ale, ale, jeszcze nie widziałam, żebyś się spóźnił na przedstawienie.

Anatol pociągnął łyk koniaku.

–Zawsze kiedyś jest ten pierwszy raz.

Leonie zmrużyła oczy. zerknęła na brata bokiem.

–Dlaczego się spóźniłeś?

Wolno odstawił pękaty kieliszek, pociągnął za końce nawoskowanych wąsów.

Niezbity dowód, że nie usłyszę prawdy, pomyślała dziewczyna.

–Powiedz, proszę. Czekam.

–Byłem umówiony z klientem spoza miasta. Miał się zjawić o szóstej, ale przyszedł spóźniony i zajął mi więcej czasu, niż przewidywałem.

–A strój do opery miałeś ze sobą? Czy też wróciłeś do domu, zanim się wyprawileś do Palais Garnier?

–Byłem zapobiegliwy i wziąłem do biura ubranie na zmianę. Poderwał się, dwoma krokami przemierzył salkę, pociągnął za taśmę dzwonka. W mgnieniu oka pojawił się kelner, zaczął sprzątać ze stołu. Rozmowa skończona. Nie sposób naciskać przy świadku.

–Powinnaś już wracać do domu – oznajmił Anatol, biorąc siostrę pod

łokieć i pomagając jej wstać. – Odprowadzę cię do powozu. Zaraz wrócę uregulować rachunek – rzucił do kogoś z obsługi.

Chwilę później Leonie siedziała w pojeździe, Anatol zatrzaskał za nią drzwiczki.

–Nie wybierasz się do domu? – spytała.

–Zajrzę do Chez Frascati. Zagram parę rozdań. Dziewczyna się zaniepokoiła.

–Co mam powiedzieć mamie?

–Nie spotkasz jej o tej porze.

–A jeśli się jeszcze nie położyła? Leonie odwlekała chwilę odjazdu.

–Wtedy powiesz jej, żeby na mnie nie czekała rzekł, dotykając ustami dłoni siostry.

Wsunął dorożkarzowi w rękę banknot.

–Rue de Berlin – poleciał i cofnął się na chodnik. Śpij dobrze, petite.

Zobaczymy się przy śniadaniu.

Strzelił bat. Zakołysały się lampy po bokach budy i pojazd, pośród brzęku końskich dzwonków oraz stukania żelaznych podków na kocich łbach, ruszył do miejsca przeznaczenia. Leonie opuściła szybę, wyjrzała przez okno. Anatol stał w plamie żółtego światła z syczącej latarni gazowej. Z końca papierosa unosiła się siwa smużka dymu.

Dlaczego mi nie zdradził przyczyny spóźnienia?

Patrzyła ciągle, jadąc rue Caumartin w stronę skrzyżowania z ulicą Saint-Lazare, mijając Hotel Saint-Petersbourg i Alma Mater Anatola, Lycee Fontanes.

Zanim powóz skręcił, dostrzegła jeszcze, jak brat rzucił niedopałek do rynsztoka, obrócił się na pięcie i wszedł z powrotem do Le Bar Romain.

ROZDZIAŁ 6

W domu przy rue de Berlin panował spokój.

Leonie otworzyła zatrzask własnym kluczem. W korytarzu zostawiono dla niej zapaloną lampę. Położyła klucz w chińskiej misie, stojącej obok srebrnej tacy na pocztę i wizytówki. Strąciła z krzesła matczyną etolę i opadła na siedzenie. Wysunęła stopy ze zrujnowanych pantofli, ściągnęła brudne jedwabne pończochy i rozmasowała obolałe stopy, cały czas myśląc o bracie. Dlaczego nie chciał zdradzić przyczyny spóźnienia? Jeśli nie miał na sumieniu żadnej wstydlivej sprawy, z jakiego powodu kłamał?

Spojrzała na drzwi sypialni matki. Zamknięte. W sercu zakłuło ją rozczarowanie. Choć towarzystwo nuiman często budziło w niej irytację, chociaż niewiele miały wspólnych tematów, akurat dzisiejszej nocy chętnie by się podzieliła wrażeniami.

Wziąwszy lampę, poszła do salonu. Był to duży pokój, zajmujący cały front kamienicy. Wszystkie trzy okna wychodziły na rue de Berlin, wszystkie były zamknięte, ale zasłon z żółtego kretonu nikt nie zaciągnął.

Postawiła lampę na stole i wyjrzała na opustoszałą ulicę. Równocześnie uświadomiła sobie, że jest jej zimno. A co robi Anatol, gdzieś tam, w mieście, zupełnie sam? Oby był bezpieczny.

Ciemną chmurą nadciągnęły wspomnienia zdarzeń minionego dnia. Zmęczenie wzięło górę nad energią, która niosła dziewczynę przez bogaty w wypadki wieczór, odsłoniło niepokój i obawy. Przypominał o sobie każdy obolały mięsień, wszystkie zmysły skupiły się na scenach, których była świadkiem.

Krew, połamane kości, nienawiść.

Zamknęła oczy, ale to nie pomogło jej się odciąć od obrazów

niedawnej przeszłości. Wrócił smród ekskrementów i zgniłego jedzenia, eksplodujący z pocisków domowej roboty. Znieruchomiłe oczy mężczyzny ugodzonego nożem w pierś. Paraliżujący moment między życiem a śmiercią.

Otuliła ramiona zielonym wełnianym szalem, pozostawionym na oparciu *clulise longue*, jakby szeslong był najwłaściwszym dla niego miejscem. Zmniejszyła płomień lampy i skuliła się w ulubionym fotelu, podciągając nogi pod siebie.

Z mieszkania piętro niżej zaczęła się sączyć muzyka. Leonie uśmiechnęła się. Achille znowu grał na fortepianie. Chociaż, według zegara na kominku, już minęła północ.

Dobrze było dziewczynie ze świadomością, że nie ona jedna przy *rue de Berlin* czuwa tej nocy. Dyskretna obecność przyjaciela niosła ze sobą ukojenie. Leonie umościła się wygodniej. Z przyjemnością słuchała znajomego utworu. „*La damoiselle elue*”. Według Anatola, Debussy napisał go, myśląc właśnie o niej, ale prawda wyglądała inaczej. Achille sam jej powiedział, że oparł się na wierszu Rossettiego, stworzonym pod wpływem poematu Edgara Allana Poego „*Kruk*”. Tak czy inaczej, utwór jej się podobał, a subtelne akordy doskonale pasowały do nastroju środka nocy.

Raptem wychynęły z pamięci inne, dawniejsze wspomnienia. Dzień pogrzebu. Wtedy też Achille grał do późna w noc. Dźwięki z białych i czarnych klawiszy przebijały podłogę, aż Leonie myślała, że zwariuje od słuchania. Pojedynczy liść palmy w szklanej misie. Lepki aromat rytuału i śmierci, wypełzający z każdego kąta mieszkania, kadzidła i wonne świece, które miały ukryć mdląco słodki zapach ciała w zamkniętej trumnie.

Nie mieszaj przeszłości z teraźniejszością.

Potem długie tygodnie, gdy Anatol wychodził z domu, zanim jeszcze świt przywrócił światu kształty, a wracał długo po odejściu służby. Kiedyś zniknął bez słowa wyjaśnienia aż na siedem dni. A gdy Leonie wreszcie znalazła w sobie dość odwagi,

by spytać, gdzie się podziewał, zbył ją uspokajającymi słowami. Podejrzewała, że spędzał noce przy ruletce, przy stolikach rouge et noir, a z plotek służby dowiadywała się o anonimowych doniesieniach na łamach brukowców – według nich, jej brat prowadził życie rozwiązłe i hulaszczcze.

Wyglądał coraz gorzej. Policzki mu się zapadły, skóra nabrała niezdrowego odcienia. Piwne oczy straciły blask, białka miał zawsze przekrwione, a wargi suche i popękane. Dziewczyna gotowa była na wszystko, byle nie dopuścić, żeby coś takiego się powtórzyło.

Dopiero gdy drzewa na Boulevard Malesherbes ponownie wypuściły liście, a ścieżki w Parc Monceau obrosły różowymi i białymi liliami, ustały ataki na dobre imię Anatola. Zaczął wreszcie stawać na nogi, najwyraźniej wziął się w garść, wracał do zdrowia. A Leonie odzyskała swojego ukochanego starszego brata. Skończyło się wychodzenie przed brzaskiem i wracanie po nocy, półprawdy i półkłamstwa.

Aż do dziś wieczór.

Niespodziewanie uświadomiła sobie, że ma mokre policzki. Otarła łyzy zimnymi palcami i mocniej otuliła się szalem.

Już wrzesień, nie marzec.

Niepokój w sercu jednak pozostał. Brat ją okłamał. Dlatego czuwała przy oknie, kołysana grą Achille'a, nadśluchując zgrzytnięcia klucza w zamku.

ROZDZIAŁ 7

Czwartek, 17 września

Wyszedł z pokoiku na palcach, nie budząc kobiety. Po cichu, by nie przeszkadzać innym mieszkańcom pensjonatu, zszedł wąskimi, drewnianymi schodami nie pierwszej czystości w samych skarpetkach. Płomyki gazowych lamp, po jednej na każdym podeście, sprowadziły go aż na parter.

Chociaż jeszcze nie wstał świt, Paryż się budził. Z najbliższej przecznicy dobiegały poranne odgłosy miasta, turkot drewnianych wózków mleczarzy i piekarzy, wiozących towar do kawiarenek oraz barów na Faubourg Montmartre.

Anatol włożył buty i ruszył pustą ulicą Feydeau. Tutaj jedynym dźwiękiem był stukot jego obcasów na chodniku. Pogrążony w myślach, żwawym krokiem szybko dotarł do skrzyżowania z Saint-Marc, zamierzając przeciąć Passage des Panoramas. Wszędzie cicho i pusto.

W głowie tłukły mu się niespokojne myśli. Czy zdoła przeprowadzić plan? Czy uda mu się wyjechać z Paryża niezauważenie i bez wzbudzania podejrzeń? Mimo zażartych dyskusji z ostatnich godzin w dalszym ciągu miał wątpliwości. Wiedział, że od jego zachowania w najbliższych dniach i godzinach zależy sukces albo porażka wszystkich zaangażowanych w sprawę. A już Leonie zrobiła się podejrzliwa... Niedobrze, tym bardziej że od jej wsparcia i pomocy bardzo wiele zależało. Przeklinał wypadki, które opóźniły jego przyjazd do opery, a na dodatek jeszcze pech chciał, że abonnes akurat ten wieczór wybrali sobie na krwawy protest...

Głęboko odetchnął rześkim wrześniowym świtem ze śladami pary, dymu i sadzy. Poczucie winy, że zawiódł siostrę, zapomniane na czas, gdy brał w ramiona kochankę, wróciło

silniejsze niż wcześniej.

Trzeba to Leonie wynagrodzić. Jak najszybciej.

Przyśpieszył kroku, ciągle pogrążony w myślach i otulony wspomnieniem upojnej nocy, zapachem gładkiej skóry, jedwabistością włosów. Zmęczony wiecznymi intrygami i tajemnicami. Jak tylko wyjadą z Paryża, wszystko się ułoży. Nie będzie musiał się zastaniać wizytami w jaskiniach hazardu, palarniach opium albo domach o wątpliwej reputacji.

Wcale mu się nie podobało to, co wypisywały o nim brukowce, ale nie mógł nic poradzić, choć bolało go, że z jego powodu cierpią matka i siostra. Zapewne maczał w tym palce Constant... Pozostawała jedynie nadzieja na odbudowanie szacunku dla rodziny, gdy wreszcie wszystko się skończy.

Skręciwszy za róg, zgiął się pod uderzeniem złośliwego jesiennego wiatru. Podciągnął klapy surduta pod brodę. Przydałby się szalik. Przeciął rue Saint-Marc, ciągle zatopiony w myślach, planując najbliższe tygodnie, zapominając o chwili obecnej.

Z początku nawet nie usłyszał kroków za plecami. Dwóch ludzi. Szli szybko, wyraźnie się zbliżali. Wreszcie dotarło do niego, co się dzieje, uświadomił sobie, że powinien się mieć na baczności. W wieczorowym stroju, samotny, na pustej ulicy nad ranem, stanowił łakomy kąsek. A można się było jeszcze spodziewać, że w kieszeniach ma jakąś wygraną.

Przyśpieszył. Ci za nim – także.

Już nie miał wątpliwości. Z pewnością go sobie upatrzyli. Ruszył prosto do Passage des Panoramas, mając nadzieję, że uda mu się dotrzeć do Boulevard Montmartre, gdzie już otwierano kawiarnie, gdzie na pewno zaczął się poranny ruch, pracowali dostawcy. Tam będzie bezpieczny.

Kilka lamp gazowych oświetlało mu zimnym niebieskim światłem drogę wzdłuż sklepików o wąskich witrynach, gdzie

sprzedawano znaczki oraz różne błyskotki, obok antykwariatu oferującego między innymi starą komódkę z obłazącymi złoceniami, kilku innych sklepów z antykami oraz tak zwanymi dziełami sztuki, objets d'art.

Szli za nim.

Poczuł ukłucie strachu. Wsunął rękę do kieszeni, ale nie znalazł nic, co by mu posłużyło do obrony. Przyśpieszył kroku, z trudnością hamując ochotę, by się rzucić biegiem. Nie wolno okazać słabości. Cała nadzieja w dotarciu do ludzi, przy świadkach nie zaatakują.

Z późno. Napastnicy puścili się biegiem. Chwilę później po oknie rytownika Sterna przemknął cień. Anatol obrócił się i tylko dzięki temu uniknął ciosu pięścią w głowę. Dostał w lewe oko, ale najgorszy impet go minął. Napastnik miał na głowie wełnianą czapkę, dół twarzy zasłonił czarną chustą. Zaklął pod nosem. Drugi zbój pojawił się niespodzianie od tyłu i unieruchomił Anatolowi obie ręce. Wtedy ten z przodu uderzył w brzuch. Anatol wypuścił całe powietrze z płuc. Następny cios rozkwaślił mu nos i zaraz posypały się następne, wszystkie w głowę, z lewej i z prawej na zmianę, jak na ringu boksterskim. Z rozciętego łuku brwiowego popłynęła krew.

Ledwo udało się Anatolowi opuścić głowę, by chociaż odrobinę złagodzić uderzenia. Kątem oka dostrzegł, że rabuś, który go trzymał, także ma twarz ukrytą za czarną chustą, ale głowę odsłoniętą, więc widać było na niej grube czerwone blizny. Anatol z całej siły kopnął go w goleń i korzystając z sekundy, gdy uścisk zelżał, wywinął się z uchwytu. Chwycił draba za kołnierz i z niemałym trudem pchnął na kanciasty filar.

Rzucił się do przodu, ale nie był dość szybki. Pierwszy złodziej wyrznął go w skroń. Anatol zdołał jeszcze wyprowadzić cios w bok. lecz nie zrobił napastnikowi wielkiej krzywdy. Osunął się na kolana.

Dostał potężne uderzenie w kark. Upadł do przodu. Kopniak w

plecy. Podkutym butem. Nie miał siły się bronić. Podciągnął kolana pod brodę, osłonił głowę rękoma. Posypał się następne kopniaki: w żebra, nerki, ramiona. Wtedy po raz pierwszy Anatol uświadomił sobie, że może tego nie przeżyć. Hej!

Na końcu przejścia rozbłysło światło.

–Co się tam dzieje?!

Czas stanął w miejscu. Ucho Anatola połaskotał gorący oddech jednego z bandziorów.

–Une lecon.

Wprawne dłonie przeszukały kieszenie. Ostre szarpnięcie – i zniknął przypięty do kamizelki zegarek po ojcu. Wtedy Anatol wreszcie zdołał krzyknąć.

–Ratunku! Pomocy!

Na pożegnanie dostał jeszcze jednego kopniaka w żebra, potem dwóch bandytów ruszyło biegiem, oddalając się od nocnego strażnika.

–Tutaj! – zawołał Anatol.

Słyszał kroki stróża prawa, potem brzęknięcie metalu o bruk. gdy ten nad nim stanął, opierając latarnię.

–Monsier, qu'est-ce qui s'est passe ici?

Co się stało? Dobre pytanie. Podpierany przez niemłodego strażnika, zdołał usiąść. Napaść. Udało mu się spokojniej wciągnąć powietrze. Otarł czoło z lepkiej krwi.

–Oberwało się panu.

–Nic mi nie będzie. Zaledwie draśnięcie.

–Okradli pana?

Nie odpowiedział od razu. Odetchnął głęboko, wyciągnął rękę do swojego wybawcy, z jego pomocą wolno wstał. Plecy przeszył mu ostry ból. Po dłuższej chwili złapał równowagę, zdołał się

wyprostować. Przyjrzał się własnym dłoniom. Kłykcie pościerane, wewnątrz czerwone od krwi z rozciętego czoła. Na pewno też miał ranę na nodze, bolało go każde muśnięcie nogawką.

Potrzebował jeszcze minuty, żeby się wziąć w garść, wreszcie wygładził ubranie.

Okradli pana? – powtórzył strażnik.

Poklepał się po kieszeniach i ze zdziwieniem stwierdził, że pieniądze oraz papierośnica nie zmieniły właściciela.

–Zabrali tylko zegarek.

Sam siebie słyszał jak przez mgłę. bo raptownie dotarła do niego prawda, której nie sposób było zaprzeczyć. Nie padł ofiarą zwykłych rabusiów. Rzeczywiście dostał nauczkę. Tak jak powiedział jeden z napastników.

Teraz nie będzie o tym myślał. Wcisnął banknot w poźólkę od tytoniu palce mężczyzny.

W podziękowaniu za pomoc, przyjacielu. Twarz starego rozjaśniła się w uśmiechu.

Bardzo pan hojny, monsieur.

–Nie ma o czym mówić. W rzeczy samej... nie ma powodu w ogóle komukolwiek wspominać o tym incydencie. – Zamilkł na moment. – Przydałaby się dorożka.

Strażnik dotknął róna kapelusza.

–Jak pan sobie życzy.

ROZDZIAŁ 8

Leonie zbudziła się nagle, całkowicie zdezorientowana.

Dłuższą chwilę nie mogła sobie przypomnieć, dlaczego tkwi zwinięta w kłębek na fotelu w salonie, opatulona zielonym szalem, ale gdy tylko jej wzrok padł na zniszczony rąbek wieczorowej sukni, wszystko sobie przypomniała. Zamieszki w Palais Garnier. Późna kolacja z Anatolem. Achille grający kołysanki w środku nocy. Spojrzała na zegar z Sevre, stojący na kominku.

Kwadrans po piątej.

Czuła przenikliwy ziąb i nieprzyjemne gniecenie w żołądku. Wstała i poszła do sypialni. Idąc korytarzem, odnotowała automatycznie, że drzwi pokoju Anatola były już zamknięte. To dobrze.

Jej chambre znajdował się na końcu mieszkania. Chociaż najmniejszy, był i tak przestronny, a przy tym miły i wygodnie urządzone, głównie w różach oraz błękitach. Stało w nim łóżko, szafa, komódka oraz toaletka, a na niej duży dzban z niebieskiej porcelany i miska. Obok przycupnął niewielki stołek na lwich łapach, z haftowaną tapiccrką.

Dziewczyna zsunęła z siebie wieczorowy strój i dłuższą chwilę rozwiązywała halki, przyglądając się zrujnowanemu rąbkowi sukni. Był szary od brudu, porwany, w kilku miejscach brakowało ozdób. Pokojówka będzie miała co robić. Spędzi trochę czasu przy naprawie. Ziewając szeroko, rozplatała sznurówki gorsetu, postrzącała je z haftek, ściągnęła bieliznę przez głowę i rzuciła na krzesło. Spryskała twarz lodowatą wodą, która została z poprzedniego wieczoru, narzuciła na siebie nocną koszulę i wsunęła się pod kołdrę.

Kilka godzin później obudziła ją krzątająca służba.

Po chwili zdała sobie sprawę, że jest głodna. Zerwała się z łóżka, odciągnęła zasłony i pchnęła okiennice. Światło dnia ożywiło świat. Nie do wiary, lecz mimo wydarzeń poprzedniego wieczoru Paryż wyglądał tak samo jak wcześniej. Szczotkując włosy, przyglądała się swojemu odbiciu; szukała na twarzy znaków pozostawionych przez minioną noc. Ku swemu wielkiemu rozczarowaniu żadnych nie znalazła.

Na koszulę nocną włożyła brokatowy peniuar, pasek związała na podwójny węzeł i ruszyła do salonu.

Prowadził ją wspaniały aromat świeżo parzonej kawy. Otworzyła drzwi i stanęła w progu, nie wierząc własnym oczom. Przy stole zastała i mamę, i brata. Zwykle jadła śniadania w samotności.

Mimo wczesnej pory pani Vernier mogła się poszczycić nieskazitelnym wyglądem. Włosy miała zwinięte, jak zwykle, w artystyczny kok, policzki oraz szyję musnęła odrobiną pudru. Siedziała plecami do okna, lecz w bezlitosnym świetle poranka można się było dopatrzeć początków zmarszczek wokół oczu i ust. Leonie zauważyła, że mama włożyła nowy negliż, z różowego jedwabiu, przewiązany żółtą szarfą. Nie zdołała powstrzymać ciężkiego westchnienia. Kolejny podarunek od nadętego pana du Pont.

Im bardziej będzie szczodry, tym dłużej będziemy go musieli znosić.

Jednocześnie poczuła się winna. Dlatego pocałowała matkę w policzek z większym entuzjazmem niż zazwyczaj.

–Bon matin, maman – powiedziała i odwróciła się do brata.

Na ułamek sekundy zamarła bez ruchu. Oko miał spuchnięte

do tego stopnia, że nie mógł go otworzyć, jedną rękę w bandażach, na szczęście ogromny, zielono-fioletowy siniak.

–Anatol! – krzyknęła. Nie zdążyła powiedzieć nic więcej, bo wpadł jej w słowo.

–Już mamie opowiadałem, co się wczoraj działo w operze – rzekł, przyszpilając siostrę wymownym spojrzeniem. – I jak nieszczęśliwie nawinałem się komuś pod rękę.

Leonie zamrugła ze zdziwienia.

–Popatrzcie odezwała się Marguerite, stuknąwszy nieskazitelnym paznokciem w „Le Figaro”. – Napisali o tych wypadkach w gazecie. Aż strach pomyśleć! Dobrze, że uszliście z życiem! Były ofiary w ludziach!

–Nie przejmuj się, mamó – uspokoił ją Anatol. – Wróciliśmy do domu w całości, a po siniakach wkrótce nie zostanie ani śladu. Doktor powiedział, że nic mi nie będzie.

Leonie otworzyła usta – i zaraz je zamknęła, zgaszona spojrzeniem brata.

Ponad sto osób aresztowano – podjęła Marguerite. – Rzucano petardy! Wojsko strzelało... Coś takiego! W Palais Garnier. Paryż staje się nie do wytrzymania. Nietolerancja i bezprawie! Nie do zniesienia!

Nie przesadzajmy zirytowała się Leonie. Mamó, ciebie tam nie było, nic ci się nie stało. Ja byłam i nic mi nie jest. Anatol... – przerwała i zmierzyła brata długim spojrzeniem...sam ci powiedział, że czuje się doskonale. Nie ma się czym przejmować.

Marguerite przywołała na twarz blady uśmiech.

–Pojęcia nie masz, dziecko, co przeżywa matka w takich chwilach.

–I całe szczęście – mruknęła dziewczyna pod nosem, sięgając po chleb. Posmarowała go obficie masłem i konfiturą morelową.

Czas jakiś jedli w milczeniu. Leonie bombardowała Anatola pytającymi spojrzeniami, a ten udawał, że niczego nie dostrzega.

W pewnej chwili zjawiała się pokojówka z pocztą na tacy. Postawiła ją na stole, obok pani domu.

–Jest coś dla mnie? – spytał Anatol.

–Nie, cheri. Nic, drogie dziecko.

Ze zdziwieniem wzięła w rękę grubą kremową kopertę. Uważnie obejrzała znaczek. Jej pierś zafalowała w szybszym oddechu.

–Wybaczcie mi – szepnęła, wstając od stołu, i wyszła, zanim dzieci zdążyły zareagować.

W chwili gdy za matką zamknęły się drzwi, Leonie gwałtownie obróciła się do brata.

–Chcę wiedzieć, co ci się przydarzyło! – wysyczała. – Mów. Teraz, już.

natychmiast, zanim mama wróci.

Anatol spokojnie odstawił filiżankę z kawą.

–Z przykrością przyznaję, że wyniknęła pewna różnica zdań pomiędzy mną a krupierem w Chez Frascati. Próbowałem mnie kantować, a ja się zorientowałem i popełniłem błąd, przedstawiając sprawę właścicielowi lokalu.

–No i...?

–No i – westchnął z ubolewaniem – krótko mówiąc, zostałem wyproszony z jaskini hazardu. Uszedłem nie dalej jak pięćset metrów, gdy napotkałem dwóch łotrów...

–Nasłanych przez klub?

–Tak przypuszczam.

Jakiś czas mierzyła go podejrzliwym spojrzeniem. Chyba nie powiedział wszystkiego.

–Mamy tam jakieś długi?

–Owszem, ale niewielkie. – Wzruszył ramionami i skrzywił się z bólu. – Tak czy inaczej, doszedłem do wniosku, że dobrze byłoby się wynieść z miasta na jakiś czas. Póki sprawy nie przycichną.

Leonie wydłużyła się mina.

–Nie zostawiaj mnie. Zresztą dokąd byś miał pojechać?

Anatol wsparł łokcie na stole i pochylił się do siostry.

–Mam pewien pomysł, petite – rzekł ściszym głosem ale będzie mi potrzebna twoja pomoc.

Jeszcze i pomoc! Przecież już myśl, że Anatol miałby wyjechać i zostawić ją samą w mieszkaniu z koszmarnym du Pontem, była nie do zniesienia. Nałała sobie drugą filiżankę kawy, wsypała trzy łyżeczki cukru. Anatol trącił ją w ramię.

–Pomożesz mi?

–Pomogę, oczywiście, pomogę, tylko...

Akurat w tej chwili wróciła Marguerite. W rękach nadal trzymała kremową kopertę, od której wyraźnie odcinały się pomalowane na różowo paznokcie.

Anatol usiadł prosto, dyskretnie dotknął warg palcem wskazującym.

Leonie spiekła raka.

–Cherie – odezwała się Marguerite, siadając przy stole – nie należy się tak czerwienić. To wręcz nieprzyzwoite. Wyglądasz jak jakaś ekspedientka.

–Przepraszam. Zmartwiłam się, czy... nie dostałaś jakichś złych wieści. Marguerite nie odpowiedziała, zamysłona wpatrywała się w kopertę.

–Od kogo ten list? – spytała w końcu dziewczyna. Matka wyglądała, jakby zapomniała o całym świecie.

–Mamo? – przyłączył się Anatol. – Podać ci coś? Źle się czujesz?

Wreszcie Marguerite podniosła na dzieci spojrzenie wielkich orzecho

wych oczu.

–Dziękuję ci, kochanie, nie trzeba. Jestem zaskoczona, to wszystko.

Leonie westchnęła ciężko.

–Od kogo ten list? – powtórzyła, wymawiając każde słowo z osobna,

jakby się zwracała do nierozgarniętego dziecka.

Pani domu nareszcie wzięła się w garść.

–Przyszedł z Domaine de la Cade – rzekła wolno. – Od waszej ciotki. Izoldy. Wdowie po moim przyrodnim bracie.

–Niemożliwe! – wyrwało się Leonie. – Przecież Jules umarł w styczniu. I dopiero teraz list?

–Odszedł, drogie dziecko, odszedł. Disparu. Umarł to wyrażenie pospolite. Ale rzeczywiście, fakty są faktami.

Leonie nie przejęła się burą.

–Dlaczego ciotka pisze tyle czasu po pogrzebie?

–Ach nie, nie, pisała wcześniej, tuż po jego odejściu... Zamilkła na chwilę. – Tak mi przykro, że stan zdrowia nie pozwolił mi zimą ruszyć w podróż...

Córka i matka rozumiały się bez słów. Marguerite nie pojechałaby do domu, w którym dorastała, do posiadłości pod Rennes-les-Bains, za żadne skarby świata. Niezależnie od stanu zdrowia czy innych okoliczności. Darzyli się z bratem żywą antypatią.

Leonie знаła historię rodziny jedynie pobieżnie. Od Anatola

dowiedziała się, że ojciec Marguerite, Guy Lascombe. ożenił się młodo i w pośpiechu. Pół roku później, po śmierci żony, która zmarła, wydając na świat Jules'a, oddał syna pod opiekę nianiek, a sam wrócił do Paryża. Płacił guwernantkom, dbał o wykształcenie potomka i utrzymywał rodzinną posiadłość, a gdy Jules osiągnął pełnoletność, wynaczył mu roczną pensję. Poza tym w ogóle go nie zauważał. Pod koniec życia dziadek Lascombe ożenił się po raz drugi, choć nadal był birbantem. Wysłał żonę z małą córeczką do Domaine de la Cade, pod opiekę Jules'a. gdzie odwiedzał je nieszczęśliwie często. Z wyrazu twarzy Marguerite, gdy od wielkiego dzwonu zdarzało jej się wspominać lata dzieciństwa, można się było domyślać, że delikatnie mówiąc, nie była w domu rodzinnym szczęśliwa.

Dziadek umarł... odszedł pewnej nocy na skutek wypadku powozu. O dziwo, była z nim wtedy żona, więc Marguerite została sierotą. Po odczytaniu ostatniej woli wyszło na jaw, że Guy Lascombe cały majątek przekazał Jules'owi. Nie zostawiając córce nawet złamanego sou. Marguerite natychmiast uciekła do Paryża, gdzie w lutym tysiąc osiemset sześćdziesiątego piątego poznała i poślubiła Leo Verniera. nieuleczalnego idealistę. Ponieważ Jules był gorącym zwolennikiem ancien regime, od tej chwili urwały się wszelkie kontakty między rodzeństwem.

–I co napisała? – spytała dziewczyna.

Marguerite opuściła wzrok na list, jakby nadal trudno jej było uwierzyć słowom, które w nim znalazła.

–Zaprosiła cię na wieś. Na miesiąc.

–Co takiego?! – Leonie wyrwała matce list z ręki. – Jak to?!

–Cherie, bardzo cię proszę...

Ale dziewczyna zapomniała o manierach.

–Czy ciotka wyjaśnia, skąd taki pomysł? 1 dlaczego akurat teraz? Anatol zapalił papierosa.

–Może chce nam wynagrodzić oschłość zmarłego męża?

–Możliwe – rzekła Marguerite choć w liście nie ma słowa o intencjach.

–Do takiej intencji mało kto by się przyznał na papierze – zauważył Anatol ze śmiechem.

Leonie buńczucznie założyła ręce na piersiach.

–Nie sposób sobie wyobrazić, żebym przyjęła zaproszenie od ciotki,

której nigdy nie byłam przedstawiona. Zwłaszcza na tak długą wizytę.

Szczerze mówiąc – zrobiła wojowniczą minę trudno mi sobie wyobrazić

coś gorszego niż zagrzebanie się na wsi z jakąś starszą damą. wspominają

cą stare dobre czasy.

–Ach, nic bardziej mylnego, dziecko rzekła Marguerite. – Izolda była dużo młodsza od męża... wydaje mi się. że ma teraz około trzydziestu lat.

Na chwilę zapadła przy stole kompletna cisza.

–Tak czy inaczej, odrzucę zaproszenie oznajmiła w końcu Leonie. Marguerite przeniosła wzrok na syna. Anatolu, co radzisz?

–Nie zamierzam jechać podkreśliła Leonie.

Anatol uśmiechnął się szeroko.

–Daj spokój, petite, o co tu się dąsać? Nie chciałabyś pojechać w góry?

To prawdziwa gratka! Nie dalej jak tydzień temu opowiadałaś mi, że się nudzisz w mieście i bardzo ci potrzebny odpoczynek.

–Tak, ale... Leonie ze zdumienia nie mogła znaleźć słów. Zmiana otoczenia podniesiecie na duchu. A już poza wszystkim

innym w Paryżu rzeczywiście trudno wytrzymać. Jednego dnia pada, jest mglisto i chłodno, a następnego przychodzą temperatury, których by się nie powstydziała algierska pustynia.

–To prawda, jednak...

–Mówiłaś, że tęsknisz za przygodą, a kiedy już trafia się okazja, nie masz odwagi z niej skorzystać.

Nie znam ciotki Izoldy! Może być okropna! I co ja mam robić na wsi? Będę się tam nudziła jak mops! – Rzuciła matce wyzywające spojrzenie. – Zawsze mówisz o Domaine de la Cade z niechęcią.

Mam przykre wspomnienia, ale sprzed wielu lat – odrzekła Marguerite cicho. Dużo mogło się zmienić.

Leonie spróbowała z innej strony.

–Podróż trwa kilka dni. Nie mogę w taką długą drogę wyruszyć sama,

bez przyzwoitki.

Pani domu przyjrzała się córce uważniej.

–Rzeczywiście., nie możesz. Tak się jednak złożyło, że wczoraj wieczó

rem generał du Pont zaproponował, byśmy odwiedzili dolinę Marny... i zostali tam kilka tygodni. Jeżeli przyjmę to zaproszenie... – przeniosła wzrok na syna -...Anatolu, czy mogę liczyć, że odwieziesz Leonie do ciotki?

–Na pewno uda mi się wykroić parę dni – obiecał.

–Mamo! – zaprotestowała dziewczyna.

Ale brat ciągnął:

–Co więcej, akurat mówiłem, że chętnie bym wyjechał z miasta, więc

dla mnie to także okazja nie do zmarnowania. I proszę, w ten

sposób

wszyscy będą zadowoleni. Mało tego – dodał, posyłając siostrze porozu

miewawczy uśmiech – skoro tak cię martwi, że znajdziesz się sama daleko

od domu, petite, chętnie z tobą zostanę u ciotki. Na pewno nie będzie mia

ła nic przeciwko temu.

Wreszcie Leonie pojęła całą przewrotność planu. – Aha...

–Doprawdy – ucieszyła się Marguerite. – Znalazłbyś ze dwa tygodnie wolnego?

–Pour ma petite soeur. – Anatol skłonił się dwornie. – Dla mojej ukochanej siostry gotów jestem na wszystko. Jeśli tylko przyjmie zaproszenie ciotki, pozostaję do usług.

Aha! To zupełnie co innego! To się nazywa wolność. Spaceru na świeżym powietrzu, czytanie, co się zechce, bez obaw o burę czy krytykę, swoboda ubioru... Cudownie!

I w dodatku Anatol. Na wyłączność.

Jeszcze przez chwilę udawała namysł, nie chcąc zdradzić, że mają wspólny cel. Matka nie lubiła Domaine de la Cade, ale to nie oznaczało, że córce także musi tam być źle. Kątem oka zerknęła na posiniaczonego brata. Stanowczo trzeba wyjechać.

–A więc dobrze powiedziała. Jeżeli Anatol mnie odwiezie i ze mną zostanie, póki się tam nie zadomowię, pojedę. Krew szumiała jej w uszach. – Mamo, napisz do ciotki, proszę, że bardzo dziękuję za zaproszenie i z przyjemnością z niego skorzystam.

–Wyślę telegram, potwierdzę terminy, które zaproponowała. Anatol uśmiechnął się szeroko.

–A l'avenir. – Wzniósł toast kawą.

-Za przyszłość – powtórzyła Leonie. – I za Domaine de la Cade.

CZĘŚĆ II

Paryż

Październik 2007

ROZDZIAŁ 9

Paryż

Piątek, 26 października 2007

Pociąg linii Eurostar gnał w stronę Paryża. Meredith Martin przyglądała się swojemu odbiciu w oknie. Czarne włosy, biała twarz; pozbawiona koloru nie wyglądała najlepiej.

Spojrzała na zegarek.

Za kwadrans dziewiąta. Czyli już niedługo. Dzięki Bogu.

Coraz częściej pojawiały się miasteczka z domami poszarzałymi od mroku.

Wagon był prawie pusty. Dwie Francuzki, wyraźnie kobiety biznesu, w nieskazitelnych białych bluzkach i szarych kompletach, spodnie plus żakiet. Dwójka studentów przysypiająca na plecach oraz kwartet prawników w prążkowanych koszulach i spodniach z kantami ostrymi jak brzytwy. Wracali do domu na weekend. Z ich strony dochodziło miękkie stukanie klawiszy komputera, rozmowy przez telefon i szelest gazet – same najświeższe wydania – francuskie,

angielskie, amerykańskie. Rozprawiali o jakimś przypadku defraudacji, popijali piwo, wino, bourbona. Na blacie stały plastikowe butelki i kubeczki.

Przeniosła spojrzenie na błyszczącą ulotkę reklamową. Miała ją ciągle pod ręką, teraz też położyła kartkę na plastikowym blacie, choć czytała krótki tekst tyle razy, że znała go na pamięć.

L'Hotel Domaine de la Cade Rennes-les-Bains

Domaine de la Cade leży w uroczej okolicy, niedaleko malowniczego miasteczka Rennes-les-Bains, w pięknej Langwedocji. Jest wzorem dziewiętnastowiecznej elegancji, wzbogaconym o wszelkie udogodnienia, jakich może się spodziewać gość w dwudziestym pierwszym wieku. Hotel urządzono w budynku głównym, który w roku tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym siódmym został częściowo zniszczony przez ogień. Domaine de la Cade przyjmuje gości od lat pięćdziesiątych dwudziestego wieku. Po zmianie właściciela i gruntownym remoncie hotel otwarto ponownie w roku dwa tysiące czwartym. Od tej pory zalicza się do najlepszych w południowo-zachodniej Francji.

Pełna informacja o cenach oraz warunkach pobytu na drugiej stronie.

Te same informacje powtórzono w języku francuskim.

Domaine de la Cade. Raj na ziemi. I znajdzie się tam dla niej miejsce. Od przyszłego poniedziałku. Taką właśnie przyznała sobie nagrodę po tych wszystkich latach oszczędzania, liczenia się z każdym groszem i mieszkania w tanich motelach – dwa dni w pięciogwiazdkowym luksusie. Wsunęła ulotkę z powrotem w przezroczystą okładkę, gdzie przechowywała potwierdzenie rezerwacji. Całość włożyła do torebki.

Przeciągnęła się, unosząc wysoko długie, szczupłe ręce, pokręciła głową na boki. Dawno już nie był taka zmęczona.

Wymeldowała się z londyńskiego hotelu w południe, zjadła

lunch w kafejce niedaleko Wigmore Hall, a potem wybrała się na popołudniowy koncert, nudny jak flaki z olejem. Na dworcu Waterloo przegryzła w locie jakąś kanapkę, po czym zgrzana i zmordowana wsiadła do pociągu, który, niestety, ruszył w drogę mocno spóźniony. Pierwszą część podróży spędziła z nosem przyklejonym do szyby, w oszołomieniu chłonąc widoki podsuwane przez zieloną angielską wieś, chociaż w zasadzie powinna była robić notatki. W tunelu pod Kanałem piękne widoki zniknęły, zastąpione betonowymi murami, a atmosfera w przedziale wyraźnie stężała. Jedno co dobre, przynajmniej umilkły komórki. Po półgodzinie wynurzyli się z drugiej strony tunelu, na kontynencie, wśród pobrzązowiatego krajobrazu północnej Francji.

Mijali wiejskie domy, podobne do szałasów, jakieś miasteczka i proste drogi, podążające, zdawało się, donikąd. Napotkali ze dwa większe miasta, podobne do sterty żużlu, zgarniętej przez czas. Potem lotnisko Charles'a de Gaullea i wreszcie la banlieue, czyli przedmieścia Paryża. Monotonne, bezbarwne, spółdzielcze wieżowce, strzegące granic francuskiej stolicy.

Meredith oparła się wygodnie i zatoneła w myślach. Zafundowała sobie miesiąc w Europie, podróż badawczą przez Francję i Anglię, bo pisała biografię dziewiętnastowiecznego francuskiego kompozytora, Claude'a Achille'a Debussy'ego, ze szczególnym uwzględnieniem roli kobiet w jego życiu. Po dwóch latach planowania i poszukiwań, które donikąd jej nie zaprowadziły, nastąpił przełom. Przed sześcioma miesiącami niewielkie akademickie wydawnictwo zgłosiło zapotrzebowanie na książkę. Zaliczka nie zwałała z nóg. lecz biorąc pod uwagę fakt, że nazwisko przyszłej autorki nie było jeszcze znane w świecie krytyków muzyki, nie należała też do szczególnie skromnych. W każdym razie wystarczyła na pokrycie kosztów spełnienia marzeń. Na sfinansowanie podróży do Europy. Meredith nie zamierzała pisać kolejnej rozprawki na temat Debussy'ego. Chciała napisać prawdziwą książkę. Biografię.

Drugim uśmiechem losu okazała się posada nauczycielki muzyki w prywatnej szkole pod Raleigh Durham. Od semestru wiosennego. Blisko miejsca, gdzie ostatnio zamieszkali jej adopcyjni rodzice, dzięki czemu miała nadzieję oszczędzić na praniu, rachunkach telefonicznych i jedzeniu. W dodatku znalazła się całkiem blisko swojej Alma Mater, Uniwersytetu Karoliny Północnej.

Po dziesięciu latach płacenia za naukę miała całkiem pokaźne długi i musiała się liczyć z groszem, ale pieniądze za lekcje gry na pianinie plus zaliczka z wydawnictwa, a teraz jeszcze perspektywa regularnych zarobków pozwoliły jej zdobyć się na odwagę i zabukować bilety do Europy.

Tekst powinien trafić do wydawcy najpóźniej ostatniego dnia kwietnia. Na razie wszystko szło zgodnie z planem, a właściwie nawet nieco szybciej. Wykorzystała dziesięć dni w Anglii i miała przed sobą prawie dwa tygodnie we Francji. Większość tego czasu zamierzała spędzić w Paryżu, ale czekała ją także wyprawa na południowy zachód kraju, do Rennes-les-Bains. Dwa dni w Domaine de la Cade.

Oficjalnym powodem tej wycieczki była konieczność zweryfikowania pewnego epizodu z życia pierwszej żony Debussy'ego, Lilly. Ale też, gdyby chodziło tylko o śledzenie losów pierwszej pani Debussy, Meredith nie zadałaby sobie aż tyle trudu. Owszem, wątek był interesujący, lecz powiązania z południem Francji niezbyt pewne, a do tego ich wartość dla książki w ogóle dyskusyjna. Istniał jeszcze jeden powód wizyty w Rennes-les-Bains. Bardzo osobisty.

Z wewnętrznej kieszeni torebki wyjęła brązową kopertę z wydrukowanym na czerwono napisem NIE ZAGINAĆ. Wysunęła z niej dwie stare, zniszczone fotografie w sepii oraz zapis nutowy utworu na fortepian. Przyjrzała się twarzom uwiecznionym na zdjęciach. Teraz już były jej znajome, nauczyła się ich na pamięć, podobnie jak melodii w tonacji a-moll. Nad nutami widniała naniesiona ręcznie, staroświeckim pochyłym pismem data oraz

tytuł. „Grobowiec. 1891”. Utwór także miała wyryty w pamięci, każdą nutkę, do ostatniej ósemki.

Zawartość koperty stanowiła jedyną pamiątkę po rodzonej matce. Dziedzictwo. Talizman.

Oczywiście, Meredith zdawała sobie sprawę, że może nie odkryć nic interesującego. Przeszłość to czas miniony, oddalając się, błędnie. Z drugiej strony jednak, miała nieodparte przeświadczenie, iż gorzej niż teraz być już nie może. W końcu nie wiedziała o swojej prawdziwej rodzinie w zasadzie nic. A chciała wiedzieć jak najwięcej. Cokolwiek. Wobec czego warto było zainwestować w bilet lotniczy.

Pociąg zwolnił. Koła zaturkotały na rozjazdach. W dali rozbłysły światła Gare du Nord. Atmosfera w wagonie raz jeszcze uległa zmianie. Oto nieubłagane zbliżał się powrót do realnego świata, koniec niesamowitej podróży. Pasażerowie poprawiali krawaty, sięgali po płaszcze.

Meredith włożyła zdjęcia oraz dokumenty z powrotem do torebki. Zdjęła z nadgarstka zieloną gumkę i ściągnęła nią włosy w koński ogon. Przeczesała grzywkę palcami.

Miała ostro zarysowane kości policzkowe, piwne oczy i drobną figurę. Wyglądała raczej na licealistkę niż dwudziestoosmioletnią absolwentkę uczelni. W Stanach Zjednoczonych, jeśli chciała być pewna, że zostanie obsłużona w barze, musiała mieć przy sobie dowód tożsamości. Zdjęła z półki kurtkę dżinsową i torbę z długimi uszami. Przy tej okazji zielony top podjechał do góry, odsłaniając płaski opalony brzuch. Czterech prawników po drugiej stronie przejścia utkwilo w niej wzrok. Włożyła kurtkę.

–Miłej podróży, chłopaki. – Uśmiechnęła się szeroko i ruszyła do drzwi.

W chwili gdy wyszła na peron, zderzyła się z falą hałasu. Otoczył ją tłum ludzi nawołujących, machających rękami, śpieszących w różne strony. Z głośników nieprzerwanym strumieniem płynęły informacje. Przed każdą wiadomością o kolejnym odjeździe rozbrzmiewał gong albo coś w rodzaju przygrywki na cymbałach. Można było oszaleć. Zwłaszcza po ciszy w pociągu.

Meredith uśmiechnęła się, wchłaniając obrazy, dźwięki i zapachy Paryża. Już się czuła zupełnie inną osobą.

Na jednym ramieniu zawiesiła torbę podróżną, na drugim torebkę i poszła za znakami prowadzącymi do wyjścia z dworca. Ustawiła się w kolejce do taksówek. Chłopak stojący przed nią wrzeszczał do komórki i wymachiwał gitane'em wetkniętym głęboko między palce. Sinobiałe smużki waniliowego dymu odpływały w noc na tle balustrad i okiennic budynków po drugiej stronie ulicy.

Kierowca wstawił jej torbę podróżną do bagażnika, zatrzasnął drzwiczki pasażera i siadł za kierownicą. Włączył się do paryskiego ruchu tak gwałtownie, że Meredith aż wcisnęło w oparcie. Obronnym ruchem przytuliła do siebie torebkę. Za oknem przemykały kafejki i bulwary, skutery i lampy uliczne. Paryż.

Podziała adres hotelu w dzielnicy czwartej, w Marais, przy rue du Tempie. Miała tam zamieszkać, ponieważ miejsce to stanowiło doskonałą bazę do wypadów turystycznych, gdyby znalazła na nie czas – pod bokiem znajdowało się Centrum Pompidou oraz muzeum Picassa, ale przede wszystkim – konserwatorium, a także różne sale koncertowe, archiwa oraz prywatne adresy, związane z Debussym.

Miała wrażenie, że udało jej się dobrze poznać kompozytora, jego muzy, nauczycielki, kochanki i żony, Marie Vasnier, Gaby Dupont, Therese Roger, pierwszą żonę, Lilly Texier, drugą, Emmę

Bardac, ukochaną córkę, Chouchou. Miała wyryte w pamięci ich twarze, losy, daty, powiązania i muzykę. Szkic powieści był gotów. 1 wyglądał obiecująco. Teraz należało ożywić na papierze historyczne postacie, podbarwić je, okraszyć dziewiętnastowieczną atmosferą.

Od czasu do czasu martwiła się, że czasy Debussy'ego są dla niej bardziej realne niż terażniejszość, ale szybko porzucała te chmurne myśli. Należało się skupić na realizacji celu. Jeżeli miała zdążyć na czas, dotrzymać terminu, musiała wziąć się w garść.

Taksówka zahamowała z piskiem opon.

–Hotel Axial-Beaubourg. Voila.

Meredith zapłaciła i weszła do holu.

Hotel był urządzone bardzo nowocześnie. Prędzej można by się go spodziewać w Nowym Jorku niż w Paryżu.

Mało francuski.

Wszędzie linie proste i szkło. Minimalizm. W holu panowały się prze-rośnięte kwadratowe fotele w trzech wzorach: w czarno-białą pepitkę oraz pasiaste; brązowo-białe i biało-zielone. Stały przy stołach o blatach z przydymionego szkła. Na stojakach z lśniącego chromu ułożono czasopisma związane ze sztuką, „Vogue” i „Paris-Match”. Z sufitu zwieszały się ogromne klosze lamp.

Stanowczo za bardzo się tu ktoś starał.

Na drugim końcu niewielkiego holu znajdował się bar, przy którym tkwił rząd pijących mężczyzn i kobiet. Wystawa świetnie zadbanych ciał i doskonałego krawiectwa. Na ladzie błyszcząły shakery, na półkach za barem szklane butelki przeglądały się w lustrze pod niebieskimi neonowymi lampkami. W dyskretną

muzykę wtapiał się brzęk szkła i grzechot kostek lodu.

Meredith wyjęła z portfela kartę płatniczą, nie tę, którą regulowała należności w Wielkiej Brytanii, bo nie chciała ryzykować przekroczenia limitu, i z plastikowym skarbem w dłoni podeszła do lady recepcji. Urzędniczka w szarym kostiumie okazała się wyjątkowo życzliwa. A przy tym, co niesamowite, bez najmniejszego trudu rozumiała cokolwiek zaniedbany francuski gościa.

To na pewno dobry znak.

Meredith nie skorzystała z propozycji pomocy przy wnoszeniu bagażu, zapisała sobie hasło dostępu do bezprzewodowego Internetu, wsiadła do maleńkiej windy i pojechała na trzecie piętro. Tam, idąc długim mrocznym korytarzem, odszukała właściwy numer na drzwiach.

Pokój był niewielki, ale czysty i dobrze urządzone, w tonacji brązów, bieli oraz ecru. Obsługa zapaliła lampę przy łóżku. Dziewczyna przesunęła dłonią po prześcieradle. Doskonała pościel, bardzo wygodna. Mnóstwo miejsca w szafie, dużo więcej, niż potrzebowała. Torbę podróżną rzuciła na łóżko, z podręcznej wyjęła laptop, ustawiła go na biurku ze szklanym blatem i podłączyła do prądu.

Podeszła do okna. rozsunęła siatkowe firanki i pchnęła okiennice. Do wnętrza wdarł się uliczny hałas. W dole przewalał się tłum korzystający z zaskakująco ciepłego październikowego wieczoru. Wychyliła się przez okno, rozejrzała na wszystkie strony. Na najbliższym rogu znajdowało się spore centrum handlowe, o tej porze już zamknięte. Natomiast kafejki, bary i cukiernie oraz sklep z artykułami spożywczymi były otwarte, z każdego wnętrza wylewała się na ulicę muzyka wzbogacona kolorowymi światłami. Nocne życie.

Oparła łokcie na czarnej balustradzie z kutego żelaza i jakiś czas przyglądała się paryskiej ulicy, trochę zawiedziona, że nie ma już siły zejść na dół, wmieszać się w tłum. W pewnej chwili

uświadomiła sobie, że zrobiło jej się chłodno. Roztarła ramiona.

Przymknęła okno, ułożyła swój skromny dobytek w bezdennej szafie i poszła do łazienki ukrytej w kącie pokoju, za dziwacznymi harmonijkowymi drzwiami. Tutaj również panował styl agresywnie minimalistyczny -i biała ceramika. Meredith wzięła prysznic, a potem – opatulona szlafrokiem i w grubych wełnianych skarpetach – nalała sobie kieliszek czerwonego wina z minibaru. Tak przygotowana usiadła do sprawdzenia poczty.

Połączyła się dość szybko, niestety, niewiele jej to dało. Odebrała kilka maili od przyjaciół, ciekawych, jak jej się wiedzie, jeden od Mary, kobiety, która ją adoptowała. Pytała, czy wszystko w porządku. Prócz tego jakaś reklamówka koncertu. Westchnęła ciężko. Ani słowa od wydawcy. Pierwsza część zaliczki powinna była znaleźć się na jej koncie do końca września, tymczasem kończył się październik, a pieniędzy nadal ani widu, ani słyhu. Zdążyła wysłać już kilka przypomnień i otrzymała zapewnienia, że wszystko jest na najlepszej drodze. W zasadzie finansowo nie wyglądała najgorzej, a w razie podbramkowej sytuacji mogła zaciągnąć pożyczkę u Mary, ale wolałaby już mieć na koncie obiecane własne pieniądze.

Wylogowała się z sieci, dokończyła wino, umyła zęby i położyła się z książką w rękę.

Po pięciu minutach spała jak zabita.

Paryż także powoli cichł. Meredith dryfowała po szerokich oceanach snu, objęta ciepłym światłem lampy. Na sąsiedniej poduszce spoczął szczytany egzemplarz opowiadań Edgara Allana Poeego.

ROZDZIAŁ 10

Sobota, 27 października

Gdy następnego ranka otworzyła oczy, przez okno wlewał się do pokoju strumień jasnego światła.

Wyskoczyła z łóżka, świeża i wypoczęta. Przeciągnęła szczotką po włosach, związała je w kucyk, włożyła dżinsy, zielony sweter i ulubioną katanę. Sprawdziła, czy ma w torebce wszystko, co trzeba: portfel, mapę, notes, okulary przeciwsłoneczne, aparat – i z uczuciem, że czeka ją wspaniały dzień, zbiegła po schodach, przeskakując po dwa stopnie naraz.

Dzień był rzeczywiście piękny: jasny, słoneczny, świeży. Postanowiła zjeść śniadanie w cukierni po drugiej stronie ulicy. Na oblanym słońcem chodniku ustawiono ciasno okrągłe stoliki o blatach ze sztucznego marmuru. W środku królowało drzewo malowane na brązowo. Przez całą długość pomieszczenia biegła cynkowana lada. Dwóch kelnerów w średnim wieku, ubranych w czerń i biel, z zadziwiającą szybkością obsługiwało tłum gęstniejący z chwili na chwilę.

Udało jej się zająć ostatni wolny stolik na zewnątrz, tuż obok czterech chłopaków w koszulkach i obcisłych skórzanych spodniach. Wszyscy palili, wszyscy pili espresso i wszyscy popijali kawę wodą. Po prawej miała dwie zgrabne, fantastycznie ubrane kobiety, które sączyły cafe noisette z mikroskopijnych białych filiżanek. Zamówiła petit dejeuner complet, czyli sok, bagietkę z masłem i dżemem, słodki rogalik oraz cafe au lait. po czym wyjęła z torebki notatnik, kopię słynnego dziennika Hemingwaya. Zapisywała już trzeci z sześciu kupionych na wyprzedaży w BarnesNoble specjalnie na tę wyprawę. Uwieczniała wszystko, nawet pozornie nieistotne drobiazgi.

Potem notki, które uznała za warte zapamiętania, przerzucała na laptop.

Zamierzała spędzić dzień na odwiedzaniu różnych miejsc, ważnych dla Debussy'ego. omijając z daleka przestrzenie publiczne, takie jak sale koncertowe. Zrobi kilka zdjęć, zobaczy, co się uda znaleźć. Jeżeli taka wyprawa okaże się stratą czasu, trzeba będzie pomyśleć o jakimś innym wyjściu, ale warto spróbować.

Debussy urodził się w Saint-Germain-en-Laye dwudziestego drugiego sierpnia tysiąc osiemset sześćdziesiątego drugiego roku. Wtedy był to obszar podmiejski, ale kompozytor w pełni zasługiwał na miano paryżanina, gdyż większość z pięćdziesięciu pięciu lat swego życia spędził w samej stolicy Francji. Najpierw w kamienicy przy rue de Berlin, a na końcu w domu przy Avenue du Bois de Boulogne, pod numerem osiemdziesiątym, gdzie zmarł w tysiąc dziewięćset osiemnastym roku. Ostatnim przystankiem w czasie wędrówki śladami kompozytora miał być Cimetiere de Passy, w szesnastym arrondissement', gdzie pochowano artystę.

Odetchnęła pełną piersią. Dobrze się czuła w Paryżu, w mieście Debussy'ego. Jak w domu. Wypadki, które skłoniły ją do wyjazdu, następowały tak szybko jeden po drugim, że z trudem ogarniała fakty. Wreszcie jednak znalazła się tutaj, w Europie, w Paryżu, choć nadal ledwo w to wierzyła.

Jakiś czas siedziała bez ruchu, ot, ciesząc się tym szczególnym momentem życia, chłonąc wszystko, co ją otacza. Po chwili wyciągnęła z torebki mapę. Rozłożyła papierową płachtę na stoliku. Rogi zwisły za krawędzią jak barwny obrus.

Wetknęła za uszy kilka niesfornych pasm włosów, które uciekły spod gumki, i przyjrzała się mapie z uwagą. Pierwszy adres z listy znajdował się przy rue de Berlin, gdzie Debussy mieszkał z rodzicami i rodzeństwem od wczesnych lat sześćdziesiątych dziewiętnastego wieku, aż do chwili gdy skończył dwadzieścia dziewięć lat. Przecznice dalej mieszkał

poeta, flagowy twórca symbolizmu, Stephane Mallarme, u którego Debussy bywał na słynnych wtorkowych wieczorach. Po zakończeniu pierwszej wojny światowej, rue de Berlin przemianowana, podobnie jak wiele innych francuskich ulic o niemieckich nazwach, na rue de Liege.

Palcem po mapie przewędrowała do rue de Londres, gdzie Debussy razem ze swoją kochanką, Gaby Dupont, zajmował umeblowane mieszkanie w styczniu tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego drugiego. Dalej – maleńka uliczka Gustave-Dore, w siedemnastej dzielnicy, i dosłownie o rzut kamieniem rue Cardinet. Tam kompozytor mieszkał z Gaby aż do jej odejścia, co nastąpiło w Nowy Rok 1899. Ona się wyprowadziła, on został na kolejne pięć lat. Mieszkał tu z pierwszą żoną, Lilly. Potem ten związek także się rozpadł. Jeśli chodzi o odległości i planowanie marszruty, Paryż okazał się całkiem przyjazny. Wszystkie miejsca, jakie Meredith chciała odwiedzić, znajdowały się blisko siebie. I nic w tym dziwnego, skoro Debussy większość życia spędził w jednej okolicy, w zasadzie na czterech ulicach, rozchodzących się niczym promienie wokół Place d'Europe, na styku ósmego i dziewiątego arrondissement, tuż przy dworcu Saint-Lazare.

Każde z tych ważnych miejsc obwiodła czarnym flamastrem, przyjrzała się wzorowi z powagą, po czym zdecydowała, że zacznie od adresu najbardziej oddalonego od hotelu.

Spakowała się, nie bez trudu składając mapę, skończyła kawę, strzepnęła okruszki croissanta ze swetra i kolejno oblizała palce, walcząc z pokusą, by zamówić coś jeszcze. Bo mimo szczupłej sylwetki i niepozornego wyglądu Meredith uwielbiała jeść. Ciastka, bułki, rogaliki wszystko to, co już dawno wyszło z mody i zostało zabronione przez dietetyków. Zostawiła na blacie banknot wartości dziesięciu euro, a także garść drobnych jako napiwek i ruszyła w drogę.

Niecały kwadrans później znalazła się na placu Zgody. Tam skręciła na północ, minęła Palais de la Madeleine, wspaniały

kościół, zaprojektowany na wzór rzymskiej świątyni, i ruszyła Boulevard Malesherbes. Po pięciu minutach skręciła w lewo, w Avenue Velasquez, w stronę Parc Monceau. W porównaniu z ruchem panującym na większych ulicach tutaj panował spokój. Przy chodniku trzymały wartę rzędy platanów o korze plamistej jak dłonie starca. Wiele pni ktoś oszpecił sprayem. Podniosła wzrok na biały budynek ambasady, niewzruszony, z jawną pogardą patrzący na ogrody. Zrobiła kilka zdjęć, ot, na wszelki wypadek, gdyby zapomniała jakiegoś szczegółu z otoczenia.

Na tablicy przy wejściu do Parc Monceau wypisano godziny otwarcia w sezonie letnim i zimowym. Minęła czarną bramę z kutego żelaza i natychmiast znalazła się w czasach, gdy Lilly czy Gaby, a może nawet sam Debussy z córeczką za rękę, przechadzali się wśród soczystej zieleni. Długie białe suknie letnie, wzbijające pył przy każdym ruchu, damy w rozłożystych kapeluszach, siedzące na zielonych metalowych ławkach, rozstawionych wzdłuż trawników. Tu emerytowany generał, ciągle w mundurze, tam ciemnookie dzieci dyplomatów bawią się, tocząc drewniane koła, oczywiście pod czujnym spojrzeniem guwernantek. W dali, między drzewami, dostrzegła śliczną grecką świątynię, a jeszcze kawałek dalej igloo w kształcie piramidy, zbudowane z kamienia, odgródzone od publiczności. Ach, i oczywiście marmurowe postacie muz. Żuźłową ścieżką posłusznie dreptały rządkiem kucyki, niosąc na grzbietach zaferowane dzieci.

W parku zrobiła mnóstwo zdjęć. Gdyby tak zmienić spacerowiczom stroje i wyciąć z kadru aparaty telefoniczne w ich dłoniach, fotografie mogłyby równie dobrze pochodzić sprzed stu lat.

Spacerowała jakieś pół godziny, a po wyjściu z parku szybko znalazła się na stacji metra linii północnej. Charakterystyczny znak „Monceau Ligne No. 2” nad wejściem, cudeńko art nouveau, wyglądał, jakby też mógł istnieć w czasach Debussy'ego. Zrobiła jeszcze kilka fotek, przeszła przez zatłoczone skrzyżowanie i

znalazła się na terenie siedemnastego arrondissement. Tutaj, w porównaniu z findesieclową elegancją parku, okolica wydawała się monotonna. Towary w sklepach robiły wrażenie tandety, budynkom brakowało ducha.

Odszukała rue Cardinet bez trudu i szybko znalazła dom, w którym przed z górą stu laty mieszkali Debussy i Lilly. Doznała rozczarowania. Był to budynek pospolity, kompletnie nieokreślony, pozbawiony jakiegokolwiek charakteru. Zwyczajnie nudny. W listach Debussy pisał o skromnym mieszkanku z ogromną sympatią, wspominał jasny kolor ścian i obrazy olejne, tymczasem z zewnątrz nic nie budziło ciepłych uczuć.

Jakiś czas rozważała myśl, czyby nie nacisnąć dzwonka i nie spróbować przekonać mieszkańców, żeby pozwolili jej się rozejrzeć we wnętrzu. W końcu to tutaj Debussy napisał dzieło, które zmieniło jego życie, największą swoją operę. „Peleas i Melizanda”. To tutaj Lilly Debussy strzeliła do siebie, zaledwie kilka dni przed piątą rocznicą ślubu, gdy zdała sobie sprawę, że mąż ją opuszcza, by zamieszkać z matką jednego z uczniów, Emmą Bardac. Lilly przeżyła, ale chirurgom nie udało się wyjąć kuli, więc do końca swoich dni nosiła w ciele pamiątkę po niewiernym mężu.

Meredith uniosła dłoń do srebrnego domofonu, ale zanim wdusiła przycisk, zmieniła zdanie. Owszem, wierzyła w charakter miejsc, w to, że w pewnych okolicznościach mury zatrzymują echo minionych zdarzeń. Tu jednak, w wielkim mieście, było to znacznie trudniejsze niż gdzie indziej. Nawet cegły, choć te same, przez sto lat wchłonęły zbyt wiele nowych duchów, kroków, cieni.

Odwróciła się i odeszła z rue Cardinet. Wyjęła mapę, złożyła ją w schludny prostokąt odpowiednim kwartałem do wierzchu i poszła szukać Square Claude Debussy.

Tam doznała jeszcze większego rozczarowania. Skwer otoczony był brzydkimi pięciopiętrowymi domami, na rogu znajdował się sklep z używaną odzieżą. I żywego ducha. Mając

świeżo w pamięci eleganckie pomniki w Parć Monceau, rzeźby upamiętniające sławnych pisarzy, malarzy i architektów, patrzyła na ten zapyziały skwer z niedowierzaniem, i narastał w niej gniew, że Paryż tak marnie uhonorował jednego ze swoich największych artystów.

Wróciła na zatłoczony Boulevard des Batignolles. Z tego, co czytała, co wiedziała o Paryżu końca dziewiętnastego wieku, była to nieciekawa, wręcz niebezpieczna okolica, oddalona od gwarnych alej i bulwarów. Takich dzielnic, quartiers perdus, należało się wystrzegać.

Weszła w rue de Londres, gdzie Gaby i Debussy wynajęli pierwsze wspólne mieszkanie w styczniu tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego drugiego. Chciała poczuć tęsknotę, jakąś więź z przeszłością. Niestety, nie poczuła nic. Sprawdzając numery na domach, stanęła wreszcie w miejscu, gdzie powinien się znajdować ten, w którym mieszkał kompozytor. Cofnęła się o dwa kroki, zadarła głowę. Potem wyjęła z torebki notatnik i sprawdziła adres.

Pechowy dzień.

Wszystko wskazywało na to, że gdzieś w ciągu minionych stu lat budynek został wchłonięty przez Gare Saint-Lazare. Dworzec rozrastał się na sąsiednie ulice, aż nie został po nich żaden ślad. Nic, co by warto było uwiecznić na zdjęciu. Tylko pustka.

Meredith rozejrzała się dookoła. Jej wzrok padł na restauracyjkę po drugiej stronie ulicy, Le Petit Chablisien. Przydałoby się coś zjeść. A jeszcze bardziej – wypić kieliszek wina.

Na czarnej tablicy, stojącej okragiem przy krawężniku, wypisano kredą menu. Duże okna do połowy przesłonięto zazdrostkami, więc nie dało się zajrzeć do wnętrza. Nacisnęła staroświecką klamkę, pchnęła drzwi. Zadźwięczał dzwonek. Natychmiast pojawił się kelner, starszy mężczyzna w sztywnym białym fartuchu, zawiązanym w pasie.

–Pour manger?

Pokiwała głową. Tak. chciała coś zjeść. Została poprowadzona do stolika w spokojnym kącie. Papierowe obrusy, toporne metalowe sztucce, butelka wody. Zamówiła plat dujour, czyli danie dnia, i butelkę wina Fitou.

Mięso, bavette, okazało się doskonale. Różowe w środku, polane czarnym sosem pieprzowym. Camembert był cudownie dojrzały. Jedząc, Meredith przyglądała się czarno-białym fotografiom na ścianach. Obrazy quartier z dawnych czasów, zdjęcia pracowników restauracji, stojących dumnie przed lokalem: załoga kuchni, kelnerzy z czarnymi wąsami, w koszulach ze sztywno wykrochmalonymi kołnierzykami, oraz. pośrodku, właściciel i jego stateczna żona, wystrojeni w niedzielne wyjściowe ubrania. Na kolejnej fotografii – stary tramwaj na rue d'Amsterdam, tuż obok sławna wieża zegarów przed frontowym wejściem na Gare Saint-Lazare.

Najpiękniejsza jednak była fotografia, którą rozpoznała na pierwszy rzut oka. Uśmiechnęła się do niej jak do starej znajomej. Nad drzwiami do kuchni, obok studyjnego portretu kobiety z młodszym od niej mężczyzną i dziewczynką, której twarz ginęła pod szopą kręconych włosów, wisiała odbitka jednej z najbardziej znanych fotografii Debussy'ego. Zdjęcie zrobiono w Villa Medici w Rzymie w roku tysiąc osiemset osiemdziesiątym piątym. Kompozytor miał wówczas zaledwie dwadzieścia trzy lata. Patrzył w obiektyw poważny, lekko nachmurzony. Miał krótką czarną grzywkę i zapuszczał wąsy. Właśnie tę fotografię zamierzała wykorzystać na tylnej stronie obwoluty swojej książki.

–Mieszkał na tej ulicy – powiedziała kelnerowi, wstukując kod PIN.

Głową wskazała fotografię. Claude Debussy.

Kelner wzruszył ramionami; nie był zainteresowany. Dopiero gdy zobaczył wysokość napiwku, rozciągnął usta w uśmiechu.

ROZDZIAŁ 11

Reszta popołudnia minęła zgodnie z planem.

Meredith odwiedziła pozostałe adresy z listy i o szóstej znalazła się na powrót w hotelu. Wzięła prysznic, przebrała się w białe dżinsy i jasnoniebieski sweter. Zrzuciła zdjęcia z aparatu na twardy dysk laptopa, sprawdziła pocztę – nadal nic o pieniądzach – zjadła lekką kolację w kafejce po drugiej stronie ulicy i zakończyła wieczór zielonym koktajlem w hotelowym barze. Wyglądał okropnie, ale smakował wybornie.

Wróciwszy do pokoju, zatęskniła za jakimś znajomym głosem. Zadzwoiła do domu.

–Cześć, Mary. To ja. – Zawsze mówiła adopcyjnej matce po imieniu.

–Meredith!

Radość w jej głosie wycisnęła dziewczynie łzy z oczu. Nagle Meredith poczuła się straszliwie samotna, daleko od domu, rzucona na głęboką wodę życiowych wyzwań.

–Co u ciebie? – spytała.

Rozmawiały dłuższą chwilę, choć Meredith miała świadomość, że rachunek za telefon rośnie z każdą minutą. Opowiedziała o wszystkim, co robiła od czasu poprzedniego połączenia, o miejscach, które odwiedziła w Paryżu, o postępach w pisaniu książki.

Potem na jakiś czas zaległa cisza.

–A jak twoja druga sprawa? – spytała w końcu Mary.

–Jeszcze o tym nie myślę. Za dużo mam tu do roboty. Zajmę się nią, jak pojedę do Rennes-les-Bains, po weekendzie.

–Nie ma czym się martwić – powiedziała Mary szybko,

zdradzając się. że sprawa bardzo jej leży na sercu. Zawsze wspierała Meredith w dążeniu do poznania przeszłości. A jednocześnie z pewnością obawiała się efektów tych poszukiwań.

I Meredith czuła to samo. Co będzie, jeśli się dowie o jakiejś rodzinnej chorobie? O nieszczęściu, o mrocznej tajemnicy z przeszłości, która rzuciła cień na całe życie jej rodzonej matki? A jeśli wchodziła w grę jakaś choroba dziedziczna?

–Nie martwię się – odpowiedziała nieco szorstko i od razu poczuła się

winna. – Wszystko w porządku. Nie mogę się doczekać, czego się dowiem.

Dam ci znać.

Rozmawiały jeszcze przez kilka chwil.

–Kocham cię – powiedziała Meredith na pożegnanie.

–Ja ciebie też, córeczko – usłyszała z odległości tysięcy kilometrów.

W niedzielę rano Meredith wybrała się do paryskiej opery, do Palais Garnier.

Od roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego dziewiątego stolica Francji miała nową siedzibę teatru operowego, na placu Bastylli, toteż scenę dawnego przybytku sztuki wykorzystywano przede wszystkim do wystawiania baletów. W czasach Debussy'ego sprawy miały się zupełnie inaczej. Barokowy pałac odgrywał rolę centrum kultury, w którym należało bywać. To tutaj we wrześniu tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego pierwszego dochodziło do protestów antywagnerowskich, które stały się tłem powieści Gastona Leroux „Upiór w operze”.

Piętnaście minut zajęło Meredith dotarcie do teatru – omijając turystów szukających Luwru, poszła Avenue de l'Opera. Wreszcie zobaczyła dawną operę. Pałacyk stanowił perełkę architektury dziewiętnastowiecznej, żywcem wyjęty z tamtych czasów, natomiast ruch uliczny należał zdecydowanie do wieku dwudziestego pierwszego. Czyste szaleństwo: samochody, skutery, ciężarówki, autobusy i jeszcze na dodatek rowery - pędzące ze wszystkich stron w najróżniejszych kierunkach. Ryzykując życie, przeskakiwała pas za pasem, aż dotarła na wysepkę, na której stał Palais Garnier.

Robił wrażenie. Imponująca fasada, wspaniałe balustrady, kolumny z różowego marmuru, złożone posągi, zdobiony biało-złoty dach i pozieleniała miedź kopuły, połyskująca w październikowym słońcu. Meredith próbowała sobie wyobrazić, jak tu było przed stu laty. Konne powozy i damy w długich sukniach. Mężczyźni w cylindrach... Nic z tego. Klaksony i warkot silników zagłuszały wyobraźnię. Za dużo tego wszystkiego, by w zgiełku współczesności usłyszeć pogłos dawnych lat.

Okazało się, że z powodu planowanego na wieczór koncertu charytatywnego teatr był otwarty. Weszła do środka. W chwili gdy przekroczyła próg i zamknęła za sobą drzwi, otuliła ją cisza historycznego wnętrza. Grand Foyer, główny hol, wyglądał dokładnie tak, jak sobie wyobrażała, patrząc na dawne zdjęcia. Marmury na posadzce budziły skojarzenie z monumentalną katedrą. Na wprost wejścia przepiękne schody, Grand Escalier, łagodnym łukiem prowadziły w górę, pod wypolerowaną miedzianą kopułę.

Zrobiła kilka kroków. Czy tutaj w ogóle można wchodzić? Miękkie podeszwy zapiszczały na gładkiej podłodze. Drzwi na widownię były uchylone więc wślizgnęła się w aksamitny półmrok. Chciała na własne oczy zobaczyć słynny sześciotonowy żyrandol, zwisający z sufitu zdobionego przez Chagalla.

Trafiła na próbę kwartetu. Przysiadła w ostatnim rzędzie. Odniosła wrażenie, że obok pojawiło się jej drugie „ja”, cień

osoby, którą mogła się stać. Doznanie było tak silne, że o mało się nie obróciła, by spojrzeć na towarzyszkę.

Z kanału dla orkiestry wydobywały się strużki powtórek, a Meredith myślała o tym, jak wiele razy ona robiła to samo. Czekala za kulisami, ze skrzypcami w jednej dłoni i smyczkiem w drugiej. I to ssanie w żołądku, w połowie adrenalina, w połowie strach. Wreszcie – kilka kroków, ukłon przed publicznością. Jeszcze parę pociągnięć smyczkiem, sprawdzian strojenia, ślady kalafonii na czarnym poliestrze długiej eleganckiej spódnicy wieczorowej.

Pierwsze skrzypce dostała od Mary, gdy skończyła osiem lat. Zaraz po tym, jak się do niej przeprowadziła na stałe. Przestała wracać do swojej „prawdziwej” matki na weekendy. Dokładnie tego dnia w jej nowej sypialni, na łóżku, czekał futerał z upragnioną zawartością, powitalny prezent dla dziewczynki oszołomionej kartami, jakie rozdał jej los. Dla dziecka, które za dużo widziało.

Uchwyciła się tej szansy obiema rękami. Uciekała w muzykę. Miała talent, uczyła się szybko i pracowała rzetelnie. Mając dziewięć lat, grała w Milwaukee Ballet Company Studio w Walker s Point. Wkrótce zaczęła grać także na fortepianie. Muzyka zajęła w jej życiu pierwsze miejsce.

Chciała grać zawodowo. Marzyła o tym przez całą podstawówkę, po ostatnią klasę gimnazjum. Nauczyciele zachęcali ją do zdawania do konserwatorium i przekonywali, że ma ogromne szanse się dostać. Mary także ją wspierała.

W ostatniej chwili Meredith zmieniła zdanie. Zabrakło jej pewności siebie. Uznała, że nie jest dość dobra. Że brakuje jej iskry bożej. Złożyła dokumenty w zwykłym college'u, na kierunek humanistyczny, zdała egzaminy i została przyjęta. Owinęła skrzypce czerwonym jedwabiem i ułożyła w futerale wyściełanym niebieskim aksamitem. Poluzowała włosie na smyczkach, wcisnęła je w uchwyty po wewnętrznej stronie wieka. W osobnej

kieszonce umieściła pudełko z kalafonią. Postawiła futerał w najciemniejszym kącie garderoby i wyjechała do szkoły.

Uczyła się pilnie, więc egzaminy zdała magna cum laude. Nadal grywała na fortepianie, czasem dawała lekcje dzieciom przyjaciół Billa i Mary. Skrzypce pozostały zamknięte w szafie.

Nigdy nie żałowała tej decyzji.

Dopiero w ciągu ostatnich dwóch lat, gdy odkryła powiązania z rodziną, zaczęła wątpić w słuszność wyboru. 1 teraz, siedząc na widowni w Pa-lais Garnier, dwudziestoosmioletnia Meredith czuła żal, który żelazną pięścią ścisnął jej serce.

Muzyka ucichła.

W kanale dla orkiestry ktoś zaśmiał się głośno.

Wróciła terazniejszość. Meredith wstała, westchnęła, odgarnęła włosy z twarzy, odwróciła się i cicho wyszła. Przyszła tutaj, szukając Debussy'ego. A obudziła własne wątpliwości, zdawałoby się, dawno uspione.

Na zewnątrz słońce grzało z całej siły.

Meredith postanowiła otrząsnąć się z melancholii. Wróciła wzdłuż budynku i skręciła w rue Scribe, zamierzając dotrzeć nią do Boulevard Haus-smann i dalej, do paryskiego konserwatorium w ósmej dzielnicy.

Na ulicy było tłoczno. Jakby cały Paryż wyszedł cieszyć się złotym dniem. Musiała uważać, jak idzie, żeby uniknąć kolizji. Panowała świąteczna atmosfera. Jakiś muzyk, śpiewający na rogu ulicy, studenci rozdający ulotki upoważniające do zniżki na posiłki albo na wyprzedaż ubrań, żongler podrzucający diabolo niemożliwie wysoko i łapiący klepsydrę na linkę rozciągniętą między dwoma pałeczkami jednym płynnym ruchem. Jakiś facet

sprzedający z walizki zegarki oraz koraliki.

Zadzwoiła komórka, więc Meredith zatrzymała się raptownie, wkładając rękę do torebki, a wtedy idąca za nią kobieta najechała jej spacerówką na kostki.

–Excusez-moi, madame. Meredith uniosła dłoń.

–Non, non. Cesi moi. Desolee. Naprawdę mi przykro, przepraszam. Telefon w tym czasie przestał dzwonić, więc gdy wreszcie zeszła na bok i wyłowiła komórkę z torebki, zajrzała do folderu z nieodebranymi połączeniami. Numer był francuski, wydawał się znajomy. Już miała oddzwonić, gdy ktoś wetknął jej w rękę ulotkę.

–Cest was, ńesl-ce pas? Zaskoczona uniosła głowę.

–Słucham?

Przed nią stała prześliczna dziewczyna, ubrana w koszulkę bez rękawów i bojówki. Włosy miała miodowozłote, splecione w drobne warkoczyki, okiełznane bandaną. Wyglądała jak wielu innych hipisów i wyznawców New Age, włączających się po ulicach Paryża. Na ustach miała promienny uśmiech.

–Wygląda zupełnie jak pani – wypowiedziała, tym razem po angielsku.

Stuknęła palcem w ulotkę. – Tu, na zdjęciu.

Meredith opuściła spojrzenie na błyszczący kartonik. Reklamował wróżenie z kart tarota, z ręki, oraz rozmowy przez medium. Większą część zajmował obraz kobiety w koronie na głowie, z mieczem w prawej dłoni. W lewej trzymała wagę. A skraj długiej spódnicy oplatały nuty.

–Zupełnie jakby pani pozowała do tego rysunku.

W górnym rogu widniała rzymska jedenastka. Na dole podpis: La Justice. Sprawiedliwość. Meredith przyjrzała się kobiecie uważniej. Rzeczywiście. Była do niej bardzo podobna.

–Nic podobnego – odparta sucho, jednocześnie czerwieniąc

się z powodu kłamstwa. – Zresztą i tak jutro wyjeżdżam, więc...

–Niech pani zatrzyma ulotkę – poprosiła dziewczyna. – Otwarte na okrągło. I jesteśmy niedaleko. Dosłownie pięć minut stąd.

–Dziękuję, ale to nie w moim stylu.

–Moja mama jest w tym naprawdę dobra.

–Twoja mama...? – Zna się na tarocie. – Dziewczyna ponownie opromieniła świat uśmiechem. – Czyta z kart. Powinna pani przyjść.

Meredith otworzyła usta, by zaprotestować, ale po sekundzie zmieniła zdanie. Nie ma sensu się sprzeczać. Łatwiej wziąć ulotkę i za rogiem wyrzucić do śmieci. Jak pomyślała, tak zrobiła. Z wymuszonym uśmiechem wetknęła kartonik do wewnętrznej kieszeni kurtki.

–Wie pani – odezwała się jeszcze blondynka – nie ma czegoś takiego jak przypadek. Zawsze jest jakaś przyczyna.

Meredith kiwnęła głową, by nie przeciągać tej bezsensownej rozmowy, i odeszła, ciągle ściskając w dłoni telefon. Na rogu się zatrzymała. Dziewczyna stała w miejscu, odprowadzając ją wzrokiem.

–Jesteście identyczne! – zawołała. – Mieszkamy parę kroków stąd! Niech pani przyjdzie.

ROZDZIAŁ 12

Kompletnie zapomniała o ulotce wetkniętej w kieszeń kurtki. Najpierw oddzwoniła na francuski numer. Okazało się, że miejscowe biuro podróży chciało potwierdzić rezerwację hotelu. Potem zadzwoniła do linii lotniczych sprawdzić godzinę poniedziałkowego rejsu.

Wróciła do hotelu o szóstej, zmęczona i na obolałych nogach. W końcu chodziła całe popołudnie. Tak samo jak poprzedniego dnia wgrała zdjęcia na twardy dysk, a następnie siadła do wstukiwania notatek, jakie porobiła w ciągu ostatnich trzech dni. Mniej więcej o wpół do dziesiątej zeszła po kanapkę do tej samej kafejki po drugiej stronie ulicy; zjadła nad komputerem. Skończyła pracę o jedenastej.

Leżąc w łóżku, włączyła telewizor. Przez chwilę surfowała po kanałach, szukając znajomych obrazów CNN, ale nie znalazła ani tego, czego szukała, ani w ogóle niczego, na czym warto by było zahaczyć oko. Na FR3 szedł jakiś film policyjny, na TF1 – „Colombo”, a na Antenne 2 pornos pod przykrywką produkcji artystycznej. Podała się i jakiś czas czytała.

Zgasiwszy światło, podłożyła ręce pod głowę i leżała, od stóp do głów owinięta białą, cudownie świeżą pościelą. W półmroku przyglądała się sufitowi. Wróciła do dawno minionego weekendu, gdy od Mary usłyszała wszystko, co do tej pory wiedziała na temat swojej rodziny.

Wybrali się do Pfister Hotel, oczywiście w Milwaukee. Był rok dwutysięczny. Grudzień. Wszelkie większe uroczystości rodzinne świętowano właśnie tam. Urodziny, śluby, szczególne okazje... Zwykle przychodzili na kolację, jednak tym razem Mary wynajęła pokój na cały weekend. Był to nieco spóźniony prezent urodzinowy, połączony z obchodami Święta Dziękczynienia i zakupami gwiazdkowymi.

Niedoceniany hotel kuśił dyskretną elegancją dziewiętnastowiecznego wystroju w stylu fin de siècle. Złotymi gzymsami, doskonałą kolorystyką, kolumnami, balustradami z kutego żelaza i białymi siatkowymi firankami na przeszklonych drzwiach. Meredith zjawiała się wtedy pierwsza i poszła sama do kawiarenki, by tam zaczekać na Mary i Billa. Usadowiła się w kącie, zapadła głęboko w miękką sofę i pierwszy raz legalnie zamówiła alkohol. Sonoma Cutter Chardonnay. Siedem pięćdziesiąt za lampkę, ale warto było. Wino o gładkim, maślanym smaku uwalniało w złotych blaskach lekko cierpki zapach beczki.

Niesłychane, że akurat to tak dokładnie pamięta...

Padał śnieg. Duże płatki, gęste, równe, sypały się z białego nieba, powlekając świat ciszą. Przy kontuarze siedziała jakaś starsza kobieta w czerwonym płaszczu i wełnianej czapie, naciągniętej głęboko na czoło. Krzyczała do barmana.

–Mów do mnie! Czemu nic nie mówisz? Mów! – Trochę jak ta w „Ziemi jałowej” Eliota.

W kawiarni było jeszcze czterech gości. Wszyscy pili piwo. I wszyscy, podobnie jak ona, udawali, że nie dostrzegają wariatki.

Meredith właśnie zerwała z chłopakiem, więc chętnie wyniosła się z kampusu na weekend. Jej partner gościnnie wykładał matematykę. Któregoś razu w barze odgarnął jej kosmyk włosów z twarzy, kiedy indziej przysiadł obok, na krawędzi stołka, gdy grała na fortepianie, niby przypadkiem objął ją za ramiona w pociemniałej bibliotece. Nawiazali romans. Oboje wiedzieli, że donikąd ich ten związek nie zaprowadzi, bo mieli zupełnie różne cele, więc rozstanie przeszło bezboleśnie. Zostały wspomnienia cudownego seksu i miłej znajomości.

Tak czy inaczej, dobrze było zajrzeć do domu. Przez cały zaśnieżony weekend rozmawiała z rodzicami. Wypytywała Mary o życie i wczesną śmierć swojej rodzonej matki, chciała wiedzieć wszystko, o co do tej pory bała się zapytać. O okoliczności

adopcji, o samobójstwo matki, o bolesne wspomnienia, drażniące, jak ziarnko piasku w oku.

Z grubsza wiedziała o wszystkim od zawsze. Jej matka, Jeanette, zaszła w ciążę na pikniku, w klasie przedmaturalnej i nawet nie zdawała sobie sprawy z odmiennego stanu, aż było za późno, żeby cokolwiek z tym faulem zrobić. Kilka pierwszych lat pomagała jej matka, Louisa, niestety, szybko zabrał ją nowotwór, pozbawiając Meredith jedynej prawdziwej ostoji. Od tamtej pory działo się coraz gorzej, a kiedy sprawy przybrały już całkiem zły obrót, pojawiła się Mary, daleka kuzynka Jeanette i pomagała dziecku, zabierając je do siebie, kiedy tylko mogła. Z czasem okazało się, że Meredith nie powinna wracać do rodzinnego domu – dla własnego bezpieczeństwa. Dwa lata później, gdy Jeanette się zabiła, Mary i jej mąż. Bill, postanowili usankcjonować opiekę nad dzieckiem i adoptowali dziewczynkę. A Meredith, chociaż zatrzymała swoje nazwisko i całe życie zwracała się do Mary po imieniu, wreszcie poczuła, że może ją uważać za matkę.

Właśnie tam, w Pfister Hotel, Mary dała przybranej córce fotografię i zapis nutowy. Na pierwszym zdjęciu widniał młody człowiek w mundurze, pozujący na rynku jakiejś niewielkiej miejscowości. Miał czarne kręcone włosy i ciemne oczy o szczerym spojrzeniu. Na odwrocie znajdowała się data, 1914, logo fotografa oraz nazwa miejscowości: Rennes-les-Bains.

Brakowało nazwiska. Na drugim zdjęciu widniała dziewczynka w staromodnym ubraniu. I nic więcej. Ani nazwiska, ani daty, ani miejsca. Natomiast na trzeciej fotografii uwieczniono Louise Martin, czyli babkę Meredith, mniej więcej na przełomie lat trzydziestych i czterdziestych dwudziestego wieku, sądząc po ubraniu. Siedziała przy fortepianie. Mary wiedziała jedynie, że Louisa była uznaną pianistką, dawała koncerty. Utwór dołączony do zdjęć był jej ulubionym, a przy tym znakiem rozpoznawczym. Grała go przy każdej okazji.

Meredith, ujrawszy tę fotografię po raz pierwszy, zastanowiła

się, czy gdyby zobaczyła ją wcześniej, podjęłaby inną decyzję, dotyczącą własnej kariery muzycznej. Nie umiała odpowiedzieć na to pytanie. Nie pamiętała, żeby jej rodzona matka kiedykolwiek grała na fortepianie albo chociaż śpiewała. Zawsze tylko krzyczała, potem płakała i tak dalej.

Muzyka pojawiła się w życiu dziewczynki w ósmym roku życia. Przynajmniej tak jej się wydawało. Aż do czasu tego pamiętnego weekendu w Pfister Hotel, gdy uświadomiła sobie, że miała ją we krwi od zawsze. Wtedy świat stanął na głowie. Fotografie i muzyka stały się osią jej życia, łączącą przeszłość z teraźniejszością. Już wtedy, w mieście otulonym białym puchem, wiedziała z pewnością, że kiedyś ruszy na poszukiwanie.

I po siedmiu latach ruszyła.

Jutro znajdzie się w Rennes-les-Bains, zobaczy miejsce, które tyle razy oglądała oczyma wyobraźni. Pozostawało jedynie mieć nadzieję, że będzie co oglądać.

Zerknęła na wyświetlacz komórki. Dwudziesta czwarta trzydzieści dwie.

Uśmiechnęła się lekko.

Nie jutro, dzisiaj.

Obudziła się świeża i wypoczęta. Po nocnych lękach nie zostało śladu. Nie mogła się doczekać wyjazdu z miasta. Obojętne, czego się dowie, dwa dni w górach bardzo jej się przydadzą.

Lot do Tuluzy miała dopiero po południu, w Paryżu załatwiła już wszystko, co miała do załatwienia, i nie zamierzała brać się do czegoś nieplanowanego, więc jakiś czas wylegiwała się, czytając, potem zeszła na późne śniadanie w słońcu, w tej samej kafejce

co dotąd, i wreszcie wypuściła się, by odwiedzić kilka punktów obowiązkowych dla każdego turysty.

Przeszła kolumnadą na rue du Rivoli, omijając grupki uczniów z plecakami oraz turystów podążających szlakiem wytyczonym przez twórców „Kodu Leonarda da Vinci”. Miała ochotę zajrzeć do Luwru, ale zniechęciła się, widząc kolejkę do wejścia, wężowymi splotami obejmującą szklaną piramidę.

Znalazła sobie wolne krzesło w ogrodach Tuileries, oczywiście zielone, i cieszyła się słonecznym dniem. Żałowała jedynie, że nie jest odrobinę lżej ubrana, bo zrobiło się gorąco i parno, kompletnie zwariowana pogoda jak na koniec października. Uwielbiała Paryż, ale dziś powietrze zdawało się gęste od zanieczyszczeń, spalin i dymu papierosowego, atakującego z tarasu każdej kawiarenki. Zastanowiła się, czyby nie zafundować sobie rejsu Bateau Mouche, potem rozważyła wizytę w Shakespeare Co., sławnej księgarni na lewym brzegu Sekwany, miejsca świętego dla każdego Amerykanina, odwiedzającego stolicę Francji. Jakoś jednak nie mogła się zebrać. Bo tak naprawdę chciałyby zobaczyć atrakcje tłumnie odwiedzane przez turystów, tylko najlepiej bez styczności z turystami.

Kilka muzeów było akurat zamkniętych, więc w końcu postanowiła wrócić do spraw związanych z pracą i obejrzeć dom lat dzieciennych kompozytora, na ulicy, która w latach pięćdziesiątych dziewiętnastego wieku nosiła nazwę rue de Berlin. Zawiązała kurtkę w pasie i już bez mapy podążyła siatką ulic. Szła szybkim, pewnym krokiem, choć tym razem wybrała inną drogę. Po kilku minutach zatrzymała się na jakimś skrzyżowaniu i osłoniwszy oczy od słońca, przeczytała tabliczkę z nazwą ulicy.

Ciekawe. Zupełnie przypadkiem znalazła się na rue de Liege. Powiodła wzrokiem wzdłuż domów, w jedną stronę, potem w drugą. Za czasów Debussy'ego gdzieś tutaj, w pobliżu Place de la Trinite występował kabaret La Grande-Pinte. Nieco dalej znajdował się sławny, siedemnastowieczny Hôtel-Dieu, a dwa

kroki od miejsca, gdzie stanęła, mieściła się znana księgarnia ezoteryczna Edmonda Bailly'ego. Tam, w dniach świetności na przełomie wieków, poeci, okultyści oraz kompozytorzy zbierali się, by rozprawać o nowych ideach, o mistycyzmie i światach alternatywnych. W tej księgarni kontrowersyjny młody Debussy nigdy nie musiałby się tłumaczyć.

Sprawdziła numer domu.

I natychmiast straciła cały zapał. Dotarła tam, gdzie chciała. Tyle że nie miała czego oglądać. Bez przerwy to samo. Nowe budynki w miejscu starych, dawne ulice, wchłonięte przez nowe, stuletnie adresy zapomniane w bezlitosnym upływie czasu.

Dom numer dwa przy rue de Liege okazał się pozbawioną wyrazu betonową bryłą. Po księgarni – ani śladu. Próżno by szukać choćby jakiejś tablicy pamiątkowej na ścianie. Nic.

I wtedy dostrzegła wąskie drzwi, ledwo widoczne z ulicy. Wzrok przyciągał głównie barwny napis, ręcznie malowany.

Sortilege.

Wróżenie z kart.

I pod spodem, mniejszymi literami: „Po francusku i po angielsku”.

Odruchowo sięgnęła do kieszeni kurtki. Wymacała złożoną ulotkę, którą wczoraj dostała od blondynki. Wyjęła kartkę i przyjrzała się jej uważnie. Zdjęcie było rozmazane, kopia nieszczerzej jakości, ale podobieństwu nie sposób zaprzeczyć.

Podobna do mnie.

Podniosła wzrok na drzwi. Teraz stały otworem. Jakby ktoś podkradł się do nich, gdy nie patrzyła, i zwolnił zatrask. Zrobiła kilka kroków, zajrzała do środka. Zobaczyła wąski korytarzyk o fioletowych ścianach, ozdobionych srebrnymi gwiazdami, księżycami oraz symbolami astrologicznymi. Z sufitu zwieszały się karuzele z kryształami czy może szkłem ciętym w różne

wzory.

Wzięła się w garść. Astrologia, kryształy, przepowiadanie przyszłości -to nie dla niej. Nawet nie sprawdzała horoskopu w gazecie, chociaż Mary robiła to regularnie, każdego ranka, przy pierwszej filiżance kawy. Odprawiała rytuał.

Meredith tego nie rozumiała. Myśl, że przyszłość była w jakiś sposób narzucona, zapisana i określona, wydawała jej się szalona. Zbyt fatalistyczna. Zakrawała na zrzucanie z siebie odpowiedzialności za życie.

Odsunęła się od drzwi zniecierpliwiona własnym wahaniem. Po co w ogóle tu sterczała? Najwyższy czas się wynieść. Zapomnieć o ulotce.

To głupie. Wróżby to gusła.

A przecież coś ją tu trzymało. Ciągle stała. Ciekawość? Na pewno. Przy czym było to raczej zainteresowanie czysto teoretyczne, nie emocjonalne. Co z podobieństwem do kobiety na zdjęciu? Skąd zbieżność adresów? Chciała wejść.

Zrobiła dwa kroki do przodu. Na drugim końcu korytarzyka znajdowały się wąskie schody o stopniach pomalowanych na zmianę na czerwono i zielono. U szczytu dostrzegła kolejne drzwi, błękitne jak niebo, wyzierające zza zasłony z żółtych drewnianych koralików.

Ile tu kolorów.

Czytała gdzieś, że niektórzy ludzie widzą muzykę pod postacią barw. Jak to się nazywało... Symestezja? Synestezja?

We wnętrzu panował miły chłód. Rześkie powietrze płynęło ze starego wentylatora, umieszczonego nad drzwiami wejściowymi. W leniwym powiewie października tańczyły drobinki kurzu. Cóż, skoro szukała dziewiętnastowiecznej atmosfery, należałoby skorzystać z usługi, która pewnie była tu świadczona przed stu laty tak samo jak dzisiaj.

Wyłącznie w celach badawczych.

**Świat zastygł w bezruchu. Budynek wstrzymał oddech.
Wyczekiwanie.**

**Meredith, z ulotką w ręku jak z najcenniejszym talizmanem,
postąpiła naprzód. Postawiła stopę na pierwszym stopniu i
ruszyła w górę.**

**Kilkaset kilometrów na południe, w bukowym lesie nad
Rennes-les-Bains, mocniejszy oddech wiatru zerwał miedziane
liście z gałęzi starych drzew. Obudziło się dawno zmarłe
westchnienie jak lekki pasaż na klawiszach.**

Enfin.

Nareszcie.

Poruszenie światła nad innymi schodami.

ROZDZIAŁ 13

DOMAINE DE LA CADE

–Oui, Abbe, et merci d vous pour votre gentillesse. A tout d 1'heure.

Julian Lawrence zrobił wszystko, co należało. Nawet podziękował duchownemu. Miał się z nim wkrótce spotkać. Jeszcze chwilę trzymał słuchawkę w ręku. Był opalony, w doskonałej formie i nikt by mu nie dał pięćdziesięciu lat. Wreszcie odłożył telefon na bazę. Wyjął z kieszeni paczkę papierosów, pstryknięciem otworzył zapalniczkę firmy Zippo i przypalił gauloise'a. Smużka waniliowego dymu uniosła się w nieruchomym powietrzu.

Przygotowania do wieczornej mszy trwały. Zakładając, że Hal będzie się zachowywał odpowiednio, wszystko powinno się odbyć, jak należy. Współczuł mu, ale też miał się na baczności, ponieważ chłopak pytał w mieście o okoliczności wypadku. Niepotrzebnie wsadzał kij w mrowisko. Trafił nawet na komisariat, zażądał opinii na piśmie o przyczynie zgonu. Ponieważ tym akurat przypadkiem zajmował się w Couizie przyjaciel Juliana, a jedynym świadkiem była jakaś kobieta, która nadużywała alkoholu, do sprawy należało podchodzić ostrożnie. Na szczęście pytania Hala odbierano jako zrozumiałą reakcję syna pogrążonego w żałobie, a nie uzasadnione wątpliwości.

Tak czy inaczej, nie mógł się doczekać wyjazdu smarkacza. W całej sprawie nie było czego się doszukiwać, ale ten drażył bez opamiętania, więc należało się spodziewać, że w miejscowości tak małej jak Rennes-les-Bains zaczną się plotki. Nie ma dymu bez ognia. Julianowi pozostawała nadzieja, że Hal zaraz po pogrzebie opuści Domaine de la Cade i wróci do Anglii.

Dwóch braci, Julian i Seymour, ojciec Hala, objęli to miejsce w posiadanie przed czterema laty. Seymour, starszy od Juliana o dziesięć lat, znudzony emeryt, miał obsesję na temat przewidywania dochodu, arkuszy kalkulacyjnych i sukcesów w interesie. Juliana interesowało coś zupełnie innego.

Pierwszy raz trafił w te okolice w roku tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym siódmym. Zaintrygowały go opowieści związane z Rennes-les-Bains, a szczególnie z Domaine de la Cade. Zresztą roiło się tutaj od najróżniejszych tajemniczych legend: o zakopanym skarbie, o konspiracji, krążyły bujdy o jakichś tajnych stowarzyszeniach i tysiące innych, poczynając od Wizygotów, Rzymian i Celtów, aż po templariuszy i katarów. Tymczasem wyobraźnię Juliana poruszyła bardziej współczesna historia, pisemne sprawozdania, datujące się na koniec dziewiętnastego wieku, traktujące o zbezczeszczeniu grobowca znajdującego się na terenie Domaine de la Cade, o talii kart tarota, stanowiącej coś w rodzaju mapy prowadzącej do skarbu, i o pożarze, który zniszczył część domu.

W piątym wieku naszej ery ziemie wokół Couizy oraz Rennes-les-Chateau leżały w sercu królestwa Wizygotów. O tym wiedzieli wszyscy. Historycy i archeolodzy od dawna spekulowali, że legendarne skarby, zrabowane Rzymianom przez Wizygotów zostały wywiezione na tereny dzisiejszej południowo-zachodniej Francji. Brakowało jednak dowodów. Ale im więcej Julian się dowiadywał, tym większego nabierał przekonania, iż znaczna część wizygockiego skarbu nadal czeka na znalazcę. I że talia kart tarota, oryginalna, nie żadna z drukowanych później kopii – stanowi klucz do tego skarbu. Julian chciał go odszukać.

Z czasem chęć zmieniała się w obsesję. Kupował licencje na wykopaliska, topił w poszukiwaniach wszystkie pieniądze, a osiągnięcia miał niewielkie, zaledwie drobiazgi z dawnych grobów: miecze, sprzączki, kielichy – nic szczególnego. Gdy pozwolenie na prowadzenie wykopalisk wygasło, kopał bezprawnie. Jak hazardzista, wiecznie przekonany, że wielki

sukces to tylko kwestia czasu.

Gdy cztery lata temu wystawiono hotel na sprzedaż, przekonał brata do przedstawienia oferty. Niespodziewanie, mimo wszystkich dzielących ich różnic, pomysł okazał się doskonały i partnerstwo długi czas spełniało pokładane w nim nadzieje. Dopiero przed kilkoma miesiącami Seymour mocniej się zaangażował w sprawy codziennego prowadzenia hotelu. I postanowił zajrzeć do ksiąg rachunkowych.

Słońce prażyło trawę, jasny blask wlewał się do gabinetu przez wysokie okna. Julian podniósł wzrok na obraz zawieszony nad biurkiem. Stary symbol tarota, pozioma ósemka, symbol nieskończoności.

–Jesteś gotowy?

Na progu stanął Hal, w czarnym garniturze, z krawatem w tym samym kolorze. Lśniące ciemne włosy odgarnął do tyłu. Dobiegał trzydziestki, ale dzięki szerokim barom, pięknej cerze i doskonałej sylwetce nadal wyglądał na sportowca z uniwersytetu. Trenował rugby i tenis.

Julian pochylił się, zdusił papierosa w szklanej popielniczce, stojącej na parapecie. Wychylił resztkę whisky ze szklanki. Nie mógł się doczekać, żeby po pogrzebie wszystko wróciło do normalności. Miał serdecznie dosyć Hala wałęsającego się po domu i okolicy.

–Zaraz przyjdę – powiedział. Za minutę.

ROZDZIAŁ 14

Paryż

Meredith dotarła na szczyt schodów, odgarnęła na bok zasłonę z koralików i otworzyła błękitne drzwi.

Za nimi była poczekalnia, tak malutka, że można by dotknąć ścian, nawet nie wyciągając rąk. Po lewej pysznił się barwny wykres, ozdobiony znakami zodiaku, pełen wzorów i symboli, których dziewczyna nie rozróżniała. Po prawej wisiało lustro w staromodnej złoczonej ramie. Przejrzała się w nim i zapukała do drzwi naprzeciwko.

–Halo! Jest tam kto?

Cisza.

Odczekała chwilę i zastukała ponownie, tym razem nieco mocniej. Nadal nic. Nacisnęła klamkę. Drzwi ustąpiły.

–Dzień dobry! – odezwała się, wchodząc. – Jest tu kto? Halo?

Niewielki pokój emanował energią. Ściany pomalowano na jasne kolory, trochę jak w domu opieki społecznej. Na żółtym, czerwonym i zielonym tle pyszniły się fioletowe, niebieskie oraz srebrne wzory, złożone z linii, pasów, trójkątów i zygzaków. Jedyne okno, naprzeciwko drzwi, przesłaniała liliowa firanka. Za nim widać było blade kamienne ściany dziewiętnastowiecznego budynku, z czarną balustradą i wysokimi drzwiami balkonowymi o zamkniętych okiennicach. Scenę ożywiały skrzynki pełne pelargonii oraz bratków.

Na środku pokoju ustawiono kwadratowy stolik, przykryty lnianym obrusem w koła i jakieś tajemnicze symbole astrologiczne, przy nim stały dwa drewniane krzesła z tapicerowanymi siedzeniami. Zupełnie jak z obrazu van Gogha.

Gdzieś w głębi domu trzasnęły drzwi, rozległy się kroki. Meredith poczuła, że się czerwieni. Nieproszony gość. Zamierzała wyjść, gdy zza bambusowej maty, zawieszanej na ścianie pokoju, ukazała się jakaś kobieta.

Miała może czterdzieści pięć lat, ciemne włosy z nitkami srebra, obcięte przez dobrego fryzjera tuż powyżej ramion, i serdeczny uśmiech. Ubrana była w dopasowaną koszulkę i spodnie khaki. Nie tak wyobrażała sobie Meredith wróżkę czytającą przyszłość z kart tarota. Gdzie wielkie koła w uszach, gdzie barwna chusta na głowie?

–Przepraszam, pukałam – zaczęła się tłumaczyć. – Nikt nie odpowiadał, więc weszłam.

–Nic się nie stało.

–Pani jest Angielką?

–Nie da się ukryć. – Na twarzy kobiety wykwitł ciepły uśmiech.
– Długo pani czeka?

Meredith pokręciła głową.

–Dosłownie dwie minuty. Gospodyni wyciągnęła do niej dłoń.

–Mam na imię Laura.

–Meredith. – Podała jej rękę.

Laura odsunęła krzesło, gestem wskazała drugie.

–Siadaj, zapraszam.

Meredith jednak stała niezdecydowana.

–Zdenerwowanie jest całkiem naturalne – wyjaśniła wróżka. – Zdecydowana większość ludzi reaguje za pierwszym razem właśnie w taki sposób.

Meredith wyjęła z kieszeni ulotkę, położyła ją na stole.

–Ja właściwie... Wczoraj dostałam to na ulicy... A dzisiaj przechodzi

łam... – Straciła wątek. – Prowadzę badania... Przepraszam. –
Wzięła się

w garść. – Nie będę ci zabierała czasu.

Laura wzięła ulotkę w rękę i pokiwała głową.

–Córka mi o tobie mówiła. Meredith spojrzała uważniej.

–Tak?

–Opowiadała mi o podobieństwie – wyjaśniła Laura, przyglądając się rysunkowi. – Powiedziała, że spotkała wierny obraz Sprawiedliwości. – Umilkła, jakby się spodziewała, że jej gość coś powie. A skoro Meredith milczała, usiadła za stołem. –
Mieszkasz w Paryżu?

–Tylko zwiedzam.

Sama nie wiedząc, kiedy i dlaczego, przycupnęła na brzeżku krzesła. W mowie ciała przekaz był jasny: nie zamierzam tu zagrzewać miejsca.

–Pierwszy raz jesteś u wróżki, prawda?

–Tak.

–No dobrze. Zakładam, że przeczytałaś ulotkę, więc wiesz, że półgodzinna sesja kosztuje trzydzieści euro, a godzina pięćdziesiąt.

–Pół godziny wystarczy – oświadczyła Meredith.

Raptem zaschło jej w ustach. Laura patrzyła na nią z uwagą, jakby czytała z każdej zmarszczki, każdego cienia na twarzy.

–Możliwe. Ale gdybyś chciała zostać, nie musimy się śpieszyć, nie jestem z nikim umówiona. Chcesz wyjaśnić jakąś konkretną sprawę czy zorientować się ogólnie we wszystkim?

–Prowadzę badania – powtórzyła Meredith. – Pracuję nad biografią artysty. Na tej ulicy... dokładnie w tym budynku była kiedyś słynna księgarnia... Pewnie to przypadek... –
Uśmiechnęła się, szukając spokoju. Chociaż twoja córka twierdzi,

że nie ma czegoś takiego jak przypadek.

–Wszystko jasne – powiedziała Laura z uśmiechem. – Niektórzy klienci przychodzą do mnie z konkretnymi pytaniami. Na temat pracy, miłości albo ważnych decyzji... Właściwie na każdy temat. Inni wolą bardziej ogólne spojrzenie.

–Tak jak ja.

–Doskonale. Teraz musisz zdecydować, której talii użyjesz.

–Wybacz, ale nie mam o tym bladego pojęcia. Będę wdzięczna, jeśli zdecydujesz za mnie.

Laura gestem wskazała cztery talie kart, ułożone rzędem przy krawędzi blatu. Wszystkie leżały w zakrytych stosach.

–Wiem, że początki są trudne, ale powinnaś zdecydować sama. Przyjrzyj im się, sprawdź, czy któreś szczególnie przypadną ci do gustu, dobrze?

–Dobrze. – Meredith leciutko wzruszyła ramionami.

Laura sięgnęła po najbliższą talię i rozpostarła ją wachlarzem na stole. Granatowe koszulki ozdobione złotymi gwiazdami z długimi ogonami.

–Piękne – przyznała Meredith.

–To jest najpopularniejsza talia kart tarota, tak zwana Waite, od nazwiska twórcy.

Druga miała na rewersie zwykłą czerwono-czarną siatkę.

–Ta z kolei jest pod wieloma względami uważana za klasyczną. Nazywana jest tarotem marsylskim. Powstała w szesnastym wieku. Używam jej niekiedy, ale przyznaję, jak na dzisiejsze gusta wydaje się mało interesująca. Większość pytających woli bardziej współczesne zestawy.

–Kto to jest pytający? zdziwiła się Meredith.

–Och, przepraszam. – Laura uśmiechnęła się szeroko. – Pytający to osoba, która przychodzi po wróżbę, zadająca pytania.

–Rozumiem. – Dziewczyna przyjrzała się kartom i wskazała talię nieco mniejszą niż pozostałe. Wyróżniała się ona także pięknym odcieniem zieleni na koszulkach, pociętym filigranowymi kreseczkami w różnych odcieniach złota i srebra.

–A ta?

–To jest tarot Bousqueta.

–Bousquet... – Meredith była pewna, że gdzieś już słyszała to nazwisko, ale nie potrafiła go umiejscowić. – On je narysował?

–Nie. Tak nazywał się pierwszy wydawca talii tych kart. Nie wiemy,

kto je zamówił. Pochodzą gdzieś z południowego zachodu Francji, zostały stworzone w latach dziewięćdziesiątych dziewiętnastego wieku.

Meredith poczuła gęsią skórę na ramionach. A dokładnie gdzie?

–Nie wiem na pewno, ale wydaje mi się, że w okolicy Carcassonne

–Znam ten rejon – powiedziała Meredith, odtwarzając w pamięci ma—

pę tamtego fragmentu Francji. W samym jego środku leżało Rennes-les-Bains. Raptem zdała sobie sprawę, że wróżka przygląda jej się z uwagą.

–Czy coś może...? – spytała Laura.

–Nie, nie. Zdawało mi się, że znam to nazwisko, ale się pomyliłam. – Zakończyła temat miłym uśmiechem. – Przerwałam ci.

–Oryginalna talia... Kilka kart pochodzi z czasów dużo wcześniejszych niż dziewiętnasty wiek. Dzisiaj nie sposób określić, które rysunki są autentyczne, ale wydaje się, że arkana większe powstały później niż reszta. Albo zostały zmienione. Arkana mniejsze niewiele się różnią od klasyki, tymczasem stroje

na arkanach większych są zdecydowanie w stylu fin de siècle'u.

–Arkana mniejsze? – Meredith przekrzywiła głowę. – Arkana większe? – Uśmiechnęła się przepaszająco. – Przykro mi, ale nic nie rozumiem. Mogę zadać kilka pytań, zanim przejdziemy dalej?

–Oczywiście.

–Wobec tego najpierw chciałabym wiedzieć, ile kart jest w talii tarota.

–Poza nielicznymi wyjątkami siedemdziesiąt osiem. Dzieli się na arkana większe i mniejsze. Łacińskie słowo arcana oznacza „sekrety”. Arkana większe, dwadzieścia dwie sztuki, ponumerowane są od jednego do dwudziestu jeden, a ostatnia, czy jak kto woli, pierwsza, Głupiec, oznaczona jest cyfrą zero albo żadną. Ta karta istnieje wyłącznie w talii tarota. Na każdej z tych dwudziestu dwóch kart znajduje się alegoryczny rysunek oraz podpis.

Meredith przyjrzała się Sprawiedliwości na ulotce.

–Rozumiem.

–Pozostałe pięćdziesiąt sześć kart, arkana mniejsze, zwane także blotkami, dzieli się na cztery kolory, czyli dwory. Przypominają one zwykłe karty do gry, tyle że w każdym dworze mamy jedną figurę więcej. Bo oprócz króla, damy i waleta jest także jeździec lub, jak kto woli, paź. Stoi przed dziesiątką. W różnych taliach różnie się nazywa kolory. Karo to denary lub monety, kiery – kielichy albo puchary, trefie to pałki czy też buławy, a piki – miecze.

–Jasne.

–Większość znawców zgadza się co do tego, że najwcześniejsze karty tarota, w dużym stopniu przypominające te, jakimi posługujemy się dzisiaj, mają swoje korzenie we Włoszech i powstały w połowie piętnastego wieku. Współczesny tarot odrodził się na przełomie wieku dziewiętnastego i dwudziestego, gdy brytyjski okultysta, Arthur Edward Waite,

stworzył zupełnie nową talię, w której ilustrowane były wszystkie karty, również arkana mniejsze, a nie tylko większe. Wcześniej blotki miały tylko numery.

–A co z tarotem Bousqueta?

–Co dziwne, karty dworskie są ilustrowane. Styl obrazów podpowiada, że powstały u schyłku szesnastego wieku. Z pewnością jeszcze przed Waite'em. Natomiast arkana większe są w zupełnie innym stylu. Jak powiedziałam, sądząc po strojach, można je z dużym prawdopodobieństwem datować na schyłek dziewiętnastego wieku w Europie.

–Jak to możliwe?

–Przyjmujemy, że wydawca, pan Bousquet, nie dysponował pełną talią, więc albo kazał namalować arkana większe, albo skopiował jakieś istniejące rysunki w stylu pozostałych kart.

–Z czego skopiował?

–Trudno zgadnąć. Z fragmentów ocalałych kart albo z ilustracji talii z jakiejś książki... Nie mam pewności, nie jestem znawcą.

Meredith przeniosła wzrok na głęboką zieleń, ozdobioną połyskującą siateczką.

–Fantastyczna robota.

Wróżka rozłożyła denary w kształt wachlarza. Karta po karcie, zaczynając od asa, na królu kończąc. Następnie oddzieliła kilka kart od arkanów większych i także położyła je na stole.

–Widzisz różnicę?

Meredith pokiwała głową.

–Tak, oczywiście. Chociaż rysunki są podobne w stylu, zwłaszcza jeśli

chodzi o kolory.

Laura stuknęła palcem w jedną z kart.

–Tu masz przykład jeszcze jednej wyjątkowej cechy w tarocie Bousqueta. Zmieniono nazwy postaci. Królowa stała się Maitresse, a więc zyskała szersze znaczenie, bo w tym słowie zawiera się i władczyni, i kochanka, i nauczycielka. Na podobnej zasadzie król zmienił się w Maitre'a. Jeśli się przyjrysz. dostrzeżesz zmiany w arkanach większych. Na przykład ta karta, oznaczona numerem II, zwykle nazywana jest Arcykapłanką albo Papieżycą. Tu jest La Pretresse, więc po prostu Kapłanka. A tutaj, na VI, jako jedno z Kochanków – Les Amoureux – widnieje ta sama postać. I spójrz na XV, na Diabła. Znow pojawia się ta sama kobieta, tym razem przykuta łańcuchem.

–Jest w tym coś dziwnego?

–W wielu taliach łączy się kartę VI i XV, ale II zwyczajowo nie jest przypisywana do tej pary.

–Wobec tego ktoś – powiedziała Meredith, myśląc głośno – albo z własnej woli, albo na polecenie, zadał sobie sporo trudu, żeby te karty były wyjątkowe.

–To prawda. Czasem zastanawiałam się, czy arkana większe nie są tutaj wzorowane na konkretnych osobach. Zobacz, jakie mają rysy twarzy. Prawdziwe jak na portrecie.

Dziewczyna przyjrzała się La Justice widocznej na ulotce.

–To jest moja twarz.

Podniosła wzrok na Laurę. Miała chęć powiedzieć coś na temat osobistych powodów wyprawy na południe Francji. O tym, że dosłownie za kilka godzin wyruszy do Rennes-les-Bains.

Zanim jednak otworzyła usta, Laura podjęła wątek – i chwila przepadła.

–Tarot Bousqueta utrzymuje tradycyjne powiązania. Na przykład miecze to kolor związany z żywiołem powietrza, reprezentujący inteligencję i rozum, buławy, które należą do żywiołu ognia – energię i konflikt, puchary, żywioł wody, to świat uczuć, i w końcu denary – stuknęła palcem

w kartę, gdzie król siedział na tronie otoczonym złotymi monetami – żywioł ziemi, a więc świat materialny, rzeczywisty.

Meredith przyjrzała się ilustracjom z uwagą, jakby chciała je sobie wyryć w pamięci. Po jakimś czasie kiwnęła głową, gotowa słuchać dalej.

Wróżka zebrała blotki, odłożyła na bok. Natomiast arkana większe ułożyła w trzech rzędach po siedem, zwrócone w stronę klientki, od najmłodszej do najstarszej. Kartę oznaczoną cyfrą zero, Głupca pozbawionego wartości, umieściła na samej górze.

–Lubię patrzeć na arkana większe przez pryzmat podróży – powiedziała. – Mówią o sprawach trudnych do zdefiniowania, nieuchwytnych, wielkich życiowych zagadnieniach, których nie można zmienić, z którymi nie sposób walczyć. Ułożone w ten sposób reprezentują w każdym rzędzie inny poziom rozwoju: świadomość, podświadomość i świadomość wyższą.

Aha, więc skończyły się fakty. Czas na odrobinę sceptycyzmu.

–Na początku każdego rzędu jest postać o ogromnej mocy. Najpierw Kuglarz albo, jak kto woli, Czarodziej. W drugim rzędzie – Siła, La Force. I wreszcie w trzecim, na początku, znajduje się karta piętnasta, Le Diable.

Coś przyciągnęło uwagę Meredith, jakiś rys w wykrzywionej twarzy demona. Przyjrzała się kobiecie i mężczyźnie przykutym do kamienia. Pojawił się cień zrozumienia. I od razu zniknął.

–Taki sposób rozłożenia arkanów większych nie tylko ukazuje podróż Głupca od ignorancji do oświecenia, ale także otwiera pionowe połączenia między kartami. Jak widzisz, Siła jest oktawę od Czarodzieja, a Diabeł odsunięty od niej o następną oktawę. To nie koniec. Zarówno Czarodziej, jak i Siła mają nad głową znak nieskończoności. Diabeł podnosi rękę w podobnym geście jak Czarodziej...

–Jak dwie połowy tej samej osoby.

–Na przykład. – Laura pokiwała głową. Tarot jest zbieżnością

wzorów, zależnością między kartami.

Meredith słuchała jednym uchem. Coś z tego, czego się przed chwilą dowiedziała, poruszyło w niej czułą strunę. Musiała się chwilę zastanowić. Mam. Oktawy.

–Czy zawsze tłumaczysz te zasady, używając terminów muzycznych? – spytała.

–Nie. Wszystko zależy od pytającego. Interpretacji tarota można dokonywać na wiele sposobów. A dlaczego spytałaś?

–Bo jestem związana z muzyką. Ciekawa byłam, czy się tego jakoś domyśliłaś. – Umilkła na moment. Chyba o tym nie wspomniałam.

Laura uśmiechnęła się leciutko.

–Przeszkadza ci to?

–Że się domyśliłaś? Nie – skłamała. Czuła się z tym źle i wcale jej się to nie podobało. Serce podpowiadało, że mogłaby się o sobie czegoś dowiedzieć, sprawdzić, kim jest naprawdę. A rozum twierdził, że to wszystko jeden wielki stek bzdur.

Wskazała Sprawiedliwość.

–Ma nuty przy sukni. Dziwne.

–Cóż, jak to ujęła moja córka, nie ma czegoś takiego jak przypadek.

Meredith zaśmiała się, choć wcale jej nie było do śmiechu.

Wszystkie metody wróżenia – podjęła Laura – opierają się na wzorach, szkicach, rysunkach. Tak samo jak muzyka. Był w Stanach Zjednoczonych taki kartomanta, Paul Foster Case, ukuł całą teorię, według której poszczególne arkana większe są powiązane z konkretnymi nutami na pięciolinii.

–Może przy okazji sprawdzę.

Laura zebrała karty, wygładziła brzegi talii. Spojrzała Meredith głęboko w oczy i w tej jednej chwili dziewczyna zyskała pewność,

że wróżka przejrzała ją na wylot, poznała każde drżenie jej serca: niepokój i zwątpienie, a także nadzieję.

–Zacniemy? – spytała Laura. Klientka miała serce w gardle.

–Pewnie – rzuciła odważnie. – Zaczynajmy.

ROZDZIAŁ 15

–Zostaniemy przy talii Bousqueta? – spytała Laura. – Moim zdaniem, najbardziej ci pasuje.

Meredith opuściła wzrok na karty. Ciemna zieleń przywodziła jej na myśl las wokół domu Mary w Chapel Hill. Przemieszane barwy lata i jesieni. Tak różne od cichych przedmieść Milwaukee, gdzie dorastała.

–Dobrze.

Wróżka zdjęła ze stołu pozostałe talie i ulotkę.

–Tak jak ustaliłyśmy, powrózę ci ogólnie. Wykorzystamy moją wersję krzyża celtyckiego, trochę bardziej rozbudowaną niż klasyczna. Ciągnie nie dziesięciu kart z pełnej talii. Zyskamy dość pełny przegląd tego, gdzie teraz jesteś, co się zdarzyło w niedalekiej przeszłości i co może przynieść przyszłość.

Aha. Czyli zaczynamy bujać w obłokach.

Tyle tylko, że chciała usłyszeć, co wróżka ma do powiedzenia.

–W czasie gdy drukowano talię Bousqueta, pod koniec dziewiętnastego wieku, tarot ciągle jeszcze był sztuką tajemną, dostępną jedynie dla elit.

–Laura uśmiechnęła się kącikiem ust. – Dziś sprawa wygląda inaczej.

Współcześni wróże chcą dać ludziom pewność siebie, wyposażyć ich w odpowiednie narzędzia lub, jeśli wolisz, dodać im odwagi do dokonywania zmian w życiu i w nich samych. Wróżenie ma tym większą wartość, im bardziej pytający uświadamia sobie swoje ukryte motywacje albo nie uświadomione wzorce zachowania.

Meredith pokiwała głową.

–Najistotniejsze – ciągnęła Laura że istnieje w zasadzie nieskończona liczba interpretacji. Jedni twierdzą, na przykład, że jeśli we wróżbie przeważają arkana większe, to znaczy, że sytuacja wymyka się spod kontroli, natomiast gdy arkana mniejsze, pytający rzeczywiście jest kowalem własnego losu. Ja umiem powiedzieć jedynie, że moim zdaniem wróżba nie mówi, co się stanie, ale odsłania to, co może się zdarzyć.

–Rozumiem.

Laura położyła talię na środku stołu.

–Potasuj, proszę. Nie śpiesz się. Tasując myśl o tym, czego się chcesz dowiedzieć, co cię tu dzisiaj sprowadziło. Niekiedy pomaga zamknięcie oczu.

Przez okno wpłynął lekki powiew, wyzwolenie od lepkiej wilgoci. Meredith sięgnęła po karty. Zaczęła je tasować. Powoli, spokojnie. Zapamiętała się w monotonnym ruchu, zapomniała o terażniejszości.

Pojawiły jej się przed oczami obrazy i twarze z przeszłości, stonowane w sepii i odcieniach szarości. Wyblakły, odpłynęły. Jej piękna, tak podatna na zranienia matka. Babka Louisa siedząca przy fortepianie. Poważny miody człowiek w mundurze.

Cała rodzina, jaką znała.

Przez chwilę miała wrażenie, jak gdyby w stanie nieważkości uniosła się w powietrze. Widziała stolik, dwa krzesła, kolorowe ściany, a nawet siebie samą z zupełnie innej perspektywy.

–Wystarczy. Otwórz oczy. – Głos Laury dobiegł z daleka, niby wyraźny, ale ledwo słyszalny, trochę jak dźwięki muzyki, gdy wybrzmi ostatni akord.

Dziewczyna zamrugnęła, bo pokój gwałtownie wrócił na miejsce, z początku lekko rozmazany, ale po chwili jaśniejszy i wyraźniejszy niż wcześniej.

–Połóż talię na stole i lewą ręką podziel ją na trzy stosy,

ułożone w pionie.

Meredith wykonała polecenie.

–Teraz na środkowy stos połóż najpierw górny, potem dolny.
– Odczekała, aż karty zostały złożone razem. – Wybierz dowolną kartę. Tę pierwszą nazywamy sygnifikatorem. Reprezentuje ciebie, pytającego, mówi o tym, jaka jesteś. Płeć postaci na rysunku nie ma znaczenia, ponieważ każdy obraz odnosi się i do kobiety, i do mężczyzny.

Meredith wysunęła kartę mniej więcej ze środka talii i położyła ją przed sobą.

–La Filie d'Epees – powiedziała Laura. – Córka Mieczy. Miecze to kolor powiązany z żywiołem powietrza, reprezentuje świat myśli, inteligencji, rozumu. W tarocie Bousqueta Córka Mieczy jest potężną figurą, myślicielką, postacią bardzo silną. Jednocześnie bywa odsunięta od innych. Może ze względu na jej młody wiek... ta karta często wskazuje młodą osobę, a może z powodu decyzji, jakie podejmuje. Czasami symbolizuje osobę ruszającą w podróż.

Meredith przyjrzała się rysunkowi. Niewysoka, szczupła kobieta, ubrana w czerwoną sukienkę do kolan. Czarne włosy do ramion. Kojarzyła się z tancerką. W dłoniach trzymała miecz. Nie groziła ani się nie broniła, ale jakby czegoś strzegła. Za nią widniał postrzępiony górski szczyt na tle jaskrawoniebieskiego nieba, oznaczonego białymi obłoczkami.

–To karta aktywna – podjęła Laura – bezdyskusyjnie pozytywna. Jest zaledwie kilka tak niedwuznacznych.

Meredith pokiwała głową. Widziała, że wróżka mówi prawdę.

–Wyciągnij następną i połóż kartę pod La Filie d'Epees, po lewej, druga karta określa twoją aktualną sytuację. Otoczenie, w którym pracujesz albo żyjesz, wpływ, jaki na ciebie wywiera.

Druga odkryta karta znalazła się na właściwym miejscu.

–Dziesiątka pucharów. Puchary to kolor żywiołu wody, świat uczuć i emocji. Kolejna pozytywna karta. Liczba spełnienia. Oznacza koniec jednego cyklu i początek drugiego. Sugeruje, że stoisz na progu, jesteś gotowa iść dalej, bo osiągnęłaś sukces. To oznaka nadchodzących zmian.

–Jakiej dziedziny życia dotyczy?

–Na razie trudno powiedzieć. Może to być praca albo życie osobiste, albo jedno i drugie. Powinno się to wyjaśnić później, jeszcze zobaczymy. Wyciągnij następną.

Dziewczyna wzięła do ręki trzecią kartę.

–Połóż ją pod sygnifikatorem, tym razem po prawej – poleciła Laura.

–Tutaj widzimy ewentualne przeszkody, jakie możesz napotkać w drodze.

Przedmioty, okoliczności, nawet ludzi, którzy mogą ci przeszkadzać w rozwoju, w zaprowadzaniu zmian, w osiągnięciu celu.

Meredith położyła kartonik na stole.

–Kuglarz. Karta numer I. Czarodziej.

–Czy odnosi się do osoby?

–Zwykle tak.

–Można Czarodziejowi ufać?

–To zależy. Może być po twojej stronie, ale nie musi. Często symbolizuje potężny katalizator, bodziec do przemian, chociaż trzeba pamiętać, że ta karta zawsze łączy się z odrobiną niepewności, z jakimś podstępem, równoważeniem wiedzy za pomocą intuicji. Czarodziej sprawuje władzę nad wszystkimi czterema żywiołami: wodą, powietrzem, ogniem i ziemią, a także nad czterema kolorami w kartach: denarami, buławami, pucharami i mieczami. Jego odsłonięcie może przedstawiać osobę, która ewentualnie wykorzysta swoje umiejętności

językowe albo wiedzę dla twojego dobra. Ale z drugiej strony, ta sama osoba może tych samych talentów użyć po to, by ci rzucać kłody pod nogi.

Meredith przyjrzała się twarzy na rysunku. Przeszywające spojrzenie błękitnych oczu.

–Czy jest w twoim życiu ktoś – spytała Laura – kto mógłby odgrywać taką rolę?

–Nie widzę takiej osoby.

–Może to być jakaś postać z przeszłości, która, choć nie jest obecna w twoim życiu, stanowi o tym, jak siebie postrzegasz. Ktoś, kto nie istnieje fizycznie, ale jest negatywnym wpływem. Albo, z drugiej strony, osoba, którą dopiero poznasz. A równie dobrze ktoś, kogo znasz, tylko jego wpływ na twoje życie jeszcze się nie ujawnił albo dotąd jest mało znaczący.

Dziewczyna ponownie opuściła wzrok na kartę. Ciekawe, ciekawe...

Bardzo chciała coś odkryć, odszukać w rysunku jakieś znaczenie. Nic. Żadnego skojarzenia.

Pociągnęła następną kartę i tym razem nie musiała się doszukiwać wrażeń. Od razu poczuła sympatię do postaci uwidocznionej na rysunku. Była to młoda dziewczyna, stojąca obok lwa. Nad jej głową, zupełnie jak korona, widniał symbol nieskończoności. Miała na sobie staromodną suknię, raczej nie ubiór codzienny, zieloną z pionowym białym pasem i bufiastymi rękawami. Miedziane włosy spływały w lokach aż do szczupłej talii. Właśnie tak Meredith zawsze wyobrażała sobie „La damoiselle elue” Debussy’ego, pannę wybraną. W połowie dzieło Rossettiego, w połowie Moreau.

Ciągle pamiętając słowa Laury, nie miała wątpliwości, że ta konkretna ilustracja została stworzona na podstawie obrazu osoby prawdziwej, a nie zmyślonej. Przeczytała imię karty. La Force. Siła. Numer osiem. Dziewczyna o zielonych oczach.

Im dłużej jej się przyglądała, tym bardziej nabierała pewności, że gdzieś już widziała ten rysunek. A może bardzo podobną twarz. Na fotografii? Na obrazie? W jakiejś książce? Czyste szaleństwo. A jednak...

Podniosła wzrok na wrózkę.

–Opowiedz mi o niej – poprosiła.

ROZDZIAŁ 16

–Karta numer VIII, Siła, jest związana z astrologicznym Lwem, Leo.

A jako czwarta karta odczytu ma wskazywać jedną, najważniejszą rządzą

cą twoim życiem kwestię, często nieuświadomioną, niedostrzeganą przez

pytającego, która nierzadko zdecydowała o przyjściu do wróżki. Potężny

bodziec motywacyjny. Coś, co pytającego prowadzi.

–Ale ja nie chciałam... – zaprotestowała Meredith odruchowo.

Laura zatrzymała jej słowa uniesieniem ręki.

Tak, wiem. Powiedziałaś mi, że trafiłaś tu przypadkiem. Wczoraj moja córka wetknęła ci w rękę ulotkę, dzisiaj zjawiałaś się całkiem niechcący, spacerując dla zabicia czasu. Ale z drugiej strony... może to jednak rzeczywiście nie jest przypadek? Przyszłaś tutaj. Siedzisz przy stoliku wróżki. – Umilkła na moment. – Mogłaś pójść dalej. Nie zaglądać do środka.

–Mogłam. – Zastanowiła się chwilę. – Naprawdę sama już nie wiem.

–Czy kojarzy ci się z tą kartą jakaś konkretna sytuacja albo osoba?

–W zasadzie nie, ale...

–... ale?

–Ta dziewczyna... Jej twarz wydaje mi się znajoma, chociaż nie potrafię tego sprecyzować.

Laura ściągnęła brwi.

–O co chodzi? – spytała Meredith.

Wróżka przyjrzała się kartom leżącym na stole.

–Czytanie na podstawie krzyża celtyckiego ma charakter prostej sekwencji. – W głosie wróżki brzmiało wahanie. – Zwykle na tym etapie potrafię już określić, które zdarzenia należą do przeszłości, a które do przyszłości i teraźniejszości. – Umilkła. – W tym wypadku, nie wiem dlaczego, linia czasu wydaje się zaburzona. Brakuje ciągłości zdarzeń, sprawy się zamazują... Przeszłość miesza się z teraźniejszością.

–Nie rozumiem. – Meredith ściągnęła brwi. – Nie możesz odczytać kart, które wyciągam?

–Nie, nie, to nie tak. – Przygryzła wargę. Szczerze mówiąc, nie jestem całkowicie pewna tego, co ci opowiadam. Lekko wzruszyła ramionami. – Zobaczmy, co będzie dalej, jest duża szansa, że wszystko się poukłada.

Meredith nie bardzo wiedziała, co robić. Z jednej strony, chciała, żeby Laura mówiła konkretniej, z drugiej, nie wiedziała, jakie pytania zadawać, żeby uzyskać potrzebne odpowiedzi. Wobec czego nie powiedziała nic.

W końcu to wróżka przerwała milczenie.

–Pociągnij następną. Piąta karta odnosi się do niedawnej przeszłości.

Ósemka denarów. Odwrócona do góry nogami. Dziewczyńie zrzęda mina, gdy usłyszała, że jej wysiłki i ciężka praca mogą nie przynieść spodziewanych efektów.

Szósta karta, powiązana z najbliższą przyszłością, okazała się ósemką buław, także odwróconą. Meredith podniosła na wróżkę trochę niepewne spojrzenie, lecz Laura niczym nie zdradziła, by przywiązywała szczególną wagę do wzoru, który się wyraźnie zarysowywał.

–To karta ruchu, akcji. Oznacza, że realizacja planów

przyniesie skutki. W pewnym sensie to najbardziej optymistyczna z ósemek. – Przerwała, spojrzała klientce prosto w oczy. – Przyjmuję, że te wszystkie odniesienia do pracy coś dla ciebie znaczą?

–Tak. Piszę książkę. Tylko że... Czy karta odwrócona do góry nogami ma inne znaczenie?

–Zwykle oznacza opóźnienie. Powstrzymanie energii na czas, gdy dochodzi do zawieszenia w realizacji planów.

Na przykład wyjazdu z Paryża do Rennes-les-Bains. Albo poświęcenie czasu i energii na dawne sprawy rodzinne, a nie zawodowe.

–Niestety – odezwała się z krzywym uśmiechem – to też ma sens. Czy powinnam to rozumieć jako ostrzeżenie, że nie należy się rozpraszać, brać do czegoś innego?

–W zasadzie tak. Ale z drugiej strony, opóźnienie niekoniecznie musi być czymś złym. Może tego właśnie trzeba w tym momencie.

Meredith czuła, że Laura chce już skończyć mówić o tej karcie. Wzięła do ręki następną.

–Siódma reprezentuje otoczenie, w którym zajdą jakieś wydarzenia...

albo już się rozgrywają. Połóż ją nad szóstą.

Na obrazku widniała wysoka szara wieża na tle pochmurnego nieba. Rozdwojona nitka błyskawicy dzieliła je na części. Meredith zadrżała, odruchowo źle nastawiona do tej karty, i choć stale powtarzała sobie, że cała wizyta u wróżki to absolutny nonsens, wolałaby jej nie wyciągnąć.

–La Tour – przeczytała. – Niezbyt dobra karta?

–Żadna z kart nie jest dobra albo zła – odparła Laura odruchowo, lecz wyraz jej twarzy świadczył o czymś przeciwnym. – Wszystko zależy od tego, w którym momencie wróżenia się

pokazuje i jak jest powiązana z innymi kartami. Tradycyjnie uważa się Wieżę za symbol dramatycznych przemian. Może oznaczać destrukcję i chaos. Podniosła wzrok na Meredith i zaraz ponownie opuściła na kartę. – W interpretacji pozytywnej to karta wyzwolenia. Mówi o utracie iluzji, o przekraczaniu granic, które w rezultacie pozwalają zacząć wszystko od początku. Może to być przeblask inspiracji. Wcale nie musi być interpretowana negatywnie.

–Tak, tak, rozumiem – rzuciła Meredith z lekkim zniecierpliwieniem.

–A co oznacza tutaj? Teraz? Jak ją interpretujesz? Co w niej widzisz?

Laura spojrzała jej prosto w oczy.

–Konflikt – powiedziała. – Widzę konflikt.

–Pomiędzy?

–To możesz wiedzieć tylko ty. Może wchodzi w grę coś, o czym wspomniałaś wcześniej, rozdźwięk między potrzebami osobistymi a pracą zawodową. Może też chodzić o dysharmonię pomiędzy oczekiwaniami, jakie mają wobec ciebie różne osoby, a tym, co możesz i chcesz im ofiarować – to nierzadko prowadzi do nieporozumień.

Meredith słuchała bez słowa, usiłując stłumić myśl, która coraz wyraźniej kształtowała jej się w świadomości.

–Co będzie, jeśli dowiem się o sobie czegoś, co wszystko zmieni?

–Czy widzisz coś, do czego w szczególności mogłaby się odnosić ta karta? – spytała Laura cicho.

–Ja... Meredith zacięła się. – Nie – powiedziała bardziej stanowczo, niż powinna. – Nie wiem, do czego ją odnieść.

Podenerwowana wybrała następną, symbol swojego życia w danym momencie. Ósemkę pucharów.

**–To jakieś żarty? – zachnęła się i szybko pociągnęła następną.
Osiem**

mieczy.

Laura wstrzymała oddech.

Znowu oktawa, pomyślała Meredith.

**–Jakie są szanse wyciągnięcia wszystkich ósemek? – spytała.
Laura nie odpowiedziała od razu.**

–To rzeczywiście niezwykle – przyznała w końcu.

Dziewczyna przyjrzała się odkrytym kartom. Nie dość, że oktawy łączyły wybrane arkana większe, że awersem do góry leżały wszystkie cztery ósemki z talii, to jeszcze te nuty przy sukni La Justice i zielone oczy dziewczyny na karcie La Force...

**Prawdopodobieństwo wyciągnięcia każdej karty jest identyczne -wyjaśniła Laura, choć klientka widziała, że wróżka mówi to, co powinna powiedzieć, a nie to, co naprawdę myśli. –
Więc oczywiście może się zdarzyć odkrycie czterech kart tej samej liczby.**

**–Spotkałaś się z tym wcześniej? Widziałaś już taki układ? –
Ogarnęła wzrokiem kartoniki rozłożone na stole. – I do kompletu La Tour, karta numer XVI. Wielokrotność ósemki.**

Laura wolno pokiwała głową.

**–Rzeczywiście, nie przypominam sobie czegoś takiego –
przyznała z ociąganiem.**

–Co oznacza ósemka mieczy?

–Przeszkody. Coś lub kogoś, kto będzie cię wstrzymywał.

–Tak samo jak Czarodziej?

–Niezupełnie. – Umilkła, szukając słów. – Widzę tutaj dwie równoległe sprawy. Z jednej strony, wyraźna kulminacja jakiegoś dużego projektu, związanego albo z pracą, albo z życiem osobistym, albo obejmującym obie te dziedziny. – Podniosła

wzrok na pytającą. – Zgadza się?

Meredith ściągnęła brwi.

–W zasadzie tak. Co więcej?

–Idąc dalej w tę stronę, należy dostrzec sygnały zwiastujące podróż albo zmianę okoliczności.

–No dobrze, to w zasadzie pasuje, ale...

–Wyczuwam, że jest tu coś więcej – przerwała jej Laura. – Nie widzę wyraźnie, ale czuję, że coś jest. Ta ostatnia karta... mówi, że coś odkryjesz.

Meredith zmrużyła oczy. Bez przerwy powtarzała sobie w duchu, że cała ta wizyta u wróżki to jedynie zabawa, i nic nie znaczy. Tylko dlaczego serce jej wali jak młotem?

–Pamiętaj – dorzuciła Laura pośpiesznie – że wróżba nie mówi o tym.

co się stanie albo do czego z pewnością nie dojdzie. Pozwala przyjrzeć się

możliwościom, odkryć nieuświadomione motywy i pragnienia, które mogą, ale przecież wcale nie muszą, doprowadzić do pewnego wzorca zachowania.

–Wiem, rozumiem.

To tylko zabawa.

Tyle że w głosie Laury dźwięczały bardzo poważne tony. A na twarzy wróżki malowało się skupienie i śmiertelna powaga.

–Wróżenie z tarota powinno wspierać wolną wolę, a nie ją ograniczać –

powiedziała Laura. – Choćby dlatego, że pozwala człowiekowi dowiedzieć

się więcej o sobie samym i o tym, co go może czekać. Ty sama podejmujesz

decyzje, ty rozstrzygasz, co dla ciebie najlepsze. Ty wybierasz drogę.

Rozumiem. Nagle uświadomiła sobie, że ponad wszystko chce zakończyć to spotkanie. Wyciągnąć ostatnią kartę, usłyszeć, co Laura ma do powiedzenia, i wyjść.

–Oczywiście, dopóki o tym pamiętasz.

Tym razem w głosie wróżki zabrzmiało wyraźne ostrzeżenie. Meredith z trudem powstrzymała chęć, by wstać i wyjść natychmiast.

–Powinnaś wyciągnąć jeszcze jedną kartę. Dziesiątą. Połóż ją na górze, po prawej.

Dłoń dziewczyny zawisała nad talią tarota. Niewidoczne linie połączyły ją z zielonymi koszulkami.

Meredith wyciągnęła kartę. Odwróciła ją i z jej ust wydobył się niegłośny okrzyk.

Laura zacisnęła dłonie.

–Sprawiedliwość – powiedziała Meredith cicho. – Twoja córka twierdziła, że jestem do niej bardzo podobna – dodała, choć wiedziała, że się powtarza.

Wróżka nie podniosła wzroku.

–Kamień powiązany z postacią La Justice to opal – rzekła. Zabrzmiało to, jakby czytała podręcznik. – Kolor szafirowy albo żółty jak topaz. A znak zodiaku – Waga.

Meredith zaśmiała się głucho.

–Jestem spod znaku Wagi. Urodziłam się ósmego października.

Laura nie zareagowała, jakby jej ta wiadomość wcale nie zaskoczyła.

–La Justice w talii Bousqueta – podjęła -jest potężną kartą. Jeżeli akceptujesz myśl, że arkana większe obrazują podróż Głupca od szczęśliwej niewiedzy do oświecenia, Sprawiedliwość jest pośrodku tej drogi.

–I co to znaczy?

–Zwykle interpretuje się ją jako radę, by zadbać o obiektywny punkt widzenia. Pytający powinien się upewnić, że nie błądzi, że rozumie sytuację.

Meredith uśmiechnęła się bezradnie.

–Jest odwrócona. – Dziwił ją własny spokój. – A to nie bez znaczenia, prawda?

Laura milczała.

–Prawda? – naciskała Meredith.

Odwrócona Sprawiedliwość przestrzega przed jakąś niesprawiedliwością. Przesądem albo uprzedzeniem czy jakąś pomyłką prawną. Jest też symbolem gniewu z powodu osądzenia, zwłaszcza niesprawiedliwego.

–Ta karta przedstawia mnie?

–Tak sędzę – przyznała Laura. – Nie tylko dlatego, że została odkryta ostatnia. – Zająknęła się wyraźnie. – I nie tylko ze względu na fizyczne podobieństwo. – Znowu umilkła.

–Lauro!

–Dobrze – westchnęła wróżka. – Rzeczywiście wierzę, że karta przedstawia ciebie. Jednocześnie, moim zdaniem, nie chodzi o niesprawiedliwość wyrządzoną tobie. Raczej zyskasz okazję naprawienia jakiegoś zła. Jako wysłanniczka sprawiedliwości. – Wreszcie podniosła wzrok na klientkę. – Chyba właśnie to wyczuwałam wcześniej. Jest coś innego, coś więcej... coś się kryje w tym rozkładzie, karty pokazują jakieś drugie dno.

Meredith powiodła spojrzeniem po kartonikach rozłożonych na stole. Ciągle słyszała wcześniejsze słowa wróżki. Karty mówią

o możliwościach, pozwalają odkrywać nieuświadomione motywy i pragnienia.

Czarodziej i Diabeł, obaj z lodowato niebieskimi oczami. Pierwszy dwie oktawy za drugim. I wszystkie ósemki, karty związane z działaniem.

Wzięła do ręki czwartą, a następnie ostatnią kartę. Siła i Sprawiedliwość.

Wydawały jej się nierozłączną parą.

–Przez chwilę – rzekła cicho, tyle samo do wróżki, co do siebie zdawało mi się, że coś rozumiem. Że to wszystko ma jakiś sens.

–A teraz?

Dziewczyna podniosła wzrok. Przez chwilę patrzyły na siebie bez słowa.

–Teraz to tylko rysunki. Kształty i kolory.

Słowa zawisły między dwiema kobietami na długi czas. Potem nagle Laura szybkim ruchem zgarnęła rozłożone karty, jakby jej zależało, żeby odsłonięty układ nie został na stole ani chwilę dłużej.

–Weź je – powiedziała. – Sama z nimi porozmawiaj. Meredith pochyliła się do przodu, pewna, że nie zrozumiała.

–Słucham?

–Talia należy do ciebie.

–Nie mogę... – zaprotestowała dziewczyna.

Laura sięgnęła pod stół, wyjęła z jakiejś skrytki spory kawałek czarnego jedwabiu i owinęła nim karty.

–Weź – poleciła, przepchnąwszy je na drugą stronę blatu. – To taka tradycja. Ludzie wierzą, że kart tarota nie powinno się kupować. Powinno się zaczekać na właściwą talię, na prezent.

Meredith potrząsnęła głową.

–Nie mogę ich przyjąć. Zresztą nie wiedziałabym, co z nimi robić.

Wstała, sięgnęła po kurtkę.

Laura także się podniosła.

–Moim zdaniem, powinnaś je mieć. Raz jeszcze spojrzę sobie w oczy.

–Ja ich nie chcę.

Jeżeli je przyjmę, nie będzie odwrotu, pomyślała.

–Talia należy do ciebie – rzekła wróżka. – 1 myślę, że doskonale o tym wiesz.

Ściany zaczęły się poruszać. Barwy, wzory, obrus na stole, gwiazdy i sierpy księżyców. A słońca rosły i malały, zmieniały kształty. Pojawił się jakiś rytm, prawie muzyka. A może to zawroźnienie wiatru w gałęziach drzew.

Enfin.

Nareszcie.

Usłyszała to słowo tak wyraźnie, jakby je sama wypowiedziała. Ostro, głośno. Obejrzała się przez ramię, może ktoś wszedł do pokoju?

Nie.

„Przeszłość miesza się z teraźniejszością”.

Nie chciała mieć nic wspólnego z kartami, z tarotem Bousqueta ani żadnym innym, ale na twarzy wróżki widniało tak wielkie zdecydowanie. że chyba nie zdołałaby wyjść, gdyby ich nie wzięła.

Wzięła więc. A potem bez słowa odwróciła się i zbiegła po schodach.

ROZDZIAŁ 17

Włączyła się po Paryżu, całkiem nieświadoma upływu czasu. Talię kart trzymała w ręku. Miała wrażenie, że w każdej chwili mogą się poderwać w powietrze i unieść ją ze sobą. Nie chciała ich, ale też wiedziała, że nie zdoła się ich pozbyć.

Gdy usłyszała dzwony z wieży Saint-Gervais, obwieszczające pierwszą, uświadomiła sobie, że lada chwila ucieknie jej samolot do Tuluzy.

Odsunęła na bok rozterki. Cudem złapała taksówkę, a że obiecała kierowcy solidny napiwek, jeśli szybko dowiezie ją na miejsce, włączyli się w ruch uliczny z piskiem opon. Na rue du Temple dotarli w równe dziesięć minut. Dziewczyna wypadła z auta, przemknęła przez hol i pokonała schody po dwa stopnie. Wpadła do pokoju jak burza, wrzuciła rzeczy do torby podróżnej, chwyciła laptop i ładowarkę. Pognęła na dół. Na ułamek sekundy wyhamowała przy recepcji, zostawiła na przechowanie drobiazgi, których ze sobą nie zabierała, potwierdziła datę powrotu do Paryża i z powrotem wskoczyła do samochodu. Tym razem pomknęli już na lotnisko Orly.

Dotarła na miejsce kwadrans przed odlotem.

Działała jak dobrze naoliwiony mechanizm. Nie myślała o tym, co robi, wszystkie czynności wykonywała automatycznie. Doszła do głosu jej natura osoby doskonale zorganizowanej, ale zawładnęła jedynie ciałem, bo umysł pracował nad czymś zupełnie innym. Przypominał sobie już na wpuć zagubione słowa, zdania, myśli i ulotne subtelności. Meredith zapamiętywała wszystko, co powiedziała Laura.

I własne odczucia.

Dopiero przechodząc przez odprawę, uświadomiła sobie, że nie zapłaciła wróżce. Zrobiło jej się wstyd. Spędziła tam dobrze

ponad godzinę, raczej prawie dwie. Zanotowała w pamięci, by wysłać pieniądze – za wróżenie i coś górką jak tylko dotrze do Rennes-les-Bains.

Sortilege. Sztuka przepowiadania przyszłości z kart.

Samolot wystartował. Meredith wyjęła z torebki notes i zaczęła pisać. Wszystko, co jej się udało zapamiętać. Podróż. Czarodziej i Diabeł, obaj z niebieskimi oczami, żadnemu z nich nie sposób ufać. Ona sama jako przedstawicielka sprawiedliwości. Wszystkie ósemki.

Gdy 737 płynął przez lazururowe niebo nad północną Francją, nad Masywem Centralnym, za słońcem na południe, Meredith słuchała przez słuchawki „Suitę Bergamasque” Debussy'ego i pisała, pisała, pisała, aż ręka odmówiła jej posłuszeństwa. Zapełniała jedną stroniczkę po drugiej, na liniowanych kartkach szybko przybywało schludnych notatek i szkiców. Jak zapętlone, ciągle na nowo powracały do niej słowa wróżki.

„Przeszłość miesza się z terażniejszością”.

I przez cały czas czuła przy sobie obecność kart wetkniętych do torby wrzuconej na półkę nad głową. Jakby siedział koło niej nieproszony gość.

Szatańska księga obrazów.

CZĘŚĆ III Rennes-les-Bains

Wrzesień 1891

ROZDZIAŁ 18

Paryż

Czwartek, 17 września 1891

W chwili gdy zapadła decyzja o wizycie u Izoldy Lascombe, Anatol zaczął organizować wyjazd.

Od razu po śniadaniu wysłał napisany przez matkę telegram z potwierdzeniem, kupił bilety kolejowe na następny dzień, a Marguerite poprosił, by poszła z Leonie po zakupy i pomogła się córce zaopatrzyć we wszystko, co będzie potrzebne w czasie miesiąca na wsi. Zajrzały najpierw do La Maison Leoty, po komplet ekskluzywnej bielizny, dzięki której dziewczyna zyskała talię osy i poczuła się doroślejsza. W La Samaritaine Marguerite kupiła córce nową suknię popołudniową oraz komplet spacerowy, odpowiedni na wiejskie warunki jesienią. Przez cały czas zakupów była ujmująca i czuła, ale równocześnie jakby zagubiona w myślach. Leonie zorientowała się, że robią sprawunki na konto generała, i westchnęła z rezygnacją, uświadamiając sobie, że po powrocie do Paryża może zastać w domu nowego ojca.

Była podekscytowana, lecz jednocześnie dziwnie rozbita. Przypisała ten stan skutkom wydarzeń z poprzedniego wieczoru. Nie miała jeszcze okazji porozmawiać z bratem na osobności ani wypytać go o zastanawiającą zbieżność w czasie, dzięki której

zaproszenie przyszło w tak odpowiedniej dla niego chwili.

Po obiedzie, korzystając z pięknego popołudnia, matka i córka wybrały się na spacer do Parc Monceau, ulubionego miejsca spotkań dzieci reprezentantów różnych narodów, zajmujących pobliskie ambasady. Grupka chłopców z zapamiętaniem bawiła się w chowanego. Wianuszek dziewcząt z kokardami i w białych halkach, strzeżony przez nianie oraz ciemnoskórych strażników, grał w klasy. Ponieważ Leonie, będąc dzieckiem, uwielbiała grać w la marelle, zatrzymały się, by popatrzeć, jak dzieci rzucają kamykiem i przeskakują na kolejne kwadraty. Sądząc po wyrazie twarzy Marguerite, ona także wspominała czasy dzieciństwa z rozrzewnieniem.

–Dlaczego nie byłaś szczęśliwa w Domaine de la Cade? spytała córka.

–Po prostu nie czułam się komfortowo w tamtym otoczeniu, chérie.

–Ale dlaczego? Ze względu na towarzystwo? Czy samo miejsce?

Marguerite leciutko uniosła ramiona, jak zawsze, gdy nie życzyła sobie kontynuowania tematu.

–Przecież musi być jakiś powód – naciskała Leonie.

Matka westchnęła zrezygnowana.

–Mój przyrodni brat był oryginałem i samotnikiem – rzekła w końcu.

–Nie życzył sobie towarzystwa znacznie młodszego rodzeństwa, nie mówiąc już o jakiegokolwiek odpowiedzialności za drugą żonę ojca. Czuliśmy się w domu jak nieproszeni goście.

Leonie pogrzyżyła się w myślach.

–Jak sądzisz, czy mnie się tam spodoba? – zapytała po chwili.

–Z całą pewnością – oświadczyła Marguerite odrobinę zbyt szybko. – Posiadłość jest naprawdę urocza. Poza tym, jak sądzę, w ciągu trzydziestu lat wprowadzono sporo udoskonaleń.

–A dom? Marguerite milczała.

–Mamo?

–Dawno tam nie byłam – rzekła w końcu. – Na pewno wiele się zmieniło.

W dniu wyjazdu, w piątek osiemnastego sierpnia, rano wstał mglisty i wilgotny.

Leonie obudziła się bardzo wcześnie lekko podenerwowana. W dzień wyjazdu ogarnęła ją niespodziewana tęsknota za światem, który miała na jakiś czas porzucić. Odgłosy miasta – choćby ćwierkanie wróbli siedzących rzędem na brzegu dachu – budziły w niej smutek, znajome twarze sąsiadów i sprzedawców nagle zyskały nieoczekiwany urok. Cały rano dziewczyna co chwila ocierała łzy.

Anatol robił podobne wrażenie, wyraźnie spięty i zdenerwowany. Usta miał zaciśnięte, wzrok czujny, wciąż wyglądał przez okno salonu na ulicę.

Wreszcie pokojówka oznajmiła przybycie powozu.

–Zawiadam woźnicę, że już schodzimy – rzucił.

–Nie przebierasz się? – spytała Leonie, ze zdziwieniem patrząc na szary surdut. – Jesteś ubrany do biura.

–W tym rzecz właśnie – odparł z ponurą miną. – Takie chcę zrobić wrażenie. Jak tylko zostawimy za sobą Paryż, przebiorę się w coś mniej oficjalnego.

Dziewczyna spłonęła rumieńcem. Że też sama się nie

domyśliła.

Oczywiście. Anatol wziął cylinder.

–Spieszmy się, petite, bo nam pociąg ucieknie. Bagaże już załadowano, więc mogli od razu wsiadać.

Leonie uściskała matkę i obiecała często pisać. Marguerite miała zaczerwienione oczy, więc i córkę zapiekły łzy pod powiekami. I w końcu kilka chwil pożegnania na rue de Berlin przyniosło więcej czułości, niż można się było spodziewać.

–Saint-Lazare! – rzucił Anatol głośno, wsiadając do fiacre. – Dworzec Saint-Lazare!

Powóz ruszył. Gdy skręcał w rue d'Amsterdam, Leonie opuściła okno i zawołała do matki stojącej samotnie na chodniku.

Au rewir, maman! Do widzenia! Usiadła i osuszyła łzy chusteczką. Brat ujął ją za rękę.

–Na pewno da sobie bez nas radę, zobaczysz. Dziewczyna pociągnęła nosem.

–Du Pont się nią zajmie – zapewnił siostrę.

–Tak, to prawda. – Westchnęła cichutko. – Ale czy ty się czasem nie pomyliłeś? – Zwróciła na brata baczne spojrzenie. – Wydawało mi się, że ekspres odchodzi z dworca Montparnasse?

–Gdyby ktoś słuchał – odrzekł konspiracyjnym szeptem – sądziłby, że pojechaliśmy na zachodnie przedmieścia.

–Rozumiem. To błaga.

Anatol uśmiechnął się szeroko i pokiwał głową.

Po przyjeździe na Gare Saint-Lazare kazał dyskretnie przenieść bagaże do drugiego powozu. Pozornie beztrosko rozprawiał z woźnicą, jednak zdradzały go krople potu na czole i policzki zaczerwienione z gorąca mimo rześkiej aury.

–Dobrze się czujesz? – spytała Leonie z troską.

–Tak – odparł automatycznie, po czym dodał: – Cała ta... intryga wytrąciła mnie z równowagi. Będę w znacznie lepszym nastroju, jak oddalimy się od Paryża.

–Zaproszenie ciotki spadło nam jak z nieba. Co byś zrobił, gdyby nie nadeszło?

–Coś bym wymyślił.

Leonie czekała na dalszy ciąg, ale brat zamilkł.

–Czy mama wie o twoich... zobowiązaniach zaciągniętych w Chez

Frascati? – spytała w końcu.

Anatol nie odpowiedział wprost.

–Gdyby ktoś do niej przyszedł z jakimiś żądaniami, powie, że wyjechałem do Saint-Germain-en-Laye. Stamtąd pochodzi rodzina Debussy'ego, więc informacja bardzo prawdopodobna. – Położył siostrze dłonieną ramionach. – Czy to ci wystarczy, petite?

Dziewczyna przechyliła głowę na bok. – Tak.

–I nie będziesz mnie więcej przepytowała? Uśmiechnęła się przepraszająco.

–Nie będę.

Na Gare Montparnasse Anatol rzucił woźnicy należność i wpadł do hali dworca, jakby sto diabłów go goniło. Leonie pognała za nim, świadoma, że powinni byli być widziani na Saint-Lazare, nie tutaj.

Sprawdzili listę odjazdów. Anatol sięgnął po zegarek i ponieważ Przypomniał sobie, że kieszeń kamizelki jest pusta.

–Zgubiłeś zegarek?

–Skradziono mi go – rzucił lekko.

Ruszyli wzdłuż peronu, szukając swoich miejsc. Leonie

odczytywała na tabliczkach nazwy miejscowości, w których zatrzymywał się pociąg: Laroche, Tonnerre, Dijon, Macon, Lyon-Perranche – o szóstej wieczorem. potem Valence, Avignon i w końcu Marsylia.

Jutro, innym pociągiem, pojedą z Marsylii do Carcassonne, a w niedzielę rano do miejscowości o wdzięcznej nazwie Couiza-Montazels, ostatniego przystanku przed Rennes-les-Bains. Stamtąd powozem szybko dotrą do Domaine de la Cade. Tak twierdziła ciotka.

Anatol kupił gazetę i schował się za zadrukowanymi stronami. Leonie przyglądała się ludziom. Panom w dziennych garniturach i cylindrach, paniom w sukniach o szerokich spódnicach. Jakiś żebrak o wychudłej twarzy i brudnych dłoniach stanął pod oknem przedziału pierwszej klasy i prosił o jałmużnę, póki strażnik go nie przepędził.

W końcu rozległ się ostatni donośny gwizd, a z potężnej lokomotywy wytrysnęła struga pary. Posypały się iskry. Zazgrzytał metal trący o metal, buchnęła kolejna chmura pary z czarnego komina i wreszcie koła zaczęły się obracać.

Enfin.

Nareszcie.

Pociąg zaczął nabierać szybkości. Leonie usiadła i patrzyła, jak Paryż znika w tumanach białego dymu.

ROZDZIAŁ 19

COUIZA

Niedziela, 20 września

Leonie była bardzo zadowolona z trzydniowej podróży przez Francję. Gdy tylko ekspres minął banlieue, smętne paryskie przedmieścia, Anatol odzyskał dobry humor. Przez całą drogę zabawiał siostrę dykteryjkami, grą w karty oraz snuciem planów na temat pobytu w górach.

Tuż po szóstej w piątkowe popołudnie wysiedli w Marsylii. Następnego dnia ruszyli wzdłuż wybrzeża do Carcassonne. Tam spędzili noc w okropnym hotelu, gdzie nie było ciepłej wody, a obsługa miała muchy w nosie. Leonie obudziła się z bólem głowy, a na dodatek, ponieważ w niedzielę z samego rana niełatwo było ofiacre, mało brakowało, a nie zdążyliby na kolejny pociąg.

Udało się jednak i gdy tylko ruszyli w drogę, Leonie poprawił się nastrój. Przewodnik leżał porzucony na siedzeniu, tuż obok tomu opowiadań, bo to, co działo się za oknem, było ciekawsze niż książki. Krajobraz południa zawładnął sercem dziewczyny.

Szlak wiódł doliną rzeki Aude, w stronę Pirenejów. Z początku tory ciągnęły się wzdłuż drogi. Okolica była płaska i niezamieszkała. Wkrótce jednak pokazały się rzędy winorośli, od czasu do czasu przerwane polem słoneczników o twarzach zwróconych ku słońcu.

Raz dostrzegła jakąś wioskę, zaledwie garstkę domów przycupniętych malowniczo na zboczu odległego wzgórza. Potem jeszcze jedną. Domy odachach z czerwonych dachówek otoczyły kościół ze strzelistą wieżą. I wszędzie kwiaty: różowe malwy,

bugenwilla, bez, lawenda i maki. Zielone, kolczaste kasztany ciążyły na gałęziach drzew. W oddali między zielenią połyskiwały liście rude i złote, jedyny znak, że na progu już stała jesień.

Mijali wieśniaków w niebieskich bluzach, sztywnych i błyszczących, jakby polakierowanych, na mankietach i kołnierzach zdobionych haftami. Kobiety chroniły się przed słońcem pod szerokimi rondami słomkowych kapeluszy. Mężczyźni o ogorzałych twarzach odwracali się plecami do wiatru. Trwały późne żniwa.

W Limoux, nieco większym mieście, pociąg miał piętnastominutowy postój. A potem wjechali w zupełnie inny krajobraz: górzysty, skalisty, ostrzejszy niż równiny, które ustąpiły miejsca charakterystycznemu dla prowincji Hautes Corbieres garrigue – niezbyt wysokim, ale nieomal pionowym zboczom, obrośniętym niską roślinnością i poprzecinanym gołymi piargami. Pociąg turkotał, zawieszony nad rzeką, aż w pewnym momencie, za którymś zakrętem, wyłoniły się przed nim niebiesko-białe Pireneje, połyskliwe od gorącego powietrza.

Leonie wstrzymała oddech. Góry zdawały się potężnym murem, łączącym ziemię z niebem. Wspaniałe, dumne, niepokonane. W obliczu takiego splendoru niczym były wszelkie konstrukcje, stworzone przez człowieka: metalowa wieża Eiffla, wielkie bulwary barona Haussmanna, nawet piękny budynek opery, zaprojektowany przez Garniera. Tutaj królowała zupełnie inna skala: ziemia, powietrze, ogień i woda. Cztery żywioły, widoczne gołym okiem, wyraźne jak klawisze fortepianu.

Pociąg sapał i gwizdał, wyraźnie zwolnił, z wysiłkiem szarpał wagony. Leonie opuściła okno. Ciepłe powietrze gładziło ją po twarzy. W cieniu jednego z szarych klifów wykwit! raptem las, połyskliwy zielenią, upstrzony czerwienią i złotem. Dziewczyna zauroczona ślizgała się wzrokiem po cudnych widokach, aż jednostajny ruch pociągu i monotonna pieśń kół zamknęły jej powieki.

Zbudził ją pisk hamulców.

Zamrugła, otworzyła oczy i przez chwilę nie mogła sobie uprzytomnić, gdzie się znajduje ani co się z nią dzieje. Opuściła wzrok i wtedy dostrzegła na kolanach przewodnik, a naprzeciwko zobaczyła brata. Wszystko jej się przypomniało w jednej chwili. Już nie Paryż. Już trzeci dzień podróży na południe.

Pociąg zwalniał. Wreszcie stanął na stacji.

Dziewczyna sennie wyjrzała przez zakurzone okno. Próbowwała odszyfrować wyblakłe litery na szyldzie z nazwą miejscowości. 1 wtedy usłyszała naczelnika stacji, który z ciężkim południowym akcentem obwieścił wielkim głosem:

–Couiza-Montazels. Dix minut es darret.

Dziesięć minut!

Wyprostowała się jak struna, stuknęła brata w kolano.

–Anatol, nous sommes là. Leve-toi.

Niechże on się obudzi, jesteśmy na miejscu.

Już słyszała otwierane drzwi, walące ciężko w malowany na zielono bok wagonu. Jak chaotyczny aplauz na Concerts Lamoureux.

–Anatol! – powtórzyła, tym razem przekonana, że brat udaje. – Cest l'heure. Już czas. Jesteśmy w Couizie.

Wychyliła się przez okno.

Chociaż było po sezonie, a w dodatku mieli akurat niedzielę, na podróżnych czekał rząd tragarzy wspartych o drewniane wózki z wysokimi plecami. Większość mężczyzn miała czapki zsunięte z czoła, rozpięte kamizelki, a rękawy podwinięte do łokci.

Dziewczyna podniosła rękę.

–Tortem, s'il vous plait! – zawołała. Niech już oni wybiorą, który podjedzie.

I rzeczywiście, jeden ruszył w stronę pociągu, na pewno skuszony perspektywą zarobienia kilku sous. Leonie cofnęła się od okna, by zebrać bagaże.

Raptem drzwi stanęły otworem.

–Panienka pozwoli.

Na podeście stał jakiś mężczyzna. Zaglądał do przedziału.

–Nie ma potrzeby, damy sobie radę...

Nieznajomy omiół wzrokiem śpiącego Anatola oraz bagaż, ciągle jeszcze leżący na półkach, i bez zaproszenia wszedł do przedziału.

–Nalegam.

Leonie od razu poczuła do niego antypatię. Nakrochmalony kołnierzyk, dwurzędowa marynarka i cylinder zdradzały dżentelmena, lecz jednak było w nim coś niezupełnie comme il faut. Impertynenckie spojrzenie.

–Bardzo dziękuję, ale nie ma potrzeby – odmówiła stanowczo. – Wyczuła w jego oddechu śliwkową brandy. – Jestem ogromnie wdzięczna...

On jednak, nie czekając na pozwolenie, już zdejmował walizy i kufry z drewnianych półek. Leonie zauważyła, że przyglądał się oznaczeniom na rzeczach Anatola. Odstawił na brudną podłogę kolejną walizkę.

Dziewczyna pociągnęła brata za ramię.

–Anatolu, voila Couiza. Obudź się!

Wreszcie zaczął przejawiać jakieś oznaki życia. Powieki mu drgnęły, otworzył oczy, rozejrzał się leniwie dookoła, jakby zdziwiony, że znajduje się w przedziale kolejowym. Potem dojrzał

siostrę i na jego usta wypłynął uśmiech.

–Chyba się zdrzemnąłem. – Przeciągnął palcami po włosach. –
Desole.

–Nie masz za co przepraszać.

Kuferek z osobistymi drobiazgami Anatola huknął o podłogę.
Nieznajomy sięgnął po lakierowane pudło z robótkami.

–Ostrożnie! – ostrzegła go dziewczyna. – Jest bardzo cenne.

Mężczyzna podniósł na nią wzrok, po czym opuścił spojrzenie
na pudło i widniejące na nim złote inicjały: L.V.

–Oczywiście. Proszę się nie martwić.

Anatol wstał i w tej samej chwili przedział się skurczył. Vernier
przyjrzał się swojemu odbiciu w lustrze, poprawił kołnierzyk,
kamizelkę, strzepnął mankiety. Następnie schylił się i jednym
płynnym gestem chwycił kapelusz oraz rękawiczki.

–Idziemy? – Podał siostrze rękę.

Dopiero wtedy zauważył, że bagaże zostały wyniesione z
pociągu. Spojrzał na obcego.

–Bardzo panu dziękuję. Jesteśmy wdzięczni...

–Nie ma za co, doprawdy. Cała przyjemność po mojej stronie,
panie...

–Vernier. Anatol Vernier. A to moja siostra, Leonie.

–Raymond Denarnaud, do usług. – Uchylił kapelusza. –
Państwo zostają w mieście? Chętnie pomogę...

Gwizd pociągu zagłuszył jego słowa.

En voiture! Podróżni udający się do Quillan i Esperazy, proszę
wsiadać!

–Musimy się odsunąć – powiedziała Leonie.

–Będziemy blisko, ale nie w mieście! – Anatol przekrzykiwał

syczenie kotła parowego. – Pod Rennes-les-Bains.

Denarnaud się rozpromienił.

–Moje rodzinne okolice.

–Zatrzymamy się w Domaine de la Cade. Pan zna ten majątek?

Leonie patrzyła na brata w osłupieniu. Najpierw naciskał na zachowanie dyskrecji, uciekali z Paryża jak przestępcy, a tutaj, zaledwie trzy dni drogi od domu, bez zastanowienia zdradzał wszystkie sekrety kompletnie obcemu człowiekowi.

–Domaine de la Cade – powtórzył Denarnaud. – A tak, znam tę posiadłość.

Z komina buchnął dym, pociąg drgnął. Leonie nerwowo odstąpiła w tył, Denarnaud wskoczył na schodek.

Raz jeszcze dziękuję za pomoc – rzekł Anatol. Wymienili się wizytówkami i w obłoku pary podali sobie ręce. Gdy pociąg odjechał, na peronie zapadła względna cisza.

–Miły człowiek – rzekł Anatol.

W oczach dziewczyny zapalił się gniew.

–Kazałeś mi zachować tajemnicę, a teraz sam,...

–Byłem zwyczajnie uprzejmy – uciął Anatol. Dworcowy zegar wybił godzinę.

–Najwyraźniej w dalszym ciągu jesteśmy we Francji – rzekł Anatol.

Przyjrzał się siostrze uważniej. – O co chodzi? Coś zrobiłem źle? Czegoś

nie zrobiłem?

Dziewczyna westchnęła rozbrojona.

–Gorąco mi i jestem zirytowana. Nudziłam się, nie miałam z kim porozmawiać. A ty zostawiłeś mnie na łasce tego nieprzyjemnego człowieka.

–O, nie przesadzajmy, Denarnaud nie jest taki znowu ostatni – sprzeciwił się Anatol, ściskając jej dłoń. – Niemniej jednak błagam cię o wybaczenie straszliwej zbrodni, niech mi zostanie zapomniane, że zasnąłem.

Leonie wzniosła oczy do nieba.

–Chodź, petite. Jak coś zjemy i wypijemy, od razu poczujesz się lepiej.

ROZDZIAŁ 20

W chwili gdy wyszli z cienia budynku stacji, słońce zaatakowało pełną mocą. Z ziemi podniosły się brązowe chmury kurzu, poruszone wiatrem, który zdawał się wiać ze wszystkich stron jednocześnie. Leonie nie bez trudu otworzyła parasolkę.

Załatwiając sprawy z bagażowym, rozglądała się po okolicy. Nigdy wcześniej nie zawędrowała aż tak daleko na południe. Ściśle rzecz biorąc, poza wycieczkami na obrzeża Paryża bywała w Chartres i na piknikach nad brzegiem Marny. Nigdzie indziej. Tutaj Francja była całkiem odmienna. Dziewczyna rozpoznawała niektóre znaki drogowe i zdołała przeczytać kilka szyldów, zapraszających na aperitif, polerowanie woskiem albo po syrop na kaszel, ale to był zupełnie inny świat.

Ze stacji wychodziło się bezpośrednio na ulicę obrzeżoną drzewkami cytrynowymi, na której panował ożywiony ruch. Widziała kobiety o twarzach pociemniałych od wiatru i słońca, woźniców i kolejarzy, bose dzieci przez nikogo niepilnowane, jakiegoś mężczyznę ubranego w kurtę robotnika, bez kamizelki, niosącego bochen chleba pod pachą, oraz innego, w czarnym garniturze, z krótko ostrzyżonymi włosami. Wyraźnie nauczyciel. Przejechał wózek z psim zaprzęgiem, wyładowany opalem. Leonie miała wrażenie, że znalazła się na scenie „Opowieści Hoffmanna” Offenbacha, gdzie zatrzymał się czas.

–Wygląda na to, że jest przyzwoita restauracja na Avenue de Limoux – poinformował Anatol, zjawiając się u jej boku z egzemplarzem „La De-peche de Toulouse” zatkniętym pod pachę. – W razie potrzeby znajdziemy też telegraf, telefon i poste restante. W Rennes-les-Bains najwyraźniej także, wobec czego nie będziemy całkowicie odcięci od cywilizacji. – Wyjął z kieszeni zapalki, stuknął papierosem w pokrywę papierośnicy, ubijając tytoń. – Obawiam się jednak, że taki luksus jak powóz jest

nieosiągalny. Potarł zapałką o draskę. – Po sezonie, w niedzielę, nie da rady.

Grand Cafe Guilhem znajdowała się po drugiej stronie mostu. Kilka marmurowych stolików na nogach z kutego żelaza oraz drewniane krzesła o prostych oparciach i wiklinowych siedzeniach ustawiono w cieniu dużej markizy, biegnącej przez całą długość restauracji. W podłużnych terakotowych doniczkach kwitły pelargonie, a w okrągłych drewnianych, z metalowymi obręczami, przypominających beczki od piwa, posadzono drzewka ozdobne. Rośliny zapewniały jeżdżącym nieco intymności.

–Daleko jej do Cafe Paillard – oceniła Leonie – ale jak się nie ma co się lubi...

Anatol uśmiechnął się lekko.

–Nie sądzę, żeby tu mieli prywatne salki, ale na tarasie też da się wy

trzymać, jak uważasz?

Gdy zostali poprowadzeni do stolika, Anatol zamówił posiłek dla nich obojga i pogрузzył się w niezobowiązującej rozmowie z właścicielem. Leonie, nieciekawą, co patron ma do powiedzenia, leniwie obserwowała najbliższą okolicę. Tę ulicę ocieniały rzędy platanów o plamistej korze, maszerujących drzew Napoleona. Co interesujące, nie tylko sama Avenue de Limoux, ale także odchodzące od niej przecznice miały utwardzoną nawierzchnię. Może dlatego, że z powodu bliskiego sąsiedztwa term w sezonie z pewnością panował tu duży ruch wszelkich pojazdów prywatnych i publicznych.

Anatol strzepnął serwetkę i rozłożył ją na kolanach.

Pojawił się kelner z napojami ustawionymi na tacy. Przyniósł dzbanek wody. dużą szklanekę zimnego piwa dla Anatola i pichet, pękaty dzbanuszek miejscowego vin dc table. Zaraz też pojawiło się jedzenie. Bochenek chleba, jajka na twardo, galaretka mięsna,

zimna wieprzowina, trochę miejscowego sera i plastry pieczeni z kurczaka w galarecie. Niezbyt wymyślne, lecz sycące.

–Nie najgorsze – ocenił Anatol po pierwszych kęsach. – A nawet zaskakująco dobre.

Leonie wstała od stołu między daniami. Gdy wróciła po jakichś dziesięciu minutach, zastała brata pogrążonego w rozmowie z dwoma dżentelmenami, siedzącymi przy sąsiednim stoliku. Starszy ubrany był dość oficjalnie, jak bankier albo prawnik, miał ciemny garnitur, cylinder i – mimo gorąca – nienagannie wykrochmalony kołnierzyk oraz krawat. Młodszy, o jasnych włosach, szczyił się bujnym wąsem.

–Pozwolą panowie, że przedstawię: moja siostra, Leonie. Siostrzycz

ko, pan doktor Gabignaud i mistrz Fromilhague.

Obaj mężczyźni wstali z krzeseł, unieśli kapelusze.

–Pan Gabignaud właśnie mi opowiadał o swojej pracy w Rennes-les-Bains – wyjaśnił Anatol, gdy Leonie ponownie usiadła przy stole. – Wspomniał pan, że przez trzy lata praktykował pan z doktorem Courrentem...

–W rzeczy samej. – Gabignaud energicznie pokiwał głową. – Trzy lata. Wody w Rennes-les-Bains są nie tylko najstarsze w okolicy, ale także niekiedy tak szczególne, że można je wykorzystywać do leczenia znacznie szerszej gamy wszelakich dolegliwości niż w jakimkolwiek innym uzdrowisku. Proszę sobie wyobrazić, jest między nimi wyjątkowe źródło, source clii Buin Fort, które ma pięćdziesiąt dwa stopnie, czyli...

–Państwo nie muszą znać szczegółów – burknął Fromilhague.

Młody doktor poczerwieniał.

–Tak, oczywiście. No cóż. Miałem szczęście zostać zaproszony na oględziny podobnego przedsięwzięcia gdzie indziej – podjął – i przez kilka tygodni pobierałem nauki u doktora

Privata w Lamalou-les-Bains.

–Nie znam Lamaïou – przyznała Leonie.

**–Zadziwia mnie pani, mademoiselle. To prześliczny kurort, także wywodzący się z czasów rzymskich, niedaleko od Beziers.
– Zniżył głos. – Choć jest równocześnie dość ponurym miejscem, w kręgach medycznych znanym głównie z leczenia luesu.**

Fromilhague plasnął otwartą dłonią w stół, aż podskoczyły filiżanki z kawą.

–Gabignaud! Pan się zapomina!

Doktor spiekł raka.

–Proszę o wybaczenie, mademoiselle Vemier. Nie chciałem pani obrazić.

Leonie, zdumiona, zmierzyła pana Fromilhague lodowatym spojrzeniem.

Panie Gabignaud – powiedziała – może pan być pewien, że nie czuję się obrażona. – Przeniosła spojrzenie na brata, który z trudem hamował śmiech.

Mimo wszystko, drogi panie Gabignaud. nie jest to rozmowa właściwa w mieszanym towarzystwie.

–Oczywiście, oczywiście – przytaknął doktor. Moje żywe zainteresowanie kwestiami medycznymi często prowadzi mnie na manowce... zapominam, że takie sprawy nie są...

–Przyjechali państwo do wód? – zapytał Fromilhague, demonstrując przyciężką kurtuazję.

–Jesteśmy na zaproszenie ciotki, która ma posiadłość niedaleko Rennes-les-Bains. Majątek nazywa się Domaine de la Cade.

W oczach lekarza odbiło się zaskoczenie. A może troska?

–Ach, więc to państwa ciotka... – rzekł Gabignaud.

Leonie przyglądała mu się uważnie.

–Dokładnie rzecz biorąc, żona zmarłego wuja – potwierdził Anatol.

On także zauważył wahanie rozmówcy. – Jules Lascombe był przyrodnim bratem naszej matki. Jak dotąd nie mieliśmy przyjemności poznać tutejszych krewnych.

–Czy powinniśmy coś wiedzieć? zapytała Leonie.

–Nie, nie, nic nie przychodzi mi do głowy – zapewnił ją Gabignaud. Proszę mi wybaczyć, nie wiedziałem, że Lascombe miał tak bliską rodzinę.

Był spokojnym człowiekiem, rzadko mówił o sobie... Szczerze mówiąc, zaskoczyła nas jego decyzja o małżeństwie... w tak późnych latach życia...

Wydawał się zaprzysięgłym samotnikiem. I sprowadził żonę do tego domu... w miejsce o takiej reputacji...

–Jakiej reputacji? zdziwiła się dziewczyna.

Ale jej ciekawość pozostała niezaspokojona, bo Anatol także zadał pytanie.

–Pan znał Lascombe'a?

–Niezbyt dobrze, ale zostaliśmy sobie przedstawieni. Państwo Lascombe przyjeżdżali tu na lato przez pierwsze lata małżeństwa. Pani wolała miasto, dlatego wyjeżdżała na kilka miesięcy w roku.

–Nie leczył pan mojego wuja?

Gabignaud pokręcił głową.

–Nie miałem tego zaszczytu. Zasięgał porad u lekarza w Tuluzie. Od wielu lat miał kłopoty ze zdrowiem, lecz mimo wszystko odszedł od nas wcześniej, niż można się było spodziewać. Nie dał rady chłodom na początku roku. Gdy stało się jasne, że tym razem nie wydobrzeje, na początku stycznia

pani Lascombe wróciła do Domaine de la Cade. Spędziła z mężem już tylko kilka dni. Oczywiście, nie obyło się bez plotek...

–Gabignaud! – przerwał mu Fromilhague. – Trzymajże pan język za zębami!

Młody mężczyzna znowu poczerwieniał.

Fromilhague dał wyraz swojemu niezadowoleniu, wzywając kelnera. Wiele czasu poświęcił na dokładne przypomnienie, co było serwowane, na sprawdzanie rachunku i ocenę jakości potraw, więc dalsza rozmowa między dwoma stolikami okazała się niemożliwa.

Anatol zostawił szczodry napiwek. Fromilhague rzucił na stół banknot i wstał.

–Mademoiselle Vernier, panie Vernier – rzekł bez uśmiechu, jedynie

uchylając kapelusza. – Gabignaud, czas na nas.

Ku zdumieniu Leonie młody doktor podniósł się bez słowa.

–Dlaczego nie wolno mówić o Lamalou? – spytała brata, gdy tylko dwaj nowi znajomi oddalili się na tyle, że nie mogli usłyszeć jej słów. – I dlaczego doktor Gabignaud pozwala, żeby pan Fromilhague tak go tyranizował?

–Lamalou to miejsce znane ze spektakularnych osiągnięć w leczeniu syfilisu. – Anatol wyszczerzył w uśmiechu wszystkie zęby. – Stosuje się tam najnowsze osiągnięcia medycyny. A jeśli chodzi o zachowanie Gabignauda, to młody lekarz z pewnością potrzebuje wsparcia uznanego mistrza. Pod każdym względem. W takiej niewielkiej miejscowości od tego zależy sukces lub porażka jego praktyki. – Zaśmiał się głośno. – Lamalou -les-Bains! Coś podobnego!

–A dlaczego pan Gabignaud był tak zaskoczony, kiedy mu powiedziałam, że zatrzymamy się w Domaine de la Cade? I co to znaczy, że dom ma „taką reputację”?

–Gabignaud za dużo mówi. a Fromilhague nie lubi plotek i tyle. Dlatego uciszył doktorka.

Leonie pokręciła głową.

–To nie wszystko. Pan Fromilhague nie pozwolił mi dokończyć myśli. Anatol zbył sprawę wzruszeniem ramion.

–Fromilhague wygląda na człowieka, który często się irytuje. I najwyraźniej nie podoba mu się, że Gabignaud miele ozorem jak baba!

Leonie wywaliła język na całą długość.

–Podły!

Anatol otarł wąsy, rzucił serwetkę na stół, odepchnął krzesło i wstał.

–Alors, on y va. Przejdźmy się po mieście. Zobaczymy, czym się może pochwalić Couiza.

ROZDZIAŁ 21

Paryż

Stolica Francji przycichła. Po ruchliwym ranku pod znakiem handlu nastąpiło popołudnie, duszne i zakurzone, przesiąknięte woniami gnijących owoców i warzyw. Ósmy arrondissement opustoszał. Zniknęli przekupnie i wózki mleczarzy, żebracy i taczki, na których dowożono towar. Zostały tylko odpadki i śmieci, osad mijającego dnia.

W mieszkaniu rodziny Vernier przy rue de Berlin panowała cisza. Osnuło je sinawe światło nadchodzącego wieczoru. Meble, spowite w białe prześcieradła, czekały na powrót mieszkańców. Okna salonu zamknięto, zaciągnięto żółte zasłony. Tapeta we wzory roślinne, niegdyś pyszna w swej doskonałości, dziś wypłowiła w miejscach, gdzie codziennie spoglądało na nią słońce, nabrała fioletowego odcienia. Nad kilkoma niezastłoniętymi meblami tańczyły drobinki kurzu.

Na stole został zapomniany wazon z różami. Kwiaty zwiesiły głowy, tęskniąc za słodką wonią. W powietrzu unosił się inny, ledwo wyczuwalny zapach, obcy temu miejscu, kwaśny. Turecki tytoń, przywodzący na myśl wschodnie bazary. I budzący zdziwienie tutaj, tak daleko od morza, zapach słonej wody. Ten wydobywał się z szarego stroju mężczyzny, który nieruchomo jak posąg tkwił przed kominkiem. Rzucił cień na tarczę zegara stojącego na gzymsie nad paleniskiem.

Był to człowiek silny, potężnie zbudowany, o szerokich barach i wysokim czole. Miał ciało awanturnika, nie estety. Ciemne brwi stanowiły zdecydowaną oprawę dla intensywnie niebieskich oczu o smolistych źrenicach.

Na jednym z mahoniowych krzeseł siedziała sztywno

wyprostowana Marguerite. Różowy negliż, zawiązany pod szyją na żółtą jedwabną kokardę, delikatnie obejmował jej nieskazitelnie białe ramiona. Tkanina spływała na tapicerowane podłokietniki i niżej, na siedzisko, jakby ułożona przez artystę. Jedynie wyraz oczu kobiety nie pasował do idyllicznego obrazka. A także fakt, że ręce miała wykręcone do tyłu i skrępowane drutem.

Drugi mężczyzna, o ogolonej czaszce, pokrytej szkarłatnymi bliznami i plamami, stał za krzesłem, czekając na polecenia swojego pana.

–A więc gdzie on jest? – rozległy się słowa wypowiedziane lodowatym

tonem.

Marguerite podniosła wzrok na oprawcę. Ciągle jeszcze miała w pamięci dreszcz podniecenia, jaki ją przeszedł, gdy zobaczyła go po raz pierwszy, i stale go za to nienawidziła. Ze wszystkich mężczyzn, z jakimi się w życiu zetknęła, tylko jeden jeszcze, jej ukochany mąż, Leo Vernier potrafił w niej obudzić równie silne emocje.

–Widziałam pana w restauracji – powiedziała. – W Chez Voisin. Jakby jej nie słyszał.

–Gdzie jest Vernier?

–Nie wiem – powtórzyła setny raz. – Przysięgam, nie wiem. Jest dorosły, nie musi mi się opowiadać. Często wychodzi z domu bez słowa.

–Tak, tak, oczywiście. Anatol Vernier, jak najbardziej. Ale gdzie wobec tego jest twoja córka? Ona nie wychodzi, kiedy jej się spodoba. A jakoś jej tu nie widzę.

–Jest u przyjaciół.

–I on też?

–Naprawdę nie wiem, gdzie go szukać. Omiótł spojrzeniem

przykryte meble.

–Na jak długo zamierzasz wyjechać? – spytał.

–Na jakiś miesiąc. Lada moment zjawi się tutaj generał du Pont – rzekła, dbając, by głos jej nie zadrżał. – Ma mnie zabrać...

Służący na znak pana chwycił ją za włosy, szarpnął głowę do tyłu.

–Nie! – krzyknęła.

Pan wstał, podszedł.

Zimny czubek noża na skórze.

–Jeżeli teraz wyjdziecie – choć z ogromnym trudem, nadal mówiła spokojnie – nikomu nic nie powiem. Macie na to moje słowo. Zostawcie mnie i wyjdźcie.

Uderzył ją grzbietem dłoni w twarz. Zimny drań.

–Marguerite, droga moja, nikt po ciebie nie przyjdzie. Jesteś całkiem sama i zdana na moją łaskę. Sąsiadów z dołu nie ma, przecież fortepian milczy. Ci z góry wyjechali na wieś. Twoja służba wyszła, sam widziałem. I kucharka, i pokojówka są przekonane, że już wyjechałaś z du Pontem.

W oczach kobiety błysnął lęk.

Za dużo wiedział.

Victor Constant przysunął krzesło i usiadł – blisko. Czuła na sobie jego oddech. Tuż przed oczami miała elegancki, zadbane wąs oraz pełne czerwone wargi, tym wyraźniejsze, że na tle białej twarzy. Drapieżnik. A za lewym uchem miał niewielki obrzęk.

–Mój przyjaciel...

–Szanowny pan generał otrzymał wiadomość, że wasze spotkanie zostało przełożone na ósmą trzydzieści. Spojrzał na zegar. – Czyli mamy ponad pięć godzin. Sama widzisz, nie ma powodu do pośpiechu. A co pan generał tutaj zastanie, zależy

wyłącznie od ciebie. Znajdzie cię żywą lub martwą, mnie tam wszystko jedno. Czubek noża przesunął się pod oko.

–Nie!

–Obawiam się, chere Marguerite, że każda skaza na urodzie bardzo ci utrudni życie...

–Czego chcecie? Pieniądzy? Czy Anatol jest wam coś winien? Zapłacę jego długi!

–Ach, gdyby to było takie proste! – Constant roześmiał się. – Zresztą twoja sytuacja finansowa nie należy do najlepszych, delikatnie rzecz ujmując. A nie sądzę, żeby generał du Pont, choć szcudroblivy, miał ochotę chronić twego synalka przed bankructwem. – Leciuteńko przycisnął nóż do jasnej skóry kobiety. Pokręcił głową, jakby żałował tego, co musi zrobić. – Tak czy inaczej, nie chodzi o pieniądze. Vernier zabrał mi coś znacznie cenniejszego.

Marguerite usłyszała w jego głosie niepokojącą zmianę. Poruszyła się nerwowo, chciała uwolnić ręce, ale w efekcie tylko zacisnęła więzy. Drut przeciął jej skórę na nadgarstkach. Pocięła krew. Czerwone krople jedna za drugą spadały na błękitny dywan.

–Błagam! Niech pan mi pozwoli z nim porozmawiać! Na pewno go przekonam, żeby zwrócił pana własność.

–Niestety, na to już za późno – rzekł, gładząc ją po policzku. – Ciekaw jestem, czy w ogóle przekazałaś synowi moją wizytówkę? – Położył dłoń na jej gardle. Zacisnął palce.

Walczyła, wrywała się i rzucała na boki, wszystko na nic. Brakowało jej powietrza. A w jego oczach widziała zadowolenie i radość zwycięstwa. Jedno i drugie przerażało ją w równym stopniu.

Nagle – puścił.

Opadła na oparcie, dysząc ciężko. Oczy miała przekrwione, na

szy brzydkie purpurowe ślady.

–Zacznij od pokoju Verniera – polecił Constant swojemu człowiekowi. – Szukaj dziennika. Mniej więcej tej wielkości. – Rozłożył dłonie, pokazując kształt.

Sługa wyszedł.

–A więc... – podjął Constant, jakby znajdował się na herbatce u przyjaciół – wróćmy do tematu. Gdzie jest twój syn?

Marguerite spojrzała mu prosto w oczy. Serce waliło jej jak młotem, wiedziała, że ten człowiek jest zdolny do wszystkiego. Bała się, ale w życiu przeszła już niejedno.

–Nie wiem powtórzyła.

Tym razem uderzył pięścią, mocno, aż jej głowa odskoczyła do tyłu. W ustach pojawił się słony smak krwi. Poczowała na karku dotyk dłoni w skórzanych rękawiczkach. Constant szybkim ruchem rozwiązał żółtą kokardę. Oddychał szybciej. Buchało od niego gorąco. Jedną ręką podciągnął tkaninę nad kolana, po udzie, jeszcze wyżej.

–Nie, proszę, nie – szepnęła.

–Dopiero minęła trzecia – rzekł, wsuwając jej lok za ucho w parodii czułości. – Mamy mnóstwo czasu. Na pewno cię przekonam, żebyś zaczęła mówić. I myśl o Leonie, kochana. O swojej ślicznej córeczce. Trochę zbyt egzaltowana, jak na mój gust, ale jakoś to przeboleję.

Zsunął jedwab z jej ramion.

Marguerite ucichła, zapadła się w siebie, jak już niejedną raz wcześniej. Oczyszczyła umysł, wypchnęła z niego obraz brutala. Nawet teraz najsilniejszym uczuciem był wstyd, że serce jej zabiło szybciej, kiedy otworzyła mu drzwi i wpuściła go do mieszkania.

Seks i przemoc, dobrze znana para. Zetknęła się z tą mieszkanką wiele, wiele razy. Na barykadach Komuny, na

uliczkach podłych dzielnic, a ostatnio – w eleganckich salonach pod przykrywką układów towarzyskich. Tak wielu mężczyzn potrzebuje nienawiści zamiast pożądania. Zawsze potrafiła to wykorzystać. Poświęcała swoją urodę, swoje wdzięki, żeby córka nigdy nie poznała takiego życia.

–Gdzie jest Vernier?

–Nie wiem.

Zrzucił ją na ziemię, uderzył ponownie. I jeszcze raz.

–Gdzie twój syn?

"Najważniejsze – chronić dzieci. Nie zdradzić ich przed tym człowiekiem. Przed tym potworem. Trzeba mu coś powiedzieć. Ostatnia świadoma myśl.

–Rouen – wyrwało jej się spomiędzy krwawiących warg. – Pojechali do Rouen.

ROZDZIAŁ 22

Rennes-les-Bains

Piętnaście po czwartej, nacieszywszy się atrakcjami Couizy, Leonie i Anatol stanęli przed wejściem do budynku dworca, czekając, aż woźnica załaduje bagaże do courrier publique:

Był to środek transportu znacznie bardziej prymitywny niż pojazdy używane w Carcassonne. Tamte miały siedzenia obite czarną skórą i opuszczane dachy, podobnie jak powozy kursujące po Avenue du Bois de Boulogne, gdy tymczasem ten przypominał raczej chłopski wóz. Wzdłuż dłuższych krawędzi biegły drewniane ławy pomalowane na czerwono. Próżno by szukać jakiegokolwiek poduszki. Boki wozu były całkowicie odsłonięte, jedynie nad głowami pasażerów rozpięto na cienkiej metalowej ramie dwa pasy materiału dla ochrony przed słońcem.

Konie, dwa siwki, miały na łbach białe haftowane osłony przed insektami.

W drogę wybierało się kilka osób: para z Tuluzy mąż z młodziutką żoną, dwie starsze panie – siostry podobne do papużek, rozprawiające przyciszonymi głosami, obie ukryte pod wielkimi kapeluszami, a także, co Leonie stwierdziła z niekłamaną radością, dwaj panowie, poznani wcześniej w Grand Cafe Guilhem. Niestety, pan Fromilhague nie pozwalał rozwinąć skrzydeł młodszemu koledze, mało tego, co kilka chwil wydobywał z kieszeni kamizelki zegarek na łańcuszku i stukał w szkiełko, jakby podejrzewał, że czasomierz przestał działać.

–Zabiegany człowiek – szepnął Anatol siostrze w ucho. – Jeszcze chwila i siądzie na koźle!

Gdy wszyscy zajęli miejsca, woźnica zasiadł na stercie

bagażu, rozstawił szeroko nogi, zapierając się w słupki, i utkwiał wzrok w zegarze na frontonie budynku dworca. W chwili gdy wybiła czwarta trzydzieści, strzeli! z bata i ruszyli.

Dosłownie kilka chwil później znaleźli się na drodze odbijającej na wschód. Biegła ona doliną rzeki, między wysokimi wzgórzami. Ostra zima i tonąca w potopach wiosna, które na dużą część roku uprzykrzyły życie całej Francji, tutaj stworzyły prawdziwy raj. Mijali soczyste pastwiska, które normalnie o tej porze roku byłyby już wysuszoną słońcem pustynią, gęsto porośnięte lasem zbocza gór, pyszniące się jodłami, dębami ostrolist-nymi, leszczyną, kasztanowcami oraz bukami. Wysoko na szczycie jednego ze wzgórz po lewej Leonie dostrzegła ruiny zamku. Stary drewniany znak na poboczu kierował do wioski o nazwie Coustaussa.

Siedzący obok Anatola Gabignaud pokazywał mu charakterystyczne punkty krajobrazu. Leonie wychwytywała jedynie fragmenty ich rozmowy, zagłuszonej przez turkot kół i pobrząkiwanie uprzęży.

–A co to takiego? – zapytał Anatol.

Leonie powiodła wzrokiem za jego dłonią. Na skalistej ścianie, po prawej stronie, wysoko nad drogą, ledwo widoczna przycupnęła jakaś osada, połyskująca w słońcu. Zaledwie garstka zabudowań, uczipiona stromego zbocza.

–To jest Rennes-le-Chatcau – rzekł Gabignaud. Trudno uwierzyć, że kiedyś, w czasach Wizygotów, było stolicą regionu. Dawniej nazywało się Rhedae.

–Co spowodowało jego upadek?

–Karol Wielki, krucjata katarska, hiszpańscy bandyci, zaraza, bezlitosny upływ czasu. Teraz to tylko jedna z wielu górskich wiosek, zapomnianych przez Boga i ludzi, raczej w cieniu Rennes-les-Bains. – Umilkł na chwilę. – Swoją drogą, trzeba przyznać, że miejscowy proboszcz wiele robi dla swoich parafian. Interesujący człowiek.

Anatol przysunął się bliżej.

–Z jakiego powodu?

–Jest uczonym, ambitnym i wpływowym. Wiele osób spekuluje, dlaczego zagrzebał się na prowincji, w takiej ubogiej parafii.

–Może sądzi, że właśnie tu jest potrzebny?

–Mieszkańcy wioski kochają go z całego serca. Zrobił dla nich wiele dobrego.

–W kwestiach materialnych czy duchowych?

–Na obu tych polach. Ot, choćby sprawa kościoła pod wezwaniem świętej Marii Magdaleny. Budynek popadł w ruinę, deszcz moczył podłogi, po opuszczonej świątyni biegały myszy i dzikie zwierzęta, ptaki sobie zakładały gniazda. A proboszcz dokonał cudu. Latem tysiąc osiemset osiemdziesiątego szóstego merostwo przyznało mu dwa i pół tysiąca franków na restaurację kościoła, przede wszystkim na wymianę starego ołtarza.

Anatol uniósł brwi.

–Niebagatelna sumka!

Gabignaud pokiwał głową.

–Powtarzam, co słyszałem. Proboszcz jest człowiekiem obeznanym z kulturą. Mówi się, że przy okazji remontu kościoła znaleziono różne przedmioty o niemałej wartości archeologicznej, co, rzecz jasna, zainteresowało pańskiego wuja.

–Jakie na przykład?

–Głównie chyba fragmenty starego ołtarza, o ile mi wiadomo. Dwa wizygockie filary i starożytny kamień nagrobny – La Dalie des Chevaliers – podobno z czasów Merowingów albo też Wizygotów. Lascombe interesował się tym okresem, więc był mocno zaangażowany we wczesne stadium renowacji Rennes-le-Chateau, a co za tym idzie, także Rennes-les-Bains.

–Wydaje się pan obeznany z historią – zauważyła Leonie. Gabignaud aż pokraśniał z zadowolenia.

–To jedynie hobby, panienko, nic więcej.

Anatol wyjął papierośnicę, poczęstował lekarza, osłaniając zapalkę dłonią, przypalił oba papierosy.

–A jak ma na nazwisko ten ksiądz doskonały?– spytał, wydmuchując dym.

–Sauniere. Berenger Sauniere.

Znaleźli się na prostym odcinku drogi, konie przyśpieszyły, hałas wzmógł się do tego stopnia, że dalsza rozmowa była niemożliwa. Leonie nie miała nic przeciwko takiej przerwie. W głowie tłukły jej się niespokojne myśli, bo gdzieś w gąszczu słów Gabignauda skryło się coś ważnego.

–Tylko co?

Po chwili woźnica zwolnił. Przy akompaniamencie brzęku uprząży i uderzeń lamp o boki wozu zjechali z głównej drogi w dolinę rzeki Salz.

Leonie poddała się urokowi krajobrazu, przepięknej alei, utworzonej przez skały, las i niebo. Dwie wieże strażnicze, które z bliska okazały się kamiennym dziełem natury, a nie cieniem dawnego zamku, pochylały się nad jadącymi niczym duet olbrzymich wartowników. Pradawne lasy schodziły niemal do krawędzi drogi. Dziewczyna miała wrażenie, że znaleźli się w sercu tajemniczego Edenu, jak w książkach pana Ridera Haggarda, fascynujących opowieściach o zaginionych afrykańskich królestwach.

Trakt wił się zakolami na podobieństwo węża. Okolica zapierała dech w piersiach. Istna arkadia. Dookoła wszystkie odcienie zieleni – soczystej, oliwkowej, szmaragdowej, w kolorze absyntu – przesyconej słońcem. Srebrne spody liści odwracanych przez wiatr połyskiwały między ciemniejszymi tonami jodeł i dębów. Nad linią drzew rysowała się dramatycznie

poszarpana krawędź wierzchołków, pradawne sylwetki menhirów, dolmenów i rzeźb wykutych w skale przez naturę. Jak okiem sięgnąć – antyczna historia. Czytelna jak na kartach książki.

Podróżnym towarzyszył szum rzeki, która czasem ukazywała się. połyskując w słońcu, jakby się bawiła w chowanego, zdradzała swoją obecność, tocząc wody po kamieniach, ginąc pod splątanymi gałęziami wierzb, które zwieszały głowy nisko nad jej korytem. Prowadziła ich ku przeznaczeniu.

ROZDZIAŁ 23

Rennes-les-Bains

Podkowy zadudniły na moście, konie przeszły w kłus.

Na zakręcie drogi ukazało się Rennes-les-Bains. Najpierw biały dwupiętrowy budynek z szyldem Hotel de la Reine. Tuż obok grupka zabudowań, dość ponurych i jednolitych, które Leonie uznała za sanatorium.

Przed wjazdem na główną ulicę courier zwolnił, ledwo się toczył. Po prawej mieli pionową szarą ścianę górskiego zbocza, po lewej ciągnęły się domy, pensjonaty i hotele. Na każdym budynku zamocowano przynajmniej jedną lampę gazową w solidnej metalowej oprawie.

Nie takiego pierwszego wrażenie spodziewała się Leonie. Znalazła się w eleganckim modnym miasteczku, gdzie czuło się dobrobyt. Sama droga, choć z ubitej ziemi, była czysta i doskonale utrzymana, a do domów prowadziły szerokie kamienne stopnie. Jechali szpalerem wawrzynów, między rzędami wielkich drewnianych donic, z których rośliny wylewały się na ulicę. Minęli krągłego dżentelmena w zapiętym surducie, dwie damy, skryte pod parasolkami, oraz trzy nianie. Każda pchała chaise roulante. Jakaś guwernantka prowadziła grupkę dziewcząt ustrojonych wstążeczkami, szeleszczących falbaniastymi haleczkami.

Skręcili z głównej drogi i woźnica zatrzymał konie.

–La Place du Perou. S'il vous plait. Terminus.

Koniec podróży.

Niewielki skwer z trzech stron otaczały budynki. Ocieniały go drzewka cytrynowe. Złote słońce, przesiane przez liście, tworzyło na ziemi ruchomą szachownicę. Znajdował się tam także wodopój

dla koni. Z parapetów barwnymi kaskadami spływały ostatnie letnie kwiaty, a w ocienionej pasiastymi markizami kawiarence na rogu siedziały doskonale ubrane damy oraz ich męska eskorta, pokrzepiając się jadłem i napojem. Na drugim rogu Wznosił się kościółek.

–Szalenie malownicze – mruknął Anatol.

Woźnica zeskoczył z kozła i zajął się wyładowywaniem bagażu.

–S'il vous plait, mesdamcs et messieurs. La Place du Perou. Terminus – Powtórzył.

Pasażerowie jeden po drugim zsiadali z wozu. Padały śpieszne słowa pożegnania, jak to zwykle bywa między osobami, które razem podróżowały, ale poza tym niewiele mają ze sobą wspólnego. Pan Fromilhague uchylił kapelusza i zniknął. Gabignaud potrząsnął dłonią Anatola, a następnie wręczył mu wizytówkę, zapewniając, że ma nadzieję spotkać go jeszcze, może przy stoliku do kart albo na którymś z wieczorków muzycznych, organizowanych w Limoux lub Quillan. Następnie, uniósłszy kapelusz przed Leonie, podążył swoją drogą.

Anatol objął siostrę za ramiona.

–Nie jest tak źle, jak się obawiałem.

–Jest cudownie. Naprawdę, uroczo.

Na skwerku pojawiła się zdyszana dziewczyna w szarym stroju pokojówki. Była pulchna i śliczna, miała oczy czarne jak węgiel i prowokujące usta. Spod białego czepka uciekło pasmo grubych czarnych włosów.

–Aha! Oto nasz komitet powitalny – domyślił się Anatol.

Za służącą ujrzeli młodego człowieka o przystojnej twarzy, także z trudem łapiącego oddech. Miał na sobie koszulę rozpiętą od szyją, w dekolcie zawiązał czerwoną chustkę.

–Et voila – skwitował Anatol. – Jeśli się nie mylę, znamy już

także przyczynę spóźnienia naszej przewodniczki.

Dziewczyna upchnęła włosy pod czepkiem i podbiegła do przyjezdnych. Dygnęła.

–Senher Vernier? Madomaisela. Madama przysłała mnie, żebym pań stwa zaprowadziła do Domaine de la Cade. Kazała przeprosić, ale dwukółka się popsuła. Już naprawiają, ale madama powiedziała, że prędzej będzie na piechotę. – W tym miejscu służąca obrzuciła spojrzeniem pełnym zwątpienia delikatne pantofelki z kozłej skóry na nogach Leonie. – Jeśli państwo nie mają nic przeciwko...

Anatol zlustrował dziewczynę uważnym spojrzeniem. Jak się nazywasz?

–Marieta, senher.

–Doskonale. Powiedz nam wobec tego. ile potrwa naprawa dwukółki?

–Ja tam nie wiem. Koło się złamało.

–A jak daleko jest do Domaine de la Cade?

–Pas luenh. Niedaleko.

Obejrzał się przez ramię na zdyszanego chłopaka.

–Bagaż zostanie dostarczony później?

–Oc, senher. Pascal przyniesie.

–W tej sytuacji – Anatol zwrócił się do siostry – skoro brak jakiegokolwiek obiecującej alternatywy, głosuję za tym, byśmy postąpili zgodnie z radą ciotki i poszli pieszo.

–Co?! – wyrwało się Leonie. Przecież ty nie znosisz chodzić! – Położyła dłonie na swoich żebrach, przypominając mu w ten sposób, że jest ranny i spacer na pewno nie wyjdzie mu na zdrowie. Dasz radę?

–Nic mi nie będzie – odparł. Przyznaję, nie jestem z tego powodu uszczęśliwiony, ale jakie mamy inne wyjście? Wolę się

przejsć niż beczynn timer czekać.

Służąca uznała jego słowa za polecenie, więc dygnęła ponownie, odwróciła się na pięcie i ruszyła przed siebie.

Leonie patrzyła za nią z otwartymi ustami.

–Co to za...! – wykrztusiła, gdy wreszcie odzyskała głos.

Anatol zaśmiał się głośno, odrzucając do tyłu głowę.

–Witamy w Rennes-les-Bains. – Wziął siostrę za rękę. – Chodź, petite.

Bo zostaniemy tu sami!

Marieta poprowadziła ich cienistym przesmykiem między domami. Chwilę później wynurzyli się w słońcu na starym kamiennym moście. Daleko w dole, na płaskich kamieniach, szemrała woda. Leonie aż zabrakło tchu. Zakręciło jej się w głowie od tego światła, przestrzeni i wysokości.

–Leonie, depeche-toil – zawołał Anatol.

–Dobrze, dobrze, już idę.

Przeszli przez rzekę, skręcili w prawo i znaleźli się na jakiejś ścieżynce, wiodącej ostro w górę, pomiędzy drzewa na zboczu wzgórza. Rodzeństwo w ciszy szło jedno za drugim. Każdy oddech był cenny.

Coraz wyżej wspinali się górskim szlakiem, cętkowanym kamieniami i opadłymi z drzew liśćmi, coraz bardziej zagłębiali się w gęsty las. Wkrótce ścieżka wyprowadziła ich na wiejską drogę, poznaczoną zaschniętymi koleinami i śladami kopyt. Tutaj drzewa odsunęły się nieco od traktu, więc między poszczególnymi kępami kładły się długie cienie.

Leonie przystanęła, spojrzała w tył. W dole, ciągle jeszcze dość blisko, widziała spadziste, czerwone i szare dachy Rennes-les-Bains. Rozpoznała hotel i bez trudu odnalazła skwer, na którym wysiedli z powozu. Rzeka wiła się zieloną wstążką połyskującą srebrem, miejscami czerwieniła się od jesiennych liści.

Trzeba iść.

W pewnej chwili szlak powiódł ich lekko w dół i zaraz wyszli na płaskowyż. Na wprost mieli kamienne filary oraz bramę prowadzącą na teren wiejskiej posiadłości. Ogrodzenie z kutego żelaza ciągnęło się daleko w obie strony, ginęło między jodłami i cisami. Majątek zdawał się ponury i wyniosły. Leonie zadrżała. Na chwilę opuścił ją duch poszukiwacza przygód. Przypomniała jej się niechęć matki do rozmów o Domaine de la Cade, o spędzonym tutaj dzieciństwie. A potem słowa doktora Gabignauda, usłyszane przy obiedzie.

Miejsce o takiej reputacji...

–Co to znaczy cade! zapytał Anatol.

–My tutaj tak nazywamy jałowiec, senher wyjaśniła służąca.

Leonie podeszła do płotu i oparła dłonie na prętach, jak więzień na kratkach. Przycisnęła rozpaloną twarz do chłodnego metalu. Za ogrodzeniem rozciągał się ogród.

Całość spowijał wilgotny półmrok gęstej zieleni, tu i ówdzie połyskiwała słoneczna szczelina. Krzewy ozdobne, krzaki bzu, żywopłot i klomby, kiedyś zapewne kipiące barwami, sprawiały wrażenie zaniedbanych. Lekceważąco potraktowane ozdoby świadczyły o tym, że nie spodziewano się tutaj żadnych gości.

Na środku szerokiej żwirowej ścieżki, wiodącej od bramy do domu, stał pusty i suchy basen dla ptaków. Po lewej – wyschnięte oczko wodne. zwieńczone jakąś zardzewiałą konstrukcją. Po prawej – rząd jałowców rosnących dziko, nieokielznanych. A nieco dalej ruina oranżerii z powybijanymi

szybkami.

Gdyby Leonie trafiła tutaj przypadkiem, uznałaby to miejsce za opuszczone. Spojrzała w prawo i ujrzała nad ogrodzeniem tablicę z szarego łupku. Słowa na niej wypisane znaczyły ciemne smugi. Jak ślady szponów.

Domaine de la Cade.

Ten dom nie życzył sobie odwiedzin.

ROZDZIAŁ 24

–Zakładam, że istnieje inna droga do domu – rzekł Anatol.

–Oc, senher – potwierdziła Marieta. – Główne wejście jest od północy. Pan kazał tam zrobić trakt od drogi do Sougraigne. Ale to na piechotę godzina albo i lepiej, dookoła Rennes-les-Bains i potem w górę. O wiele dłużej niż przez las.

–A czy pani kazała ci przyprowadzić nas górską ścieżką? Dziewczyna spiekła raka.

–Nie zabroniła.

Czekali cierpliwie, aż Marieta wyłowi z kieszeni fartucha wielki mosiężny klucz. Nie bez trudu przekręciła go w zamku, pchnęła prawe skrzydło i wpuściła gości. Zaraz po ich przejściu zamknęła zgrzytliwą bramę.

Leonie czuła się nieswojo. I zdenerwowana, i podekscytowana. Idąc za Anatołem wąską zieloną ścieżką, najwyraźniej rzadko używaną, miała wrażenie, że jest bohaterką jakiegoś opowiadania. Wkrótce dotarli do wysokiego żywopłotu z łukowatym przejściem, ale zamiast podążyć w tamtym kierunku, zostali poprowadzeni na szeroki podjazd, wysypany żwirem i dobrze utrzymany, bez śladu mchu czy trawy, obwiedziony szpalerem chataignier, którym z gałęzi zwisały kasztany w kolczastych łupinach.

W końcu ujrzeli dom.

–Och! – wyrwało się Leonie w zachwycie.

Był wspaniały. Imponujący, o doskonale wyważonych proporcjach, perfekcyjnie zaprojektowany w taki sposób, że jednocześnie korzystał ze słońca i otwierał widok na dolinę. Parter oraz dwa piętra zwieńczał lekko skośny dach. Od białych ścian odcinały się rzędy okiennic. Balkonowe okna na parterze

wychodziły na taras o balustradach z kutego żelaza. Cały dom porośnięty był bluszczem, który miejscami płonął żywą czerwienią liści błyszczących jak wypolerowane.

Gdy podeszli bliżej, Leonie dostrzegła na występie wzdłuż najwyższego piętra gładki murek, a za nim osiem okrągłych okienek.

Może z któregoś z nich wyglądała kiedyś mama?

Szerokie stopnie, rozłożone w półokrąg, prowadziły do podwójnych drzwi wejściowych z czarnego drewna, z mosiężną framugą i kołatką. Chronił je łukowaty kamienny portal, a po bokach strzegły dwie wielkie donice z ozdobnymi wiśniami.

Weszli do obszernego holu. Podłogę wyłożono szachownicą czerwonych i czarnych płytek, ściany oklejono kremową tapetą w żółte i zielone kwiaty, dzięki której wewnątrz zdawało się bardziej przestronne i jaśniejsze. Pośrodku stał mahoniowy stół, a na nim, w dużym wazonie, piękne białe róże. Doskonale utrzymane drewno tworzyło przytulną atmosferę.

Na ścianach wisiały portrety wąsatych mężczyzn w różnych mundurach oraz kobiet w sukniach o sutych spódnicach, a także wybór zamglonych krajobrazów i klasyczne sceny sielankowe.

Na lewo od wielkich schodów, prowadzących na piętro, stał fortepian muśnięty cieniutką warstewką kurzu.

–Madama przyjmie państwa na tarasie popołudniowym –
oznajmiła

Marieta.

Poprowadziła ich przez oszklone drzwi balkonowe, wychodzące na południe, na taras ocieniony winoroślą i kapryfolium. Biegł przez całą szerokość domu, otwierając widok na doskonale utrzymane klomby i trawniki. Odległy rząd kasztanowców i jodeł znaczył granicę, w słońcu błyszczała altana ze szkła i pomalowanego na biało drewna. Na pierwszym planie wzrok przyciągała gładka powierzchnia stawu.

–Tędy, madomaisela, senher.

Poszli za służącą w dalszy koniec tarasu, do plamy cienia rzucanego przez dużą żółtą markizę. Stał tam stół nakryty dla trzech osób. Biały obrus, biała porcelana, srebrne sztucce i bukiet polnych kwiatów na środku: fiołki, bodziszki, lilie.

–Powiem pani, że państwo już są. – Marieta zniknęła w półmroku

spowijającym wnętrze domu.

Leonie oparła się o kamienną balustradę. Twarz miała całą w rumieńcach. Rozpięła rękawiczki na nadgarstkach, rozwiązała kapelusz, zdjęła go i użyła zamiast wachlarza.

–Poprowadziła nas dookoła – zauważyła.

Słucham?

Dziewczyna wskazała wysoki żywopłot na krańcu trawnika.

–Gdybyśmy przeszli pod łukiem, przecięlibyśmy ogród. A ona zapro

wadziła nas naokoło, żebyśmy podeszli od frontu.

Anatol także zdjął kapelusz i wraz z rękawiczkami położył go na murku.

–Budynek jest piękny. Mogliśmy podziwiać widoki.

–Nie przysłali powozu, gospodyni nas nie wita – ciągnęła Leonie wszystko to bardzo dziwne.

–Zobacz, jakie piękne ogrody.

–Tak, to prawda, tutaj są piękne, ale od tyłu posiadłość wygląda na zaniedbaną. Opuszczoną. Zniszczona oranżeria, zarośnięte klomby...

Anatol zaśmiał się głośno.

–„Zaniedbana"! „Opuszczona"! Przesadzasz, siostrzyczko. Przyznaję, majątek jest w stanie raczej zbliżonym do natury, ale

poza tym...

–Jest kompletnie zaniedbany! – Upierała się Leonie z wypiekami na twarzy. Oczy jej błyszczały. – Nic dziwnego, że ma taką złą opinię w okolicy!

–Nie rozumiem.

–Ten impertynent na stacji, pan Denarnaud... Pamiętasz jego minę, kiedy powiedziałaś, dokąd jedziemy? A co mówił doktor Gabignaud? Pan Fro-rnilhague od razu go uciszył. Pamiętasz? Wszystko to bardzo tajemnicze.

–Nic podobnego – zaprzeczył Anatol zirytowany. – Ty się we wszystkim dopatrujesz mrocznych historii, niczym z opowiadań twojego ulubionego pana Poego. – Zrobił przerażającą minę. – „Złożyliśmy ją do grobu żywcem” – zacytował trzęsącym się głosem. – „A teraz stoi w drzwiach!”. Będę Roderickiem Usherem, ty się zmienisz w Madeleine.

–A zamek był zardzewiały – dorzuciła nieustępliwie. – Najwyraźniej dawno nikt go nie otwierał. Mówię ci, to wszystko jest bardzo dziwne.

Za ich plecami odezwał się miękki, czysty głos.

–Przykro mi, że tak to odczuliście, chciałabym jednak zapewnić was, że jesteście tutaj mile widziani.

Anatol aż się zatchnął.

Leonie poczuła, że twarz jej płonie. Obróciła się gwałtownie.

W progu stała kobieta doskonale pasująca do głosu. Elegancka i pewna siebie, wysoka, smukła. Rysy miała doskonale harmonijne, cerę olśniewającą. Gęste blond włosy zostały zebrane wysoko, ani jedno pasmo nie śmiało się wymknąć spod kontroli. A najbardziej przyciągały uwagę oczy, jasnoszare jak ortoklaz, kamień księżycowy.

Dłoń Leonie sama poderwała się ku niesfornym lokom nie do okiełznania.

–Ciociu, my...

Objęła wzrokiem zakurzone stroje podróżne. Ubiór ciotki był nieskazitelny. Modna kremowa bluzka ze stójką i bufiastymi rękawami, identycznego koloru spódnica o prostym kroju z przodu, dopasowana w talii i marszczona z tyłu.

Izolda postąpiła do przodu.

–Witaj, Leonie – rzekła, podając dziewczynie smukłą dłoń o długich palcach. – I ty, Anatolu.

Młody mężczyzna skłonił się i pochylił nad dłonią gospodyni.

–Ciociu rzekł z uśmiechem, podnosząc na kobietę spojrzenie ocienione czarnymi rzęsami. – Miło nam cię poznać.

–Cała przyjemność po mojej stronie. I proszę, mów mi po imieniu, Anatolu. „Ciocia” brzmi zbyt oficjalnie. Poza tym w tej roli czuję się stara.

–Służąca przyprowadziła nas tylnym wejściem – powiedział Anatol. Gorąco też zrobiło swoje, dlatego Leonie była poirytowana, ale – objął szerokim gestem dom oraz całą posiadłość – skoro taka jest nagroda za trudy podróży, warto było je podjąć.

Izolda podziękowała za komplement lekkim skinieniem głowy, po czym zwróciła się do Leonie.

–Prosiłam Marietę, by wam wyjaśniła niefortunny zbieg okoliczności.

ale ta dziewczyna jeszcze ma pstro w głowie. Przykro mi, że pierwsze wrażenie wypadło nie najlepiej. Cieszę się jednak, że już dotarliście.

Leonie w końcu odzyskała głos.

–Ciociu, wybac mi nieuprzejme zachowanie.

–Nie ma o czym mówić – rzekła z uśmiechem gospodyni. – Siadajcie. zapraszam. Najpierw herbata, a l'anglaise, potem

Marieta zaprowadzi was do pokojów.

Zajęli miejsca i natychmiast przyniesiono im srebrny czajniczek z naparem, dzbanek świeżej lemoniady, a zaraz potem talerze z pikantnymi przekąskami oraz słodyczami.

Izolda naląła gościom herbaty. Napar był delikatny, jasny, pachniał drewnem sandałowym i Orientem.

–Cóż za aromat! – zachwycił się Anatol. – Co to takiego?

–Mieszanka mojego pomysłu. Lapsang souchong i verveine. Werbena z tą szczególną czarną herbatą wydaje mi się znacznie bardziej orzeźwiająca niż ciężkie angielskie i niemieckie napary, tak modne ostatnimi czasy. – Podsunęła Leonie talerz z cieniutkiej porcelany, na którym ułożono duże plastry jasnożółtej cytryny. – Wasza mama przysłała bardzo miły telegram, potwierdzający wasz przyjazd. Mam nadzieję, że ją także dane mi będzie poznać. Może zdołałaby się tu wybrać wiosną?

Leonie miała w pamięci niechęć matki do rodzinnego majątku, którego nigdy nie uważała za swój prawdziwy dom, ale jednocześnie nie chciała uchybić dobrym manierom, więc gładko skłamała.

–Mama będzie zachwycona. Zimą miała kłopoty ze zdrowiem, w przeciwnym razie przyjechałaby pożegnać wujka.

Izolda uśmiechnęła się i odwróciła do Anatola.

–Czytałam w gazetach, że w Paryżu temperatura spadła znacznie po

niżej zera. Aż trudno w to uwierzyć!

Anatolowi rozbłysły oczy.

–Rzeczywiście, świat zlodowaciał. Nawet Sekwana zamrzła! Ludzie

umierali z zimna na ulicach, aż władze były zmuszone otworzyć schroniska w szkołach, strzelnicach, w łaźniach, nawet

w Palais des Arts Liberaux na Polach Marsowych, w cieniu wyniosłej wieży pana Eiffela.

–I w salach do szermierki? Anatol zamrugął zdziwiony.

–Jak to?

–Masz skaleczenie nad okiem. Myślałam, że wprawiasz się we władaniu ostrzem.

–Anatol został napadnięty – wtrąciła się Leonie – w noc rozruchów w Palais Garnier.

–Bardzo cię proszę...! zaprotestował.

–Raniono cię? zaniepokoiła się Izolda.

Wyszedłem z kilkoma siniakami, nie ma o czym mówić – uciął, rzucając siostrze wściekłe spojrzenie.

–Tutaj nie dotarły wieści o rozruchach? – spytała Leonie. – W Paryżu nie pisano o niczym innym, tylko o aresztowaniach abonnées.

Izolda nie spuszczała wzroku z Anatola.

–Okradziono cię?

–Straciłem zegarek, pamiątkę po ojcu. Na szczęście nie zdążyli mi zabrać nic więcej.

–Napadli cię uliczni rabusie? – Wydawać by się mogło, że Izoldzie zależało na odpowiedzi twierdzącej.

–Tak. Po prostu miałem pecha.

Na kilka chwil zapadła przy stole niezręczna cisza, ale gospodyni szybko podjęła swoje obowiązki.

–O ile mi wiadomo – zwróciła się do Leonie – wasza matka spędziła tu część dzieciństwa.

Dziewczyna przytaknęła ruchem głowy.

–Musiała być bardzo samotna – uznała Izolda. – Nie miała

towarzystwa innych dzieci.

Leonie uśmiechnęła się, wdzięczna, że nie musi zmyślać na temat zauroczenia matki Domaine de la Cade.

–Zostaniesz tutaj, ciociu, czy wrócisz do Tuluzy? – spytała bezmyślnie.

Izolda, zmieszana, spuściła powieki.

–Do Tuluzy? – podniosła na gościa zdziwione spojrzenie. – Obawiam się, że nie rozumiem...

–Siostro... – odezwał się Anatol.

Leonie zaczerwieniła się, ale dzielnie zniosła jego karcący wzrok.

–Mama chyba mówiła, że ciocia Izolda pochodzi z Tuluzy.

–Anatolu, nic się nie stało. Ale, skoro już o tym mowa, wychowywałam się w Paryżu.

Leonie przysunęła się bliżej ciotki, ostentacyjnie ignorując brata. Coraz bardziej ciekawiło ją, jak poznała wujka. O ile wiedziała, Jules Las-combe nie tęsknił za ożenkiem.

–Chciałabym wiedzieć... – zaczęła.

–Czy utrzymujesz ściśle więzi towarzyskie z Rennes-les-Bains? – Anatol bezpardonowo przerwał siostrze w pół zdania. Okazja przepadła.

Izolda pokręciła głową.

–Mój mąż nie był zainteresowany podejmowaniem gości, a po jego śmierci, przyznaję szczerze, zaniedbałam obowiązki towarzyskie.

–Na pewno ludzie ci współczują.

–W ostatnich tygodniach życia męża mogłam liczyć na serdeczną pomoc większości sąsiadów. A po jego śmierci musiałam dopilnować wielu spraw poza Domaine de la Cade,

więc bywałam tutaj znacznie rzadziej, niż powinnam. Teraz jednak... urwała i wciągnęła Leonie do rozmowy za pomocą kolejnego czarującego uśmiechu jeśli nie będziecie mieli nic przeciwko temu, zamierzam skorzystać z waszych odwiedzin, by w najbliższą sobotę wydać przyjęcie dla kilku osób z okolicy. Co ty na to, Leonie? Nie planuję nic wielkiego, ale moglibyście poznać przynajmniej najbliższych sąsiadów.

–Cudownie! – ucieszyła się Leonie i zapomniawszy o bożym świecie, zaczęła wypytywać o szczegóły wiejskiego przyjęcia.

Popołudnie mijało niespiesznie. Izolda okazała się wspaniałą gospodynią, uważną i czarującą, Leonie czuła się w jej towarzystwie doskonale. Pogryzała chleb z pełnych ziaren, posmarowany białym kozim serem i posypany siekanym czosnkiem, chrupała cienkie paluszki tostowe z pastą anchois i grubo mielonym czarnym pieprzem, delektowała się pięknie podaną na tacy szynką wędzoną z półkolami dojrzałych fig. Napawała się tartą rabarbarową, słodkim pieczywem, złotym i obsypanym cukrem, syciła wzrok urodą błękitnej porcelanowej kompotiery, pełnej wywaru z morwy i wiśni, dzbanuszką ze śmietanką i srebrnej łyżki o długim trzonku.

–A to co to takiego? – spytała, wskazując talerz fioletowych cukierków, pokrytych białym lukrem. – Wyglądają smakowicie.

–Perły Pirenejów. Krople woni trawy cytrynowej, utrwalone w kawałeczkach cukru. Twoje ulubione, Anatolu, o ile mi wiadomo. A to – wskazała inny talerz – domowej roboty krem czekoladowy. Jules wiedział, kogo zatrudnić w kuchni. Ta kobieta pracuje u rodziny już prawie czterdzieści lat. – W jej głosie zabrzmiała nuta smutku, która obudziła w Leonie podejrzenie, że Izolda czuje się w Domaine de la Cade nieproszonym gościem zamiast panią na włościach.

–Pracujesz w gazecie? – spytała gospodyni Anatola.

–Rzuciłem to zajęcie jakiś czas temu. Nie odpowiada mi zawód żurnalisty. Bez przerwy człowiek pisze o awanturach domowych,

konflikcie algierskim czy najnowszym kryzysie we władzach Akademii Sztuk Pięknych... Przygnębiało mnie zajmowanie się sprawami, które w ogóle mnie nie obchodziły. Teraz pisuję recenzje dla „La Revue Blanche” i „La Revue Contemporaine”, ale głównie daję upust literackim zapędom na mniej komercyjnym polu.

–Anatol jest w radzie konsultacyjnej magazynu kolekcjonerskiego -wtrąciła Leonie.

Izolda skwitowała rzecz uśmiechem.

–Chciałabym jeszcze raz podkreślić – powiedziała -jak bardzo się cieszę, że zechcieliście przyjąć zaproszenie. Obawiałam się, że perspektywa spędzenia na wsi całego miesiąca może się wam wydać niezbyt pociągająca w porównaniu z atrakcjami, jakie oferuje Paryż.

–W Paryżu nietrudno się znudzić – odparła Leonie uprzejmie. Te straszne wieczorki w towarzystwie wdów i starych panien, lamentujących na obecne czasy i z tęsknotą wspominających epokę cesarstwa... Wolę czytać!

–Leonie jest une lectrice assidue wyjaśnił z uśmiechem Anatol. Wiecznie z nosem w książce. A przy tym wybiera lektury, powiedziałbym...- sensacyjne. Całkiem obce mojemu gustowi. Historie o duchach, gotyckie horrory...

–Mamy tutaj bogatą bibliotekę. Mąż był zapalonym historykiem, inte resował się różnymi mniej znanymi... – zawiesiła głos, szukając właściwego słowa-... szczególnymi dziedzinami nauki. – Ponownie przerwała.

Leonie przyjrzała jej się z zaciekawieniem, ale ciotka nie uściśliła, czym dokładnie interesował się jej mąż.

–Często kupował pierwsze wydania i różne rzadko spotykane wolumi

ny-podjęła gospodyni. Z pewnością niejeden cię zainteresuje, Anatolu.

Jest też szeroki wybór powieści i wydawnictw „Le Petit Journal”, które za ciekawią ciebie, jak sądzę. – Lekko przechyliła głowę w stronę dziewczyny.

–Bardzo proszę, czujcie się jak u siebie i korzystajcie z biblioteki do woli.

Minęła siódma. Cień rozłożystego kasztana wygonił z tarasu ostatnie ślady słońca, na trawnikach kładły się ciemne smugi wieczoru. Izolda zadzwoniła srebrnym dzwoneczkiem, który stał na stole.

Jak za sprawą czarów natychmiast pojawiła się Marieta.

–Czy Pascal przyniósł bagaże?

–Już dawno, madama.

–Doskonale. Leonie, umieściłam cię w Pokoju Żółtym. Anatolu, dla ciebie przewidziałam Apartament Anjou, na froncie domu. Wychodzi na północ, ale to bardzo przyjemne wnętrze.

–Na pewno będę się w nim czuł doskonale.

–Ponieważ posililiśmy się przy herbacie, a pewnie oboje jesteście zmęczeni i chcielibyście się wcześniej położyć, nie planuję na dzisiaj kolacji. Jeśli poczujecie apetyt, wystarczy zadzwonić na służbę, dostaniecie wszystko, o co poprosicie. Ja pozwalam sobie na drobną przekąskę o dziewiątej, w salonie; jeśli zechcecie się do mnie przyłączyć, będzie mi bardzo miło.

–Dziękuję – rzekł Anatol.

–Bardzo dziękujemy – powiedziała Leonie.

Wszyscy troje wstali.

–Mam ochotę przejść się po ogrodach – rzucił Anatol. – Wypalę papierosa.

W szarych oczach Izoldy zapalił się dziwny błysk.

–Nie chciałabym ci niczego narzucać, ale proponuję wstrzymać się ze zwiedzaniem posiadłości do rana. Niedługo

będzie ciemno. Nie chcielibyśmy cię szukać pierwszego wieczoru.

Na kilka chwil zapadła cisza. Po czym, ku zdumieniu Leonie, Anatol uśmiechnął się, jakby usłyszał przedni dowcip, zamiast protestować przeciwko ograniczeniu wolności. Ujął dłoń ciotki i ją ucałował. Perfekcyjnie doskonały, idealnie uprzejmy.

Pozornie.

–Oczywiście, ciociu, jak sobie życzysz. Do usług.

ROZDZIAŁ 25

Leonie poszła za służącą na piętro, a tam długim korytarzem, ciągnącym się przez cały dom. Po drodze Marieta pokazała jej, gdzie znaleźć toaletę i przestronną łazienkę z wielką miedzianą wanną pośrodku.

–Oto Pokój Żółty, madomaisela – rzekła, otworzywszy drzwi. Odstąpiła, przepuszczając gościa. – Ciepła woda jest na toaletce. Czy jeszcze czegoś będzie panienka teraz potrzebowała?

–Nie, dziękuję.

Służąca ukłoniła się i odeszła.

A Leonie długi czas stała i z ogromną przyjemnością rozglądała się po wnętrzu, które miało być jej ukochanym azylem przez najbliższe cztery tygodnie. Był to przyjaźnie urządzone pokój, równocześnie ładny i wygodny. z widokiem na rozległe trawniki od strony południowej. Przez otwarte okna słyszała dalekie pobrzękiwanie porcelany i rozmowy służby sprzątajacej ze stołu.

Ściany pokryto papierową tapetą w delikatny wzór z fioletowych i różowych kwiatów, pasującą do zasłon oraz tapicerki, dzięki czemu uzyskano wrażenie lekkości mimo głębokiej barwy mahoniowych mebli. Łóżko, chyba największe, jakie w życiu widziała, prawdziwe łożę, miało bogato zdobione szczyty z błyszczącego drewna. Usadowiło się niczym egipska barka na samym środku pomieszczenia. Obok niego przycupnęła nocna szafka na lwich łapach, na niej brązowy świecznik oraz szklanka i dzbanek z wodą, przykryty białą haftowaną serwetką. Znajdował się tam również jej własny kuferek z robótkami, a także kasetka z papierami oraz przybory malarskie. Podróżne sztalugi ustawiono obok szafy.

Podeszła do wysokiej garderoby, rzeźbionej w takie same

skomplikowane egipskie wzory jak łoże, wyposażonej w dwa długie lustra, osadzone po zewnętrznej stronie drzwi. Otworzyła prawe skrzydło, budząc brzęk wieszaków na drążku. Zobaczyła swoje halki, suknie popołudniowe, wieczorowe i żakiety, wiszące w równych rzędach. Wszystko pięknie rozpakowane.

W obszernej komodzie obok szafy znalazła bieliznę oraz drobniejsze sztuki ubrania: kamizelki, gorsety, bluzki, pończochy – ułożone starannie w głębokich, ciężkich szufladach, z których dobywał się zapach lawendy.

Kominek znajdował się w ścianie naprzeciwko drzwi, a nad nim lustro w mahoniowej ramie. Pośrodku gzymsu stał porcelanowy, złożony zegar z Sevres, podobny do tego, który mieli w domu.

Leonie zdjęła sukienkę, bawełniane pończochy, kombinację i gorset, upuszczając fragmenty odzieży na dywan i fotel. Pozostawszy w samej bieliznie, nalała ciepłej wody z dzbanka do miski. Obmyła twarz i ręce, odświeżyła dekolte. Skończywszy, zdjęła kaszmirowy peniuar z ciężkiego mosiężnego haka po wewnętrznej stronie drzwi i usiadła przy toalecie, przed środkowym z trzech wysokich okien o małych szybkach.

Szpilka za szpilką oswobodziła loki mieniące się żywym blaskiem miedzi i pozwoliła im swobodnie opaść na ramiona. Sięgały aż do szczupłej talii. Przechyliła lustro i długimi, zamaszystymi gestami rozczesywała nieposłuszną gęstwinę, aż ta spłynęła jej na plecy niczym jedwabna przędza.

W pewnej chwili dostrzegła kątem oka jakiś ruch w ogrodzie.

–Ten Anatol! – mruknęła. Na pewno zignorował życzenie Izoldy i wybrał się do ogrodów.

Taką miała nadzieję.

Odpychając od siebie niegodne uczucie, odłożyła szczotkę do włosów na toaletkę i obeszała mebelek, by wyrzeć przez okno. Ostatnie ślady odchodzącego dnia pożegnały się z niebem. Gdy

wzrok Leonie przywykł do zmierzchu, dostrzegła kolejne poruszenie, tym razem na odległym krańcu trawnika, przy wysokim żywopłocie, już za stawem.

Widziała postać dosyć wyraźnie. Mężczyzna z gołą głową skradał się ukradkiem, co kilka kroków oglądając się za siebie.

A może to wzrok płata mi figle? – pomyślała.

Mężczyzna roztopił się w cieniach.

Leonie wydało się, że słyszy kościelny dzwon z doliny, rozrzedzoną smutną nutę. Gdy jednak wytężyła słuch, dotarły do niej tylko odgłosy wiejskiej posiadłości o zmierzchu. Szept wiatru w gałęziach drzew, chór ptaków układających się do snu. I przeszywający skrzek sowy, ruszającej na nocne łowy.

Uświadomiła sobie, że ma gęsią skórę na ramionach, więc zamknęła okno. Po chwili wahania zaciągnęła zasłony. Tajemniczy mężczyzna prawie na pewno okazałby się ogrodnikiem, może po jednym głębszym, albo jakimś służącym, który powążył się na niedozwolony skrót przez trawniki, ale tak czy inaczej, było w tej scenie coś nieprzyjemnego, coś, co wywoływało ciarki na plecach. Leonie wołałaby go nie widzieć.

Ciszę pokoju rozerwało głośnie stuknięcie w drzwi.

–Kto tam!

–Cest moi odezwał się Anatol. – Jesteś w przyzwoitym stanie? Mogę wejść?

–Attend, farrive.

Jedną chwileczkę.

Zawiązała peniuar. odgarnęła włosy z twarzy. Ze zdziwieniem stwierdziła, że drżą jej ręce.

–Co się stało? – zapytał Anatol, gdy w końcu otworzyła drzwi.
– Taka jesteś wystraszona...

–Nic... nic – odrzekła.

–Ej, petite, na pewno? Jesteś biała jak prześcieradło.

–Spacerowałaś po ogrodach? – spytała nagle. – Dosłownie przed kilkoma minutami?

Anatol pokręcił głową.

–Rzeczywiście, nie od razu poszedłem do pokoju, ale nie ruszałem się z tarasu. Tam wypaliłem papierosa. Dlaczego pytasz?

–Widzisz... – zaczęła, ale zmieniła zdanie. – Nieważne. Nie ma o czym mówić.

Anatol zrzucił ubranie siostry z fotela i usadowił się w nim wygodnie. To pewnie był któryś z chłopców stajennych.

Wyjął z kieszeni papierośnicę i pudełko zapalek, jedno i drugie położył na stole.

–Nie pal tutaj – poprosiła go siostra. – Papierosy są niezdrowe.

Wzruszył ramionami, sięgnął do innej kieszeni, z której wyciągnął jakąś niebieską broszurę.

–Przyda ci się dla zabicia czasu.

Wstał, podał siostrze monografię i wrócił na fotel.

–Voilà. „Diables et Esprits Malefiques et Phantômes de la Montagne”.

Górskie diabły, złe duchy i fantomy.

Leonie nie słuchała. Zerknęła w stronę okna. Czyżby ten mężczyzna ciągle tam był?

–Na pewno dobrze się czujesz? Strasznie jesteś blada.

Głos brata przywołał ją do rzeczywistości. Ze zdumieniem spojrzała na książeczkę, którą trzymała w dłoni. Skąd ona się wzięła?

–Na pewno – odrzekła zakłopotana. – Nic mi nie jest. Co to za

dzieło?

–Nie mam bladego pojęcia. Tytuł ma przerażający, więc powinno ci się spodobać. Zbierało kurz w bibliotece. Autor będzie tutaj na sobotniej kolacji. Monsieur Audric Baillard. Są tam jakieś ustępy na temat Domaine de la Cade. Zdaje się, że znajdziesz wszelkie możliwe historie na te

mat diabłów, złych duchów i widziadeł, związanych z tą okolicą, a zwłaszcza

cza tym majątkiem, od czasów wojen religijnych siedemnastego wieku. –

Uśmiechnął się do siostry promiennie.

Leonie podejrzliwie zmrużyła oczy.

A czemu zawdzięczam ten wspaniały gest?

–Czyż nie wolno bratu z dobroci serca wykonać gestu uprzejmości wobec ukochanej siostry?

–Wolno, wolno. I niejeden tak robi. Ale ty?

Uniósł ręce, poddając się.

–Cóż, przyznaję, miałem w tym własny interes. Uznałem, że jeśli się

pograżysz w lekturze, nie będziesz psocić.

Rzuciła w niego poduszką, ale się uchylił.

–Pudło! – zawołał zuchwale. – Fatalny strzał. – Zgarnął ze stołu papierośnicę i zapałki, skoczył na równe nogi i w dwóch susach znalazł się przy drzwiach. – Daj mi znać, jak skończysz z panem Baillardem. Moim zdaniem, powinniśmy razem z Izoldą wypić kieliszeczek na dobranoc. Zgadzasz się ze mną?

–Czy to nie dziwne, że nie będzie kolacji?

–A co – zdziwił się – głodna jesteś?

–Nie, właściwie nie. Ale jakoś... Anatol położył palec na

ustach.

**–No to ciii. – Otworzył drzwi. – Miłej lektury, petite.
Spodziewam się
recenzji.**

Leonie słuchała jego pogwizdywania i równych kroków, cichnących na korytarzu. W końcu rozległo się miękkie klasnięcie drzwi, a potem dom na nowo spowiła cisza.

Dziewczyna podniosła poduszkę z podłogi i usiadła na egipskim łożu. Podciągnęła kolana pod brodę i otworzyła książkę.

Zegar na kominku wydzwonił wpół do ósmej i rozpoczął odliczanie.

ROZDZIAŁ 26

Paryż

Modne ulice i bulwary przykrył gęsty brunatny zmierzch. I w quartiers perdus, w niebezpiecznej okolicy, labirynt uliczek obrośniętych slumsami także chwycił drugi oddech.

Temperatura zaczęła spadać, zrobiło się chłodniej.

Domy i ludzie, tramwaje i powozy zdawały się krystalizować z cienia. a potem znikwały w kolejnym jak zjawy. Markizy nad kawiarniami przy rue d'Amsterdam łopotały na wietrze, wyrrywając się niczym spętane konie. Na Grands Boulevards wiatr szarpał gałęzie drzew.

Jesienne liście tańczyły po chodnikach dziewiątego arrondissement i na zielonych alejkach Parc Monceau. Nikt nie grał w klasy ani w „raz, dwa, trzy, baba Jaga patrzy”, dzieci skryły się w budynkach ambasad. Rozśpiewały się druty nowego telegrafu na Poczcie Głównej, rozdzwoniły szyny tramwajowe.

O wpół do ósmej mgła zapłakała deszczem. Zimnym, szarym jak opiłki żelaza. Z początku wolno, później szybciej, gęściej. Służba z trzaskiem zamykała okiennice. W ósmej dzielnicy pechowcy, którzy nie zdążyli dotrzeć do celu, szukali schronienia przed gniewem burzy w Cafe Weber przy rue Royale, zamawiali piwo i absynt i sprzeczali się o wszystko i o nie przy ostatnich wolnych stolikach. Żebracy i bezdomni chifonniers uciekali przed kąsającym deszczem pod mosty i kolejowe arkady.

W mieszkaniu przy rue de Berlin Marguerite Vernier leżała w swobodnej pozie na chaise longue. Jedną rękę miała podłożoną pod głowę, drugą udrapowaną na boku szeszlunku, jedynie czubki palców muskały dywan, tak jak rozmarzona dziewczyna na letniej

przejażdżce łodzią trąca lustro wody. Najlżejszy dotyk na świecie. Tylko błękitny cień na jej ustach i fioletowy siniak niczym kołnierz otaczający szyję, a także koszmarne bransoleta z zaschniętej krwi na przeciętym nadgarstku świadczyły o tym, że nie śpi.

Jak Tosca, jak Emma Bovary, jak mroczna bohaterka Prospera Menmeego, Carmen, tak i Marguerite była po śmierci piękna. Nóż o ostrzu splamionym krwią leżał obok jej dłoni, jakby wypadł ze słabnących palców.

Victor Constant nie zwracał na nią uwagi. Przestała dla niego istnieć dokładnie w chwili, kiedy zdał sobie sprawę, że nic więcej od niej nie dostanie.

Ciszę mąciło jedynie tykanie zegara.

Ciemność byłaby kompletna, gdyby nie blady płomień jedynej świecy.

Constant zapiął spodnie i zapalił tureckiego papierosa. Usiadł przy stole, by się zapoznać z dziennikiem, który służący znalazł w szafce nocnej Verniera.

–Przynieś mi brandy.

Nożem o żółtej ręczce przeciął sznurek, rozwinął papier pakowy i wyjął z niego granatowy notatnik. W dzienniku znajdowały się codzienne zapiski Verniera, prowadzone skrupulatnie przez cały rok. Salony, w których bywał, lista długów sumiennie zapisywanych w dwóch kolumnach i sumowanych w momencie spłacenia, wzmianka o krótkim flircie z okultystami na początku roku, raczej w roli nabywcy książek niż akolity, różne zakupy, takie jak parasol czy egzemplarz „Poemes de Baudelaire” z limitowanej edycji Edmonda Bailly'ego, sprzedającego we własnej księgarni przy rue de la Chaussee d'Antin.

Constant nie był zainteresowany nudnymi szczegółami domowego życia, więc kartkował dziennik, ledwo rzucając okiem

na kolejne strony, sprawdzając daty i czytając jedynie wyjątki, w których znajdował potrzebne informacje.

A szukał wzmianek o romansie Verniera z jedyną kobietą, jaką on, Constant, kiedykolwiek kochał. Ciągle jeszcze nie potrafił wymienić jej imienia, nawet w myślach. Trzydziestego pierwszego października zeszłego roku powiedziała mu, że muszą się rozstać. A przecież dla niej zrobiłby wszystko. Jej niechęć wziął za skromność i nie naciskał. Przeżył taki wstrząs, że o mało jej nie zabił. Niewiele brakowało, ale krzyczała tak głośno, że usłyszeli ją sąsiedzi w budynku obok.

Musiał ją zostawić. Zresztą przecież nie zamierzał jej skrzywdzić. Kochał ją, uwielbiał, ubóstwiał. Tylko nie mógł znieść zdrady. Sama się prosiła.

Po tamtej nocy zniknęła z Paryża. Przez cały listopad i grudzień Constant myślał o niej nieprzerwanie. Sprawa była prosta. On ją kochał, a ona go zdradziła. Ciało i umysł podsuwały mu wspomnienia wspólnie spędzonego czasu: jej zapach, giętkość, urok i czar. Pamiętał, jak przy nim siedziała, jak wdzięczna mu była za miłość. Skromna i posłuszna. Doskonała. Na początku roku żal zmienił się w gniew podsycany poniżeniem. We wściekłość silniejszą niż wówczas, gdy odeszła.

Chciał wymazać z pamięci jej obraz i chwycił się zwykłych sposobów, dostępnych dla dżentelmena, mieszkańca miasta, który nie musi się liczyć z każdym groszem. Jaskinie hazardu, nocne kluby, laudanum, które miało zrównoważyć działanie rosnących dawek związków rtęci, leku na jego coraz gorszy stan. I cały szereg midinettes, dziewczek, które chociaż trochę ją przypominały. Ich miękkie ciała, płacące cenę za jej nielojalność. Constant był uderzająco przystojny. Potrafił być hojny. Wiedział, jak oczarować wdziękiem, więc dziewczęta szły z nim chętnie i spełniały każdą jego zachciankę. Do momentu gdy uświadamiały sobie, jak zdeprawowane miał gusta.

Nic mu nie pomagało. Nic nie mogło uśmierzyć męki.

Aż w ostatnich dniach stycznia wszystko się zmieniło. Gdy lód na Sekwanie zaczął topnieć, do uszu Constanta dotarły plotki o powrocie jego wybranki do Paryża. Mało tego. Nie dość, że była teraz wdową, to jeszcze na horyzoncie pojawił się kochanek. Ponoć oddała innemu to, czego odmawiała jemu.

Cierpiał katusze, spalał go gniew. Musiał wyrzucić na niej zemstę, musiał ukarać ich oboje. Nie miał innego celu w życiu. Widział jej krew na własnych rękach, oczyma wyobraźni oglądał ją cierpiącą tak, jak on przez nią cierpiał. Jedynym motywem jego działania stała się chęć ukarania zdrajczynie.

Imię rywala odkrył bez trudu. I od tego momentu myśl o tym, że ona i Vernier są kochankami, pojawiała się pierwsza każdego ranka, razem ze wschodem słońca, i była ostatnią, gdy księżyc wychodził na spotkanie nocy.

W lutym Constant rozpoczął prześladowania. Dążenie do odwetu. Postanowił najpierw zniszczyć dobre imię Verniera. Przyjął bardzo prostą taktykę: tu plotka, tam słówko w ucho gryziopiórka z jakiegoś szmatławca, ówdzie pomówienie. Kropla draży skałę. Fałszywe dowody przechodziły z jednej chciwej dłoni do drugiej. Oszczerstwa tuczące się w labiryncie tajnych stowarzyszeń nowicjuszy, akolitów i hipnotyzerów, funkcjonujących poza szacowną fasadą Paryża, wiecznie podejrzliwych, zawsze w strachu przed zdradą. Smakowite wieści, dwuznaczne podszepty, anonimowe po-twarze i zniesławienia.

Kłamstwa, same kłamstwa, ale jakże pięknie podane.

Niestety, nawet ta kampania oszczerstw, choć tak zgrabnie prowadzona, nie dała Constantowi satysfakcji. Koszmary w dalszym ciągu nawiedzały jego sny, nawet dni prześladowały go wizerunkiem kochanków splecionych w miłosnym uścisku. Postępująca choroba odbierała mu sen. Gdy zamykał oczy, nękały go obrazy samego siebie, biczowanego i przybijanego do krzyża. Cierpiał od wizji własnego ciała, rozciągniętego na ziemi

jak współczesny Syzyf, przygnieciony kamieniem, który oblał własnym potem, albo jak przykuty do skały Prometeusz, gdy dawna kochanka wczepiała się w jego pierś i wyrywała mu wątrobę.

W marcu doszło do pewnego rodzaju rozwiązania. Ona umarła. A jej śmierć przyniosła mu coś na kształt wyzwolenia. Z daleka patrzył, jak opuszczano trumnę w mokry dół na Cimetiere de Montmartre, i czuł, jak ktoś zdejmuje mu ciężar z ramion. Długo i z wielką przyjemnością obserwował Verniera pogrążonego w rozpacz.

Wiosna ustąpiła gorącemu lipcowi, a potem sierpniowi. Constant znalazł spokój. Nadciągnął wrzesień. I nagle przypadkowo posłyszane słowa, kątem oka uchwycony obraz blond włosów pod niebieskim kapeluszem na Boulevard Haussmann, plotki na Montmartrze o trumnie bez ciała, złożonej do ziemi pół roku wcześniej. Wysłał dwóch ludzi, by wypytali Verniera, tej samej nocy, której doszło do zamieszek w Palais Garnier, ale irii przeszkadzono i nie dowiedział się niczego.

Przerzucał strony dziennika raz jeszcze, aż ponownie natrafił na datę szesnastego września. Strona była pusta. Vernier nie zapisał ani zdania na temat rozruchów w operze, nie odniósł się ani słowem do ataku, którego ofiarą padł w Passage des Panoramas. Ostatni wpis w pamiętniku datowany był dwa dni wcześniej. Constant po raz kolejny odwrócił kartki i przeczytał duże, mocne litery. Jedno słowo.

FIN.

KONIEC.

Zalała go fala gniewu. Litery tańczyły mu przed oczami, naśmiewały się, drwiły. Po tym wszystkim, co przeszedł, po wszystkim, co wycierpiał, odkrył, że to on sam padł ofiarą mistyfikacji. A przy tym czego się spodziewał po oczernianiu Verniera? Miał nadzieję, że pozbawienie rywala honoru da mu satysfakcję? Przywróci spokój? Czyste szaleństwo. Niemniej jednak teraz już wiedział, co należy zrobić.

Wytropi go, gdziekolwiek się skrył. Znajdzie – i zabije.

Służący postawił mu przy łokciu szklaneczkę brandy.

–Generał du Pont może się wkrótce pojawić – mruknął i wrócił na wartę przy oknie.

Rzeczywiście, czas mijał.

Constant złożył papier, którym był owinięty dziennik. Dziwne, że notatnik w ogóle znajdował się w mieszkaniu. Dlaczego Vernier go tu zostawił, skoro nie zamierzał wracać? Czyżby wyjeżdżał w tak wielkim pośpiechu? A może nie planował opuszczenia Paryża na długo?

Połknął brandy jednym haustem i cisnął szklaneczkę w kominek. Służący drgnął. Szkło rozprysło się na tysiąc ostrych, błyszczących kawałków. Powietrze zadrżało od tej gwałtowności.

Constant wstał i starannie odstawił krzesło na miejsce przy stole. Podeszedł do kominka, otworzył szkło chroniące tarczę zegara i przestawił wskazówki na ósmą trzydzieści. Potem uderzył ciężkim czasomierzem w gzyms, raz, drugi, trzeci, aż mechanizm przestał działać. Ułożył zegar tarczą do dołu między połyskującymi odłamkami szkła.

–Otwórz szampana i przynieś dwa kieliszki.

Sługa zrobił, jak pan kazał.

Constant przysiadł na szezlongu. Chwycił Marguerite Vernier za włosy i ułożył sobie jej głowę w ramionach. Czuł od niej słodko-metaliczny zapach krwi. Jasne poduszki zabarwiły się na purpurowo, pierś kobiety znaczyła czerwona plama, podobna do przerośniętego cieplarnianego kwiatu.

Wlał trochę szampana do ust Marguerite, następnie przycisnął brzeg kieliszka do jej rozbitych warg, aż na szkle pojawił się delikatny ślad szminki. Do połowy napełnił szkło trunkiem i odstawił na podręczny stolik. Do drugiego kieliszka także nalał trochę szampana, butelkę położył na podłodze. Płyn szybko utworzył na dywanie musującą kałużę.

–Czy nasi drodzy przedstawiciele czwartej władzy wiedzą, że znajdują tu dzisiaj pożyczkę?

–Tak, proszę pana. – Z twarzy służącego na moment opadła maska. – Czy pani Vernier... nie żyje?

Nie doczekał się odpowiedzi. Doskonale wiedział, co oznacza takie milczenie.

Constant wziął z kredensu fotografię w ramce. Pośrodku zdjęcia siedziała Marguerite, za nią stały dzieci. Z tyłu widniała nazwa zakładu fotograficznego oraz data. Październik 1890. Dziewczyna miała rozpuszczone włosy. Jeszcze dziecko.

Służący odkaszlnął.

–Czy będziemy się wybierali do Rouen, proszę pana?

–Do Rouen?

Widząc spojrzenie pana, sługa nerwowo wykręcił palce.

–Bardzo przepraszam, ale zdawało mi się, że madame Vernier powiedziała, że jej dzieci pojechały do Rouen.

–Ach, tak. Wykazała się większą odwagą... i inicjatywą, niż

przypuszczałem. Ale Rouen? Wątpię, żeby akurat tam pojechali. Może naprawdę nie wiedziała. – Rzucił swojemu człowiekowi zdjęcie. – Popytaj o dziewczynę. Ktoś musiał coś widzieć albo słyszeć. Ktoś coś powie. Zawsze ktoś mówi. A ją ludzie na pewno pamiętają. – Na jego ustach pojawił się lodowaty uśmiech. – Zaprowadzi nas do Verniera i tej... dziwki.

ROZDZIAŁ 27 OO

DOMAINE DE LA CADE

Leonie krzyknęła. Poderwała się niczym spięta ostrogą, siadła prosto, serce waliło jej jak młotem. Świeca zgasła jakiś czas temu i we wnętrzu panowała ciemność.

Przez chwilę zdawało się dziewczynie, że znowu jest w salonie rodzinnego domu, przy rue de Berlin. Potem opuściła wzrok i ujrzała na poduszce monografię pana Baillarda. Wtedy uświadomiła sobie fakty.

Koszmar.

Straszny sen o demonach, zjawach, duchach i widziadłach, o potworach z ostrymi szponami i o starożytnych ruinach, oblepionych pajęczynami. O pustych oczach upiora.

Oparła się o drewniane wezglowie łóżka. Powoli odzyskiwała spokój. Ciągle miała przed oczami kamienny grobowiec pod sinym niebem, zwiędłe girlandy wokół tarczy, a na niej herb rodu dawno upadłego i okrytego niesławą.

Co za straszny sen.

Choć serce biło jej znacznie spokojniej, w głowie ciągle łupało.

–Madomaisela Leonie? Madama mnie przysłała, żebym się dowie działa, czy panienka czegoś potrzebuje?

Z ulgą rozpoznała głos Mariety.

–Madomaisela? Wzięła się w garść.

–Viens! – zawołała.

Usłyszała szcęk sprężyny, ale drzwi się nie otworzyły.

–Przepraszam, madomaisela, zamknięte na klucz.

Nie przypomniała sobie, żeby go przekręcała w zamku. Wsunęła stopy w jedwabne savates i pobiegła do drzwi. Marieta dygnęła grzecznie.

Madama Lascombe i senher Vernier kazali mi spytać, czy panienka do nich dołączy na kieliszek przed snem.

–Która godzina?

–Prawie wpół do dziesiątej.

Późno.

Przetarła oczy.

–Tak, powtórz im, proszę, że zaraz przyjdę. Nie będę potrzebowały twojej pomocy.

Gdy służąca zniknęła. Leonie włożyła bieliznę i prostą wieczorową suknię, nic wyszukanego. Upięła włosy szpilkami i grzebieniami, kropelką wody kolońskiej zwilżyła skórę za uszami oraz na nadgarstkach i zeszła do salonu.

Na jej widok podnieśli się oboje. Izolda ubrana była w turkusową suknię o prostym kroju, ze stójką i rękawami do łokci, ozdobioną koralikami. Wyglądała wytwornie.

–Przykro mi, że na mnie czekaliście – przeprosiła Leonie, całując w policzek najpierw ciotkę, potem brata.

–Już prawie straciliśmy nadzieję – rzekł Anatol. – Na co masz ochotę? My pijemy szampana. To znaczy, przepraszam, ja szampana, a Izolda „nie szampana”.

–Jak to? – zdziwiła się dziewczyna. – Nie rozumiem.

–Brat się z tobą droczy – rzekła gospodyni z uśmiechem. Piję blanquette de Limoux. To miejscowe wino musujące. Jest słodsze, lżejsze i lepiej niż szampan gasi pragnienie. Przyznaję, to mój ulubiony trunek.

–Chętnie spróbuję – uznała Leonie, przyjmując kieliszek. – Zaczęłam czytać tę książeczkę pana Baillarda – powiedziała, spoglądając na brata i sama nie wiem, kiedy zasnęłam. Obudziło mnie pukanie Mariety.

–Aż taka nudna ta lektura? – zaśmiał się Anatol.

–Nie, wręcz przeciwnie! Fascynująca! Czytałam o tym, że Domaine de la Cade, a w każdym razie teren, na którym teraz jest dom i posiadłość, od dawna stanowił temat wielu miejscowych legend i strasznych opowieści o duchach, diabłach i zjawach, przechadzających się tutaj nocami. Najbardziej znane historie dotyczą okrutnej dzikiej bestii, czarnej jak smoła, pół diabła, pół zwierzęcia, która nawiedza te strony w złych czasach, porywając zwierzęta domowe i dzieci.

Izolda i Anatol wymienili spojrzenia.

–Pan Baillard pisze – podjęła Leonie – że właśnie dlatego tak wiele miejscowych nazw geograficznych odnosi się do przeszłości powiązanej ze zjawiskami nadprzyrodzonymi. Przytacza jedną z bajek, dotyczącą jeziora na górze Tabe, tak zwanego Diabiego Stawu, które stanowi podobno połączenie z samym piekłem. Jeśli wrzucić do niego kamień, wydobywają się chmury siarki, a potem przychodzi gwałtowna burza. Podobno w tysiąc osiemset czterdziestym, kiedy letnia susza bardzo dawała się we znaki chłopom, zdesperowany młynarz z Montsegur wspiął się na górę Tabe i wrzucił do stawu żywego kota. Zwierzę walczyło jak oszalone, czym tak zirytowało diabła, że zesłał na okolicę ulewny deszcz, który nie ustawał dwa miesiące.

Kawałek drewna w kominku strzelił iskrami. Anatol przesunął się w fotelu i położył ramię na jego oparciu. Bzdury! orzekł. Zaczynam żałować, że ci tę książeczkę przyniosłem.

Leonie wykrzywiła się w jego stronę.

–Możesz sobie zaprzeczać, ile chcesz, a i tak w każdej bajce

jest ziarno prawdy.

–Słusznie powiedziane – wsparła ją Izolda. Mój mąż bardzo się interesował legendami związanymi z Domaine de la Cade. a zwłaszcza wizy-gockim okresem ziem, na których leży posiadłość. Razem z panem Bail-lardem niekiedy długo w noc omawiali takie właśnie sprawy. Nierzadko przyłączał się do nich proboszcz z Rennes-les-Bains.

Leonie ujrzała oczyma wyobraźni trzech mężczyzn, w skupieniu pochylonych nad księgami, oraz Izoldę, osamotnioną, na boku.

–Sauniere. – Anatol pokiwał głową. – Usłyszeliśmy o nim w drodze z Couizy od pana Gabignauda.

–A skoro już o tym mowa – podjęła Izolda – warto wspomnieć, że Jules zachowywał się w towarzystwie pana Baillarda ostrożnie.

–Jak to?

Gospodyni uczyniła nieznaczny gest smukłą dłonią.

–Może użyłam zbyt mocnego słowa... Powiedzmy zatem, że odnosił

się do niego z widocznym szacunkiem. Nie do końca potrafię to określić.

Darzył go wielkim respektem ze względu na jego lata i wiedzę.

Anatol ponownie napełnił kieliszki i zadzwonił po drugą butelkę.

–Z tego wynika, że pan Baillard mieszka w okolicy?

–Ma mieszkanie w Rennes-les-Bains, chociaż w zasadzie przebywa gdzie indziej. Gdzieś w górach Sabarthes, o ile mi wiadomo. Jest wyjątkowym człowiekiem, niestety, dość skrytym. Bardzo ostrożnie mówi o swoich doświadczeniach, za to szczerze dzieli się wiedzą i zainteresowaniami, a te są bardzo rozległe. Jest ekspertem nie tylko w sprawach miejscowego

folkloru i obyczajów, ale także herezji albigeńskiej. – Zaśmiała się lekko. – W rzeczy samej, Jules zauważył kiedyś, że słuchając pana Baillarda, można odnieść wrażenie, iż był świadkiem zdarzeń, o których opowiada, chociażby średniowiecznych bitew. Tak barwne są jego opisy.

Uśmiechnęli się wszyscy troje.

–Pora roku nie jest może najwłaściwsza – podjęła Izolda ale gdybyście mieli ochotę, możemy odwiedzić ruiny kilku granicznych zamków. Pogoda wydaje się sprzyjająca.

–Z największą przyjemnością. – Anatol skłonił się.

–Na sobotniej kolacji posadzę was obok pana Baillarda, będziecie mogli do woli go wypytywać o diabły, przesady i mity zagnieżdżone w pobliskich górach.

Leonie wróciła myślami do opowieści pana Baillarda, więc tylko bez słowa pokiwała głową. Anatol także milczał. Niepostrzeżenie zmieniła się atmosfera w salonie. Zniknął nastrój swobodnej konwersacji. Przez dłuższą chwilę słychać było jedynie tykanie zegara i trzaskanie drewna w kominku.

Dziewczyna odruchowo podążyła spojrzeniem do okien. Chociaż zamknięte okiennice odgradzały wnętrze od nocy, miała wrażenie, że ciemność napiera na nią, jak żywa istota. Mimo że to tylko wiatr poświstywał w ogrodzie, jej się zdawało, że noc mruży zaklęcia, wzywając pradawne duchy lasu.

Podniosła wzrok na ciotkę, piękną w miękkim blasku ognia. I zastygła w milczącym bezruchu.

Czy ona też to czuje?

Izolda miała jasną, spokojną twarz, próżno by na niej szukać emocji. Leonie nie potrafiła odgadnąć toku myśli ciotki. Tyle że w jej oczach z pewnością nie dostrzegała żalu po stracie męża. Nie było też w niej żadnego niepokoju czy nerwowości.

Dziewczyna opuściła wzrok na blanquette w swoim kieliszku,

po czym wychyliła trunek do dna.

Zegar wydzwonił wpół do jedenastej.

Gospodyni oznajmiła, że zamierza napisać zaproszenia na sobotnią kolację, i wyszła do gabinetu. Anatol wziął z tacy przysadziłą zieloną butelkę likieru Benedictine. Przyjrząwszy się jej uważnie, oświadczył, że zostanie jeszcze wypalić cygaro.

Leonie pocałowała brata na dobranoc. Wyszła z salonu odrobinę rozkołysanym krokiem, przecięła hol pogrążona w myślach o minionym dniu. O wszystkim, co sprawiło jej przyjemność i co ją zaintrygowało. I o tym, że ciotka Izolda odgadła, za jakimi cukierkami przepada Anatol. Jak dobrze się czuli, wszyscy troje, w swoim towarzystwie. O tym, jakie przygody będzie przeżywała na południu Francji, jak będzie zwiedzała sam dom oraz, przy sprzyjającej pogodzie, całą posiadłość.

Już położyła dłoń na poręczy schodów, gdy zauważyła, że ktoś otworzył klapę fortepianu. Kontrastowe klawisze lśniły w blasku świecy, jak świeżo wypolerowane. A mahoniowa skrzynia zdawała się emanować wewnętrznym światłem.

Leonie nie była szczególnie uzdolnioną pianistką, lecz i tak nie potrafiła się oprzeć zaproszeniu. Zagrała gamę, potem arpeggio, wreszcie akord. Instrument miał śliczne brzmienie, miękkie i precyzyjne, najwyraźniej znajdował się w dobrych rękach, nastrojony i zadbany. Przez chwilę pozwoliła dłoniom błądzić po klawiszach, śląc w przestrzeń melancholijną pieśń dawnych czasów. Ot, zaledwie kilka dźwięków, nikłe pasmo melodii, którą przez moment poniosło echo. Chwytającą za serce, miłą dla ucha.

Na koniec glissando – i dłoń oderwała się od klawiatury na dobre.

Dziewczyna poszła na piętro, do sypialni, do łóżka.

Mijały godziny. Leonie spała. Dom, pokój za pokojem, pogrążał się w ciszy. Jedna po drugiej gasły świece. Za ścianami

z szarego kamienia ziemia, trawa, jezioro i drzewa trwały w księżycowym srebrze. Panował całkowity spokój.

Pozornie.

CZĘŚĆ IV Rennes-les-Bains

Październik 2007

ROZDZIAŁ 28

Rennes-les-Bains

Poniedziałek, 29 października 2007

Samolot wylądował na lotnisku Blagnac pod Tulużą dziesięć minut przed czasem. O wpół do piątej Meredith już wyjeżdżała wynajętym samochodem z parkingu. Ubrana w dżinsy, w sportowych butach i z torbą przewieszoną przez ramię, wyglądała na studentkę.

Popołudniowy ruch na obwodnicy przypominał wariacką grę komputerową Grand Theft Auto, tyle że bez użycia broni. Dziewczyna ścisnęła kierownicę i z nosem przyklejonym do przedniej szyby mozolnie torowała sobie drogę w mrowiu pojazdów.

Na autostradzie poczuła się pewniej. Włączyła klimatyzację, a nawet radio. Między zaprogramowanymi stacjami znalazła muzykę klasyczną, podkręciła głos. Nadawali to, co zwykle: Bacha, Mozarta, Pucciniego, ale trafił się i Debussy.

Autostrada prowadziła w zasadzie prosto jak strzeł, wystarczyło skierować się na Carcassonne. Po mniej więcej trzydziestu minutach jazdy Meredith skręciła na drogę lokalną, biegnącą przez Mirepois i Li-moux. W Couizie odbiła w lewo, na Arques, i zaraz, dosłownie po dziesięciu minutach, w krętą drogę,

wiodącą w prawo, w dół. O szóstej, pełna oczekiwań i podekscytowana, wjechała do miasta, o którym tak wiele myślała.

Pierwsze wrażenie okazało się pozytywne. Rennes-les-Bains było znacznie mniejsze, niż oczekiwała, do tego stopnia, że główna ulica, uczciwie rzecz biorąc, niezupełnie zasługiwała na swoją nazwę. Ledwo się na niej mijaly dwa samochody. Tak czy inaczej, miasteczko uwodziło szczególnym wdziękiem. Nawet fakt, że było kompletnie wyludnione, nie zdołał zniechęcić Meredith.

Minęła brzydki kamienny budynek, potem zawiesiła wzrok na pięknych ogrodach, schodzących od drogi, opatrzonych nad wejściem tablicą z napisem JARDIN DE PAUL COURRENT i drugą, na murze, LE PONT DE EER.

Stop! Gwałtownie wcisnęła pedał hamulca. W ostatniej chwili. Inaczej huknęłaby w kufer niebieskiego peugeot, który także ostro wyhamował.

Przed nimi stała kolejka pojazdów. Meredith wyłączyła radio, wdusiła przycisk otwierający okno i wystawiła przez nie głowę. Przed samochodami zobaczyła grupkę robotników, stojących obok żółtego znaku drogowego: ROUTE BARREE. Aha. Roboty drogowe.

Kierowca peugeot wysiadł i ruszył w stronę przeszkody, coś wykrzykując oraz gwałtownie gestykułując. Gdy kilku innych także opuściło pojazdy, Meredith zrobiła to samo. Akurat ten od peugeot zawrócił. Miał pięćdziesiątkę z okładem, posiwiałe skronie i lekką nadwagę, ale trzymał się bardzo dobrze. Bezdyskusyjnie atrakcyjny. Zachowywał się jak człowiek przyzwyczajony do stawiania na swoim. Co dziwne, ubrany był w czarny garnitur, pod szyją miał smolisty krawat, a na nogach wyglansowane buty w tym samym kolorze.

Rzuciła okiem na tablicę rejestracyjną. Numer kończył się na II. Miejscowy.

–Qu'est-ce qui se passe? – zapytała.

–Drzewo się przewróciło – rzucił, nie zwróciwszy na nią większej uwagi. Wkurzyło ją, że odpowiedział po angielsku. Naprawdę nie miała aż tak fatalnego akcentu, żeby w niej rozpoznawać osobę anglojęzyczną po jednym krótkim pytaniu.

–Wiadomo, ile to potrwa?

–Powiedzieli, że przynajmniej pół godziny – odparł, wsiadając do wozu – co może oznaczać dowolną ilość czasu. Trzy godziny? Do jutra rana? Jesteśmy na południu.

Był zniecierpliwiony. Chciał jechać. Meredith zrobiła krok do przodu, położyła rękę na drzwiach.

–Jest jakiś objazd?

Tym razem wreszcie podniósł na nią wzrok. Miał oczy niebieskie, zimne jak stal. Przeszywające spojrzenie.

–Trzeba wrócić do Couizy i jechać górą, przez Rennes-le-Chateau.

O tej porze to ze czterdzieści minut drogi. Radziłbym jednak poczekać.

W ciemności łatwo się zgubić. – Popatrzył znacząco na jej rękę. – Wybacz

pani.

Meredith poczerwieniała.

–Bardzo dziękuję – powiedziała i puściła drzwi.

Nieznajomy wjechał tyłem na chodnik, wysiadł i oddalił się – na piechotę.

–Takiemu lepiej nie wchodzić w drogę – mruknęła, sama zdziwiona.

dłaczego tak się na niego wściekła.

Paru kierowców zawróciło na trzy, ledwo się mieszcząc na wąskiej ulicy, i odjechało. Meredith nie bardzo wiedziała, co

robić. Niezależnie od złości na nieznanego, pewnie należało posłuchać jego rady. Nie było sensu błądzić po wzgórzach.

Postanowiła wobec tego pozwiedzać miasto. Pieszko. Wycofała samochód na chodnik, zaparkowała obok peugeota. Nie miała pewności, czy jej przodkowie rzeczywiście pochodzili z Rennes-les-Bains, czy też fotografie, które trafiły do jej rąk, świadczyły tylko o jakimś epizodzie z ich życia. Żołnierz sfotografowany tutaj w tysiąc dziewięćset czternastym mógł trafić na południe Francji tylko na krótki czas. Niczym innym jednak nie dysponowała. Wobec tego równie dobrze mogła od razu rozpocząć poszukiwania.

Z siedzenia pasażera wzięła torbę z laptopem, którego za nic w świecie nie zostawiłaby w samochodzie, upewniła się, że bagażnik jest zamknięty, i od razu skierowała się do kompleksu sanatoryjnego, dosłownie dwa kroki dalej.

Na drzwiach głównego budynku zastała kartkę z informacją, że uzdrowisko jest zamknięte na zimę. Od pierwszego października do trzydziestego kwietnia. Stała, patrzyła i gotowała się z bezsilnej złości. Nie wiedzieć czemu uznała, że zakład jest otwarty przez cały rok na okrągło. Nie zadała sobie trudu, żeby to sprawdzić. A przecież wystarczyło zadzwonić.

Z rękami wbitymi głęboko w kieszenie stała jakiś czas, przyglądając się budynkowi. W oknach ciemno, w środku na pewno żywego ducha. Chociaż miała świadomość, że poszukiwania śladów Lilly Debussy były, przynajmniej częściowo, jedynie pretekstem, by się wybrać na południe Francji, to jednak rzeczywiście pokładała nadzieje w uzyskaniu jakichś informacji w sanatorium. Była zdecydowana znaleźć stare zapiski i fotografie z przełomu wieków, gdy Rennes-les-Bains pełniło funkcję jednego z najmodniejszych kurortów w okolicy.

Niestety, skoro zakład kąpielowy został zamknięty na cztery spusty, to nawet jeśli faktycznie znajdowały się w nim jakieś dowody na to, że Lilly przechodziła tutaj kurację latem tysiąc

dziewięćsetnego roku, albo jakieś wzmianki o młodym człowieku w mundurze, Meredith nie miała jak do nich dotrzeć.

Może zdołałaby przekonać burmistrza, czy kogo tam trzeba, żeby ją wpuścił? Ech, marne szanse. Rozczarowana własnym brakiem wyobraźni okręciła się na pięcie i wróciła na ulicę.

Obok zabudowań odkryła ścieżynkę ochrzczonej Allee des Bains de la Reine. Poszła nią i dotarła na brzeg rzeki, gdzie ostrzejsze powietrze kazało jej ciaśniej otulić się kurtką. Przed sobą miała spory basen, zupełnie suchy. Obszerny taras również był opuszczony i zaniedbany, błękitne płytki na podłodze popękane, różowa farba ze ścian odłaziła płatami, tu i ówdzie został jakiś plastikowy biały fotel. Wszystkie uszkodzone. Trudno było sobie wyobrazić, że ten basen jest w ogóle jeszcze używany.

Ruszyła dalej. Alejka spacerowa nad brzegiem rzeki także była zaniedbana. I również tu – nikogo. Jak po nocnym grillu w plenerze, tak i tutaj zostały tylko wyschnięte ślady opon. Wzdłuż alejki stały metalowe ławki, pogięte i smętne, zardzewiała rozchwierutana pergola w kształcie korony, wieńcząca drewnianą ławę, wyglądała, jakby już od lat nikt o niej nie pamiętał. Zostały tylko metalowe haczyki, służące do podwieszania jakiegoś zadaszania, chroniącego przed słońcem.

Z nawyku wyjęła aparat. Ustawiła przesłonę na kiepskie warunki oświetlenia i bez większego przekonania strzeliła parę fotek. Próbowała sobie wyobrazić Lilly siedzącą na jednej z metalowych ławek. Młodą kobietę, ubraną w białą bluzkę i czarną spódnicę, o twarzy chronionej przez kapelusz z szerokim rondem, marzącą o Debussym i o Paryżu. Chciała oczami wyobraźni zobaczyć żołnierza z fotografii w kolorze sepii, przechadzającego się brzegiem rzeki, może z dziewczyną pod rękę? Nic z tego. Źle się tu czuła. Wszystko zniszczone, opuszczone, zaniedbane. Zostawione na łaskę losu. Świat poszedł naprzód, zapominając o tym miejscu.

Zasmucona i spowita w tęsknotę za wyobrażoną przeszłością,

której nigdy nie pozna, wolnym krokiem ruszyła aleją. Minęła zakręt rzeki i znalazła się przed betonowym mostem. Stała niezdecydowana. Po drugiej stronie okolica była zdziwiała, najwyraźniej mało kto tam w ogóle zaglądał. No i nierozsądnie zapuszczać się w taką głuszę w obcym mieście, zwłaszcza z cennym laptopem i aparatem w torbie.

W dodatku się ściemnia.

Mimo wszystko coś ją tam ciągnęło. Duch odkrywcy, żądza wrażeń? Chciała poznać to miasto od podszewki. Zobaczyć coś, co było tutaj od wieków, od zawsze. Nie tylko główną ulicę ze współczesnymi kawiarniami i nowoczesnymi samochodami. I może, jeśli jej się uda zadzierzgnąć jakąś więź z miastem, pozbędzie się wrażenia, że traci czas, którego tutaj i tak ma niewiele?

Przewiesiła torbę przez pierś i poszła.

Po drugiej stronie rzeki panowała zupełnie inna atmosfera. Meredith od razu poczuła się bliżej natury. Strome występy skalne zdawały się na wyciągnięcie ręki. Krzewy i drzewa, tonące w zieleni, brązach i złocie, powlokła tajemniczość zmierzchu. Taka okolica mogłaby być kusząca, gdyby nie to, że było w niej coś dziwnego. Jakby straciła trzeci wymiar, zgubiła swój prawdziwy charakter, ukryty pod barwną maską.

W październiku zmrok zapadał szybko, więc Meredith ostrożnie stawiała stopy między dzikimi różami, w przerośniętej trawie, obok śmieci naniesionych wiatrem. Światła samochodu, przejeżdżającego po moście, wyłowiły z półmroku szare skały, schodzące do miasta. A gdy warkot silnika umilkł w oddali, nastąpiła cisza.

Meredith szła ścieżką aż do końca. U wejścia do czarnego tunelu, prowadzącego pod drogą prosto w górskie zbocze, stanęła niezdecydowana.

Kanał burzowy?

Oparła dłoń na zimnej ścianie z cegieł i zajrzała do środka. Wilgotne powietrze spod kamiennego łuku otarło się jej o twarz. Wąskim kanałem woda płynęła szybciej, tu i ówdzie pojawiały się białe grzywki piany.

Wzdłuż tunelu prowadziła wąska półka.

Lepiej tam nie wchodzić.

A jednak weszła. Opierając się prawą ręką o ścianę, zrobiła pierwszy krok w półmrok. Natychmiast zagarnęła ją woń mchu i wilgoci. Kamienna półka była śliska, kazała uważnie stawiać każdy krok. Meredith posuwała się ostrożnie, stopa za stopą, dalej i dalej, aż ametystowy zmierzch zmienił się w bladą poświatę. Brzeg rzeki dawno zniknął.

Pochylając głowę, by nie zawadzić o łukowate sklepienie, przystanąła, spojrzała w wodę. Jakaś czarna rybka pędziła między wodorostami kładzionymi prądem. Tam gdzie rzeczka opływała kamienie i skałki, tworzyły się białe zmarszczki.

Meredith, ukołysana jasnym szumem i nieprzerwanym ruchem wody, przykucnęła. Cudownie odprężona błędziła wzrokiem po nierównej tafli. Znalazła spokój. Sekretny azyl. Tu łatwiej było szukać powiązania z przeszłością, zobaczyć chłopców w krótkich spodenkach i bose dziewczynki o kręconych włosach, ściągniętych do tyłu satynowymi wstążkami, dzieci bawiące się pod starym mostem w chowanego. I usłyszeć echo głosów dorosłych, wołających z przeciwległego brzegu rzeki.

Co jest, u licha?

Przez ułamek sekundy widziała twarz. Z wbitym w nią wzrokiem. Zmrużyła oczy. Cisza zamarła w bezruchu, a w powietrze wkradł się chłód, jakby ktoś wyssał z niego życie. Serce zabiło jej mocniej, zmysły się wyostrzyły. Nerwy miała napięte jak struny.

To tylko moje odbicie.

Odwołując się do zdrowego rozsądku, spojrzała jeszcze raz w

nierówne zwierciadło rzeki.

Tym razem nie miała wątpliwości. Z pewnością nie było to jej odbicie, choć w rysach twarzy bez trudu dostrzegła podobieństwo. Ta druga, ta pod wodą, dziewczyna o długich włosach, niesionych prądem, ta istota, która przywodziła na myśl szekspirowską Ofelię, miała zamknięte oczy. Powieki drgnęły, wolno się uniosły i na Meredith spojrzały niesamowicie zielone oczy, przesycone błyskami wody.

Meredith krzyknęła i zerwała się na równe nogi. Mało brakowało, a byłaby straciła równowagę i wylądowała w rzece. Klapnęła dłońmi o ścianę za plecami, stanęła pewniej. Dużo odwagi ją kosztowało, by spojrzeć w wodę ponownie.

Nic.

Niczego tam nie było. Żadnego odbicia, żadnej twarzy ani zjawy, tylko rozmazane podwodne kamyki, tylko wodorosty poruszane nurtem rzeki. Tylko woda płynąca po kamieniach.

Meredith ruszyła do wyjścia. Jak najszybciej. Byle wydostać się z tunelu. Ślizgała się, oddech jej się rwał, ale wytrwale, stopa za stopą, krok za krokiem przesuwiała się po skalnej półce. Wreszcie dotarła do wylotu kanału, wyszła. Nogi jej się trzęsły. Zdjęła torbę z ramienia i ciężko siadła na suchszej kępcie trawy, podciągając kolana pod brodę. Nad jej głową, na drodze, wysunęły się z miasta dwa promienie światła kolejnego samochodu.

Czy to tak się zaczyna?

Najbardziej na świecie bała się choroby, która dotknęła jej rodzoną matkę. Że także i ją będą prześladowały głosy i zjawy, których nikt poza nią nie będzie słyszał ani widział.

Kilka razy odetchnęła głęboko.

Nie jestem nią.

Dała sobie jeszcze kilka chwil, po czym wstała. Otrzepała się.

wyciągnęła ze szczelin podeszwy jakieś patyczki, podniosła torbę i ruszyła z powrotem przez most.

Ciągle była wstrząśnięta, ale też zła na siebie, że tak się dała wystraszyć. Już dawno temu nauczyła się odpowiednich technik przywoływania dobrych wspomnień w miejsce złych. Zastosowała ją teraz. Zamiast słuchać w myślach płaczu Jeanette, przypominała sobie głos Mary. Słyszała słowa, jakie zwykle wypowiadają matki, kiedy dziecko wróci ze szkoły ubłocone po pachy, w spodniach z dziurami na kolanach albo pokąsane przez owady i niemiłosiernie podrapane. Gdyby Mary była tu teraz, zmartwiłaby się, że jej przybrana córka wałęsa się Bóg wie którędy i wchodzi, gdzie jej nie proszono. Jak zwykle.

Nic nowego.

Ogarnęła ją tęsknota za domem. Po raz pierwszy od dwóch tygodni, odkąd znalazła się w Europie, uznała, że wołałaby skulić się w ulubionym fotelu, otulona pledem, który Mary zrobiła specjalnie dla niej, gdy w piątej klasie wyjechała na cały semestr. Chciała wrócić do domu, a nie w jakiejś francuskiej dziurze zabitej dechami uganiać się za widmami przeszłości.

Była zmarznięta i nieszczęśliwa. Spojrzała na wyświetlacz komórki. Zasięg zero, ale zegarek oczywiście działał. Od chwili gdy wyszła z samochodu, minęło zaledwie piętnaście minut. Przygarbiła się zniechęcona. Drogi jeszcze nie odblokowali, to pewne.

Jakoś nie chciało jej się wracać Allee des Bains de la Reine, więc poszła chodnikiem biegnącym na tyłach domów, między miastem a rzeką. Widziała stąd podparte balami betonowe dno basenu, wiszące nad ścieżką. Linia budynków zdawała się nieco spokojniejsza. W cieniu zabłysły oczy kota, wędrującego od słupa do słupa. Pod mury i na druty wiatr narzucił różne śmieci, kawałki papieru, butelki po wodzie mineralnej.

Rzeka zakręcała w prawo. Łukowate przejście w jednej ze ścian prowadziło w dolinę prosto z ulicy, od razu na ścieżkę nad

brzegiem. Zmierzch zgęstniał. Gdy zapaliły się uliczne latarnie, Meredith dostrzegła starszą kobietę w kwiciastym kostiumie kąpielowym oraz czepku, leżącą w niewielkim basenie, zaledwie kręgu z kamieni. Przy brzegu czekał na nią starannie złożony ręcznik. Obok szczupły mężczyzna o pomarszczonym ciele właśnie się wycierał. Dziewczyna zadrżała. Koniec października! Dopiero wtedy dostrzegła, że nad powierzchnią wody unosi się para.

Mimo wszystko ona by się na to nie zdecydowała. Próbowła sobie wyobrazić cudowne dni fin de siecle'u, gdy Rennes-les-Bains było słynnym uzdrowiskiem. Kabiny kąpielowe na kółkach, damy i dżentelmeni w dziwacznych strojach kąpielowych, wchodzący do wód leczniczych, służba i pielęgniarki stojący za nimi na brzegu.

Nic z tego.

Rennes-les-Bains przypominało teatr po opuszczeniu kurtyny i wygaszeniu świateł. Nie pozwalało na żadne wzloty wyobraźni.

Wąskimi schodkami bez poręczy weszła na most dla pieszych, metalowy, pomalowany na niebiesko pomost, łączący oba brzegi rzeki. I zaraz dostrzegła tabliczkę, którą widziała wcześniej: LE PONT DE FER. Dokładnie tutaj zostawiła samochód.

Wróciła do cywilizacji.

ROZDZIAŁ 29

Tak jak przypuszczała, droga nadal była zablokowana. Samochód stał na miejscu, tuż za niebieskim peugeotem. Na chodniku przybyły jeszcze dwa wozy.

Minęła Jardin de Paul Courrent i poszła dalej główną ulicą, ot. w stronę świateł. W pewnym momencie skręciła w prawo, w stromą uliczkę, która zdawała się prowadzić prosto w zbocze góry. Jednak nie. Kończyła się na parkingu, zastanawiająco pełnym wobec pustki na ulicach. Przeczytała tablicę z informacjami dla turystów oraz przyjrzała się drewnianemu drogowskazowi: L'Homme Mort, La Cabanasse, La Source de la Madeleine. I jeszcze droga do pobliskiej wioski, Rennes-le-Chateau.

Powietrze nasiąknęło wilgocią. Świat wyglądał na wytłumiony. Meredith szła, zaglądając w boczne uliczki, które zdawały się prowadzić donikąd, zaglądała w jasno oświetlone okna. Wreszcie zawróciła w stronę głównej ulicy. Tym razem znalazła się przed merostwem, z tricolore na dachu, flagą Francji, złożoną z trzech pasów: niebieskiego, białego i czerwonego. Skręciwszy w lewo. wkrótce znalazła się na Place des Deux Rennes.

Jakiś czas po prostu stała, chłonąc atmosferę. Po prawej znajdowała się sympatyczna pizzeria z wystawionymi na zewnątrz drewnianymi stołami. Tylko dwa były zajęte, oba przez towarzystwo anglojęzyczne. Przy pierwszym tematem rozmowy mężczyzn był futbol oraz Steve Reich, natomiast kobiety – cieniowana brunetka, blondynka o włosach równo przyciętych do ramion i ruda z niesfornymi lokami popijały wino. rozprawiając o ostatnim kryminale Iana Rankina. Przy drugim stoliku kłębiła się grupa studentów. Zajadali pizzę i popijali ją piwem. Jeden z chłopaków miał na sobie niebieską skórzaną kurtkę, nabijaną ćwiekami, drugi perorował coś o Kubie, zwracając się do

przyjaciela o ciemnych włosach, który przy nogach postawił zamkniętą butelkę Pinot Grigio. Czwarty, nieco młodszy od pozostałych, siedział pogrążony w lekturze, a ostatnia osoba z grupy, śliczna dziewczyna z różowymi pasemkami we włosach, pokazywała coś przez ramkę utworzoną z palców, jakby kadrowała fotografię. Meredith, patrząc na nich, uśmiechnęła się do wspomnienia własnych uczniów, a dziewczyna, odpowiedziała jej uśmiechem.

W dalszym rogu placu Meredith zauważyła cloche-mur, wieżę z pojedynczym dzwonem, wznoszącą się nad dachami budynków. Dopiero wtedy uświadomiła sobie, że patrzy na kościół.

Brukowanym podjazdem zbliżyła się do świątyni Saint-Celse et Saint-Nazaire. W skromnym portyku, otwartym na północ i południe, wisiała tylko jedna lampa. Stały tam też dwa stoły, oba puste i jakieś dziwaczne, stanowczo niewygodne.

Tablica parafialna, umieszczona obok wejścia, informowała, że kościół jest otwarty codziennie od dziesiątej do zmierzchu, z wyjątkiem dni świątecznych, ślubów i pogrzebów. Nacisnęła klamkę, ale drzwi nie ustąpiły, choć we wnętrzu płonęły światła.

Sprawdziła godzinę. Wpół do siódmej. Cóż, zamknięte to zamknięte. Odwróciła się i przyjrzała ścianie naprzeciwko wejścia. Znajdowała się na niej tablica z nazwiskami mieszkańców Rennes-les-Bains, którzy oddali życie w czasie pierwszej wojny światowej.

A Ses Glorieux Morts.

Chwała zmarłym.

Czy śmierć może być chwalebna? – zastanowiła się Meredith, wspominając znajomą fotografię żołnierza w sepeli. A jej matka, która weszła do jeziora Michigan z kieszeniami pełnymi kamieniami? Czy warto było składać tę ofiarę?

Podeszła bliżej i sumiennie przeczytała całą listę, choć

wiedziała, jak nikłe są szanse, by znalazła tu nazwisko Martin. Czyste szaleństwo. Niewielkie miała pojęcie o swoim pochodzeniu, mimo że Mary podzieliła się z nią wszystkim, co wiedziała. Babka Louisa nosiła nazwisko Martin i dostała je po matce, nie po ojcu. Dokładnie rzecz biorąc, w akcie urodzenia zapisano „ojciec nieznany”. Przodkowie Meredith wyemigrowali do Ameryki tuż po pierwszej wojnie światowej, więc miała powody przypuszczać, że żołnierz z fotografii był ojcem Louisy.

Niestety, nie знаła jego nazwiska.

Raptem coś przyciągnęło jej wzrok. BOUSQUET. Producent talii kart tarota. Tej talii, którą miała w torbie podróżnej, w bagażniku. Może nawet faktycznie ta rodzina? To też trzeba będzie sprawdzić. Czytała dalej. Pod koniec listy znalazła dziwne nazwisko: SAINT-LOUP. Święty wilk? Zastanawiające.

Tuż obok wmurowano kamienną tablicę, poświęconą pamięci Henri Boudeta, proboszcza parafii od roku tysiąc osiemset siedemdziesiątego drugiego do tysiąc dziewięćset piętnastego, oraz czarny metalowy krzyż. Meredith zastanowiła się nad datami. Jeżeli jej nieznany żołnierz w sepeli pochodził stąd, proboszcz mógł go znać. Miejscowość była niewielka, a okres by się zgadzał.

Przepisała wszystko, co mogło się choć w najmniejszym stopniu przydać w czasie poszukiwań. Pierwsza zasada każdej pracy badawczej: Wszystko zapisuj. Nigdy nie wiadomo, co się może okazać istotne.

Pod krzyżem wytłoczono słynne słowa Konstantyna Wielkiego: In hoc signo vinces. Znała tę sentencję nie od dzisiaj, ale tym razem zrodziła jej w głowie jakiś niepokój.

–Pod tym znakiem zwyciężysz – mruknęła raz, potem drugi, jednak nie mogła uchwycić myśli, nie umiała dociec, dlaczego to zdanie stało się nagle takie ważne.

Minęła wejście do kościoła, wyszła na dziedziniec. Przed jej oczami pojawiła się kolejna pamiątka wojenna, te same nazwiska

co na płycie. Jakby jedno upamiętnienie poświęcenia tych ludzi nie wystarczało.

Tylu mężczyzn... Ojców, braci, synów... Tak wielu oddało życie.

Poszła wolno żwirową ścieżką wzdłuż kościoła. Z półmroku wychylały się ku niej nagrobki, kamienne anioły i krzyże. Od czasu do czasu przystawała, by przeczytać którąś inskrypcję. Niektóre nazwiska powracały stale. pokolenia miejscowych rodów upamiętnione w granicie i marmurze. Fromilhague i Sauniere, Denarnaud i Gabignaud.

W najdalszym kącie cmentarza znalazła się przed bogato zdobionym mauzoleum. Nad kratą widniały wyryte w kamieniu słowa: FAMILLE LASCOMBE-BOUSQUET.

Pochyliła się, by w półmroku rozszyfrować zapisy małżeństw i urodzin, które zjednoczyły rody Lascombe'ów oraz Bousquetów za życia i po śmierci. Guy Lascombe i jego żona zginęli w październiku tysiąc osiemset sześćdziesiątego czwartego. Ostatni członek rodu Lascombe, Jules, odszedł z tego świata w styczniu tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego pierwszego. A ostatnia z Bousquetów, Madeleine, zmarła w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym piątym.

Meredith stanęła prosto i wbiła wzrok w niebo, szukając natchnienia. Coś powinna skojarzyć. Coś związanego z datami. Coś, na co do tej pory nie zwróciła uwagi.

Tak! Rok tysiąc osiemset dziewięćdziesiąty pierwszy. Pojawiał się znacznie częściej, niż można by oczekiwać. Zwróciła uwagę na tę datę przede wszystkim dlatego, że znajdowała się na kartce z wprawką na fortepian. Tuż obok tytułu. Dziewczyna miała ją przed oczami równie wyraźnie jak wówczas, gdy trzymała papier w ręku.

Ale to jeszcze nie wszystko. Cofnęła się myślami do chwili, gdy weszła na cmentarz.

Tak. To jest właśnie to. Ta data bez przerwy rzucała się w oczy.

Ruszyła między grobami, krążąc i zawracając, czytała napisy, szukała cyfr. Tak. Miała rację. Pamięć nie płała jej figli. Wyjęła notatnik i zapisała nazwiska ludzi, którzy umarli tego samego dnia.

Cztery osoby pożegnały się z życiem trzydziestego pierwszego października tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego pierwszego roku.

Za jej plecami rozbrzmiała pieśń dzwonu.

Odwróciła się i przyjrzała światłom w kościele. Potem podniosła wzrok na gwiazdy, które już wysypały się srebrem na niebie. Słyszała przyciszone głosy wiernych, szcęk otwieranych drzwi. Głosy przybrały na sile, potem, wraz z zamknięciem drzwi, znów przycichły.

Wróciła do portyku. Dziwaczne stoły nie były już puste. Na jednym ułożono kwiaty – w celofanie, bukiety ze wstęgami, doniczkowe – na drugim rozpostarto czerwoną pilśniową materię, a na niej umieszczono księgę kondolencyjną.

Nie mogła się powstrzymać. Zajrzała. Pod dzisiejszą datą znajdowało się nazwisko oraz czas narodzin i śmierci: SEYMOUR FREDERICK LAWRENCE 15 WRZEŚNIA 1938 – 24 WRZEŚNIA 2007.

Zorientowała się, że mimo późnej pory odbędzie się pogrzeb. Nie chciała dać się zauważyć, więc pośpiesznie wróciła na Place de Deux Rennes. Jakoś przybyło na nim ludzi. W każdym wieku. Panowie w blezerach, panie w przygaszonych pastelach, chłopcy w garniturach, dziewczynki w eleganckich sukienkach. Mary nazywała to niedzielnym strojem. Rozmawiali, ale przyciszonymi głosami.

Meredith stała w cieniu pizzerii, nie chciała być wścibska. Obserwowała, jak żałobnicy znikają na kilka chwil w zakrystii, a

następnie podpisują się w księdze kondolencyjnej. Zdawało się, że ściągnęło tu całe miasto.

–Czy pani wie, co się dzieje? – spytała kelnerkę.

–Funerailles, madame. Un bien-aime.

O ścianę opierała się drobna kobieta o krótko obciętych ciemnych włosach. Tkwiła nieruchomo jak zaklęta w kamień, ale nie przegapiła najmniejszego ruchu. Gdy podniosła ręce, by zapalić papierosa, rękawy koszuli zsunęły się, odsłaniając grube czerwone blizny na nadgarstkach.

Nagle, jakby wyczuła na sobie wzrok dziewczyny, spojrzała jej prosto w oczy.

–Co to znaczy un bien-aime? – spytała Meredith, byle coś powiedzieć.

–Ktoś lubiany. Szanowany – odpowiedziała nieznajoma po angielsku. Oczywiście. Jasna sprawa.

–Dziękuję. – Uśmiechnęła się lekko zażenowana. – Powinam się była domyślić.

Kobieta o ciemnych włosach przyglądała jej się jeszcze przez chwilę, po czym odwróciła wzrok.

Znowu zabrzmiał dzwon, tym razem mocniej, wyraźniej, bardziej zdecydowanie. Tłum żałobników zrobił przejście czterem mężczyznom, którzy wynieśli z zakrystii trumnę. Za nimi szedł młody człowiek, pewnie trochę po dwudziestce, ubrany na czarno, z szopą ciemnych, błyszczących włosów. Twarz miał kredowobiałą, szczęki zaciśnięte, jakby ze wszystkich sił starał się opanować.

Obok szedł starszy od niego mężczyzna, również ubrany na czarno. Meredith patrzyła z niedowierzaniem. To był kierowca niebieskiego peugeota. Całkowicie opanowany.

Poczuła ukłucie winy.

Nic dziwnego, że był niemły.

Odprowadziła wzrokiem trumnę w czasie krótkiej podróży z zakrystii do kościoła. Turyści przed pizzerią wstali z szacunkiem. Umilkli i czekali ze splecionymi dłońmi, aż wolno idący kondukt zniknie w przejściu.

Drzwi kościoła zamknęły się z trzaskiem. Dzwon umilkł, zostawiając w wieczornym powietrzu jedynie echo. Na skwerze życie szybko wróciło do normy. Rozległo się szuranie krzesel, ludzie sięgnęli po szklanki, serwetki, zapalali papierosy.

Jakiś wóz przejechał główną ulicą na południe. Za nim jeszcze kilka innych. A więc najwyraźniej można było jechać dalej. Meredith odetchnęła z ulgą. Już bardzo chciała dotrzeć do hotelu.

Wyszła z cienia budynku i gdy się od niego oddaliła, wreszcie ujrzała go w całości. I wtedy – zrozumiała. Zdjęcie młodego żołnierza, jej przodka, zostało zrobione właśnie tutaj, dokładnie w tym miejscu, obramowanym przez budynki prowadzące na Pont Vieux, pomiędzy rzędem platunes a zalesionym zboczem wzgórza, wyzierającym przez lukę między domami.

Sięgnęła do torebki, wyjęła kopertę, a z niej fotografię.

Dokładnie tu.

Po wschodniej stronie skweru połyskiwał neon kawiarenki oraz motelu, ale poza tym nic się nie zmieniło. Właśnie z tego miejsca w roku tysiąc dziewięćset czternastym młody człowiek uśmiechał się do aparatu, zanim wyruszył na wojnę. Jej prapradziadek. Była tego pewna.

Ze świeżym entuzjazmem żwawym krokiem wróciła do samochodu. Spędziła w mieście niecałą godzinę i już coś znalazła. Miała konkretne wyniki.

ROZDZIAŁ 30

Meredith uruchomiła silnik i wyprowadziła samochód na ulicę. Mijając Place de Deux Rennes, spojrzała raz jeszcze na miejsce, gdzie pozował do fotografii jej przodek, jakby mogła tam dostrzec uśmiechniętego żołnierza.

Szybko znalazła się na przedmieściach i wyjechała na nieoświetloną drogę lokalną. Drzewa przybierały dziwne, zmienne kształty, od czasu do czasu wypływał z mroku jakiś budynek – czasem dom, a czasem obora czy stodoła. Na wszelki wypadek wcisnęła łokciem zabezpieczenie drzwi. Usłyszawszy kliknięcie zamka, odetchnęła nieco swobodniej.

Jechała wolno, kierując się wskazówkami z mapy zamieszczonej w ulotce reklamowej hotelu. Włączyła radio do towarzystwa, bo wiejska cisza była przytłaczająca. Po bokach miała gęsty las. Nad głową niebo ze srebrnymi gwiazdami. I na tym koniec. Żadnego żywego stworzenia, nawet kota czy lisa.

Znalazła drogę do Sougraigne i skręciła w nią w lewo. Potarła oczy. W zasadzie była zbyt zmęczona, żeby prowadzić samochód. Krzewy i słupy telegraficzne na krańcach pola widzenia kołysały się i drżały. Kilka razy zdawało jej się, że ktoś idzie poboczem, uchwycony w światła przednich reflektorów, ale z bliska okazywało się, że to znak drogowy albo przydrożna kapliczka.

Usiłowała się skupić, lecz zmęczone myśli nie dawały się uszeregować. Miała za sobą dzień pełen wrażeń. Wróżenie z tarota, szaleńczy pęd taksówką przez Paryż, lot do Tuluzy, huśtawka emocji... Była zmęczona. Była wykończona. Marzyła teraz jedynie o długim, gorącym prysznicu, kieliszku wina i dobrej kolacji. A potem do łóżka. Na długo, na bardzo długi czas.

Jezu!

Wdepnęła hamulec w podłogę. Ktoś stał na środku drogi.

Kobieta. W długim czerwonym płaszczu z kapturem. Meredith krzyknęła. W przedniej szybie zobaczyła odbicie własnej twarzy, wykrzywionej strachem. Szarpnęła kierownicą, choć wiedziała, że nie uniknie zderzenia. Wypadki potoczyły się jak w zwolnionym tempie. Wpadła w poślizg. Ośloniła głowę rękami. I zobaczyła wpatrzone w siebie zielone oczy.

O nie! Nic z tego!

Samochodem zarzuciło. Tył przesunął się o pięćdziesiąt stopni i zaraz wrócił na prostą. Opony zapiszczały niemiłosiernie. Auto zatrzymało się o centymetry od rowu. Coś strasznie głośno warczało, jak orkiestra bębnowa. Zagłuszało cały świat. Po kilku chwilach Meredith uświadomiła sobie, że to krew szumi jej w uszach.

Otworzyła oczy.

Przez kilka sekund siedziała nieruchomo, przyklejona do kierownicy. Potem zalała ją lodowata fala strachu. Bo teraz trzeba wsiąść. Bo kogoś potrąciła. Zabiła.

Niezdarnie zwolniła zamek i na drżących nogach wysunęła się z auta. Nie chciała zobaczyć tego, co musiała znaleźć. Ciała pod kołami.

Stanęła przed maską.

Nic.

Jak to?

Kompletnie zbita z tropu zerknęła w prawo, potem w lewo, spojrzała w stronę, z której nadjechała, potem w kierunku, gdzie zdążyła, w ciemność przedziurawioną strumieniami światła z przednich lamp.

Nic.

Las trwał w głuchej ciszy. Najmniejszego znaku życia.

–Halo! – zawołała. – Jest tu ktoś? Nic się pani nie stało? Proszę pani!

Odpowiedziało jej tylko echo.

Niebotycznie zdumiona pochyliła się i uważnie obejrzała przód samochodu. Żadnego znaku. Nawet najmniejszej rysy. Obeszła wóz dookoła, przesuając dłonią po karoserii. Nadal nic.

Wsiadła do auta. Była całkowicie pewna, że widziała kobietę na drodze. Ta kobieta patrzyła jej prosto w oczy. Nie wymyśliła jej sobie. A może jednak...? Zerknęła w lusterko i zobaczyła w nim własne odbicie, nic innego. I wtedy, gdzieś z cieni, wyłoniła się twarz matki.

Nie, nic z tego, ja nie oszaleję.

Przetarła oczy, dała sobie jeszcze kilka chwil na uspokojenie, po czym uruchomiła silnik. Oszołomiona tym, co się stało... tym, co się nie stało, ruszyła powoli, zostawiwszy otwarte okno. Zawsze to jakieś orzeźwienie.

Gdy wreszcie zobaczyła znak kierujący do hotelu, odetchnęła z ulgą-Zjechała z szosy prowadzącej do Sougraigne na krętą drogę, niewiele szerszą od samochodu, prowadzącą w górę po zboczu wzgórza. Dosłownie dwie minuty później dotarła do pary kamiennych filarów, stojących na straży dwuskrzydłowej bramy z kutego żelaza. Na murze znajdowała się szara tablica z napisem: HOTEL DOMAINE DE LA CADE.

Czarne wrota, poruszone dzięki czujnikowi ruchu, wolno się przed nią otwały. Było coś niesamowitego w tej ciszy, w tajemniczym kliknięciu automatu, w szeleście żwiru. Meredith zadrżała. Las wydawał się żywą istotą, czuła na karku jej oddech, ciężar badawczego spojrzenia. Niechętnego, wrogiego.

Wreszcie mogła ruszyć.

Opony zachrząściły na żwirowym podejździe. Jechała wolno, więc jakiś czas zajęło jej pokonanie wijącej się zakolami drogi, obsadzonej chdtaigniers, kasztanowcami o słodkich owocach, podobnymi do uroczystych wartowników. Po obu stronach trawniki ginęły w ciemnościach. Wreszcie minęła ostatni zakręt i

zobaczyła hotel.

Chociaż niemało tego dnia przeżyła i sądziła, że już zdążyła się trochę uodpornić na nowe wrażenia, a także wiedziała, czego się spodziewać, widok domu zaparł jej dech w piersiach. Elegancki trzykondygnacyjny budynek o białych ścianach, porośniętych zielonym i czerwonym bluszczem, błyszczącym w świetle reflektorów, jakby liście były wypolerowane. Z mroku wylaniały się piękne balustrady na parterowym tarasie i rząd okrągłych okien pod samym dachem, gdzie dawniej znajdowały się kwatery służby. Dom cieszył oko doskonałymi proporcjami, co zachwycało tym bardziej, że przecież oryginalny maison de maitre został częściowo zniszczony przez pożar. Cały wyglądał jednakowo autentycznie.

Znalazła miejsce parkingowe przed głównym wejściem, wyjęła z bagażnika torbę i po szerokich, gościnnie rozłożystych schodach, ruszyła do drzwi. Cieszyła się, że dotarła na miejsce cała i zdrowa, choć jeszcze rozdygotana po tym, jak o mało co nie wylądowała w rowie. No i ta scena nad rzeką...

Jestem po prostu zmęczona, uznała.

Od razu w progu hotelu poczuła się lepiej. Znalazła się w eleganckim holu o posadzce z czarnych i czerwonych płytek oraz ścianach wyklejonych delikatną kremową tapetą ze wzorem żółtych i zielonych kwiatów. Po lewej stronie, naprzeciwko wysokiego okna z dzielonymi szybami, stały przy kominku dwie głębokie sofy z miękkimi poduchami. Na kamiennym palenisku ustawiono piękny bukiet kwiatów. Gdziekolwiek spojrzała, tam lustra i szkło odbijały blask kandelabrow, złożonych ram i kinkietów.

Na wprost miała szeroki łuk schodów z wypolerowaną poręczą, a po prawej recepcję, urządzone przy wielkim drewnianym stole, opartym na zwierzęcych łapach z pazurami. Na ścianach rozwieszono mnóstwo starych fotografii, czarno-białych i w sepii. Mężczyźni w mundurach, głównie armii

napoleońskiej, rządziej z okresu pierwszej wojny światowej. Damy w sukniach o sutych spódnicach i bufiastych rękawach. Portrety rodzinne, sceny z czasów prosperity Rennes-les-Bains. Meredith uśmiechnęła się zadowolona. Będzie miała co robić przez najbliższe dni.

Podeszła do stołu.

–Bienvenue, madame – powitała ją recepcjonistka.

–Dobry wieczór.

–Witamy w Domaine de la Cade. Czy ma pani rezerwację?

–Tak. Na nazwisko Martin. – Dla pewności je przeliterowała.

–Pierwszy raz u nas?

–Tak.

Wypełniła formularz meldunkowy, podała dane karty kredytowej, już trzeciej tego dnia. Dostała plan hotelu, mapę terenu posiadłości oraz najbliższej okolicy, a także staroświecki mosiężny klucz z czerwonym chwo-stem i przywieszką, na której wypisano: Pokój Żółty.

Ktoś stanął jej za plecami, stanowczo za blisko. Poczowała jego oddech na karku. Obejrzała się przez ramię.

Nikogo.

–Pokój Żółty jest na pierwszym piętrze.

–Słucham? – Meredith odwróciła się z powrotem do recepcjonistki.

–Ma pani pokój na pierwszym piętrze – powtórzyła pracownica. – Windę znajdzie pani naprzeciwko recepcji – powiedziała, wskazując dyskretny znaczek. – Można też pójść schodami, tymi po prawej. Ostatnie dania kola-cyjne serwujemy o dwudziestej pierwszej trzydzieści. Życzy pani sobie stolik?

Za piętnaście ósma.

–Chętnie. Na wpół do dziewiątej?

–Doskonale. Bar tarasowy, z wejściem przez bibliotekę, jest otwarty do północy.

–Świetnie. Dziękuję.

–Potrzebuje pani pomocy przy bagażu?

–Nie, dziękuję, poradzę sobie.

Ogarnęła spojrzeniem pusty hol i ruszyła schodami na pierwsze piętro. Z podestu jeszcze raz zerknęła w dół. Dopiero wtedy dostrzegła fortepian, Boudoir Grand, ustawiony w cieniu schodów. Piękny instrument, choć przeznaczono mu dziwaczne miejsce. Kłapa była zamknięta.

Idąc korytarzem na pierwszym piętrze, z uśmiechem przyglądała się nazwom pokoi. Apartament Anjou, Pokój Błękitny, Blanka Kastylijska. Henryk IV.

Nawiązanie do korzeni.

Pokój Żółty znajdował się na samym końcu korytarza. Z niecierpliwością, jaką zawsze odczuwała, wchodząc po raz pierwszy do hotelowego pokoju, przekręciła w zamku ciężki klucz, pchnęła drzwi czubkiem buta i pstryknęła przełącznikiem światła.

Na jej twarzy rozlał się szeroki uśmiech.

Pośrodku stało wielkie mahoniowe łóżko. Toaletka, szafa i dwie szafki nocne stanowiły komplet, zrobiony z ciemnoczerwonego drewna. Otworzywszy szafę, znalazła w niej minibar, odbiornik telewizyjny oraz pilota. Na biurku leżały połyskliwe magazyny, informacja o hotelu oraz obsłudze, a także broszury przybliżające historię najbliższej okolicy. Na niewielkim drewnianym stojaku na książki, umieszczonym na biurku, znajdowały się stare tomiszczą. Przebiegła wzrokiem po tytułach na grzbietach. Horror i klasyka, przewodnik po jakimś muzeum kapeluszy w Esperaza i dwa tomiki na temat miejscowych wydarzeń

historycznych.

Podeszła do okna, pchnęła okiennice i wciągnęła w płuca mocny zapach wilgotnej ziemi. Pociemniałe trawniki ciągnęły się chyba w nieskończoność. Wypatrzyła staw ozdobny, a po chwili wysoki żywopłot, oddzielający część leżącą tuż przy domu od ogrodów i lasu. Była zadowolona, że dostała pokój na tyłach hotelu, z daleka od parkingu, trzaskania drzwiczkami i warkotu silników. Chociaż, z drugiej strony, miała pod oknami taras z drewnianymi stołami i krzesłami oraz grzejnikami przeznaczonymi na patio.

Rozpakowała się, tym razem starannie, nie zostawiła większości rzeczy w torbie, jak to zrobiła w Paryżu. Spodnie i T-shirty ułożyła w szufladach, elegantsze stroje powiesiła w szafie. Szczoteczkę do zębów oraz kosmetyki ustawiła na półkach w łazience, a następnie w towarzystwie szamponu oraz mydła w tubce firmy Molton Brown weszła do wanny.

Pół godziny później, w znacznie lepszym nastroju, owinięta wielkim białym płaszczem kąpielowym, podłączyła telefon komórkowy do ładowarki i usiadła przy laptopie. Natychmiast odkryła, że nie może się połączyć z Internetem, więc zadzwoniła do recepcji.

–Dzień dobry, mówi Martin z Pokoju Żółtego. Chciałabym sprawdzić pocztę, a nie mogę się połączyć z siecią. Czy może mi pani podać hasło? – Przytrzymując słuchawkę ramieniem, nabazgrała jedno słowo. – Dobrze, dziękuję.

Odłożyła słuchawkę. Hasło brzmiało KONSTANTYN. Kolejny zbieg okoliczności. Wstukala je i natychmiast uzyskała połączenie. Jak co dzień wysłała list do Mary. Zaraportowała, że cała i zdrowa dotarła do celu i nawet już znalazła miejsce, gdzie zrobiono jedną z rodzinnych fotografii. Obiecała zawiadamiać na bieżąco o wszelkich postępach. Następnie sprawdziła stan konta i z ulgą stwierdziła, że pojawiły się pieniądze od wydawcy.

Nareszcie.

Odebrała kilka listów, w tym zaproszenie na ślub znajomych w Los Angeles, oraz drugie, na koncert pod dyktando szkolnej przyjaciółki, która wróciła do Milwaukee. Pierwsze odrzuciła, drugie z radością przyjęła.

Właśnie miała się wylogować, gdy przyszło jej do głowy, że warto sprawdzić, czy znajdzie coś na temat pożaru w Domaine de la Cade w październiku tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego siódmego. I znalazła, ale niewiele więcej, niż już się dowiedziała z hotelowej broszury.

Wstukała w okienko wyszukiwarki LASCOMBE.

Uzyskała informacje na temat Julesa Lascombe'a. Najwyraźniej był zapalonym historykiem, ekspertem w sprawach epoki wizygockiej, miejscowego folkloru i przesądów ludowych. Nawet opublikował kilka książek, a właściwie broszurek, w pobliskim wydawnictwie Bousquet.

Meredith zmrużyła oczy. Kliknęła link i na monitorze pojawiły się kolejne wiadomości. Członkowie rodu Bousquetów zapisali się w historii regionu jako posiadacze największego w Rennes-les-Bains domu handlowego oraz dużej drukarni. A przy tym byli spokrewnieni z Julesem Lascombeem i po jego śmierci odziedziczyli Domaine de la Cade.

Przewinęła stroną niżej, aż znalazła to, czego szukała.

...Tarot Bousqueta jest rzadko spotykaną talia, w zasadzie nieużywaną poza Francją. Najwcześniejsze egzemplarze drukowane były przez wydawnictwo Bousquet, mające siedzibę pod Rennes-les-Bains w południowo-zachodniej Francji, u schyłku lat dziewięćdziesiątych dziewiętnastego wieku.

Uznaje się, że talia ta została stworzona na podstawie innej, znacznie starszej, pochodzącej z siedemnastego wieku. Znajdujemy w niej Maitre. Maitresse, Fils i Filie – w każdym kolorze te cztery karty dworskie mają inny styl stroju postaci oraz rysunku. Twórca arkanów większych, współczesnych pierwszej wydrukowanej talii, pozostaje nieznany".

Nagle odezwał się telefon. Meredith podskoczyła. Nie odrywając oczu od monitora, namacała aparat.

–Tak? Słucham.

Dzwoniono z restauracji, z pytaniem, czy nadal zamierza zejść. Dziewczyna sprawdziła godzinę. Za dwadzieścia dziewięć! Coś podobnego...

–W zasadzie wolałabym zamówić jedzenie do pokoju – zdecydowała.

Dowiedziała się jednak, że serwowanie posiłków do pokoi było możliwe tylko do godziny osiemnastej.

Nie bardzo wiedziała, na co się zdecydować. Z jednej strony, nie chciała wychodzić z Internetu, zwłaszcza teraz, kiedy akurat coś wyszperała, chociaż ile te informacje były warte, trudno powiedzieć. Z drugiej strony, umierała z głodu. Nie zjadła obiadu, a o pustym żołądku wiele nie działo.

Dowodem były choćby halucynacje nad rzeką i na drodze.

–Już schodzę – zdecydowała.

Wpisała stronę do „Ulubionych” i wylogowała się z sieci.

ROZDZIAŁ 31

–Co się z tobą dzieje?! – Julian Lawrence ledwo nad sobą panował.

–Co się ze mną dzieje?! – krzyknął Hal. – Jak to co?! Właśnie pochowałem ojca!

Z całej siły trzasnął drzwiczkami peugeota i wbiegł na schody. Po drodze zerwał z szyi krawat, wepchnął go do kieszeni marynarki.

–Mów ciszej! – syknął Julian. – Jeszcze tu nam atrakcje potrzebne! Już

pokazałeś, co potrafisz! Wystarczy na jeden wieczór. – Zamknął samochód i poszedł za bratankiem do tylnego wejścia do hotelu. – Co ci do łba strzeliło! Przed całym miastem!

Z daleka wyglądali jak ojciec i syn wybierający się na jakąś oficjalną kolację. Obaj przystojni, elegancko ubrani w czarne garnitury. Jedynie wyraz twarzy i zaciśnięte pięści Hala zdradzały, że dzieli ich gwałtowna nienawiść.

–Jasne! – Hal zaśmiał się szyderczo. – Dla ciebie ważna jest wyłącznie

reputacja! Ciebie obchodzi tylko, co ludzie sobie pomyślą. – Płasnął się dłonią w czoło. – A dotarło do ciebie, że w trumnie był mój ojciec? Twój brat? Przedarło się to do twojej świadomości? Mocno wątpię!

Lawrence położył dłoń na ramieniu młodego mężczyzny.

–Posłuchaj mnie przez chwilę – powiedział spokojniej. – Rozumiem,

że jesteś zdenerwowany. Nie ma się czemu dziwić. Nic bardziej naturalnego. Ale rzucanie bezpodstawnych oskarżeń

nikomu w niczym nie pomoże. Jeśli już, to ewentualnie zaszkodzi. Ludzie zaczną sądzić, że są powody do stawiania jakichś zarzutów.

Hal chciał strącić dłoń stryja, ale ten ścisnął go za ramię.

–Wszyscy ci współczują. I policjanci, i merostwo, wszyscy. Twój ojciec

był lubiany. Ale jeśli dalej będziesz się tak zachowywał...

Hal zmierzył go płonącym spojrzeniem.

–Grozisz mi? – Wreszcie udało mu się oswobodzić. – Ty mi grozisz?

Lawrence przesłonił oczy powiekami. Z jego twarzy zniknął wyraz współczucia, serdeczna troska. Na ich miejscu pojawiła się irytacja i coś jeszcze... Pogarda.

–Nie bądź śmieszny – rzekł lodowatym tonem. – I na litość boską, weź

się w garść. Masz dwadzieścia osiem lat, nie jesteś już rozpuszczonym uczniakiem. – Wszedł do hotelu. – Napij się czegoś i idź spać – rzucił jeszcze przez ramię. – Porozmawiamy rano.

Hal poszedł za nim.

–Nie ma o czym rozmawiać – oznajmił. – Doskonale wiesz, co myślę.

I nie skłonisz mnie do zmiany zdania. W żaden sposób.

Skręcił w prawo, do baru.

Julian Lawrence odczekał chwilę, a następnie poszedł w stronę głównego wejścia, do recepcji.

–Witaj, Eloise. Wszystko w porządku?

–Bardzo spokojnie dzisiaj – poinformowała pracownica i uśmiechnęła się do niego ze współczuciem. – Jak pan sobie daje

radę? Pogrzeb zawsze jest przykry...

–Koszmary. – Przewrócił oczami. – Pojęcia nie masz, do jakiego stopnia. – Oparł się o stół. – Są dla mnie jakieś wiadomości?

–Tylko jedna. – Eloise podała szefowi białą kopertę i jeszcze się upewniła: – W kościele wszystko poszło jak trzeba, oui?.

Skrzywiony pokiwał głową.

–O tyle, o ile to możliwe w tych warunkach.

Przyjrzał się kopercie. Widok odręcznego pisma wywołał na jego twarzy szeroki uśmiech. Na tę wiadomość czekał. Na informację o wizygockiej komnacie pogrzebowej, odkrytej w Quiilan. Marzył, że będzie ona miała istotne znaczenie dla wykopalisk prowadzonych w Domaine de la Cade. Z Quiilan jeszcze nie wypuszczono żadnych przedmiotów.

–O której dostałaś przesyłkę?

–O ósmej, proszę pana. Została doręczona osobiście.

Zabębnił palcami na blacie.

–Doskonale. Dziękuję ci. Miłego wieczoru. Gdyby ktoś mnie potrzebował, będę w biurze.

–D'accord. – Dziewczyna uśmiechnęła się promiennie, ale on już się odwrócił.

ROZDZIAŁ 32

Kwadrans przed dziesiątą Meredith skończyła kolację.

Wyszła do holu. Chociaż była zmęczona, wiedziała, że nie zaśnie, za dużo myśli kłębiło jej się w głowie. Spojrzała przez drzwi wejściowe. Może by się przejść? Ścieżki były rzęsiście oświetlone, a przy tym ciche i opustoszałe. Włożyła czerwony kardigan Abercrombie Fitch. Nie, jednak nie. Od kilku dni bez przerwy gdzieś chodziła.

I jeszcze taki dzień...

Wypchnęła tę myśl z głowy. Czas odpocząć. Z baru na tarasie dobiegał szmer głosów. Nie była wielbicielką ani stałą bywalczynią takich lokali, ale skoro nie miała ochoty iść od razu do pokoju i kłaść się spać, może nie od rzeczy byłoby tam zajrzeć.

Minęła gabloty, w których wyeksponowano porcelanę, i pchnęła szklane drzwi. Wnętrze przypominało raczej bibliotekę niż bar. Całe ściany, od podłogi do sufitu, zastawione były książkami za szkłem. W rogu stały drewniane schodki na kółkach, wypolerowane do połysku.

Przy niskich okrągłych stolikach ustawiono skórzane fotele, więc można się było tu czuć jak w ekskluzywnym klubie. Panowała atmosfera komfortu i relaksu. Meredith przesunęła wzrokiem po gościach: dwa małżeństwa, jakaś rodzina i kilku samotnych mężczyzn.

Ponieważ nie było wolnego stolika, usiadła na stołku przy barze. Położyła na ladzie klucz od pokoju oraz broszurę, wzięła w rękę menu.

–Cocklails d'un cote, vins de l'autre – uśmiechnął się barman.

Aha, czyli tu koktajle, a po drugiej stronie wina. Odwróciła

kartę, przeczytała nazwy win serwowanych na kieliszki i odłożyła spis.

–Quelque chose de la region? – spytała. Rzeczywiście, najchętniej spróbowałaby jakiegoś miejscowego trunku. Qu'est-ce que vous recomman-dez?

–Blanc, rouge, rose?

–Blanc. Stanowczo białe.

–Proszę spróbować Domaine Begude Chardonnay – usłyszała.

Zaskoczona angielskimi słowami i faktem, że ktoś w ogóle się do niej odezwał, przeniosła spojrzenie na młodego mężczyznę, siedzącego kilka stołków dalej. Był przystojny, ubrany w śnieżnobiałą koszulę i eleganckie czarne spodnie. Jego marynarka leżała na dwóch stołkach między nim a Meredith. Z wyglądem kłóciła się ponura mina. Gęste czarne włosy spadały mu na twarz.

–Z niedalekiej winnicy – podjął. – Z Cepie, na północ od Limoux.

Bardzo smaczne.

Przyjrzał jej się, jakby sprawdzał, czy na pewno go słucha, zaraz jednak na nowo utkwiał wzrok w kieliszku.

Ależ niebieskie oczy!

W tej chwili go rozpoznała. To jego widziała na Place des Deux Rennes, to on szedł za trumną w kondukcje żałobnym. Zrobiło jej się jakoś dziwnie. Jakby go śledziła, jakby wtykała nos w nie swoje sprawy, choć przecież wcale tego nie chciała.

Kiwnęła głową.

–Dobrze. – Zwróciła się do barmana: – S'il vous plait.

–Tres bien, madame. Votre chambre?

Oczywiście. Musiał wiedzieć, kto zamawia. Pokazała mu

przywieszkę od klucza. Po czym zwróciła się do nieznanego. –
Dziękuję za pomoc.

–Nie ma sprawy.

Poprawiła się na stołku, trochę speszona, niepewna, czy ma podtrzymać rozmowę. Ale on już podjął za nią decyzję. Wyciągnął do niej rękę nad czarnymi siedzeniami i wypolerowanym drewnem.

–Nazywam się Hal. Podała mu dłoń.

–Meredith Martin.

Barman położył przed nią papierową podkładkę, na niej ustawił kieliszek z ciemnożółtym płynem. Dyskretnie podsunął rachunek i długopis.

Świadoma, że Hal na nią patrzy, upiła łyk. Lekkie, cytrynowe, czyste. Podobne do białych win, które Mary i Bill zamawiali przy szczególnych okazjach albo gdy przyjeżdżała do domu na weekendy.

Wspaniale. Fantastyczne.

–Encore un verre, monsieur? – spytał barman.

–Tak, Georges, nalej mi jeszcze – zgodził się Hal. Odwrócił się do dziewczyny. – Meredith Martin. Jesteś Amerykanką. – Oparł łokcie na kontuarze i wsunął palce we włosy. Chyba był wstawiony. – Przepraszam. Niepotrzebnie się wtrącam.

–Nic nie szkodzi. – Uśmiechnęła się. – Masz rację, jestem Amerykanką.

–Przyjechałaś niedawno?

–Dwie godziny temu. Pociągnęła jeszcze łyk wina. Alkohol dotarł do żołądka. – A ty?

–Mój ojciec... urwał. Na twarzy miał rozpacz. – Hotel należy do mojego stryja – powiedział.

Meredith domyśliła się, że dziś Hal pochował ojca. Poczuli się

niewyraźnie. Czekala w milczeniu.

–Wybacz – odezwał się w końcu. – Mam za sobą fatalny dzień.
– Osuszył kieliszek do dna i sięgnął po drugi, który postawił przed nim barman. – Co cię tu sprowadza, interes czy przyjemności?

–Po trochu jedno i drugie – odpowiedziała. – Piszę.

–Dla jakiejś gazety?

–Nie, pracuję nad książką. Nad biografią kompozytora, Claude'a Debussy'ego.

Spojrzenie mu zgasło, znów spochmurniał. Nie na taką reakcję miała nadzieję.

–Bardzo tutaj ładnie – dodała szybko, obejmując spojrzeniem wnętrze. – Twój stryj długo tutaj mieszka?

Hal zacisnął pięści.

–We dwóch z moim ojcem kupili tę posiadłość w dwa tysiące trzecim.

Fortuna poszła na doprowadzenie jej do przyzwoitego stanu.

Meredith nie bardzo wiedziała, co powiedzieć. A Hal nie ułatwiał jej zadania.

–Tata przyjechał tu na stałe w maju – odezwał się wreszcie. – Chciał

prowadzić interes na co dzień. – Znowu przerwał. – Zginął w wypadku samochodowym. Miesiąc temu. Odchrząknął. – Dzisiaj był jego pogrzeb.

Zanim uświadomiła sobie, co robi, przykryła jego palce dłonią.

–Tak mi przykro.

Napięcie odrobinę zelżało. Siedzieli przez jakiś czas w milczeniu, wreszcie Meredith delikatnie puściła rękę Hala i sięgnęła po kieliszek.

–Miesiąc temu...? – rzuciła zdziwiona. – Dość długo...

–Rzeczywiście. – Pokiwał głową. – Robili sekcję. Oddali ciało dopiero w zeszłym tygodniu.

Ciekawe dlaczego.

–Mieszkasz tutaj? – zapytała, starając się podtrzymać rozmowę.

–W Londynie. Pracuję w inwestycjach bankowych. To znaczy, pracowałem. Właśnie złożyłem wypowiedzenie. – Zamilkł na moment. – Mam dosyć. I nawet nie chodzi o ojca. Harowałem po czternaście godzin na dobę, siedem dni w tygodniu. Zarabiałem nieźle, ale nie miałem kiedy wydawać pieniędzy.

–Masz tutaj rodzinę? Jakichś francuskich krewnych?

–Nie. Jestem Anglikiem z krwi i kości. Na chwilę zapadła cisza.

–I co dalej?

Hal tylko wzruszył ramionami.

–Zostaniesz w Londynie?

–Bo ja wiem? Chyba nie. Meredith pociągnęła łyk wina.

–Debussy – odezwał się Hal zniecierpliwiony, jakby dopiero teraz dotarli do niego słowa dziewczyny. Przyznaję ze wstydem, niewiele o nim wiem.

Uśmiechnęła się, wdzięczna za szczere starania.

–Nie ma takiego obowiązku.

–A co on ma wspólnego z tą częścią Francji?

–Niewiele! – zaśmiała się Meredith. – W sierpniu tysiąc dziewięćsetnego napisał do przyjaciela, że wysyła swoją żonę, Lilly, w Pireneje, na rekonwalescencję po operacji. Czyli, między wierszami, po usunięciu ciąży Jak dotąd nikt tej historii nie potwierdził, a jeżeli Lilly faktycznie tu przyjechała, to nie na

długo, bo w październiku znalazła się z powrotem w Paryżu.

Hal pokiwał głową na boki.

–Wszystko jest możliwe. Teraz trudno w to uwierzyć, ale w tamtych czasach Rennes-les-Bains było, zdaje się, modnym uzdrowiskiem.

–To prawda. Zwłaszcza wśród paryżan. Pewnie dlatego, że tutaj leczono różne dolegliwości. Normalnie kurorty specjalizowały się w walce z konkretnymi chorobami, najczęściej z reumatyzmem. Do Lamalou przyjeżdżali chorzy na syfilis.

Hal uniósł brwi, ale nie podjął wątku.

–Chyba sporo wysiłku kosztowała cię podróż na południe Francji -odezwał się po chwili. – I wszystko to dlatego, że być może Lilly Debussy spędziła tutaj parę tygodni? Czy to aż takie ważne?

–Szczерze mówiąc, nie – odparła, trochę zdziwiona, że czuje potrzebę, by się bronić. Jakby jej prawdziwe motywy przyjazdu do Rennes-les-Bains zostały nagle odsłonięte przed całym światem. – Ale byłby to zupełnie nowy wątek, do którego nikt wcześniej nie dotarł. Coś, co by moją książkę odróżniało od innych. – Umilkła zapatrzona w blat. – Poza tym to interesujący okres w życiu Debussy'ego. Lilly Texier poznała go, mając zaledwie dwadzieścia cztery lata. Pracowała jako modelka. Rok później się pobrali. W tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym dziewiątym. Debussy wiele utworów dedykował przyjaciołom, kochankom, znajomym, ale mało który swojej żonie. – Meredith zdawała sobie sprawę, że mówi za dużo, ale dosiadła swojego konika i nie potrafiła zamilknąć. – A przecież właśnie ona towarzyszyła mu przez lata, gdy rodziła się jedyna opera Debussy'ego, „Peleas i Melizanda”. Wystawiono ją w tysiąc dziewięćset drugim. Wtedy właśnie jego szczęście się odmieniło, zyskał reputację, szacunek, uznanie. Lilly była stale u jego boku, więc chyba warto ją zauważyć. – Zamilkła dla złapania oddechu i raptem zorientowała się, że Hal się uśmiecha. – Przepraszam. –

Skrzywiła się lekko. – Poniosło mnie. Z marszu przyjmuję, że każdego ten temat interesuje równie mocno jak mnie. Fatalny zwyczaj.

–Dobrze jest żyć z pasją – rzekł Hal cicho.

Podniosła na niego wzrok i stwierdziła, że patrzy na nią bez zmruczenia oczu. Zaczerwieniła się i z tego powodu zrobiło jej się głupio.

–Bardziej lubię poszukiwania i badania niż samo pisanie – rzekła szybko. Nazywam to umysłowymi wykopaliskami. Szperanie w starych zapiskach, artykułach, listach, ożywianie danej chwili, jakiejś fotografii z dawnych lat... Cała praca polega na rekonstrukcji, na odszukaniu kontekstu, dotarciu do sedna wydarzeń, które rozgrywały się dawno temu i daleko. Oczywiście przy wykorzystaniu wyobraźni i rozumu.

–Praca detektywistyczna.

Obrzuciła go uważnym spojrzeniem, podejrzewając, że zawędrował myślami zupełnie gdzie indziej, ale on trzymał się tematu.

–Kiedy zamierzasz skończyć?

–Książka ma być gotowa na kwiecień przyszłego roku. Na razie mam o wiele za dużo materiału. Dokumenty publikowane w „Cahiers Debussy” i w „Oeuvres completes de Claude Debussy”, różne notki biograficzne... Sporo tego. A jeszcze sam Debussy też dużo pisał. Listy, artykuły do gazety „Gil Blas”, recenzje do „La Revue Blanche”. Oczywiście wszystko przeczytałam.

Nagle poczuła się winna. Bez przerwy to samo. Znowu mówiła i mówiła, i ciągle na ten sam temat. A on dopiero co po pogrzebie. Chciała przeprosić, ale coś ją powstrzymało. Wyras jego twarzy. Kogoś jej przypominał. Jakiegoś chłopca, młodego mężczyznę... Nie mogła sobie przypomnieć.

Ogarnęło ją zmęczenie. Hal siedział zatopiony w smutnych myślach. Brakowało jej energii na podtrzymywanie rozmowy.

Czas zakończyć wieczór.

Zeszła ze stołka, zebrała swoje rzeczy.

–Uciekasz już? – zdziwił się Hal.

–Mam za sobą długi dzień.

–No tak. – On także wstał. – Posłuchaj... Wiem, że to dziwnie zabrzmiało, ale może byśmy się jutro gdzieś wybrali? Na drinka?

Meredith była kompletnie zaskoczona.

Z jednej strony, Hal jej się spodobał. Był przystojny, czarujący i w dodatku najwyraźniej potrzebował towarzystwa. Z drugiej, powinna się skupić na szukaniu rodzinnych korzeni. Do tego niepotrzebne jej było towarzystwo. I jeszcze na dodatek słyszała w głowie ostrzegawczy głos Mary. Przecież wcale nie знаła tego faceta!

–Pewnie jesteś bardzo zajęta – zrezygnował Hal.

Był wyraźnie rozczarowany. I właśnie dlatego Meredith podjęła taką, a nie inną decyzję. Poza tym od dwóch tygodni właściwie z nikim nie rozmawiała, jeśli nie liczyć grzecznościowej wymiany zdań w różnych codziennych sytuacjach oraz wizyty u Laury.

–Chętnie – powiedziała, zanim zdążyła się solidnie zastanowić. Twarz Hala rozjaśniła się w uśmiechu.

–Świetnie.

–Tylko że zamierzałam dość wcześnie wyjechać z hotelu. Pokręcić się po okolicy.

Wybiorę się z tobą. Może ci się na coś przydam? Nie powiem, żebyś znał ten region jak własną kieszeń, ale bywam tu od pięciu lat.

–Zanudzisz się.

–Jakoś przeżyję. Zrobiłaś listę miejsc, które chcesz odwiedzić?

–Miałam zamiar iść na żywiol. – Przerwała. – Właściwie przyjechałam tu z nadzieją, że znajdę coś w samym sanatorium w Rennes-les-Bains. Ale jest zamknięte na zimę, więc postanowiłam iść do merostwa, poszukać kogoś, kto by mi pomógł.

Hal spochmurniał.

–To na nic. Walenie głową w mur.

–Przepraszam, nie chciałam ci przypominać...

Gwałtownie potrząsnął głową.

–Nie, nie, daj spokój. – Znów się uśmiechnął. – Mam pomysł. Wydaje mi się, że mogłabyś coś znaleźć w muzeum w Rennes-le-Chateau. Byłem tam tylko raz, ale pamiętam, że wyszedłem stamtąd z nie najgorszym pojęciem o tym, jak wyglądało tutaj życie pod koniec dziewiętnastego wieku.

Iskierka nadziei.

Doskonała myśl.

–To co, przy recepcji o dziesiątej?

Meredith zawahała się, ale doszła do wniosku, że zbyt wielka ostrożność też jej nie wyjdzie na zdrowie.

–Dobrze. Niech będzie o dziesiątej.

Hal wstał, ręce wepchnął głęboko w kieszenie.

–Dobranoc.

–Do jutra.

ROZDZIAŁ 33

Nie mogła zasnąć. Za dużo jej się kłębiło w głowie. Odtwarzała w pamięci zdania, które wypowiedziała sama, i te, które usłyszała od niego, doszukiwała się w nich drugiego dna. Współczuła Halowi.

Wydawał się wrażliwym człowiekiem.

Przy myciu zębów uważnie zlustrowała swoje odbicie. Czy rzeczywiście miał powody się nią interesować? Raczej nie. Pewnie najzwyczajniej w świecie potrzebował z kimś pogadać.

Wsunęła się pod kołdrę i zgasiła światło, zalewając pokój miękką, atramentową ciemnością. Jakiś czas leżała ze wzrokiem utkwionym w sufit, aż w końcu ciało zrobiło się ciężkie i bezwładne, zaczęła się osuwać w sen.

Nagle zobaczyła w wyobraźni twarz, którą widziała w wodzie. I zaraz potem zielone oczy, te z górskiej drogi. A co najgorsze, umęczoną twarz matki, płaczącej, zawodzącej, błagającej, żeby bezlitosne głosy zostawiły ją wreszcie w spokoju.

Natychmiast oprzytomniała.

Nie, powiedziała sobie w duchu, nie ma mowy. Przeszłość należy do przeszłości.

Przyjechała tutaj dowiedzieć się, kim jest, znaleźć rodzinne korzenie, uciec przed cieniem choroby matki, a nie się w nim pogrążyć. Odepchnęła od siebie wspomnienia z dzieciństwa, wróciła myślami do obrazów tarota, które tkwiły jej w podświadomości przez cały długi dzień. Le Mat i La Justice. Diabeł o niebieskich oczach. Para kochanków przykutych u jego stóp.

Przypominała sobie słowa Laury, każdą kartę po kolei, aż wreszcie powieki zaczęły jej ciążyć. Nie wiadomo skąd pojawiła

się Lilly Debussy, blada i wiotka, z pociskiem w piersiach. I sam Debussy, nachmurzony, palący przy fortepianie posłusznym jego dłoniom. Potem ukazała się Mary. Siedziała w bujanym fotelu na ganku w Chapel Hill, coś czytała. 1 jeszcze podobizna żołnierza z pożółkłej fotografii, postać na tle platanes, na Place de Deux Rennes.

W północy Meredith usłyszała trzaśnięcie drzwiczek i zgrzyt kroków na Żwirowej ścieżce, pohukiwanie sowy, ruszającej na łów, od czasu do czasu jakiś trzask w rurach z ciepłą wodą.

Hotel powoli cichł. Noc brała dom w czarne objęcia. Domaine de la Cade zasypiała, oblana bladym światłem księżyca.

Mijały godziny. Północ, druga nad ranem, czwarta.

Nagle coś wyrwało Meredith ze snu. Nerwy miała napięte jak struny.

Ktoś śpiewał!

Nie, to nie był śpiew. To dźwięki fortepianu. Gdzieś bardzo blisko.

Usiadła. W pokoju było zimno. Panował taki sam przenikliwy chłód jak tam pod mostem. Ciemność także się zmieniła, dziwnie rozrzedzona, jakby się rozpadała na kawałki. Dziewczyna nieomal czuła cząstki światła i czerni, prawie mogła ich dotknąć. Jej ramiona i szyję musnął leciuteńki powiew, a przecież gotowa była przysiąc, że okna są zamknięte. Ktoś szepnął do ucha.

Ktoś tu jest!

Niemożliwe. Tak by ją zaskoczył?

A mimo to nie mogła się oprzeć wrażeniu, że ktoś stoi w nogach łóżka, że ją obserwuje. Oczy błyszczące w ciemności.

Zimny pot zrosił jej czoło.

Strach niekiedy uskrzydla.

Śmiało!

Policzyła do trzech i desperacko sięgnęła do włącznika lampki. Błysnęło światło.

Powitał ją znajomy widok. Wszystko było jak należy. Szafa,

stół, okna, kominek i biurko, wszystko w najlepszym porządku. Obrotowe lustro, stojące przy drzwiach do łazienki, posłusznie odbijało światło.

Nikogo.

Meredith oparła się o wezglowie. Co za ulga. Czerwone cyfry zegara wskazywały czwartą piętnaście. Nie było żadnych oczu, tylko kontrolki z budzika, odbite w zwierciadle.

Przyśnił mi się koszmar.

W końcu nic dziwnego, po takim dniu...

Odkryła się, musiała ochłonać. Jakiś czas leżała bez ruchu na wznak, z dłońmi splecionymi na piersiach, jak figura nagrobna. Potem wstała. Musiała się ruszyć. Wyjęła z minibaru butelkę wody mineralnej, podeszła do okna. Pograżone w ciszy ogrody ciągle jeszcze kąpały się w księżycowym blasku. Taras lśnił od deszczu. Nad drzewami zawisł biały welon mgły.

Przycisnęła rozpostartą dłoń do chłodnego szkła, jakby mogła w ten sposób odepchnąć niechciane myśli. Nie po raz pierwszy opanowały ją wątpliwości. Kim jest? A jeśli się niczego nie dowie? Tak długo żyła nadzieją na wyjazd do Rennes-les-Bains, choć była uzbrojona jedynie w stare fotografie i krótki utwór na fortepian.

Tymczasem gdy wreszcie tu dotarła, gdy przekonała się, jak mało znaczące jest Rennes-les-Bains, jak mała Domäne de la Cade, straciła pewność siebie i cały pomysł szukania rodzinnych korzeni wydał jej się szalony, wyjęty żywcem z cikliwego filmu.

Życie nie jest filmem.

Długo stała pograżona w rozmyślaniach. Dopiero kiedy stopy jej zdrętwiały z zimna, spojrzała na zegarek. Piętnaście po piątej. Dostyc tego. Żadne duchy i zjawy już nie wrócą. Ani twarz na wodzie, ani postać na drodze, ani obrazy z kart.

Gdy się położyła, nie śledziły jej żadne oczy, nic nie

połyskiwało w ciemnościach, nie było żadnych szumów czy chłodu. Tylko czerwone cyfry budzika.

Zamknęła oczy.

Gdy już zapadała w sen, pojawił się obraz młodego żołnierza, stopił z wizerunkiem Debussy'ego i w końcu zmienił w Hala.

CZĘŚĆ V Domaine de la Cade

Wrzesień 1891

ROZDZIAŁ 34

Poniedziałek, 21 września 1891

Leonie ziewnęła i otworzyła oczy. Przeciągnęła się, wyprostowała szczupłe ramiona nad głową, a potem ułożyła się wygodniej na miękkich białych poduszkach. Chociaż wieczorem przesadziła z blanquette de Li-moux, spała doskonale. A może właśnie dlatego?

Pokój Żółty w świetle dnia przedstawiał się bardzo ładnie. Jakiś czas leżała spokojnie, przyglądając mu się z przyjemnością i wsłuchując w rzadkie odgłosy, mącące wiejską ciszę – ptasie trele, szum wiatru trącającego gałęzie, jakieś szmery. Och, znacznie miłsza pobudka niż o szarym brzasku w Paryżu, przy wtórze metalicznych zgrzytów, dobiegających z dworca Saint-Lazare.

O ósmej Marieta przyniosła tacę ze śniadaniem. Postawiła ją na stoliku przy oknie, a następnie odciągnęła zasłony, wpuszczając do pokoju załamane przez szybki promyki słońca. Na błękitnym niebie, nad fioletowymi paskami płynęły kremowe obłoczki.

–Dziękuję, Marieto. Nie będę potrzebowała pomocy.

–Tak, madomaisela.

Leonie odrzuciła kołdrę, usiadła na łóżku i wymacała stopami

ranne pantofle. Wstała, spryskała twarz wodą, włożyła niebieski kaszmirowy pe-niuar i usiadła przy stoliku pod oknem. Czuła się jak wielka dama. Nieczęsto zdarzało jej się jeść śniadanie w sypialni. Jedynie wówczas, gdy mamę odwiedzał pan du Pont.

Uniosła pokrywę dzbanka z gorącą kawą, uwalniając, jak dżinna z czarodziejskiej lampy, rozkoszny aromat świeżo zmielonych ziaren. Obok stał dzbanuszek mleka z pianką i miseczka kostek cukru. Przy niej srebrne szczypce. Pod wyprasowaną lnianą serwetką dziewczyna znalazła talerz jeszcze ciepłego białego chleba ze złocistą skórką. Posmarowała go cudownie kremowym masłem, a potem miała do wyboru trzy różne dżemy, każdy w osobnej miseczce z porcelany. Oprócz kawy mogła się napić także kompotu jabłkowego.

Jedząc, patrzyła na ogród. Nad doliną zawisła siwa mgła. Tuż nad Wierzchołkami drzew. Bliżej pięknie utrzymane trawniki wygrzewały się w pierwszych promieniach wrześniowego słońca. Po wietrze, który się srożył poprzedniego dnia, nie zostało ani śladu.

Włożyła gładką wełnianą spódnicę oraz bluzkę ze stójką, wzięła w rękę broszurkę, którą Anatol wyszukał dla niej poprzedniego wieczoru i wyruszyła do biblioteki. Miała zamiar sama ją zwiedzić, rozejrzeć się wśród zakurzonych stert i lśniących rzędów najróżniejszych opasłych tomiszczy. Gdyby ktoś podważał jej prawo do przebywania w bibliotece, choć nie widziała takiego powodu, skoro Izolda wyraźnie prosiła gości, by

się w Domaine de la Cade czuli jak w domu, miała usprawiedliwienie: zamierzała odłożyć na miejsce książeczkę pana Baillarda.

Wyszędłszy na korytarz, odniosła wrażenie, że cały dom jeszcze śpi. Żadnego ruchu, szczęknięcia naczyń, pogwizdywania z sypialni Anatola, który nieodmiennie w ten sposób umiłał sobie poranną toaletę, nic. Hol na parterze także był całkiem pusty, choć zza drzwi prowadzących do pomieszczeń gospodarczych dobiegały jakieś głosy.

Biblioteka znajdowała się w południowo-zachodnim rogu domu. Docierało się do niej kilkoma mniejszymi korytarzami między salonem a gabinetem. Doprawdy dziwne, że Anatol w ogóle zdołał tam wczoraj trafić. Czasu miał niewiele.

Ostatni korytarz był jasny i dość szeroki, by pomieścić kilka przeszklonych gablot na ścianach. W pierwszej wystawiono porcelanę z Marsylii oraz Rouen, w drugiej niewielki i z pewnością bardzo stary cuirasse, a więc pancerz, a także dwie szable, floret podobny do tego, którym z lubością fechtował się Anatol i muszkiet. W trzeciej, najmniejszej, wyeksponowano na niebieskim aksamicie całą kolekcję odznaczeń i wstęg wojskowych. Nic nie zdradzało, kto został nimi nagrodzony, toteż Leonie przyjęła, że należały do wujka Jules'a.

Uchyliła drzwi do biblioteki tylko na tyle, by się przez nie prześliznąć. Natychmiast gdy tylko weszła do wnętrza, ogarnął ją spokój i nastrój skupienia. W powietrzu unosił się zapach pszczelego wosku i atramentu oraz przykurzonych bibularzy. Pomieszczenie było znacznie większe, niż oczekiwała, z oknami wychodzącymi na północ i na zachód. Kotary z ciężkiego niebieskiego brokatu, mieniącego się złotem, opadały fałdami na posadzkę spod samego sufitu. Stukanie jej obcasów wsiąkło w gruby owalny dywan, leżący pośrodku. Stał na nim wysoki stół, na którym dałoby się rozłożyć nawet najbardziej opasłe tomisko. Na blacie pysznił się kałamarz, obok niego pióro na skórzanej podkładce do pisania – oraz świeża suszka.

Leonie rozpoczęła poszukiwania od najdalszego kąta. Półka za półką, rząd za rządem czytała nazwiska autorów i tytuły na grzbietach książek, przesuwał palcem po skórzanych oprawach. Od czasu do czasu, gdy któraś pozycja szczególnie ją zaintrygowała, przyglądała się jej uważniej.

W ten sposób znalazła przepiękny mszał z podwójnym, bogato zdobionym klipsem, wydrukowany w Tours. Wewnętrzne strony okładki ozdobiono pysznym, zielono-złotym wzorem, a poszczególne strony oddzielono cieniutkimi pergaminami. Na stronie tytułowej odczytała ręcznie wpisane imię i nazwisko swojego zmarłego wuja. Pod spodem widniała data jego bierzmowania.

Na kolejnej półce odkryła pierwsze wydanie „Voyage autour de ma chambre” Maistre'a. Książka była zniszczona, miała pozaginane rogi i połamaną okładkę, całkiem odmiennie niż nietknięty egzemplarz Anatola. W innym miejscu natknęła się na kolekcję wydań związanych z religią oraz dzieł żarliwie występujących przeciwko wierze, jakby jedno z drugimi miały się wzajemnie równoważyć.

Na półkach poświęconych współczesnej literaturze francuskiej znalazła komplet „Rougon-Macquartów” Zoli, a oprócz tego – Flauberta, Maupassanta i Huysmansa – innymi słowy, wiele imponujących tekstów intelektualnych, do których Anatol na próżno ją zachęcał. Nawet pierwsze wydanie powieści „Czerwone i czarne” Stendhala. Było tam także kilka dzieł w tłumaczeniach, ale nic, co by jej szczególnie przypadło do gustu, może poza przekładami Baudelaire'a, który wziął na warsztat dzieła Edgara Allana Poego. Za to, niestety, nic a nic autorstwa pani Radcliffe albo pana Le Fanu.

Nudy.

W innym kącie stanęła przed półkami, na których zgromadzono książki poświęcone lokalnym wydarzeniom historycznym. Zapewne właśnie tam Anatol wynalazł książeczkę

pana Baillarda. Dziwna atmosfera panowała w tym ciemnym zakątku. Zakurzona wilgoć, dławiąca w gardle.

Leonie rzuciła okiem na rzędy grzbietów, szybko znalazła literę B, ale ze zdziwieniem stwierdziła, że na półce nie ma wolnego miejsca. Mimo wszystko wetknęła cienką książeczkę tam, gdzie jej zdaniem powinna stać. Wykonawszy zadanie, odwróciła się do drzwi.

Dopiero wtedy zauważyła, wysoko na ścianie, na prawo od drzwi, cztery przeszklone gabloty, pełne woluminów, które najpewniej uznano za cenniejsze niż pozostałe. Ponieważ w bibliotece znajdowała się schodkowa drabinka na kółkach, przymocowana do mosiężnej poręczy, pozostało jedynie skorzystać z okazji. Dziewczyna musiała pchnąć z całej siły, żeby ruszyć konstrukcję z miejsca, ale potem poszło już gładko. Ustawiła schodki w najdogodniejszym punkcie i – ostrożnie, mimo taftowych halek, krępujących ruchy, wspięła się na przedostatni stopień. Przyciskając kolana do krawędzi ostatniej deski, zajrzała do gabloty. Niewiele zobaczyła, bo w środku panowały egipskie ciemności, a w szybie odbijały się wysokie okna, dopiero gdy osłoniła twarz rękami, zdołała odczytać napisy na grzbietach.

Na pierwszym widniało nazwisko autora Eliphas Levi oraz tytuł: „Dogme et rituel de la haute magie”. Zaraz obok „Traite methodique de Science Occulte”. Półkę wyżej jeszcze kilka dzieł Papusa, a obok inne nazwiska: Court de Gobelin, Etteilla i MacGregor Mathers. Nie czytała żadnego z tych autorów, ale wiedziała, że są okultystami uważanymi za wywrotowców. Regularnie pisywały o nich gazety i periodyki.

Już miała zejść, gdy jej uwagę przyciągnął tomik oprawiony w czarną skórę, ani szczególnie zdobiony, ani bogaty, ustawiony okładką, nie grzbietem w stronę szkła. Na niej złotymi literami wyryto nazwisko jej wuja, a pod nim tytuł: „Les Tarots”.

ROZDZIAŁ 35

Paryż

Zanim niechętny świt, spętany sinym dymem, zajrzał do biur komisariatu policji w ósmej dzielnicy przy rue de Lisbonne, wszyscy już byli poirytowani.

Ciało kobiety zidentyfikowanej jako madame Marguerite Vernier zostało znalezione krótko po dwudziestej pierwszej, w niedzielę, dwudziestego września. Policję zawiadomiono o fakcie morderstwa z jednej z nowych publicznych budek telefonicznych na rogu rue de Berlin i rue d'Amsterdam. Dzwonił jakiś reporter z „Le Petit Journal”.

Wziąwszy pod uwagę fakt, że zmarła była powiązana z bohaterem wojennym, generałem du Pont, sprawę złożono w ręce prefekta Laboughe'a, który został specjalnie w tym celu wezwany z wiejskiej posiadłości.

Wmaszerował do komisariatu wściekły jak wszyscy diabli i rzucił na biurko inspektora Thourona plik porannych gazet.

–Co to ma znaczyć?! – zagrzemiał, wskazując palcem tytuły wołające: „Morderstwo Carmen!”, „Bohater wojenny zatrzymany!”, „Sprzeczka kochanków kończy się zabójstwem!”.

Thouren wstał, z szacunkiem przywitał szefa, po czym zdjął inne gazety z jedyne go krzesła, na którym jeszcze można było usiąść w dusznym, ciasnym pomieszczeniu. Bez przerwy czuł na sobie palące spojrzenie przełożonego. Wreszcie prefekt usiadł, zdjął jedwabny cylinder i oparł dłonie na główce laski. Drewniane oparcie krzesła skrzypnęło ostrzegawczo, ale się nie poddało.

–I cóż, Thouren? – zapytał prefekt, gdy tylko inspektor wrócił na swoje miejsce. – Jak pan mi to wytłumaczy? Skąd znają

szczególności? Czy któryś z pańskich ludzi nie potrafi utrzymać języka za zębami?

Po inspektorze widać było, że w nocy nie zmrużył oka. Pod oczami miał sine cienie, wąs mu opadł smętnie, a na brodzie pojawiła się kłująca szczecina.

–Nie przypuszczam, proszę pana – odrzekł. – Reporterzy byli na miejscu przed nami.

Laboughe przyjrzał mu się spod siwych krzaczastych brwi.

–Dostali cynk?

–Tak sądzę.

–Od kogo?

–Żaden nie powie. Jeden z gendarmes podsłuchał rozmowę między dwoma sędziami, z której wynikało, że w niedzielę, mniej więcej o siódmej wieczorem, przynajmniej dwie gazety otrzymały informacje, że nie zaszkodziłoby wysłać reportera na rue de Berlin.

–Podano dokładny adres? Numer mieszkania?

–W tej sprawie również nie mamy gdzie zasięgnąć języka, ale tak właśnie przypuszczam.

Prefekt zacisnął dłonie poznaczone niebieskimi żyłami na główce laski.

–Co mówi generał du Pont? Czy wypiera się bliższej znajomości z Marguerite Vernier?

–Nie, ale domaga się zapewnienia, że zachowamy dyskrecję w tej kwestii.

–I pan mu takie zapewnienie dał?

–Tak. Generał bardzo gwałtownie zaprzecza zarzutom o morderstwo. I wyjaśnia swoją obecność podobnie jak journalistes. Twierdzi, iż wychodząc na popołudniowy koncert, otrzymał zawiadomienie, że pani Vernier przekłada umówione spotkanie z godziny piątej na wieczór. Dziś rano mieli jechać na kilka tygodni na wieś, do Marne Vallee. Z tego też powodu nie było w domu służby. I mieszkanie zostało przygotowane na nieobecność mieszkańców.

–Czy du Pont nadal ma ten list?

Thouron westchnął ciężko.

–Zniszczył go przez wzgląd na reputację damy. Podarł i wyrzucił przed salą koncertową. – Oparł łokcie na biurku, przeczesał włosy palcami. – Posłałem tam człowieka, ale akurat posprzątano wyjątkowo solidnie.

–Są dowody na zbliżenie intymne tuż przed śmiercią? Inspektor pokiwał głową.

–I co nasz generał na to?

–Wstrząśnięty informacją, ale zachował spokój. To nie on. Tak twierdzi. Stale utrzymuje, że po przyjeździe znalazł ją martwą. A na ulicy już się kłębił tłum reporterów.

–Czyli są świadkowie jego przyjazdu?

–Tak. Zjawił się o wpół do dziewiątej. Pytanie, czy był tam wcześniej. Możemy wierzyć, że nie, ale mamy na to tylko jego słowo.

Laboughe pokręcił głową.

–Generał du Pont-mruknął. – Ustosunkowany człowiek. Niezręczna

sytuacja. – Podniósł wzrok na Thourona. Jak się dostał do środka?

Ma klucz od zatrzasku.

–Kto jeszcze tam mieszka?

Inspektor sięgnął do jednej z chwiejnych stert dokumentów, o mało nie przewracając kałamarza. Po chwili znalazł żółtą kopertę, której szukał i wyjął z niej pojedynczą kartkę papieru.

–Poza służbą jest syn, Anatol Vernier, kawaler, lat dwadzieścia sześć. Jakiś czas temu dziennikarz i litterateur, teraz pisuje do kilku periodyków na temat rzadkich wydań książek, beaux livres. – Zajrzał do notatek. – I córka, Leonie, lat siedemnaście, panna.

–Poinformowaliście ich o śmierci matki?

–Niestety, nie możemy ich odnaleźć.

–A to dlaczego?

–Wydaje się, że pojechali na wieś. Moi ludzie wypyтали sąsiadów, lecz niewiele się dowiedzieli. Rodzeństwo opuściło mieszkanie w piątek rano.

Prefekt ściągnął brwi, aż się spotkały pośrodku czoła.

–Vernier... Coś mi mówi to nazwisko.

–Bardzo możliwe, proszę pana. Ojciec rodziny, Leo Vernier, był komunardem. Aresztowany i postawiony przed sądem, skazany na deportację. Umarł w drodze, na morzu.

–Nie, nie. – Laboughe pokręcił głową. – To za stara sprawa.

–W ciągu tego roku nazwisko Vernier często pojawiało się w gazetach, chodziło o syna. Zarzucano mu hazard, palenie opium, kontakty z kobietami lekkiego prowadzenia... jednak niczego nie udowodniono. Była to raczej sugestia niemoralnego prowadzenia się, niepotwierdzona.

–Ktoś go oczerniał.

–Należałoby tak przyjąć.

–Wszystkie doniesienia były, oczywiście, anonimowe?

Thouron pokiwał głową.

–Zwłaszcza „La Croix” wziął pod lupę młodego Verniera. Opublikował na przykład notkę, której autor twierdził, że młody człowiek brał udział w pojedynku na Polach Marsowych. Co prawda, jedynie w roli sekundanta, ale jednak... Gazeta zawsze podaje nazwiska i daty, a Vernier nieodmiennie potrafił przedstawić wiarygodne alibi. Utrzymywał, że się nie orientuje, kto nastaje na jego dobre imię.

–Pan mu nie wierzy.

–Zwykle ofiara anonimowych ataków doskonale wie, kto się za nimi kryje. Vernier był także zamieszany w skandaliczną kradzież

jakiegoś rzadkiego manuskryptu z Bibliotheque de l'Arsenal.

Laboughe plasnął dłonią w kolano.

–To jest to! Właśnie dlatego wydał mi się znajomy.

Ze względów zawodowych był częstym gościem w bibliotece i zyskał sobie zaufanie pracowników. W lutym za sprawą anonimowego donosu odkryto, że zniknął ze zbiorów bibliotecznych wyjątkowo cenny tekst okultystyczny. – Thouron raz jeszcze zajrzał w notatki. – Praca Roberta Fludda.

–Nigdy o nim nie słyszałem.

–Nic nie wiązało Verniera z tą sprawą, a dochodzenie odsłoniło nie całkiem właściwie zawarte umowy ubezpieczeniowe biblioteki, więc całość szybko wyciszono.

–Czy ten młody człowiek zajmuje się ezoteryką?

–Nic na to nie wskazuje, może poza jego kolekcją dzieł okultystycznych.

–Czy był przesłuchiwany w związku z kradzieżą?

–Jak najbardziej. I znów nic nie świadczyło, żeby popełnił przestępstwo. A przy tym, tak samo jak poprzednio, pytany, czy ktoś chciałby mu szkodzić, nikogo nie wskazał. Nie mieliśmy wyjścia, musieliśmy zamknąć sprawę.

Laboughe w milczeniu przetrawił informacje.

–A z czegoż on żyje? – zapytał w końcu.

–Ma nieregularne dochody. Ale mimo to całkiem pokaźne. Zarabia około dwunastu tysięcy franków rocznie, z różnych źródeł. – Thouron opuścił wzrok na papier. – Funkcja członka rady konsultacyjnej w periodyku zapewnia mu około sześciu

tysięcy. Biura znajdują się przy rue Mon-torgueil. Dorabia pisaniem artykułów do innych czasopism specjalistycznych. I bez wątpienia wygrywa w karty oraz w ruletkę.

–Ma jakieś nadzieje na większą gotówkę? Na przykład spadek?

–Nie. Majątek jego ojca został skonfiskowany. Starszy Vernier był jedynakiem, rodzice dawno zmarli.

–A Marguerite Vernier?

–Badamy sprawę. Sąsiedzi zeznali, że nie miała bliskiej rodziny, ale to się jeszcze okaże.

–Czy du Pont brał udział w utrzymaniu domu przy rue de Berlin?

Thouron cmoknął powątpiewająco.

–Twierdzi, że nie, ale. moim zdaniem, w tej akurat sprawie nie jest

szczery. Wolałbym jednak nie spekulować.

Laboughe poprawił się na krześle, udręczony mebel jęknął skrzypliwie. Thouron czekał spokojnie, aż przełożony rozważy fakty.

Powiedziałeś, że Vernier jest kawalerem odezwał się wreszcie prefekt. – A czy ma kochankę?

–Był związany z pewną kobietą. Umarła w marcu. Została pochowa

na na Cimetiere de Montmartre. Z akt medycznych wynika, że jakieś dwa

tygodnie wcześniej przeszła operację w szpitalu Maison Dubois.

Laboughe skrzywił się ze wstrętem.

–Kobiece sprawy?

–Tak należy przypuszczać. Niestety, dokumenty zaginęły. Personel twierdzi, że zostały skradzione. Tak czy inaczej, klinika potwierdza, iż rachunki uregulował Vernier.

–W marcu, mówisz pan – zamyślił się Laboughe. – Więc raczej trudno się dopatrywać powiązań z morderstwem Marguerite Vernier.

–Rzeczywiście, proszę pana – przytaknął inspektor. – Ale wydaje nu się – dodał po chwili że jeśli Vernier faktycznie był ofiarą kampanii oszczerstw, to te dwa zdarzenia mogą się okazać ze sobą powiązane.

–Dajże pan spokój. Zniesławienie to jedno, ale morderstwo - zupełnie co innego.

–To prawda, panie prefekcie, i w zwykłych warunkach niczego bym się nie doszukiwał. Jest jednak pewna okoliczność, która każe się zastanowić, czy nie doszło do eskalacji złej woli.

Laboughe westchnął, uświadomiwszy sobie, że inspektor nie skończył. Wyciągnął z kieszeni czarną fajkę Meerschaum, postukał nią o róg biurka, po czym zapalił zapałkę i pociągał z cybucha, póki tytoń się nie zajął. Ciasne pomieszczenie szybko wypełnił kwaśnawy dym.

–Oczywiście nie sposób mieć pewność, czy owa okoliczność ma jakikolwiek związek ze sprawą, ale wiemy, że Vernier padł ofiarą napadu w Passage des Panoramas. Zdarzyło się to we wczesnych godzinach rannych w miniony czwartek, siedemnastego września.

–Następnego dnia po rozruchach w Palais Garnier?

–Wie pan, gdzie jest to przejście?

–Tak, tak, to arkady ze sklepami i restauracjami. Rytownik Stern ma tam swoją siedzibę.

–Właśnie tak. Vernier zyskał wówczas rozcięcie nad okiem i parę solidnych siniaków. Nasi koledzy z deuxieme

arrondissement zostali o tym powiadomieni anonimowo. Ponieważ w dwójce także wiedzą, że interesujemy się tym dżentelmenem, zawiadomili nas o incydencie. Przesłuchany na tę okoliczność nocny strażnik z Passage przyznał, że wiedział o napaści, a nawet był jej świadkiem, ale milczał, ponieważ Vernier zapłacił mu za dyskrecję.

–Drażył pan sprawę?

–Nie, panie prefekcie. Ponieważ Vernier, a więc ofiara napadu, nie zdecydował się donieść o incydencie, niewiele mogliśmy zrobić. Wspomniałem o tym jedynie ze względu na wskazówkę...

–Jaką?

–Eskalację wrogości – powtórzył Thouron cierpliwie.

–Ale w takim razie to nie Marguerite Vernier powinna leżeć martwa, tylko jej syn! Pańska koncepcja jest pozbawiona sensu.

– Prefekt rozsiadł się wygodniej, pykając fajkę.

Thouron obserwował go w milczeniu.

–Czy pan wierzy – odezwał się Laboughe po chwili – że morderstwa dokonał du Pont?

–Nie wykluczam żadnej możliwości. Dopóki nie zbierzemy więcej informacji.

–Tak, tak, oczywiście. – Przełożony niecierpliwie machnął ręką. – Ale co panu instynkt podpowiada?

–Szczerze mówiąc, generał nie wydaje mi się winny. Choć pozornie jest doskonałym podejrzanym. Po pierwsze, był na miejscu. Po drugie, tylko jego słowo mamy na to, że odkrył Marguerite Vernier martwą. Po trzecie, w mieszkaniu znaleźliśmy dwa kieliszki szampana, ale także szklaneczkę po whisky, rozbitą w kominku. Z drugiej strony, zbyt wiele drobiazgów nie pasuje do tego wzoru. – Urwał na moment, szukając najwłaściwszych słów. – Weźmy choćby przeciek do prasy. Jeżeli rzeczywiście doszło do gwałtownej sprzeczki kochanków, kto zawiadomił gazety? Sam du Pont? Nie przypuszczam. Służba została odprawiona. Wobec tego zostaje nam tylko ktoś trzeci.

Laboughe pokiwał głową z uznaniem.

–Proszę mówić dalej.

–Druga sprawa to zbieżność w czasie. Akurat syn i córka wyjechali z miasta, mieszkanie było przygotowane na dłuższą nieobecność gospodarzy. – Westchnął niewesoło. – Moim

zdaniem, sprawa nie wygląda tak. jakby się mogło wydawać na pierwszy rzut oka.

–Pana zdaniem, du Pont ma być kozłem ofiarnym?

–Z pewnością nie można tego wykluczyć. Gdyby to był on, po co miałby przekładać godzinę spotkania? Nie powinien w ogóle pokazywać się w okolicy.

–Wolałbym nie ciągać po sądach bohatera wojennego – przyznał prefekt. – Zwłaszcza osoby tak szacownej i obsypanej tyłoma honorami co du Pont. – Spojrzał na Thourona. – Rzecz jasna, nie zamierzam wpływać na pańskie decyzje, inspektorze. Jeżeli go pan uzna za winnego...

–Oczywiście, rozumiem. Ja także z największą przykrością oskarżałbym obrońcę patrie. Choć nawet walka za ojczyznę nie jest gwarancją kryształowego charakteru.

Laboughe opuścił wzrok na krzykliwe tytuły prasowe.

–Tak czy inaczej, nie wolno nam zapominać, że doszło do morderstwa.

–Tak jest.

–Przede wszystkim należy odnaleźć Verniera i zawiadomić go o śmierci matki. Nawet jeśli przedtem nie chciał rozmawiać z policją o różnych incydentach, w które bywał wplątany, może tragedia rozwiąże mu język. – Poprawił się na nieszczęsnym krześle. – Mamy jakieś wskazówki, gdzie go szukać?

Thouron pokręcił głową.

–Wiemy jedynie, że opuścił Paryż przed czterema dniami, w towarzystwie siostry. Dorożkarz, który pracuje regularnie w okolicy rue d'Amsterdam, zeznał, że zabrał z rue de Berlin mężczyznę i dziewczynę, odpowiadających rysopisowi Vernierów. Zawiózł ich na Gare Saint-Lazarre. W zeszły piątek, tuż po dziewiątej rano.

–Ktoś ich potem widział?

–Niestety nie. Pociągi z tego dworca jeżdżą do podmiejskich miejscowości na zachód od Paryża, do Wersalu czy Saint-Germain-en-Laye. oczywiście, także do przystani w Caen. Nigdzie tam ich nie widziano. Mogli-rzecz jasna, wysiąść gdzieś po drodze. Moi ludzie to sprawdzają.

Laboughe przypatrywał się fajce. Jakby stracił zainteresowanie rozmową.

–Zakładam, że rozmawiał pan z władzami kolei? – zapytał w końcu.

–Tak. I na głównej linii, i na bocznych stacjach. Rozesłaliśmy rysopis po Ile-de-France, sprawdzamy też listy pasażerów promów kursujących po kanale La Manche. Na wszelki wypadek, gdyby poszukiwani wybrali się gdzieś dalej.

Prefekt podniósł się ciężko, sapiąc z wysiłku. Schował fajkę do kieszeni płaszcza, wziął kapelusz i rękawiczki. Ruszył do drzwi jak statek na pełnych żaglach.

Thouron również wstał.

–Niech pan ponownie odwiedzi du Ponta – rzucił Laboughe przez ramię. – Jest naszym najpoważniejszym podejrzanym, chociaż wydaje mi się, że pan właściwie ocenia sytuację. – Postukując laską w podłogę, doszedł do drzwi. – I jeszcze jedno.

–Tak?

–Proszę mnie informować na bieżąco. O wszelkich postępach w śledztwie chcę słyszeć od pana, a nie dowiadywać się ze stron „Le Petit Journal”. Przy czym nie interesuje mnie czcza gadanina. Takie rzeczy zostawmy dla journalistes i pisarzy. Fakty. Gołe fakty. Czy wyrażam się jasno?

Całkowicie, proszę pana.

ROZDZIAŁ 36

DOMAINE DE LA CADE

W zamku gabloty tkwił mosiężny klucz. Z początku Leonie nie mogła go obrócić, ale upór zrobił swoje. Wreszcie pociągnęła drzwiczki, wzięła w rękę intrygujący tomik.

Usiadła na najwyższym stopniu drabinki jak na żerdzi i otworzyła „Les Tarots”. Gdy rozchyliła twarde okładki, z kart książki uniósł się zapach kurzu i starego papieru. Właściwie nie była to książka, broszura zaledwie, liczyła osiem czy dziesięć kartek, postrzępionych na brzegach, jakby je ktoś rozcinał nożem. Gruby kremowy papier z pewnością miał swoje lata. Antyczny nie był, ale nowy także nie. Treść wydrukowano pochyłą czcionką.

Na pierwszej stronie powtórzono imię i nazwisko autora oraz tytuł. Jules Lascombe. Pod spodem: „Les Tarots”. Tym razem dodano jeszcze podtytuł. „Au dela du voile et Fart musicale de tirer les cartes”. Co się ukrywa za woalem harmonijnej sztuki ciągnięcia kart. Niżej znajdował się dziwny rysunek. Niby cyfra osiem, tyle że położona na boku, przypominająca trochę motek wełny. A na samym dole strony data. Zapewne rok wydania monografii. Tysiąc osiemset siedemdziesiąty.

Już po tym, jak mama stąd uciekła. A jeszcze przed przyjazdem Izoldy.

Pierwszą stronę chroniła gładka, śliska bibuła. Dziewczyna podniosła ją – i aż wstrzymała oddech. Z czarno-białego rysunku świdrował ją lubieżnym wzrokiem przerażający stwór. Diabeł. Plecy miał garbate, kończyny dziwacznie powykręcane, a zamiast palców ostre szpony. Głowa, zbyt wielka i zniekształcona, stanowiła parodię ludzkiej.

Leonie przyjrzała mu się bliżej. Na czole odkryła rogi, tak małe, że prawie niewidoczne. Całe ciało potwora pokrywała sierść. A najgorsze, że do cokołu grobowca, na którym stał, przykuta była łańcuchami para młodych ludzi, kobieta i mężczyzna.

Pod rysunkiem znajdowała się rzymska cyfra XV. Leonie nie dopatrzyła się nazwiska autora rysunku ani żadnych informacji o źródłach. Widniało pod nim tylko jedno słowo. Imię, starannie wykaligrafowane wielkimi literami. ASMODEUSZ.

Spiesznie odwróciła kartkę. Ciasno zbite linie wprowadzenia wyjaśniały temat książki. Przebiegała po nich wzrokiem nieuważnie, tu i ówdzie jakieś słowo zatrzymywało jej oko. Diabły, karty i muzyka. Doskonała mieszanka! Serce biło jej mocno i szybko. Zatrzasnęła okładki, opuściła drewnianą wieżyczkę, zeskakując z dwóch ostatnich stopni, rozłożyła książeczkę na stole pośrodku biblioteki i zatoneła w lekturze, ciągle jednak przeskakując fragmenty, niecierpliwa, co znajdzie dalej.

„Nad zdartymi kamieniami grobowca jest kwadrat, który dzisiaj wcześniej, za dnia, sam zabarwiłem na czarno. Teraz wydaje się on emanować nikłym blaskiem.

W każdym z czterech rogów kwadratu, jak punkt na kompasie, znajduje się odpowiednia nuta. C na północy. A na wschodzie, D na południu i E na wschodzie. W środku figury umieściłem karty, w które tchnięto życie. Za sprawą ich mocy przejdę do innego wymiaru.

Zapalam lampę powieszoną na ścianie. RzUCA blade białe światło.

W jednej chwili grobowiec wypełnia się mgłą, jakby wysysał powietrze z otoczenia. I wiatr objawił swoją obecność dźwiękami, które mogę przyrównać do słyszanego z oddali forte. Tutaj ono ledwie drży, lecz jego potęga nie ma sobie równych.

Karty ożywają. Tak w każdym razie mnie się wydaje. Kształty wyzwolone z kazamatów tuszu i farb zyskują formę, raz jeszcze

wracają na ziemię.

Zafalowało powietrze, wydało mi się, że nie jestem sam. Zyskałem pewność: w grobowcu zaroilo się od istnień. Od duchów, bo przecież nie sposób ich nazwać ludźmi. Przystały obowiązywać prawa natury. Przybysze byli wszędzie dookoła. Ja i moje inne byty. przeszłe oraz należące do przyszłości, spotkały się w jednym miejscu. Muskały mi kark i ramiona, gładziły mnie po czole, okrążały bez dotykania, a przecież naciskały wciąż ciaśniej i bliżej. Zdawało mi się, że płyną w powietrzu, pilnie bacząc, bym nie przeoczył ich ulotnej obecności. A jednakowoż miały swój ciężar, określoną stałość. Zwłaszcza tuż nad moją głową trwał bezustanny ruch w akompaniamencie kakofonii szeptów, westchnień i szlochów. Dźwigałem na ramionach ogromny ciężar.

Chciały mi zabronić dostępu, choć nie rozumiałem dlaczego. Wiedziałem, że muszę dotrzeć do kwadratu, inaczej znajdę się w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Zrobiłem krok w jego stronę, a wtedy spadł na mnie wielki wiatr, odpychając w tył, skrzecząc i wyjąc przerażającą melodię, która dobywała się równocześnie ze wszystkich stron i z mojej głowy także. Grobowiec drżał, drętwiałem ze strachu, że ściany runą i dach się zwali.

Zebrałem wszystkie siły, puściłem się w stronę kwadratu jak tonący, który desperacko dąży do brzegu. I wtedy spadł na mnie potwór. Diabeł z pewnością, i choć był niewidzialny jak inni jego szatańscy towarzysze, czułem jego szpony na karku i kopyta na plecach, cuchnący oddech na skórze.

A przecież nie zostawił na mnie żadnego śladu.

Zastłoniłem głowę rękami. Pot zalewał mi oczy. Serce biło z ogromnym trudem, traciłem siły i oddech. Wyczerpany, przegrywałem tę nierówną walkę. Wezwałem na pomoc ostatnie resztki odwagi. Muzyka grzmiała. Wczepiłem palce w szpary między kamieniami podłogi i cudem jakimś dociągnąłem się do kwadratu.

W tej samej chwili zapadła cisza, tak gwałtowna i wielka, jak najgłośniejszy krzyk. Przyniosła ze sobą smród piekieł i przepaścistych morskich głębi. Sądziłem, że jej ciężar rozłupie mi głowę na dwoje.

Z moich ust popłynęły bezładne słowa, recytowałem imiona z kart: Głupiec, Wieża, Siła, Sprawiedliwość i Sąd Ostateczny. Czy wołałem duchy kart? Czy miały mi pomóc, czy też to one przeszkadzały mi dotrzeć do czarnego kwadratu? Własny głos wydawał mi się obcy, jakby słowa wymawiał ktoś inny, z

początku cicho, potem coraz głośniejsze i mocniejsze, aż napęłniły grobowiec.

A wtedy, gdy już sądziłem, że dłużej nie dam rady, coś zaczęło się ze mnie uwalniać, oswobadzać od mojej obecności, ode mnie samego, drąc i drapiąc, jakby pazury dzikiego zwierzęcia szarpały mi kości.

Napłynął strumień powietrza. Ucisk na sercu zelżał.

Osunąłem się na ziemię. Jeszcze tylko dostrzegłem, że nuty, że cztery litery w rogach kwadratu blakną. Powieki mi opadły. Szepty i westchnienia duchów słabły, aż w końcu przestałem słyszeć cokolwiek.

Otworzyłem oczy. Karty wróciły do stanu uśpienia. Malowidła na ścianie apsydy tkwiły w bezruchu. W grobowcu zapanował spokój, pustka raz jeszcze objęła go we władanie. I wiedziałem, że wszystko się skończyło. Zamknęła się nade mną ciemność.

Nie jest mi wiadome, jak długo pozostawałem bez przytomności.

Zanotowałem muzykę, najlepiej jak zdołałem.

Ślady na dłoniach, moje stygmaty, nie zbladły".

Leonie gwizdnęła cicho. Obróciła kartkę. Nic. Koniec opowieści.

Dłuższą chwilę siedziała bez ruchu, wpatrując się w ostatnie linijki tekstu. Fantastyczna historia! Okultyzm i muzyka, grobowiec i ożywione wizerunki z kart, a na dodatek wzywanie tych, którzy przeszli na drugą stronę. „Au dela du voile”. Za woal. Zgodnie z podtytułem.

I jeszcze do tego wszystkiego napisana przez mojego wuja!

W tej chwili najbardziej zdumiewał ją fakt, że choć miała takiego autora w rodzinie, nikt o tym nigdy nie wspomniał!

Pozornie...

Ciekawe. We wstępie wuj napisał, że opowieść jest świadectwem prawdziwym. Co w takim razie rozumiał przez „przejście do innego wymiaru? A co to były za „inne byty przeszłe oraz należące do przeszłości”? I czy wezwane przez niego duchy odeszły tam, skąd przyszły?

Ktoś za nią stanął. Obejrzała się gwałtownie przez ramię.

Nikogo.

Rzuciła okiem w ciemnawy kąt, drugi i trzeci, przepatrzyła zacienione nisze po obu stronach kominka i przykurzone kąty przy bocznych stolikach oraz za kotarami. Czy duchy w dalszym ciągu nawiedzają posiadłość? Usłużna pamięć podsunęła dziewczynie wspomnienie tajemniczej postaci, chyłkiem sunącej po trawniku zeszłego wieczoru.

Czyżby to było przeczucie? Czy coś innego?

Potrząsnęła głową, lekko zaskoczona grą wyobraźni. Wróciła do książki. Gdyby potraktować słowa wuja poważnie, jeśliby uwierzyć w jego historię, to na terenie majątku powinien się znajdować grobowiec. Tak podejrzewała. I to nie tylko dlatego, że literowe oznaczenia nut, niezbędne do wezwania duchów – C, D, E, A – układały się w nazwę posiadłości.

Czy ten grobowiec nadal istnieje?

Wsparła brodę na dłoni.

Nie powinno jej sprawić trudności sprawdzenie, czy rzeczywiście znajduje się w najbliższej okolicy budowla, jaką opisał wuj. W wiejskim majątku tej wielkości kapliczka lub mauzoleum nikogo by nie zdziwiły. Co prawda, mama nigdy nie wspominała o czymś takim w Domaine de la Cade, lecz przecież w ogóle niewiele mówiła o rodzinnym domu. Ciotka Izolda też nie napomknęła o takiej budowli, ale może po prostu dlatego, że temat nie wypłynął podczas wieczornej rozmowy. Poza tym Izolda sama przyznawała, że nie ma wielkiego pojęcia o dziejach rodzinnego majątku męża.

**Jeżeli grobowiec nadal gdzieś tu jest, z pewnością go znajdę!
Uwagę dziewczyny przyciągnął jakiś hałas w korytarzu.**

Szybkim ruchem zsunęła broszurkę na kolana. Nie chciała być z nią widziana. Nie z zawstydzenia, ale dlatego że zamierzała przeżyć tę przygodę sama, z nikim się nią nie dzieląc. Bo Anatol z pewnością by się z niej naśmiewał.

Kroki przycichły, po jakimś czasie Leonie usłyszała miękkie kłapanie drzwi. Wstała. Czy wolno jej było wziąć „Les Tarots”? Zapewne ciotka nie będzie miała nic przeciwko takiej pożyczce, w końcu sama prosiła, by się w jej domu czuli jak u siebie. Książeczka była w gablocie, to prawda, ale raczej dla ochrony przed kurzem i skutkami upływu czasu, a nie po to, żeby ją ukryć przed ludzkim wzrokiem. W przeciwnym razie po co by ktoś zostawiał klucz w zamku?

Opuściła bibliotekę, ściskając w dłoniach cenne znalezisko.

ROZDZIAŁ 37

Paryż

Victor Constant złożył gazetę i rzucił ją na siedzenie obok.

„Morderstwo Carmen!”, wołał tytuł. „Policja szuka syna!”.

Constant z pogardą wzruszył ramionami. „Morderstwo Carmen”. Nic bardziej chybionego. Panowie z prasy byli prymitywni. Trudno o dwie kobiety bardziej różne niż Marguerite Vernier i porywczą, zapalczywą bohaterka opery Bizeta, ale sztuka tak przesiąkła do świadomości Francuzów, że nie było już odwrotu. Jedyny element łączący obie kobiety stanowił wojskowy nóż – i to wystarczyło, by powstał mit.

Du Pont w ciągu kilku godzin przeszedł na łamach prasy metamorfozę z głównego podejrzanego w niewinną ofiarę. Z początku fakt, że prefekt nie oskarżył go o morderstwo, rozpałił w dziennikarzach ciekawość, więc zaczęli zarzucać sieci nieco szerzej. Teraz, w dużym stopniu za sprawą starań Constanta, wzięli na celownik Anatola Verniera. Jeszcze nie był podejrzanym, ale sam fakt, że zniknął jak kamfora, budził podejrzenia. Policja nie umiała znaleźć ani jego, ani młodej Vernierówny, choć należałoby poinformować rodzeństwo o tragedii. Czy niewinny człowiek ma powody unikać stróżów prawa?

Zaiste, im żarliwiej inspektor Thouron bronił Verniera przed zarzutami, tym szybciej rodziły się plotki. Sama nieobecność syna zamordowanej w Paryżu de facto przekształciła się w jego obecność w mieszkaniu w chwili morderstwa.

Constant był zadowolony z takiego obrotu spraw. Cieszyło go także lenistwo dziennikarzy. Wystarczyło podsunąć im zgrabną

historyjkę, a natychmiast przedstawiali ją, z kosmetycznymi zmianami, rzeszom czytelników. Nawet im nie zaświtało w głowach, by sprawdzić informacje tak usłużnie podawane na tacy.

Mimo całej nienawiści do Verniera Constant musiał przyznać, że drań okazał się sprytny. Nawet on, Constant, człowiek hojny, jeśli zaistniała taka potrzeba, dysponujący siatką informatorów i szpiegów, nie od razu odkrył, dokąd wyjechało rodzeństwo.

Bez większego zainteresowania zerknął przez okno. Ekspres marsylski mijał paryskie przedmieścia. Gnał na południe. Constant rzadko zapuszczał się poza banlieue. Nie lubił takich widoków, szerokiego horyzontu, jaskrawego słońca, nudnego szarego nieba. Nie znosił dzikiej przyrody. Wolał prowadzić interesy o zmierzchu, na ulicach punktowanych latarniami, w dyskretnym półmroku wewnątrz, gdzie źródłem światła były jedynie świece. Nienawidził świeżego powietrza i otwartych przestrzeni. Za to jak ryba w wodzie czuł się w pachnących korytarzach teatrów, w otoczeniu dziewcząt z wachlarzami z piór, i w prywatnych salkach ekskluzywnych klubów.

W końcu udało mu się dojść po nitce do kłębka i wysledzić szczegóły ucieczki Vernierów. Sąsiedzi, zachęceni sou lub dwoma, twierdzili, że nie wiedzą nic konkretnego, ale jednak coś tam usłyszeli, coś sobie przypomnieli, czegoś się domyślili. Wystarczyło tego do poskładania w miarę pełnego obrazu tamtego konkretnego dnia. Właściciel Le Petit Chablisien, restauracyjki przy rue de Berlin w pobliżu mieszkania Vernierów, przyznał, że słyszał, jak w rozmowie padła nazwa średniowiecznego miasta, Carcassonne. Służący Constanta, pobrzękując monetami, bez trudu wytropił dorożkarza, który w piątkowy ranek zawiózł poszukiwaną dwójkę na dworzec Saint-Lazare, a następnie fiacre, którym rodzeństwo przemieściło się dyskretnie na Gare Montparnasse. Gendarmes z ósmego arrondissement jeszcze do tego nie doszli.

Zaledwie garść informacji, lecz wystarczyła, by przekonać

Constanta, że warto nabyć bilet na pociąg jadący na południe. Jeżeli Vernierowie zamieszkali w Carcassonne, sprawa okaże się dość prosta. Bez względu na to, czy będzie tam ta podła lafirynda, czy też nie. Nie znał jej aktualnego nazwiska, jedynie to, które widniało na nagrobku Cimetiere de Mont-martre. Ślepa uliczka.

Dzisiaj miał dotrzeć do Marsylii. Jutro przesiądzie się w pociąg do Carcassonne i tam zostanie. Będzie czyhał jak pająk w sieci. I w końcu wytropi ofiarę.

Wcześniej czy później ludzie coś powiedzą. Zawsze mówią. Tu jakieś półsłówka, tam plotki, ówdzie pogłoski. Vernierówna jest piękną dziewczyną. Pomędzy ciemnoskórymi, czarnowłosymi kobietami południa jasnoskóra piękność o miedzianych lokach nie przejdzie niezauważona.

Znajdzie ich. Prędzej czy później.

Wyjął z kieszeni zegarek Verniera. Dłonią obleczoną w rękawiczkę pogładził złotą kopertę i platynowy monogram. Efektowny drobiazg. Constanta cieszyło, że odebrał go Vernierowi.

Coś za coś.

Nagle rysy twarzy mu stężały. Wyobraźnia podsunęła obraz jej uśmiechu. Tyle że zdrajczyni uśmiechała się do Verniera. Tak jak do niego kiedyś. W udręczonym mózgu pojawił się wizerunek nagiego kobiecego ciała, pieszczonemu spojrzeniem rywala. Nie do zniesienia!

Sięgnął do skórzanej torby podróżnej. Dłoń trafiła na nóż w grubej p0_ chwie. Właśnie to ostrze odebrało życie Marguerite Vernier. Wyjął książkę pióra Nicholasa Klimma, „The Subterranean Voyage”, opowieść o podróży do krainy umarłych, potem „Niebo i piekło” Swedenborga, lecz żadna z nich go nie zaciekała.

Wyciągnął kolejny prezent. „Chiromancję” Roberta Fludda. Doskonale pasowała do jego nastroju.

ROZDZIAŁ 38

Rennes-les-Bains

Zaraz po wyjściu z biblioteki Leonie wpadła na Marietę. Ukryła broszurkę za plecami.

–Madomaisela, brat pyta, czy panienska się z nim wybierze do Rennes-

–les-Bains.

Dziewczyna wahała się tylko przez moment. Pociągały ją plany badania posiadłości i poszukiwań grobowca, ale ta wyprawa mogła poczekać. W przeciwieństwie do wycieczki z Anatolem.

–Przekaż mu, że chętnie pojedę.

–Tak, madomaisela. Powóz będzie czekał o wpół do jedenastej.

Przeskakując po dwa stopnie naraz, Leonie popędziła do swojego

pokoju. Oparła się o drzwi i przyjrzała wnętrzu, szukając miejsca, gdzie dałoby się schować „Les Tarots”, by książeczka nie wzbudziła zainteresowania służby. Wzrok jej padł na kuferek z robótkami. Otworzyła wieko zdobione masą perłową i wetknęła skarb głęboko pomiędzy motki włóczki, szpulki nici, kłębek skrawków materiału, naparstki, szpilki oraz igły.

Nie zastała Anatola w holu.

Wolnym krokiem wyszła na taras na tyłach budynku i stanęła z dłońmi wspartymi na balustradzie. Akurat słońce skryło się za chmurą i na ziemię docierały jedynie szerokie pasma złotego blasku. Światło i cień tworzyły kontrastowy wzór. Wciągnęła głęboko w płuca świeże, górskie powietrze, zupełnie inne niż w Paryżu, gdzie cuchnęło sadzą i rozgrzanym żelazem.

Przy klombach pracował ogrodnik z pomocnikiem. Przywiązywali do tyczek krzewy i młode drzewka. Na taczkach wznosił się kopczyk zgrabionych liści w jesiennych barwach.

Mężczyzna miał na sobie brązową kurtę, na głowie czapkę, a na szyi czerwoną chustkę. Chłopiec, na oko dwunastolatek, z gołą głową, był w koszuli bez kołnierzyka.

Leonie zeszła po schodkach prowadzących na trawniki. Na jej

widok ogrodnik ściągnął z głowy czapkę koloru żyznej ziemi i zmiął ją w brudnych palcach.

–Dzień dobry.

–Bonjorn, madomaisela – wymamrotał.

–Piękny mamy dzień.

–Burza idzie.

Dziewczyna z powątpiewaniem przyjrzała się błękitnemu niebu, po którym z rzadka tylko płynęły pierzaste chmurki.

–Trudno uwierzyć.

–Zbiera siły. – Pochylił się ku dziewczynie, odslaniając pocerniałe zęby, przywodzące na myśl rząd starych nagrobków. – Diabelska sprawka! – Miał kwaśny oddech, Leonie automatycznie się odsunęła. – Są znaki. Wczoraj w nocy muzyka nad jeziorem.

Zdziwiło ją to spoufalenie.

–Nie rozumiem – odparta dość chłodno.

Mężczyzna przeżegnał się spiesźnie.

–Tu diabeł przychodzi. Zawsze jak wstaje z Lac de Barrenc, przynosi ze sobą burze. Szaleją po całej okolicy. Zmarły pan wysłał ludzi, żeby zasypali staw, ale wtedy diabeł zagroził, że utopi Rennes-les-Bains.

–To tylko przesady. Nie sposób...

–Zawarli umowę. Nie mnie tam gadać, jak i co, ale ludzie rzucili robotę. Staw został. Ale teraz, mas ara, naturalny porządek rzeczy został zakłócony. Widać po znakach. Diabeł wróci po to, co mu się należy.

–Naturalny porządek rzeczy... – szepnęła dziewczyna. – Co to znaczy?

–Dwadzieścia jeden lat temu zmarły pan obudził diabła. Kiedy

duchy wychodzą z grobu, słysząc muzykę. Ja tam nie wiem jak ani dlaczego. Książd przyszedł.

–Jaki książd?

–Leonie!

Trochę z poczuciem winy, ale i z wielką ulgą odwróciła się, słysząc wołanie brata. Anatol machał do niej z tarasu.

–Dwukółka już czeka! – krzyknął.

–Pilnuj duszy, madomaisela – rzucił ogrodnik chrapliwie. – Kiedy przyjdzie burza, duchy będą wolne.

Dwadzieścia jeden lat temu? – myślała gorączkowo. Czyli w roku siedemdziesiątym. Zadrżała. Pamięć podsunęła jej przed oczy tę samą datę, wydrukowaną na stronie tytułowej „Les Tarots”.

Duchy będą wolne.

Słowa ogrodnika dźwięczały jej w głowie. Zgadzały się z tym, co czytała dziś rano. Chciała jeszcze o coś zapytać, ale stary już wcisnął czapkę na głowę i zajął się kopaniem. Stała przez chwilę niezdecydowana, wreszcie zgarnęła spódnicę i wbiegła lekko schodami na taras.

Intrygujące to wszystko, prawda. I niepokojące. Ale nie pozwoli sobie zepsuć wycieczki z bratem.

–Witaj – rzekł Anatol, całując siostrę w gorący policzek. Obejrzał ją od stóp do głów. – Nie powinnaś się trochę doprowadzić do porządku?

Leonie zerknęła na wystające spod spódnicy pończochy ze śladami błota. Wygładziła halki.

–Proszę uprzejmie – obwieściła z szerokim uśmiechem. – Wszystko jak należy.

Anatol pokręcił głową na wpół zawiedziony, na wpół rozbawiony. Razem poszli przez dom, wsiedli do powozu.

–Dziergałaś coś? – Anatol wskazał kawałek czerwonej włóczki na rękawie siostry. – Ależ z ciebie pracowita osóbka!

Dziewczyna zrzuciła na ziemię zdradziecką nitkę.

–Szukałam jednego drobiazgu w kufierku z robótkami – skłamała gładko.

Woźnica strzelił z bata i wózek ruszył podjazdem.

–Ciotka nie chciała jechać? – Musiała podnieść głos, żeby ją brat usłyszał poprzez stukot kopyt i dzwonienie uprzęży.

–Ma sporo zajęć w majątku.

–Ale sobotnia kolacja nam nie przepadnie? Anatol poklepał kieszeń marynarki.

–Nie przepadnie. Właśnie obiecałem doręczyć zaproszenia.

Nocny wiatr postrzącał suche gałęzie i liście ze smukłych brzóz, ale droga prowadząca z posiadłości do miasta była pusta, toteż jechali dość szybko.

Słyszałeś w nocy pioruny? – spytała Leonie. – Dziwne jakieś. Suchy trzask, potem dudniący grzmot, wszystko przy akompaniamencie wycia wichru i ani kropli deszczu!

Tutaj to dość powszechne zjawisko. Zwłaszcza latem. Takie suche burze potrafią ciągnąć jedna za drugą.

Miałam wrażenie, że jakiś grzmot utknął w dolinie i ze złością obija się o góry.

–Może wypijaś za dużo blanquette – zasugerował żartobliwie Anatol.

Pokazała mu język.

–Nic mi nie dolega – zapewniła. – Ogrodnik mówił – zaczęła z innej beczki – że kiedy duchy są wolne, przychodzi burza. Albo może odwrotnie. Nie mam pewności.

–Coś podobnego.

Dziewczyna obróciła się do woźnicy.

–Czy zna pan Lac de Barrenc? – spytała podniesionym głosem.

–Oc, madomaisela.

–Daleko to?

–Pas luenh. – Niedaleko. – Dla touristas miejsce do zwiedzania, aleja bym tam nie chodził. – Wskazał batem gęsty las z przecinką, na której widniało kilka megalitów niczym kości rzucone dłonią olbrzyma. Tam jest Fotel Diabła. Kawalek dalej Diabli Staw i Rogata Góra.

Leonie poruszyła temat jedynie po to, by okiełznać strach, ale przy tej odpowiedzi nie mogła nie skorzystać z sytuacji. Odwróciła się do brata ze zwycięską miną.

–Sam widzisz. Wszędzie dowody na istnienie diabłów i duchów.

Anatol roześmiał się głośno.

–Przesady, petite. I gusła. Żadne dowody.

Wysiedli na Place du Perou.

Anatol znalazł jakiegoś chłopca gotowego w zamian za sou doręczyć zaproszenia gościom Izoldy i w ten sposób wywiązali się z obowiązków.

Przechadzkę rozpoczęli od spaceru po Gran'Rue, w stronę sanatorium.

Zatrzymali się w kawiarence, gdzie przy jednym z wystawionych na zewnątrz stolików Leonie wypła filiżankę

mocnej słodkiej kawy, natomiast Anatol kieliszek absyntu. Leniwie obserwowali przechodniów. Pielęgniarkę pchającą wózek, dziewczynki o rozpuszczonych włosach, ozdobionych czerwonymi i błękitnymi jedwabnymi wstążkami, chłopców w spodenkach do kolan, toczących obręcze.

Zajrzeli do największego sklepu w mieście, Magasins Bousquet, gdzie sprzedawano wszystko, począwszy od sznurków i tasiemek, poprzez miedziane rondle i patelnie, aż po pułapki, sieci i broń myśliwską. Anatol przekazał siostrze sporządzoną przez Izoldę listę sprawunków, które miały być dostarczone do posiadłości w sobotę.

Leonie z wielką przyjemnością składała zamówienia.

Następnie zachwycali się miejską architekturą. Wiele budynków na le

wym brzegu rzeki, rive gauche, od strony wody wyglądało znacznie bardziej imponująco niż z ulicy. Miały więcej kondygnacji, schodziły aż do koryta rzeki. Niektóre, choć skromne, były doskonale utrzymane, inne natomiast zaniedbane, z płatami odłóżanej farby, z krzywymi ścianami jakby dźwigały zbyt wielki ciężar.

Na zakręcie rzeki otworzył się przed nimi wspaniały widok tarasów z ciepłymi źródłami oraz czarne balkony Hotel de la Reine. Kompleks wyraźnie dominował, znacznie ważniejszy i wspanialszy niż od strony ulicy. Nowoczesne budynki, baseny, wielkie tafle okien. Wąskie kamienne schody prowadziły z tarasów prosto nad wodę, gdzie stały kabiny kąpielowe. Centrum postępu i nauki, nowoczesna świątynia dla współczesnych pielgrzymów, szukających odnowy.

Jakaś pielęgniarka w białym czepku, który przysiadł jej na głowie niczym ptak z rozłożonymi skrzydłami, pchała pacjenta w chaise roulante.

Nad brzegiem wody, tuż przy Allee des Bains de la Reine, pod żelazną pergolą w kształcie korony, można było znaleźć trochę

cienia. A przed budką na kółkach, do której prowadził wąski drewniany pomost, kobieta o szerokich ramionach i w jasnej chustce na głowie sprzedawała jabłecznik po dwa centimes za kubek. Obok stała machina do wyciskania soku z jabłek.

Metalowe zęby wolno i dokładnie miażdżyły owoce. Rdzawe i czerwone jabłka wrzucał do urządzenia chłopczyk o rękachznaczonych bliznami, ubrany w luźną, o wiele za dużą koszulę.

Anatol odczekał swoje w kolejce i kupił dwa kubki napitku. Nie smakował mu ten jesienny napój, więc Leonie z przyjemnością wypila najpierw swój, a potem dokończyła porcję brata. Wypluła w chusteczkę kawałki słomy.

Rive droite, drugi brzeg rzeki, miał zupełnie inny charakter. Stało tam o wiele mniej domów przytulonych do zbocza wzgórza. Tworzyły na nim jasne plamy między drzewami schodzącymi prawie do linii wody. Tam mieszkali rzemieślnicy, służba, sklepikarze – ludzie, których los zależał od hipochondryków z klasy średniej z Tuluzy, Perpignan i Bordeaux.

Leonie przyglądała się pacjentom siedzącym w parującej żelazistej wodzie bains foris. Do źródeł prowadziła zadaszona prywatna alejka. Rządek pielęgniarek i służących z ręcznikami w dłoniach cierpliwie czekał na brzegu na swoich pracodawców.

Gdy uznała, że dość zwiedzania i czas odpocząć, poskarżyła się na za ciasne buty, więc wrócili na Place du Perou, mijając pocztę i biuro telegrafu.

Anatol zaproponował, by odpoczęli w sympatycznej brasserie po południowej stronie skweru.

–Usiądziemy na zewnątrz? – spytał, wskazując laską jedyny wolny sto

lik. – Czy wolisz zjeść w środku?

Delikatna bryza bawiła się ze słońcem w chowanego, szeptała w alejach i gładziła markizy. Dziewczyna powiodła wzrokiem po złotych, miedzianych i bordowych liściach, wirujących w lekkim

tańcu, po lśniących śladach blasku na ścianach budynku obrośniętego bluszczem.

Zostajemy na zewnątrz postanowiła. Jest uroczo. Wprost cudownie.

Ciekaw jestem, czy to ten wiatr nazywa się Cer – rzekł Anatol z uśmiechem, siadając naprzeciwko siostry. – Chyba wieje z północnego zachodu, schodzi z gór. Tak mówiła Izolda. W przeciwieństwie do Marina, który wieje od morza. Rozłożył serwetkę. – A może on się nazywa Mistral?

Leonie wzruszyła ramionami, wcale niezainteresowana.

Anatol zamówił pate de la maison i pasztet ten rzeczywiście okazał się doskonały, talerz krajanych pomidorów oraz buche lokalnego sera koziego, przybranego miodem i migdałami. Do tego pichet górskiego wina rość.

Dziewczyna odłamała kawałek chleba, włożyła do ust.

Byłam rano w bibliotece – powiedziała. – Zbiór jest naprawdę interesujący. Dziwi mnie, że w ogóle miałyśmy przyjemność cieszyć się twoim towarzystwem wczoraj wieczorem.

Co masz na myśli? spytał bez uśmiechu.

Tylko tyle, że jest tam bardzo dużo książek, na których warto zatrzymać oko. Sama nie wiem, jak to się stało, że w tak krótkim czasie znalazłeś między nimi broszurkę pana Baillarda. Zmrużyła oczy. – A, twoim zdaniem, co miałam na myśli?

–Nic – odparł Anatol, podkreślając wąsa.

Leonie odłożyła widelec.

–Chociaż, skoro już zapytałeś, to rzeczywiście jestem

zdziwiona, że przynosząc mi jedną cienką książeczkę, nie wspomniałeś słowem na temat całej kolekcji dzieł w podobnym gatunku.

–Jak to?

–Na przykład o beaux livres. – Utkwiła spojrzenie w jego oczach. – I o książkach okultystycznych. Niektóre z nich w bardzo rzadkich wydaniach.

Anatol nie odpowiedział od razu.

–Obwiniasz mnie przy lada okazji, że nudzę cię tematem woluminów

o wartości antykwarycznej – rzekł w końcu. – Tym razem ci tego oszczędzę

dziłem.

Dziewczyna zaśmiała się drwiąco.

–Na litość boską, co się z tobą dzieje? Sam powiedziałeś, że większość

z takich wydawnictw uważa się za nieprzyzwoite. Nawet w Paryżu. Tym bardziej trudno się czegoś takiego spodziewać w wiejskim majątku. A ty mi o nich nawet nie wspomniałeś.

Anatol bez słowa palił papierosa.

–I co? – odezwała się Leonie po chwili milczenia.

–Co: i co?

–Choćby: dlaczego postanowiłeś nie okazywać zainteresowania? – Nabrała tchu. – A po drugie, po co naszemu wujowi kolekcja takich książek? Tego nam ciotka Izolda nie powiedziała.

–Cóż, tu się muszę z tobą nie zgodzić – odrzekł sucho. – Nie bardzo rozumiem, dlaczego jesteś tak krytycznie nastawiona do naszej gospodyni.

Leonie splonęła rumieńcem.

–Mylisz się. Wcale tak nie jest. Moim zdaniem, Izolda jest czarująca.

–Podniosła głos, żeby jej nie przerwał. – Niepokoi mnie raczej charakter nastrój posiadłości, zwłaszcza jeśli się do tego doda obecność książek okultystycznych w bibliotece.

Anatol westchnął ciężko.

–Nie zauważyłem ich. Robisz z igły widły. Najprostszym wyjaśnieniem będzie chyba przypomnienie, że wuj miał katolickie... czy może raczej liberalne gusta. Albo odziedziczył książki razem z domem.

Niektóre są stosunkowo nowe – naciskała. Wiedziała, że zachowuje się niewłaściwie i niepotrzebnie prowokuje, ale jakoś nie potrafiła się wycofać.

–Ach, nie wiedziałem, że jesteś znawczynią takich publikacji.

Aż się skurczyła, smagnięta lodowatym tonem.

–Nie, ja nie jestem. Ale ty tak! I o to właśnie chodzi. Dlatego byłam zaskoczona, że nie uznałeś za stosowne wspomnieć o tej kolekcji chociaż słowem!

–Kompletnie nie rozumiem, dlaczego się uparłaś, by wynajdować jakieś tajemnice. Nie potrafię tego pojąć.

Leonie nachyliła się do przodu.

–Mówię ci, w tym majątku jest coś dziwnego. – Zamilkła na dłuższą chwilę? – Właściwie zastanawiam się. czy ty w ogóle byłeś w bibliotece?

–Dosyć tego – rzucił z cicha. W jego głosie wyraźnie brzmiała przestroga. – Nie wiem, co cię opętało.

–Twierdzisz, że doszukuję się nieistniejących tajemnic. Może masz rację. Ale nie ułatwiasz mi życia.

Anatol przewrócił oczami.

–Dziewczyno! Posłuchajże sama siebie! Izolda przyjęła nas jak najserdeczniej, chociaż sama jest w trudnej sytuacji, więc jeśli rzeczywiście coś jest nie tak, zapewne należy złożyć uchybienia na karb tego, że sama czuje się w tym domu jak obca! I to pomiędzy służbą, która panią domu uważa za intruza. Z tego, co mi wiadomo, Lascombe często bywał nieobecny, więc zakładam, że prowadzeniem domu zajmowali się służący. Zmieniło się to dopiero w tym roku. Nie podejrzewałem cię o podobne komentarze.

Leonie wyczuła, że zapędziła się zbyt daleko.

–Ja chciałam tylko...

Anatol otarł usta, rzucił serwetkę na stół i wstał.

–A ja chciałem tylko podrzucić ci lekturę zgodną z twoim gustem, żebyś się nie nudziła. Żebyś nie tęskniła za domem w obcym otoczeniu. Izolda nie zrobiła ci nic złego, wręcz przeciwnie, okazała ci serce i otoczyła gościnnością, a ty w podziękowaniu we wszystkim się doszukujesz błędów i urazy.

Dziewczyna straciła całą chęć do sprzeczki. Nawet już nie pamiętała, od czego się zaczęła kłótnia.

–Przepraszam, nie chciałam cię urazić, ja... – zająknęła się.

Tak czy inaczej, było już za późno.

–W ogóle mnie nie słuchasz, jesteś głucha na moje prośby, więc nie ma sensu ciągnąć tej dyskusji. – Chwycił kapelusz i laskę. – Idziemy. Powóz czeka.

–Chwileczkę! – zawołała, ale on już nie słyszał, szedł, stawiając długie kroki. Dziewczyna, rozdarta między skruchą a złością, nie miała wyjścia. Ruszyła za nim, wyrzucając sobie, że niepotrzebnie wywołała awanturę.

W drodze do Domaine de la Cade jej nastrój uległ zmianie. Przygniół ją smutek, przytłoczył żal. Przecież w niczym nie zawiniła. Anatol się obraził, chociaż nie było za co ani o co.

Dziwne.

Nagle zrozumiała.

On staje w obronie Izoldy.

Coś podobnego. Po takiej krótkiej znajomości!

W serce ukłuła ją zawiść.

ROZDZIAŁ 39

Cała podróż upłynęła w fatalnym nastroju. Leonie siedziała naburmuszona, Anatol wcale nie zwracał na nią uwagi. Gdy tylko dotarli do domu, wyskoczył z powozu i zniknął w domu, nawet nie spojrzawszy za siebie, a dziewczyna została z perspektywą długiego, nudnego południa w samotności.

Jak burza pognała do swojego pokoju, nie chcąc nikogo widzieć, z nikim rozmawiać i w ogóle mieć do czynienia, i rzuciła się na łóżko. Gniewnym kopnięciem strąciła ze stóp pantofle i leżała jak rozbitek na tratwie, z nogami dyndającymi za krawędzią materaca.

Dosyć mam tego, pomyślała. Co za nudy!

Zegar na kominku wybił drugą.

Zaczęła wyciągać z haftowanej narzuty sterczące nitki, rzucając złote okruchy na podłogę, aż urosła stertka, której by się Rumpelstiltskin nie powstydział. Zerknęła na zegarek. Dwie minuty po drugiej. Czas stał w miejscu.

Podeszła do okna i mnąc w dłoni róg zasłony, patrzyła na rozległe trawniki, zalane blaskiem.

Wszędzie widać było skutki złośliwego wiatru. A jednocześnie park wydawał się przesycony spokojem. Może warto się wybrać na spacer? Pozwiedzać majątek?

Wzrok dziewczyny padł na kuferek z robótkami, gdzie pośród skrawków tkaniny i cekinów ukryła czarną książkę.

Oczywiście.

Doskonała okazja, by poszukać grobowca. Wrócić do wcześniejszego planu. Może nawet znajdzie karty do tarota? Wyjęła książkę z kufereka. Tym razem przeczytała ją słowo po słowie, od deski do deski.

Godzinę później, ubrana w nowy samodziśłowy źakiecik, mocne buty. i w kapeluszu na głowie, Leonie wyślizgnęła się na taras. Chociaź w ogrodzie nie było nikogo, szła szybko, bo nie miała najejszej ochoty się tłumaczyć. Minęła kępe rododendronów, potem jałowce prawie biegiem i nie zwolniła, aż znalazła się w miejscu niewidocznym z okien domu; dopiero zostawiwszy za sobą przejście w żywopłocie, przystanęła dla złapania oddechu. Zrobiło jej się gorąco. Zdjęła kapelusz. Od razu lepiej. Rękawiczki wepchnęła głęboko do kieszeni. Była podekscytowana. Oto nikt jej nie obserwował, wreszcie nikt niczego nie kazał, była panią siebie.

Na skraju lasu zatrzymała się ponownie. Po raz pierwszy poczuła niepokój. Trwała tu namacalna cisza, przetykana zapachem paproci i opadłych liści. Dziewczyna obejrzała się przez ramię. Dom ledwo co zniknął z pola widzenia.

A jeśli się zgubię?

Spojrzała w niebo. Zakładając, że nie będzie po cienistym lesie chodziła bardzo długo, przyjmując, że pogoda się utrzyma, powinna wracać na zachód, a więc w kierunku, gdzie będzie zachodziło słońce. Nic łatwiejszego. Zresztą znajdowała się na terenie prywatnym, las był zadbany i dobrze utrzymany. Nie powinna tu spotkać nikogo nieznanego.

Nie ma powodów do niepokoju.

Przekonawszy siebie samą do dalszej wyprawy, czując się jak bohaterka jakiegoś powieściowego cyklu awanturniczego, ruszyła na spotkanie przygody. Po krótkim czasie stanęła na rozdrożu. Po lewej las robił wrażenie zaniedbanego. Dęby i kolczaste pins maritimes, przywiędłe i wyczerpane, zdawały się uginać pod ciężarem czasu, a spomiędzy pni ledwo przebijał się

bukszpan i wawrzyn. Tymczasem trakt po prawej wyglądał całkiem zwyczajnie.

Gdzie należało szukać dawno zapomnianego grobowca? Z pewnością w głębi nieodwiedzanego lasu.

Wobec tego skręciła w lewo, między cienie. Droga wyglądała na nieużywaną, nie widać na niej było ani śladów kół – choćby od taczek – ani zgrabionych liści. Odnosiło się wrażenie, że już dawno tutaj nikogo nie było.

Leonie szła wyżej i wyżej. Droga zwężała się i wspinała coraz bardziej stromo, po jakimś czasie zmieniła się w dróżkę, na dodatek mocno zarośniętą. Po obu jej stronach ziemię gęsto zaścielały połamane gałęzie.

Dziewczyna miała wrażenie, jakby las na nią napierał, jakby się wokół niej zamykał. W pewnym momencie dostrzegła urwisko porośnięte mchem i głogami, także zasypane suchymi gałęziami. Ciasno splecione cisy broniły przejścia jak żelazne ogrodzenie. Przycisnęła ręce do piersi, żeby uspokoić zląknięte serce. Każda gałąź, każdy korzeń świadczył o zaniedbaniu i opuszczeniu. Nawet zwierzęta unikały tego mrocznego lasu. Ciszy nie mącił ptasi śpiew, próżno by wypatrywać w poszyciu królika, lisa czy choćby myszki.

Po jakimś czasie na prawo od ścieżki ziemia uciekła ostro w dół. Leonie kilka razy słyszała, jak obluzowany jej stopą kamień spadał w niewidoczną otchłań. Niepokój coraz mocniej ścisnął ją za gardło. Nie trzeba było wielkiego wysiłku wyobraźni, żeby zobaczyć duchy, zjawy i inne nieziemskie istoty, które – według pana Baillarda i ogrodnika – nawiedzały te okolice.

Wyszła na płaski fragment zbocza. Otworzył się przed nią wspaniały widok na odległe góry. W poprzek ścieżki biegł rów odprowadzający wodę podczas wiosennych roztopów, teraz całkiem suchy. Nad rowem przerzucono kamienny mostek. Daleko w dole, nad szczytami drzew, widać było cały świat, rozpostarty jak na obrazie. Obłoki płynęły po bezkresnym niebie, gorące powietrze rozjarzyło w górskich przełęczach połyskującą

mgiełkę.

Leonie odetchnęła głęboko. Czuła się wspaniale tak daleko od cywilizacji, od rzeki i szarych oraz czerwonych dachów Rennes-les-Bains, od ledwo widocznej cloche-mur i przysadzistej sylwetki Hotel de la Reine. Otulona leśną ciszą, wspominała hałaśliwe bary i kawiarenki, brzęk naczyń kuchennych, dzwonięcie uprzęży i turkot kół na Gran'Rue, pokrzykiwania woźnicy, gdy courier zatrzymywał się na Płace du Perou.

I wtedy wiatr przyniósł jej daleki odgłos dzwonu z kościelnej wieży.

Już trzecia.

Słuchała, aż echo zamarło w oddali. Razem z dźwiękiem odpląnął awanturniczy duch. Powróciły słowa ogrodnika.

Pilnuj duszy, madomaisela.

Szkoda, że go nie spytała, jego czy kogokolwiek innego, jak dotrzeć na miejsce. Zawsze chciała wszystko robić sama, nie znosiła prosić o pomoc... A najbardziej żałowała, że nie wzięła ze sobą książki.

Za daleko zaszłam, żeby teraz wracać.

Uniosła wyżej brodę i ruszyła przed siebie, odsuwając na bok niemile przeczucie, że idzie w całkiem niewłaściwą stronę. Ruszyła w drogę, słuchając jedynie podpowiedzi intuicji. A gdyby dopuściła do głosu także rozum, wzięłaby ze sobą przynajmniej mapę posiadłości. Choć z drugiej strony, nic takiego w bibliotece nie zauważyła.

Nikt nie wiedział, dokąd się wybrała. Jeżeli stanie jej się krzywda, jeśli się przewróci albo zgubi, nikt nie będzie wiedział, gdzie jej szukać. Powinna była zostawiać za sobą jakiś ślad. Kawałki papieru lub może, wzorem Jasia i Małgosi, białe kamyczki?

Przecież się nie zgubię.

I poszła dalej.

Po niedługim czasie stanęła na leśnej polanie, otoczonej dzikimi jałowcami z mnóstwem dojrzałych jagód, zupełnie jakby ptaki nie docierały do tej części lasu. Na krawędzi pola widzenia majaczyły tajemnicze cienie, a dalej, w głębi lasu, światło gęstniało i stygło w cieniu. odzierając rośliny ze znajomych kształtów, zmieniając je w coś obcego. starego jak sam świat. Przedwieczorna mgła napłynęła bez ostrzeżenia. bez żadnej zapowiedzi spowiła dzikie róże, krzewy, zagajnik. Cały świat znieruchomiał. Wilgoć w powietrzu tłumiała wszelkie dźwięki. Leonie poczuła na szyi zimne palce jak lodowaty szalik. O łydki ocierał jej się chłód.

Nagle coś dostrzegła. Zamajaczył jej między drzewami kontur jakiejś konstrukcji, dzieło ręki człowieka. Nie drzewo, nie pień, nie ziemia i nie głąz. Tak! Maleńki kościółek, raczej kapliczka ze stromym dachem i znakiem krzyża nad łukowatym wejściem.

Dziewczynie aż dech zaparło w piersiach.

Znalazłam!

Grobowiec otaczały poczerńiałe cisy o korzeniach poskręcanych jak palce starca. Rzucały cień także na prowadzącą do niego ścieżkę. I choć panowała tu wilgoć oraz chłód, nie było śladu błota. Za to pełno jeżyn i dzikich róż.

Dumna z siebie i drżąca z niecierpliwości, postąpiła naprzód. Liście zaszeleściły jej pod nogami, strzeliła złamana gałązka. Następny krok. I kolejny. Przystanąła. Spojrzała w górę. Nad drewnianym łukiem, symetrycznym i doskonałym, znajdowały się dwa wersy, wypisane dawnymi, czernionymi literami.

Aici lo tems s'en

Va res 1'Eternitat.

Przeczytała słowa na głos, dwukrotnie, obracając na języku dziwne dźwięki. Po czym wyjęła z kieszeni ołówek kopiowy i zapisała je na skrawku papieru.

Coś usłyszała. Szelest. Wiatr? Czy może zwierzę? Następny dźwięk. Jakby ktoś ciągnął linę po pokładzie statku. Wąż? Straciła pewność siebie. Ciemne oczy lasu śledziły ją uważnie. Wbijaly w nią wzrok. Usłużna pamięć podsunęła słowa z książki, teraz przerażająco jasne. Przeczucie, miejsce nawiedzone przez duchy, tutaj odsunięto woal oddzielający dwa światy.

Jakoś nagle przestała mieć ochotę na wchodzenie do grobowca. Lecz z drugiej strony, sama, bezbronna, otoczona nieprzyjaznym lasem, była w znacznie gorszej sytuacji, niż gdyby się znalazła w kamiennym azylu. Krew szumiała jej w uszach, nogi miała jak z waty, ręce jej drżały.

Trudno. Nacisnęła wielką żelazną klamkę, i pchnęła.

Z początku nic się nie stało. Musiała pchnąć po raz drugi. Dopiero wtedy rozległ się zgrzyt metalu i suche kliknięcie, gdy ustąpił zatrzask. Napała na drzwi ramieniem. Z całej siły.

Ustąpiły niechętnie.

ROZDZIAŁ 40

Leonie weszła do grobowca. Powitał ją chłód oraz woń kurzu i wspomnienie dawno palonych kadzideł. A także coś jeszcze... Dziwny, przykry zapach ryby, słonego kadłuba wraku rybackiego kutra.

Objęła się za ramiona, żeby powstrzymać drżenie rąk.

Trafiłam!

Po prawej stronie, tuż przy drzwiach, pod zachodnią ścianą, znajdował się konfesjonał. Niewielki, na planie prostokąta, wcale niepodobny do tych zdobionych, jakie znała z paryskich katedr. Okienko było zamknięte, przed jednym z siedzeń wisiała wyblakła fioletowa zasłona. W drugiej części jej brakowało.

Po lewej stronie drzwi stała benitier, kropielnica. Leonie spojrzała i odskoczyła do tyłu. W samej misie z czerwonego i białego marmuru nie było nic szczególnego, ale dźwigała ją dziwaczna figura. Szeroko uśmiechnięty diabeł o czerwonej skórze, poznaczonej bliznami. Oczy miał straszne, wrogie, przeszywająco niebieskie. Mimo ciężaru na barkach judził i prowokował.

Ja cię znam, bestio!

Figura była bliźniaczo podobna do rysunku na stronie tytułowej...Les Tarots".

Ostrożnie, bojaźliwie, jakby potwór mógł nagle ożyć, Leonie podeszła bliżej. Pod rzeźbą, na niewielkiej białej tabliczce, zażółconej przez czas. znalazła potwierdzenie swoich domysłów: **ASMOTEE, MACON AU TEMPLE DE SALOMON, DEMON DU COUROUX.**

Asmodeusz, budowniczy świątyni Salomona, demon gniewu – przeczytała głośno. Stając na palcach, zajrzała do środka

benitier. Sucho. Ani kropli wody. Za to wycięte w marmurze litery. Obwiodła je palcami.

–Par ce signe tu le vaincras – mruknęła. – Pod tym znakiem go zwyciężysz.

Ściągnęła brwi. Kogo zwyciężysz? Samego Asmodeusza? I raptem pojawiła się inna myśl. Co powstało pierwsze: ilustracja w książce czy benitier? Co było kopią, a co oryginałem?

Znała jedynie datę napisania książki: tysiąc osiemset siedemdziesiąty. pochyliła się, znacząc spódnicami koliste ślady w kurzu na posadzce, j obejrzała podstawę kropielnicy. Nadal nic. Żadnych znaków, które by wskazywały jej wiek lub pochodzenie.

Na pewno nie wizygocka.

Zapisawszy w pamięci, by zbadać temat później – może Izolda coś wie? – Leonie wstała i zwróciła się ku nawie. Stały w niej trzy rzędy prostych drewnianych ław, jak w szkole, najwyżej na dwie osoby każda. Bez żadnych ozdób czy rzeźbień, bez poduszek do klęczenia. Ot, siedzisko z wąskim podnóżkiem, nic więcej.

Z bielonych ścian kapliczki oblażyła farba. Wysokie, łukowate okna o zwykłych, przezroczystych szybach wpuszczały do środka kościółka światło, ale odzierały go z ciepła. Droga Krzyżowa została przedstawiona w postaci niewielkich ilustracji, oprawionych w drewniane krzyże; w zasadzie bardziej przypominała zbiór medalionów niż obrazy, mało widoczna, w każdym razie dla niewprawnego oka Leonie.

Dziewczyna ruszyła nawą ku ołtarzowi, powoli, niby niechętna panna młoda, im dalej od drzwi, tym bardziej niespokojna. Wyczuła za sobą czyjąś obecność, obróciła się na pięcie.

Nikogo.

Po lewej, wzdłuż wąskiej nawy, stały gipsowe figury świętych, małe jak dzieci. Spojrzenia malowanych oczu odprowadzały idącą. Zatrzymywała się przy posążkach, by przeczytać imiona wymalowane czarnymi znakami na drewnianych tabliczkach.

Antoni Wielki, egipski pustelnik, święta Germanie z fartuszkiem pełnym górskich kwiatów, utykający święty Roch z nieodłączną laską.

Ostatnia rzeźba, najbliżej ołtarza, przedstawiała szczupłą kobietę o czarnych włosach, sięgających ramion, ubraną w czerwoną sukienkę do kolan. W rękach trzymała miecz, nie strasząc nikogo ani się nie broniąc, ale raczej strzegąc.

Pod figurą przytwierdzono tabliczkę ze słowami: La Filie d'Epees.

Córka mieczy. Może to Joanna d'Arc?

Znowu jakiś hałas. Wyjrzała przez okno. To tylko gałąź kasztanowca, stukająca w szkło jak paznokcie. I mroczne wołanie ptaków.

U końca nawy przystanęła, po czym kucnęła i uważnie obejrzała podłogę, szukając śladów czarnego kwadratu oraz czterech liter, C, A, D, E. Nie znalazła nic, nawet najmniejszego śladu wzoru opisanego przez wuja, za to natknęła się na inskrypcję wykutą w kamieniu.

Fujhi, poudes; Escapa, non, przeczytała. Zapisała również te słowa.

Wyprostowała się, podeszła do ołtarza. Wyglądał dokładnie tak, jak zapamiętała z opisu w „Les Tarots”: całkiem pozbawiony przedmiotów, jakie zwykle znajdują się na ołtarzu, próżno by tu szukać świec, srebrnego krzyża, mszału czy antyfonarza. Ustawiony w ośmiokątnej apsydzie o suficie pomalowanym na kolor lazuru, zupełnie jak w Palais Garnier. Osiem ścian wyklejono tapetą w szerokie, poziome, różowe pasy, rozdzielone motywem czerwonych i białych kwiatów jałowca, przeplatanych błękitnymi kręgami albo może monetami. Na styku każdej z dwóch ścian znajdowało się podłużne wybrzuszenie ze złoconego gipsu, buława czy może różdżka?

Na każdej z ośmiu ścian widniał jeden obraz.

Leonie aż się zatchnęła, gdy zrozumiała, na co patrzy. A miała przed oczami osiem rysunków, żywcem wyjętych z tarota,

zupelnie jakby każda z postaci zesła z karty i stanęła na wizerunku. Wszystkie były podpisane. Le Mat, Le Pagad, La Pretresse, Les Amoureux, La Force. La Justice, Le Diable i Le Tour. Czarne, stare litery na pożółkłych tabliczkach.

Ta sama talia co w książce.

Pokiwiała głową. Czy potrzeba lepszego dowodu na to, że świadectwo wuja było prawdziwe? Pytanie tylko, dlaczego akurat te osiem kart. z talii liczącej ich siedemdziesiąt osiem, zostało tutaj przedstawionych? Chciała zapisać ich nazwy, ale zabrakło jej miejsca na tym skrawku papieru, który znalazła w kieszeni. Rozejrzała się po grobowcu, szukając czegoś innego, na czym mogłaby spisać imiona kart.

Za filarem kamiennego stołu dostrzegła kawałek papieru. Wzięła go w rękę i ze zdumieniem stwierdziła, że trzyma gruby pergamin z zapisem jakiegoś utworu na fortepian. Klucz wiolinowy i basowy, metrum cztery czwarte, bez żadnych bemoli czy krzyżyków. Od razu przypomniała sobie podtytuł książki napisanej przez wuja oraz jego solenne zapewnienie, że zapisał muzykę.

Rozprostowała papier. Spróbowała zanucić pierwsze dźwięki, ale jakoś nie mogła złapać melodii, choć ta była całkiem prosta. Składała się z czterech nut i na pierwszy rzut oka przypominała palcówki, przez które przechodzi każdy uczący się gry na fortepianie.

Powoli jednak na jej usta wypłynął uśmiech. Już widziała wzór: C-A-D-E. Te same nuty powtarzały się regularnie. Piękne. Tak jak napisano w książce, muzyka wzywająca duchy.

Raptem pojawiła się nowa myśl.

Skoro zapis nut został w grobowcu, to może karty również?

Po chwili wahania napisała nad nutami datę i słowo „Grobowiec”, jako świadectwo, gdzie została znaleziona karta z utworem. Włożyła ją do kieszeni i zaczęła metodycznie

przeszukiwać kapliczkę. Zajrzała w każdy kąt, w każdą szparę, wypatrywała kryjówek i schowków, ale nie znalazła nic. Nie było tu żadnego mebla, żadnego sprzętu, w którym dałoby się zostawić talię kart.

Skoro nie tutaj, to gdzie są?

Przeszła za ołtarz.

Teraz, gdy oczy przywykły do półmroku, wydało jej się, że widzi zarys drzwiczek ukrytych w jednym z ośmiu paneli apsydy. Wyciągnęła dłoń, szukając jakiejś nierówności, i rzeczywiście, znalazła delikatne wgłębienie, może ślad po przejściu, którym dostawał się do kościoła duchowny odpraziający mszę. Pchnęła mocno, ale nic to nie dało. Zamknięte na mur. Jeżeli to rzeczywiście były tylne drzwi, dawno ich nikt nie otwierał.

Odstąpiła o krok, wsparła dłonie na biodrach. Nie chciała uznać, że kart nie ma w kościółku, ale już nie wiedziała, gdzie szukać. Jedynym wyjściem pozostało chyba znalezienie wskazówki w księżce. Bo przecież teraz, skoro odnalazła to miejsce, z pewnością dostrzeże i zrozumie myśli zawarte między słowami.

O ile rzeczywiście jakieś tam są.

Podniosła wzrok na okna. Światło dnia przygasało. Promienie słońca, przefiltrowane przez drzewa, zaczynały się wycofywać, zostawiając pociemniałe szkło. Czas wracać.

W drodze do wyjścia znów czuła na sobie spojrzenia gipsowych postaci. Atmosfera wyraźnie zgęstniała.

Powietrze się poruszyło. Leonie usłyszała muzykę dobywającą się gdzieś z jej własnego wnętrza. Słyszała, a nie słyszała. I czuła czyjaś obecność, która ją otaczała, muskała, nie dotykając, nieprzerwanie naciskała. Towarzyszyła jej kakofonia szeptów, łkań i westchnień.

Serce trwożnie zabiło w piersiach dziewczyny.

To tylko moja wyobraźnia.

Dobiegł ją inny dźwięk. Chciała go zignorować jak inne, dochodzące z jej duszy i znikąd. Jednak wrócił. Skrobanie, szuranie. Stukanie pazurów o kamień. Dochodziło zza ołtarza.

Poczuła się winna. Była tutaj intruzem. Naruszyła ciszę grobowca, zburzyła spokój słuchających, obserwujących, którzy mieszkali w jego zakurzonych kamiennych korytarzach. Nikt jej tu nie zapraszał.

Powiodła wzrokiem po malowidłach na ścianach apsydy, spojrzała w oczy gipsowym świętym, stojącym na straży. Obróciła się i natknęła na złośliwe, błękitne oczy Asmodeusza. Doskonale pamiętała opis demonów. Jak czarne skrzydła powaliły wuja na ziemię. Jak raniły go ostre pazury. „Ślady na dłoniach, moje stygmaty, nie zbladły”.

Przez jedną krótką chwilę widziała – a może jej się tylko zdawało? – czerwone znaki we wnętrzach dłoni. W kształcie leżącej na boku ósemki.

Straciła resztki odwagi, zebrała spódnicę i runęła do drzwi. Ścigało ją drwiące spojrzenie Asmodeusza. Pchnęła drzwi z całej siły i tylko domknęła je solidnie. Oczywiście! Nie w tę stronę! Chwyła klamkę, gwałtownie pociągnęła.

Kroki za plecami. Teraz już bez wątpienia. Pazury ślizgające się na kamieniach. Coraz bliżej. Drapieżnik. Złe duchy, stojące na warcie grobowca i świątyni. Z piersi dziewczyny wyrwał się szloch. W ostatniej chwili wypadła do ciemniejącego lasu.

Drzwi zamknęły się ciężko, zgrzytając na starych zawiasach. Już się nie bała strachów ukrytych w półmroku między drzewami. Były niczym w porównaniu z przerażającymi istotami z grobowca.

Podciągnęła spódnicę i ruszyła biegiem. Ścigał ją wzrok demona. Już teraz wiedziała, jak duchy strzegą swoich miejsc przed intruzami. Biegła,

przedzierając się przez wieczorny chłód, spadł jej kapelusz, raz i drugi po. tknęła się, omal nie upadła. Co sił gnała przez coraz mroczniejszy las, zaniedbaną ścieżką, nad wyschłym strumieniem, szerszą dróżką, aż wreszcie bezpiecznie dotarła do ogrodów.

Fuj hi, poudes; Escapa, non.

Przez mgnienie oka miała wrażenie, że rozumie obce słowa.

ROZDZIAŁ 41

Wróciła do domu przemarznięta. W holu Anatol krążył niespokojnie jak lew w klatce. Nieobecność Leonie nie tylko została dostrzeżona, lecz także stała się powodem niemałej konsternacji.

Izolda chwyciła dziewczynę w ramiona, a potem szybko się cofnęła, jakby zawstydzona tą żywiołową manifestacją uczuć. Anatol uściskał siostrę, po czym odsunął ją od siebie i zgromił srogim spojrzeniem. Z jednej strony, czuł ulgę, że nic złego jej się nie stało, z drugiej, chętnie by ją przetrzepał. Nie padło ani słowo na temat wcześniejszej sprzeczki, która przecież była głównym powodem tej samotnej wyprawy.

–Gdzieś ty się podziewała?

–Spacerowałam po ogrodach.

–Przecież już prawie ciemno!

–Straciłam poczucie czasu.

–Padały kolejne pytania, jedno za drugim. Czy kogoś spotkała? Czy wyszła poza granice majątku? Czy widziała albo słyszała coś niezwykłego? W krzyżowym ogniu pytań Leonie zapomniała o strachu.

–Nie jestem dzieckiem! – zezłościła się w końcu. – Potrafię o siebie za

dbać.

–I tu się mylisz! – krzyknął Anatol. – Masz dopiero siedemnaście lat! Dziewczyna odrzuciła do tyłu miedziane loki.

–Zachowujesz się, jakbyś się bał, że mnie ktoś porwie.

–Nie przesadzajmy – burknął.

Leonie spostrzegła, że wymienił z Izoldą ukradkowe spojrzenia. Zmrużyła oczy.

–Powiedz mi – odezwała się wolno – dlaczego jesteś taki przestraszony? Co przede mną ukrywasz?

Anatol otworzył usta, lecz zaraz je zamknął. Pozwolił mówić Izoldzie.

–Przykro mi, że nasza troska wydaje ci się nadmierna. Oczywiście, możesz chodzić, gdzie ci się żywnie podoba. Po prostu ostatnio mieliśmy tutaj

doniesienia o dzikich zwierzętach, schodzących do doliny o zmierzchu.

Całkiem niedaleko Rennes-les-Bains widywano dzikie koty, a nawet wilki.

Leonie miała zamiar podważyć to wyjaśnienie, gdy przypomniała sobie stukanie pazurów o kamienną podłogę grobowca. Zadrżała. Nie p0_ trafiłaby określić z całkowitą pewnością, co zmieniło przygodę w straszne przeżycie. Wiedziała jedynie, że w chwili gdy rzuciła się do ucieczki, ratowała życie.

Chociaż nie miała pojęcia przed czym.

–Okropnie wyglądasz! – rzucił Anatol, ciągle rozeźlony.

–Dosyć już – powiedziała Izolda cicho i Anatol, ku zdumieniu siostry faktycznie zmilkł.

Wyraźnie rozgoryczony wsparł ręce na biodrach.

–Wiemy też, że pogoda się pogarsza – podjęła gospodyni. – Od gór idzie burza. Baliśmy się, że cię złapie.

Właśnie w tej chwili gdzieś w oddali przetoczył się potężny grzmot. Wszyscy troje spojrzeli w stronę okien. Na szczytach przysiadły niskie chmury, a mgiełka jak dym z ogniska zawisła między wzgórzami. Ru/Jegł się kolejny grzmot, znacznie bliżej. Zadrżały szyby w oknach.

–Chodźmy – powiedziała Izolda, biorąc dziewczynę za rękę. – Poko

jówka przygotuje ci gorącą kąpiel. Potem zjemy przy kominku w salonie.

A po kolacji może pogramy w karty? W bezika, w vingt-et-un, w co ze

chcesz.

Leonie, podając ciotce rękę, przypomniała sobie o stygmatach. Opuściła wzrok na dłoń pobielającą od chłodu. Nic. Nic na niej nie było. Żadnych czerwonych znaków.

Pozwoliła się zaprowadzić do pokoju.

Niedługo później rozległ się dzwonek na kolację. Leonie zatrzymała się jeszcze na chwilę przed lustrem.

Przysiadła na stołeczku przed toaletką i zajrzała w oczy

swojemu odbiciu. Błyszczały jak w gorączce. Odbijało się w nich wspomnienie strachu, który został gdzieś pod skórą. Czy Izolda i Anatol również go zobaczą?

Nie chciała się denerwować, ale musiała zajrzeć do książki. Ostrożnie wydobyła „Les Tarots” z kuferka i odszukała fragment, który zamierzała sprawdzić.

„Zafalowało powietrze, wydało mi się, że nie jestem sam. Zyskałem pewność: w grobowcu zaroilo się od istnień. Od duchów, bo przecież nie sposób ich nazwać ludźmi. Przestały obowiązywać prawa natury. Przybysze byli wszędzie dookoła. Ja i moje inne byty, przeszłe oraz należące do przyszłości...

Zdawało mi się, że płyną w powietrzu, pilnie bacząc, bym nie przeoczył ich ulotnej obecności...

Zwłaszcza tuż nad moją głową trwał bezustanny ruch w akompaniamencie kakofonii szeptów, westchnień i szlochów”.

Zamknęła książkę. Opis doskonale pasował do jej przeżyć. Pytanie teraz, czy to słowa przeczytane na pożółkłych kartkach tak jej zapadły w podświadomość? Czy też przeżyła to samo, co przydarzyło się wujowi? I jeszcze jedna istotna kwestia: Czy Izolda naprawdę o niczym nie wiedziała?

I matka, i ciotka coś wyczuwały, co do tego Leonie nie miała najmniejszych wątpliwości. Każda na swój sposób napomykała o dziwnej atmosferze, wspominała o niepokoju, choć otwarcie niczego nie przyznawały.

Dziewczyna wsparła łokcie na blacie, złączyła rozczapierzone palce dłoni. Ona także czuła to coś. Od pierwszej chwili, od przyjazdu do Domaine de la Cade.

Wsunęła pod czarną okładkę stroniczkę z nutami, odłożyła książkę do schowka i zeszła na dół. Teraz, gdy przestała się bać, była zaintrygowana. Bardzo chciała dowiedzieć się czegoś więcej. Miała wiele pytań do Izoldy, ot, na przykład, czy ciotka wiedziała, czym się zajmował jej mąż przed ślubem? Dobrze byłoby też ewentualnie napisać do mamy i zapytać, czy w dzieciństwie zdarzyło się coś konkretnego, co zadecydowało o jej niechęci do Domaine de la Cade. Bo Leonie była przekonana, że to właśnie sama posiadłość przyciąga do siebie złe moce.

Drzewa, ziemia, jezioro.

Tymczasem, zamknąwszy za sobą drzwi sypialni, zorientowała się, że nie może wspomnieć o swojej dzisiejszej wyprawie, ponieważ mogłyby jej zostać zabronione następne. Wobec tego – przynajmniej na razie – przygoda musiała pozostać tajemnicą.

Domaine de la Cade wolno pogrążała się w noc, zastygła w oczekiwaniu.

Kolacja minęła w przyjemnej atmosferze, przerywana od czasu do czasu hukami srożących się w oddali gromów. Tematu wycieczki po majątku nie podejmowano wcale, natomiast mówiono o Rennes-les-Bains i innych okolicznych miejscowościach, o przygotowaniach do sobotniej kolacji, o gościach, o tym, co jeszcze zostało do zrobienia i jakie to będzie miłe przyjęcie.

Zwykle, codzienne rozmowy.

Po jedzeniu przenieśli się do salonu i tu nastrój od razu uległ zmianie. Ciemność za murami domu, nieomal dotykalna, była ciężka i przykra. Duchota i wilgoć dławili. Gdy wreszcie rozpętała się burza, wszyscy troje wyraźnie odczuli ulgę. Niebo zadrżało. Najpierw oślepiająca błyskawica rozdarła srebrem czarne

chmury, zaraz potem sucho trzasnął piorun. Zagrzmiął echem w dolinie, odbijając się od skał i drzew.

Wtedy wiatr, który na jakiś czas zamarł, jakby zbierał siły, uderzył w ściany całą mocą. Razem z nim spadł na dom deszcz, który wisiał w powietrzu przez cały wieczór. Wicher chłostał okna, zalewał je wodą, aż ludziom skrytym we wnętrzach zdawało się, że po szybach płynie wodospad. Ze w budynek uderzają morskie fale.

Leonie chwilami słyszała muzykę. Nuty, które ukryła w sypialni, podchwytywał wiatr. Zupełnie tak, jak mówił ogrodnik.

Wszyscy troje usiłowali nie zwracać uwagi na burzę szalejącą tuż za ścianami. W salonie panowało mile ciepło, na kominku trzaskał ogień, zapalono wszystkie lampy, a służba jeszcze ustawiła dodatkowe świece. Choć całej trójce, wydawałoby się, niczego nie brakowało do szczęścia, Leonie nie mogła się pozbyć wrażenia, że mury ustępują pod naporem gwałtownych ataków nawałnicy, pochylają się i za chwilę pogrzebią ją żywcem.

W pewnej chwili odskoczyły drzwi wejściowe, pchnięte wyjątkowo silnym podmuchem. Ktoś je szybko zamknął i zabezpieczył. Dziewczyna słyszała, jak służba chodzi po domu,

sprawdzając, czy wszystkie okna są szczelnie pozamykane. Ponieważ istniało niebezpieczeństwo, że delikatne szybki nie wytrzymają ataków, zaciągnięto zasłony, chroniąc w ten sposób mieszkańców przed zasypaniem odłamkami szkła. Z najwyższego piętra dobiegały spieszne kroki oraz postukiwanie wiader rozstawianych w odpowiednich miejscach, gdzie między dachówkami zdarzały się przecieki.

Tkwili we troje w salonie. Spacerowali, siedzieli, rozmawiali. Wypili trochę wina. Usiłowali się zająć normalnymi wieczornymi czynnościami. Anatol poprawiał drwa w kominku i uzupełniał trunek w kieliszkach. Izolda splotła długie, smukłe palce i ułożyła dłonie na kolanach. Leonie w którejś chwili odciągnęła zasłonę i wyrzesała w ciemność. Niewiele widziała przez deszczułki okiennicy, ale dostrzegła sylwetki drzew, oświetlone ostrym blaskiem błyskawicy, rwące się niczym spętane mustangi. Wydawało jej się, że las woła o pomoc, że stare pnie resztkami sił opierają się wściekłym atakom.

O dziesiątej zaproponowała partię bezique. Usiadły z Izoldą do karcianego stolika. Anatol stał przy kominku lekko wsparty o gzyms, w jednym ręku trzymał papierosa, w drugim szklaneczkę brandy.

Rozmowa się nie kleiła. Każde z nich, chociaż udawało, że nie zwraca na burzę uwagi, wsłuchiwało się w nią, oczekując subtelnej zmiany w uderzeniach wiatru i deszczu, która by wskazywała, że najgorsze minęło. Izolda, niezwykle blada, wyraźnie się bała. Jakby gwałtowne wybuchy natury stanowiły jedynie przestrożę, zapowiedź czegoś gorszego. W miarę jak czas wolno mijał, z coraz większym trudem zachowywała pozory. Bezwiednie położyła dłoń na brzuchu, jakby był obolały. Czasem jej palce, żyjące własnym życiem, zwijały spódnicę, gładziły rogi kart, pociągały zielone sukno.

W pewnej chwili huk pioruna łupnął tuż nad ich głowami. W szarych oczach Izoldy błysnął strach. W tym samym momencie Anatol był przy niej. A Leonie poczuła ukłucie zazdrości. Została

wykluczona z towarzystwa. Tamta para w ogóle zapomniała o jej istnieniu.

–Jesteśmy zupełnie bezpieczni – zapewnił Anatol z przekonaniem. Pan Baillard napisał – odezwała się Leonie że według miejscowych legend burze zsyła diabeł, kiedy świat jest wytrącony z równowagi. Kiedy naturalny porządek ulega zakłóceniu. Ogrodnik powiedział to samo.

I jeszcze mówił, że wczoraj wieczorem słyszano muzykę nad jeziorem, które...

–Ca suffit! – uciął Anatol ostro. – Wszystkie te opowieści o diabłach,

demonach i klątwach to tylko bajki dla niegrzecznych dzieci.

Izolda rzuciła spłoszone spojrzenie na okno.

–Jak długo jeszcze...? Nie zniosę tego...

Anatol opiekuńczo położył dłoń na jej ramieniu, tylko na mgnienie oka, lecz siostra dostrzegła ten gest.

On ją chroni, pomyślała. Chce się nią opiekować. Odepchnęła od siebie zawiść.

–Już niedługo. Burza zaraz się skończy, jeszcze tylko wiatr.

–Tu nie chodzi o wiatr. Czuję... Wiem, że stanie się coś strasznego -wyszeptała Izolda. – On się zbliża. Wiem, że nadchodzi.

–Izoldo, chérie – rzekł Anatol cicho. Leonie nadstawiła uszu.

–On? – powtórzyła. – Kto taki?

Żadne z pozostałej dwójki nie zwróciło na nią uwagi. Kolejny podmuch wiatru zagrzechotał okiennicami. Niebo rozdarła błyskawica.

–Ten dom jeszcze niejedno wytrzyma – podjął Anatol z wymuszoną swobodą. – Jestem gotów iść o zakład, że będzie tu stał, jak stoi, długie lata po naszej śmierci. Nie ma się czego

obawiać.

Szare oczy Izoldy błyszczały strachem. Leonie widziała wyraźnie, że słowa brata wywarły skutek odwrotny do zamierzonego.

„Długie lata po naszej śmierci”.

Przez ułamek sekundy dziewczyna była przekonana, że dostrzegła w płomieniach na kominku wykrzywioną twarz Asmodeusza. Cofnęła się odruchowo.

Postanowiła wyznać bratu prawdę o tym, jak spędziła popołudnie, co widziała i co słyszała, ale gdy się do niego odwróciła, patrzył na Izoldę z taką troską, z taką czułością, że aż się zawstydziała, jakby ich przyłapała na czymś, czego widzieć nie powinna.

Zamknęła usta, zanim się z nich wydobyło choćby jedno słowo.

Wicher nie pozwalał odpocząć. A wspomagała go w wysiłkach niespokojna wyobraźnia.

ROZDZIAŁ 42

Następnego ranka, zamiast we własnej sypialni, obudziła się na szesz-longu w salonie. Przez szpary w zasłonach przedzierały się złote promienie. Ogień w kominku dawno zgasł. Na stoliku zostały karty i kieliszki do wina, porzucone jeszcze wczoraj.

Jakiś czas siedziała, wsłuchując się w ciszę. Skończyło się walenie deszczu w szyby, wycie wichru, zapanował spokój. Stary dom już się nie skarżył, nie trzeszczał i nie pojękiwał. Burza minęła.

Dziewczyna uśmiechnęła się do siebie. Nocne strachy, myśli o duchach i diabłach wydawały się w świetle poranka całkiem nieszkodliwe. Po krótkiej chwili głód wypędził ją z sofy. Ruszyła do kuchni. Na korytarzu owionął ją rześki chłód, w powietrzu unosił się zapach wilgoci, ale też świeżość, jakiej bardzo brakowało poprzedniego wieczoru. Leonie minęła drzwi oddzielające front domu od pomieszczeń gospodarczych, przez cienkie podeszwy savates czuła chłód kamiennej podłogi. W końcu zza kolejnych drzwi usłyszała głosy, szcęk garnków i pogwizdywanie.

Weszła do kuchni. Pomieszczenie było mniejsze, niż się spodziewała, kwadratowe i miłe. Z czarnych belek pod sufitem zwisały najróżniejsze miedziane rondle, garnki i patelnie, nad poczerniałym paleniskiem, szerokim tak, że po obu jego stronach ciągnęły się kamienne ławy, wisiał parujący kocioł.

Kucharka, z chochlą na długim drewnianym trzonku w ręku, odwróciła się do drzwi, słysząc, że ktoś wchodzi. Równocześnie rozległo się szuranie odsuwanego krzesła. To wstała inna służąca, która właśnie jadła śniadanie przy drewnianym stole na środku kuchni, poznaczonym licznymi bliznami.

–Proszę nie wstawać powiedziała Leonie szybko. Przyszłam

poprosić o filiżankę kawy. I może trochę chleba?

–Przygotuję śniadanie, madomaisela – obiecała kucharka. – Do pokoju dziennego?

Tak, chętnie, dziękuję. Czy ktoś już zszedł?

–Nie, panienska jest pierwsza.

Odpowiadała grzecznie, ale z pewnością me zależało jej na przedłużaniu rozmowy. Mimo wszystko Leonie zwlekała.

–Duże straty wyrządziła burza?

–Da się je naprawić.

–Nie było powodzi? – Obawiała się, czy sobotnia kolacja nie zostanie odwołana, na przykład z powodu zniszczenia drogi z miasta.

–Z Rennes-les-Bains nie ma żadnych złych wieści. Jedna z dziewcząt słyszała, że w Alet-les-Bains osunął się stok, a razem z nim wóz pocztowy z Limoux. – Wytarła ręce w fartuch. – Jeśli to wszystko, madomaisela. mam sporo pracy.

–Oczywiście.

Gdy wychodziła z kuchni, zegar wybijał siódmą. Wyjrzała przez okno na różowe niebo, po którym płynęły białe obłoczki. W majątku zaczynało się sprzątanie, zmiatanie liści, zbieranie gałęzi strąconych przez burzę.

Następne dni minęły spokojnie.

Leonie zwiedzała dom i posiadłość. Śniadanie codziennie zjadała w sypialni, a potem cały ranek miała dla siebie i mogła robić, co jej się żywnie podoba. Najczęściej nie widywała ani brata, ani Izoldy aż do obiadu. Popołudniami, jeśli tylko pozwalała

pogoda, we dwie spacerowały po okolicy albo odkrywały tajemnicze zakątki domu. Ciotka była nieodmiennie uprzejma i miła, a jednocześnie na każdym kroku udowadniała, że dysponuje ujmującym poczuciem humoru. Grały na fortepianie duety Rubinsteina, bardziej dla rozrywki niż dla doskonalenia umiejętności, a wieczorami we trójkę zabawiali się różnymi rozrywkami salonowymi. Leonie dużo czytała i malowała widoczek z domem na pierwszym planie, a najlepsze miejsce do tego celu znajdowało się na niewielkim cyplu nad jeziorem.

Książka napisana przez wuja oraz pergamin z nutami, znaleziony w grobowcu, zaprzątały jej myśli właściwie stale, mimo to ani razu do nich nie zajrzała. A podczas zwiedzania posiadłości celowo unikała zarośniętej leśnej ścieżki, prowadzącej do wizygockiego kościółka.

W sobotę, dwudziestego szóstego września, w dzień proszonej kolacji, świt wstał jasny i czysty.

Zanim Leonie skończyła śniadanie, zjawił się pierwszy dostawca z Rennes-les-Bains. Chłopak przywiózł dwa wielkie bloki lodu. Zaraz po nim następny wyładował viande, sery, mleko i śmietanę.

W każdym pokoju służba coś czyściła, polerowała, składała płótna, rozstawiała popielniczki lub kieliszki, a wszystko to pod czujnym okiem starszej służącej.

O dziewiątej wyszła z sypialni Izolda. Zabrała dziewczynę do ogrodu. Uzbrojone w sekatory oraz grube gumiaki, wkładane na pantofle dla ochrony przed zniszczeniem obuwia na błotnistych ścieżkach, ścinały kwiaty, jeszcze mokre od rosy, potrzebne do ozdobienia stołów.

Wróciły do domu tuż przed jedenastą, z czterema dużymi, płaskimi koszami kwiecista. W pokoju dziennym czekała na nie parująca kawa oraz Anatol, w doskonałym humorze, ślący uśmiechy zza gazety.

W południe Leonie skończyła wypisywać ostatnią kartę wizytową. Kaligrafowała na nich nazwiska, dokładnie według wskazówek Izoldy. Uzyskała od ciotki obietnicę, że wolno jej będzie własnoręcznie rozłożyć wizytówki, gdy dekoracja stołu zostanie zapięta na ostatni guzik.

O pierwszej nie pozostało już nic do zrobienia. Po lekkim obiedzie gospodyni oznajmiła, że chce przez kilka godzin odpocząć w swoim pokoju. Anatol postanowił zająć się korespondencją. W tej sytuacji Leonie, nie mając wielkiego wyboru, zdecydowała się na to samo.

Gdy znalazła się w sypialni, zajrzała do kuferka z robótkami, gdzie „Les Tarots” leżały uśpione pod czerwoną włóczką i niebieską nitką, ale choć od wyprawy do grobowca minęło już kilka dni, nadal nie miała ochoty niszczyć spokoju myśli przez powrót do tajemnic książki. Zresztą lektura i tak by jej nie zajęła całego popołudnia. No i Leonie nie zdołałaby się skupić na czytaniu, bo stale wybiegała myślą do kolacji.

Wzrok dziewczyny padł na przybory do malowania. Farby, pędzle, sztalugi oraz blok papierów. Może by tak namalować coś dla mamy? Jakąś pamiątkę? Upominek, który wręczy jej po powrocie do Paryża.

Żeby zamazać niemiłe wspomnienia z dzieciństwa w Domaine de la Cade.

Zadzwoiła na pokojówkę i poleciła jej przynieść misę z wodą oraz płachtę grubego płótna do przykrycia stołu. Następnie wyjęła paletę i tubki z farbami. Zaczęła wyciskać trochę szkarłatu i ochry, topazowego błękitu i nieco farby żółtej, zielen wilgotnego mchu oraz, na koniec, hebanową czerń. Położyła na stole kremowy arkusz.

Jakiś czas siedziała, czekając na natchnienie. Nie miała żadnego pojęcia, co właściwie namalować. Odruchowo nabrała na pędzel czarnej farby i automatycznymi ruchami zaczęła szkicować jakąś postać. Ręka robiła swoje, umysł zajął się czymś innym. Marzeniami o nadciągającym wieczorze. Leonie rozmyślała o tym, jakie wrażenie wywrze na niej socjeta z Rennes-les-Bains, a malunek, bez jej udziału, nabierał kształtów. Wszyscy goście chętnie przyjęli zaproszenia. Dziewczyna już widziała siebie, podziwianą i komplementowaną, w niebieskiej sukni... może raczej w czerwonej albo w tej zielonej z La Samaritaine? Rękawiczki, oczywiście, długie, tylko które najlepsze? Włosy podtrzyma grzebieniami z macicy perłowej i srebrnymi szpilkami, bo one najlepiej podkreślają kolor. W myślach przeglądała naszyjniki, kolczyki i bransolety, które dopełnią stroju.

Cienie kładły się na trawnikach coraz dłuższymi smugami, czas mijał dziewczynie na przyjemnych rozmyślaniach, a na papierze, pociągnięcie za pociągnięciem, krystalizowała się warstwa farb, pokazując coraz wyraźniejszy obraz.

Dopiero gdy Marieta wróciła posprzątać, Leonie przytomniej spojrzała na własne dzieło. Dziwne. Sama nie wiedząc, co robi, namalowała figurę z kart tarota, jedną z tych, które widniały na ścianie grobowca. La Force. Różnica polegała na tym, że dała dziewczynie długie miedziane włosy i ubrała ją w poranną suknię, dokładnie taką, jaka wisiała w jej własnej szafie w Paryżu, w mieszkaniu przy rue de Berlin.

Właściwie namalowała autoportret.

Przyjrzała mu się uważnie, równie zaintrygowana nieświadomym wyborem tematu, co dumna z dobrze wykonanej pracy. Zwykle tworzone przez nią portrety pozostawiały sporo do życzenia i dziwnym trafem wszystkie były do siebie podobne, jakby zawsze malowała członków jednej rodziny. Tym razem jednak podobieństwo do oryginału było niezaprzeczalne.

La Force. Siła.

Siła?

Czy tak właśnie postrzegała siebie? Gdyby ją ktoś o to spytał, z pewnością by tak nie odpowiedziała. Przyjrzała się portretowi jeszcze raz. Tak czy inaczej, popołudnie chyliło się ku wieczorowi, czas na przygotowania do kolacji. Położyła arkusz na kominku, tuż obok zegara, i przestała o nim myśleć.

O siódmej wieczorem zapukała Marieta.

–Madomaisela? – odezwała się, wtykając głowę przez na wpół otwar

te drzwi. – Madama przysłała mnie, żebym pomogła się panience ubrać.

Czy panienka wie, którą suknię włożyć?

Leonie kiwnęła głową zdecydowanie, jakby temat nigdy nie podlegał dyskusji.

–Zieloną, z kwadratowym dekoltem. I sous-jupe z angielską koronką.

–Rozumiem, madomaisela.

Marieta wyjęła z szaf wskazane sztuki garderoby, na rozłożonych szeroko ramionach przeniosła je na łóżko. Pomogła Leonie włożyć na bieliznę gorset, zasznurowała go ciasno z tyłu i przewlokła sznurówki przez oczka z przodu. Rudowłosa piękność okręciła się przed lustrem i z uśmiechem zaakceptowała swoje odbicie.

Pokojówka weszła na krzesło. Opuściła na Leonie najpierw halkę, a potem suknię. Chłodny zielony jedwab spłynął z ramion dziewczyny błyszczącą falą, jak woda dotknięta słonecznym

promieniem.

Marieta zeskoczyła na podłogę. Szybko poradziła sobie z zapięciami, po czym usiadłszy na piętach, ułożyła dół spódnicy. Leonie w tym czasie wygładziła rękawy.

–Jak mam panienkę uczesać?

Dziewczyna odwróciła się do toaletki. Przechyliła głowę na bok, chwyciła buntownicze loki w garść i zwinęła je na czubku głowy.

–W ten sposób.

Puściła włosy i sięgnęła po niewielką szkatułkę obciążoną brązową skórą.

–Mam szylkretowe grzebienie, wykładane macicą perłową,

będą paso

wały do kolczyków i naszyjnika z motywem roślinnym.

Marieta pracowała szybko i sprawnie. Na koniec zapięła na karku dziewczyny zameczek z platynowego liścia, cofnęła się o krok i przyjrzała efektom.

Leonie także oceniła rezultat starań. Przechyliła stojące lustro tak, by widzieć całą swoją sylwetkę i po chwili namysłu uznała, że jest zadowolona z widoku. Sukienka, ani nazbyt skromna, ani zbyt wyzywająca jak na proszoną kolację w niewielkim gronie, wyglądała idealnie, podkreślając karnację i figurę. Oczy błyszczały jasno i cera także nie pozostawiała nic do życzenia, nie za blada i nie rumiana.

Z dołu odezwał się lekko schrypnięty dzwonek, potem dobiegł odgłos otwieranych i zamykanych drzwi. Przybyli pierwsi goście.

Dziewczęta spojrzały sobie w oczy.

Które rękawiczki panienska wybrała, zielone czy białe?

Zielone, te zdobione koralikami. Na górze w szafie, w którymś pudle na kapelusze jest wachlarz w tym samym kolorze.

Gdy przygotowania dobiegły końca, Leonie wyjęła z górnej szuflady komody swoją ulubioną torebkę chatelaine. Stopy obciążone cienkimi pończochami wsunęła w jedwabne zielone pantofelki.

–Wygląda panienska jak z obrazka – orzekła Marieta, kręcąc głową

w zadziwieniu. – Przepięknie.

Od razu po wyjściu z sypialni Leonie posłyszała szmer głosów. Dotarłszy do schodów, zatrzymała się i zerknęła na hol.

Służba w liberiach, specjalnie wypożyczonych na ten szczególny wieczór, prezentowała się bardzo elegancko. Dziewczyna przywołała na twarz olśniewający uśmiech, ostatni raz poprawiła suknię i odrobinę podenerwowana zeszła do towarzystwa.

W drzwiach do salonu Pascal obwieścił przybycie Leonie mocnym, czystym głosem i zaraz zepsuł cały efekt, puszczając do niej perskie oko. które miało jej dodać odwagi.

Izolda stała przy kominku, rozmawiała z jakąś kobietą o ziemistej cerze. Spojrzeniem zaprosiła Leonie bliżej.

–Mademoiselle Denarnaud to Leonie Vernier, córka siostry mojego

zmarłego męża.

Enchantee. mademoiselle odezwała się grzecznie dziewczyna. W czasie krótkiej wymiany zdań okazało się, że mademoiselle Denarnaud dba o plebanię w Rennes-le-Chateau i jest niezamężną siostrą dżentelmena, który w Couizie pomagał rodzeństwu wystawić bagaż z pociągu. Mężczyzna, zorientowawszy się, że Leonie na niego patrzy, uniósł rękę na powitanie.

Jak się zjedzie rodzina proboszcza, pomyślała Leonie, panna Denarnaud ma pełne ręce roboty.

Pamiętała, że przy którejś kolacji usłyszała od Izoldy, iż proboszcz Sauniere ma jedenaścioro rodzeństwa.

Nielatwe próby rozmowy z nową znajomą spełzły na niczym, zgaszone zimnym spojrzeniem. Mademoiselle Denarnaud była zapewne w wieku Izoldy, lecz na tym wszelkie podobieństwo się kończyło. Miała na sobie ciężką, przeznaczoną dla poważnej matrony brokatową suknię, rozłożoną na dawno niemodnej, ohydnej turniurze, bardziej odpowiednią dla kobiety dwukrotnie starszej. W Paryżu nie widywało się czegoś takiego już od dobrych kilku lat. Kontrast pomiędzy tą panną a gospodynią rzucał się w oczy. Izolda miała włosy zakręcone w pierścienie i

upięte wysoko na głowie perłowymi grzebieniami, a suknia ze złotej tafty i jedwabiu w kolorze kości słoniowej, zdaniem Leonie, mogła pochodzić z ostatniej kolekcji Wortha. Strój uzupełniał naszyjnik od kompletu, spięty perłową broszą. Przy każdym ruchu suknia intrygująco połyskiwała.

Leonie z ulgą dostrzegła brata stojącego pod oknem. Pałac papierosa, rozmawiał z doktorem Gabignaud. Korzystając z okazji, przeprosiła mademoiselle Denarnaud i przeszła na drugą stronę salonu, by dołączyć do panów. Powitał ją zapach mydła o woni drzewa sandałowego, oliwy do włosów i świeżo wyprasowanej czarnej marynarki.

Anatol rozpromienił się na widok siostry.

–Leonie! – Objął ją i przytulił serdecznie. – Wyglądasz cudnie, petite. – Cofnął się o krok, by i doktora włączyć do towarzystwa. – Pamiętaj pan moją siostrę.

–Ależ oczywiście! – Lekarz skłonił się lekko. – Mademoiselle Vernier. Całkowicie się zgadzam z pani bratem.

Dziewczyna spłonęła uroczym rumieńcem.

–Nie wszystkich gości dane mi było poznać zmieniła temat.

–Pana Fromilhague nie muszę ci przedstawiać – powiedział Anatol. – Denarnaud przyszedł z siostrą. Prowadzi mu dom.

Leonie pokiwała głową.

–Zostałam już przedstawiona.

–A to jest proboszcz parafii w Rennes-le-Chateau oraz przyjaciel naszego zmarłego wuja. – Wskazał brodą postawnego mężczyznę o wysokim czole, zadziwiająco dobrze zbudowanego jak na osobę duchowną. – Wyjątkowo sympatyczny człowiek, choć stroni od rzeczy trywialnych. Pochylił głowę w stronę lekarza. – Był znacznie bardziej zainteresowany zagadkami medycznymi niż takimi przyziemnymi przyjemnościami, jakie ja mogłem mu zaoferować.

Gabignaud potwierdził słowa Anatola uśmiechem.

–Sauniere jest człowiekiem doskonale zorientowanym w najróżniej

szych sprawach. Kocha wiedzę. Ciągłe zadaje pytania.

Leonie przyjrzała się duchownemu uważniej.

–A dama, która mu towarzyszy? – spytała.

–To madame Bousquet, daleka krewna naszego zmarłego wuja. – Anatol zawiesił głos. – Gdyby Lascombe się nie ożenił, odziedziczyłaby Domaine de la Cade.

–A jednak przyjęła zaproszenie na kolację.

–Stosunki między Izoldą a madame Bousquet są poprawne, choć trudno byłoby je nazwać siostrzaną miłością. Panie wzajemnie się odwiedzają. Bogiem a prawdą, Izolda jest kuzynką zachwycona.

Dopiero teraz dziewczyna zauważyła wysokiego, bardzo szczupłego mężczyznę, stojącego nieco za nimi. Obróciła się dyskretnie, by mu się dokładniej przyjrzeć. Ubrany był niezwykle: w biały garnitur z żółtą kamizelką. Z kieszeni na piersi kipiała żółta chusteczka.

Twarz miał poznaczoną zmarszczkami, skórę nieomal przezroczystą, a jednocześnie wcale nie robił wrażenia starca. Tyle tylko, że promieniował z niego smutek. Jak od człowieka, który zbyt wiele widział i wycierpiał.

Anatol podążył spojrzeniem za jej wzrokiem, sprawdzając, kto przyciągnął uwagę siostry.

–Ach, a to jest – pochylił się do jej ucha – naj słynniejszy gość Rennes-

–les-Bains. Audric Baillard, autor tej przedziwnej książeczki, która cię tak zainteresowała. – Uśmiechnął się. – Jak widać, osoba ekscentryczna. Gabignaud mówił mi, że zawsze ubiera się w ten szczególny sposób, niezależ

nie od okazji. Nieodmiennie w jasny garnitur i żółty krawat.

Leonie zwróciła się do doktora.

–Dlaczego tak? – spytała sotto voce.

Młody lekarz nieznacznie rozłożył ręce.

–O ile mi wiadomo, na pamiątkę przyjaciół. Poległych w walce. Ale nie jestem całkiem pewien.

–Będiesz go mogła, petite, sama wypytać przy kolacji – rzekł Anatol.

W którejś chwili rozmowy przerwał gong zapraszający na kolację.

Izolda, eskortowana przez pana Fromilhague, poprowadziła gości z salonu do holu. Anatol szedł z panią Bousquet, Leonie wsparła się na ramieniu Denarnauda, ale nie spuszczała z oczu pana Baillarda. Pochód zamykali Sauniere i Gabignaud, prowadzący między sobą pannę Denarnaud.

Pascal, odświętny w czerwonej liberii ze złotymi ozdobami, zamasyście otworzył drzwi jadalni. Rozległy się pomruki uznania. Nawet Leonie, która uczestniczyła w przygotowaniach na różnych etapach, była oszołomiona efektem. Wspaniały kryształowy żyrandol ożył trzema kręgami białych świec, a jeszcze na długim, owalnym stole, udekorowanym świeżymi liliami, rozstawiono trzy srebrne kandelabry. Na podręcznych stolikach, jak wyczyszczone do połysku zbroje, lśniły pokrywy waz i półmisek. Cienie zbudzone przez świece tańczyły na ścianach, po malowanych twarzach minionych pokoleń rodu Lascombe'ów.

Towarzystwo złożone z czterech kobiet i sześciu mężczyzn nie mogło usiąść przy stole zgodnie z ogólnie przyjętymi zasadami, dlatego układ nieco odbiegał od klasyki. U szczytu stołu zajęła miejsce gospodyni, po jej lewej stronie usiadł Anatol, a po prawej pan Fromilhague. Z jego drugiej strony miała miejsce panna Denarnaud, dalej doktor Gabignaud i Leonie, mająca po prawej stronie pana Baillarda. Naprzeciwko widziała brata, który po lewej

stronie miał za sąsiadkę panią Bousquet. Obok niej zasiadł Charles Denarnaud i w końcu, między nim a panem Baillardem – proboszcz Sauniere.

Blanquette de Limoux serwowano w płaskich, szerokich kieliszkach, niewiele mniejszych od filiżanek na poranną kawę. Pan Fromilhague prowadził rozmowę z gospodynią, całkowicie ignorując siostrę Denarnauda, co było zachowaniem nieuprzejmym, ale też poniekąd zrozumiałym. Leonie wystarczyła krótka rozmowa z tą osobą, by zyskać przekonanie, że nie ma na świecie nudniejszej.

Anatol, wymieniwszy kilka uprzejmych zdań z panią Bousquet, pograżył się w ożywionej dyskusji z panem Fromilhague na temat literatury. Stary doktor miał ugruntowane poglądy. Całkowicie przekreślał najnowszą powieść pana Zoli, zatytułowaną „Pieniądz”, kolejny tom cyklu „Rougon-Macquartów”, jako ponurą i niemoralną. Zmiażdżył słowami krytyki także innego pisarza z tego samego grona, Guy de Maupassanta, który ponoć targnął się na własne życie, a teraz przebywał w paryskiej lecznicy psychiatrycznej pod opieką doktora Blanche'a. Na próżno Anatol wysuwał argumenty, że człowiek jako taki i jego praca mogą być oceniani rozdzielnie.

–Niemoralne życie nieodwracalnie kala sztukę – odpowiadał Fromil

hague uparcie.

W krótkim czasie większość gości zaangażowała się w debatę.

–Jesteś, panienko, bardzo spokojna – usłyszała Leonie głos z prawej strony. – Czyżby literatura cię nie interesowała?

Z nieskrywaną ulgą zwróciła się do pana Baillarda.

–Uwielbiam czytać – rzekła – ale w takim towarzystwie trudno się przebić z własną opinią.

Uśmiechnął się.

–Ach tak.

–Muszę wyznać – podjęła, czerwieniąc się lekko – że współczesna literatura wydaje mi się nużąca. Strona za stroną ciąg wielkich myśli, wiekopomne idee i wymyślnie skonstruowane zdania, a przy tym, niestety, nic się nie dzieje!

W oczach Baillarda dojrzała psotny błysk.

–A więc wyobraźnię panienki rozbudzają powieści.

–Anatol, mój brat, zawsze powtarza, że mam pospolite gusta, i pewnie trudno się z nim sprzeczać. Najbardziej lubię „Zamczysko w Otranto” pana Horace’a Walpole’a, ale podobają mi się też opowieści o duchach pani Amelii Edwards. I uwielbiam wszystko, co stworzył pan Poe.

–Utalentowany pisarz. – Baillard zgodnie pokiwał głową. – Wiele w życiu wycierpiał, ale też posiadał niesłychaną zdolność oddawania ciemnej strony ludzkiej natury.

Dziewczyna nie wierzyła własnym uszom. Tak często nudziła się podczas koszmarnych wieczorków w Paryżu, gdy większość gości całkowicie ją ignorwała tylko dlatego, że ich zdaniem, jej opinia niewarta była nawet wysłuchania! Tymczasem pan Baillard najwyraźniej sądził inaczej.

–Tak, rzeczywiście – przyznała. – Najchętniej wracam do opowiadania „Serce oskarżycielem”, o zabójcy doprowadzonym do szaleństwa

przez bicie serca człowieka, którego zamordował i ukrył pod podłogą.

Wyśmienite! Chociaż zawsze śnią mi się po nim koszmary.

–Poczucie winy jest bardzo silną emocją – rzekł cicho pan Baillard.

Leonie przyjrzała mu się uważnie. Sądziła, że usłyszy coś jeszcze, ale on zamilkł.

–Czy mogłabym panu zadać osobiste pytanie?

–Proszę bardzo.

–Jest pan ubrany... – przerwała, nie całkiem wiedząc, jak sformułować zdanie, by nie urazić rozmówcy.

–...niekonwencjonalnie? – Baillard się uśmiechnął. – Bo nie mam na sobie zwyczajowego uniformu?

–Uniformu? – powtórzyła zbita z pantafyku.

–Uniformu współczesnego dżentelmena na prośzonej kolacji. W oczach mężczyzny zamigotało rozbawienie.

Leonie westchnęła.

–Tak. Cóż, rzeczywiście. Brat wspomniał, że wkłada pan żółte ubrania dla upamiętnienia poległych towarzyszy.

Baillard spochmurniał.

–Taka właśnie jest prawda – rzekł cicho.

–Walczył pan pod Sedanem? – Zawahała się. – Mój tatuś bił się za Komunę. Nigdy go nie widziałam. Został deportowany i...

Audric Baillard przykrył ręką dłoń dziewczyny. Dotyk miał lekki. Leonie nie potrafiła wyjaśnić, co ją właściwie naszło. Wiedziała jedynie, że czuła ogromną potrzebę wyrażenia udręki, której istnienia dotąd nawet nie podejrzewała.

–Czy warto walczyć za to, w co się wierzy? – spytała drżącym głosem.

Nawet jeśli trzeba zapłacić tak wielką cenę? Unieszczęśliwić swoich bliskich?

Lekko ścisnął jej palce. Zawsze – odparł cicho, lecz pewnie. – Zawsze warto. I trzeba pamiętać o tych, którzy odeszli.

Gwar panujący w jadalni gdzieś odpłynął. Głosy, pbrzękiwanie srebrnych sztućców, krystaliczne tony szkła. Leonie patrzyła w oczy rozmówcy i widziała w nich mądrość i

doświadczenie.

Po chwili Audric Baillard się uśmiechnął i moment poufałości minął.

–Katarzy, nazywani inaczej „dobrymi chrześcijanami”, zmuszeni byli nosić żółty krzyż, przypięty do ubrania. – Trącił chusteczkę wystającą z kieszeni. – Zawsze o nich pamiętam.

Leonie przechyliła głowę.

–Jest pan z nimi mocno związany – rzekła z uśmiechem.

–Ci, którzy odeszli przed nami, madomaisela, nie muszą zostać zapomniani. – Położył rękę na piersi. – Żyją tutaj. – Powiedziałaś, panienko, że nigdy nie widziałaś ojca. A przecież on trwa w twoim sercu, prawda?

Pod powiekami zapiekły ją łzy. Nie powiedziała nic, bo nie potrafiła wydobyć z siebie głosu. Tylko kiwnęła głową.

Całe szczęście, że pan Gabignaud zadał jej jakieś pytanie, musiała wziąć się w garść i odzyskała opanowanie.

ROZDZIAŁ 43

Na stole pojawiały się kolejne dania. Świeży pstrąg, różowutki i rozpływający się w ustach jak masło, po nim delikatne kotlety jagnięce, serwowane na późnych szparagach. Mężczyznom proponowano mocne corbieres, miejscowe czerwone wino z doskonałych piwnic Jules'a Lascom-be'a, paniom półsłodkie białe z Tarascon, ciężkie i ciemne, w kolorze łupinek cebuli.

Nad stołem krzyżowały się opinie i argumenty, dyskusje na temat wiary i polityki, północ przeciwstawiano południu, życie w mieście mieszkaniu na wsi. Leonie ukradkiem zerkała na brata. Anatol był w swoim żywiole. Oczy mu błyszcząły, z zapalem czarował obie sąsiadki. Tylko dlaczego miał cienie pod oczami? I na dodatek w blasku świecy ożyła blizna nad okiem.

Dziewczyna potrzebowała trochę czasu, by opanować emocje, jakie wzbudziła w niej wymiana zdań z panem Baillardem. Zrobiło jej się wstyd. że tak bardzo się otworzyła; nie do końca rozumiała, jak właściwie do tego doszło. Odzyskawszy równowagę, ze zniecierpliwieniem wyczekiwała okazji, by powrócić do rozmowy, niestety, pan Baillard był pogrążony w dyskusji z proboszczem, a przy tym panu Gabignaud nie zamykały się usta. Dopiero przy deserze zyskała okazję, by ponownie zwrócić się do sąsiada po prawej.

–Ciotka Izolda mówi, że jest pan ekspertem w wielu sprawach. Nie tylko albigensów, ale też historii Wizygotów i egipskich hieroglifów. Zaraz po przyjeździe do majątku, dosłownie pierwszego wieczoru, czytałam monografię „Diabes et Esprits Malefiques et Phantómes de la Montagne. W bibliotece jest egzemplarz.

Uśmiechnął się, nie kryjąc, że on również chętnie odnajduje w niej partnerkę do rozmowy.

–Sam go podarowałem Jules'owi.

–Pewnie długi czas pan zbierał te wszystkie historie.

–Nie tak długo, jakby się mogło wydawać – odparł lekko. Wystarczy umieć słuchać. Przyrody, ludzi, którzy mieszkają na tej ziemi. Najczęściej opowieści o demonach, duchach i upiorach są tak samo mocno wtopione w charakter regionu, jak skały, góry i jeziora w krajobraz.

–Rozumiem. A czy uważa pan, że istnieją legendy, których istnienia

nie sposób uzasadnić?

–Oc, madomaisela, ieu tanben. Tak sędzę. Leonie zamrugła zdziwiona.

–Pan mówi po oksytańsku?

–To mój ojczysty język.

–Nie jest pan Francuzem?

–Nie, nie jestem.

–Ciotka Izolda chciałaby, żeby służba mówiła po francusku, ale oni tak często wplatają oksytański, że w końcu dała za wygraną.

–Język oksytański jest mową tych stron. Regionu Aude, Ariège, Corbieres, Razes, północnej Hiszpanii i Piemontu. Niesie poezję i ludowe opowieści.

–Pochodzi pan z tych stron?

–Pas luenh – odparł, unikając dokładniejszej odpowiedzi.

Mogłaby go poprosić o przetłumaczenie słów zapisanych nad wejściem do grobowca.

Raptem przypomniał jej się chrobot pazurów na kamieniach. Zadrżała.

–Czy te historie są prawdziwe? – spytała. – Opowieści o złych

duchach, widmach, zjawach i demonach... Czy jest w nich chociaż ziarno prawdy?

–Vertat? – powtórzył Audric Baillard, przytrzymując ją spojrzeniem nieco dłuższą chwilę. – Czy są prawdziwe? Któż to może wiedzieć, madomaisela... Są tacy, którzy wierzą, że zasłona oddzielająca jeden wymiar od drugiego jest tak cienka, tak przejrzysta, iż omal niewidoczna. Inni twierdzą, że jedynie prawa nauki dyktują, w co nam wolno wierzyć. – Przerwał na moment. – Ja mogę tylko powiedzieć, że ludzkie spojrzenie na wszelkie sprawy z czasem ulega zmianie. To, co dziś jest uznawane za fakt, kiedy indziej uważa się za herezję.

–Proszę pana – wtrąciła Leonie szybko – czytając pańską książkę, zastanawiałam się, czy legendy powstają w związku z nazwami geograficznymi? Czy może odwrotnie? Co było pierwsze: nazwa Fauteuil du Diable albo Etang du Diable, czy też opowieści, od których te miejsca zyskały nazwy?

Audric Baillard pokiwał głową.

–Interesujące pytanie. – Mówił cicho, spokojnie, a przecież zdawało się, że wszystkie inne dźwięki ustępują przed jego głosem. – To, co nazywamy cywilizacją, jest zaledwie człowieczą próbą narzucenia ludzkich wartości naturze. Książki, muzyka, malarstwo, niebosiężne konstrukcje, które tak zajmują naszych przyjaciół dziś wieczór, są niczym więcej, jak tylko próbami uchwycenia sedna tego, co widzimy wokół siebie w przyrodzie. Sposobem na nadanie sensu, na uporządkowanie ludzkich doświadczeń.

Dziewczyna jakiś czas patrzyła na niego bez słowa.

–Ale akurat duchy i diabły – odezwała się w końcu. – Proszę pana, czy pan wierzy w duchy?

–Benku – rzekł miękko. Być może. Odwrócił twarz do okna, jakby kogoś tam wypatrywał, po czym znów spojrzął na rozmówczynię. – Dwa razy diabeł, który nawiedza to miejsce, został wezwany. Dwukrotnie został pokonany. Za drugim razem z pomocą obecnego tu proboszcza. – Pochylił głowę w prawo, wskazując Sauniere'a. – Nie chciałbym tego przeżywać ponownie.

–Proboszcza Sauniere'a? – zdziwiła się Leonie.

Baillard nie zdradził niczym, że ją usłyszał.

–Tutejsze góry, doliny, kamienie, duch, co tchnął w nie życie, istniał na

długo przedtem, nim pojawili się ludzie, którzy próbowali oddać w mowie

esencję rzeczy najdawniejszych. W imionach, w nazwach, o które pytasz,

madomaisela, znajduje odbicie ludzki strach.

Dziewczyna rozważyła jego słowa dokładnie.

–Nie jestem pewna, czy pan odpowiedział na moje pytanie – rzekła w końcu.

Położył na stole dłonie o pergaminowej skórze, poznaczone niebieskimi żyłkami i starczymi plamami.

–Jest duch, który żyje w każdej rzeczy. Oto siedzimy w domu istnieją

cym od kilkuset lat. Według człowieczego pojęcia, jest to stary dom. Ale stoi on na ziemi istniejącej od tysięcy lat. Nasz wpływ na wszechświat jest jak nieśmiały szept podczas burzy. Charakter świata, jego dusza, światło i ciemność, zostały ustanowione na długo przedtem, nim człowiek postanowił zostawić na Ziemi swój ślad. Duchy tych, którzy byli tu przed nami, zawsze nas otaczają, przynależne do wzoru całości, stanowiące część muzyki świata.

Leonie czuła się dziwnie rozgorączkowana. Przyłożyła dłoń do czoła. To zastanawiające, lecz było całkiem chłodne. A przecież pokój wirował, kołysał się i zmieniał. Światło, głosy, postacie przybliżały się i oddalały, traciły wyrazistość. Usiłowała uporządkować myśli, skupić się na temacie rozmowy. By uspokoić nerwy, pociągnęła łyk wina.

–A muzyka? – spytała. Jej głos zabrzmiał, jakby dochodził z oddali. –

Czy zechce mi pan opowiedzieć o muzyce?

Sądząc z wyrazu jego twarzy, mogła się domyślać, że zrozumiał niezadane pytanie.

„Dlaczego, kiedy śpię, kiedy wchodzę do lasu, stale słyszę muzykę na wietrze?”.

–Muzyka to forma artystyczna, która układa dźwięki i ciszę, madomaisela. Traktujemy ją jak rozrywkę, ale w rzeczywistości jest w mej

znacznie więcej sensu. Widzimy w niej wiedzę wyrażaną za pośrednictwem

instrumentu, czyli melodię i harmonię, przez rytm, a więc tempo, metrum

i jakość dźwięku, jego barwę oraz dynamikę. A przecież muzyka jest odpo

wiedzią na wibrację.

Pokiwała głową.

–Czytałam, że niekiedy łączy światy. Że można dzięki niej przejść z jednego wymiaru do drugiego. Czy pan sądzi, że w takich stwierdzeniach jest choć ziarno prawdy?

Patrzył na nią bez zmruczenia oka.

–Nie ma w ludzkim umyśle wzoru, który by nie istniał w przyrodzie –

rzekł. – Wszystko, co robimy, widzimy, piszemy, pojmujemy, jest echem wszechświata. A muzyka to niewidzialny świat, dostrzegany poprzez dźwięki.

Serce zabiło jej mocniej. Dochodzili do sedna. Przez cały czas, teraz wiedziała to z pewnością, zbliżali się do tej najważniejszej chwili, kiedy mu powie, jak znalazła grobowiec ukryty w lesie, prowadzona obietnicą spotkania tajemnicy, zawartą na kartach książki. Audric Baillard to pojmie. On jeden zrozumie na pewno. I powie jej, co chciała wiedzieć.

Nabrała głęboko powietrza.

–Czy pan zna karty do tarota?

Wyraz twarzy Baillarda się nie zmienił, ale spojrzenie stało się ostrzejsze, uważniejsze.

Zupełnie jakby się tego pytania spodziewał.

–Powiedz mi, madomaisela – poprosił – czy pytasz w związku z naszą rozmową, czy całkiem od niej niezależnie.

–Jedno i drugie. – Policzki paliły ją z przejęcia. – Ale najbardziej, ponieważ... Znalazłam w bibliotece pewną książkę. Została napisana w staroświecki sposób, mrocznymi słowami, i jest w niej coś... – zawahała się. – Nie jestem pewna, czy odgadłam prawdziwe znaczenie...

–Słucham.

–Piszący utrzymuje, że składa świadczenie prawdziwych zdarzeń... -zajęknęła się niepewna, czy powinna zdradzać tożsamość autora.

–Została napisana przez twojego wuja, madomaisela – dokończył za nią Baillard. – Znam tę książkę.

–Czytał ją pan?

Przytaknął.

Leonie odetchnęła z ulgą.

–Autor... mój wujek... pisze o muzyce wplecionej w świat namacalny. O tym, że niektóre nuty mają moc wzywania duchów. A karty tarota, również powiązane z muzyką i z konkretnym miejscem, pozwalają ożyć obrazom w czasie połączenia między światami. Umilkła, spuściła oczy. – To miejsce to grobowiec w granicach tej posiadłości. Tam ponoć doszło do takiego zdarzenia. Podniosła głowę. Czy pan o tym słyszał?

Nie odwrócił wzroku.

–Słyszałem.

Czy powinna opowiedzieć o swojej wyprawie? Tak. Bo pod cierpliwym spojrzeniem mądrych oczu nie potrafiła już niczego ukryć.

–Znalazłam go – powiedziała. – Jest w zdziczałym lesie. – Zwróciła rozognioną twarz do otwartego okna. Nagle zapragnęła znaleźć się [ła zewnątrz, z dala od świec, rozmów i zbyt ciepłego powietrza. A potem zadrżała, jakby na nią padł lodowaty cień.

–Ja też go znam – odezwał się Baillard. Zamilkł na jakiś czas. – Sądzę że na ten temat też chcesz zadać pytanie, madomaisela?

–Nad wejściem znajduje się napis. – Najwierniej jak potrafiła, przytoczyła obce słowa. – „Aici lo tems s'en, va res l'Eternitat”.

–Masz dobrą pamięć, madomaisela.

–Co oznacza ta inskrypcja?

–Mówi o przemijaniu, a sens jest taki: „Tutaj, w tym miejscu, czas odpływa ku wieczności”.

Długą chwilę milczeli. Wbiła spojrzenie oczu błyszczących od blanguette w jego mądre źrenice.

W końcu Baillard się uśmiechnął.

–Bardzo mi przypominasz, madomaisela, pewną dziewczynę, którą kiedyś znałem.

–Co się z nią stało?

Nie odpowiedział, zatonął we wspomnieniach.

–To długa historia – rzekł w końcu. – Jeszcze nie jest gotowa do opowiadania. – Odsunął od siebie przeszły czas. Postarzał się nagle, skóra na twarzy zdawała się przejrzysta, zmarszczki głębsze, wyraźniejsze, jak wykute w kamieniu. – Mówisz, madomaisela, że znalazłaś grobowiec – rzekł. – Czy weszłaś do kaplicy?

Leonie wróciła myślami do tamtego nieodległego popołudnia.

–Weszłam.

–Wobec tego widziałaś napis na posadzce. Fujhi, poudes; Escapa, non. I teraz te słowa nie dają ci spokoju.

Dziewczyna patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami.

–Skąd pan o tym wie? Dziwne, bo nawet nie rozumiem, co znaczą, a przecież słyszę je bez przerwy.

–Powiedz mi, madomaisela, co znalazłaś w grobowcu? Jak ci się wydaje? Dokąd trafiłaś?

–Do miejsca nawiedzanego przez duchy – usłyszała swój głos i wiedziała, że taka właśnie jest prawda.

Baillard milczał długo, zdawałoby się, przez całą wieczność.

–Pytałaś mnie wcześniej, madomaisela – przemówił nareszcie – czy wierzę w duchy. Wiele jest rodzajów duchów. Są ci, którzy nie mogą odpocząć, gdyż postępowali źle. Oni muszą szukać pokuty i wybaczenia. I są tacy, którym wyrządzono krzywdę i którzy będą powracać, aż spotkają pośrednika, co w ich imieniu znajdzie sprawiedliwość. – Podniósł wzrok na dziewczynę. – Czy szukałaś kart, madomaisela?

Pokiwała głową i od razu przekonała się, że ten gest był nierozważny, bo wszystko dookoła zawirowało.

–Ale nie znalazłam. – Poczula się chora. Żołądek odmawiał jej posłuszeństwa, miała wrażenie, że się znajduje na pokładzie statku na wzburzonym morzu. – Była tam tylko stronica z nutami. – Głos miała przytłumiony, niczym spod wody.

–Wzięłaś ją ze sobą?

Zobaczyła siebie samą, jak wsuwa kartkę, na której dopisała miejsce i datę, do kieszeni żakietu, a potem biegnie przez las odchodzący w mrok. I jak wkłada kartkę między strony „Les Tarots”.

–Tak – potwierdziła z trudem. – Zabrałam.

–Posłuchaj mnie, madomaisela. Posłuchaj uważnie. Jesteś odważna i nieugięta. Forca e vertu. Obie te cechy to ogromne zalety, jeśli korzystać z nich mądrze. Umiesz kochać, to ważne. – Spojrzał na Anatola, potem jego wzrok przeskoczył na Izoldę i

wrócił do dziewczyny. – Obawiam się, że zostaniesz wystawiona na wielką próbę. Twoja miłość stanie pod znakiem zapytania. Będziesz musiała działać. Żywi potrzebują twojej pomocy bardziej niż umarli. Nie wracaj do grobowca, dopóki... jeżeli nie okaże się to absolutnie konieczne.

–Ale ja...

–Radzę ci, madomaisela, odnieś „Les Tarots” do biblioteki. Zapomnij o wszystkim, co tam wyczytałaś. To arcyciekawa lektura, uwodzi czytelnika, lecz teraz nie czas się nią zajmować. Powinnaś ją wyrzucić z pamięci.

–Proszę pana, ja...

–Powiedziałaś, że nie jesteś pewna, czy dobrze zrozumiałaś autora. – Zamilkł. – Tak, Leonie, zrozumiałaś go doskonale.

Raptem zwrócił się do niej po imieniu!

–Więc to prawda? Karty mogą wezwać dusze zmarłych?

–Jeśli złożyć odpowiednie dźwięki i obrazy we właściwym miejscu, może się tak stać.

Dziewczynie znów zakręciło się w głowie. Chciała zadać tysiące pytań, lecz nie potrafiła znaleźć odpowiednich słów.

–Leonie – powtórzył pan Baillard. – Zachowaj siły dla żywych. Dla brata. Dla jego żony i dziecka. Będą cię potrzebowali.

Żona? Dziecko?

Momentalnie straciła wiarę w Baillarda.

–Pan się pomylił. Anatol nie ma... W tej chwili rozległ się głos Izoldy:

–Zapraszam panie.

Natychmiast zaczęło się wstawanie od stołu, odsuwanie krzeseł, poprawianie strojów.

Leonie także się podniosła, cokolwiek niepewnie. Fałdy

zielonej sukni spłynęły na podłogę.

–Nie rozumiem – przyznała. Wydawało mi się, że zaczynam pojmować, lecz najwyraźniej się myliłam. Umilkła. Wypiła chyba więcej, niż sądziła. Z niemałym trudem utrzymywała się na nogach. Wsparła dłoń na oparciu krzesła pana Baillarda.

–Posłuchasz mojej rady? spytał.

–Zrobię, co w mojej mocy obiecała z wymuszonym uśmiechem. My śli kłębiły jej się w głowie. Już nie pamiętała, które słowa padły rzecz w ście, a które sobie jedynie wyobraziła.

–Ben, ben. To dobrze. Cieszę się, że to słyszę. Lecz z drugiej strony...

Przerwał, jakby się zastanawiał, czy mówić dalej. – Jeśli przyjdzie czas, będziesz potrzebowała pośrednictwa kart, wezwij mnie bez wahania. A ja ci pomogę, madomaisela.

Kiwnęła głową i znów pokój się zakołysał.

–Proszę pana – odezwała się jeszcze. – Nie powiedział mi pan. co znaczy drugi napis. Ten na podłodze.

–Fujhi, poudes; Escapa, non?

–Tak, właśnie te słowa. Wzrok mu spochmurniał

–Uciekać możesz. Uciec nie zdołasz.

CZĘŚĆ VI Rennes-le-Chateau

Październik 2007

ROZDZIAŁ 44

Wtorek, 30 października 2007

Następnego ranka Meredith obudziła się z pulsującym bólem głowy. Wszystko przez wino. szepty wiatru i szalone sny.

Nie miała ochoty myśleć o nocnych zdarzeniach, o zwidach i duchach, ani też o tym, co by to mogło znaczyć. Musiała się skupić. Przyjechała tutaj w konkretnym celu, miała określoną pracę do wykonania i tylko to ją powinno zajmować.

Stała pod prysznicem, aż zabrakło ciepłej wody, połknęła dwa proszki przeciwbólowe, wypila butelkę wody. Energicznie wytarła włosy ręcznikiem, wciągnęła na siebie dżinsy i wygodny czerwony sweter. Zeszła na śniadanie. Pochłonęła gigantyczną ilość jajecznicy na bekonie, zagryzła bagietką, popiła czterema kubkami mocnej, słodkiej, francuskiej kawy i wreszcie odżyła.

Wróciwszy do pokoju, raz jeszcze sprawdziła zawartość torebki: telefon komórkowy, aparat fotograficzny, notatnik, pióro, okulary przeciwsłoneczne oraz mapa najbliższej okolicy. Dobrze. Odrobinę zdenerwowana zeszła na spotkanie z Halem. Do recepcji stała kolejka. Hiszpańskie małżeństwo skarżyło się, że brakuje im ręczników, jakiś francuski biznesmen uznał, że rachunek jest większy, niż powinien, a przy stanowisku boja piętrzyła się góra bagaży czekających na wyniesienie do autokaru wiozącego angielskich turystów do Andory. I ani śladu

Hala. W zasadzie była przygotowana na to, że go nie zastanie. W świetle dnia, bez wsparcia alkoholu, sprawy wyglądają inaczej. Mógł pożałować impulsu, który kazał mu się umówić z obcą osobą. A jednocześnie miała nadzieję, że jednak przyjdzie. Trudno, nie ma sprawy. Nic wielkiego. Wystawił ją do wiatru i tyle. Z drugiej strony... szkoda.

Zajęła się oglądaniem zdjęć i obrazów, zdobiących ściany holu. Standardowe olejne malowidła, jakie znaleźć można w każdym wiejskim hoteliku. Krajobrazy, zamglone wieże, pasterze, góry nic szczególnego. Bardziej interesujące okazały się fotografie, wyraźnie tak dobrane, by Wzmocnić nastrój fin de siecle'u. Głównie były to portrety, w sepii, brązach i szarościach. Kobiety o poważnych twarzach, smukłych taliach, szerokich spódnicach i wysoko upiętych włosach. Mężczyźni – wąsaci i brodaci, ustawieni w oficjalnych pozach, patrzący prosto w obiektyw.

Omiotła ściany spojrzeniem, zyskując ogólne pojęcie o charakterze zdjęć, ale nie przyglądając się żadnemu w szczególności. Do chwili gdy przyciągnął jej wzrok jeden z portretów, zawieszony pod krzywizną schodów nad fortepianem. Na tym zdjęciu, w brązach i bieli, oprawionym w czarna ramę, uszczypaną na rogach, widniał rynek Rennes-les-Bains. Podeszła bliżej. W środkowej części kadru siedział na zdobionym metalowym krześle mężczyzna o czarnych wąsach i równie ciemnych włosach, odgarniętych z czoła. Laskę i cylinder oparł na kolanach. Za jego lewym ramieniem stała piękna kobieta o eterycznej urodzie, szczupła i elegancka, w doskonale skrojonym ciemnym żakiecie, bluzce ze stójką i długiej spódnicy. Krótką czarną woalkę miała podniesioną, dzięki czemu widać było jasne włosy, upięte w artystyczny kok. Smukłe palce, obciążone czarną rękawiczką, wsparła lekko na ramieniu towarzysza. U drugiego boku mężczyzny widniała młoda dziewczyna o kręconych włosach, upchniętych pod kapeluszem, w samodziałowym żakietku o mosiężnych guzikach i aksamitnych wykończeniach.

Gdzieś już ją widziałam.

Przyjrzała się dziewczynie uważniej. Było w jej śmiałym, szczerym spojrzeniu coś, co przyciągało wzrok i budziło echo wspomnień. Czy przypominała kogoś z innej fotografii? Z obrazu? Z pocztówki? Meredith przesunęła na bok ciężki stółek, stojący przy fortepianie, i podeszła bliżej, przyjrzała się fotografii dokładniej, usiłując rozgryźć, skąd zna tę osobę. Nic z tego.

Pamięć odmówiła współpracy. Dziewczyna była olśniewająco piękna, z tą szopą loków, wyzywającą bródką i oczami, które zaglądały patrzącemu w serce.

Jeszcze raz dokładnie przyjrzała się mężczyźnie. Nietrudno było dostrzec rodzinne podobieństwo. Siostra i brat? Takie same długie rzęsy, bezpośrednie spojrzenie, przechylenie głowy. Druga kobieta była jakoś mniej wyraźna. Nie tylko w kolorystyce, przez jasne włosy, ale z powodu wrażenia, jakie wokół siebie roztaczała. Choć stała blisko tamtej dwójki, wydawała się nieobecna. Jakby lada chwila mogła zniknąć. Przywodziła na myśl Melizandę Debussy'ego. Emanowała sugestią przynależności do innego miejsca i czasu.

Meredith serce zabiło mocniej. Takie samo wrażenie zapamiętała z tych chwil, kiedy patrzyła na matkę, gdy jako dziewczynka zaglądała jej w oczy. Czasem twarz Jeanette była zadumana i łagodna. Kiedy indziej -rozzłoszczona, wykrzywiona gniewem. Ale zawsze, nieodmiennie, w chwilach lepszych i gorszych, młoda kobieta wyglądała na trochę nieobecną. jakby myślami była gdzieś indziej, skupiona na ludziach, których nikt poza nią nie widzi, i na słowach, które tylko ona jedna słyszy.

Dosyć tego.

Żadnego pograżania się w nieciekawych wspomnieniach. Meredith uniosła fotografię, szukając potwierdzenia, że faktycznie przedstawia ona Rennes-les-Bains, a może jakiejś daty czy innych informacji.

Pomarszczony brązowy papier odchodził od ramy. ale duże czarne litery na zdjęciu pozostały wyraźne. RENNES-LES-BAINS, PAŹDZIERNIK 1891. Niżej oznaczenie studia fotograficznego. EDITIONS BOLI-SOUET. Ciekawe.

I jeszcze trzy nazwiska.

MADemoiselle LEONIE VERNIER, MONSIEUR ANATOLE VERNIER, MADAME ISOLDE LASCOMBE. Meredith dostała gęsiej skórki. Na tamtym grobie w najdalszym rogu cmentarza w

Rennes-les-Bains stało napisane jak byk: Lascombe-Bousquet. I teraz, na fotografii, znów te same dwa nazwiska razem.

Dziewczyna i mężczyzna to prędzej rodzeństwo niż małżeństwo, bo jednak podobni do siebie. Kobieta robiła wrażenie osoby, która już niejedno w życiu widziała i poznała niebezpieczeństwo. Raptem Meredith olśniło. Przypomniała sobie, gdzie widziała Vernierów. Wnętrze paryskiej kawiarenki, Le Petit Chablisien, tam, na tej ulicy, na której kiedyś mieszkał Debussy. Z jednej fotografii ponuro spogląda kompozytor, a obok niego wisi zdjęcie właśnie tego mężczyzny i tej samej uderzająco pięknej dziewczyny, tylko w towarzystwie innej, starszej kobiety.

Szkoda, że wtedy nie zwróciła większej uwagi na ten portret... Przez chwilę walczyła z chęcią, by zadzwonić do restauracji i zapytać, czy wiedzą cokolwiek na temat rodziny, której zdjęcie powiesili u siebie w lokalu. Po namyśle zrezygnowała z tego zamiaru. Taka rozmowa, po francusku, na dodatek przez telefon, mogłaby się okazać niewykonalna.

Na obraz fotografii nałożył się drugi, trochę jak błyszcząca cień, dziewczyna i chłopak, para, która była kiedyś i która jest również teraz. Przez mgnienie oka wiedziała, a w każdym razie tak jej się wydawało, jak, a może nawet dlaczego, te dwie historie są ze sobą powiązane.

Odwiesiła zdjęcie. Na pewno będzie można je pożyczyć. Przesuwając stołek na miejsce, dostrzegła, że kłapa fortepianu jest otwarta. Jasne klawisze, trochę pożółkłe i wyszczerbione na krawędziach, przypominały stare zęby.

Instrument z końca dziewiętnastego wieku, oceniła Meredith. Boudoir Grand Bliithnera.

Stuknęła w środkowe C. Odezwał się głośny, czysty dźwięk. Rozejrzała się na boki, odrobinę speszona, ale nikt nie zwrócił na nią uwagi. Wszyscy zajęci byli własnymi sprawami. Nadal stojąc, jakby to ją, w razie potrzeby, usprawiedliwiało, Meredith zagrała gamę a-moll. Potem kilka oktaw lewą ręką i arpeggio prawą.

Spodobał jej się chłodny dotyk klawiszy.

Znajomy, bliski.

Stołek z ciemnego mahoniu miał pod skrzynią rzeźbione nóżki, a siedzenie obito czerwonym welurem ze szlakiem miedzianych ćwieków dookoła wieka. Przeglądanie cudzych kolekcji nut było równie kuszące, jak czytanie tytułów książek na półce w czyimś mieszkaniu, gdy gospodarz na chwilę wyjdzie z pokoju. Mosiężne zawiasy zgrzytnęły, ze schowka podniósł się zapach drewna i dawnej muzyki. W środku leżał schludnie ułożony stosik partytur i osobnych kartek z nutami. Przejrzała je, uśmiechając się pod nosem, gdy odkryła „Światła księżycy” i „Zatopioną katedrę” w charakterystycznych bladożółtych okładkach od Duranda. Oczywiście był też Beethoven i sonaty Mozarta, a także, rzecz jasna, „Das Wohltemperierte Klavier” Bacha, oba tomy. Poza tym trochę klasyki europejskiej, kilka wprawek i dwa utwory Offenbacha: operetka „Życie paryskie” oraz „Gigi”.

–Śmiało! – usłyszała za plecami męski głos. – Chętnie posłucham.

–Hal!

Puszczone wieko stołka zamknęło się z hukiem.

Hal wyglądał dużo lepiej niż poprzedniego wieczoru. Był uśmiechnięty, z jego twarzy zniknęło przykre napięcie i smutek, nie był już taki strasznie blady.

–Wyglądasz na zaskoczoną. Myślałaś, że cię wystawię?

–Nie, skąd... – Uśmiechnęła się szeroko. – No, może taka myśl przemknęła mi przez głowę.

Otworzył szeroko ramiona.

–Jestem. Zwarty i gotowy.

Przez chwilę stali, patrząc na siebie bez słowa. Potem Hal nachylił się i cmoknął Meredith w policzek.

–Przepraszam za spóźnienie. – Oszczędnym gestem wskazał fortepian. – Zagrasz coś?

–Nie, nie – odmówiła Meredith stanowczo. – Teraz nie.

Gdy szli przez hol, zastanowiła się nad zapachem mydła Hala i jego wody po goleniu. Jakby znajome. Przyjemne.

–Masz pojęcie, gdzie zacząć jej szukać? – zapytał.

–Kogo? – spojrzała na niego mało przytomnie.

–Lilly Debussy – odparł zaskoczony. – Zdawało mi się, że takie miałaś na dzisiaj plany.

Spiekła raka.

–Tak, jasne. Jak najbardziej. – Głupio jej się zrobiło, że wyobrażała sobie nie wiadomo co. Tak czy inaczej, nie miała zamiaru zdradzać drugiego powodu przyjazdu do Rennes-les-Bains. Powodu prawdziwszego niż pierwszy. Był zbyt osobisty. Na szczęście Hal się go z pewnością nie domyślił. Przecież nie

jest jasnowidzem. – Jak najbardziej – powtórzyła. Jestem na tropie pierwszej pani Debussy. Jeżeli Lilly kiedykolwiek tu była, dowiem się, kiedy i dlaczego.

–Pojedziemy moim wozem?– Hal uśmiechnął się i zmrużył oko. Zawiozę cię, dokąd każesz.

Meredith zastanowiła się nad propozycją. Łatwiej byłoby robić notatki, rozglądać się po okolicy, sprawdzać mapę.

–Jasne, chętnie.

Jeszcze na progu, a nawet dalej, na schodach, czuła na plecach spojrzenie dziewczyny z fotografii.

ROZDZIAŁ 45

W świetle dnia posiadłość wyglądała zupełnie inaczej niż wieczorem.

Październikowe słońce zalewało ogrody, rozpalając je mocnymi kolorami. Przez uchylone okno samochodu napływał wilgotny zapach ognisk i mokrych liści. Soczystą zieleń krzewów i wysokiego żywopłotu znaczył cętkowany cień, obramowany na złoto i srebrno.

–Pojedziemy do Rennes-le-Chateau wiejską drogą. Będzie szybciej niż

do Couizy i z powrotem.

Droga wspinała się zakolami po obrośniętych lasem wzgórzach. A jadący sycili oczy wszystkimi barwami zieleni, każdym odcieniem brązu, miedzią i szkarłatem, złotem i beżami kasztanowców i dębów, jasnożółtymi janowcami, srebrną leszczyną i brzożami. Ogromne szyszki pod sosnami wyglądały, jakby ktoś nimi znaczył szlak.

Jeszcze jeden zakręt i nagle wyjechali z lasu na pastwiska i łąki. Otworzył się przed nimi precudny widok.

–Ale ładnie! – zachwyciła się Meredith. – Pięknie!

–Fakt. – Hał się uśmiechnął. – Wiesz, przypomniało mi się coś, co może ci się przyda. Kiedy rano powiedziałem stryjowi, dokąd i po co jadę, wspomniał o powiązaniach między Debussym i Rennes-le-Chateau. Całkiem słusznie.

–Nic nie wiedziałam.

–Zakładam, że podstawy historii tego miejsca znasz? Pokręciła głową.

–Niespecjalnie.

–Od tej wioski zaczęła się cała historia świętej krwi i świętego Graala. Kojarzysz „Kod Leonarda da Vinci”? „Dziedzictwo templariuszy”? Coś ci mówi temat: potomkowie Chrystusa?

–Wybacz. Właściwie nie czytam powieści. Raczej biografie, książki historyczne, takie rzeczy. Fakty, nie mity.

Ha! roześmiał się głośno.

–No dobra. Przedstawię ci krótkie streszczenie. Teoria zakłada, że Je

zus poślubił Marię Magdalenę i miał z nią dzieci. Po ukrzyżowaniu jego żona uciekła i ukryła się gdzieś we Francji. Na przykład w Marsylii. Mnóstwo nadbrzeżnych miast przypisuje sobie ten honor. I teraz przeskakujemy do tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego pierwszego, kiedy proboszcz Rennes-le-Chateau, Berenger Sauniere, natknął się na pergaminy dowodzące istnienia potomków Chrystusa. Od początku naszej ery aż do czasów tego znaleziska.

–W tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym pierwszym – powtórzyła Meredith.

–Tak. Właśnie wtedy Sauniere rozpoczął planowany od długiego czasu remont generalny. Zaczął od kościoła, potem

odnowił ogrody, cmentarz, plebanię, wszystko. Podobno pergaminy znalazł w środku filara z wi-zygockiego ołtarza. – Spojrzał na pasażerkę. – Co się dzieje?

–Nic, nic. Mów dalej.

–Większość miejscowych uważa, że te wszystkie sensacje są wyssane z palca. Źródła współczesne proboszczowi nie wspominają słowem o żadnej tajemnicy związanej z Rennes-le-Chateau. Zastanawiające jest tylko to, że Sauniere nagle stał się bardzo bogaty.

–Skąd ta zmiana?

–Kościół oskarżył go o świętokupstwo, czyli odprawianie mszy za pieniądze. Parafianie byli bardziej miłosierni. Uznali, że spieniężył jakiś wizygocki skarb. I właściwie nikt nie miał o to pretensji, bo pieniądze szły na kościół i do ludzi.

–Kiedy umarł pan Sauniere? – zapytała Meredith, mając w pamięci daty na tablicy upamiętniającej proboszcza z Rennes-les-Bains, Henri Bou-deta.

–W tysiąc dziewięćset siedemnastym. Cały majątek zostawił swojej gospodyni. Marie Denarnaud stała się z dnia na dzień bogatą kobietą. Dopiero pod koniec lat siedemdziesiątych zaczęła się cała ta gorączka z teoriami religijnymi.

Meredith zapisała nowe informacje. Nazwisko Denarnaud już знаła. widziała na kilku nagrobkach.

–A co twój stryj myśli o tych sprawach?

–Że pomagają w interesach. – Hal wyraźnie spochmurniał.

Skoro nie darzył stryja sympatią, co go tu trzymało? Przecież mógł już wracać do domu.

Jedno spojrzenie na jego twarz uzmysłowiło Meredith, że takie pytanie nie byłoby teraz na miejscu.

–A co z Debussym? – przypomniała w końcu.

–A, tak. – Hal zebrał myśli. – Podobno istniało jakieś tajne stowarzyszenie, które miało strzec pergaminów z listą potomków Chrystusa. Na jego czele stawali sławni ludzie. Na przykład Newton. Albo Leonardo da Vinci. Albo Debussy.

Meredith gruchnęła śmiechem. Tak, tak, wiem odezwał się Hal. Znowu uśmiechnięty. – Powtarzam ci, co usłyszałem od stryja.

–To niemożliwe! Debussy żył wyłącznie muzyką. Nie należał do żadnego stowarzyszenia. Był skryty, trzymał tylko z grupką przyjaciół! – Ze śmiechu aż się popłakała. Jak pomyślę, że miałby kierować jakimś stowarzyszeniem... Czyste wariactwo! – Otarła kącik oka rękawem. – Skąd w ogóle taki pomysł?

–Sauniere zapraszał do siebie różne ważne osoby z Paryża, ale nie tylko. Nawet głowy państw. I ludzi sztuki. Na przykład Emmę Calve. Mówi ci coś to nazwisko?

Meredith poszperała w pamięci.

–Francuska sopranistka, żyła na przełomie wieku. Ale na pewno nigdy nie śpiewała żadnej większej roli u Debussy'ego. – Zapisała nazwisko w notatniku. – Sprawdź.

–To co, mogłoby pasować?

Każdą teorię można wpasować w rzeczywistość, jak się człowiek trochę postara. Ale to nie znaczy, że jest prawdziwa.

–Tak twierdzi osoba uczona.

Spodobała jej się ta lekka drwina.

–Tak mówi osoba, która pół życia spędziła w bibliotece. Prawdziwe życie nie przypomina losów bohaterów z powieści. Rzadko kiedy jest porządnie poukładane. Najczęściej się w nim kotłuje. Wychodzą na jaw różne fakty, które się na siebie nakładają i wzajemnie znoszą. Dowiadujesz się czegoś, zyskujesz jakiś dowód i wyobrażasz sobie, że masz wszystko poukładane. Pełen obraz. A za chwilę dowiadujesz się czegoś, co wywraca twoją koncepcję do góry nogami.

Jakiś czas jechali w przyjacielskim milczeniu, każde pogrążone we własnych myślach. Minęli sporą farmę, znaleźli się po drugiej stronie łańcucha wzgórz. Krajobraz się zmienił. Mniej zieleni, więcej szarości. Siwe skały, niczym nierówne zęby wystawały z rdzawoczerwonej ziemi, jakby seria gwałtownych trzęsień ziemi odsłoniła ukryte serce świata. Smugi czerwonej gleby przywodziły na myśl głębokie rany. Okolica była mniej przyjazna, bardziej ponura.

–Od razu widać – zauważyła Meredith – że świat się wcale nie zmienił. Wystarczy zdjąć z niego samochody i domy. a zostaną góry, przełęcz i doliny, takie same jak dziesięć tysięcy lat temu. Jeszcze wczoraj tego nie wiedziałam. Okolica wydawała mi się za mało znacząca, żeby mogła być centrum ważnych wydarzeń. A teraz... – Przerwała. – Stąd wszystko wygląda inaczej. Nawet można uwierzyć, że Sauniere znalazł coś wartościowego. Nie mówię, że w to wierzę ani że to przekreślam, tylko że teoria wydaje się bardziej prawdopodobna.

–Dawniej Rennes-le-Chateau nazywało się Rhedae i leżało w sercu imperium Wizygotów. W piątym, szóstym i na początku siódmego wieku. – Hal zerknął na Meredith. Czy z twojego zawodowego punktu widzenia – mogło się coś z tamtych czasów ostać do końca dziewiętnastego wieku? Albo nawet z czasów romańskich?

–Możliwe. Zresztą są na to bezdyskusyjne dowody. Na przykład ręko-

pisy z Qumran. Jedne rzeczy znajdujemy, inne tkwią w ukryciu tysiące lat. Wyczytałam w przewodniku, że tutaj niedaleko, w miejscowości Fa, odkryto ruiny wizygockiej wieży strażniczej, a na pobliskim cmentarzu krzyże z tego samego okresu. Całkiem niedawno.

–Krzyże? – zdziwił się Hal. – To Wizygoci byli chrześcijanami? Nie wiedziałem.

–Najciekawsze, że zmarłych królów i szlachtę grzebali nie na cmentarzach, tylko w ukrytych grobowcach, razem z mnóstwem skarbów. Wiesz, miecze, kłamry, biżuteria, zbroje, kielichy, krzyże... wszystko. No i oczywiście pojawił się ten sam problem, co przy okazji starożytnych Egipcjan.

–Rabusie.

–Właśnie. Wizygoci wpadli na doskonały pomysł. Ukrywali grobowce pod wodą. Rzeczą polegała na tym, żeby przegrodzić

rzekę tamą i zmienić jej hieg. Wtedy można było spokojnie przygotować grobowiec. Kiedy zmarły znalazł się pod ziemią, razem z odpowiednim wyposażeniem, maskowano to miejsce mułem, piaskiem, żwirem i tak dalej, i w końcu burzono tamę. Woda wraca do starego koryta, skarb pozostaje ukryty na wieki. – Przyjrzała się Halowi spod oka. Najwyraźniej rozmowa o wizygockich grobowcach przypomniła mu zdarzenia kilku minionych tygodni, a zwłaszcza wczorajszego dnia, bo w jednej chwili przygasł, przygarbif się. jakby dźwigał na ramionach cały świat.

Pewnie żałuje, że się ze mną umówił na tę wycieczkę.

Utkwiła wzrok w widoku za przednią szybą. Jeśli Hal będzie chciał się jej zwierzyć, na pewno to zrobi. Naciskać nie wolno.

Jechali coraz wyżej po nagim zboczach wzgórz. Wreszcie minęli ostatni zakręt.

–Jesteśmy na miejscu – oznajmił.

ROZDZIAŁ 46

Na skalistym wzgórzu o pionowych ścianach przycupnęła garstka budynków. Drewniana tablica witała przybyłych w Rennes-le-Chateau.

Son site, ses misteres.

Miejsce pełne tajemnic.

Z żywopłotu na poboczu kipiały grona białych i fioletowych kwiatów, podobnych do przerośniętych hiacyntów.

–Wiosną pełno tutaj maków – powiedział Hal, idąc za spojrzeniem Meredith. – Niesamowity widok.

Kilka minut później zaparkowali na zakurzonej parkingu z fantastycznym widokiem na całą południową część Haute Vallee. Meredith zrobiła kilka ujęć krajobrazu, po czym odwróciła się w stronę miasteczka.

Tuż za nimi wznosiła się okrągła kamienna wieża ciśnień – na samym środku parkingu. Od południa umieszczono na niej kwadratowy zegar słoneczny, wyznaczający letnie i zimowe przesilenie dnia z nocą. Na szczycie budowli znajdował się jakiś napis. Meredith osłoniła oczy i przeczytała.

Aici lo tems s'en Va res 1'Eternitat

Pstryknęła kolejne zdjęcie.

Przy wyjściu z parkingu ustawiono drewnianą tablicę z mapą okolicy. Hal wskoczył na murek i po kolei pokazał wszystkie ważniejsze punkty krajobrazu w naturze. Najpierw szczyty – Bugarach, Soularac i Beżu, potem miasteczka: na południu Ouillan, na południowym zachodzie Espe-razę i Arques oraz Rennes-les-Bains na wschodzie.

Meredith odetchnęła pełną piersią. Niezmierzony przestwór

nieba, ostro zarysowane krawędzie gór, mocne sylwetki jodeł, górskie kwiaty na poboczu, w oddali jakaś wieża. Nagle zaskoczona stwierdziła, że zna ten widok. Z tła karty do tarota, La Filie d'Epees. Mogło zostać namalowane dosłownie w tym miejscu.

–Tu jest napisane – odezwał się Hal – że w pogodny letni dzień można stąd zobaczyć dwadzieścia dwie miejscowości. – Zeskoczył z murku, wskazał zwirową alejkę. – O ile dobrze pamiętam, do kościoła i muzeum – wtedy –A to co takiego? – spytała Meredith, wskazując przysadzistą wieżę z blankami.

–Tour Magdala. Pod koniec prac renowacyjnych, w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym ósmym i dziewiątym, Sauniere zbudował belweder, i kamienną aleję od południowej strony ogrodów. Widok jest rzeczywiście niesamowity. A w wieży miała być biblioteka.

–Teraz już jej tam raczej nie ma?

–Nie przypuszczam, żeby się ostał jakiś oryginał. Pewnie zrobili to. co mój ojciec w Domaine de la Cade, zostawili w gablotach trochę starych książek, ot, dla nastroju. Pamiętam, stryj któregoś razu dzwonił do nas. zadowolony z siebie jak nie wiem co, bo na vide grenier w Quillan udało mu się kupić całą stertę starych książek.

–Co to jest vide-grenier?

Ruszyli wolno alejką.

–Odpowiednik waszej wyprzedaży garażowej, tylko tutaj graty ściąga się ze strychu.

–Jasne. – Jak świat światem, ludzie wszędzie pozbywają się niepotrzebnych rzeczy. – Mówisz, że dzwonił do was z taką sprawą... To znaczy, że twój ojciec zajmował się codziennymi sprawami Domaine de la Cade?

Hal znowu spochmurniał.

–Tata zapewniał dopływ gotówki. Od czasu do czasu tu przyjeżdżał. Cały plan, pomysł od podstaw, był stryja. On znalazł to miejsce, przekonał tatę do wyłożenia kasy, pilnował remontu, o wszystkim decydował. – Zamilkł. – To znaczy, do zeszłego roku. Wtedy tata przeszedł na emeryturę i całkiem się zmienił. Bogiem a prawdą, na lepsze. Jakiś taki się zrobił... spokojniejszy. Zaczął się wreszcie cieszyć życiem. Przyjechał tu parę razy w styczniu, potem w lutym, a w maju przeprowadził się na stale.

–Co na to stryj?

Hal wepchnął ręce w kieszenie, wbił wzrok w ziemię.

–Bo ja wiem...

–Twój tata od dawna planował emeryturę we Francji?

–Naprawdę nie mam pojęcia.

Meredith usłyszała w jego głosie gorycz i zalało ją współczucie.

–Chcesz zrozumieć, co się z nim działo przez tych kilka miesięcy – po wiedziała miękko, rozumiejąc go aż nazbyt dobrze.

Hal podniósł głowę.

–Tak. Nie mogę twierdzić, żebyśmy byli zżyci. Moja mama umarła, kiedy miałem osiem lat. Poszedłem do szkoły z internatem. Nawet kiedy przyjeżdżałem do domu, na wakacje i święta, tata ciągle był zapracowany. Raczej trudno uznać, że byliśmy sobie bliscy. – Umilkł. Alekilka lat temu wiele się zmieniło. Dlatego czuję, że jestem mu coś winien.

Meredith nie musiała naciskać. Będzie chciał, sam powie więcej. A nie, to nie.

–Gdzie pracował? – spytała.

–W inwestycjach bankowych. Po studiach poszedłem do tej samej firmy. Właściwie bez namysłu.

–Rozumiem, że odziedziczyłeś udziały ojca w Domaine de la Cade?– I między innymi dlatego rzucasz pracę w bankowości?

–Nie nazwałbym tego powodem, tylko pretekstem. – Pokiwał głową. – Stryj chce mnie spłacić. Nie powiedział tego wyraźnie, ale sprawa jest jasna. A ja ciągle mam wrażenie, że ojciec chętnie widziałby mnie tutaj.

–Rozmawiałeś z nim o tym?

–Nie. Pewnie obaj uważaliśmy, że mamy jeszcze dużo czasu na takie rozmowy. Rozumiesz.

Stanęli przed elegancką willą przy wąskiej uliczce. Po drugiej stronie znajdował się ogród z dużym kamiennym stawem i

kawiarenką o zamkniętych drewnianych okiennicach.

–Pierwszy raz przyjechałem tutaj z tatą. Jakieś piętnaście lat temu, może szesnaście? Dużo wcześniej, niż stryj wymyślił tutejszą inwestycję.

Meredith uśmiechnęła się do siebie. Teraz rozumiała, dlaczego Hal tyle wiedział o Rennes-le-Chateau, a prawie nic o reszcie regionu. Czuł tutaj więź z ojcem.

Teraz to wszystko wygląda rewelacyjnie, ale wtedy wieś była okropnie zapuszczona. Kościół otwierali na kilka godzin dziennie, turystów pilnowała koszmarna gardienne, zawsze ubrana na czarno. Bałem się jej. – Uśmiechem odgonił wspomnienia. – A to jest słynna Villa Bethania. Sauniere zbudował ją dla gości. Kiedy byłem tu z ojcem, wpuszczali zwiedzających. W jednym z pokoiów człowiek z nienacka natykał się na woskową figurę proboszcza.

–To musiało robić niezłe wrażenie.

–A ważne dokumenty historyczne leżały wtedy w otwartych gablotach, w wilgotnych, nieogrzewanych pomieszczeniach poniżej belwederu.

–Koszmar archiwisty – zaśmiała się Meredith.

–Teraz Rennes-le-Chateau jest wielką atrakcją turystyczną. W dwa tysiące czwartym, po wydaniu „Kodu Leonarda da Vinci”, trzeba było zamknąć cmentarz, na którym jest pochowany Sauniere, bo zwiedzający by go zdeptali. Tylu ludzi zaczęło zjeżdżać do Rennes-le-Chateau.

–Z całego świata. Chodź, zobaczysz cmentarz przynajmniej przez ogro dzenie.

W ciszy dotarli do solidnej metalowej bramy broniącej wejścia do nekropolii.

Meredith przekrzywiła głowę i przeczytała napis na porcelanowej tablicy, zawieszanej nad wejściem.

Memento homo quia pulvis es et in pulverem reverteris.

–I co to znaczy? spytał Hal.

–Z prochu powstałeś i w proch się obrócisz.

Nie czuła się tu dobrze. Powietrze zdawało się ciężkie, a na dodatek miała wrażenie, jakby ją ktoś obserwował, choć uliczka była pusta. Wyciągnęła z torebki notatnik, przepisała łacińską sentencję.

–Wszystko zapisujesz?

–Jasne. Skrzywienie zawodowe.

Uśmiechnęli się do siebie i ruszyli dalej. Całe szczęście. Stanie pod cmentarzem było denerwujące.

Minęli imponującą kalwarię z kamienia, po czym zawrócili w górę inną alejką, do figurki Notre Damę de Lourdes, tuż obok wejścia do kościoła.

Pod stopami posągu na postumencie widniały słowa PENITENCE. PENITENCE, a u podstawy zdobionego filaru napis: MISSION 1891.

Meredith patrzyła jak urzeczona. Znowu ta sama data.

–Podobno jest to właśnie ten filar wizygocki – poinformował Hal -w którym Sauniere miał znaleźć pergamin.

–Pusty w środku?

–Pewnie tak.

–I tak sobie tutaj stoi? – zdziwiła się Meredith. – Lokalne władze nie boją się poszukiwaczy skarbów?

Spojrzała w życzliwe oczy postaci na cokole. Na jej milczące usta. I gdy tak patrzyła, na kamiennej twarzy zaczęły się rysować podłużne ślady, najpierw ledwo widoczne, po chwili mocniejsze i wyraźniejsze. Głębokie bruzdy, jakby ktoś drapał ją dłutem. Niby ślady szponów.

Co jest, do cholery?

Nie wierząc własnym oczom, podeszła bliżej, wyciągnęła rękę i dotknęła kamienia.

–Meredith? – usłyszała głos Hala.

Powierzchnia znów była gładka.

Meredith szybko cofnęła rękę, jakby zimny kamień parzył. Nic. Odruchowo obejrzała dłoń, czy nie ma na niej jakichś znaków.

–Co się stało?

Nic szczególnego, po prostu zaczynam mieć zwidy.

–Nic się nie stało. Słońce się odbija.

Hal patrzył na nią wyraźnie zatroskany, a jej się to podobało.

–A tak przy okazji, co się stało z tymi pergaminami? – spytała.

–Podobno Sauniere zawiózł je do Paryża. Osobiście.

–Jak to? Bez sensu. Dlaczego akurat tam? Katolicki proboszcz powi nien jechać prosto do Watykanu!

Hal zaśmiał się głośno.

–Od razu widać, że nie czytasz powieści!

–Chociaż, wcielając się w rolę adwokata diabła myślała na głos -mogę założyć, że bał się celowego zniszczenia dokumentów przez Kościół.

Hal pokiwał głową. Taka właśnie jest najbardziej rozpowszechniona teoria. Tata podkreślał, że gdyby rzeczywiście jakiś proboszcz w odległym zakątku Francji odkrył niesłychaną tajemnicę, taką właśnie jak dokumenty ślubu Chrystusa albo dowody istnienia jego potomków, sięgające pierwszego wieku naszej ery, Kościołowi łatwiej byłoby go uciszyć raz na zawsze, niż na przykład płacić za milczenie.

–Słusznie.

–Tylko że tata miał swoją własną teorię. Całkiem inną. Spojrzała na niego zaciekawiona.

–Jaką?

–Ano taką, że cała ta awantura z Rennes-le-Chateau była tylko przy krywką dla odwrócenia uwagi od wydarzeń, które się w tym samym czasie rozgrywały w Rennes-les-Bains.

–Oho!

–A konkretnie?

–Sauniere był przyjacielem rodziny właścicieli Domaine de la Cade. Akurat w tym samym czasie w tamtej okolicy doszło do kilku niewyjaśnionych zgonów. Oficjalnie mówiło się, że nieostrożni padali ofiarą wilka albo może jakiegoś górskiego kota. Miejscowi wiedzieli swoje: po okolicy grasuje diabeł.

Ślady szponów.

–W tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym siódmym część domu

spłonęła.

Przyczyny nie wyjaśniono, ale niektórzy uważają, że ogień wzniecono celowo. Żeby uwolnić okolicę od tego właśnie diabła, który zamieszkał na terenie Domaine de la Cade. W całej sprawie jakąś ważną rolę odegrała też talia kart tarota – i proboszcz Sauniere.

–Tarot Bousqueta.

–W sumie wiem niewiele, ale tatę ta historia wciągnęła – podsumował Hal.

–Tak? – Bardzo się starała, żeby jej głos nie zadrżał.

–Pod koniec kwietnia, tuż przedtem, zanim postanowił się przenieść do Francji, mieszkałem w Londynie w jego mieszkaniu. Kiedyś niechcący usłyszałem fragment rozmowy. A właściwie kłótni. Niewiele usłyszałem i jeszcze mniej zrozumiałem, ale tata mówił, że wewnątrz kościoła Sauniere’a jest kopia jakiegoś starego grobowca.

–Spytałeś go o to?

–Owszem, ale nie chciał ciągnąć tematu. Powiedział tylko, że dowiedział się o istnieniu jakiegoś wizygockiego mauzoleum na terenie posiadłości Domaine de la Cade, jakiegoś grobowca, który został zniszczony w tym samym czasie, kiedy podpalono dom. Prawie kamień na kamieniu nie został.

Przez chwilę kusilo ją, żeby mu wszystko wyznać. Opowiedzieć o wróżeniu w Paryżu, o koszmarnych snach zeszłej nocy, o kartach schowanych na dnie szafy. O prawdziwej przyczynie przyjazdu do Rennes-les-Bains. Coś ją jednak powstrzymało. Chyba to, że Hal miał dosyć własnych kłopotów. Mało tego, że stracił ojca. Musiało się stać coś dziwnego, skoro policja trzymała ciało przez miesiąc.

–Co właściwie przydarzyło się twojemu ojcu? – spytała odruchowo.

**I natychmiast zrozumiała, że posunęła się za daleko.–
Przepraszam cię. jakoś tak mi się wyrwało...**

**–Nie szkodzi odpowiedział od razu. Wbił czubek buta w żwir. –
Nie szkodzi – powtórzył. – Tata zginął w wypadku
samochodowym. Wypadł z drogi na zakręcie, tuż przed wjazdem
do Rennes-les-Bains. Auto wyrznięto w dno rzeki, latem tam jest
płytko. – Mówił monotonnym, pozbawionym emocji głosem. –
Policja nie potrafi tego wyjaśnić. Pogoda była dobra, warunki na
drodze doskonałe. A najgorsze... – przerwał.**

–Spokojnie. – Wzięła go za rękę.

**–Widzisz, wypadek zdarzył się bardzo wcześnie rano, na
dobrą sprawę jeszcze prawie w nocy, wcale nie było ruchu o tej
porze, więc samochód zauważono dopiero kilka godzin później.
Tata próbował się wydostać, drzwi były uchylone, ale
najwyraźniej mu się nie udało i potem znalazły go zwierzęta. Miał
poszarpaną twarz, zresztą całe ciało.**

–Współczuję ci.

**Meredith przeniosła wzrok na kamienną figurę. Nie chciała
łączyć tragicznego wypadku z roku dwa tysiące siódmego ze
znacznie starszymi zdarzeniami, z diabłem prześladującym
okolicę pod koniec dziewiętnastego wieku, ale nie mogła się od
tego porównania uwolnić.**

„Wszystkie metody wróżenia opierają się na wzorach,

szkicach, rysunkach. Tak samo jak muzyka".

–Rzecz w tym, że pogodziłbym się z sytuacją, gdybym był przekonany, że to faktycznie był wypadek. Ale powiedzieli mi, że tata pił, zanim wsiadł za kółko. Słuchaj, przysięgam ci. tego jednego nigdy by nie zrobił. Nigdy. – Zamilkł. – Chciałbym wiedzieć, co się naprawdę stało. Chcę poznać prawdę. Nawet najgorszą. A w ogóle to co on tam robił, w dodatku o tej porze? Dokąd jechał? Chcę wiedzieć, co się wydarzyło.

Meredith pomyślała o swojej matce, o jej twarzy mokrej od łez. o krwi pod paznokciami. O starych fotografiach i o utworze na fortepian. A także o wewnętrznej pustce, która ją sprowadziła w ten zakątek Francji.

–Muszę się dowiedzieć – powtórzył Hal. Rozumiesz?

Odruchowo się do niego przytuliła, a on całkiem naturalnym gestem zamknął ją w ramionach. Pachniał wodą po goleniu i mydłem, a wełniany sweter łaskotał Meredith w nos. Było jej miło. I wygodnie. Czuła ciepło Hala, odbierała jego gniew i złość, a przede wszystkim rozpacz.

–Tak zapewniła go cicho. Rozumiem.

ROZDZIAŁ 47

Domaine de la Cade

Julian Lawrence odczekał, aż obsługa skończy pracę na pierwszym piętrze, i dopiero wtedy wyszedł z gabinetu. Wycieczka do Rennes-le-Chateau i z powrotem zajmie przynajmniej dwie godziny. Miał mnóstwo czasu.

Gdy usłyszał od Hala o spotkaniu z dziewczyną, najpierw odczuł ulgę. Nawet udało im się porozmawiać ze dwie minuty całkiem spokojnie. Może były to pierwsze znaki, że bratanek wreszcie pogodzi się z nieodwracalnymi faktami i zajmie swoimi sprawami? Pozbędzie się wątpliwości?

Na razie nic jeszcze nie zostało zdecydowane. Julian wspomniał, co prawda, już wcześniej o odkupieniu udziałów w Domaine de la Cade, ale nie forsował tematu. Dał chłopakowi czas do pogrzebu. Teraz jednak zaczynał się niecierpliwić.

W trakcie rozmowy wyszło na jaw, że dziewczyna, z którą Hal się umówił, jest pisarką. Wtedy Julian zaczął coś podejrzewać. Biorąc pod uwagę zachowanie Hala w ciągu ostatniego miesiąca, nie mógł wykluczyć możliwości, że chłopak postanowił zainteresować swoimi wątpliwościami na temat wypadku jakąś dziennikarkę.

Zajrzał do hotelowej książki meldunkowej. Meredith Martin okazała się Amerykanką, zarezerwowała pokój do piątku. Nie miał pojęcia, czy znała Hala wcześniej, czy też chłopak skorzystał z okazji, by opowiedzieć komuś swoją łzawą historyjkę. Tak czy inaczej, obawiał się, że Hal wykorzysta dziewczynę, by spowodować jeszcze więcej zamieszania. A nie zamierzał dopuścić, by jakieś plotki czy domysły zrujnowały jego plany.

Tylnymi schodami wszedł na pierwsze piętro, kluczem uniwersalnym otworzył pokój dziewczyny. Pstryknął polaroidem kilka zdjęć, by zyskać pewność, że zostawi wszystko dokładnie tak, jak zastał, i wziął się do roboty, zaczynając od nocnego stolika. Dokładnie przejrzał zawartość szuflad, jednak nie znalazł nic interesującego. Dwa bilety lotnicze, jeden z Tuluzy na paryskie Orły na piątkowe popołudnie, drugi na powrotny lot do Stanów, jedenastego listopada.

Na biurku stał laptop podłączony do zasilania. Julian otworzył wieko, monitor od razu się rozjarzył. Dalej poszło jak po maśle. Dziewczyna nie chroniła systemu żadnym hasłem, a jeśli chodzi o Internet, korzystała z bezprzewodowej sieci hotelowej.

Dziesięć minut później miał za sobą lekturę jej listów elektronicznych nudnych jak flaki z olejem, przejrzał historię ostatnio odwiedzonych miejsc w sieci i foldery z danymi. Nie znalazł nic, co by sugerowało, że jest dziennikarką. Zgromadziła notatki na temat jakichś poszukiwań w Anglii, zapisała paryskie adresy, które mu nic nie mówiły. Nic szczególnego.

Przeszedł do plików ze zdjęciami, oglądając je w kolejności zapisu. Najpierw fotografie z Londynu, potem z Paryża – fragmenty ulic, charakterystyczne punkty, tablica z godzinami otwarcia Parc Monceau.

Ostatni folder nosił nazwę Rennes-les-Bains. Ten go zmartwił. Znajdowało się w nim kilka zdjęć brzegu rzeki przy wjeździe do miasta, parę ujęć mostu i tunelu, dokładnie tam, gdzie samochód Seymoura wypadł z drogi.

Później ujęcia cmentarza, jeden kadr z kościelnego portyku w stronę Place des Deux Rennes. Julian splótł ręce na karku. W prawym dolnym rogu zdjęcia widać było fragment obrusa i księgi kondolencyjnej.

Ściągnął brwi.

Meredith Martin była w Rennes-les-Bains dzień wcześniej i fotografowała pogrzeb.

W jakim celu?

Kopiując foldery na memory sticka, usiłował wymyślić jakieś niewinne wyjaśnienie postępowania dziewczyny. Nic z tego.

Wyszedł z programu, wyłączył komputer, ustawił wszystko tak, jak zastał, i przeszedł do szafy. Jeszcze tylko kilka następnych zdjęć polaroidowych. Metodycznie sprawdził każdą kieszeń, przeszukał półki z T-shirtami i butami. Nic.

Na dnie szafy, pod parą pantofli na wysokich obcasach, leżała miękka czarna torba podróżna. Julian otworzył suwak, zajrzał do głównej komory. Znalazł w niej tylko parę skarpetek i zapomnianą bransoletkę z koralików. Nic więcej. Wobec tego zabrał się do

sprawdzania zewnętrznych kieszeni. Dwie na krótszych bokach okazały się całkiem puste, trzy mniejsze na dłuższym boku także. Podniósł torbę i potrząsnął nią niezbyt gwałtownie. Wydawała się trochę za ciężka. Postawił ją na podłodze i wsunął palce między ściankę a sztywne dno. Gdy pociągnął, puściły rzepy i wyściółka odsłoniła jeszcze jedną komorę. Z niej wyciągnął niewielki prostokątny przedmiot, owinięty w czarny jedwab. Dwoma palcami, bardzo ostrożnie, rozwinął tkaninę.

I zamarł.

Znalazł się oko w oko ze Sprawiedliwością.

Przez ułamek sekundy wydawało mu się, że ma zwidy, ale zaraz uświadomił sobie, iż trzyma w rękach zwykłą reprodukcję. Rozłożył talię kart, obejrzał ją uważniej. Drukowane, laminowane. Seryjna produkcja, a nie oryginalny tarot Bousqueta. Oczywiście. Nie mogło być inaczej-Między kartami też nic nie znalazł. Tylko klasyczna talia. Taka sama jak ta, którą trzymał w sejfie. Żadnych dodatkowych słów lub zmian w ilustracjach.

Tak czy inaczej, talia kart w pokoju dziewczyny zmieniała wszystko, zwłaszcza w świetle informacji napływających z miejsca wizygockiego pochówku w Quillan. Pomiędzy różnymi przedmiotami znaleziono tam tabliczkę potwierdzającą istnienie innych takich lokalizacji w pobliżu Domaine de la Cade. Szczegółów jeszcze nie znał, rano nie zdążył się skontaktować ze swoim informatorem.

Niezależnie od wszystkiego, nasuwało się pytanie, skąd u Meredith Martin talia Bousqueta. W dodatku schowana na samym dnie torby. To nie mógł być przypadek. Należało założyć, że wiedziała o oryginalnej talii oraz jej powiązaniach z Domaine de la Cade.

Może Seymour powiedział synowi więcej, niż twierdził? A jeśli Hal sprowadził tutaj tę osobę z powodu kart, nie wypadku?

Musiał się napić. Zrobiło mu się gorąco, kołnierzyk uwierał w szyję. Jak mógł, choćby na chwilę, uwierzyć, że trzyma w ręku

oryginalną talię...

Owinął karty czarnym jedwabiem, schował w torbie, odłożył ją do szafy. Ostatni raz rozejrzał się po pokoju. Wszystko było tak jak przed jego wejściem, a nawet jeśli coś zostało przesunięte, panna Martin z pewnością uzna, że zrobiła to sprzątaczką. Wyśliznął się z pokoju i żwawym krokiem podążył do tylnych schodów.

Cała operacja zabrała mu niecałe pół godziny.

ROZDZIAŁ 48

Rennes-le-Chateau

Hal odsunął się pierwszy. W jego niebieskich oczach błyszczało oczekiwanie, trochę też zaskoczenie. Twarz miał zaczerwienioną.

Meredith także była zdziwiona. Siłą emocji, które ich połączyły. Teraz, kiedy osłabły, oboje czuli się niezręcznie. No i tak odezwał się Hal, wkładając ręce do kieszeni.

–No i tak – powtórzyła Meredith z szerokim uśmiechem.

Hal pchnął drzwi muzeum. Nie ustąpiły. Zagrzechotały rygle.

–Zamknięte skonstatował zdumiony. – Na głucho. Niemożliwe.

Strasznie cię przepraszam, powinienem był zadzwonić i sprawdzić...

Jakiś czas patrzyli na siebie w milczeniu. Po czym oboje wybuchnęli śmiechem.

–Sanatorium w Rennes-les-Bains też jest zamknięte powiedziała Meredith.– Do końca kwietnia.

Ten sam kosmyk nieznośnych włosów spadł mu na czoło. Bardzo miała ochotę go odgarnąć, ale postanowiła trzymać ręce przy sobie.

–Przynajmniej kościół jest otwarty... westchnął Hal. Wskazał litery

nad wejściem. Ten napis, TERRIBILIS EST LOCUS ISTE, to jeszcze

jedną przyczyną różnych wywrotowych teorii, związanych z Rennes-le-

–Chateau. – Odchrząknął. W dosłownym tłumaczeniu znaczy „Oto jest

miejsce zdumiewające”, ale Francuzi i Anglicy łączą słowo terribilis ze

swoim terrible i uważają, że miejsce ma być straszne.

Meredith podniosła wzrok, ale jej uwagę przykuł inny napis. IN HOC SIGNO VINCES. Znowu Konstantyn, katolicki władca Cesarstwa Bizantyjskiego. Te same słowa co na tablicy Henri Boudeta w Rennes-les-Bains. Przywołała w pamięci Laurę rozkładając karty na stole. Cesarz to jeden z arkanów większych, między Czarodziejem a La Pretresse. A jeszcze hasło do Internetu w hotelu...

Kto wymyśla hasła do hotelowej sieci? spytała.

Mój stryj odpowiedział Hal zaskoczony. Tata niespecjalnie się wyznawał na komputerach. Wziął Meredith za rękę. – Wejdziemy?

Pierwsze, co uderzyło Meredith, to to, że kościółek był za mały. Wszystkie proporcje wydały jej się niewłaściwe.

Na ścianie po prawej znajdowały się różne napisy, jedne po francusku. inne w dziwacznej angielszczyźnie. Ze srebrnych głośników, zawieszonych w rogach, płynęła dyskretna pieśń, pewnie średniowieczne chóry gregoriańskie.

–W ramach walki z pogłoskami o tajemniczym skarbie i tajnych stowarzyszeniach – odezwał się Hal przyciszonym głosem – gdzie się tylko dało, uwypuklono elementy katolickie. Na przykład tutaj. – Stuknął palcem w jeden z napisów. – Sama zobacz. Dans cette eglise, le tresor cest vous. Skarbem kościoła jesteś ty.

Ale Meredith patrzyła na kropielnicę ustawioną po lewej

stronie drzwi. Benitier złożono na barkach metrowej wysokości postaci diabła. Odpychająca czerwona twarz, zdeformowane ciało, przeszywające spojrzenie niebieskich oczu. Znała tę figurę. Widziała ją wcześniej. W każdym razie rysunek. W Paryżu, na stoliku u wróżki, gdy Laura rozłożyła arkana większe.

Diabeł. Karta XV.

–To jest Asmodeusz – objaśnił Hal. – Tradycyjny strażnik skarbu, sekretów i tajemnic, budowniczy świątyni Salomona.

Z wahaniem dotknęła posągu. Był zimny. Dłonie miał wykrzywione. zakończone pazurami. Odruchowo przeniosła spojrzenie na figurę Notre Dame de Lourdes, stojącą nieruchomo na kamiennym filarze.

Lekko potrząsnęła głową. Nad diabłem widniała rzeźba przedstawiająca cztery anioły. Ich głowy układały się w znak krzyża, a u stóp powtórzono słowa Konstantyna Wielkiego, tym razem po francusku. Kolory zbladły, farba się łuszczyła, jakby skrzydlate twory toczyły bitwę z góry skazaną na przegraną.

Jeszcze niżej, na górnej krawędzi postumentu, znajdowały się dwie litery: B.S.

–Mogą oznaczać: Berenger Sauniere – powiedział Hal. – Albo Boudet i Sauniere, La Blaque i Le Salz, dwie miejscowe rzeki, zasilające sadzawkę znaną jako le benitier.

–Sauniere i Boudet się znali?

–Jak najbardziej. Boudet był mentorem młodego Sauniere'a. A podczas kilku miesięcy, jakie spędził w parafii Durban, też tutaj niedaleko, zaprzyjaźnił się z Antoine'em Gelisem, który potem objął parafię w Coustaussie.

–Byłam tam wczoraj. Same ruiny.

–Zamek faktycznie jest zrujnowany, ale w wiosce mieszkają ludzie. Duża nie jest, dosłownie parę domów. Gelis umarł w dość tajemniczych okolicznościach. Został zamordowany w Halloween

tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego siódmego.

–Znaleziono winnego?

–Chyba nie. – Hal zatrzymał się przed kolejną rzeźbą. – Antoni Wielki. Słynny egipski święty z trzeciego, może czwartego wieku.

Meredith w jednej chwili zapomniała o zamordowanym proboszczu.

–Pustelnik! Następna karta z arkanów większych.

Tarot Bousqueta rzeczywiście musiał powstać w tej okolicy. Kościółek pod wezwaniem Marii Magdaleny świadczył o tym na wszystkie sposoby. Tylko jak do tego wzoru pasowała Domaine de la Cade?

I co to wszystko ma wspólnego z moją rodziną?

Spokojnie. Trzeba się skupić na tym, co tu i teraz. Nie ma sensu chwytać dwóch srok za ogon. A może tata Hala miał rację, może faktycznie kościół w Rennes-le-Chateau został zbudowany po to, by odciągnąć uwagę ludzi od złowieszczonego miasteczka w dolinie? Była w tym jakaś logika, jednak przed wyciągnięciem wniosków należało się przyjrzeć sprawie bliżej.

–Naoglądałaś się? – spytał Hal. – Czy chcesz jeszcze zostać? Meredith, nadal zagubiona w myślach, pokręciła głową.

–Możemy iść.

Wracając do samochodu, rozmawiali niewiele. Żwir skrzypiał im pod nogami jak ubity śnieg. Zrobiło się chłodniej, nawet tutaj dotarły dymy z ognisk.

Hal otworzył samochód. Obejrzał się przez ramię.

–Na terenie Villa Bethania w latach pięćdziesiątych dwudziestego wieku odkryto ciała trzech mężczyzn. Wszyscy byli między trzydziestką a czterdziestką i wszystkich trzech zastrzelono. Jedno ciało zostało mocno pokaleczone przez dzikie zwierzęta. Oficjalnie uznano ich za ofiary wojny. Naziści okupowali ten rejon Francji, ruch oporu był aktywny. Miejscowi jednak uważają, że ciała były starsze, z końca dziewiętnastego wieku, i śmierć tych mężczyzn wiąże się z pożarem w Domaine de la Cade a może i z morderstwem księdza w Coustaussie.

Meredith popatrzyła na Hala nad dachem samochodu.

–Czy rzeczywiście ogień podłożono celowo?

–Nigdy nic nie wiadomo. Na ogół jednak ludzie uznali, że tak.

–Jeżeli ci trzej byli zamieszani w podpalenie albo w morderstwo, to kto ich zabił?

W tej chwili dzwoniła komórka Hala. Kciukiem podważył wieczko. zerknął na numer. Twarz mu się ściągnęła.

–Wybacz – powiedział, zasłaniając mikrofon. – Muszę odebrać.

Nie ma sprawy.

Wsiadła do samochodu i patrzyła, jak Hal idzie w stronę jodły

przy Tour Magdala.

„Nie ma czegoś takiego jak przypadek. Zawsze jest jakaś przyczyna”. Oparła się wygodnie i pogrążyła w myślach. Co się działo od momentu, gdy wysiadła z pociągu na Gare du Nord? Nie, lepiej później. Od chwili gdy postawiła nogę na barwnych stopniach, prowadzących do pokoju, w którym spotkała Laurę.

Wyjęła notes i w notatkach szukała odpowiedzi. Najważniejsze pytanie brzmiało, która z dwóch historii, jakie ją tu sprowadziły, była dla niej rzeczywiście ważna. W Rennes-les-Bains znalazła się, szukając śladów rodziny. Czy karty pasowały do takiej teorii? Czy też odnosiły się do czegoś zupełnie innego? Kazały szukać zaspokojenia wiedzy akademickiej, ale nie miały nic wspólnego z jej sprawami osobistymi? Czy w ogóle coś ją łączyło z Domaine de la Cade? Z Vernierami?

Co powiedziała Laura na temat czasu? Meredith przerzucała kartki, aż znalazła odpowiedni fragment zapisków.

„Linia czasu wydaje się zaburzona. Brakuje ciągłości wypadków, sprawy się zamazują... Przeszłość miesza się z teraźniejszością”.

Spojrzała przez okno. Hal już wracał do samochodu, komórkę trzymał w dłoni, drugą rękę włożył do kieszeni.

A gdzie jest jego miejsce w tym wszystkim?

Jak tam? – spytała, gdy otworzył drzwi. – W porządku?

Niby tak, ale nie bardzo. Chciałem cię zaprosić na obiad, tylko, widzisz, wyszła pewna sprawa, którą muszę załatwić od razu.

Nic złego?

Nie, nie. Wręcz przeciwnie. Policja z Couizy wreszcie postanowiła pozwolić mi obejrzeć dokumenty dotyczące wypadku taty. Suszę im głowę od miesiąca, no i w końcu jest jakiś skutek.

Wspaniale! – Oby tylko faktycznie było się z czego cieszyć.

Mogę cię podrzucić do hotelu – podjął – albo zabrać ze sobą i potem coś zjemy. Problem w tym, że nie bardzo wiem, ile czasu mi to zajmie. Wiesz, jak to jest na południu. Mało kto się śpieszy.

Kusiło ją, żeby z nim pojechać. Wesprzeć go w trudnej chwili. Zaraz jednak uświadomiła sobie, że przez takie doświadczenie powinien przejść sam. Zresztą miała na głowie własne kłopoty i żadnych powodów, żeby wtykać nos w nie swoje sprawy.

–Nie chcę, żebyś się śpieszył zdecydowała. – Jeśli możesz mnie odwieźć do hotelu, to super.

Z niekłamaną radością odnotowała zawód na jego twarzy.

–Pewnie tak będzie lepiej – uznał. – Może faktycznie powinienem się zgłosić sam, robią mi grzeczność.

–Tak przypuszczałam.

Hal uruchomił silnik i wycofał wóz z parkingu.

–Spotkamy się wieczorem, dobrze? Ruszyli wąskimi uliczkami Rennes-le-Chateau. – Może wybierzemy się razem na drinka? Albo na ko-kcję? Nie wiem, co planowałaś...

–Nie ma sprawy. – Uśmiechnęła się zadowolona. – Może być kolacja.

ROZDZIAŁ 49

Julian Lawrence stał przy oknie swojego biura w Domaine de la Cade, obserwując, jak bratanek zawraca i odjeżdża. Gdy samochód zniknął mu z oczu, skupił uwagę na kobiecie, która jeszcze przed chwilą machała Halowi na do widzenia. Na pewno ta Amerykanka.

Z uznaniem pokiwał głową. Niezła figura, mocna i szczupła, proste czarne włosy do ramion. Bez przykrości spędzi nieco czasu w jej towarzystwie.

Kiedy odwróciła się w stronę budynku, zobaczył twarz dziewczyny. Rozpoznał ją natychmiast, ale jakoś nie potrafił umiejscowić. Poszperał w pamięci i wreszcie znalazł. Ta namolna baba z zablokowanej drogi w Rennes-les-Bains. Jak najbardziej.

Niedobrze. Jeżeli panna Martin wspomni Halowi, gdzie widziała Juliana wczoraj wieczorem, bratanek będzie miał prawo go pytać, dokąd się wtedy wybierał. I pewnie sobie uświadomi, że wytłumaczenie spóźnienia nie ma żadnego sensu.

Osuszył szklaneczkę. Podjął decyzję. Przeciął biuro trzema długimi krokami, chwycił marynarkę wiszącą na drzwiach i ruszył do holu.

W drodze powrotnej z Rennes-le-Chateau Meredith miała o czym myśleć. Jeszcze niedawno prezent od Laury wydawał jej się fatalnym ciężarem. Teraz karty tarota otwierały przed nią interesujące możliwości.

Odczekała, aż samochód Hala zniknął jej z oczu, obróciła się na pięcie i poszła do hotelu. Była lekko podenerwowana, ale też

podeksycytowana. Takie same sprzeczne emocje targały nią przy stoliku wróżki. Nadzieja i sceptycyzm, niecierpliwe oczekiwanie, ale i strach, że kiedy doda dwa do dwóch, wyjdzie jej pięć. Pani Martin'?

Zaskoczona obróciła się w kierunku głosu i zobaczyła stryja Hala-Spięta się, mając świeżo w pamięci niezbyt uprzejmą rozmowę poprzedniego wieczoru w Rennes-les-Bains. Pozostawało mieć nadzieję, że mężczyzna jej nie rozpozna. Tak czy inaczej, miał na ustach uśmiech.

–Pani Martin? powtórzył, wyciągając rękę. Nazywam się Julian Lawrence. Chcę panią przywitać w Domaine de la Cade.

–Miło mi.

Podali sobie dłonie.

–A przy okazji – leciutko wzruszył ramionami – chciałbym przeprosić za niezbyt uprzejme zachowanie wczoraj w mieście. Gdybym wiedział, że jest pani znajomą mojego bratanka, przynajmniej bym sięprzedstawił.

Meredith poczuła, że się czerwieni.

–Nie sądziłam, że pan mnie zapamięta. – Przygryzła wargę. – Moje zachowanie także nie było bez zarzutu.

–Naprawdę nie ma o czym mówić. Hal na pewno wspomniał, że wczorajszy dzień był dla nas trudny. Marne to wytłumaczenie, ale jednak... -Nie dokończył zdania.

Meredith zauważyła, że Julian Lawrence ma tak samo jak Hal, zwyczaj patrzenia ludziom prosto w oczy. Poza tym, choć ze trzydzieści lat starszy, roztaczał wokół siebie tę samą charyzmę. Ciekawe, czy ojciec Hala również miał ten dar.

–Rozumiem – powiedziała. – Zechce pan przyjąć kondolencje.

–Proszę mi mówić po imieniu. Zamilkł, ale nie doczekał się rewanżu. – Rzeczywiście, nie jest nam łatwo. – Spuścił wzrok. – Nie orientuje się pani przypadkiem, gdzie się podział mój

bratanek? O ile wiem, rano mieliście jechać do Rennes-le-Chiiteau, ale po południu spodziewałem się go tutaj. Chciałem zamienić z nim dwa słowa.

–Zadzwonili do niego z policji w Couizie. O ile nie pomyliłam nazwy miejscowości.

Wyraźnie go to zainteresowało, choć wyraz jego twarzy w zasadzie się nie zmienił. Meredith natychmiast pożałowała, że się w ogóle odezwała.

–A o co chodziło?

–Nic mi nie powiedział – zapewniła pośpiesznie.

–Szkoda, będę musiał poczekać. W geście rezygnacji otworzył dłonie. – Trudno. Nie ma rady. – Uśmiechnął się znowu, lecz tym razem uśmiech nie sięgnął oczu. – Mam nadzieję, że się pani u nas podoba? Niczego pani nie brakuje?

–Niczego zapewniła go, spoglądając na schody.

–Proszę mi wybaczyć, nie zatrzymuję pani.

–Muszę popracować...

–A tak, tak. Ha! wspomniał, że pani pisze. Przyjechała tu pani z jakimś konkretnym zadaniem?

Znalazła się w pułapce.

–Niezupełnie. Chciałam się trochę rozejrzeć.

–Rozumiem. Podał jej rękę. Wobec tego nie będę pani dłużej zatrzymywał.

Nie chcąc być niegrzeczna, wyciągnęła do niego dłoń. Tym razem jego dotyk okazał się niemiły. Zbyt osobisty.

Jeśli pani spotka mojego bratanka, proszę mu powtórzyć, że go szukam.

Oczywiście.

Odszedł, nie oglądając się ani razu. Pewny siebie. Opanowany.

Meredith wypuściła powietrze ustami.

O co właściwie chodziło? Stała przez chwilę bez ruchu, ze wzrokiem wbitym w miejsce, gdzie przed minutą stał właściciel hotelu. Potem, zła na siebie, że znowu wyprowadził ją z równowagi, wzięła się w garść.

Nie myśl o tym, nakazała sobie.

Rozejrzała się dookoła. Recepcjonistka nie zwracała na nią uwagi, zajęta rozmową z przyjezdnym. Z restauracji dobiegał gwar świadczący o tym, że większość gości właśnie je obiad. Trudno o lepszą okazję.

Szybkim krokiem przeszła po szachownicy płytek za fortepian i zdjęła ze ściany interesujący ją portret. Wsunęła zdjęcie pod kurtkę i ruszyła w górę po schodach, pokonując po dwa stopnie naraz.

Dopiero gdy znalazła się w pokoju i zamknęła za sobą drzwi, odetchnęła spokojniej.

Stanęła, zmrużyła oczy, rozejrzała się uważnie.

Coś tu było nie tak. Czowała obcy zapach. Subtelny, ledwo wyczuwalny. ale jednak. Objęła się ramionami, bo pierwsze, co jej przyszło na myśl, to nocny koszmar. Pokręciła głową. Tylko spokojnie. Na pewno była tu sprzątaczką. Teraz czuła coś zupełnie innego niż w nocy.

Wtedy miała pewność, że ktoś jest w pokoju, powiało chłodem...

Zresztą to był tylko sen.

Wzruszyła ramionami. Pewnie to zapach jakiegoś środka czyszczącego. Nawet niezbyt mocny. Bez przesady. Choć dziwny. Odruchowo zmarszczyła nos. Jakby woń gnijących resztek ryb nad morzem.

ROZDZIAŁ 50

Meredith wyjęła z szafy talię kart i ostrożnie odsunęła na boki wszystkie cztery rogi czarnego jedwabiu, jakby trzymała w dłoni kruche szkło.

Na wierzchu znajdował się niepokojący obraz Wieży – tło w szarościach i zieleniach, drzewa żywsze tutaj, w to chmurne popołudnie, niż wydawały się w Paryżu. Wpatrzyła się w pierwszą kartę z lekkim zdziwieniem. Miała nieodparte wrażenie, że kiedy Laura składała talię, na wierzchu została Sprawiedliwość. Cóż, najwyraźniej się myliła.

Zrobiła miejsce na biurku, położyła na nim karty, po czym wyjęła z torebki notatnik. Szkoda, że poprzedniego wieczoru nie znalazła czasu, żeby przerzucić zapis wizyty u wróżki z papieru na ekran.

Przez chwilę zastanawiała się, czy gdyby rozłożyła dziesięć kart, które wczoraj wyciągnęła z talii, gdyby się im przyjrzała w spokoju, zobaczyłaby coś więcej. Jednak nie. Mniej interesowało ją samo wróżenie, bardziej informacje na temat kart Bousqueta oraz ich powiązania z Domaine de la Cade, z Vernierami i rodziną Lascombe'ów.

Wydzieliła z talii arkana większe, resztę odłożyła na bok, a te dwadzieścia dwie karty, teraz najważniejsze, rozłożyła w trzech rzędach, umieszczając Głupca nad nimi, tak samo jak to zrobiła Laura. Tym razem wywierały na niej zupełnie inne wrażenie niż poprzednio. Wczoraj ją denerwowały. Jakby trzymając je w ręku, czemuś się poddawała. Dzisiaj natomiast wydawały się przychylnie nastawione.

Przyjrzała się czarno-białym postaciom ze zdjęcia z holu. Osobom zatrzymanym w czasie. Następnie przeniosła spojrzenie na barwne ilustracje na kartach.

Najpierw Le Pagad, z tymi niemożliwie błękitnymi oczami i gęstymi czarnymi włosami, uwieczniony razem z symbolami tarota. Atrakcyjny, ale czy można mu ufać.

Przyszła jej do głowy zupełnie nowa myśl. Czy to możliwe, żeby... Odłożyła Magika na bok. Wzięła do ręki kartę numer I, Le Mat, położyła obok fotografii w ramkach. Teraz, gdy obie podobizny znalazły się Jedna przy drugiej, nie pozostały jej żadne wątpliwości. To był „mon sieur Vernier”. Ten sam dobroduszny wyraz twarzy, szczupła figura czarny wąs.

Następnie karta numer II, La Pretresse. Eteryczne, stonowane

rysy „madame Lascombe”. Z całą pewnością. Tyle tylko, że na rysunku kobieta miała na sobie wieczorową suknię z głębszym dekoltem.

A teraz, niżej, na karcie numer XV, para przykuta łańcuchami do podestu, na którym stoi diabeł.

I wreszcie karta numer VIII, La Force. „Mademoiselle Leonie Vernier”.

Na ustach Meredith pojawił się uśmiech. Z tą kartą czuła się powiązana, zaprzyjaźniona, zupełnie jakby знаła przedstawioną na niej dziewczynę. W jakimś sensie pewnie dlatego, że Leonie przypominała jej Lilly Debussy. Była, co prawda, młodsza od pierwszej żony kompozytora, ale miała takie same wielkie, niewinne oczy i masę miedzianych loków. Na zdjęciu były okiełznane, na karcie spadały falą za ramiona. Przede wszystkim jednak na obu wizerunkach dziewczyna równie otwarcie spoglądała na patrzącego.

Coś nie dawało Meredith spokoju, niestety, nie potrafiła określić co.

Zajęła się następnymi kartami. Diabeł, Wieża, Pustelnik, Cesarz. Przyjrzała się każdej po kolei, z narastającym poczuciem, że dalsze badania ją oddalają, a nie przybliżają do celu.

Odchyliła się na oparcie krzesła. Stary mebel skrzypnął ostrzegawczo. Założyła ręce za głowę i przymknęła oczy.

Gdzie popełniam błąd?

Pozwoliła myślom błądzić bez celu. Słowa Laury wracały do niej bez szczególnego porządku, same wyznaczając wzór.

Oktawy. Wszystkie ósemki.

Ósemka to cyfra skończonego dzieła. A jednocześnie symboli przeszkód i konfliktów. W starych taliach Siła i Sprawiedliwość zamiennie bywały oznaczane numerem osiem. La Justice i Le Pagad uzupełniani są znakiem nieskończoności, poziomą

ósemką.

A ze wszystkim spleciona jest muzyka. Z jej rodziną, z tarotem Bous-quet, z Vernierami, wróżeniem w Paryżu. Do kompletu jeszcze stary utwór na fortepian. Sięgnęła po notes, przerzuciła kilka kartek, szukając nazwiska amerykańskiego kartomanty, który powiązał tarota z muzyką. Włączyła laptop i niecierpliwie stukając paznokciami o biurko, czekała na połączenie. Wreszcie ukazało się okienko przeglądarki. Wpisała PAUL FOSTER CASE. Natychmiast uzyskała listę stron.

Od razu otworzyła Wikipedię. źródło wiarygodne i zrozumiałe. Paul Poster Case, Amerykanin, zainteresował się kartami na początku dwudziestego wieku, gdy pracował na statkach parowych, grając w wodewilach na pianinie i organach. Trzydzieści lat później, w Los Angeles, założył organizację mającą na celu promowanie jego własnego systemu tarota, nazwaną Buil-ders of the Adytum, w skrócie BOTA. Nowością był fakt, że Case wyszedł ze swoją filozofią do ludzi, w przeciwieństwie do innych systemów ezoterycznych tamtych czasów, które były trzymane w sekrecie i dostępne wyłącznie elitom. Drugą cechą szczególną tej idei była jej interaktywność. W przeciwieństwie do innych talii, karty BOTA wydawano jedynie w postaci czarnego szkicu na białym tle. wychodząc z założenia, że każdy użytkownik pokoloruje je sobie według własnego uznania, tworząc w ten sposób talię jedyną w swoim rodzaju. Jak się okazało, ten właśnie pomysł, bardziej niż cokolwiek innego, rozpowszechnił tarota w Stanach Zjednoczonych.

Kolejną innowacją, wprowadzoną przez Case'a, było połączenie nut z niektórymi kartami z arkanów większych. A w zasadzie ze wszystkimi, poza dwudziestą. Słońcem, i dziewiątą – Pustelnikiem, jakby te dwa wizerunki stały poza nurtem zdarzeń.

Meredith przyjrzała się ilustracji, gdzie strzałkami pokazano, która karta powiązana jest z którym klawiszem.

A zatem: Wieża, Sąd Ostateczny oraz Cesarz zostały

przypisane do dźwięku C. Diabeł – połączony z A. D odnosiło się do Kochanków i Siły, a Magik oraz pozbawiony numeru Głupiec zostali przypisani do E.

C-A-D-E. Domaine de la Cade.

Wpatrywała się w ekran, jakby podejrzewała oszustwo.

C-A-D-E. Cztery dźwięki, powiązane z konkretnymi kartami arkanów większych.

Co więcej, rysowała się jeszcze jedna zbieżność. Meredith sięgnęła po pergamin z utworem. „Grobowiec 1891”. Znała go na pamięć. Czterdzieści pięć taktów, zmiana tempa w części środkowej, styl i charakter przywodzący na myśl dziewiętnastowieczne ogrody i dziewczęta w jasnych sukienkach. Budzący echa Debussy'ego, Satiego i Dukasa.

I, rzecz jasna, oparty na dźwiękach A, C, D oraz E.

Na kilka chwil zapomniała, gdzie jest i co robi. Zobaczyła swoje dłonie na klawiaturze. Istniała dla niej wyłącznie muzyka. A, C, D i E. Na koniec arpeggio, ostatni akord odpłynął do przeszłości.

Wszystko się zgadzało.

Tylko co właściwie miało znaczyć, u licha ciężkiego?

Napłynęły wspomnienia dawnych czasów, kiedy w Milwaukee nauczycielka muzyki, panna Bridge, powtarzała te same słowa jak mantrę.

„Oktawa składa się z dwunastu półtonów. Skalę diatoniczną tworzą tony i półtony. Jest ona zbudowana z siedmiu dźwięków. Pentatoniczna -z pięciu. Pierwszy, czwarty i piąty to stopnie triady harmoniczej – zespołu trójdźwięków: toniki, subdominanty i dominanty, które stanowią o urodzie i perfekcji dzieła”.

Meredith z uśmiechem pograżyła się we wspomnieniach, pozwoliła im prowadzić myśli. Muzyka i matematyka. Gdzie

między nimi powiązania. anie tylko zbiegi okoliczności? Wstukała w wyszukiwarkę FIBONACCI. Zaczęła czytać.

W roku tysiąc dwieście drugim Leonardo Pisano, znany lepiej jako Fibonacci, opisał szczególny ciąg matematyczny. Po dwóch wartościach początkowych każda następna liczba stanowiła sumę dwóch poprzednich.

0, 1, 1, 2, 3, 5, 8, 13, 21, 34, 55, 89, 144, 233, 377.

Stosunek między parami kolejnych liczb określany jest mianem złotych proporcji. Złotego środka.

W muzyce ciąg Fibonacciego jest niekiedy wykorzystywany przy strojeniu. Wyniki z tego ciągu występują także w naturze, na przykład w liczbie gałęzi na drzewach załamania fali czy wzoru kory sosny. Nie każdy wie że słonecznik zawsze ma osiemdziesiąt dziewięć nasion.

Meredith uśmiechnęła się.

Ja o tym pamiętam, pomyślała.

Debussy flirtował z ciągiem Fibonacciego w swoim wielkim poemacie symfonicznym „Morze”. Był to jeden z najpiękniejszych dowodów, że choć kompozytor najbardziej cenił sobie nastrój, kilka jego wiekopomnych dzieł zostało skonstruowanych na

podstawie modeli matematycznych. Tak więc pierwszy fragment „Morza” liczy sobie pięćdziesiąt pięć taktów, a następnie przechodzi w pięć fragmentów o długości: dwadzieścia jeden, osiem, osiem, pięć i na koniec trzynaście taktów – wszystko to liczby Fibonacciego.

Wolniej, napomniała siebie Meredith. Spokojnie. Po kolei.

Wróciła do strony, której głównym bohaterem był Paul Foster Case. Trzy z czterech nut, powiązanych z Domaine de la Cade, były numerami z ciągu Fibonacciego. C, A i E. W kartach Głupiec miał 0, Czarodziej I, a Siła VIII.

Jedynie D, karta VI, Kochankowie, nie pasowała do ciągu matematycznego.

Meredith przeczesła włosy palcami.

Czy to oznaczało, że jej rozumowanie było niewłaściwe? Czy też był to wyjątek potwierdzający regułę?

Zabębniła palcami o blat biurka. Kochankowie jednak pasowali do sekwencji. Jeśli pojawiali się osobno, a niejako para. Wtedy Le Mat, Głupiec, występował pod cyfrą zero, podczas gdy Arcykapłanka była dwójką. I zero, i dwójka znajdowały się w ciągu Fibonacciego.

I cóż z tego?

Nawet jeśli wszystkie te odnośniki były coś warte, jakie mogło istnieć połączenie między tarotem Bousqueta, Domaine de la Cade i Paulem Posterem Case? Tutaj daty wcale nie pasowały.

Case założył stowarzyszenie BOTA w latach trzydziestych w Ameryce. Talia Bousqueta powstała w Europie w latach dziewięćdziesiątych dziewiętnastego wieku, arкана mniejsze pewnie nawet wcześniej. Nie da rady. Bousquet nie mógł korzystać z pomysłów Case'a.

Zaraz, zaraz... a gdyby tak odwrotnie?

Spróbujmy. Jeżeli Case usłyszał o powiązaniach tarota z

muzyką i na tej podstawie zmodyfikował swój system? Może znalazł talie Bousqueta. A może nawet samą Domaine de la Cade? Jeżeli myśl przeszła nie z Ameryki do Francji, ale w przeciwną stronę?

Meredith wyjęła z torebki powycieraną kopertę, z niej wyciągnęła zdjęcie młodego mężczyzny w żołnierskim mundurze.

Przyjrzała mu się uważnie.

Chyba była ślepa. Jeszcze przed chwilą jej się wydawało, że Le Mat to Anatol Vernier! Niby tak, ale przecież między Vernierem a młodym żołnierzem istniało uderzające podobieństwo! Tak samo jak z Leonie! Długie, ciemne rzęsy, wysokie czoło, to samo spojrzenie, prosto w obiektyw.

Jeszcze raz przyjrzała się portretowi. I daty się zgadzały! Chłopak w mundurze mógłby być młodszym bratem lub kuzynem, a może synem?

I moim przodkiem, pomyślała.

Miała wrażenie, jakby ktoś zdjął jej z barków ogromny ciężar. Balast niewiedzy. Z drugiej strony, natychmiast odezwał jej się w sercu głos ostrzegający przed wyciąganiem pochopnych wniosków.

Sprawdzaj teorie. Weryfikuj fakty. Szukaj prawdy.

Palce zatańczyły po klawiaturze. Wbiła do wyszukiwarki najpierw słowo „Vernier”.

Nic z tego. Owszem, były wyniki szukania, ale nic przydatnego.

Czas jakiś wpatrywała się w ekran z niedowierzaniem.

Naprawdę nic?

Dodała „Bousquet” i „Rennes-les-Bains”. Tym razem pokazało się kilka stron oferujących karty tarota i parę miejsc z podstawowymi informacjami na temat talii Bousqueta. Nic nowego.

Z przechyloną głową przyglądała się opalizującemu ekranowi. Mogła jeszcze wejść na strony rodów tej części Francji i spróbować cofnąć się do XIX wieku, choć był to dość pracochłonny sposób uzyskiwania informacji. I pewnie przydałaby się pomoc Mary.

Uznała to za dobry pomysł, więc napisała do niej list, prosząc o sprawdzenie na miejscowych stronach Milwaukee, dotyczących historii, oraz w dawnych spisach wyborców, czy występuje jakiś Vernier. Oczywiście, pamiętała przy tym, że jeśli żołnierz był synem Leonie, a nie Anatola, nazywał się pewnie całkiem inaczej. Po namyśle dopisała w mailu nazwisko Lascombe, podpisała korespondencję długą linią buziaków i kliknęła „Wyślij”.

Ciszę przerwał dzwonek telefonu.

Popatrzyła na aparat stojący przy łóżku, jakby nie umiała sprecyzować, co właściwie słyszy. Dzwonek odezwał się po raz drugi.

Chwyciła słuchawkę.

–Halo?

–Meredith? Tu Hal.

Natychmiast się zorientowała, że rozmówca nie jest w szampańskim humorze.

–Dzwonię, żeby ci dać znać, że już wróciłem.

–Jak poszło? Pauza.

–Chciałbym ci opowiedzieć nie przez telefon. Będę w barze, zaczekam,

nie śpiesz się. Nie chcę cię odrywać od pracy.

Meredith spojrzała na zegarek i zdziwiła się, widząc, że jest piętnaście Po szóstej. Ogarnęła wzrokiem chaos na biurku: karty, komputer z mnóstwem potwierdzonych stron, fotografie, notes – namacalne dowody pracy. Głowa jej pękała. Zebrała sporo wiadomości, a mimo to nadal błądziła w ciemnościach.

Nie bardzo chciała przerywać poszukiwania, jednak wyraźnie była zmęczona. Przypomniała sobie szkolne czasy, kiedy Mary

wchodziła do jej pokoju, całowała ją w czubek głowy i proponowała przerwę w nauce. Mówiła, że rano wszystko będzie łatwiejsze i prostsze. Że czas spać.

I zwykle... w zasadzie zawsze miała rację.

Dzisiaj Meredith niczego się już nie doszuka. Zresztą, sądząc po tonie głosu Hala, przyda mu się towarzystwo. I jej też nie zaszkodzi.

Najpierw żywi, potem zmarli.

–Właściwie na dzisiaj skończyłam.

–Poważnie?

Ulga zawarta w tym jednym słowie wywołała uśmiech na twarzy Meredith.

–Całkiem poważnie.

–Na pewno ci nie przeszkadzam?

–Na pewno. Podokańczam drobiazgi i za dziesięć minut jestem na dole. Przebrała się w białą bluzkę oraz ulubioną czarną spódnicę. Nie nazbyt strojnie, ale wieczorowo. Stała przed lustrem w łazience, nałożyła odrobinę różu na policzki, przeciągnęła tuszem po rzęsach i szminką po wargach. Przeczesała włosy, zwinęła je w węzeł.

Właśnie wkładała buty, kiedy laptop zapiszczał, obwieszczając przybycie nowej poczty.

Wywołała z paska skrzynkę pocztową i otworzyła najnowszy list – od Mary. Tylko dwie linijki, ale z nazwiskami, datami i adresami. A pod spodem obietnica kolejnych informacji.

Na twarz Meredith wypłynął szeroki uśmiech.

Strzał w dziesiątkę!

Wzięła do ręki fotografię żołnierza, który już nie był nieznany. Ciągle jeszcze pozostało sporo do zrobienia, jednak już widziała koniec poszukiwań. Wetknęła zdjęcie w ramki, razem z portretem

trzech osób. Tam było jej miejsce. Rodzina znowu w komplecie.

Jej rodzina.

Nie siadając, wstukała odpowiedź.

**„Jesteś niesamowita. Dalsze info mile widziane!
Serdeczności”.**

**Kliknęła „Wyślij” i, cały czas uśmiechnięta, zeszła na dół, do
Hala.**

CZĘŚĆ VII Carcassonne

Wrzesień – październik 1891

ROZDZIAŁ 51

Niedziela, 27 września 1891

Następnego ranka po przyjęciu Leonie, Izolda i Anatol wstali późno.

Wieczór okazał się wspaniałym wydarzeniem towarzyskim, co do tego wszyscy się zgadzali. Przestronne wnętrza Domaine de la Cade, dotąd pogrążone w ciszy, na nowo powróciły do życia. Służba podśpiewywała i pogwizdywała przy pracy, Pascalowi uśmiech nie schodził z twarzy, Marieta stale podskakiwała, także ciągle uśmiechnięta.

Tylko Leonie czuła się nieszczęśliwie. Męczył ją potworny ból głowy, nawet miała dreszcze. Najwyraźniej wypita za dużo wina, a rozmowa z panem Baillardem również nie przeszła bez wrażenia.

Większą część poranka przeleżała na chaise longue, chłodząc czoło kompresem. Gdy w porze obiadu poczuła się na tyle dobrze, by skubnąć grzankę i wypić kilka łyków bulionu, odkryła inną dolegliwość, często związaną z wielkimi wydarzeniami. Otóż tak długo czekała na proszoną kolację, że teraz, gdy już było po wszystkim, świat wydał jej się pusty i nieciekawym.

Przypatrywała się ciotce zajętej sprawami domu i majątku, jak zawsze spokojnej, ale teraz swobodniejszej i spokojniejszej niż wcześniej. Wystarczyło spojrzeć na jej twarz, by się zorientować,

że jest wreszcie panią domu. Ona rządzi nim, nie na odwrót.

Anatol także był w doskonałym nastroju, idąc przez hol do biblioteki czy z salonu na taras, nieodmiennie pogwizdywał i ogólnie robił wrażenie człowieka, który ma świat u stóp.

Nieco później Leonie przyjęła zaproszenie Izoldy na spacer po ogrodach. Skoro już jej się rozjaśniło w głowie i poczuła się lepiej, chętnie skorzystała z okazji, by rozprostować nogi. Popołudnie było ciepłe, słońce gładziło dziewczynę po twarzy. Szybko odzyskała dobry humor i wyborne samopoczucie.

Prowadziły lekką rozmowę na tysiąc i jeden zawsze interesujących tematów: muzyka, książki, najnowsza moda. Izolda kierowała się w stronę jeziora.

–Chciałabym, żebyśmy się zastanowiły powiedziała w pewnej chwili

–jak zaplanować czas twojego pobytu w Domaine de la Cade. Anatol wspomniał, że interesuje cię historia i archeologiczne zabytki okolicy. W takim razie mogłabym ci podsunąć kilka interesujących propozycji wycieczek. Na przykład do ruin zamku w Coustaussie?

–Chętnie!

–Rozumiem, że nadal będziesz chciała czytać. Zdaniem Anatola masz taki apetyt na książki, jak inne kobiety na biżuterię lub stroje.

Leonie splonęła rumieńcem.

–Według niego, za dużo czytam, ale prawda jest taka, że on czyta za

mało! Wie wszystko o książkach jako przedmiotach, lecz nie pojmuję hi

storii zawartych na kartkach!

Izolda zaśmiała się dźwięcznie.

–Pewnie dlatego musiał powtarzać egzamin maturalny! Leonie spojrzała na ciotkę ze zdumieniem.

–Zdradził się z tą tajemnicą?

–Ależ skąd! Który mężczyzna będzie się przechwalał niepowodzeniami!

–Wobec tego...?

–Choć między moim zmarłym mężem a waszą matką trudno by się doszukiwać serdeczności, jednak Jules lubił wiedzieć, jakie postępy w nauce czyni jego bratanek.

Dziewczyna przyjrzała się ciotce z zainteresowaniem. Mama nigdy nie kryła, że komunikowała się z bratem bardzo rzadko. Leonie chciała dowiedzieć się czegoś więcej, lecz Izolda poruszyła inny temat i okazja przepadła. Czy wspomniałam już, że zostałam członkiem Societe Musicale et la Lyre w Carcassonne? Do tej pory nie mogłam brać udziału w tylu koncertach, w ilu bym chciała, teraz się to zmieniło. Zdaję sobie sprawę, że niekoniecznie musisz być szczęśliwa na wsi. z dala od przyjęć i rozrywek.

–Jestem całkiem zadowolona.

Izolda podziękowała jej uśmiechem.

–Niedługo będę musiała pojechać do Carcassonne. Mogłybyśmy wybrać się tam razem, spędzić w mieście kilka dni. Co ty na to?

Dziewczyna z wrażenia aż straciła dech w piersiach.

–Bardzo bym chciała! Ciociu! To będzie fantastyczne! Kiedy jedziemy?

–Czekam na list od prawników męża. Jak tylko go otrzymam, zaczniemy przygotowania do wyjazdu.

–Z Anatolem?

–Oczywiście. Wiem od niego, że chciałabyś obejrzeć odnowione średniowieczne La Cite. Podobno rzeczywiście wygląda jak żywcem wyjęte z trzynastego wieku. Postępy w renowacji słusznie budzą uznanie. Jeszcze pięćdziesiąt lat temu miasto było jedną wielką ruiną, a teraz, dzięki pracy pana Viollet-le-Duca i innych, którzy po nim podjęli jego zadanie, zmieniło się nie do poznania. Można je bezpiecznie zwiedzać.

Dotarły do końca ścieżki. Zawróciły w stronę jeziora, potem na niewielki, ocieniony cypel, z którego otwierał się przepiękny widok na wodę.

–Skoro się nieco lepiej poznałyśmy – powiedziała Izolda – chciałabym ci zadać pytanie natury osobistej. Czy mogę?

–Cóż, w zasadzie... – Ostrożność wzięła górę. – To zależy, jakiego tematu miałyby dotyczyć.

Izolda zaśmiała się perliście.

–Chciałam tylko spytać, czy masz wielbiciela.

Leonie splonęła rumieńcem.

–Ja...

–Czyżbym wymagała od naszej przyjaźni zbyt wiele?

–Nie – odparła dziewczyna pośpiesznie. Nie chciała się wydać nietaktowna ani naiwna. Z drugiej strony, prawda była taka, że wszelkie jej pojęcie na temat romantycznej miłości pochodziło z książek. – Oczywiście, że nie. Po prostu... jestem zaskoczona.

–Wobec tego...? – Izolda odwróciła się do dziewczyny. – Czy

jest na świecie wybranek twojego serca?

Leonie, ku swemu zaskoczeniu, poczuła żal, że ktoś taki jeszcze nie istnieje. Owszem, śniła o wielkim uczuciu, ale obiektem jej westchnień były postaci, które spotykała w powieściach, albo bohaterowie ze sceny, śpiewający o miłości i honorze. Do tej pory jej niewysłowione fantazje nigdy jeszcze nie powiązały się z żywym człowiekiem.

–Nie interesują mnie takie sprawy – oznajmiła zwięźle. – Moim zdaniem, małżeństwo jest formą niewolnictwa.

Izolda skryła uśmiech.

–Kiedyś może tak było, ale teraz, we współczesnych czasach? A przy tym... Jesteś młoda. Wszystkie dziewczęta marzą o miłości.

–Ja nie. Widziałam mamę... – Urwała, mając przed oczami gwałtowne sceny, łzy, dni, kiedy brakowało pieniędzy na jedzenie, kolejnych mężczyzn, przychodzących i odchodzących.

Izolda raptem spoważniała.

–Marguerite znalazła się w bardzo trudnej sytuacji. Robiła, co mogła, żeby chronić ciebie i Anatola. Nie powinnaś jej osądzać surowo.

–W ogóle jej nie osądzam! – zapalczywie rzuciła dziewczyna, rozzłoszczona uwagą ciotki. – Po prostu nie chcę tak żyć.

–Miłość... prawdziwa miłość... jest skarbem – ciągnęła Izolda. Czasami boli, przeszkadza, robi z ludzi głupców, ale nadaje sens i cel naszemu istnieniu. Dzięki niej życie nabiera kolorów. – Urwała na chwilę. – Jedynie miłość potrafi zmienić człowieczą egzystencję w cudowne doświadczenie.

Leonie zerknęła na ciotkę, po czym spuściła powieki.

–Nie tylko z powodu mamy odwracam się od miłości wyjaśniła. Widziałam, jak cierpiał Anatol. Od tamtego czasu patrzę na te sprawy inaczej. – Czują na sobie wzrok ciotki, ale nie potrafiła podnieść oczu. Anatol był zakochany. Niestety, jego wybranka umarła. W tym roku, w marcu. Nie wiem dokładnie, co jej się stało, wiem tylko tyle, że odeszła w strasznych okolicznościach. – Z trudem przełknęła ślinę. – Potem bardzo się o niego baliśmy. Całkiem się załamał, podupał na duchu, był kompletnie rozbity, uciekał... w niewłaściwe towarzystwo... Całe noce spędzał poza domem i...

Izolda przycisnęła do siebie ramię dziewczyny.

–Mężczyzna inaczej radzi sobie z kłopotami. Zachowanie Anatola

niekoniecznie musiało świadczyć o stanie, który należałoby uznać za poważny.

–Ciociu! Ty go nie widziałaś! To był człowiek stracony dla świata!

I dla mnie, dodała w myślach.

–Chwali ci się takie żarliwe uczucie do brata – rzekła Izolda – ale chyba już czas przestać się o niego martwić. Teraz jest raczej w pogodnym na stroju, chyba się ze mną zgodzisz?

Choć nie do końca przekonana, dziewczyna pokiwała głową.

–Rzeczywiście, wygląda dużo lepiej niż wiosną.

–Sama widzisz. Dlatego pora, żebyś zaczęła bardziej myśleć o własnych potrzebach, a mniej się zajmowała nim. Przyjęłaś moje zaproszenie, bo chciałaś odpocząć, nie mylę się, prawda?

Leonie pokiwała głową.

–Wobec tego, skoro już tu jesteś, spróbuj zająć się sobą. Anatol jest w dobrych rękach.

Dziewczyna przypomniała sobie ucieczkę z Paryża, obietnicę, że pomoże bratu, poczucie zagrożenia, które zniknęło i pojawiało się na nowo, bliznę nad okiem Anatola, pamiątkę po niebezpieczeństwie, jakiemu stawiał czoło, i raptem, przez chwilę, poczuła, że zdjęto jej z barków ogromny ciężar.

–Jest w dobrych rękach – powtórzyła Izolda z przekonaniem. – I ty także.

Zawędrowały na drugą stronę jeziora. Spokojna tafla wody połyskiwała zielenią, przed nimi rozciągał się piękny widok na dom. W ciszy od czasu do czasu rozlegał się trzask gałązki pod stopami czy szelest trawy, gdy jakiś królik uciekał do nory. Wysoko nad drzewami odzywały się wrony.

Gospodyni poprowadziła do ustawionej na pagórku kamiennej ławy w kształcie sierpa księżyca, krawędzie wygładził czas. Usiadła i gestem zaprosiła gościa.

–Po śmierci męża często tutaj przychodziłam. Łatwiej tu odnaleźć
spokój.

Zdjęła biały kapelusz z szerokim rondem i położyła go na siedzisku. Leonie zrobiła to samo, ściągnęła też rękawiczki. Podniosła wzrok na ciotkę. Złote włosy Izolda lśniły w słońcu, zwińczęjąc figurę jak zwykle doskonale wyprostowaną, z dłońmi opartymi wdzięcznie na kolanach. Spod rąbka bladoniebieskiej spódnicy wyglądały nieskazitelne pantofle.

–A czy nie dokuczała ci samotność, ciociu? Zostałaś bez męża... Byliśmy małżeństwem zaledwie kilka lat. Jules miał swoje nawyki i... cóż, większość czasu spędzaliśmy oddzielnie. Rzadko bywałam w majątku.

–Ale teraz jesteś tu szczęśliwa?

–Przywykłam – odparła Izolda cicho.

Ciekawość, która nieco zbladła wobec ostatnich wydarzeń, wróciła jeszcze silniejsza. W głowie dziewczyny pojawiły się tysiące pytań. Chociażby takie: Dlaczego Izolda, jeśli źle się czuła w Domaine de la Cade, postanowiła tu zostać? Z ust wyrwało się całkiem inne.

–Ciociu, bardzo tęsknisz za wujkiem Jules'em?

Liście kołysały się na wietrze, szepcząc, szeleszcząc, podsłuchując. Izolda westchnęła.

–Był człowiekiem bardzo dobrze wychowanym – odpowiedziała, starannie dobierając słowa. – Mężczyzną uprzejmym i szczodrym mężem.

–Ale te słowa o miłości...

–Nie zawsze można wyjść za mąż za ukochanego – przerwała Izolda. – Trzeba brać pod uwagę okoliczności, okazję, potrzebę.

–A jak się poznaliście? Wydawało mi się, że wujek rzadko wyjeżdżał z Domaine de la Cade.

–Rzeczywiście, niechętnie opuszczał dom. Miał tu wszystko, co mu było potrzebne do szczęścia. Zajmował się książkami, wypełniał obowiązki właściciela, a traktował je bardzo poważnie. Mimo to jednak miał zwyczaj raz w roku zaglądać do Paryża, tak jak za życia ojca.

–I przy takiej okazji was sobie przedstawiono?

–Właśnie.

Leonie mniejszą uwagę zwracała na słowa, większą na zachowanie ciotki. Ręka Izolda bezwiednie uniosła się do szyi osłoniętej wysokim koronkowym kołnierzem, chociaż dzień był bardzo ciepły. Dziewczyna uświadomiła sobie, że ten gest był dla ciotki charakterystyczny.

Izolda pobladła, jakby wróciły do niej przykre wspomnienia, które wolałaby raczej usunąć z pamięci.

–Brakuje ci go, ciociu? – naciskała Leonie.

Izolda uśmiechnęła się niespiesznie, enigmatycznie.

Tym razem dziewczyna już nie miała wątpliwości. Mówiąc o miłości z takim uczuciem, z taką czułością, ciotka nie miała na myśli męża.

Leonie szukała odwagi, by zadawać następne pytania. Pragnęła wiedzieć więcej, a jednocześnie nie chciała być wścibska. Izolda niby powiedziała dużo, niby dopuszczała gościa do konfidencji, a przecież tak niewiele zdradziła z historii swojego małżeństwa. A przede wszystkim Leonie nie mogła się pozbyć wrażenia, że ciotka zamierza poruszyć jakiś inny temat, dotąd odsuwany. Nie potrafiła odgadnąć jaki.

–Powinnyśmy już wracać uznała Izolda. Inaczej Anatol zacznie się o nas martwić.

Wstała. Leonie podniosła kapelusz i rękawiczki i także się

podniosła.

–Zostaniesz w Domaine de la Cade, ciociu? spytała. Izolda dłuższą chwilę milczała.

–Jeszcze nie wiem – rzekła w końcu. Majątek jest piękny, ale trudno

tu znaleźć spokój.

ROZDZIAŁ 52

Carcassonne

Poniedziałek, 28 września 1891

Bagażowy otworzył drzwi przedziału pierwszej klasy i Victor Constant wyszedł na peron w Carcassonne.

Raz, dwa, trzy, Baba-Jaga patrzy, pomyślał. Zupełnie jak w dziecięcej zabawie. Jestem coraz bliżej, nic na to nie poradzisz.

Wiatr przybierał na sile, atakował porywami. Ze słów bagażowego wynikało, że należy się spodziewać serii jesiennych sztormów, najgorszych od wielu lat. Kolejna wichura miała być znacznie silniejsza. Oczekiwano jej w Carcassonne w przyszłym tygodniu.

Constant rozejrzał się dookoła. Drzewa miały się jak dzikie konie w zaprzęgu, niebo nabrało stalowej barwy. Nad dachami zbierały się groźne czarne chmury.

–To tylko uwertura – powiedział cicho i zaśmiał się z własnego dowcipu.

Powiódł wzrokiem wzdłuż peronu, zatrzymał spojrzenie na służącym, który wyładowywał z pociągu bagaże. Gdy do niego dołączył, we dwóch ruszyli do wyjścia. Tam Constant zaczekał, aż jego człowiek wezwie fiakra. Bez większego zainteresowania obserwował w drodze barki, penkhes, przycumowane do słupków i do drzew cytrynowych, rosnących wzdłuż brzegu. Woda chlupotała o ceglane ściany Kanału Południowego. Nagłówki „Depeche de Toulouse” w kiosku z gazetami ostrzegały przed wieczorną wichurą.

Wynajął mieszkanie w bocznej uliczce dziewiętnastowiecznej dzielnicy Bastide Saint-Louis. Wręczywszy swojemu człowiekowi

zdjęcie zabrane z mieszkania przy rue de Berlin, zostawił go z nudnym zadaniem wypytywania o Marguerite, Anatola i Leonie w każdym pensjonacie, każdym hotelu i każdym domu z pokojami do wynajęcia, a sam wyprawił się pieszo na stare miasto, do średniowiecznej cytadeli, na przeciwległy brzeg rzeki Aude.

Mimo żywej nienawiści do Verniera musiał przyznać, że przeciwnik sprytnie zmylił ślady. A jednocześnie miał nadzieję, iż pozorny sukces uśpi jego czujność, skłoni go do jakiejś nieostrożności, nieprzemyślanego posunięcia. Sowiec opłacił dozorcę przy rue de Berlin, by mu spisał adres nadawcy, jeśli pojawi się jakaś korespondencja z Carcassonne, bo wyszedł z założenia, że Vernier, skoro tak skutecznie zapadł się pod ziemię, nie wie o śmierci matki i może próbować się z nią skontaktować. Sieć w Paryżu zaciskała się nawet pod nieobecność Constanta, i sprawiało mu to niekłamaną przyjemność.

Przeszedł na drugą stronę rzeki przez Pont Vieux. Pod mostem Aude toczyła czarną wodę między rozmokłymi brzegami, gnała po płaskich kamieniach i pobladłych wodorostach. Wysoka woda. Poprawił rękawiczki, bo dawał mu się we znaki bąbel między drugim i trzecim palcem lewej dłoni.

Miasto Carcassonne bardzo się zmieniło od czasu, gdy ostatnio postawił stopę w La Cite. Mimo niesprzyjającej pogody gęsto było od handlarzy sprzedających kanapki, różnych artystów i naganiaczy rozdających ulotki czy broszury. Stali, zdawałoby się, na każdym rogu. Przyjął jakąś brzydką bibułę informacyjną, przebiegł wzrokiem po reklamach mydła marsylskiego oraz La Micheline, miejscowego likieru, a także wypożyczalni rowerów i pokojów do wynajęcia w pobliskich pensjonatach. Tekst oscylował pomiędzy samochwalczym bełkotem a przypisami historycznymi. Constant zmiął arkusik taniego papieru i rzucił go na ziemię.

Nienawidził tego miasta i miał ku temu powody. Trzydzieści lat temu wuj zabrał go do dzielnicy biedoty, do La Cite. Szedł wtedy między ruinami, oglądał plugawych citadins, wegetujących

między kruszejącymi ścianami. Tego samego dnia później, oszołomiony śliwkową brandy i opium, w obitym adamaszkiem pokoju nad barem na Place d'Armes zyskał swoje pierwsze doświadczenie z przedstawicielką najstarszego zawodu świata. Za sprawą uprzejmości wuja.

Tenże wuj przebywał obecnie na oddziale zamkniętym w Lamalou-les-Bains, chory na connasse albo inny syfilis. Wierzył, że mózg mu wycieka przez nos, Constant nie odwiedzał krewnego. Nie miał najmniejszej ochoty patrzeć na postępy choroby, wiedzieć, co się z nim samym będzie działo za jakiś czas.

Tamta dziewczyna stała się jego pierwszą ofiarą. Zabił ją niechcący i był to dla niego wielki wstrząs. Nie dlatego, że odebrał życie, ale że okazało się to tak łatwe. Ręka na gardle, strach w oczach prostytutki, gdy zrozumiała, iż gwałtowność zbliżenia była tylko wstępem do dramatycznego końca.

Gdyby nie pękaty portfel wuja i jego koneksje w merostwie, Constant z pewnością skończyłby na galerach albo na gilotynie. Stało się jednak inaczej. Ot, po prostu wyjechali z miasta, tyle że cichcem i w pośpiechu.

Nowe doświadczenie wiele go nauczyło, między innymi tego, jak potężnym argumentem są pieniądze. Gdy w grę wchodzi złoto, fakty przestają się liczyć. Constant szybko się uczył. Przez całe życie uzależniał od siebie przyjaciół i wrogów, wykorzystując do tego kombinację długów, wdzięczności, a jeśli wszystko inne zawiodło, strach. Kilka lat później zrozumiał, że za każdą lekcję się płaci. Dziewczyna zemściła się na nim z za grobu. Zaraziła go chorobą, która boleśnie wysysała życie z jego wuja; tak samo za jakiś czas i z nim się rozprawi. A sprawczyni tego nieszczęścia była już dawno poza jego zasięgiem.

Schodząc z mostu, raz jeszcze wrócił myślami do rozkoszy, jaką dała mu śmierć Marguerite Vernier. Zalała go fala gorąca. Tak, Marguerite na chwilę wymazała z jego pamięci poniżenie, jakiego doznał od jej syna. Bo choć tak wiele kobiet straciło życie z jego ręki, zawsze lepiej się czuł, gdy zabijał piękność. Wtedy gra była warta świeczki.

Wspomnienia zdarzeń w mieszkaniu przy rue de Berlin pobudziły go bardziej, niż się spodziewał. Poluzował kołnierzyk. Jakby to było dziś, czuł odurzającą woń strachu i krwi. Mieszanka absolutnie wyjątkowej, jedynej w swoim rodzaju. Zacisnął pięści. Ten rozkoszny opór, ta skóra czerwieniejąca pod palcami...

Oddychał szybko i gwałtownie.

Zszedł na brukowaną rue Trivalle i tam dopiero odzyskał panowanie nad sobą. Uważnym spojrzeniem zlustrował brudną

uliczkę. Setki tysięcy franków wydanych na odnowę trzynastowiecznej cytadeli nie odmieniły życia ludzi z quartier Trivalle. Wyglądała tak samo jak przed trzydziestu laty. Identycznie jak wówczas na progach zaniedbanych domów siedziały bose dzieciaki z gołymi głowami. Ściany z cegły i kamienia zdawały się pochylać, jakby je popychała gigantyczna dłoń czasu. Jakaś żebraczka o martwym, niewidzącym spojrzeniu, owinięta w dziurawe koce, wyciągnęła do niego sękatą dłoń. Nie zwrócił na nią uwagi.

Przebiegł Place Saint-Gimer przed brzydkim nowym kościołem, zbudowanym przez pana Viollet-le-Duca. Oblepiła go chmara zabiedzonych psów i dzieciaków żebrzących o drobne albo oferujących swoje usługi w roli przewodnika czy pościańca. Pozornie nie zwracał na tę czeredę najmniejszej uwagi, ale gdy jeden z chłopców znalazł się zbyt blisko, skorzystał z okazji i metalową główką laski smagnął go po twarzy. Z rozciętej skóry pociekła krew. Urwisy rozpięzły się na boki i zniknęły tak szybko, jak się pojawiły.

Dotarł do wąskiego zaułka po lewej, wiodącego w stronę wałów obronnych La Cite. Znał drogę doskonale. Bruk pokryty był śliskim biotem, wymieszany z najróżniejszymi śmieciami dzielnicy biedoty: kawałkami papieru, odchodami zwierząt, gnijącymi warzywami, których nie chciały nawet zapchlone psy.

Doskonale wiedział, że zza okiennic obserwują go czarne oczy.

Zatrzymał się przed rozchwierutanim domkiem, w cieniu ściany. i mocno zastukał w drzwi laską. Jeżeli miał znaleźć Verniera i tę lafiryndę. musiał skorzystać z pomocy. Z usług człowieka, który mieszkał w tym domu. Nigdzie mu się nie śpieszyło i był cierpliwy. Zamierzał czekać tak długo, aż zdobędzie dowody, że Vernierowie są w okolicy.

Ktoś odsunął drewnianą klapkę na wizjerze.

W otworze ukazała się para przekrwionych oczu. Rozszerzyły

się najpierw niedowierzaniem, potem strachem. Klapka opadła. Rozległ się zgrzyt odsuwane rygla, chrobot przekręcane klucza i wreszcie drzwi się otworzyły.

Constant wszedł do środka.

ROZDZIAŁ 53

DOMAINE DE LA CADE

Rozszalały wrzesień ustępował miejsca cichemu październikowi.

Minęły zaledwie dwa tygodnie od czasu, gdy Leonie wyjechała z Paryża, a przecież z trudem przypominała sobie rutynę tamtejszej codzienności. I, ku własnemu zdziwieniu, wcale nie tęskniła za dawnym życiem. Ani za widokami, ani za ulicami, ani nawet za towarzystwem matki czy sąsiadów.

Izolda i Anatol od dnia proszonej kolacji zdawali się zmieniać w oczach. Gospodyni zyskała spojrzenie niezmacone troską i choć najczęściej rano pozostawała w sypialni, cerę miała zdrową i promienną. W kolejnych dniach przychodziły szczere, serdeczne listy z podziękowaniami, stało się jasne, że Rennes-les-Bains dojrzało do zaproszenia wdowy po panu Lascombe w kręgi swojego towarzystwa.

Podczas tych spokojnych dni Leonie spędzała mnóstwo czasu na świeżym powietrzu, z zapalem zwiedzając posiadłość. Unikała tylko jednego miejsca: zaniedbanej ścieżki, prowadzącej do grobowca. Słońce i wczesne jesienne deszcze pomalowały świat w jaskrawe barwy, powlokły go żywą czerwienią, głęboką zielenią, gałęzie od spodu pociągnęły złotem, miedziane buki rozjarzyły szkarłatem, a janowce oblały kogłem-mogłem. W ciszy rozlegały się ptasie trele, od czasu do czasu zaszczekał jakiś pies w dolinie, zaszleściło poszycie, gdy królik uciekał do nory. Tu i ówdzie stuknął kamień obluzowany stopą dziewczyny, niekiedy strzeliła gałązka. Chór cykad koncertował w drzewach, Domaine de la Cade roztaczała swoje wdzięki w pełnej krasie. W miarę jak czas oddalał od dziewczyny cienie i chłód grobowca, Leonie

coraz bardziej zaprzyjaźniała się z posiadłością Lascombe'ów. I coraz trudniej było jej zrozumieć, dlaczego matka za dziecięcych lat nie czuła się tutaj dobrze. A jeśli rozumiała, wolała tego nie wiedzieć. Okolica emanowała spokojem.

Dni upływały przyjemnie, jeden podobny do drugiego. Ranki Leonie poświęcała malowaniu. Z początku zamierzała stworzyć cykl tradycyjnych krajobrazów, oddających charakter zmiennego pejzażu jesieni, lecz zachęcona nieoczekiwanym sukcesem malarskim w dzień proszonej kolacji, sama nie wiedząc kiedy, zmieniła koncepcje i przystąpiła do malowania serii portretów, podsuwanych przez blaknące wspomnienia – siedem postaci z tarota, które widziała w grobowcu. I zamiast prezentu dla matki komponowała pamiątkę z pobytu w Domaine de la Cade z myślą o Anatolu. W Paryżu, w różnych galeriach i muzeach, nigdy nie poruszały jej obrazy wielkich ulic i pięknie utrzymanych ogrodów ani uroki natury. Tutaj natomiast wytworzyło się jakieś powinowactwo między nią a drzewami czy widokami z okien. Do każdego portretu automatycznie dodawała w tle krajobraz z Domaine de la Cade.

Czasem praca szła bardzo łatwo, innym razem pędzel zatrzymywał się nad papierem. Le Mat przybrał cechy Anatola, jego wyraz twarzy, jego postać, jego koloryt. La Pretresse

obdarzona została wdziękiem i elegancją, które w oczach Leonie łączyły się z ciotką Izolda.

Le Diable. Jego nie próbowała malować.

Popołudniami czytała w swoim pokoju albo spacerowała z ciotką po ogrodach. Izolda, mówiąc o swoim małżeństwie, zawsze ważyła słowa, ale stopniowo Leonie dowiadywała się coraz więcej i z fragmentów rozmów poskładała dość kompletną historię.

Izolda dorastała na paryskich przedmieściach, pod opieką starszej krewnej, która traktowała ją jako bezpłatną osobę do towarzystwa. Odzyskawszy wolność w chwili śmierci ciotki, znalazła się jednak w nieszczęśliwej sytuacji materialnej. Szczęściem w wieku dwudziestu jeden lat objęła posadę u pewnego finansisty, a w zasadzie u jego żony, dawnej znajomej zmarłej ciotki; osoba ta straciła wzrok i potrzebowała kogoś do pomocy. Obowiązki Izoldy nie należały do trudnych: pisywała pod dyktando listy oraz wszelką inną korespondencję, czytała głośno gazety i najnowsze powieści, chodziła ze swoją pracodawczynią na koncerty i do opery. Wspominała tamten czas ze wzruszeniem, nie kryła sympatii dla finansisty i jego ociemniałej małżonki. Dzięki nim zyskała doskonałą znajomość kultury, socjety i couture. Nie powiedziała nigdy wyraźnie, dlaczego została odprawiona, Leonie jednak powiązała to ze wzmianką o niestosownym zachowaniu syna starszej pary.

O kwestiach dotyczących małżeństwa z Lascombe'em Izolda mówiła jeszcze mniej, mimo to było jasne, że ogromną rolę w zawarciu tego związku odegrały względy praktyczne. Zdecydowanie ważniejszy był interes niż miłość.

Leonie dowiedziała się także co nieco o incydentach, o których wspominał pan Baillard. Spowodowały ogromne zaniepokojenie w Rennes-les-Bains i z niewiadomych dla dziewczyny przyczyn łączone były z Domaine de la Cade. Izolda nie znała szczegółów, ale wiedziała, że w latach

siedemdziesiątych odprawiano w lesie na terenie posiadłości w jakiejś zdekonse-krowanej kaplicy niestosowne ceremonie.

Dziewczyna pobladła, słuchając tych wieści. Od razu jej się przypomniały słowa pana Baillarda o tym, jak proboszcz Sauniere został wezwany, by uspokoić duchy. Chciałaby wiedzieć na ten temat więcej, lecz ciotka znała tę historię z drugiej ręki. usłyszała ją dłuższy czas po samych wydarzeniach, więc siłą rzeczy nie miała wiele do powiedzenia.

Przy innej okazji Izolda wspomniała to i owo na temat losów Jules'a. Mieszkańcy okolicy uważali go za samotnika. Od śmierci macochy i wyjazdu przyrodniej siostry nie szukał towarzystwa, a już zwłaszcza żony. Tymczasem w Rennes-les-Bains narastała podejrzliwość w stosunku do samotnego mężczyzny. Pytano, co się takiego stało, że jego siostra uciekła z majątku. A nawet zadawano sobie pytanie, czy rzeczywiście uciekła.

Gęstniejące plotki i rosnąca rezerwa mieszkańców w końcu zmusiły Lascombe'a do działania. Latem tysiąc osiemset osiemdziesiątego piątego roku nowy proboszcz parafii Rennes-le-Chateau, Berenger Sauniere, podpowiedział mu, że obecność kobiety w Domaine de la Cade zmieniałaby nastawienie okolicznych mieszkańców.

Za pośrednictwem wspólnego przyjaciela Lascombe poznał w Paryżu Izoldę. Od początku nie ukrywał, że byłoby mile widziane, a nawet pożądane, żeby nowa pani domu przez większą część roku pozostawała w mieście, rzecz jasna, na jego koszt, i przyjeżdżała do Rennes-les-Bains jedynie wówczas, gdy okaże się tam niezbędna.

W myślach Leonie pojawiło się pytanie, którego nie miała śmiałości zadać: Czy małżeństwo zostało skonsumowane?

Tak czy inaczej, była to historia całkowicie pozbawiona romantyzmu. I choć rozwiewała mnóstwo wątpliwości na temat małżeństwa wujostwa, jakie nasuwały się dziewczynie, nie tłumaczyła, o kim Izolda mówiła, gdy używając najczulszych

słów, tłumaczyła potęgę miłości. Wtedy, na tym pierwszym wspólnym spacerze, emanowała z niej namiętność niby z kart romansu. Widać było, że zaznała doświadczeń, o jakich Leonie mogła tylko marzyć.

Początek października był wyjątkowo spokojny, burze zapomniały o okolicy Rennes-les-Bains. Słońce świeciło jasno i przyjemnie grzało, lekka bryza poruszała cienie. To był szczęśliwy czas. Nic nie mąciło szczęścia mieszkańców Domaine de la Cade.

Jedynym cieniem na horyzoncie był brak wiadomości od matki. Cóż. Marguerite nie przepadała za prowadzeniem korespondencji, lecz tak całkowite milczenie było jednak zastanawiające. Anatol zapewniał Leonie, że list od matki przepadł razem z inną pocztą, gdy w burzliwą noc pod Limon wywrócił się wóz pocztowy. Naczelnik poczty poinformował ich, że stracili wtedy cały ładunek: listy, paczki, telegramy. Wszystko wpadło do rzeki Salz i odpłynęło z prądem.

Pod naciskiem siostry Anatol zgodził się – niechętnie że do matki napisze. Zaadresował list na rue de Berlin. Jeżeli du Pont musiał wrócić do Paryża, korespondencja trafi we właściwe ręce.

Leonie przyglądała się adresowaniu listu z dziwnym uczuciem. Gdy Anatol zaklejał kopertę i dawał ją chłopakowi, który miał zanieść przesyłkę na pocztę w Rennes-les-Bains, opanował ją strach. Miała ochotę powstrzymać brata. Opanowała się jednak. Niepotrzebnie się bała. Nie było czego. Wierzyciele

Anatola na pewno już go nie ścigali.

Jeden list nie może spowodować nic złego, mówiła sobie w duchu.

Pod koniec drugiego tygodnia października, gdy powietrze wypełniło się zapachem jesiennych ognisk i opadłych liści, podsunęła ciotce myśl, by zajrzeli z wizytą do pana Baillarda. Albo zaprosili go do Domaine de la Cade. Niestety, ponoć pan Baillard niespodziewanie opuścił Rennes-les-Bains. Jego powrotu spodziewano się przed dniem świętego Marcina.

Dokąd pojechał? – spytała dziewczyna niezadowolona. Izolda rozłożyła ręce.

Nikt nie wie. Podobno gdzieś w góry, ale i tu nie ma pewności. Mimo wszystko Leonie chciała się wybrać do miasta. Choć Izolda

i Anatol nic byli tym pomysłem zachwyceni, w końcu skapitulowali. Wycieczkę zaplanowano na piątek, szesnastego października.

Spędzili w mieście bardzo mile przedpołudnie. Zajrzeli do Charles'a Denarnauda i wypili z nim kawę na tarasie Hotel de la Reine. Mimo całej jego bonhomie i serdeczności Leonie nadal nie potrafiła obdarzyć tego mężczyzny sympatią, a sądząc po zachowaniu Izoldy, pełnym rezerwy, choć doskonale poprawnym, wyczuwała, że ciotka ocenia go tak samo.

–Nie ufam temu człowiekowi – szepnęła w pewnej chwili dyskretnie. – Jest w nim jakiś fałsz.

Izolda jedynie uniosła brwi, ale to wystarczyło dla jasnego stwierdzenia, że się z dziewczyną zgadza.

Gdy wreszcie Anatol dał znak do wyjścia, obie podniosły się z ochotą.

–Postrzela pan ze mną w poniedziałek? – rzucił Denarnaud na odchodnym, ściskając dłoń Anatola. – Mamy zatręśnienie sanglier w okolicy.

A na dzikach nie koniec. Ptactwa też nie zabraknie. Bekasy, gołębie, słonki, do koloru, do wyboru!

Anatolowi oczy rozbłyły.

–Z największą przyjemnością! Choć muszę uprzedzić, że więcej u mnie entuzjazmu niż umiejętności. Co gorsza, całkiem nie jestem przygotowany. Nie mam broni.

Denarnaud klepnął go w plecy.

–Załatwię panu broń i amunicję, pan zafunduje śniadanie.

–Umowa stoi – przystał Anatol ochoczo.

A Leonie, choć nadal nie mogła wykrzesać z siebie cieplejszych uczuć do Denarnauda, szczerze cieszyła się rozpromienioną twarzą brata.

–Kłaniam się drogim paniom rzekł Denarnaud. uchylając kapelusza. – Vernier, wobec tego do zobaczenia w poniedziałek. Wcześniej przyślę wszystko, co panu będzie potrzebne, jeśli pani Lascombe nie ma nic przeciwko.

Izolda skinęła głową.

–Bardzo proszę.

Nareszcie poszli.

Gdy spacerowali po mieście, Leonie nie mogła się oprzeć wrażeniu, że Izolda przyciąga uwagę ludzi. Nie było w ich spojrzeniach wrogości ani podejrzliwości, raczej ostrożność. Ciotka, ubrana w ciemne barwy, twarz miała do połowy przesłoniętą woalką. Aż dziwne, biorąc pod uwagę, że straciła męża przed dziewięcioma miesiącami. Mimo to nadal oczekiwano, iż będzie się pokazywała we wdowiej żałobie. W Paryżu okres ten był znacznie krótszy.

Niespodziewanie najważniejszym punktem wizyty w Rennes-les-Bains stał się dla Leonie przyjazd fotografa, który rozstawił swój warsztat pracy na Place du Perou. Robił zdjęcia, chowając głowę pod grubą czarną tkaniną, połączoną z aparatem zamontowanym na chwiejnym metalowym trójnogu. Przyjechał z Tuluzi. Miał za zadanie uwiecznić dla potomności życie codzienne miasteczek i wsi w Haute Vallee. Odwiedził już Rennes-le-Chateau, Couizę i Coustaussę. Po Rennes-les-Bains wybierał się do Esperazy oraz Quillan.

–Anatolu! – Leonie pociągnęła brata za rękaw. – Zróbmy sobie zdjęcie! Proszę cię! Na pamiątkę! Na prezent dla mamy!

Sama się zdziwiła, gdy do oczu napłynęły jej łzy. Po raz pierwszy od dnia, kiedy brat wysłał list, zatęskniła za matką.

Może ze względu na te emocje Anatol skapitulował. Usiadł na rozchwierutanim metalowym krześle, niepewnie ustawionym na bruku, położył laskę i cylinder na kolanach. Izolda, jak zwykle nieskazitelnie elegancka, lekko wsparła dłoń na jego ramieniu. Długie, smukłe palce, obciążone jedwabiem. Leonie, rozkosznie śliczna w samodzielnym żakiecie, ozdobionym mosiężnymi guzikami i oblamowanym atłasem, stanęła po prawej stronie brata – i uśmiechnęła się prosto do obiektywu.

–Zapamiętamy ten dzień na zawsze – orzekła, gdy już było po wszystkim.

Przed powrotem do Domaine de la Cade Anatol jak zwykle zajrzał na poste restante, a Leonie w tym czasie, chcąc się upewnić, czy Audric Baillard rzeczywiście wyjechał z miasteczka, wybrała się do jego skromnego domku. W kieszeni miała kartkę z nutami, znaną w grobowcu. Postanowiła mu ją pokazać. Zamierzała także opowiedzieć, że maluje wizerunki, które widziała w kapliczce.

I wypytam go o plotki dotyczące Domaine de la Cade, postanowiła.

Stukała w drzwi pomalowane na niebiesko uparcie, długo,

jakby mogła ściągnąć pana Baillarda siłą woli. Wszystkie okiennice były zamknięte, skrzynki na kwiaty, otulone wołokiem, czekały na pierwsze mrozy. Najwyraźniej dłuższy czas miało tu nie być nikogo.

Zapukała po raz ostatni.

Myślała o ostrzeżeniu pana Baillarda. O jego radzie, by nie szukała kart, by nie wracała do kaplicy. Spędziła w towarzystwie tego człowieka tylko jeden wieczór, a obdarzyła go całkowitym zaufaniem. Bardzo chciała Baillardowi powiedzieć, że choć od prośzonej kolacji minęło już dużo czasu, nadal jest mu posłuszna.

Prawie całkowicie.

Nie wróciła do zapuszczonego lasu. Nie zrobiła nic, żeby się dowiedzieć czegoś więcej o dawnych dziwnych wydarzeniach. Co prawda, jeszcze nie odłożyła na miejsce książki wuja, ale do niej wcale nie zaglądała. Nawet jej nie otworzyła.

Choć było jej przykro, że nie zastała pana Baillarda w domu, umocniło się w niej postanowienie, by postępować w zgodzie z jego słowami. Przemknęło jej przez myśl, że inne zachowanie mogłoby się okazać niebezpieczne.

Odwróciła się od niebieskich drzwi i ujęła Izoldę pod ramię.

Jakieś pół godziny po powrocie do Domaine de la Cade, gdy wszystkie sprawy niecierpiące zwłoki zostały załatwione, Leonie włożyła nuty znalezione w grobowcu do schowka w stołku przy fortepianie. Pod zjedzoną przez mole kopię „Das Wohltemperierte Klavier”. Wydało jej się znaczące, że choć tak długo nosiła kartkę przy sobie, ani razu nie spróbowała zagrać utworu.

Wieczorem, gdy zdmuchnęła świecę w sypialni, po raz pierwszy pożałowała, że do tej pory nie odniosła „Les Tarots” na miejsce. Czuła natarczywą obecność książki, choć przecież dobrze ją ukryła pod włóczką, niciami i tasiemkami. Męczyły Leonie myśli o diabłach opanowujących ludzkie umysły, o dzieciach wykradanych z łóżeczek, o śladach pazurów na ziemi i na kamieniach, świadczących o uwolnieniu jakiegoś potężnego zła. Pogryzła się w niespokojnym śnie.

W środku nocy przebudziła się raptownie, przytłoczona obrazem ośmiu figur z kart tarota. Zapaliła świecę, by wystraszyć duchy i zjawy. Nie zamierzała dać się wciągnąć w ich grę.

Ponieważ teraz już rozumiała naturę ostrzeżenia pana

Baillarda. Duchy tego miejsca się do niej zbliżały. Nie powinna im ułatwiać zadania.

ROZDZIAŁ 54

Piękna pogoda utrzymała się do czwartku, dwudziestego października. Tamtego dnia stalowoszare niebo zawisło nisko nad horyzontem, a wilgotna mgła objęła Domaine de la Cade chłodnymi palcami. Z drzew zostały tylko cienie, powierzchnia jeziora się zmarszczyła, a jałowiec i krzewy ro-dodendronu kłaniały się porywistemu wiatrowi z południowego zachodu.

Leonie bardzo była rada, że aura zaczęła grymasić dopiero następnego dnia po myśliwskiej wyprawie brata. Polowanie w towarzystwie Charles'a Denarnauda odbyło się jeszcze bez deszczu. W poniedziałek Anatol wyszedł z domu o świcie. Przez ramię miał przewieszony brązowy, skórzany etui a fusil, o wypolerowanych sprzączkach, błyszczących w słońcu. W środku – pożyczoną broń. Wrócił późnym popołudniem z naręczem gołębi grzywaczy, opalony i z oczyma rozjarzonymi gorączką strzelania.

We wtorek lało jak z cebra, więc i polowanie wyglądałoby zupełnie inaczej, z pewnością okazałoby się znacznie mniej pociągającą rozrywką.

Po śniadaniu Leonie zajęła chaise longue w pokoju dziennym i zatonała w lekturze opowiadań pani Oliphant. W pewnym momencie dostarczono pocztę. Słyszała odgłos otwieranych drzwi, szmer powitań, kroki służącej na płytkach w holu, zbliżające się do gabinetu.

Nieubłaganie nadciągał jedenasty listopada, dzień świętego Marcina, czas bardzo intensywnej pracy w życiu każdego gospodarza, ponieważ właśnie wtedy należało zamknąć wszelkie roczne podsumowania, a w niektórych majątkach dokonać eksmisji. Według wyjaśnień Izoldy, właśnie tego dnia ustalało się czynsze na nadchodzący rok, a ona jako właścicielka posiadłości musiała wypełnić swoje zadanie. W zasadzie bardziej polegało

ono na słuchaniu rad zarządcy niż osobistym podejmowaniu decyzji, ale tak czy inaczej, ciotka spędziła w gabinecie dwa poranki z rzędu.

Dziewczyna wróciła do lektury. Kilka chwil później usłyszała głośniejszą rozmowę, a następnie całkiem obcy dźwięk gabinetowego dzwonka. Zdziwiona odłożyła książkę i w samych tylko pończochach podeszła do drzwi. Uchyliła je lekko, akurat na czas, by zobaczyć Anatola pędzącego Po schodach i znikającego w gabinecie.

Wystawiła głowę za framugę.

–Anatolu! – zawołała. – Są wieści z Paryża?

Najwyraźniej nie usłyszał, ponieważ nie odpowiedział, tylko zatrzasnął za sobą drzwi.

Cudownie, nie ma co.

Odczekała jeszcze chwilę, rozglądając się po korytarzu, ale skoro nic więcej się nie stało, wróciła do czytania.

Minęło pięć minut, potem dziesięć. I następne pięć. Dziewczyna wpatrywała się w drukowane słowa, lecz myślami błądziła gdzie indziej.

O godzinie jedenastej Marieta przyniosła tacę z kawą. Rozstawiła zastawę na stole. Trzy filiżanki, jak zwykle.

–Mój brat i ciotka przyjdą tutaj?

–Nic mi nie wiadomo, żeby miało być inaczej, madomaisela. W tej samej chwili Anatol i Izolda pojawili się w progu.

–Witaj, petite – powiedział. Oczy mu błyszczały.

–Słyszałam jakieś poruszenie! – Leonie zerwała się na równe nogi. – Czy przyszły wieści z Paryża?

Anatol spochmurniał.

–Niestety, nie. Nadal nie ma nic od mamy.

–Wobec tego... co się właściwie stało? – spytała, dopiero teraz zwróciwszy uwagę, że ciotka także wygląda na podekscytowaną. Nie tylko miała błyszczące oczy, ale wręcz zaczerwienione policzki.

Podeszła do Leonie, ścisnęła ją za rękę.

–Dziś rano otrzymałam z Carcassonne list, na który czekałam. Anatol stanął przed kominkiem, ręce założył za plecami.

–Zdaje mi się, że Izolda obiecywała jakiś koncert...

–Jedziemy! – ucieszyła się Leonie. Ucałowała ciotkę z dubeltówki. – Jak ja się cieszę!

Anatol zaśmiał się głośno.

–Mieliśmy nadzieję, że będziesz zadowolona. Pora roku nie jest najodpowiedniejsza na taką podróż, ale w tym względzie nie

mamy wielkiego wyboru.

–Kiedy jedziemy? – zapytała dziewczyna, przenosząc wzrok z jednego na drugie.

–Ruszamy w czwartek z samego rana. Izolda posłała już wiadomość do kancelarii prawnej, ma tam być o drugiej. – Przerwał, rzucił pani domu badawcze spojrzenie, które nie umknęło uwagi Leonie.

Serce zabiło jej mocniej.

Ciekawe, co więcej ma mi do powiedzenia, pomyślała.

–Widzisz, jest jeszcze jedna sprawa, którą powinniśmy omówić. Izolda zaproponowała, żebyśmy zostali tu nieco dłużej. Może nawet do Nowego Roku. Jak się na to zapatrujesz?

Zdumiona dziewczyna patrzyła na brata bez słowa. W pierwszej chwili wcale nie wiedziała, co właściwie ma myśleć o takiej propozycji. Czy uroki wiejskiego życia zbledną, jeśli staną się codziennością na dłużej?

–Ale... ale co z twoją pracą? Czy w magazynie dadzą sobie radę bez ciebie tak długo? A twoje inne interesy? Nie powinieneś trzymać ręki na pulsie? Pańskie oko konia tuczy...

–Jakoś sobie beze mnie poradzą jeszcze przez pewien czas – rzucił Anatol lekko. Wziął z rąk Izoldy filiżankę.

–A co z mamą? – spytała Leonie, nagle zaniepokojona wizerunkiem ślicznej, eleganckiej postaci, siedzącej samotnie w salonie przy rue de Berlin.

–Myślałem o tym, żeby i ją tutaj zaprosić – powiedział Anatol. – Oczywiście, pod warunkiem, że du Pont zdoła się bez niej obejść.

Leonie utkwiała w bracie osłupiałe spojrzenie.

On chyba nie wierzy w to, co mówi. Przecież mama za nic w świecie nie opuści Paryża. A tym bardziej nie przyjedzie tutaj!

–Nie przypuszczam, żeby generał sobie tego życzył. – Uznała za stosowne od razu stworzyć odpowiednie tło dla nieuchronnej odmowy.

–Ale, ale, moja petite, może ty po prostu masz już dosyć wiejskiego życia w towarzystwie brata? – Objął siostrę ramieniem. – I sama myśl o kolejnych tygodniach w tych warunkach napawa cię przerażeniem?

Jakiś czas trwała cisza, która mogła poprowadzić w dowolną stronę. Potem Leonie zachichotała, wreszcie zaśmiała się głośno.

–Niemożliwy jesteś! Oczywiście, że chcę zostać dłużej. Bardzo chcę!

Niczego nie chcę bardziej, tylko że...

–Tylko że? – powtórzył Anatol szybko. Spoważniała, rozłożyła ręce.

–Brakuje mi wiadomości od mamy. Anatol odstawił filiżankę, zapalił papierosa.

–Mnie także – przyznał cicho. – Jestem pewien, że tak miło spędza czas, iż nie znalazła sposobności, by do nas napisać. Trzeba też pamiętać, że mój list może został przesłany do Marne, więc to także musi potrwać.

–Chyba już wrócili do Paryża? – zdziwiła się Leonie.

**–Może tak, może nie. Trudno cokolwiek powiedzieć na pewno.
– Pokręcił głową, zamyślony. W końcu podniósł wzrok na siostrę.
– Ale projekt wycieczki do Carcassonne ci się podoba?**

–Bardzo.

–To dobrze. Wobec tego w czwartek rano pojedziemy pociągiem z Cou-izy. Courrier publique rusza z Place du Perou o piątej.

–Jak długo zostaniemy w mieście?

–Dwa dni, może trzy.

Leonie nie zdołała ukryć zawodu.

–Strasznie krótko!

–Wystarczająco.

Z uśmiechem popatrzył na Izoldę. Wymienili spojrzenia, tym razem wcale się nie kryjąc z uczuciami.

ROZDZIAŁ 55

Środa, 21 października 1891

Twarze kochanków oświetlała tylko jedna świeca.

– Powinieneś już wracać do siebie – zauważyła Izolda. – Zrobiło się późno.

Anatol założył ręce za głowę, jednym gestem wyrażając swój pogląd na tę sprawę.

Wszyscy już dawno w łóżkach – rzekł beztrosko.

Nie wiedziałam, że można być tak szczęśliwym. – Izolda uśmiechnęła się. – Nie wierzyłam, że dane nam będzie żyć razem, tutaj... – Jej uśmiech zbladł. Dłoń odruchowo uniosła się do szyi. – Boję się, że to nie potrwa długo.

Anatol pochylił się, pocałował zranioną skórę. Nawet teraz czuł, że Izolda wolałaby usunąć się spod dotyku jego warg. Blizna wiecznie przypominała jej o krótkim i gwałtownym związku z Victorem Constantem.

Dopiero po kilku miesiącach znajomości, i już po śmierci męża, pokazała się Anatolowi bez zwyczajowej stójki lub naszyjnika zakrywającego brzydką, czerwoną bliznę. A jeszcze następnych parę tygodni minęło, zanim ją przekonał, by mu opowiedziała, skąd się wzięło to okaleczenie.

Wydawało mu się wtedy, że mówienie o przeszłości pomoże Izoldzie wyrzucić ją z pamięci. Nic bardziej błędnego. Mało tego, jemu również sprawa mąciła spokój. Nawet teraz, choć znali się już dziewięć miesięcy i choć miał w pamięci całą listę fizycznych kar, jakie Constant wymierzył Izoldzie, Anatol wzdrygał się na wspomnienie chwili, gdy kochanka spokojnie, tonem wypranym z emocji, opowiadała mu, jak Victor Constant, rozjuszony

zazdrością, postanowił ją oznaczyć. Rozgrzał w ogniu swój sygnet i przycisnął metal do jej śnieżnobiałej szyi. Zemdląła z bólu. Anatol, myśląc o tej scenie, czuł słodkawą, przyprawiającą o mdłości woń palonego ciała.

Izolda знаła Constanta zaledwie kilka tygodni, nawet nie miesiąc. Siniaki zeszły, połamane palce się zrosły, ale blizna do końca życia miała jej przypominać fatalną znajomość. Niestety, zmiany, jakie zaszły w jej duszy, także nie dały się odwrócić. Anatola bolało ponad wszystko, że Izolda, tak piękna, wdzięczna i elegancka, borykała się ze strachem i brakiem pewności siebie.

–Potrwa – oznajmił stanowczo. – Tak długo jak zechcemy. Do końca świata. – Przesunął dłoń po znajomych, ukochanych kształtach, zatrzymał ją na smukłym udzie. – Wszystko się doskonale układa. Dostaliśmy licencję. Jutro spotykamy się z prawnikami Lascombe'a. Gdy tylko będziemy wiedzieli, jak wygląda twoja sytuacja względem posiadłości, dokonamy ostatecznych ustaleń. – Strzelił palcami. – Ot tak! Facile.

Sięgnął po zapalki i papierośnicę, leżące na nocnym stoliku. Pod nagą skórą zagrały mięśnie. Przypalił dwa papierosy, jednego podał Izoldzie.

Nie wszyscy będą chcieli nas przyjmować – powiedziała. – Madame Bousquet, maitre Fromilhague...

Co zrobić... – Wzruszył ramionami. – A czy bardzo ci zależy na ich opinii?

Izolda nie odpowiedziała na pytanie bezpośrednio.

–Pani Bousquet ma prawo być niezadowolona. Gdyby Jules się nie ożenił, ona odziedziczyłaby majątek. Może nawet podważyć testament.

Anatol pokręcił głową.

–Intuicja mi podpowiada, że gdyby miała takie zamiary, zrobiłaby to zaraz po śmierci Lascombe'a i otwarciu testamentu. Zobaczmy, co zawarł w kodycyli, na razie nie ma sensu się

zamartwiać. – Zaciągnął się głęboko. – Rzeczywiście, panu Fromilhague może się nie podobać pośpiech przy zawieraniu małżeństwa. Może mieć obiekcje, choć nie ma między nami więzów krwi, ale z drugiej strony, jaki by miał w tym interes? – Wzruszył ramionami. – Zachowa się jak należy. Cokolwiek by o nim mówić, jest pragmatykiem. Nie będzie chciał szkodzić majątkowi.

Izolda pokiwała głową, choć Anatol podejrzewał, że raczej chcąc mu sprawić przyjemność, a nie dlatego, by ją przekonał.

–Nadal uważasz, że powinniśmy mieszkać tutaj? – spytała. – Może jednak ukryć się w anonimowości Paryża?

A przecież powrót do miasta zawsze ją martwił. Zostawał z niej tylko cień prawdziwej Izoldy. Każdy zapach, każdy dźwięk, każdy widok sprawiał jej ból i przypominał o krótkiej znajomości z Constantem. Anatol stanowczo tego nie chciał. I ona też z pewnością za tym nie tęskniła.

Tak. Powinniśmy zamieszkać tutaj i tutaj stworzyć dom. – Położył rękę na jej brzuchu. – Zwłaszcza jeśli twoje domysły są prawdziwe. – Zajrzał jej w oczy, promieniejąc dumą. – Ciągle nie mogę uwierzyć, że zostanę ojcem.

Jeszcze za wcześnie, żeby mieć pewność – przypomniała mu łagodnie. – Ale wydaje mi się, że się nie mylę.

Położyła dłoń na jego rękę, czas jakiś milczeli. – Nie boisz się, że zostaniemy ukarani za to marcowe przedstawienie? szepnęła.

Anatol ściągnął brwi w zastanowieniu.

–O czym mówisz?

–O klinice. O udawaniu, że trzeba... przerwać ciążę.

–Nie, skądże – zaprzeczył stanowczo. Znowu zapadła cisza.

–Czy możesz dać mi słowo – odezwała się Izolda – że twoja decyzja, by nie wracać do Paryża, nie ma nic wspólnego z Victorem? Stolica jest twoim domem. Naprawdę chcesz ją opuścić na zawsze?

Anatol zgasił papierosa, przeczesał włosy palcami.

–Tyle razy o tym rozmawialiśmy – przypomniał. – Ale skoro chcesz usłyszeć to po raz kolejny, dobrze. Daję ci słowo, że naprawdę uważam Domaine de la Cade za najbardziej odpowiednie miejsce na nasz wspólny dom. – Uczynił znak krzyża na piersi. – Przysięgam, nie ma to nic wspólnego z Constantem. Ani z Paryżem. Tutaj możemy żyć spokojnie. To jest nasze miejsce. I Leonie?

–Mam nadzieję, że zechce zamieszkać z nami.

Izolda milczała dłuższą chwilę. Stężała, jakby gotowa do ucieczki.

–Nie pozwalaj mu się krzywdzić – powiedział cicho. – Wyrzuć go z pamięci.

Opuściła wzrok, a on natychmiast pożałował, że wypowiedział myśli na głos. Izolda doskonale wiedziała, jak go drażniło, że Constant tak często zajmował jej myśli. Już dawno powiedział ukochanej, jak przykry mu jest ten ciągły strach. Jakby za mało w nim samym było mężczyzny, by mógł przegnać widma przeszłości. Zdradził się ze swoją irytacją.

Izolda zatem postanowiła więcej nie poruszać drażliwego tematu. Nie dość, że wspomnienia cierpień wcale nie zbladły, to jeszcze nie chciała się nimi dzielić. A on zrozumiał wreszcie, że leczenie duszy trwa dużo dłużej niż przywracanie do zdrowia ciała. Nie pojmował tylko, dlaczego Izolda tak bardzo się wstydzi. Tłumaczyła mu niejedną raz, jak poniżyło ją zachowanie zazdrośnika. Jak ją splugawiły jego emocje, jak zbezczeszczyła świadomość, że pozwoliła się oszukać do tego stopnia, iż uwierzyła w miłość do takiego człowieka.

W najczarniejszej godzinie Anatola czasem ogarniał strach, że Izolda z powodu tej nieszczęsnej awantury, pomyłki w ocenie człowieka, uwierzyła, iż utraciła prawo do szczęścia w przyszłości. Smuciło go, że mimo jego zapewnień, mimo wyjątkowych kroków, jakie poczynili, by umknąć Constantowi, aż po pantomimę na Cimetiere de Montmartre – ciągle nie czuła się bezpieczna.

Gdyby Constant nas szukał, już byśmy o tym wiedzieli. Na początku roku nie ukrywał swoich zamiarów. – Zamilkł. Czy zna twoje nazwisko.

Nie, nie. Zostaliśmy sobie przedstawieni w gronie, gdzie wystarczały imiona.

–Wiedział, że byłaś mężatką?

Pokiwała głową.

–Wiedział, że mój mąż mieszka na wsi i pozostawia mi dużą swobodę.

pod warunkiem zachowania dyskrecji. Ale nigdy o tym nie rozmawialiśmy –Kiedy mu powiedziałam, że odchodzę, zasłoniłam się koniecznością powrotu do męża. – Zadrżała.

Anatol wiedział, że znowu przypomniała jej się noc, gdy omal nie padła ofiarą furiata.

–Constant nie znał Lascombe'a – powiedział. – Nie mylę się, prawda?

–Rzeczywiście, nie został Jules'owi przedstawiony.

–Nie znał też innego adresu oprócz rue Feydeau ani nie porobił innych znajomości poza tymi, które mu się tam przytrafiły.

–Tak. – Po chwili dorzuciła: – Ode mnie niczego nie usłyszał.

–Od pogrzebu minęło pół roku – rzekł Anatol, jakby przeprowadzał dowód matematyczny. – I nic nam nie zakłócało spokoju.

–Poza napaścią w Passage des Panoramas. Anatol ściągnął brwi.

To nie ma nic wspólnego z Constantem – powiedział szybko.

–Zabrali ci tylko zegarek po ojcu – zaprotestowała. – Jaki złodziej zo stawiłby pełen portfel?

–Szczęście w nieszczęściu – uznał. – I tyle.

Nachylił się ku niej, pogładził ją po twarzy.

–Cały czas mam oczy i uszy otwarte. Odkąd jesteśmy w Domaine de la Cade, nie zdarzyło się nic alarmującego. Nikt o nas nie wypytywał w mieście. Nikt obcy nie kręcił się po okolicy ani tym bardziej w majątku.

Izolda westchnęła.

–Nie martwi cię brak wiadomości od Marguerite?

–Rzeczywiście – przyznał. – Nie bardzo chciałem pisać, skoro już zadaliśmy sobie tyle trudu, żeby zniknąć. Przyjmuję, że jest zajęta du Pontem.

Izolda uśmiechem skwitowała jego źle skrywaną antypatię.

–Jedyną jego zbrodnią jest miłość do twojej matki – upomniała go czule.

–Niechże więc się z nią ożeni! – rzucił ostrzej, niż zamierzał.

–Przecież wiesz, że tego zrobić nie może. Ona jest wdową po komu-nardzie, on człowiekiem nieskorym do łamania konwenansów.

Anatol pokiwał głową, westchnął ciężko.

–Prawdą jest, że się mamą opiekuje. Mimo całej mojej antypatii do tego człowieka, Bóg mi świadkiem, wolę, że ona przebywa w jego towarzystwie w Marne, niżby miała być sama w Paryżu.

Izolda sięgnęła po peignoir leżący na krześle obok łóżka, narzuciła go na ramiona.

–Zimno ci? – zatroskał się Anatol.

–Trochę.

–Przynieść ci coś? Powstrzymała go gestem.

–Dziękuję, nie trzeba.

–W odmiennym stanie powinnaś...

–Nic mi nie jest zaprotestowała z uśmiechem. – Nie jestem chora.

–Mój stan jest całkowicie naturalny. Nie ma powodu do zmartwienia. _ Uśmiech na jej ustach zbladł. – Ale skoro już mowa o rodzinie, chciałabym cię nakłonić do zmiany zdania. Uważam, że powinniśmy zdradzić Leonie prawdziwy powód wizyty w Carcassonne. Powiedzieć jej, co zamierzamy. Anatol

przecięgnął ręką po włosach.

–A ja nadal uważam, że lepiej będzie, jeśli się dowie, kiedy będzie po wszystkim.

Zapalił drugiego papierosa. Siwe smugi dymu wzniosły się w górę jak sekretne pismo.

–Anatolu, czy jesteś całkowicie przekonany, że Leonie wybaczy ci tę tajemniczość? – Zamilkła na moment. – Czy wybaczy ją nam?

–Lubisz ją... – zauważył Anatol. – Bardzo mnie to cieszy.

Izolda pokiwała głową.

–Właśnie dlatego nie chcę jej dłużej zwodzić. Anatol zaciągnął się dymem.

–Zrozumie nas. Na pewno. Nie można jej mieszać w takie sprawy, to zbyt wielki ciężar jak na jej młode barki.

Nie mogę się z tobą zgodzić. Moim zdaniem, Leonie zrobi dla ciebie wszystko, zgodzi się na każdy twój plan. Tymczasem jednak... – Leciutko wzruszyła ramionami. – Jeżeli poczuje się zlekceważona, jeśli, przecież nie bezpodstawnie, uzna, że jej nie ufasz, obawiam się... Gniew może doprowadzić ją do postępowania, którego ona sama i my także możemy bardzo żałować.

–Co masz na myśli?

Wzięła go za rękę.

–Anatolu, twoja siostra już nie jest dzieckiem.

–Ma dopiero siedemnaście lat! – zaprotestował.

–Jest zazdrosna o troskę, jaką mnie otaczasz – powiedziała spokojnie.

–Nonsens.

–Jak się będzie czuła, gdy odkryje, że ją oszukaliśmy?

–Nie ma mowy o żadnym oszustwie – zapewnił. – To dyskrecja. Im mniej osób będzie znało nasze plany, tym lepiej. Położył rękę na brzuchu Izolda. Uznał temat za zamknięty. – Najmilsza moja, niedługo nasze kłopoty się skończą. – Pogładził ją po włosach, przyciągnął do siebie, pocałował. Potem wolno zsunął z jej ramion peniuar, odsłaniając pełne piersi.

Izolda zamknęła oczy.

–Już niedługo – szepnął w mleczną skórę – wszystko będzie tak. jak być powinno. Zaczniemy nowe życie.

ROZDZIAŁ 56

Carcassonne

Czwartek, 22 października 1891

O wpół do piątej dwukółka ruszyła z Domaine de la Cade. Siedzieli w niej Anatol, Leonie oraz Izolda. Marieta z Pascalem jechali na koźle, osłonięci jedynie pledem rozłożonym na kolanach.

Powóz był zamknięty, lecz popękana skórzana buda nie chroniła przed zimnem poranka. Leonie, przytulona do brata i ciotki, owinęła się ciasno długim czarnym płaszczem. Z futrzanej narzuty, używanej po raz pierwszy w tym roku, unosił się zapach kulek przeciw molom.

Dla Leonie błękitne światło brzasku i poranny chłód natychmiast stały się synonimem przygody. Już samo wstanie przed świtem nosiło znamiona wielkiego wyczynu, a do tego dochodziła jeszcze perspektywa dwóch dni w Carcassonne, zwiedzania miasta oraz wyprawy na koncert i do restauracji. Dziewczyna nie mogła się doczekać.

Gdy zjechali na drogę do Sougraigne. lampy zastukały o kabinę. Dwa punkciki światła w niebieskoszarym, zamglonym poranku.

Izolda przyznała, że spała niezbyt dobrze, co za tym idzie, czuła się nie najlepiej, a kołysanie przyprawiało ją o mdłości. Poza tym niewiele się odzywała. Anatol też przeważnie milczał.

Leonie oddychała pełną piersią. Pierwszy raz w życiu czuła ciężki zapach wilgotnej ziemi, zmieszany z wonią cyklamenów, bukszpanów, morw i kasztanowców. Nawet gołębie jeszcze spały, natomiast słyhać było pohukiwanie sów, powracających z

nocnych łowów.

Z powodu niekorzystnej aury pociąg dotarł do Carcassonne spóźniony ponad godzinę.

Leonie zaczęła z Izoldą, az Anatol wezwie powóz. Nie trwało to długo. Wkrótce minęli Pont Marengo i znaleźli się pod hotelem, rekomendowanym przez doktora Gabignaud w północnej quartier Bastide Saint-Louis.

Budynek stał przy rue du Port, na rogu jakiejś spokojnej bocznej uliczki, niedaleko kościoła Saint-Vincent. Chodniki znajdowały się nieco po wyżej poziomym brukowanej ulicy. Do czarnych drzwi hotelu, obramowanych rzeźbionym kamieniem, wiodło półkole również kamiennych stopni a pod ścianami ustawiono, zasadzone w wielkich terakotowych donicach różne drzewka ozdobne, które wyglądały jak szereg wartowników. Ze skrzynek na kwiaty pod oknami kipiła zieleń i biel. kontrastująca ze świeżo pomalowanymi okiennicami. Na bocznej ścianie znajdował się napis HOTEL ET RESTAURANT, wymalowany dużymi czarnymi literami Wnętrze okazało się nieszczęśliwie wytworne, lecz wygodne.

Anatol zajął się formalnościami i dopilnował wniesienia bagaży do pokoi. Wzięli apartament na pierwszym piętrze dla

Izoldy, Leonie oraz pokojówki, a dla Anatola pokój po drugiej stronie korytarza.

Zjedli lekki posiłek w brasserie tuż obok hotelu i umówili się o wpół do szóstej, w sam raz na szybką kolację przed koncertem. Izolda miała spotkanie z prawnikami zmarłego męża. Wyznaczone na godzinę czternastą, na ulicy Carriere Mage, Anatol postanowił jej towarzyszyć. Wychodząc, uzyskał od Leonie obietnicę, że raczej nie będzie wychodziła z hotelu, jeśli już, to nie pójdzie nigdzie bez Mariety, a już na pewno nie wybierze się na drugi brzeg rzeki, poza granice Bastide.

Znów zaczęło padać. Leonie czas jakiś rozmawiała z innym gościem hotelowym, starszą wdową, madame Sanchez, która odwiedzała Carcassonne regularnie od wielu lat. Opowiedziała ona dziewczynie, jak miasto położone poniżej cytadeli – nazywała je Basse Ville – zostało zbudowane na planie kwadratów, na modłę nowoczesnych metropolii amerykańskich. Następnie, posługując się kopiowym ołówkiem Leonie, obwiodła kółkiem na mapie, na plan de la ville, dostarczonym usłużnie przez właściciela hotelu, główny skwer oraz sam hotel i przestrzegła dziewczynę, że wiele ulic ma w rzeczywistości całkiem inne nazwy.

–Świętych zamieniono na generałów, kochanieńka – rzekła starsza dama, kręcąc głową. – I teraz słuchamy muzyki na skwerze Gambetty, zamiast na placu Świętej Cecylii. Całe szczęście, że orkiestra brzmi tak samo jak dawniej!

Gdy tylko deszcz ustał, Leonie przeprosiła nową znajomą, zapewniła ją, że doskonale sobie poradzi, i spragniona nowych wrażeń szybko przygotowała się do wyjścia.

Znalazłszy się na ulicy, narzuciła takie tempo, że Marieta ledwo za nią nadążała. A ona jak na skrzydłach biegła na La Place aux Herbes, prowadzona nawoływaniem domokrażców i kupców, turkotem kół na bruku i brzękiem uprząży. Gdy dotarła na miejsce, okazało się, że wiele straganów już się składa, lecz w

powietrzu nadal unosił się cudowny zapach pieczonych kasztanów i świeżego chleba. Z metalowych kotłów, powieszonych na rusztowaniu ręcznego wózka, parował poncz doprawiony cukrem i cynamonem.

Sam Place aux Herbes okazał się skromnym placikiem o miłych dla oka proporcjach, okolonym pięciopiętrowymi domami. Z każdego rogu prowadziły w miasto ciasne uliczki. Na środku stała bogato zdobiona osiemnastowieczna fontanna, zadedykowana Neptunowi. Leonie z obowiązku przystanęła przed tabliczką informacyjną, ale ponieważ samo dzieło stanowczo nie wzbudziło jej sympatii, długo przy nim nie zmitrężyła.

Platanes zrzucały liście, a te, które jeszcze pozostały na gałęziach, ustroiły się w miedź, bladą zieleń i złoto. Jak okiem sięgnąć wszędzie przyciągały wzrok barwne parasole, pod którymi ludzie chronili przed kapryśnym deszczem i wiatrem siebie oraz barwne towary, rozłożyste wiklinowe paniers ze świeżymi warzywami, owocami, ziołami i jesiennymi kwiatami. Jakaś kobieta, cała ubrana na czarno, o twarzy zniszczonej słońcem i wiatrem, sprzedawała chleb i chevres, kozi ser, prosto z wysokich plecionych corbeilles.

Ku zaskoczeniu i radości dziewczyny, prawie cały jeden bok placu zajmował ogromny dom handlowy. Jego nazwa, wyrażona wielkimi literami, przytwierdzonymi drutem do żelaznej balustrady balkonu głosiła: PARIS CARCASSONNE. I choć dopiero minęło wpół do trzeciej, już wystawiano towary okazyjne – solde d'artides, reclame absolutement sacrifies – ale całkowicie pełnowartościowe. Na jednym ze stojaków prezentowano broń myśliwską, suknie pret-a-porter, w odróżnieniu od szytych na miarę, kosze, najróżniejsze przedmioty użytku domowego, blachy do pieczenia, a nawet kuchenki i piekarniki.

Mogłabym kupić jakiś sprzęt myśliwski dla Anatola, przebiegło jej przez głowę.

Myśl zgasła równie szybko, jak się pojawiła. Dziewczyna miała

bardzo niewiele gotówki, a możliwości zaciągnięcia kredytu – żadnej. Zresztą nie wiedziałyby, od czego zacząć i co właściwie byłoby mu potrzebne. Wobec tego zafascynowana urządziła sobie spacer wokół marche. Taki targ to wydarzenie jedyne w swoim rodzaju. Wydawało jej się, że wszyscy kupcy mają uśmiechnięte twarze. Brała w rękę kolejne warzywa, rozcierała w palcach zioła, wdychała cudny zapach wysokich kwiatów, zachłannie, jak nigdy przedtem, jak nigdy w Paryżu.

Gdy obejrzała już wszystko, co Place aux Herbes miał do zaoferowania, postanowiła zapaść się w uliczki od niego odchodzące. Najpierw skierowała się na zachód i zdziwiona stwierdziła, że znajduje się na Carriere Mage, na ulicy, gdzie mieściła się kancelaria prawna, w której miała spotkanie Izolda. Znajdowały się tutaj głównie biura oraz ateliers de cou-turiers. Dziewczyna zatrzymała się przed pracownią Tissusa Cathali. Przez szklane drzwi widać było ubrania we wszystkich kolorach tęczy oraz niesłychany wybór tkanin. Na drewnianych okiennicach po obu stronach wejścia przypięto pinezkami rysunki, przedstawiające les modes masculine et feminine, od porannych strojów męskich zaczynając, poprzez różnorodne stroje kobiece, na pelerynach kończąc.

Dłuższy czas oglądała modele, zerkając niekiedy w stronę biur prawniczych, czy nie zobaczy przypadkiem Izoldy i Anatola. Skoro jednak minuty mijały, a ich nie było widać, pozwoliła się skusić sklepom w głębi ulicy.

Wciąż z Marietą depczącą jej po piętach ruszyła w stronę rzeki. Zatrzymała się kilka razy, by przez okna o dzielonych szybach obejrzeć ofertę antykwariatów. Znalazła też librairie, gdzie, jak to w księgarni, półki z ciemnego drewna ugiwały się od tomów oprawionych w czerwoną, zieloną i niebieską skórę. Pod

numerem siedemdziesiątym piątym z epiceriefme dobiegał kuszący zapach świeżo zmielonej kawy. Przystanęła na chodniku, zaglądając do środka przez trzy wysokie okna. Na szklanych i drewnianych półkach wystawiono chyba z tysiąc gatunków kawy, a także wszelkie przybory potrzebne do jej parzenia, dzbanki do używania na kuchni i nad ogniem. Napis nad drzwiami dumnie ogłaszał właściciela: Elie Hue. W środku, na jednej ścianie, wisiały na hakach pęta suszonych kiełbas, a na drugiej pęki tymianku, rozmarynu i szalwii. Tam też pysznił się stół zastawiony talerzami oraz słojami pełnymi marynowanych wiśni i śliwek w occie.

Postanowiła kupić prezent dla Izoldy, drobiazg w podziękowaniu za wycieczkę do Carcassonne. Weszła do sklepu jak Aladyn do zbójckiego skarbcza.

Marieta, zostawiona sama sobie na chodniku, wykręcała palce ze zdenerwowania.

Po jakichś dziesięciu minutach Leonie wyszła ze sklepu, dzierżąc zawinięty w biały papier pakunek z najwspanialszą arabską kawą oraz wysokim, smukłym słoikiem owoców kandyzowanych.

Zaczynała mieć dość wystraszonej Mariety, idącej za nią krok w krok niczym wierny pies.

Psotna myśl zrodziła jej się w głowie.

Czy się ośmielę?

Owszem, usłyszy parę słów od Anatola. Ale z drugiej strony, jeśli się szybko zwinie, a Marieta będzie trzymała język za zębami, brat się o niczym nie dowie. Zerknęła w stronę rzeki. A potem tam, skąd przyszła. Dostrzegła kilka kobiet jej stanu, spacerujących bez opieki. Może nie była to ogólnie przyjęta norma, jednak fakt, że nikt nie zwracał na nie szczególnej uwagi.

Anatol jak zwykle przesadzał.

W środku miasta nie potrzebuję psa obronnego.

–Marieto – zwróciła się do służącej – nie chcę tego nosić ze sobą. – Wetknęła dziewczynie paczkę w ręce, a następnie uważnym spojrzeniem zmierzyła niebo. – Obawiam się, że może znowu zacząć padać – dodała. – Najlepiej będzie, jeśli odniesiesz paczkę do hotelu i weźmiesz stamtąd parasolkę. Zaczekam na ciebie tutaj.

W oczach pokojówki błysnęła troska.

–Ale senher Vernier powiedział, żebym ciągle była z panienką.

–Wrócisz za dziesięć minut oznajmiła Leonie stanowczo. – Nawet się nie obejrzyj. A on przecież o niczym nie będzie wiedział. – Leciutko poklepała białe zawiniątko. Ta kawa jest prezentem dla cici, nie może zamoknąć. Pamiętaj, przynieś parasolkę. Mój brat ci nie podziękuję, jeśli się przeziębę wytoczyła ostatnie działo.

Marieta, nadal nieprzekonana, wbiła wzrok w pakunek.

–Biegnij, prędko – popędziła ją Leonie. – I zaraz wracaj.

Służąca pośpieszyła z powrotem Carriere Mage, co chwila rzucając spojrzenia przez ramię, by się upewnić, że jej młoda pani nie zniknęła.

A Leonie uśmiechnęła się szeroko, zadowolona z niewinnego wybiegu. Nie zamierzała się sprzeciwiać zaleceniom Anatola i opuszczać Bastide. Wręcz przeciwnie, uznała, że zaledwie przejdzie się kawałek w stronę rzeki, byle zerknąć na średniowieczną cytadelę z lewego brzegu Aude. Bardzo była ciekawa miasta, o którym słyszała od Izoldy i które tak ukochał pan Baillard.

Wyjęła z kieszeni plan, przyjrzała mu się uważnie.

To z pewnością niedaleko.

Gdyby Marieta przypadkiem wróciła pod sklep pierwsza, Leonie wyjaśni, że poszła do kancelarii prawniczej, chcąc wrócić z Izoldą i Anatolem.

Zadowolona z idealnego planu, z wysoko uniesioną głową przeszła rue Pelisserie. Czowała się niezależna, przedsiębiorcza i śmiała, i bardzo jej się to uczucie podobało. Minęła marmurowe kolumny Hotel de Ville – na dachu ratusza powiewała flaga tricolore – i poszła w stronę odnalezionego na planie dawnego zakonu klarysek. Na szczycie jedynej pozostałej wieżyczki, pod zdobioną kopułą, wisiał samotny dzwon.

Następnie wyszła z siatki ciasnych ulic na obsadzony drzewami, cichy Square Gambetta. Przeczytała tablicę upamiętniającą pracę architekta, Leopolda Petita, który zaprojektował park i nadzorował jego budowę. Pośrodku skweru znajdowała się sadzawka, z której wysoko w górę tryskał pojedynczy strumień wody, rozsiewając dookoła mokrą mgiełkę. Podest dla orkiestry, pomyślany w stylu japońskim, otaczały białe krzeselka, pozostawione w nieładzie. Na ziemi poniewierały się kawałki wafli od lodów, papierki oraz niedopałki, wymownie świadczące o tym, iż koncert się już skończył. Na zapomnianych ulotkach odcisnęły się błotniste ślady butów. Leonie podniosła jedną.

Z zielonego skweru skręciła w prawo, w dość nieciekawą brukowaną ulicę, rue du Pont Vieux, biegnącą wzdłuż boku szpitala i prowadzącą -zgodnie z nazwą – na stary most. Na skrzyżowaniu trzech uliczek stała fontanna ozdobiona figurą z mosiądzu. Leonie przetarła tabliczkę z wilgoci i przeczytała: La Samaritaine, Florę, Pomone. Antyczną boginię obserwował chrześcijański święty, Wincenty a Paulo, stojący na budynku szpitala Hópital des Malades, niedaleko wejścia na most. Dobrotliwym spojrzeniem i otwartymi ramionami obejmował także kaplicę o wysokim łukowatym wejściu, zwieńczonym przeszkloną rozetą.

Wszystko tutaj świadczyło o luksusie, pieniądzach i wpływach.

Dziewczyna odwróciła się i po raz pierwszy ujrzała La Cite, cytadelę pobudowaną na wzgórzu, po drugiej stronie rzeki. Aż jej

zapało dech w piersiach. Twierdza była zarazem znacznie potężniejsza, a jednocześnie bliższa człowiekowi, niż Leonie sobie wyobrażała. Widywała, oczywiście, dość często spotykane widokówki, przedstawiające średniowieczne miasto, najczęściej okraszone słynną myślą Gustave'a Nadaud: Il ne faut pas mourir sans avoir vu Carcassonne – nie należy umierać, póki się nie zobaczy Carcassonne, lecz do tej pory uważała te słowa za slogan reklamowy. Teraz przekonała się, że są stwierdzeniem rzeczywistego faktu.

Woda w rzece była wysoka. Miejscami nawet wylewała się na trawę-sty brzeg, omywając kamienne fundamenty kaplicy pod wezwaniem świętego Wincentego a Paulo oraz budynków szpitalnych. Leonie nie miała zamiaru ignorować ostrzeżeń brata, jednak sama, nie wiedząc kiedy, weszła na łagodne wzniesienie mostu, łączącego oba brzegi rzeki rzędem kamiennych łuków.

Tylko kilka kroków, zaraz wróć, napomniała się.

Po drugiej stronie rosły drzewa. Pomiędzy gałęziami widać było młyny wodne, płaskie dachy gorzelnii oraz warsztatów tekstylnych z filatures me-canigues, mechanicznymi przędzalniami. Dziwny widok, właściwie jak na wsi. Zupełnie inny świat, obrazek z dawnych czasów.

Podniosła wzrok na zniszczonego kamiennego Jezusa, ukrzyżowanego na łuku wzniesionym pośrodku mostu, omiotła spojrzeniem niszę w niskiej ścianie, gdzie przechodzący mogli przysiąść na kilka chwil albo usunąć się z drogi powozów i wózków z piwem.

Zrobiła jeszcze krok, potem następny, i sama, nie wiedząc kiedy, przeszła z bezpiecznej dzielnicy Bastide do romantycznego La Cite.

ROZDZIAŁ 57

Izolda i Anatol stali przed ołtarzem.

Godzinę wcześniej podpisali wszelkie niezbędne dokumenty. Warunki ostatniej woli Jules'a Lascombe'a zostały spełnione i – po przerwie letniej – zweryfikowane.

Lascombe zostawił swój majątek wdowie. Gdyby natomiast ponownie wyszła ona za mąż, posiadłość miała odziedziczyć – czego się nikt nie spodziewał – Marguerite Vernier, z domu Lascombe.

Gdy prawnik odczytał testament suchym, schrypniętym głosem, Anatolowi dłuższą chwilę zajęło zrozumienie, że dokument odnosi się również do niego. Wiele go kosztowało powstrzymanie wybuchu śmiechu. Do-main de la Cade tak czy inaczej miała się stać jego własnością.

Teraz, gdy stali naprzeciwko siebie w jezuickiej kapliczce, a duchowny wypowiadał ostatnie słowa krótkiej ceremonii, która łączyła ich związkiem małżeńskim, wziął Izoldę za rękę.

–Madame Vernier, enfin – szepnął. – Nareszcie. Mon coeur. Moje serce. Moja najdroższa. Moja żona.

Świadkowie, osoby poproszone z ulicy, uśmiechnęli się, widząc ten gest miłości. Żalowali jedynie, że uroczystość jest tak skromna.

Nowożeńcy wyszli z kaplicy skąpani w graniu dzwonów.

Raptem huknął grzmot.

Chcąc spędzić pierwsze chwile małżeństwa we dwoje, przekonani, iż Leonie pod opieką Mariety czeka w hotelu na ich powrót, pobiegli ulicą do pierwszego lokalu z brzegu.

Anatol zamówił butelkę cristala, najdroższego szampana z

karty. Wymienili drobne podarunki. Izolda dostała srebrny medaJionik z dwiema miniaturkami: swoją po jednej stronie, Anatola po drugiej. On został obdarowany przepięknym złotym zegarkiem z wygrawerowanymi inicjałami.

Przez godzinę pili, rozmawiali i uszczęśliwieni patrzyli sobie w oczy.

W okna restauracji zastukały pierwsze ciężkie krople deszczu.

ROZDZIAŁ 58

Schodząc z mostu, Leonie poczuła ukłucie niepokoju. Nie mogła już udawać, że przestrzega zaleceń brata. Odepchnęła więc tę niewygodną myśl. Obejrzawszy się przez ramię, dostrzegła czarną chmurę nadciągającą nad Bastide.

Szybko przekonała samą siebie, że w takiej chwili mądrzej będzie zostać na drugim brzegu, jak najdalej od burzy. W zasadzie nierozsądne byłoby w tej chwili wracać do Basse Ville. A poza tym odważna dama, odkrywca, łowca przygód i podróżnik, nie zawróci z drogi tylko dlatego, że jej brat miałby inne zdanie na temat wyprawy.

Quartier Trivalle nie była piękna, a nawet uderzała brzydotą ubóstwa. Wszystkie dzieci biegały na bosaka. Przy drodze siedział żebrak o oczach powleczonej bielmem, owinięty szmatami koloru mokrego chodnika. Słyszac kroki, wyciągnął do przechodzącej pocerniałe od nędzy dłonie z brudnym kubkiem. Rzuciła mu monetę i poszła dalej, ostrożnie stąpając po śliskim bruku. Po obu stronach ulicy ciągnęły się brzydkie domy. Ze zniszczonych okiennic oblażyła farba. Leonie zmarszczyła nos. Wszędzie widziała ciasnotę i zaniedbanie.

W La Cite będzie lepiej, uznała.

Droga prowadziła łagodnie w górę. Gdy dziewczyna wyszła spomiędzy budynków na otwartą przestrzeń, znalazła się na podejściu do samej cytadeli. Po lewej, na szczycie wykruszonych schodów, dostrzegła ciężkie drewniane drzwi, osadzone w szarym murze. Zniszczona tablica oznajmiała czytającemu, że znajdował się przed wejściem do klasztoru franciszkańskiego.

Do dawnego klasztoru.

Ani ona, ani brat nie zostali wychowani w cieniu Kościoła. Marguente była wolnym duchem, a republikańskie sympatie ojca

oznaczały, że – jak to kiedyś Anatol objaśnił siostrze – Leo Vernier uważał kler za takich samych wrogów ustanowienia prawdziwej republiki, jak arystokrację. Niemniej jednak romantyczna wyobraźnia kazała dziewczynie żałować, że bezkompromisowe starcie polityki i postępu wymagało poświęcenia piękna zasadam. Uduchowiona architektura przemawiała do niej wymownie, nawet gdy nie docierało echo słów wypowiedzianych niegdyś w budynku zakonu.

W refleksyjnym nastroju poszła dalej, mijając kolejny charakterystyczny punkt, Maison de Montmorency, z belkami na elewacji, z oknami obłożonymi łupkiem, kryształowymi szybami, odbijającymi światło w błękitach, różach i złocie, mimo poszarzałego nieba.

Na rue Trivalle skręciła w prawo. I ujrzała przed sobą wysokie, smukłe wieże koloru piasku. Brama Narbońska. Główne wejście do La Cite. Serce jej zadrżało na widok podwójnego pierścienia murów obronnych, łączonych wieżami odcinającymi się ostro na tle nieba. Jedne zwieńczone były czerwoną dachówką, inne szarym łupkiem.

Zebrawszy spódnicę w jedną rękę, ułatwiła sobie wspinaczkę i ruszyła pod górę z nową energią. Gdy podeszła bliżej, ujrzała za murem cmentarza czubki szarych nagrobków, zdobionych wyniosłymi aniołami oraz krzyżami.

Dalej ciągnęły się pastwiska i łąki.

Przystanęła dla złapania oddechu. Od cytadeli dzieliła ją jeszcze trawiasta fosa o brzegach połączonych brukowanym mostem. Przed nim stała prostokątna budka, w której pobierano myto. Obok tkwił mężczyzna w zniszczonym cylindrze, ze staromodnymi wąsami. Ręce trzymał w kieszeniach. Czekał na klientów: woźniców zwożących do miasta wszelkie dobra i kupców z beczkami piwa.

Na szerokim, niskim murze mostu siedziało trzech żołnierzy. Jeden z nich miał na sobie niebieską napoleońską pelerynę i

pociągał fajkę, równie czarną jak jego zęby. Wszyscy trzej śmiali się głośno. W pewnym momencie dziewczyna odniosła wrażenie, że ten z fajką spojrzał na nią uważniej i przyglądał jej się chwilę za długo, dość impertynenckim spojrzeniem. W końcu jednak odwrócił wzrok. Ale i tak minęła żołnierzy najszybciej, jak mogła.

Gdy schodziła z mostu, uderzył w nią wiatr. Musiała przytrzymać kapelusz, a drugą ręką strzepnąć spódnice krępujące nogi. Szła z niejakim trudem, mrużąc oczy przed pyłem.

W samym La Cite wiatru nie było. Leonie przystanąła, poprawiła ubranie i dopiero wtedy ruszyła dalej, starając się nie zamoczyć butów w ścieku płynącym środkiem ulicy. Znalazła się między zewnętrznymi i wewnętrznymi fortyfikacjami. Jacyś dwaj chłopcy na zmianę miarowo naciskali metalowe ramię pompy, napełniając wodą metalowe wiadro. Po bokach Leonie miała ruiny domów przeznaczonych do rozbiórki. W jednym z nich na piętrze widać było szczątki poczerniałego od sadzy kominka, teraz na wpół zawieszzonego w powietrzu.

Poniewczasie przyszło jej do głowy, że mogła wziąć nie tylko mapę, ale i przewodnik. Trudno. Zapytała kogoś o drogę i uzyskała informację, że zamek znajduje się dokładnie przed nią, pod zachodnią częścią murów obronnych. Ruszyła więc w dalszą drogę, choć zaczynała czuć niepokój.

Wcześniej, gdy z daleka patrzyła na cytadelę, widziała jej majestat i piękno. Potem minęła omiatane wiatrem hautes lices, blanki, przestrzeń między dwoma pierścieniami murów obronnych. Natomiast w samym średniowiecznym mieście było dziwnie mroczno. I w dodatku brudno. Bruk pokrywało błoto. Z rynsztoków wylewały się śmieci.

Odczytawszy informację na malowanym ręcznie drewnianym znaku ruszyła w górę wąską uliczką. Do Chateau Comtal, gdzie stacjonował garnizon.

Tutaj również doznała rozczarowania. Z tego, co wcześniej przeczytała, wiedziała, że zamek był niegdyś siedzibą rodu Trencavelów, dynastii panującej na tych ziemiach przed setkami lat. Wyobrażała sobie bajkowy pałac, jak jeden z tych, które stały nad brzegiem Rodanu czy Loary. W głębi duszy widziała rozległe

dziedzińce i wielkie hole, gdzie przechadzały się damy w ogoniastych sukniach, a chevaliers, jak to zwykle rycerze, szykowali się do bitwy.

Chateau Comtal wyglądał zupełnie inaczej. Szary, monotony budynek każdym kamieniem mówił o swoim militarnym przeznaczeniu. W wieży nazywanej Tour de Vade, w cieniu murów obronnych, znajdował się magazyn prochu. Tylko jeden strażnik stał na warcie; z nudów dłubał w zębach. Otoczenie robiło wrażenie zaniedbanego, sama budowla była do przyjęcia, ale też nie cieszyła oka.

Leonie chwilę obserwowała scenę spod ronda kapelusza, usiłując się doszukać jakiegoś romantyzmu w zwykłym moście czy funkcjonalnej wąskiej furcie, prowadzącej do samego zamku. Na próżno. Odwróciła się na pięcie. Jej zdaniem, wysiłki zmierzające ku temu, by z La Cite uczynić perłę turystycznych atrakcji, spełzły na niczym. Nie potrafiła sobie wyobrazić tych ulic pełnych turystów. Były nudne, nie przystawały do współczesnych gustów ani mody. Świeżo postawione ściany z mechanicznie ciętego kamienia tylko podkreślały fatalny stan autentycznych fragmentów murów. Można było jedynie mieć nadzieję, że gdy prace dobiegną końca, atmosfera ulegnie zmianie. Że nowe restauracje, sklepy, a może nawet hotele tchną życie w kręte uliczki.

Jakiś czas spacerowała po La Cite. Napotkała nielicznych zwiedzających, damy z dłońmi ukrytymi w ciepłych futrzanych mufkach, dżentelmenów w cylindrach i z laskami. Wszyscy życzyli jej miłego popołudnia.

Wiatr przybierał na sile, aż w końcu zmuszona była wyjąć z kieszeni chusteczkę i osłonić nią usta oraz nos, bo drobny pył utrudniał oddychanie. Szła plątaniną przejść i zaułków, aż w którejś chwili stanęła przy starym kamiennym krzyżu, wzniesionym nad tarasowymi ogrodami, gdzie rosły warzywa i winogrona, gdzie w zagrodach hodowano kury i króliki w klatkach. Niżej przycupnęła garstka stłoczonych domów.

Z tego miejsca miała doskonały widok na rzekę. Niespokojna czarna woda pędziła przez młyny, szybko obracając łopaty. Dalej, na drugim brzegu, rozciągała się Bastide. Dziewczyna łatwo znalazła wieżycę katedry Świętego Michała i wysoką dzwonnice kościoła Saint-Vincent, tuż koło hotelu. Zaniepokoiła się. Uświadomiła sobie, że może zostać w La Cite, odcięta przez wzburzoną rzekę, Basse Ville wydało jej się nagle bardzo dalekie. A cały misterny plan, według którego miała wyznać bratu, że się zgubiła wśród wąskich uliczek Bastide, spali na panewce, jeśli powódź odetnie ją od tamtej dzielnicy.

Jakiś ruch nad głową przyciągnął jej uwagę. Na tle poszarzałego nieba stado wron walczyło z jesiennym wiatrem nad średniowiecznymi wieżyczkami i blankami.

Leonie zaczęła się śpieszyć.

Na twarzy poczuła pierwszą kroplę deszczu. Zaraz potem drugą i następną, a każda kolejna była cięższa i zimniejsza. Chwilę później rozległ się grzmot.

I nagle wszystko spłynęło wodą.

Rozpętała się burza.

ROZDZIAŁ 59

Leonie rozejrzała się za jakimś schronieniem, lecz nic nie znalazła. W połowie stromej brukowanej uliczki, łączącej cytadelę z quartier Barbacane pod murami obronnymi, nie było ani drzew, ani budynków. Wracać na górę, do La Cite, nie miała już siły.

W tej sytuacji nie pozostawało nic innego, jak tylko iść dalej w dół.

Potykając się i ślizgając, ruszyła po calada, podciągając spódnice wyżej kostek, żeby nie nasiąkły wodą płynącą po bruku wartkim strumieniem. Wiatr gwizdał jej w uszach, wciskał deszcz pod rondo kapelusza i oblepiał ją mokrym płaszczem.

Nie zwróciła uwagi na dwóch mężczyzn, obserwujących ją zza kamiennego krzyża. Jeden z nich był świetnie ubrany, strój zdradzał człowieka o pewnym znaczeniu i statusie. Drugi niski, o skórze spalonej słońcem, owinięty napoleońską peleryną. Wymienili kilka słów. Błysnęły monety przechodzące z dłoni w skórzanej rękawiczce do brudnej ręki starego żołnierza i każdy poszedł w swoją stronę. Wojak zniknął między murami La Cite.

Dżentelmen ruszył za Leonie.

Zanim dotarła do Place Saint-Gimer, była przemoczona do nitki.

Ponieważ w okolicy próżno by szukać restauracji czy kawiarni, pozostało jej schronić się w kościele. Spiesznie wbiegła po gładkich nowych stopniach i minęła uchyloną żelazną bramę. Pchnąwszy drewniane drzwi, znalazła się w środku. W świątyni panował chłód. Owszem, na ołtarzu i w kaplicach płonęły świece,

ale dawały tylko światło, nie ciepło. Leonie zadygotała, tupnęła, strząsając z siebie wodę. Natychmiast objął ją zapach wilgotnego kamienia i kadzidła. W pierwszej chwili nie bardzo wiedziała, co dalej, ale szybko sobie uświadomiła, że spędzi w kościele Saint-Gimer jakiś czas, wobec czego należało zadbać, żeby się nie przeziębnić, i to było znacznie istotniejsze niż wygląd. Zdjęła więc rękawiczki oraz przemoczony kapelusz. Gdy jej wzrok przywykł do półmroku, zorientowała się z niemałą ulgą, iż nie ona jedna znalazła w świątyni schronienie przed burzą. Zebrało się tu dziwne towarzystwo, rozproszone po nawie i bocznych kaplicach. Większość osób wolnym krokiem przechadzała się to tu, to tam. Pewien dżentelmen w cylindrze i eleganckim płaszczu, trzymając pod ramię swoją towarzyszkę, siedział w ławie tak sztywno wyprostowany, jakby go atakował jakiś odstręczający zapach. Na kamiennej podłodze rozłożyli się mieszkańcy quartier, wielu z nich na bosaka i ubranych nieodpowiednio do pory roku. Był tam nawet osiołek oraz kobieta ściskająca dwa kurczaki, po jednym pod każdą pachą.

–Wyjątkowy widok – usłyszała Leonie tuż przy uchu męski głos. – Ale

trzeba pamiętać, że świątynia zaprasza wszystkich, którzy chcą do niej wejść.

Zaskoczona taką bezpośredniością dziewczyna obróciła się gwałtownie. Szary cylinder i ocieplany surdut świadczyły o klasie mężczyzny, podobnie jak srebrna główka laski oraz rękawiczki z kozłej skóry. Elegancję stroju podkreślały niesłychanie błękitne oczy.

Przez moment Leonie miała wrażenie, że już gdzieś tego człowieka widziała. Zaraz jednak zdała sobie sprawę, że prezentuje on, najzwyczajniej w świecie, styl podobny do stylu Anatola.

Było w nim coś jeszcze, coś w zbyt bezpośrednim spojrzeniu,

w jakimś przebiegłym rysie twarzy, co spowodowało u Leonie niespodziewanie szybsze bicie serca.

–Cóż... – Zaczerwieniła się uroczo. – Ja... – spuściła wzrok.

–Proszę o wybaczenie – rzekł szybko. – Nie zamierzałem panienki urazić. W normalnych okolicznościach, oczywiście, nie zwróciłbym się do damy, nie będąc przedstawionym. Nawet w takim miejscu. – Uśmiechnął się. – Warunki jednak są raczej niecodzienne.

Ujął dziewczynę nienagannymi manierami. Podniosła na niego oczy.

–Rzeczywiście. Niecodzienne.

–Odważnie uznałem, że między uciekinierami zgromadzonymi w świątyni zwykłe zasady etykiety można nieco zmodyfikować. – Uchylił kapelusza, odsłaniając wysokie czoło i błyszczące włosy, przycięte idealnie na wysokości kołnierzyka. – Czy możemy zostać przyjaciółmi na ten czas? Nie obrażam panienki taką prośbą?

Leonie pokręciła głową.

–W najmniejszym stopniu odparła jasnym głosem. Zresztą kto wie, jak długo będziemy musieli tu zostać?

Zdawało jej się, że jest spięta, mówi głosem zbyt wysokim, zbyt cienkim, żeby się mógł podobać. Tymczasem obcy nadal się uśmiechał, jakby me zauważył nic niestosownego.

–Rzeczywiście, trudno przewidzieć. Rozejrzał się dookoła. – Mając jednak na uwadze względy pizyzwoitości, pozwolę sobie przedstawić się sam. W ten sposób już nie będziemy dla siebie obcy i twój stróż, panienko, nie będzie miał powodów do niepokoju.

–Och, ja jestem... – urwała. Nieroztropnie byłoby zdradzać, że przyszła tutaj sama. – Będę zaszczycona.

Pochylił się w lekkim ukłonie, z kieszeni wyjął wizytówkę.

–Victor Constant, mademoiselle.

Przyjęła elegancką, tłoczoną kartę z udawaną obojętnością. Nie wiedząc, co właściwie powinna teraz powiedzieć, milcząc, wbiła wzrok w drukowane litery. Żałowała, że zdjęła rękawiczki. Pod turkusowym spojrzeniem tego człowieka czuła się prawie naga.

–Czy zechce mi panienka wybaczyć impertynencję, jeśli spytam o jej imię?

Zaśmiała się odruchowo.

–Oczywiście. Przykro mi, że nie... Niestety, nie mam przy sobie wizytówek – skłamała, sama nie wiedząc dlaczego. – Nazywam się Leonie Vernier.

Constant ujął jej gołą dłoń i uniósł do ust.

–Enchante.

Gdy dotknął wargami skóry, dziewczynę przeszedł dreszcz. Usłyszała swój własny przyśpieszony oddech, poczuła, że szkarłat zalewa jej policzki. Zanim uświadomiła sobie, co robi, wyrwała palce z jego dłoni.

A on, szarmancki nieomal do przesady, udał, że tego nie zauważył. Od razu poczuła do niego sympatię.

–Dlaczego przyjął pan, że jestem tu w towarzystwie stróża? – spytała, gdy uznała, że już może zaufać własnemu głosowi. – Mogłam być z mężem.

–To prawda, jednak trudno mi sobie wyobrazić męża tak mało rycerskiego, żeby piękną młodą żonę zostawiał samą. – Powiódł wzrokiem po zebranych w kościele. – Na dodatek w tego rodzaju towarzystwie.

Leonie rozkwitła w ciepłe komplementu, ale skryła uśmiech zadowolenia. Jakiś czas oboje przyglądali się ludziom w kościele.

–Mój mąż mógł pójść po służbę.

–Nie wyszłabyś, panienko, za takiego głupca. – Była w jego głosie jakaś moc, namiętność, od której serce Leonie wywinęło kozła.

Opuścił wzrok na jej dłoń bez rękawiczki – i bez obrączki.

–Cóż, przyznaję, jest pan człowiekiem spostrzegawczym, monsieur

Constant – rzekła. – I ma pan rację, nie jestem mężatką.

–Jakież małż pozwoliłby się rozdzielić z taką żoną, chociaż na chwilę.

Przekrzywiła głowę.

–Na przykład pan z pewnością by tego nie zrobił? – spytała impulsywnie, zanim się zastanowiła, co robi.

–Ja, niestety, nie jestem żonaty. – Na jego ustach z wolna wykwitł uśmiech. – Chodziło mi jedynie o to, że gdybym był w posiadaniu takiego skarbu, bardziej bym się o niego troszczył.

Ich spojrzenia się spotkały. Zielone i niebieskie.

Leonie zaśmiała się, by skryć emocje. Kilka osób odwróciło się w jej stronę.

Constant położył palec na ustach.

–Ciii... – rzekł, puszcżając perskie oko. – Tak swobodne zachowanie najwyraźniej nie jest tu dobrze widziane. – Ściszył głos jeszcze bardziej, aż musiała się przysunąć bliżej, by słyszeć. Znajdowali się teraz tak blisko siebie, że nieomal się dotykali. Leonie czuła bijące od mężczyzny ciepło, jakby prawą stroną ciała zwróciła się ku palenisku. Wróciły do niej słowa Izoldy, gdy ciotka mówiła o miłości, wtedy na cyplu nad jeziorem. Zaczynała rozumieć, co to takiego.

–Czy mogę panience powierzyć sekret? – zapytał.

–Jak najbardziej.

–Wydaje mi się, że wiem, co panienkę tu sprowadziło. Leonie

uniosła brwi.

–Doprawdy?

–Wyglądasz, panienko, na samotną poszukiwaczkę przygód.
Weszłaś

do kościoła sama, przemoczona do nitki, co oznacza, że nie
ma z tobą słu

żącej, w przeciwnym razie miałabyś parasolkę. I oczy masz jak
szmaragdy,

błyszczące zauroczeniem chwilą.

Przerwał im strumień gniewnych hiszpańskich słów. Jakieś
nieporozumienie w łonie rodziny siedzącej nieopodal.

Leonie czuła się dziwnie i zdawała sobie sprawę z
niebezpieczeństwa. Z tego, że omamiona urodą wyjątkowego
momentu może powiedzieć coś, czego potem będzie żałowała.

W myślach rozważała komplement.

Oczy błyszczące jak szmaragdy.

–Wielu Hiszpanów pracuje tutaj w przemyśle tekstylnym –
rzekł Constant, dostrzegając jej niepokój. – Zanim rozpoczęły się
prace renowacyjne, przed rokiem tysiąc osiemset czterdziestym
siódmym La Cite było głównym ośrodkiem tej produkcji w
okolicy.

–Jest pan doskonale poinformowany. Czy zaangażował się
pan w odbudowę cytadeli? Jest pan może architektem?

Zdawało jej się, że niebieskie oczy błysnęły zadowoleniem.

–Pochlebia mi panienka. Nie. Prowadzę tu niewielkie interesy.
W zupełnie innej skali.

–Rozumiem.

Niestety, nie umiała powiedzieć nic zajmującego. A przecież
pragnęła podtrzymać rozmowę. Dlatego też szukała jakiegoś

tematu, który by go wciągnął. Chciała, by ją uznał za osobę inteligentną, czarującą, dowcipną. Na szczęście Victor Constant mówił dalej, bez pomocy swej rozmówczynie:

–W końcu jedenastego wieku powstał kościół pod wezwaniem Saint-

–Gimer, niedaleko stąd. Ten budynek został poświęcony w tysiąc osiemset

pięćdziesiątym dziewiątym, gdy stało się jasne, że stan poprzedniej świątyni

ni wskazuje raczej na to, że lepiej będzie wznieść nową niż odnawiać starą.

–Rozumiem – powtórzyła i skrzywiła się w duchu.

Ależ jestem nudna, pomyślała. Zwyczajnie głupia gęś.

–Budowę kościoła rozpoczęto pod auspicjami pana Viollet-le-Duca –

ciągnął Constant – choć dość szybko przekazano przedsięwzięcie miejscowemu architektowi, panu Calsowi. – Położył dłonie na ramionach dziewczyny i obrócił ją twarzą do nawy.

Leonie aż zaparło dech w piersiach. Oblała ją fala gorąca.

–Ołtarz, apsyda i kaplice to praca Viollet-le-Duca – podjął Constant – Bardzo typowa dla niego mieszanka stylów północnych i południowych. Wiele przedmiotów zostało przeniesionych z oryginalnego budynku

I choć jest to miejsce nieco jak na mój gust zbyt współczesne, trudno mu

odmówić szczególnego charakteru. Zgodzi się ze mną panienska?

Zsunął dłonie z ramion dziewczyny, muskając jej plecy. Nie potrafiła zaufać własnemu głosowi, toteż jedynie skinęła głową.

Jakaś kobieta z niesfornym dzieckiem na rękach, siedząca w niszy na podłodze, w złotym cieniu relikwiarza, zaczęła śpiewać kołysankę.

Leonie, wdzięczna losowi za pomoc, zwróciła na nią spojrzenie.

Aquela Trivala

Ah quun polit quartier

Es plen de gitanós.

Słowa piosenki napłynęły do nawy.

–W najprostszyc rzeczach kryje się największy urok – zauważył Constant.

–To język oksytański – poinformowała Leonie, chcąc na nim zrobić wrażenie. – U nas w domu wszystkie pokojówki mówią tym językiem, kiedy sądzą, że nikt ich nie słyszy.

Wyczuła, że zainteresowały go te słowa.

–W domu? – zdziwił się głośno. – Panienska wybaczy, ale sądząc po

ubiorze i zachowaniu, wziąłem ją za rodowitą paryżankę. Osobę, która

znalazła się tutaj jedynie przejazdem. Une vraie Parisienne.

Następny komplement. Dziewczyna uśmiechnęła się szeroko.

–Znowu ma pan rację. Jesteśmy z bratem w Langwedocji jedynie gośćmi. W Paryżu mieszkamy w ósmym arrondissement, niedaleko Gare Saint-Lazare. Czy pan zna tę okolicę?

–Niestety, jedynie z malunków pana Moneta.

Place d'Europe widać z okien naszego salonu. Jeżeli się zna okolicę, można dokładnie określić, gdzie mieszkamy.

Przepraszającym gestem rozłożył dłonie.

–W takim razie, jeśli nie jest to zbyt osobiste pytanie, mademoiselle

Vernier, co panienkę sprowadza do Langwedocji? Już po sezonie!

–Przyjechaliśmy na miesiąc do ciotki. Mina mu się wydłużyła.

–Proszę przyjąć wyrazy współczucia – rzekł.

Chwila minęła, nim Leonie zorientowała się, że nowy znajomy żartuje

–Ach. nie! – zaśmiała się niegłośnie. – Izolda nie jest taką ciotką, jak

można by sądzić. Nie pachnie starą wodą kolońską i kulkami na mole. Jest młoda i piękna i w zasadzie też pochodzi z Paryża.

Ujrzała w jego oczach błysk... satysfakcji? Radości? Spłonęła rumieńcem, ukontentowana, że ten przystojny mężczyzna jest równie zadowolony z flirtu jak ona.

I nikomu nie dzieje się krzywda.

Constant położył dłoń na sercu, zgiął się w lekkim ukłonie.

–Uprzejmie przepraszam.

–Wybaczam – rzekła z promiennym uśmiechem.

–I ta ciotka, ta piękna, ujmująca Izolda, wcześniej mieszkanka Paryża, przeprowadziła się do Carcassonne?

–Nie. Przyjechaliśmy do miasta tylko na kilka dni załatwić jakieś sprawy związane z posiadłością jej zmarłego męża. Dziś wieczór idziemy na koncert.

–Carcassonne jest przepięknym miastem. Bardzo się zmieniło w ciągu ostatnich dziesięciu lat. Przybyło tu wiele wspaniałych restauracji i sklepów, a także hoteli. – Zamilkł na moment. – A może macie w mieście własne mieszkanie?

–Nie, skądże! – zaśmiała się dziewczyna. – Przyjechaliśmy tylko na kilka dni. Polecony przez przyjaciół Hotel Saint-Vincent całkowicie nam odpowiada.

Ktoś otworzył drzwi kościoła, razem z nowymi przybyszami wpadł do środka podmuch wiatru. Mokre spódnice przykleiły się dziewczynie do nóg. Zadrzała.

–Panienska boi się burzy?

–Ani trochę – odparła zgodnie z prawdą, choć troska nowego

znajomego sprawiła jej przyjemność. – Majątek ciotki jest w górach. Przez ostatnie dwa tygodnie mieliśmy okazję doświadczać grzmotów i błyskawic dużo groźniejszych niż te dzisiejsze.

–Więc zamieszkaliście poza Carcassonne?

–Na południe od Limoux, w Haute Vallee. Niedaleko od uzdrowiska Rennes-les-Bains. Podniosła na niego uśmiechnięte spojrzenie. – Zna pan to miejsce?

–Niestety, nie. Chociaż przyznaję, zaczynam być zainteresowany. Może złożyłbym wizytę w tej okolicy w nieodległej przyszłości?

Leonie po raz kolejny splonęła rumieńcem.

–Posiadłość leży na uboczu, ale okolica jest piękna.

–Dużo socjety przebywa w Rennes-les-Bains?

–Ależ skąd! Żyjemy tam na odludziu. Ale odpowiada nam taki stan rzeczy. Mój brat w mieście jest wiecznie zajęty. Tutaj wreszcie może odpocząć.

–Mam nadzieję, że południe będzie mogło się nacieszyć waszą obecnością nieco dłużej rzekł miękko.

Leonie z trudem zachowała spokojny wyraz twarzy. Hiszpańska rodzina, ciągle głośno się kłócąc, zaczęła wstawać. Drzwi kościoła stały otworem.

–Deszcz przechodzi – zauważył Constant. – Szkoda.

Ostatnie słowo padło tak spokojnie, że Leonie rzuciła na towarzysza zdumione spojrzenie. Tak otwarcie wyrażać zainteresowanie...? Jego twarz miała jednak całkiem niewinny wyraz, więc dziewczyna musiała się zastanowić, czy przypadkiem nie przypisała mu niezamierzonych intencji. Przeniosła spojrzenie z powrotem na drzwi i ujrzała na mokrych stopniach powódź jasnego, słonecznego światła.

Dżentelmen w cylindrze pomógł swojej towarzyszce wstać.

Ostrożnie wydostali się z ławy, przeszli nawą i znaleźli się przed kościołem. Za nimi podążyli inni. Aż dziwne, jak wiele osób schroniło się w kościele. Wcale nie zwróciła na tych ludzi uwagi.

Monsieur Constant podał jej ramię.

–Pójdziemy?

Aksamitny głos. Nienaganne maniery. Wahala się tylko przez mgnienie oka. Następnie, sama nie wiedząc jak ani kiedy, wsparła się na ramieniu mężczyzny.

–Chętnie skorzystam – rzekła.

Leonie Vernier i Victor Constant razem opuścili kościół i zeszli na Place Saint-Gimer.

ROZDZIAŁ 60

Mimo opłakanego wyglądu Leonie czuła się najszcześniejszą osobą na placu. Często wyobrażała sobie taki moment, ale w rzeczywistości okazał się on znacznie piękniejszy niż w marzeniach. Spacer pod rękę z mężczyzną.

I to wcale nie w marzeniach.

Victor Constant nadal zachowywał się jak dżentelmen doskonały, uważny, ale nie nadskakujący. Poprosił o pozwolenie na zapalenie papierosa, a kiedy je uzyskał, jej także zaproponował tytoń przywieziony z Turcji, zwinięty w gruby brązowy rulon, zupełnie inny niż papierosy, które palił Anatol. Odmówiła, lecz pochlebilo jej, że została potraktowana jak osoba dorosła.

Rozmowa potoczyła się trybem łatwym do przewidzenia: o pogodzie, o atrakcjach Carcassonne, o wspaniałości Pirenejów. Tak gawędząc, doszli do drugiego końca Pont Vieux.

–Tutaj, niestety, muszę panienkę opuścić – powiedział Constant.

Leonie zdołała nie okazać rozczarowania.

–Bardzo panu dziękuję za towarzystwo – rzekła. I za troskę. – Zawahała się. – Na mnie też już czas, inaczej brat będzie się o mnie martwił.

Chwilę stali, nie bardzo umiejąc się rozstać. Inna rzecz zawrzeć znajomość w niezwykłych warunkach, w obliczu burzy. Zupełnie inna popchnąć ją o krok dalej.

Chociaż Leonie chciała widzieć siebie jako osobę nieskrępowaną konwenansami, mimo wszystko czekała, aż on odezwie się pierwszy. Nie ona powinna proponować spotkanie. Jedynie uśmiechnęła się do niego, dając w ten sposób znać, że

inicjatywa spotka się z przychylnym przyjęciem.

Mademoiselle Vernier... Usłyszała drzenie w jego głosie.

Tak, monsieur Constant?

–Mam nadzieję, że wybaczy mi panienka zbytnią śmiałość...
Chciał

bym wiedzieć, czy miała już panienka okazję odwiedzić
Square Gambetta.

–Skinął na prawo. – Dosłownie dwie minuty stąd.

–Byłam tam dziś rano.

Jeśli spodobała się panience muzyka, to w każdy piątek o
godzinie jedenastej dają tam koncert. – Zamknął ją w spojrzeniu
niebieskich oczu – Będę tu jutro.

Leonie skryła uśmiech. Bardzo ładnie sobie poradził. Zaprosił
ją bez naruszania konwenansów.

–Ciotka zaplanowała dla nas udział w różnych muzycznych
wydarzeniach w Carcassonne – rzekła, przechylając głowę.

–Więc może szczęście się do mnie uśmiechnie i nasze ścieżki
znów się spotkają – powiedział, uchylając kapelusza. – Z
przyjemnością poznam brata i ciotkę panienki. – Zajrzał jej
głęboko w oczy.

Leonie była zauroczona. Nie marzyła o niczym innym, tylko o
tym, by monsieur Constant objął ją w talii i pocałował.

–A la prochaine – rzekł.

Czar prysł. Dziewczyna oblała się rumieńcem, jakby
mężczyzna mógł czytać w jej myślach.

–Tak, oczywiście – wykrztusiła. – Do zobaczenia.

Odwróciła się i żwawym krokiem ruszyła ulicą Pont Vieux,
besztając siebie za zbyt odważne nadzieje.

Constant odprowadzał ją wzrokiem. Zgrabna figura, sprężysty

krok. Sądząc po wysoko uniesionej głowie, doskonale wiedziała, że się jej przygląda.

Jaka matka, taka córka, pomyślał.

Cóż, aż trudno uwierzyć, że poszło tak łatwo. Te dziewczęce rumieńce, te wielkie oczy, rozchylone wargi, odsłaniające czubek języka... Mógł ją uwieść od razu, na miejscu, gdyby tylko zechciał. Ale nie takie miał plany, nie takie zamiary. O wiele więcej satysfakcji da mu gra z jej uczuciami. Doprowadzi ją do rozpacz, zniszczy i podepcze, oczywiście, ale najpierw rozkocha. W ten sposób Vernier ucierpi znacznie bardziej, niż gdyby Constant wziął jego siostrę siłą.

A rozkocha ją w sobie bez najmniejszych trudności. Jest wrażliwa. młoda, dojrzały owoc, który sam spada w dłoń.

Politowania godna.

Strzelił palcami. Mężczyzna w niebieskim płaszczu, ciągle podążający jego śladami, natychmiast stanął obok.

–Monsieur.

Constant napisał kilka słów i wydał polecenie, by dostarczyć korespondencję do hotelu Saint-Vincent. Cieszyła go sama myśl o wyrazie twarzy Verniera, gdy przeczyta wiadomość. Tak, Vernier musi cierpieć. Zresztą oboje, i Vernier, i ta jego lafirynda. Przez następne kilka dni będą się bojaźliwie oglądali przez ramię, zastraszeni, niepewni, skąd padnie cios.

Włożył w chciwe dłonie mężczyzny sakiewkę z pieniędzmi.

–Masz za nimi chodzić. Śledzić ich. Wiadomości posyłać jak zwykle.

Chcę wiedzieć dokładnie, gdzie bywają. Rozumiesz? Zdążysz z listem do

hotelu przed dziewczyną?

Mężczyzna przybrał urażony wyraz twarzy.

–Jestem tu u siebie – mruknął, obrócił się i zniknął w wąskiej allee,

biegnącej na tyłach Hópital des Malades.

Constant wyrzucił z myśli dziewczynę i zaczął planować następny ruch. W czasie potwornie nudnego flirtu w kościele nie tylko poznał nazwę hotelu, w którym słodkie ptaszątka zatrzymały się w Carcassonne, ale, co ważniejsze, zdradziła mu, iż Vernier i podła zdrajczyni zamieszkali na wsi.

Znał doskonale miasteczko Rennes-les-Bains oraz uzdrowisko. Okolica świetnie pasowała do jego planów. Nie mógł pokonać wroga w Carcassonne, bo w mieście jest dużo ludzi, konfrontacja przyciągnęłaby powszechną uwagę. Ale w odosobnionym wiejskim majątku... Miał znajomości w Rennes-les-Bains, zwłaszcza przyda się pewien człowiek, mężczyzna bez przesadnych skrupułów i ze skłonnościami do okrucieństwa, któremu niegdyś Constant wyświadczył przysługę. Nie przewidywał żadnych trudności w przekonaniu go, że nadszedł czas spłaty długu.

Wsiadł do jlace i wrócił do serca Bastide, a następnie siatką ulic przeszedł za Cafe des Negociants na Boulevard Barbes. Tam znajdował się jeden z ekskluzywnych klubów dla panów. Miał ochotę na szampana, może też dziewczynę. Tutaj, na południu, nie można było liczyć na jasną skórę blondynki w jego guście, trudno. Dziś mógł zrobić wyjątek. Był w uroczystym nastroju.

ROZDZIAŁ 61

Leonie śpieszyła przez Square Gambetta drózkami błyszczącymi od wody, odbijającymi nieśmiało promienie słońca. Wkrótce minęła brzydki budynek municypalny w sercu Bastide.

Całkiem nie widziała, co się wokół niej dzieje. Nie dostrzegła mijających ją ludzi ani chodników spływających czarną wodą i śmieciami naniesionymi przez burzę.

Dopiero teraz zaczynała sobie uświadamiać konsekwencje samowolnej wyprawy. Pół maszerując, pół biegnąc, myślała o tym, co usłyszy od Anatola. Nerwy miała napięte jak postronki, serce w gardle.

A jednak niczego nie żałuję, mówiła sobie.

Zostanie ukarana za nieposłuszeństwo, to pewne. Lecz nie mogła powiedzieć, że żałuje tej wyprawy.

Zerknęła na tabliczkę z nazwą ulicy i spostrzegła, że znajduje się na rue Courtejaire zamiast na Carriere Mage. Najwyraźniej się zgubiła. Plan de la ville, kompletnie przemoczony, rozszedł się jej w rękach. Zresztą farba drukarska się rozlała, nazwy ulic były nieczytelne. Skręciła najpierw w prawo, potem w lewo, rozglądając się za jakimiś znajomymi punktami charakterystycznymi, ale wystawy sklepów skryły się za okiennicami i wąskie uliczki Bastide wszystkie wyglądały tak samo.

Jeszcze kilka razy zmyliła drogę, więc minęła prawie godzina, nim udało jej się dotrzeć do kościoła Saint-Vincent, a stamtąd, rue du Port. już prosto do hotelu. Wchodząc po stopniach, usłyszała dzwony katedry, bijące szóstą.

Biegiem wpadła do holu, mając nadzieję, że zdoła się przynajmniej przebrać w suche rzeczy, zanim stanie twarzą w

twarz z bratem. Niestety. Anatol czekał przy recepcji, wydeptując ścieżkę w dywanie. W ręku trzymał papierosa. Leonie zamarła w pół kroku. A on, zobaczywszy siostrę, dopadł ją w dwóch susach, chwycił za ramiona i potrząsnął mocno.

–Gdzieś ty była?!– krzyknął. – Ja tu odchodzę od zmysłów!

Stała jak zmieniona w kamień, ogłuszona jego gniewem. Gdzie byłaś?!

–Przepraszam... burza mnie złapała...

–Nie kłam! Wyraźnie zabroniłem ci wychodzić samej. Odprawiłaś Marietę pod jakimś bzdurnym pretekstem i zniknęłaś. Gdzie byłaś?! Mów, do cholery!

Leonie osłupiała. Anatol nigdy nie przeklinał. Nigdy. W żadnych okolicznościach.

–Nie wiesz, na co się narażasz! – krzyczał. – Młoda dziewczyna, sama,

w obcym mieście!

Leonie zerknęła na właściciela hotelu, który słuchał awantury z nieskrywanym zainteresowaniem.

–Anatol, proszę cię – szepnęła. – Wszystko ci wytłumaczę. Ale chodźmy do pokoju...

–Wyszłaś poza dzielnicę? – Znów nią potrząsnął. – Mów!

–Nie – skłamała, zbyt przestraszona, by wyznać prawdę. Spacerowałam po Square Gambetta i podziwiałam uroczą architekturę Bastide. Rzeczywiście, posłałam Marietę po parasolkę, nie powinnam była tego robić... Kiedy zaczęło padać, postanowiłam się gdzieś schronić, żeby nie zmoknąć... powiedziała ci, że byliśmy na Carriere Mage, by poszukać kancelarii prawnej?

–Nie, tego mi nie powiedziała – warknął jeszcze bardziej nachmurzony. – Widziałaś nas?

–Nie, ja tylko...

Był wściekły.

–Tak czy inaczej, deszcz ustał ponad godzinę temu. Umówiliśmy się tutaj o piątej trzydzieści. O tym też zapomniałaś?

–Pamiętałam, tylko...

–Przecież w tym mieście nie sposób zapomnieć o upływie czasu. Co krok biją jakieś dzwony. Przestań kłamać. Nie mów mi, że nie wiedziałaś, która godzina, bo i tak ci nie uwierzę.

–Nie zamierzałam tego mówić – wyznała cicho.

–Gdzie się schroniłaś przed deszczem? – wypytywał dalej.

–W kościele – odparła szybko.

–W jakim kościele? W którym?

–Nie wiem. Blisko rzeki. Brat chwycił ją za ramię.

–Czy ty mówisz prawdę, Leonie? Czy nie poszłaś do La Cite?

**–Ten kościół nie był w La Cite! – krzyknęła ze łzami w oczach.
– Auu, boli!**

–Nikt cię nie zaczepiał? Nikt nie próbował cię skrzywdzić?

–Przecież widzisz, że jestem cała i zdrowa oznajmiła, próbując się uwolnić.

Przeszył ją wzrokiem rozpalonym wściekłością, jakiej dotąd u niego nie widziała. Nagle puścił ją, odepchnął od siebie.

Wsadziła rękę do kieszeni, w zimnych palcach ścisnęła wizytówkę od pana Constanta.

Gdyby brat ją zobaczył... Anatol zrobił krok w tył.

–Bardzo mnie rozczarowałaś – oznajmił. Chłód jego głosu zmroził dziewczynie duszę. – Zawsze uważałem cię za osobę mądrą i odpowiedzialną

W Leonie zawrzał gniew. Miała ochotę wykrzyknąć bratu prosto w twarz, że nie zrobiła nic złego, ot, po prostu wybrała się na spacer, nic więcej. Ugryzła się w język. Nie było sensu się z nim kłócić.

Opuściła głowę.

–Przepraszam – powiedziała. Odwrócił się od niej.

–Idź do pokoju i spakuj rzeczy – rzucił przez ramię. Nie! Tylko nie to!

Wojowniczo zmrużyła oczy, odzyskała ducha.

–A niby dlaczego mam się pakować?

–Nie pytaj, tylko rób, co mówię.

Jeżeli wyjadą dziś wieczór, nie spotka jutro na koncercie Victora Constanta! Co prawda, nie obiecała, że się zjawi na Square Gambetta, ale zamierzała sama podjąć decyzję.

Co on sobie o mnie pomyśli, jeżeli się nie zjawię?

Podbiegła do Anatola, chwyciła go pod ramię.

–Proszę cię, błagam! Powiedziałam: przepraszam. Wyznacz mi jakąś

karę, jeśli musisz, ale nie karz mnie w ten sposób. Nie chcę wyjeżdżać

z Carcassonne.

Necierpliwie strząsnął dłoń siostry.

–Zbliżają się kolejne burze. I powodzie. Ta decyzja nie ma nic wspólnego z tobą – odparł zwięźle. – Na skutek twojego nieposłuszeństwa zmuszony byłem wysłać Izoldę z Marietą przodem. Są już na stacji.

–Ale... koncert! krzyknęła Leonie. – Chcę zostać! Proszę cię! Obiecałeś.

–Pakuj się! Ale już!

Nie umiała się pogodzić z sytuacją. Nie potrafiła zrezygnować.

–Dlaczego tak nagle postanowiłeś wyjechać? – zapytała głośno. – Czy to ma coś wspólnego z Izoldą i prawnikami?

Cofnął się, jakby go uderzyła.

–Nie. – Nagle złagodniał. – Nie pierwszy to koncert i nie ostatni -rzekł cicho. Chciał objąć siostrę, ale się usunęła.

–Nienawidzę cię! – krzyknęła.

Ze łzami w oczach, nie dbając o to, kto ją widzi w takim stanie, pobiegła na górę i długim korytarzem do pokoju. Rzuciła się na łóżko i rozplakała głośno.

Nie jadę. Nie pojedę i już, zarzekła się.

Wiedziała jednak, że cały ten bunt na nic. Miała mało własnych pieniędzy. Niezależnie od prawdziwej przyczyny nagłego wyjazdu, a w pretekst o złej pogodzie nie wierzyła ani przez sekundę, nie miała wyboru. Skoro Anatol postanowił ją ukarać, wybrał doskonałą metodę.

Gdy minął napad szloch, podeszła do garderoby, by wybrać jakieś suche ubranie. Ze zdziwieniem stwierdziła, że został w niej tylko płaszcz podróżny. Wpadła przez drzwi łączące jej sypialnię z resztą apartamentu do salonu, potem do pozostałych dwóch pokoi i przekonała się, że Marieta właściwie wszystko już zabrała.

Rozżalona, nieszczęśliwa, w ciężkim, wilgotnym ubraniu, szorstkim i niewygodnym, zebrała kilka osobistych drobiazgów, które pokojówka zostawiła na toalecie, potem chwyciła płaszcz i wyskoczyła na korytarz, gdzie od razu natknęła się na Anatola.

–Marieta nie zostawiła mi rzeczy na zmianę! – oznajmiła z oczami błyszczącymi wściekłością. – Przemokłam do nitki i jest mi zimno.

–Doskonale – powiedział, wchodząc do swojego pokoju. Zatrzasnął za sobą drzwi.

Leonie obróciła się na pięcie i jak burza wpadła do apartamentu.

Nienawidzę go!

Jeszcze dostanie za swoje!

Zachowywała się odpowiednio, dbała o wszelkie konwenanse, ale w tej sytuacji poczuła się zmuszona do poczynienia bardziej zdecydowanych kroków. Pośle panu Constantowi wiadomość wyjaśniającą, dlaczego nie może się zjawić na spotkaniu. Przynajmniej nie będzie jej źle osądzał. A może nawet postanowi na piśmie wyrazić swój zawód, że ich przyjaźń trwała tak krótko.

Z twarzą zaczerwienioną od determinacji w dwóch krokach znalazła się przy biurku. Z szuflady wyjęła hotelową papeterię. Szybko, zanim straciła odwagę, skreśliła słowa przeprosin, a następnie zasugerowała, że list wysłany na poste restante w Rennes-les-Bains z pewnością do niej dotrze, a potwierdzenie otrzymania niniejszej notki zapewniłoby jej spokój umysłu. Nie pozwoliła sobie jedynie na podanie adresu Domaine de la Cade.

Anatol ugotuje się z wściekłości.

Bardzo mu tak dobrze! Sam sobie zasłużył! Skoro on traktuje ją jak dziecko, tak właśnie będzie się zachowywała. Jeśli nie pozwala jej samej podejmować decyzji, ona nie musi się liczyć z jego życzeniami.

Zakleiała kopertę, napisała adres. Po chwili namysłu zrosiła papier kilkoma kroplami perfum, jak to czyniły bohaterki jej ulubionych powieści. Następnie przycisnęła list do ust, jak gdyby mogła wycisnąć na papierze cząstkę siebie.

Gotowe.

Teraz wystarczyło znaleźć sposób, żeby zostawić przesyłkę u właściciela hotelu, tak by Anatol w niczym się nie zorientował. O właściwej godzinie zostanie dostarczona panu Constantowi, na Square Gambetta.

Wówczas pozostanie jedynie czekać, by się przekonać, co z tego wyniknie.

W sypialni naprzeciwko Anatol siedział na łóżku, z głową wspartą na rękach. W zaciśniętej pięści trzymał zmięty list, który został dostarczony do hotelu jakieś pół godziny przed powrotem Leonie.

Właściwie trudno było nazwać tę wiadomość listem. Zawierała tylko pięć słów.

CE N'ESTPAS LA FIN.

To jeszcze nie koniec.

Żadnego podpisu ani adresu zwrotnego, lecz Anatol, niestety, doskonale rozumiał, w czym rzecz. Była to odpowiedź na jedno słowo, które zostawił na ostatniej stronie pamiętnika porzuconego w Paryżu.

FIN.

Podniósł głowę. Piuwe oczy błyszcząły niezdrowo. Policzki miał zapadnięte, twarz pobladłą.

Constant się dowiedział. Nie tylko, że pogrzeb na Cimetiere de Montmartre był oszustwem i że Izolda żyje, ale także wytropił ją tutaj, na południu.

Nerwowo przeczesał włosy palcami.

Jak? Jak zdołał się dowiedzieć, że są w Carcassonne? I to w tym konkretnym hotelu! Od kogo? Wiedziała o tym Izolda, Leonie oraz służba w Domaine de la Cade.

Wiedział prawnik. I ksiądz.

Ale żaden z nich nie znał nazwy hotelu.

Usiłował się skoncentrować. Nie wolno się pogrążyć w roztrząsaniu porażki. Nie czas się martwić, że Constant ich znalazł, na takie przygnębiające analizy będzie mnóstwo czasu później. Najważniejsze to zdecydować, co teraz. Co dalej.

Przygarbił się na wspomnienie załamanej Izoldy. Zrobiłby wszystko, by ją uchronić przed tym ciężarem, ale przyszła do niego chwilę po tym, jak otrzymał list, i nie zdołał ukryć prawdy.

Z obojga ulotniła się cała radość. Nadzieja na nowe, wspólne życie bez strachu, bez konieczności trwożliwego chowania się w ukryciu rozviała się jak dym.

Tego wieczoru zamierzał podzielić się z siostrą pomyslnymi nowinami.

Ściągnął brwi.

Po koszmarnym przedstawieniu, jakie im urządziła, zmienił zdanie. Utwierdził się w przekonaniu, że nie powinien jej mówić o ślubie. Dowiodła niezbiecie, iż nie sposób jej ufać, że nie potrafi się zachować właściwie.

Podszedł do okna, rozsunał deszczułki żaluzji, wyrztał na ulicę. Nikogo. Tylko jakiś pijaczyna, owinięty żołnierską peleryną. Siedział pod ścianą po przeciwnej stronie jezdni, z nogami podciągniętymi pod brodę.

Anatol puścił listwy.

Nie miał sposobu się dowiedzieć, czy Constant rzeczywiście był w Carcassonne. A jeśli nie, to gdzie się właściwie znajdował. Jak blisko. Instynkt podpowiadał mu, że najlepiej wrócić natychmiast do Rennes-les-Bains.

Pozostawała mu nikła nadzieja, że gdyby Constant wiedział o Domaine de la Cade, raczej tam wysłałby wiadomość.

ROZDZIAŁ 62

Leonie czekała na brata w holu. Stała z buzią w ciup i rękami w mań-drzyk. Wzrok miała wyzywający, a nerwy napięte jak postronki – ze strachu, że patron ją zdradzi.

Anatol zszedł z piętra i minął ją bez słowa. Podszedł do lady recepcyjnej, zamienił kilka słów z właścicielem, po czym minawszy siostrę jak powietrze, wyszedł na ulicę, gdzie już czekał fiacre, zamówiony na kurs do stacji kolejowej.

Leonie odetchnęła z ulgą.

Dziękuję panu – rzekła cicho.

Je vous en prie, mademoiselle Vernier. – Mrugnął porozumiewawczo, poklepał kieszeń na piersi. – Dopilnuję, żeby list został dostarczony zgodnie z panienki życzeniem.

Dziewczyna skinęła mu na pożegnanie i pośpieszyła za bratem.

–Wsiadaj – polecił jej zimnym głosem, gdy już wchodziła do powozu.

Zupełnie jak do leniwej służącej. Krew w niej zawrzała.

Wsunął w dłoń woźnicy srebrną monetę.

–Co koń wyskoczy.

Zamilkł na dobre. Nawet nie spojrzał na siostrę.

Krótki dystans przez miasto pokonywali w ślimaczym tempie, bo mokre i śliskie drogi spowalniały ruch. W rezultacie na

dworzec dotarli zaledwie parę chwil przed odjazdem pociągu i musieli biec do przedziałów pierwszej klasy na początku składu. Konduktor przytrzymał im drzwi.

Gdy zamknęły się z trzaskiem, Leonie dostrzegła w kącie Izoldę i Ma-rietę.

–Ciociu! – krzyknęła, zapominając o humorach.

Izolda miała twarz bladą jak papier, a oczy zaczerwienione. Z pewnością płakała.

Marieta poderwała się z miejsca.

–Pomyślałam sobie, że lepiej, żebyśmy madama i ja były razem zwróciła się do Anatola. – Niż żebym poszła do swojego przedziału.

–Racja – przyznał Anatol, nie spuszczać wzroku z Izoldy. – Wyjaśnię to konduktorowi.

Usiadł na banquette obok Izoldy, ujął jej bezwładną dłoń. Leonie także przysunęła się bliżej.

–Co się stało?

–Chyba się przeziębiam – rzekła Izolda. – Cała ta podróż i zła pogoda... Jestem bardzo zmęczona. – Zawiesiła na Leonie spojrzenie szarych oczu. – Bardzo mi przykro, że z mojego powodu ominął cię koncert. Wiem, jak bardzo ci na nim zależało.

–Leonie rozumie, że twoje zdrowie jest ważniejsze – oświadczył Anatol, nie dopuszczając siostry do głosu. – I że nie możemy pozostawać tak daleko od domu, choć ona ma ochotę na bezmyślne wycieczki.

Był niesprawiedliwy i zbyt surowa ocena brata zakłuła Leonie boleśnie, jednak dziewczynie udało się utrzymać język za zębami. Niezależnie od rzeczywistej przyczyny tego pośpiesznego wyjazdu z Carcassonne Izolda istotnie wyglądała na chorą. Bez wątplenia powinna się jak najszybciej znaleźć we własnym domu.

Wystarczyło, żeby mi to Anatol powiedział, pomyślała Leonie, a wcale bym się nie buntowała.

Nie zamierzała mu wybaczyć. Nabrała niezbitego przekonania, że to właśnie on wywołał awanturę, a ona, niczemu niewinna, została bezpodstawnie odsądzona od czci i wiary.

Westchnęła i naburmuszona utkwiała wzrok w szybie.

Gdy w pewnym momencie zerknęła na brata, by sprawdzić, czy zauważył jej niezadowolenie, zaczęła się poważnie niepokoić o ciotkę i zapomniała o złości na Anatola.

Rozległ się głośny gwizd lokomotywy. Słup pary z hukiem przepchnął się przez wilgotne powietrze. Pociąg szarpnął i ruszył w drogę.

Dziesięć minut później, na sąsiednim peronie, z marsylskiego pociągu wysiadł inspektor Thouron w towarzystwie dwóch paryskich policjantów. Mieli dwie godziny spóźnienia, bo ulewne deszcze spowodowały pod Beziers obsunięcie się stoku na tory.

Thourona powitał inspektor carcassońskiej gendarmerie, Bouchou. Uścisnęli sobie dłonie, potem, otulając się ciasniej płaszczami i przytrzymując czapki na głowach, ruszyli pod wiatr.

Przejście łączące obie strony dworca zmieniło się w wartki strumień, więc zawiadowca stacji czekał przy bocznej furtce, wychodzącej na ulicę, ściskając w dłoniach łańcuch, jakby się bał, że furta wyłamie się z zawiasów i odleci.

–Jestem wdzięczny, że pan po mnie wyszedł, Bouchou – powiedział Thouron. Był zły i wykończony długą podróżą.

Bouchou, korpulentny mężczyzna o czerwonej twarzy, tuż przed emeryturą, miał ciemną karnację i krępą budowę charakterystyczną dla mieszkańców południa. Od pierwszej

chwili robił wrażenie człowieka sympatycznego i życzliwie nastawionego do świata, więc Thouron szybko pozbył się obaw, że przybysze z północy, a co gorsza, z samego Paryża, zostaną potraktowani jak intruzi, podejrzliwie i z niechęcią.

–Chętnie pomogę! – zapewnił Bouchou, przekrzykując wicherzysko. – Chociaż jestem zdziwiony, że człowiek na takim stanowisku jak pan fatygował się osobiście. Czy naprawdę chodzi tylko o znalezienie Verniera, żeby go poinformować o śmierci matki, co? – Zmierzył Thourona baczным spojrzeniem. – Czy też jest w tym drugie dno?

Paryski inspektor westchnął.

–Schowajmy się gdzieś, wszystko panu opowiem.

Dziesięć minut później usadowili się w przytulnej kawiarence, rzut kamieniem od Cour de Justice Presidiale, gdzie mogli rozmawiać swobodnie, ponieważ większość klienteli stanowili policjanci z pobliskiego komisariatu i pracownicy więzienia.

Bouchou zamówił dwa kieliszki miejscowego likieru, La Micheline, przysunął krzesło do stołu i nadstawił ucha. Thouron uznał, że trunk jest, jak na jego gust, nieco za słodki, ale i tak wypił z wdzięcznością, po czym z grubsza wprowadził policjanta z Carcassonne w sprawy śledztwa.

Marguerite Vernier, wdowa po komunardzie, a ostatnio kochanka prominentnego i wysoko cenionego bohatera wojennego, została zamordowana w swoim mieszkaniu w niedzielę, dwudziestego września, wieczorem. Przez miesiąc policja nie zdołała odnaleźć jej dzieci, córki i syna, najbliższych krewnych, których należało zawiadomić o stracie.

I choć nie było powodu, by traktować Verniera jako podejrzanego, niemniej na światło dzienne wyszło kilka interesujących szczegółów. Na przykład fakt, że razem z siostrą celowo zacierał ślady. Jakiś czas zajęło ludziom Thourona odkrycie, że monsieur i mademoiselle Vernier pojechali na południe z dworca Montparnasse, a nie na zachód czy północ z

Gare Saint-Lazare, jak się wydawało.

Szczerze mówiąc – przyznał Thouron – gdyby nie to. że jeden z moich ludzi przeszedł sam siebie, nadal nic byśmy nie wiedzieli.

A co zrobił? – spytał Bouchou, żywo zainteresowany.

Jak łatwo się domyślić, po miesiącu od zdarzenia nie mogłem już uzasadnić całodobowej obserwacji mieszkania.

Bien sur.

Wobec czego jeden z moich podwładnych, bystry chłopak. Gaston Leblanc, zaprzyjaźnił się z pokojówką w mieszkaniu Debussych, rodziny, która mieszka pod Vernierami. Dziewczyna powiedziała mu, że widziała, jak dozorca dostawał od obcego człowieka pieniądze za jakąś kopertę.

Bouchou oparł łokcie na blacie.

Concierge się przyznał?

Z początku, oczywiście, wszystkiemu zaprzeczył. Zawsze to samo.

Ale pod groźbą aresztu przyznał, że zapłacono mu, i to sownie, za przekazanie każdej korespondencji, jaka przyjdzie do Vernierów.

–Kto płacił?

Thouron wzruszył ramionami.

–Dozorca twierdzi, że nie wie. Transakcje były dokonywane za pośrednictwem służącego.

–Uwierzył mu pan?

–Tak – rzekł Thouron, opróżniając kieliszek. – Uwierzyłem. W skrócie rzecz ujmując, dozorca zeznał, że choć nie jest pewien, to wydaje mu się, iż litery na kopercie przypominały charakter pisma Anatola Verniera. Stempel był z Aude.

–Et voild, jest pan tutaj. Thouron pokiwał głową.

–Niewiele mamy, wiem, ale to nasz jedyny trop. Bouchou podniósł rękę, zamawiając drugą kolejkę.

–A sprawa jest delikatna ze względu na powiązania uczuciowe pani

Vernier.

Thouron pokiwał głową.

–Generał du Pont jest człowiekiem o nieskazitelnej reputacji i niemałych wpływach. Nie jest podejrzany o zbrodnię, ale...

–Czy to pewne? – przerwał Bouchou. – A może wasz prefekt nie życzy sobie uwikłania szacownej osobistości w skandal?

Thouron po raz pierwszy pozwolił sobie na lekki uśmiech. Twarz mu się odmieniła, nie wyglądał na swoje czterdzieści lat.

–Nie przeczę, moi przełożeni byliby, powiedzmy... zaniepokojeni, gdy

by się okazało, że trzeba wytoczyć sprawę du Pontowi – przyznał ostrożnie. – Na szczęście dla wszystkich zainteresowanych, istnieją niepodważalne dowody, świadczące przeciwko winie generała. Swoją drogą, on sam chce, żeby jego dobrego imienia nie splamił żaden cień, a co za tym idzie, przyjmuje, iż dopóki nie znajdziemy zabójcy i nie postawimy winnego przed sądem, zawsze będzie istniało ryzyko jakichś plotek i pomówień.

Bouchou słuchał uważnie, gdy Thouron wyjaśniał mu swoje racje, świadczące o niewinności du Ponta. Anonimowy przeciek do prasy, czas śmierci ofiary mniej więcej godzinę przed przyjściem generała, który wówczas znajdował się na koncercie, w towarzystwie wielu znanych osób, a teraz jeszcze dowody na to, że ktoś przekupił dozorcę.

–Drugi kochanek? – podsunął Bouchou.

–Zastanawiałem się nad tym. Znaleźliśmy dwa kieliszki szampana, ale również stłuczoną szklaneczkę po whisky w

kominku. Mamy też dowody, że pokój Verniera został przeszukany, a jednocześnie służba twierdzi, iż zniknęło jedynie rodzinne zdjęcie w ramce, stojące na bocznym stoliku w salonie.
– Wyjął z kieszeni fotografię odszukaną w paryskim studio.

Bouchou przyjrzał się jej bez komentarza.

–Zdaję sobie sprawę podjął Thouron, że nawet jeśli Vernierowie byli w okręgu Aude, mogli już dawno pojechać dalej. Wiem też, że to duży obszar, więc nawet jeśli w dalszym ciągu znajdują się w Carcassonne albo w jakimś prywatnym domu na wsi, trudno będzie ich znaleźć.

–Ma pan odbitki?

Paryski inspektor pokiwał głową.

–Przede wszystkim zawiadomię hotele i pensjonaty w Carcassonne –

powiedział Bouchou. – Potem może większe ośrodki turystyczne na południu? Vernierowie przywykli do Paryża, na wsi może się im nie podobać.

–Przyjrzał się fotografii. – Dziewczyna jest piękna. Co za koloryt. Niepowszedni. – Wsunął fotografię do wewnętrznej kieszeni marynarki. – Proszę zostawić to mnie. Zobaczymy, co się da zrobić.

Thouron odetchnął głęboko.

–Jestem panu bardzo wdzięczny.

–Je vous en prie. Czas na kolację.

Zjedli po kotlecie, po porcji budyniu śliwkowego, i popili mocnym czerwonym winem z Minervois. Deszcz niezmordowanie walił w okna, w miarę jak przybywało klientów, w lokalu robiło się ciasno. Ludzie strzäsali z siebie krople wody, przytupując i otrząsając kapelusze. Z ust do ust podawano wiadomość, że merostwo ostrzega przed powodzią. Aude miała lada moment wystąpić z brzegów.

Bouchou, słysząc najnowsze wieści, prychnął pogardliwie.

–Co roku na jesieni gadają to samo – oświadczył głośno. – A jakoś nigdy nie ma powodzi.

Thouron uniósł brwi.

–Nigdy?

–No, w każdym razie nieczęsto – poprawił się Bouchou z szerokim uśmiechem. – Na moje oko dzisiaj nic nam nie grozi.

Burza uderzyła w Haute Vallee wkrótce po ósmej wieczorem. Pociąg wiozący Leonie, Izoldę i Anatola na południe zbliżał się do stacji w Limom.

Raptem huknął grzmot, sekundę później niebo rozdarła błyskawica.

Izolda krzyknęła przestraszona. Anatol w mgnieniu oka znalazł się u jej boku.

–Je suis la – uspokajał. – Jestem przy tobie.

Kolejny grzmot przetoczył się w górach. Tym razem i Leonie podskoczyła na siedzeniu. Nawałnica ruszyła przez równiny. Drzewa -pins mari-times, platanes i buki zgięły się pod gwałtownym wietrznym crescendo. Nawet winorośle posadzone w schludnych rzędach trzęsły się pod chłostą rozgniewanej aury.

Leonie przetarła zaparowane okno i obserwowała, jednakowo zafascynowana i przerażona, zmagania żywiołów. A pociąg brnął swoją drogą. Kilka razy musieli się zatrzymać między stacjami, kolejarze oczyszczali tory z połamanych gałęzi, a nawet drzewek, które obsuwały się ze stoków bombardowanych ulewnym deszczem.

Na każdym postoju wsiadali kolejni podróżni; było ich

dwukrotnie więcej niż wysiadających. Kapelusze mieli nasunięte głęboko na oczy, kołnierze postawione wysoko, dla ochrony przed deszczem, który walił w cienkie szyby wagonów. Opóźnienie zwiększało się na każdej stacji w przedziałach zrobiło się gęsto od ludzi uciekających przed burzą.

Po kilku godzinach dotarli do Couizy. W dolinie burza atakowała z nieco mniejszym impetem, mimo wszystko jednak sytuacja nie wyglądała różowo, bo w zasięgu wzroku nie było ani jednego powozu do wynajęcia, a courrier publique już dawno odjechał. Anatol musiał zapukać do mieszkania jednego z właścicieli sklepu, i tam wreszcie znalazł chłopaka, który na mule pojechał z poleceniem dla Pascala, by służący sprowadził po nich dwukólkę.

Na czas oczekiwania schronili się w jakiejś restauracyjce tuż obok dworca. Na kolację było już za późno, nawet w innych okolicznościach. Szczęściem żona właściciela, rzuciwszy okiem na przezroczystą skórę Izoldy oraz świadoma nieskrywanego udręczenia Anatola, zlitowała się nad nimi i poczęstowała ich parującą ogonówką oraz pajdami podeschłego czarnego chleba. Do tego znalazła się butelka mocnego tarascońskiego wina.

Dołączyło do nich dwóch mężczyzn. Przynieśli wieści, że Aude w Carcassonne już występuje z brzegów. Powódź zalała quartiers Trivalle i Bar-bacane.

Leonie pobladła. Oczyma wyobraźni ujrzała czarną wodę, wdzierającą się na stopnie kościoła Saint-Gimer. Jakże łatwo mogła się znaleźć w pułapce! Ulice, po których tak niedawno chodziła, teraz znajdowały się pod wodą! Nagle pojawiła się jeszcze jedna myśl. Czy Victor Constant jest bezpieczny?

Niepokój o niego nie dawał jej spokoju przez całą drogę do Domaine de la Cade do tego stopnia, że nie zwracała uwagi na niedogodności podróży ani wysiłek zmęczonych koni, ciągnących powóz śliską zdradliwą górską drogą.

Zanim pokonali długi żwirowy podjazd, gdzie koła grzęzły w

blocie. Izolda zaczęła tracić przytomność. Marieta została posłana do zmieszania proszków mających pomóc jej pani zasnąć, inna pokojówka miała naszykować moine, miedziane naczynie na długiej rączce, które wypełniało się żarem, służące do nagrzewania łóżka. Trzecia poprawiała płonące drwa w kominku. Ponieważ Izolda nie miała siły iść, Anatol wziął ją na ręce i zaniósł na piętro. Pasma blond włosów niby złoty jedwab odcinały się od czerni marynarki.

Leonie odprowadzała ich zdumionym wzrokiem. Zanim pozbierała myśli, została w holu sama.

Przemarznięta do szpiku kości i zła jak osa, udała się do swojego pokoju. Sama się rozebrała i wpełzła pod kołdrę. Pościel wydawała się wilgotna. Nikt nie rozpałił ognia na kominku. Pokój był ponury i nieprzyjazny.

Próbowała zasnąć, lecz ciągle słyszała kroki Anatola na korytarzu. W którymś momencie do jej uszu dotarło stukanie jego obcasów na płytkach w holu. Maszerował niczym żołnierz na warcie.

Ktoś otworzył frontowe drzwi.

Zapadła cisza.

W końcu dziewczyna pogrążyła się w niespokojnym półśnie. Bohaterem jej marzeń był Victor Constant.

CZĘŚĆ VIII Hotel de la Cade

Październik 2007

ROZDZIAŁ 63

Wtorek, 30 października 2007

Meredith zobaczyła Hala, zanim on ją dostrzegł. Serce zabiło jej szybciej. Siedział w jednym z trzech niskich foteli, ustawionych przy stoliku, ubrany tak samo jak wcześniej w dżinsy i biały T-shirt, tylko zamiast niebieskiego swetra miał beżowy. Odgarnął włosy z twarzy.

Uśmiechnęła się, widząc ten gest, który był jej już dobrze znajomy. Puściła drzwi, zamknęły się za nią same.

Gdy podeszła bliżej, Hal wstał.

–Cześć – powiedziała, siadając obok. – Jak minęło popołudnie?

–Bywało lepiej – rzekł, całując ją w policzek. Ruchem ręki wezwał kelnera. – Co dla ciebie?

–Tamto wino, które poleciłeś mi wczoraj, było bardzo smaczne.

–Une bouteille du Domaine Begude, s'il vous plait, Georges – zamówił. – Et trois verres.

–Trzy kieliszki? – zdziwiła się Meredith.

Hal spochmurniał.

–Przy wejściu wpadłem na stryja. Najwyraźniej uznał, że nie będziesz miała nic przeciwko ciut większemu towarzystwu. Podobno rozmawialiście wcześniej. Kiedy wspomniałem, że mamy zamiar wypić drinka, od razu się wprosił.

–To nie tak – zaprotestowała. – Zapytał mnie, czy wiem, dokąd pojechałeś, i tyle.

–Jasne.

–Trudno to nazwać rozmową. – Pochyliła się, opierając dłonie na kolanach. – Mów, co się działo.

Hal zerknął na drzwi.

–Wiesz co, zjedzmy razem kolację, dobrze? Wtedy pogadamy. Nie chcę zaczynać teraz, skoro za parę minut zjawi się stryj. W stosownej chwili będziemy mogli się ulotnić. Co ty na to?

–Super. – Uśmiechnęła się szeroko. Nie jadłam obiadu. Umieram z głodu.

Hal wstał wyraźnie zadowolony.

–Zamówię stolik. Zaraz wracam.

Odprowadziła go wzrokiem. Miał szerokie bary. W progu przystanął obejrzał się, jakby czuł na sobie jej spojrzenie. Chwilę patrzyli sobie prosto w oczy. Potem Hal uśmiechnął się lekko i

zniknął w korytarzu.

Teraz z kolei Meredith odgarnęła grzywkę z czoła. Skóra ją paliła w gardle jej zaschło, za to dłonie miała wilgotne. Pokręciła głową z polito waniem. Jak ostatnia smarkula.

Georges przyniósł zamówione wino w kubelku z lodem, ustawił całość na stojaku, po czym nalał trunku do kieliszka w kształcie tulipana.

Wypiła kilka łyków duszkiem, jakby to była woda. Powachlowała się kartą alkoholi.

Rozejrzała się po wnętrzu, powiodła wzrokiem po półkach na książki sięgających od podłogi do sufitu. Ciekawe, czy Hal wiedział, które przetrwały pożar. O ile w ogóle były tu jakieś tomy z oryginalnej biblioteki. Przyszło jej do głowy, że w którymś z nich mogłaby znaleźć jakieś powiązania między Lascombe'ami a rodem Vernierów, zwłaszcza w odniesieniu do kart tarota, drukowanych przez rodzinę Bousquetów. O ile książki nie pochodziły, wszystkie jak leci, z wyprzedaży vide-grenier.

Spojrzała za okno. Na zewnątrz zapadł już mrok. Daleko, na krawędziach trawników, odcinały się od jaśniejszego nieba ostre sylwetki drzew, rozkołysana armia cieni.

W pewnym momencie poczuła na sobie czyjś wzrok, jakby ktoś jej się przyglądał zza okna. Zmrużyła oczy, ale nikogo nie dostrzegła.

Wtedy uświadomiła sobie, że istotnie ktoś jej się przygląda. Usłyszała kroki za plecami. Przeszedł ją miły dreszcz. Oczy rozbłysły. Uśmiechnęła się, odwróciła.

Zamiast Hala zobaczyła jego stryja, Juliana Lawrence'a. Rozchodził się od niego delikatny zapach whisky. Zawstydzona Meredith natychmiast zmieniła wyraz twarzy i zaczęła się podnosić.

–Proszę nie wstawać. – Naturalnym gestem położył dłoń na jej ramie niu.

Usiadł w fotelu po prawej, zanim zdążyła mu powiedzieć, że to miejsce Hala. Nalał sobie wina.

–Sante. – Uniósł kieliszek. – Mój bratanek znowu zniknął?

–Poszedł zarezerwować stolik na kolację.

Grzecznie, uprzejmie i nic poza tym.

Julian miał na sobie jasny płócienny garnitur oraz niebieską koszulę bez krawata. Tak jak za każdym razem, gdy go spotykała, robił wrażenie swobodnego i opanowanego, tyle tylko, że tym razem był lekko zaczerwieniony. Wzrok Meredith powędrował ku lewej ręce mężczyzny, wspartej na oparciu fotela. Dłoń zdradzała jego wiek, raczej pod sześćdziesiątkę niż czterdzieści kilka, na które by go oceniła po sylwetce i zachowaniu. Nie nosił obrączki.

Wróciła wzrokiem do twarzy. Nadal patrzył na nią bez zmrużenia powiek.

Zupełnie jak Hal. Odepchnęła od siebie porównanie, które samo się nasuwało.

Julian odstawił kieliszek na stół.

–Co pani wie o kartach tarota? – zapytał.

Zaskoczył ją całkowicie. Wpatrywała się w niego bez słowa, rozważając, jakim cudem przyszło mu do głowy poruszyć akurat ten temat. W następnej chwili pomyślała o fotografii, którą ukradła ze ściany w holu, o talii, którą dostała od Laury, o miejscach odwiedzonych w sieci i o powiązaniu wszystkiego tego z nutami, z muzyką. Nie mógł o tym wiedzieć, nie było sposobu. A mimo to zaczerwieniła się po uszy, jakby ją przyłapał na gorącym uczynku. Co gorsza, widziała wyraźnie, że bawi go jej zmieszanie.

–Oglądałam Jane Seymour w „Żyj i pozwól umrzeć” – rzuciła lekko. – Na tym się moja wiedza kończy.

–Ach, piękna Solitaire! – Uniósł brwi.

Meredith milczała.

–Ja, dla odmiany – podjął po chwili – jestem zafascynowany historią tarota, choć nie wierzę, by wróżenie było dobrym sposobem na planowa nie życia.

Głos też miał podobny do Hala. I tak samo przeciągał słowa, jakby każde było szczególne. Główna różnica polegała na tym, że Hal miał szczerą naturę, najmniejszą emocję widać było u niego jak na dłoni, gdy tymczasem Julian wydawał się stale ukrywać za szyderstwem. Sarkastyczny facet.

Zerknęła w stronę drzwi, niestety, ciągle zamkniętych.

–Czy zna pani reguły interpretacji tarota?

–Nie bardzo – odparła, nie chcąc drażnić tematu.

–Naprawdę? Odniosłem wrażenie, że to dla pani nie pierwszozna. Hal powiedział, że w czasie waszej wycieczki do Rennes-le-Chateau wypłynął temat tarota. – Lekko wzruszył ramionami. – Może źle zrozumiałem.

Meredith gwałtownie szukała w myślach. Owszem, ostatnio miała tarota w głowie w zasadzie bez przerwy, ale jakoś nie mogła sobie przypomnieć, żeby rozmawiała na ten temat z Halem. Julian w dalszym ciągu nie spuszczał z niej wzroku, trochę jakby rzucał jej wyzwanie.

W końcu musiała coś powiedzieć, żeby przerwać krępującą ciszę.

–O ile mi wiadomo, przyjmuje się, że choć karty teoretycznie układa ją się przypadkowo, sam proces tasowania jest sposobem na ujawnienie niewidocznych powiązań.

–Słuszna uwaga. – Sekunda przerwy. – Czy kiedyś pani wróżono? Wyrwał jej się cichy śmiech.

–Dlaczego pan pyta?

–Z czystej ciekawości.

Dłuższą chwilę przyglądała mu się bez słowa, zła, że tak łatwo zbija ją z pantafyku.

Ktoś położył jej dłoń na ramieniu. Drgnęła, obejrzała się – i tym razem zobaczyła uśmiechniętego Hala.

–Wybacz – rzucił – nie chciałem cię przestraszyć.

Kiwnął głową stryjowi i usiadł w trzecim fotelu, naprzeciwko Meredith. Wyjął butelkę z wiaderka, nalał sobie wina.

–Właśnie rozmawialiśmy o kartach tarota – powiedział Julian.

–Tak? – Hal przeniósł wzrok z jednego na drugie. – A konkretnie? Meredith zajrzała mu głęboko w oczy i straciła wszelką nadzieję. Nie miała ochoty dyskutować o tarocie, Hal natomiast uważał, że w ten sposób uniknie roztrząsania wizyty na komisariacie.

–Właśnie pytałem panią, czy kiedykolwiek wrócono jej z kart. I czekam na odpowiedź.

Uświadomiła sobie, że jeśli nie zmieni tematu natychmiast, rozmowa potoczy się dalej tym samym torem.

–Owszem, rzeczywiście. – Starła się mówić tonem pozbawionym emocji. – Wrócono mi dwa dni temu, w Paryżu. Pierwszy i, jak dotąd, ostatni raz.

–Czy to było przyjemne doświadczenie?

–Na pewno interesujące. A panu ktoś wróżył z kart?

–Proszę mi mówić po imieniu, nalegam.

Meredith dostrzegła na jego twarzy przelotny wyraz rozbawienia, zmieszany z czymś, czego nie potrafiła zdefiniować. Z wytężoną uwagą?

–A odpowiadając na pani pytanie, nie. Nikt mi nigdy nie wróżył z kart, choć przyznaję, interesuje mnie symbolika związana z tarotem.

Czyli intuicja jej nie zawiodła. To nie była ot, taka sobie, grzecznościowa wymiana zdań. Ta rozmowa miała głębszy sens i cel. Meredith pociągnęła łyk wina i przywołała na twarz obojętny wyraz.

–Naprawdę?

–Tak, tak. Na przykład, symbolika numerów, szalenie interesujący temat.

–O tym też wiem niewiele. Tyle co nic.

Julian sięgnął do kieszeni.

Meredith stężała. Jeśli wyciągnie talię kart, to koniec. Wytrzymał jej wzrok, po czym wyjął paczkę gauloise'ów i zapalniczkę Zippo.

–Papierosa? – spytał, podsuwając jej paczkę. – Obawiam się, że trzeba będzie wyjść na zewnątrz.

Zła, że pozwoliła tak z siebie zakpić, mało tego, że dopuściła, by to było widać, pokręciła głową.

–Nie palę.

–Bardzo mądrze. – Odłożył papierosy i zapalniczkę na blat. – Symbolika numerów – podjął – choćby w kościele w Rennes-le-Chateau, jest fascynująca.

Meredith rzuciła okiem na Hala, mając nadzieję, że on coś powie, ale nie, siedział cicho, zapatrzony w przestrzeń.

–Nie zauważyłam.

–Naprawdę? A warto zwrócić na to uwagę. Istotną liczbą wydaje się dwadzieścia dwa. Napotykamy ją tam zadziwiająco często.

Mimo całej antypatii do mężczyzny temat ją zaciekał. Chętnie by usłyszała, co Julian ma do powiedzenia. Ale też nie chciała się zdradzić ze swoim zainteresowaniem.

–W jakiej postaci?

–Na początek na kąpielnicy, zaraz przy wejściu. Widziała ją pani? Tę z Asmodeuszem.

Kiwnęła głową.

–Asmodeusz uważany był za jednego ze strażników świątyni Salomona, która została zniszczona w roku pięćset dziewięćdziesiątym ósmym przed naszą erą. Jeżeli dodamy każdą cyfrę do następnej, pięć plus dziewięć, plus osiem, otrzymamy dwadzieścia dwa. Wie pani, że w tarocie są dwadzieścia dwa arkana większe?

–Wiem.

–No właśnie.

–I gdzie jeszcze występuje liczba dwadzieścia dwa?

–Dwudziestego drugiego lipca obchodzimy dzień Marii Magdaleny, właśnie tej świętej, której oddano pod opiekę kościół w Rennes-le-Chateau. Jej figura znajduje się pomiędzy trzynastą i czternastą stacją drogi krzyżowej, a wizerunki na dwóch z trzech witraży za ołtarzem. Kolejnym interesującym elementem układanki jest Jacques de Molay, ostatni wielki mistrz zakonu templariuszy. Mówi się, głośno i od dawna, o powiązaniach templariuszy z Bezu z miejscowością po drugiej stronie doliny. Molay był dwudziestym drugim wielkim mistrzem Zakonu Ubogich Rycerzy Chrystusa i świątyni Salomona. Warto przypomnieć tę nazwę w pełnym brzmieniu. Francuska transkrypcja słów Chrystusa umierającego na krzyżu, Elie, Elie, lamah sabactani, Boże mój, Boże, czemuś mię opuścił, ma

dwadzieścia dwie litery. I stanowi otwarcie psalmu dwudziestego drugiego.

Interesujące to było, owszem, ale jednak cokolwiek abstrakcyjne. A przede wszystkim po co właściwie Julian Lawrence w ogóle o tym opowiadał? Chciał zobaczyć jej reakcję? Odkryć, ile naprawdę wie o tarocie?

I co najważniejsze: dlaczego?

–No i, w końcu, proboszcz parafii w Rennes-le-Chateau zmarł dwudziestego drugiego stycznia. W tysiąc dziewięćset siedemnastym roku. Podobno jego ciało usadzono na tronie, w belwederze w jego posiadłości, i mieszkańcy wioski przyszli go pożegnać; każdy z nich odrywał jeden chwost z rąbka księżej sukienki. Można sobie wyobrazić, że wyglądał mniej więcej jak król denarów z talii Waite'a. – Rozłożył ręce. – A jeśli się doda dwa do dwóch, plus rok jego śmierci, uzyskamy...

Cierpliwość Meredith się wyczerpała.

–Umiem liczyć – mruknęła pod nosem i odwróciła się do Hala.
– Na którą zamówiłeś stolik?

–Na dziewiętnastą piętnaście. Za dziesięć minut.

–Oczywiście, gdybym chciał odegrać rolę adwokata diabła podjął Ju lian, ignorując przerwę w wywodzie – powiedziałbym, że można podoh nych wolt dokonać z dowolnie wybraną liczbą.

Wziął w rękę butelkę i nachylił się, by dolać Meredith wina. Zakrył kieliszek dłonią. Hal tylko pokręcił głową. Julian wzruszył ramionami i resztę z butelki wlał do swojego kieliszka.

–Przecież żadne z nas już dziś nie będzie prowadzić – rzucił mimocho dem.

Hal zacisnął zęby.

–Nie wiem, czy mój bratanek wspomniał o teorii, według której kościół w Rennes-le-Chateau jest kopią budynku wzniesionego wcześniej na terenach tej posiadłości.

–Naprawdę?

–Można w nim znaleźć dużo wizerunków z tarota. Cesarz, Pustelnik Hierofant, który w ikonografii tarota, jak pani na pewno wie, stanowi symbol Kościoła.

–Nie wiedziałam.

–Niektórzy twierdzą – ciągnął – że Magik stoi w pozie Chrystusa. No i, oczywiście, cztery obrazy stacji z drogi krzyżowej mają w tle wieże, nie wspominając już o samej Tour Magdala na belwederze.

–Wcale niepodobna – wyrwało się Meredith.

Julian pochylił się gwałtownie.

–Do czego niepodobna? – zapytał. W jego głosie brzmiało napięcie, jakby na czymś przyłapał rozmówczynię.

–Do wież w Jerozolimie – powiedziała pierwszą rzecz, jaką jej ślina na język przyniosła.

Uniósł brwi.

–Ani pewnie do żadnej wieży, jaką pani widziała w kartach tarota.

Przy stole zapadła cisza. Hal zdezorientowany przeskoczył wzrokiem z jednego na drugie. Meredith nie bardzo wiedziała, czy jest zakłopotany, czy też zauważył napięcie panujące między nią a jego stryjem i zleje sobie wytłumaczył.

Julian jednym haustem opróżnił kieliszek, odepchnął fotel i wstał.

–Zostawiam was – oznajmił takim tonem, jakby właśnie spędzili upojne pół godzinki w swoim towarzystwie. – Mam nadzieję, że pani nadal będzie się u nas dobrze czuła. – Położył rękę na ramieniu bratanka.

Hal z trudem powstrzymał się od nieprzyjaznego gestu.

–Zajrzyj do biura – dodał Julian -jak się pożegnasz z panią Martin. Chciałbym z tobą omówić parę spraw.

–Dzisiaj?

Julian przyspilił bratanka wzrokiem.

–Dzisiaj.

Po chwili namysłu Hal kiwnął głową.

Siedzieli w ciszy, dopóki Julian nie wyszedł z baru.

–Nie bardzo rozumiem, jak ty to... – zaczęła Meredith, ale zaraz umil kła. Zasada numer jeden: nigdy nie krytykuj czyjejs rodziny.

–Jak ja to znoszę? – rzucił Hal gwałtownie. – Odpowiedź brzmi: z wielkim trudem. Gdy tylko skończę to, co mam do załatwienia, zniknę stąd raz na zawsze.

–No, a jak twoje sprawy?

Cała wojowniczość z niego wyparowała. Wstał, wbił ręce w kieszenie. Spojrzał Meredith prosto w oczy.

–Powiem ci przy kolacji.

ROZDZIAŁ 64

Julian zerwał pieczęć z nowej butelki, nalał sobie solidną porcję i ciężko siadł przy biurku, na którym leżała reprodukowana talia.

Bez sensu.

Badał seryjną talię Bousqueta od wielu lat, szukając czegoś szczególnego, jakiegoś ukrytego znaku, klucza, kodu. Poszukiwania oryginalnej zajmowały go od czasu, gdy po raz pierwszy trafił do doliny Aude i usłyszał pogłoski o skarbach ukrytych w górach, pod skałami, a także, co dziwniejsze, pod rzekami.

Po kupnie Domaine de la Cade szybko doszedł do wniosku, z którym zgadzało się wiele innych osób, że wszystkie sensacyjne historie, związane z Rennes-le-Chateau były jednym wielkim przekrętem, a dziewiętnastowieczny renegat, obecny zawsze w samym centrum zdarzeń, proboszcz Sauniere, miał na widoku raczej materialne niż duchowe korzyści.

Z czasem Julian zaczął gromadzić opowieści o tym, jak to talia kart ma wskazać nie tyle pojedynczy grób, ile wręcz cały skarbiec królestwa Wizygotów. A może nawet bogactwa ze świątyni Salomona, wywiezione przez Rzymian w pierwszym wieku naszej ery, a następnie splądrowane przez Wizygotów, gdy Cesarstwo Rzymskie uległo im w piątym wieku naszej ery. Podobno karty zostały ukryte na terenie majątku. Julian utopił w poszukiwaniach skarbu wszystkie pieniądze, do ostatniego grosza. Prowadził systematyczne wykopaliska, poczynawszy od okolicy ruin wizygockiego grobowca. Teren był trudny, wymagał dużego nakładu pracy, a co za tym idzie, sporych inwestycji.

I ciągle nic.

Gdy oczyścił swoje konto bankowe, zaczął pożyczać z kasy

hotelowej. Na tym etapie użyteczny okazał się fakt, że finanse, przynajmniej częściowo, istniały w formie gotówkowej. Z drugiej strony, hotel także musiał zarabiać. Koszty rozkręcenia interesu były ogromne. Jeszcze nie zaczęły się zwracać, a bank już upominał się o spłatę pożyczki. Mimo wszystko Julian stale wyprowadzał pieniądze, zakładając, że w niedługim czasie znajdzie to, czego szuka, a wtedy wszystko będzie jak trzeba.

Osuszył kieliszek do dna.

To tylko kwestia czasu.

Wszystkiemu winien Seymour. Mógł się zdobyć na odrobinę cierpliwości. Zaufać bratu. Nie wtrącać się. Wiedział, że niewiele brakowało.

Spłaciłbym go, pomyślał.

Kiwając głową, pstryknął wieczkiem zapalniczki. Wyjął papierosa, przypalił, zaciągnął się głęboko. Już rozmawiał z policją z Couizy. Powiedziano mu, że lepiej byłoby, gdyby bratanek przestał zadawać pytania. Julian, oczywiście, obiecał rozmówić się z chłopakiem i zaprosił komisarza na kieliszeczek w przyszłym tygodniu.

Sięgnął po butelkę, nalał sobie kolejne dwa łyki. Wrócił myślami do rozmowy w barze. Celowo zachowywał się prostacko, wydało mu się to najkrótszą drogą do wyprowadzenia Amerykanki z równowagi. Nie miała ochoty mówić o tarocie.

Dziewczyna jest bystra. I niebrzydka.

Co ona wie?

Uświadomił sobie, że odgłos, który mu przeszkadza w myśleniu, to bębnienie palcami o blat biurka. Opuścił wzrok na własną dłoń. Obca. Jakby należała do kogoś innego. Zmusił ją do bezruchu.

W zamkniętej szufladzie biurka czekały dokumenty przekazania praw właścicielskich. Wystarczyło podpisać papiery

i zwrócić je notariuszowi w Esperazie. Chłopak nie był głupi. Nie miał ochoty zostawać w Domaine de la Cade. Julian doskonale zdawał sobie sprawę, że miałby z nim równie ciężkie przeprawy jak z Seymourem. Dotąd nie naciskał, ale już dość czekania. Pora załatwić sprawy. Od wypadku minęło dużo czasu.

–To nie moja wina – powiedział, przeciągając głoski. Alkohol zaczynał działać.

Powinien jeszcze raz pogadać z dziewczyną. Z tą Amerykanką. Ona coś wie o oryginalnej talii Bousqueta. Inaczej po co by tutaj przyjeżdżała? Jej obecność nie miała nic wspólnego z wypadkiem Seymoura ani z tym żalosnym Halem, ani z hotelowymi finansami. To pewne. Dziewczyna była tutaj z tego samego powodu co on. O nie. Nic z tego. Nie po to odwał całą brudną robotę, żeby jakaś amerykańska gówniara sprzątnęła mu karty sprzed nosa.

Popatrzył na ciemniejący las. Zapadała noc. Wolnym ruchem wyciągnął rękę do lampy, pstryknął przełącznikiem.

Krzyknął.

Przed nim stał brat. Seymour. Błady, o woskowej cerze, pozbawionej życia, zupełnie jak w kostnicy. Twarz miał poznaczoną bliznami i zmarszczkami, oczy nabiegłe krwią.

Julian zerwał się z fotela, ciężki mebel huknął o podłogę.

–A ty tu skąd?!

Z trąconej szklaneczki wylała się whisky. Odruchowo spojrzął w dół, a gdy znów podniósł wzrok, nie zobaczył nikogo.

Nie uwierzył własnym oczom. Przeskakiwał spojrzeniem z jednego kata w drugi, zerknął w okno – i wtedy zrozumiał.

Przestraszył się własnego odbicia, bladej podobizny w ciemniejącym szkłe. Zobaczył siebie, nie brata.

Odetchnął głęboko.

Seymour nie żył. Był martwy. Bez wątpienia. Julian osobiście

przyprawił mu drinka rufenolem, zwanym także pigułką gwałtu. Zawiózł go do mostu przy Rennes-les-Bains, przeciągnął Seymoura na siedzenie kierowcy, zwolnił hamulec. Widział spadający samochód.

–Zmusiłeś mnie do tego – mruknął.

Podniósł wzrok na okno, zamrugał. Nic.

Odetchnął pełną piersią, a następnie schylił się, by postawić fotel. Na moment zamarł w dziwnym skłonie, z dłońmi zaciśniętymi na oparciu, z pobielającymi kłykciami, pochyloną głową. Czuł strużkę potu, płynącą między łopatkami.

Wziął się w garść. Sięgnął po papierosy. Nikotyna uspokoi mu nerwy.

Zapatrzył się w czarny las za oknem.

Oryginalne karty nadal gdzieś tam są. Był tego absolutnie pewien.

–Już niedługo. – Był o włos od celu. Miał przeczucie. Następnym razem szczęście mu dopisze. Na pewno.

Kałuża whisky dotarła do brzegu biurka i zaczęła skapywać na dywan.

ROZDZIAŁ 65

–Dobra, gadaj – poprosiła Meredith. – Po kolei.

Hal oparł łokcie na blacie.

–Z grubsza rzecz biorąc, nie widzą powodu do wznawiania śledztwa. Są przekonani, że wszystko wiedzą.

–To znaczy?

–Zgon w wypadku samochodowym. Tata był pijany. Stracił panowanie nad kierownicą, stoczył się z mostu do rzeki Salz. Miał trzykrotnie przekroczoną dozwoloną zawartość alkoholu we krwi.

Siedzieli w alkwie pod oknem. O tej porze w restauracji panował spokój, więc mogli rozmawiać bez przeszkód i bez obawy, że ktoś ich usłyszy. Na białym obrusie stała zapalona świeca.

Meredith wyciągnęła rękę przez stół i przykryła dłonią rękę Hala.

–Na dodatek mają świadka. Jakąś Angielkę, panią archeolog z tytułem doktora, Shelagh O'Donnell. Mieszka w okolicy od jakiegoś czasu.

–To chyba dobrze? Widziała wypadek?

Pokręcił głową.

–W tym rzecz. Zgodnie z protokołem, słyszała pisk hamulców i opon, ale nic nie widziała.

–Zawiadomiła policję?

–Nie od razu. Na tym zakręcie bardzo często kierowcy ostro hamują. Podobno dopiero rano, kiedy zobaczyła karetkę i policję wyciągającą samochód z rzeki, zrozumiała, co się stało. – Zamilkł. – Chciałbym z nią porozmawiać. Może coś jej się

przypomni?

–Z jednej strony, kto wie, z drugiej, przecież złożyła zeznania.

–Mam wrażenie, że nie traktują jej jako wiarygodnego świadka.

–Dlaczego?

–Wyraźnie nikt mi tego nie powiedział, ale z tego, co mówili, wynikało, że pani doktor była pijana. Poza tym na drodze nie znaleziono śladów opon, więc nie bardzo wiadomo, co właściwie słyszała. Tak to właśnie wygląda według policji. – Przerwał. – Nie dali mi jej adresu, ale przepisałem z akt numer telefonu... Zaprosiłem ją tutaj na jutro.

–Czy to na pewno dobry pomysł? Jeżeli policja uzna, że robisz coś czego nie powinienes, będzie chyba raczej mniej niż bardziej skłonna do pomocy.

–Już się na mnie wypięli. – Machnął ręką. – Szczerze mówiąc, mam wrażenie, jakbym walił głową w mur. Tyle czasu usiłowałem przekonać policję, żeby mnie zaczęli traktować poważnie. Siedziałem tutaj, chociaż wcale nie chciałem, czekałem grzecznie, byłem cierpliwy – i nic. Mam dosyć. – Policzki mu płonęły. – Wybacz. Jestem raczej mało rozrywkowy...

–Daj spokój. – Bardzo przypominał swojego stryja, i to pod wieloma względami. Obaj tak samo szybko ulegali emocjom. Od razu poczuła ukłucie winy z powodu takiego porównania. Halowi na pewno by się ono nie spodobało.

–Nie masz powodu mi wierzyć, ale ja po prostu nie przyjmuję do wiadomości oficjalnej wersji wypadków. Nie twierdzą, że tata był ideałem. Szczerze mówiąc, nie mieliśmy ze sobą wiele wspólnego. On był spokojny i zrównoważony, trochę nawet chłodny... Tak czy inaczej, na pewno nie wsiadłby za kierownicę po kieliszku. Nigdy. Nawet we Francji.

–Trudno mieć pewność – odezwała się po chwili. – Każdemu się zdarza – dodała, chociaż jej samej nie zdarzyło się nigdy. – Mógł wypić o jednego za dużo. I zaryzykować.

–Nie. Na pewno nie. On by tego nie zrobił. Lubił wino, ale nie prowadził po alkoholu. Nawet po jednym kieliszku. – Przygarbił się. – Moja matka zginęła w wypadku – podjął spokojnie. – Zabił ją pijany kierowca. Jechała odebrać mnie ze szkoły. Wpół do czwartej, w biały dzień. Rozjechał ją jakiś idiota w bmw. W środku dnia już wracał z pubu. Był po korek zatankowany szampanem.

Dopiero teraz Meredith zrozumiała, dlaczego Hal nie mógł się pogodzić z oceną policji. Z drugiej strony, nawet najgorętsze życzenia nie zmieniają faktów. Znała to z autopsji. Gdyby marzenia spełniały się na życzenie, jej matka z pewnością by wyzdrowiała. I naprawdę by nie doszło do żadnych gwałtownych scen.

Hal podniósł na nią oczy.

–Tata nigdy nie prowadził po kieliszku. Meredith uśmiechnęła się niezobowiązująco.

–Ale badanie wykazało obecność alkoholu we krwi. Co na to policja. Hal wzruszył ramionami.

–Ich zdaniem, byłem zbyt wściekły, żeby trzeźwo myśleć.

–No dobrze. Spójrzmy na to z innej strony. Czy testy mogą być niewiarygodne?

–Według policji, nie.

–Czy sprawdzali coś jeszcze?

–Co na przykład?

–Na przykład sprawę leków. Hal pokręcił głową. Chyba nie było takiej potrzeby.

Meredith pograżyła się w zamyśleniu.

–Czy jest możliwe, że prowadził za szybko? Stracił panowanie nad kierownicą? Akurat na zakręcie?

–Pamiętaj, nie było śladów hamowania. A poza tym to nie ma

nic wspólnego z alkoholem we krwi.

Spojrzała mu w twarz.

–Co się stało naprawdę, twoim zdaniem?

–Albo testy są sfalszowane, albo ktoś tacie czegoś dosypał. Mina dziewczyny zdradziła jej myśli.

–Nie wierzysz mi – rzekł Hal.

–Tego nie powiedziałam – zaprotestowała szybko. – Ale, z drugiej strony, sam się zastanów. Nawet gdyby jedno albo drugie było możliwe, to co by znaczyło?

Hal wytrzymał jej spojrzenie bez zmrużenia oka. Zrozumiała.

–Twój stryj?

–Nie widzę innej możliwości.

–Chyba nie mówisz poważnie! To znaczy... Widzę, że się nie kochacie, ale... mimo wszystko... oskarżenie o...

–Wiem, jak to wygląda. Wiem, że wydaje się śmieszne. Ale zastanów się, masz innego kandydata?

Meredith pokręciła głową.

–Powiedziałaś policji?

–Niezupełnie w ten sposób, ale zażądałem, żeby dokumenty zostały zbadane przez gendarmerie nationale.

–Co to znaczy?

–Gendarmerie nationale prowadzi sprawy przestępstw. Na razie śmierć mojego ojca jest zakwalifikowana jako wypadek drogowy. Ale jeśli znajdę jakikolwiek dowód, wiążący to zdarzenie z Julianem, będę mógł skłonić policję do nowego spojrzenia na sprawę. Przekrzywił głowę. – Moim zdaniem, miałybyś większe szanse w rozmowie z O'Donnel niż ja.

Meredith odchyliła się na oparcie. Czyste szaleństwo. A Hal w to wszystko wierzy. Współczuła mu, lecz jednocześnie była

przekonana, że nie ma racji. Musiał znaleźć kozła ofiarnego, skanalizować gniew i poczucie straty. Sama wiedziała z własnego doświadczenia, że niezależnie od tego, jak fatalna okazuje się prawda, niewiedza jest znacznie gorsza. Dopiero gdy człowiek pozna całą prawdę, może się z nią pogodzić, zostawić przeszłość za sobą i zacząć normalnie żyć.

–Meredith?

Uświadomiła sobie, że Hal czeka na odpowiedź.

–Wybacz. Zamyśliłam się.

–Mogłabyś z nią porozmawiać? Milczała niezdecydowana.

–Bardzo mi na tym zależy – podkreślił. W końcu pokiwała głową.

–Chyba tak. Tak.

Hal odetchnął z ulgą.

–Dziękuję.

Pojawił się kelner i od razu atmosfera uległa zmianie, wreszcie zaczęła przypominać normalną randkę. Oboje zamówili steki, Hal wybrał butelkę miejscowego czerwonego wina, a potem jakiś czas siedzieli, zerkając na siebie, wymieniając półuśmiechy i zastanawiając się, co dalej.

Pierwszy przerwał ciszę Hal.

–No i tak. – Odchrząknął. – Dość gadania o moich problemach. Może mi teraz opowiesz, po co naprawdę tu przyjechałaś?

Meredith osłupiała.

–Słucham?

–Przecież nie z powodu biografii Debussy'ego. A przynajmniej nie tylko z tego powodu.

–Skąd ten pomysł? – spytała szybciej, niż zamierzała.

Trochę zmieszany spuścił wzrok.

–Po pierwsze, to, czym się dzisiaj interesowałaś, nie miało chyba nic wspólnego z Lilly Debussy. Bardziej cię zajmowała historia regionu, samo Rennes-les-Bains i jego mieszkańcy. – Widząc minę Meredith, pokazał w uśmiechu wszystkie zęby. – Zauważyłem też, że zniknęła fotografia, która jeszcze niedawno wisiała nad fortepianem. Ktoś ją sobie pożyczył.

–Dlaczego uważasz, że to ja ją wzięłam?

–Dziś rano jej się uważnie przyglądałaś, więc... – Uśmiechnął się przeproszająco. – No i jeszcze kwestia mojego stryja. Może się mylę, ale mam nieodparte wrażenie, że jesteś tu, żeby go skontrolować. Nie przepadacie za sobą, to widać od pierwszego rzutu oka.

Zawahał się i umilkł.

–Uważasz, że przyjechałam sprawdzać twojego stryja? Chyba żartujesz!

–Właściwie to nie wiem. – Wzruszył ramionami. – Tak sobie teoretyzowałem.

Meredith upiła łyk wina.

–Nie chciałem cię obrazić.

Uciszyła go podniesieniem ręki.

Jedną chwileczkę. Chciałabym się upewnić, czy dobrze zrozumiałam. Nie wierzysz, że wypadek, w którym zginął twój ojciec, był rzeczywiście wypadkiem. Twoim zdaniem sfalszowano wyniki badań, a samochód został zepchnięty z drogi...

W zasadzie...

Podejrzewasz, że stryj był zamieszany w śmierć twojego taty. Zgadza się.

–Kiedy tak to ujęłaś, brzmi jakoś...

Meredith mówiła coraz głośniejsze.

–I z jakichś kompletnie dla mnie niezrozumiałych powodów doszedłeś do wniosku, że ja też jestem w to zamieszana. Tak? To kim ja jestem, szpiegiem amatorem? Jakąś Nancy Drew?

Zamilkła i przyglądała się Halowi bez słowa.

Miał tyle przyzwoitości, że zrobiło mu się nieswojo.

–Nie chciałem cię urazić – zapewnił. – Tylko, widzisz, w kwietniu, po tej rozmowie, o której ci przedtem wspominałem, tata dał mi do zrozumienia, że nie podoba mu się sposób prowadzenia interesów przez Juliana i zamierza coś w związku z tym zrobić.

–W takim razie powinien ci powiedzieć otwarcie i od początku do końca, o co chodzi. Przecież jeżeli istniały jakieś problemy, dotyczyły również ciebie.

–Mój tata nie był taki. Nienawidził plotek. W życiu by nic nie wspomniał ani mnie, ani nikomu innemu, dopóki by nie zyskał absolutnej pewności. On naprawdę uważał, że człowiek jest niewinny, dopóki mu się nie udowodni winy.

–No dobrze – odparła Meredith po krótkim zastanowieniu. – Rozumiem. Jesteś przekonany, że coś się między nimi nie układało.

–Tak. I na dodatek głowę bym dał, że to było coś poważnego, naprawdę duży kaliber. Jakaś sprawa związana z Domaine de la Cade, z historią majątku, nie tylko z pieniędzmi. – Rozłożył ręce. – Wiem, że to mało klarowne, ale naprawdę nie znam żadnych konkretów.

–Tata ci nic nie zostawił? Żadnych notatek? Może jakiś folder z informacjami?

–Nic, kompletnie. Uwierz mi, szukałem bardzo starannie.

–Dodalesz dwa do dwóch i wyszło ci, że tata mógł nająć kogoś, kto miał się bliżej przyjrzeć stryjowi. – Pokręciła głową. – Trzeba mnie było po prostu spytać. – Poczwała złość, choć nie do końca

wiedziała dlaczego.

–Przyszło mi to do głowy dopiero dzisiaj po południu.
Meredith założyła ręce na piersi.

–Czyli nie z tego powodu zaczepiłeś mnie wczoraj w barze?

–Pewnie, że nie! – wydawał się szczerze przestraszony.

–Więc dlaczego? Ha! poczerwieniał.

–Rany, Meredith, no coś ty. Przecież wiesz. Tym razem ona
spiekła raka.

ROZDZIAŁ 66

Hal uparł się, że zapłaci za nich oboje, a Meredith, obserwując, jak podpisuje rachunek, zastanowiła się, czy stryj faktycznie każe mu pokryć należność. W końcu, formalnie rzecz biorąc, Hal był właścicielem połowy hotelu. Raptem znów zaczęła się o niego martwić.

Wyszli z restauracji. Ramię w ramię przeszli przez hol, a u podnóża schodów Hal wziął Meredith za rękę. W milczeniu weszli na piętro. Była zupełnie spokojna. Nie miała żadnych wątpliwości. Nie musiała się zastanawiać, czy aby na pewno tego chce. Czuła się po prostu dobrze. Nie dyskutowali, dokąd pójdą. Pokój Meredith był pod każdym względem właściwszy.

Dotarli na koniec korytarza, nie napotkawszy żadnych innych gości. Dziewczyna przekręciła klucz w zamku i pchnęła drzwi. Weszli do środka, nadal trzymając się za ręce. Smugi białego światła jesiennej pełni rysowały proste wzory na podłodze, zapalały blaski w lustrze, a także w szybcie, za którą tkwiło zdjęcie Anatola i Leonie Vernierów oraz Izoldy Lascombe.

Meredith sięgnęła do kontaktu.

–Nie zapalaj – poprosił Hal.

Przyciągnął dziewczynę do siebie. Pachniał tak jak w Rennes-le-Cha-teau, wełną i mydłem.

Pierwszy pocałunek, naznaczony śladem czerwonego wina, był miękki i delikatny, trochę jakby próbny, znak przyjaźni preradzającej się w coś innego, coś bardziej żarliwego. Meredith natychmiast straciła spokój i opanowanie, ogarnęła ją namiętność. Fala gorąca ruszyła w górę od stóp, przez uda, do brzucha, a potem rozpałała nawet wnętrza dłoni i ogłuszyła dziewczynę szumem krwi w głowie.

Hal nachylił się lekko i jednym płynnym ruchem wziął Meredith na ręce. Klucz wypadł jej z dłoni, odbił się od podłogi i zatonął w grubym dywanie.

–Jaka ty jesteś leciutka! – wyszeptał Hal, całując ją w szyję.

Ostrożnie posadził Meredith na łóżku, potem usiadł obok, jak bohater popołudniowego hollywoodzkiego przedstawienia, pilnowany przez cenzora.

–Nie wiem, czy ty... – zająknął się i zaczął od początku. – Jesteś pewna, że chcesz...

Meredith położyła mu palec na ustach.

–Ciiicho.

Podciągnęła nogi pod siebie. Wolno, guzik za guzikiem rozpięła bluzkę, potem wzięła Hala za rękę – gestem wyrażającym na wpół zaproszenie, na wpół polecenie. Najpierw zapadła kompletna cisza, potem pokój cętkowany srebrnym blaskiem rozbrzmiał przyśpieszonym oddechem młodego mężczyzny. Siedząc po turecku, pochyliła się i pocałowała go. Fala czarnych włosów spadła jej na twarz. Wreszcie byli równego wzrostu.

Hal zaczął ściągać sweter, ale kiedy Meredith wsunęła dłonie pod bawełnianą koszulkę, zaplątał się w ubraniu. Zaśmiali się oboje, trochę skrępowani.

Meredith nie miała żadnych wątpliwości. Robiła rzecz naturalną i najwłaściwszą. Od przyjazdu do Rennes-les-Bains trwała zawieszona poza czasem. Wystąpiła z ram swojego normalnego życia, z formy osoby zawsze świadomej skutków każdego zachowania, znalazła się w miejscu, gdzie obowiązywały zupełnie inne reguły.

Wstała, pozbyła się ostatniej sztuki garderoby.

–Oooo! – powiedział Hal. On też się podniósł.

Podeszła do niego, przytulili się, wsiąkli w siebie nawzajem, poufale, serdecznie. Czują, jak bardzo jej pragnie, a przecież

czekał, żeby to ona dyktowała tempo. Wobec tego wzięła go za rękę i pociągnęła pod kołdrę, na płócienne chłodne prześcieradła, wchłaniające gorąco ich ciał. Przez dłuższą chwilę leżeli obok siebie, jak rycerz i jego dama na kamiennym grobowcu. Wreszcie Hal uniósł się na łokciu i pogłaskał ją po włosach.

Pomógł jej ten zwykły dotyk. Rozluźniła się, odetchnęła spokojniej.

Dłoń Hala zsunęła się niżej, na ramiona, na szyję, musnęła piersi dziewczyny, splotła się z jej palcami. Wargi znaczyły ścieżki na białej skórze.

W Meredith rosła namiętność, gorąca, czerwona jak krew gnająca żyłami, przenikała ją do szpiku kości, od stóp do głów. Dziewczyna uniosła się na łokciach, każdy jej pocałunek zapewniał, że chce więcej. Jakiś czas wyczekiwanie stało się nie do zniesienia, Hal rozsunął jej nogi. Spojrzała w oczy niebieskie jak najczystszy lód, dostrzegła wszystkie możliwości świata. Najgorsze i najlepsze.

–Jesteś pewna?

Uśmiechnęła się, sięgnęła w dół i poprowadziła go do celu. Wsunął się powoli, delikatnie.

–Mmm... -mruknęła.

Przez chwilę leżeli bez ruchu, napawając się spokojem zespoleń. Potem Hal zaczął się poruszać. Najpierw bardzo wolno, potem szybciej, mocniej. Ciało Meredith zareagowało samo. Czowała na sobie jego silne ramiona i dłonie. Wdarła się w niego gwałtownym pocałunkiem, rozdzieliła wargi pozbawione słów.

Hal oddychał coraz głośniejszymi oddechami, reagował szybciej, a namiętność, pożądanie i natura kazały mu zdążyć do ekstazy. Meredith wychodziła kochankowi na spotkanie, ona też zapomniiała o całym świecie.

Krzyknął głośno, szarpnął się, oboje znieruchomieli.

Jakiś czas potrwało, zanim jej oddech wrócił do normy, zanim krew przestała szumieć w uszach. Hal przygniatał ją całym ciężarem, wyciskał powietrze z płuc, ale nie chciała się ruszyć. Poglądziła go po gęstych czarnych włosach i zamknęła w objęciach. W pewnej chwili zdała sobie sprawę, że jej kochanek ma mokrą twarz. Że bezgłośnie płacze.

–Już, już... – szepnęła.

–Zechce mi pani opowiedzieć coś o sobie – zażądał Hal. – Pani o mnie wie prawie wszystko, pewnie nawet za dużo, a ja o pani, droga pani Martin, tyle co nic.

–Co za oficjalna przemowa! – Meredith się zaśmiała. – Zaskakuje mnie pan, proszę pana. – Poglądziła go po piersi, zsunęła dłoń niżej.

Hal złapał ją za rękę.

–Mówię poważnie! Nawet nie wiem, gdzie mieszkasz na stałe. Skąd pochodzisz, co robią twoi rodzice... No, mów.

–Niech ci będzie. Jeden życiorys w krótkim streszczeniu, już podaję. Wychowywałam się w Milwaukee, mieszkałam tam do osiemnastego roku życia, potem wyjechałam do college'u w Karolinie Północnej. Następnie studiowałam, pisałam pracę, uczyłam w St Louis i w Seattle i cały czas szukałam funduszy na dokończenie biografii Debussy'ego. Teraz przewijamy taśmę o parę lat do przodu. Moi rodzice adopcyjni postanowili się przeprowadzić z Milwaukee do Chapel Hill. w pobliżu mojej dawnej szkoły. W tym roku zaproponowano mi pracę w prywatnym college'u niedaleko uniwersytetu i w końcu znalazłam wydawcę biografii.

–Powiedziałaś: rodzice adopcyjni?

Meredith westchnęła.

–Moja rodzona matka, Jeanette, nie umiała się mną zająć. Wobec tego Mary, nasza daleka kuzynka, dziesiąta woda po kisielu, zabierała mnie, kiedy Jeanette była chora. A jak się w końcu zrobiło bardzo nieciekawie, zamieszkałam u niej na stałe. Dwa lata później, po śmierci mojej matki, zostałam oficjalnie adoptowana.

Proste, zwykłe słowa nie zdradzały, jak naprawdę wyglądał ten trudny czas. Nocne telefony, niezapowiedziane wizyty, krzyki na ulicy, ciężar odpowiedzialności za matkę, jaki miała Meredith dźwigała na swoich wątych barkach. Rzeczowa relacja nie odzwierciedlała również poczucia winy, które dziewczyna nosiła w sercu przez długie lata. Bo pierwszą reakcją na wiadomość o śmierci matki nie był żal ani smutek, tylko ulga.

Do tej pory nie zdołała sobie wybaczyć.

–Nie miałaś lekkiego życia – podsumował Hal.

Uśmiechnęła się do niego i przysunęła bliżej.

–Miałam sporo szczęścia. Mary jest niezwykłą kobietą. Dzięki niej zaczęłam grać na fortepianie i na skrzypcach. Jej i Billowi zawdzięczam dokładnie wszystko.

Hal się zaśmiał.

–Najwyraźniej faktycznie piszesz biografię Debussy'ego! Meredith lekko uderzyła go w ramię.

–Ty niedowiarku!

Czas jakiś leżeli w przyjaznej ciszy, wtuleni w siebie.

–To jeszcze nie wszystko – odezwał się w końcu Hal. Ruchem głowy

wskazał zdjęcie w ramce, leżące na biurku. – Dobrze się domyślam, prawda?

Meredith usiadła, podciągnęła kołdrę.

–Dobrze się domyślasz.

Widząc, że nie jest gotowa na rozmowę o tej sprawie, Hal postanowił zmienić temat. Usiadł, opuścił nogi na podłogę.

–Przynieść ci coś? Może jakieś picie?

–Przydałaby się szklanka wody.

Zniknął na chwilę w łazience i wrócił z dwiema szklankami do mycia zębów. Z minibaru wyjął dwie butelki wody mineralnej, po czym wrócił pod kołdrę.

–Proszę uprzejmie.

–Dzięki. – Meredith pociągnęła wodę prosto z butelki. – Jeszcze do niedawna wiedziałam tylko, że rodzina mojej matki mogła pochodzić z południa Francji i że w czasie drugiej wojny światowej albo niedługo potem wyemigrowała do Ameryki. Mam fotografię mężczyzny, który wedle wszelkich znaków na niebie i na ziemi, jest moim prapradziadkiem. Pozuje we francuskim mundurze. Zdjęcie zrobiono na placu w Rennes-les-Bains, w tysiąc dziewięćset czternastym. Jakoś musiał trafić do Milwaukee, ale ponieważ nie znałam jego nazwiska, nie mogłam dużo zdziałać. Bardzo dużo w tych stronach Europejczyków, napływali przez cały dziewiętnasty wiek. Pierwszy przybył tam Jacques Veau, francuski kupiec, który ustanowił punkt wymiany towarów na urwisku, gdzie spotykały się trzy rzeki: Milwaukee, Menomonee i Kinnickinnic.

Opowiedziała Halowi z grubsza o tym, co odkryła od przyjazdu do Domaine de la Cade, trzymając się wyłącznie faktów. Wyjaśniła, dlaczego zabrała fotografię z holu, i wspomniała o utworze fortepianowym, który odziedziczyła po babce, Louisie Martin. Ani słowem nie zająknęła się o kartach. Po wcześniejszej rozmowie w barze miała tego tematu serdecznie dosyć. Poza tym nie chciała Halowi akurat teraz przypominać o stryju.

–Doszłaś do wniosku, że twój nieznany żołnierz nosił

nazwisko Vernier.

–Rodzinne podobieństwo rzuca się w oczy. Karnacja, rysy twarzy... Może być młodszym bratem albo kuzynem, ale mnie się wydaje, biorąc pod uwagę daty i jego wiek, że jest potomkiem w prostej linii. Synem. – Uśmiechnęła się zadowolona. – Jak schodziłam na kolację, przyszedł list od Mary. Napisała, że w rejestrach cmentarnych w Mitchell Point, w Milwaukee, znajduje się nazwisko Vernier.

–Jego ojcem był Anatol Vernier?

–Tego nie wiem. Właśnie zamierzam się dowiedzieć. Może być synem Leonie.

–Wtedy nie nazywałby się Vernier.

–Chyba że nie wyszła za mąż.

–Faktycznie.

–Proponuję ci układ. Jutro najpierw ja porozmawiam z panią O'Donnell, a potem ty mi pomożesz prześledzić losy Vernierów.

–Umowa stoi – rzucił lekko, choć w jego głosie na nowo pojawiło się napięcie. – Wiem, że według ciebie, przesadzam, ale naprawdę bardzo liczę na twoją pomoc. Doktor O'Donnell przyjdzie o dziesiątej.

–Mhm... – sapnęła miękko. Oczy jej się zamykały. – Pewnie rzeczywiście łatwiej się dogada z kobietą.

Coraz trudniej było Meredith utrzymać otwarte powieki, więc przestała z nimi walczyć i powoli odplynęła w sen.

Srebrny księżyc wędrował po czarnym niebie, a daleko w dolinie dzwon odmierzał mijające godziny.

ROZDZIAŁ 67

Śniło jej się, że siedzi przy fortepianie obok schodów. Pod palcami czuła chłód klawiszy. Spływała z nich melodia dobrze znana, ta, którą tak często grała babka Louisa. Muzyka słodka, rozkołysana, ale też niepokojąca. Meredith nigdy nie grała jej tak swobodnie jak teraz.

Potem fortepian zniknął, a ona szła długim, wąskim, zupełnie pustym korytarzem. W prostokątnej plamie światła na jego końcu widziała kamienne stopnie, nierówne, wydeptane, zniszczone przez czas. Odwróciła się, chciała odejść, ale jakoś nie mogła. Cokolwiek robiła, ciągle stała w miejscu. Na pewno znajdowała się w obrębie Domaine de la Cade. ale gdzie dokładnie?

Ruszyła wobec tego do przodu. Światło wydobywało się z wiszącej na ścianie gazowej latarni, sypiącej iskrami. U szczytu schodów stanęła twarzą w twarz ze starym, zakurzonym gobelinem, przedstawiającym scenę myśliwską. Przyglądała się chwilę okrutnym męskim twarzom, smugom krwi na włóczniach. Nie ścigali zwierząt. Ani dzika, ani niedźwiedzia, ani wilka. Ich celem był czarny stwór, stojący na zadnich łapach, zakończonych kopytami. Miał ludzką twarz, wykrzywioną wściekłością. Demon. Ze szponami umazanymi purpurą.

Asmodeusz.

W tle – ogień. Las płonął.

Przekręciła się gwałtownie z boku na bok. We śnie rękami jednocześnie ciężkimi i pozbawionymi wagi pchnęła stare drewniane drzwi. Podłogę zaścielał dywan srebrnego kurzu, połyskującego w świetle księżyca, a może w blasku gazowej latarni?

Choć powietrze było całkiem nieruchome, próżno by w nim szukać wilgoci czy chłodu miejsca od dawna opuszczonego.

Czas skoczył do przodu.

Znowu słyszała fortepian, tym razem jednak dźwięk był dziwnie zniekształcony. Brzmiał jak odgłosy z karuzeli albo z targowiska, groźne, niebezpieczne.

Oddychała szybko i płytko. Zacisnęła dłonie na kołdrze. A w innym świecie chwyciła za chłodną metalową klamkę. Otworzyła drzwi. Weszła na kamienny stopień.

Cisza. Ani jednego ptasiego trełu, żadnych szeptów. Stała w jakiejś kaplicy. Wysoki sufit, kamienna podłoga, ołtarz i okna z witrażami. Na ścianach obrazy, znajome postaci, wizerunki z kart. Grobowiec. W absolutnej ciszy. Tylko echo jej kroków burzyło martwość. Dopiero po chwili w powietrzu zrodził się szmer. Narastał, aż zmienił się w głosy, potem krzyki w ciemnościach. Ukryte za ciszą. Wreszcie – śpiew.

Gdy szła, powietrze się rozdzielało, jakby niewidoczne duchy, zagubione w świetle, robiły jej miejsce. Całe wnętrze wstrzymało oddech, mierząc czas ciężkimi uderzeniami jej serca.

Szła, aż się znalazła przed ołtarzem, przed czterema oknami przy ośmiokątnej apsydzie. W środku czarnego kwadratu, zaznaczonego na podłodze. W rogach widniały cztery litery.

–Pomóż mi, szepnęła w duchu.

Był tam ktoś jeszcze. W ciemności i ciszy coś się poruszało. Powietrze wokół dziewczyny drżało, nakładało się na siebie. Nic nie widziała, ale wiedziała, że ona tam jest. Żywa istota w sukni z powietrza. Spotkała ją już wcześniej. Pod mostem, na drodze, w Pokoju Żółtym. Powietrze, woda, ogień, a teraz i ziemia. Cztery kolory z talii tarota, zamykające w sobie wszelkie prawdopodobieństwo.

–Posłuchaj mnie. Usłysz mój głos.

Meredith opadła w spokój i bezruch. Niczego się nie bała. Nie była sobą. Stała na zewnątrz, zaglądając do środka. Widziała pokój całkiem wyraźnie. Usłyszała własny zaspany głos:

–Leonie?

Ciemność zyskała inną naturę, ruch powietrza wokół skrytej postaci nieledwie zmienił się w bryzę. Figura u stóp łóżka leciuteńko skinęła głową. Zsunął się kaptur, odsłaniając długie miedziane loki, sam kolor, pozbawiony substancji. Przejrzystą skórę. Zielone oczy. Forma bez materii. Długa czerwona suknia, osłonięta czarnym płaszczem. Kształt bez formy.

–Tak, Leonie.

Meredith usłyszała odpowiedź w myślach. Głos młodej dziewczyny, słowa z minionego czasu.

Znów coś się w pokoju zmieniło. Jakby przestrzeń odetchnęła z ulgą.

–Nie mogę zasnąć. Nie zasnę, póki mnie ktoś nie odnajdzie. Póki nie usłyszy prawdy, dotarły do niej słowa.

–Prawdy? O czym? – szepnęła Meredith.

Światło zaczynało się rozpraszać.

–O kartach. Karty znają prawdę.

Powietrze ruszyło strumieniem, światło się rozpadło, połysk czegoś, kogoś nikał. W ciemności pojawiło się zagrożenie, które Leonie powstrzymywała. Teraz ducha już nie było, w jego miejsce nadciągała niszczycielska siła. Niechętna, wroga. Zrobiło się zimno, chłód napierał na Meredith ze wszystkich stron. Niby w porannej mgle nad morzem pojawił się przykry zapach soli, ryby, dymu. Znów była w grobowcu. Chciała uciekać, choć nie wiedziała przed czym, od czego. Ruszyła do drzwi.

Coś pojawiło się za jej plecami. Czarna postać, dziwaczny stwór. Prawie czuła jego oddech na karku, obłoczki białej pary w lodowatym powietrzu. Kamienna nawa się wydłużała, drewniane drzwi oddalały, coraz mniejsze i nieosiągalne.

Raz, dwa, trzy, Baba-Jaga pa... trzy! Idę po ciebie!

Coś ją doganiało, nabierało szybkości w cieniach, gotowało się do skoku. Ruszyła biegiem na drżących nogach, strach dodawał jej sił. Buty ślizgały się na kamieniu. A tamten oddech, tuż za nią, blisko.

–Zaraz cię złapię!

Rzuciła się na drzwi, boleśnie łupnęła ramieniem we framugę. Stwór był tuż-tuż, czuła za sobą łaskotanie jego szczeciny, smród żelaza i krwi oblepił jej skórę, czoło i podeszwy stóp. Szarpała

klamką, pchała drzwi i ciągnęła, nic z tego, nie ustępowały.

Zadudniła w nie pięściami. Nie obejrzy się za siebie, nie chce napotkać spojrzenia przerażających niebieskich oczu.

Nagle cisza wokół zyskała głębię. Meredith wiedziała, co teraz będzie: zaciśnie jej palce na szyi. Zimne, wilgotne dłonie. Wbije w skórę twarde szpony.

Owionął ją zapach morza, wciągnął w śmiertelną otchłań.

ROZDZIAŁ 68

–Meredith! Meredith! Spokojnie. Już dobrze. Jesteś bezpieczna.

Gwałtownie usiadła na łóżku. Z trudem walczyła o oddech. Miała napięte wszystkie mięśnie, każdy nerw. Zdrętwiały jej palce, kurczowo zaciśnięte na zmiętych prześcieradłach. Przez moment przygniatał ją potężny gniew, jakby wściekłość potwora wsiąkła w nią przez skórę.

–Meredith! Spokojnie! To ja!

Usiłowała się uwolnić, kompletnie zdezorientowana, dopiero po chwili uświadomiła sobie, że czuje ciepłą skórę, że miękkie, choć silne dłonie trzymają ją, lecz nie krzywdzą.

Ha! Uścisk zelżał.

–Coś ci się śniło – powiedział. – Już po wszystkim.

–Widziałam ją. Była tutaj i potem... potem on tu przyszedł i...

–Ciii... Już w porządku. Już dobrze.

Podniosła na niego wzrok. Wyciągnęła rękę i pogładziła go po twarzy.

–Przyszła tutaj. A za nią...

–Nikogo tu nie było. Zwykły koszmar i tyle. Już po wszystkim. Meredith rozejrzała się po pokoju, jakby ktoś mógł wyjść spomiędzy cieni. To rzeczywiście był sen. I już minął. Pozwoliła się przytulić. Chłonęła ciepło Hala i jego siłę, poczucie bezpieczeństwa, spokojny oddech.

–Widziałam ją – mruknęła, tym razem do siebie.

–Kogo? – spytał szeptem. Nie odpowiedziała.

–Już wszystko w porządku – uspokoił ją cicho. – Śpij.

Pogłaskał ją, odgarnął grzywkę z czoła, tak samo jak Mary, kiedy strzegła jej przed koszmarami.

–Była tutaj – powtórzyła Meredith.

Strach wolno odchodził. Poddawał się, bezbronny wobec czułych gestów. Dziewczynie zaczęły ciężać powieki, wreszcie zrobiło jej się ciepło.

Czwarta nad ranem.

Chmury przestłoniły księżyc, zapanowała ciemność. Kochankowie, ucząc się siebie nawzajem, usnęli przytuleni, osłonięci granatową czernią godziny przed brzaskiem.

CZĘŚĆ IV Polana

Październik – listopad 1891

ROZDZIAŁ 69

Piątek, 23 października 1891

Następnego ranka Leonie obudziła się z myślą o Victorze Constance, podobnie jak wieczorem zasnęła.

Spragniona świeżego powietrza, ubrała się szybko i wyszła na spacer. Dookoła widziała ślady burzy z poprzedniego dnia. Wszędzie połamane gałęzie, opadłe liście, miotane wiatrem. Dzisiaj zapadła cisza, różowy świt wstawał świeży i jasny. A jednak nie. W oddali, nad Pirenejami, szary wał chmur burzowych szykował się do ataku.

Obeszła staw, zatrzymała się na cypelku, przyjrzała marszczonej wiatrem wodzie, po czym zawróciła do domu. Na trawnikach rąbek sukienki zebrał rosę. Stopy zostawiały niegłębokie ślady.

Otworzyła frontowe drzwi, weszła do holu, tupnęła kilka razy na szorstkiej wycieracze, strząsając wodę z pantofli. Zsunęła kaptur, odpięła klamrę i powiesiła płaszcz na metalowym haku.

Idąc po czerwonych i czarnych płytkach w stronę jadalni, uświadomiła sobie, że ma nadzieję, iż Anatol jeszcze nie zszedł na śniadanie. Z jednej strony, martwiła się o Izoldę, ale z drugiej, ciągle była naburmuszona z powodu wcześniejszego powrotu z Carcassonne i nie miała najmniejszej ochoty być miłą dla brata.

Otworzyła drzwi. W jadalni zastała jedynie pokojówkę, która

ustawiała na metalowym trójnogu pośrodku stołu emaliowy dzbanek z kawą, ozdobiony czerwonymi i błękitnymi wzorami.

Na widok wchodzącej Marieta dygnęła.

–Madomaisela.

–Dzień dobry.

Leonie podeszła do swojego stałego miejsca na zwężonym końcu owalnego stołu i usiadła twarzą do drzwi. Jedna myśl nie dawała jej spokoju. Jeżeli zła pogoda w Carcassonne się utrzyma, wówczas patron hotelu nie zdoła Victorowi dostarczyć listu na Square Gambetta. Albo też, ze względu na ulewny deszcz, koncert zostanie odwołany. Nie miała jak się upewnić, czy pan Constant otrzyma jej wyjaśnienie, i wprawiało ją to w paskudny humor.

Dowiem się, jeśli do mnie napisze.

Westchnęła ciężko i rozłożyła na kolanach serwetkę.

–Czy mój brat już schodził na śniadanie? – zapytała służącą.

–Nie, madomaisela, panienska jest pierwsza.

–A jak się czuje ciotka? Lepiej?

Dziewczyna milczała chwilę, potem odezwała się przyciszonym głosem, jakby powierzała gościowi wielki sekret.

–Panienska nie wie? Madama w nocy czuła się tak źle, że senher Anatol musiał posłać do miasta po doktora.

–Co takiego?! – Leonie wstała. – Nic nie wiedziałam. Już do niej idę.

–Lepiej nie – zatrzymała ją Marieta. – Pół godziny temu madama wreszcie zasnęła. Śpi jak dziecko.

Dziewczyna usiadła na powrót.

–Co powiedział lekarz? Doktor Gabignaud, jak rozumiem?

Służąca kiwnęła głową.

–Madama się przeziębila, mogło się z tego wykluć coś gorszego. Dostała proszek na zabicie gorączki. Siedzieli przy niej we dwóch przez całą noc.

–A teraz jak wyglądają sprawy?

–To już musi panienka spytać senhera Anatola. Rozmawiał z doktorem na osobności.

Leonie czuła się okropnie. Miała sobie za złe nieprzyjemne myśli i fakt, że całą noc przespalała, nie mając pojęcia, co się dzieje w domu. Żołądek jej się ścisnął, wątpiła, by dała radę przełknąć choćby najmniejszy kęs. Ale gdy Marieta postawiła przed nią talerz ze smażonymi jajkami i bekonem, koszyk z ciepłym białym chlebem oraz świeżutkie masło, jednak się skusiła.

Jadła w ciszy. Myśli jej się rwały. A to martwiła się o zdrowie ciotki, a to wspominała cudowne chwile z panem Constantem, potem znów troskała się o Izoldę.

W pewnej chwili usłyszała czyjeś kroki w holu. Rzuciła serwetkę na stół, zerwała się na równe nogi i pobiegła do drzwi. Jeszcze dwa susy i wpadła na Anatola.

Był blady, pod oczami miał ciemne kręgi, najwyraźniej całą noc nie spał.

–Braciszku, dopiero co się dowiedziałam – rzuciła spieszenie. – Marieta powiedziała, żeby cioci nie przeszkadzać, że zasnęła. Czy doktor jeszcze wróci, czy ciocia...

Anatol uniósł rękę, hamując potok słów. Uśmiechnął się, a mimo zmęczenia uśmiech miał promienny.

–Calmetoi-powiedział, kładąc dłoń na ramieniu siostry. – Spokojnie, petite, najgorsze minęło.

–Ale...

–Izolda wyzdrowieje. Gabignaud jest zdolnym lekarzem. Dał jej środki nasenne. Jest słaba, ale już nie ma gorączki. Teraz wystarczy na kilka dni zatrzymać ją w łóżku.

Z oczu dziewczyny popłynęły łzy. Trochę się zdziwiła. Nawet nie wiedziała, że aż tak lubi ciocię, tę przemiłą, spokojną, uprzejmą osobę.

–Już dobrze, już dobrze, maleńka. Nie trzeba płakać. Wszystko będzie jak trzeba. Nie ma powodów do niepokoju.

–Nie kłóćmy się więcej – chlipnęła dziewczyna. – Strasznie mi było ciężko na duszy.

–Mnie też – przyznał, wyjmując z kieszeni chusteczkę.

Leonie otarła łzy, po czym głośno wydmuchała nos.

–Ładne rzeczy! – Anatol pokręcił głową. – Mama byłaby zgorziona twoim zachowaniem. – Uśmiechnął się szeroko. – Jesteś już po śniadaniu?

Dziewczyna skinęła głową.

–Ja jeszcze nie jadłem. Dotrzymasz mi towarzystwa?

Aż do wieczora trzymała się blisko Anatola, zapomniała nawet o Victorze i Constance. Najważniejsi byli dla niej ludzie, którzy zamieszkali w Domaine de la Cade, ich miłość i troski.

Izolda została w łóżku na kilka dni. Była słaba i wycieńczona. Leonie czytała jej na głos, dbała o nią i troszczyła się, jak umiała. Po trochu na policzki chorej zaczęły wracać kolory. Anatol zajął się sprawami majątku, i to tak gorliwie, że przesiadywał w sypialni ciotki nawet wieczorami. Możliwe, że służba była nieco zaskoczona taką familiarnością, ale nikt jej głośno nie komentował.

Kilka razy Leonie przyłapała brata, gdy patrzył na nią w szczególny sposób, jakby się chciał z czegoś zwierzyć, jednak wszelkie pytania kwitował uśmiechem, po czym spuszczał wzrok

i wracał do swoich zajęć.

W niedzielę wieczorem Izolda czuła się już na tyle dobrze, że do jej sypialni zanoesiono tacę z kolacją. Leonie z radością skonstatowała, iż ciocia wreszcie nie wygląda na chorą. Znów miała promienną cerę i błyszczące oczy. W zasadzie wyglądała nawet lepiej, niż przed chorobą. Anatol również najwyraźniej zwrócił na to uwagę, bo chodził po domu w doskonałym nastroju, często pogwizdując.

W poniedziałek rano dotarli do Domaine de la Cade wieści o klęsce żywiołowej w Carcassonne. Od tej pory najważniejszym tematem rozmów służby stała się powódź. Od piątkowego ranka po sobotni wieczór nad miastem i okolicą szalały gwałtowne burze, zamarła komunikacja, niektóre miejsca zostały całkowicie odcięte od świata. Po dwóch dniach ulewnego deszczu, który bardziej dawał się we znaki na równinach niż w wioskach położonych wyżej na górskich zboczach, w niedzielę, we wczesnych godzinach rannych, Aude wystąpiła z brzegów, zalewając Bastide i tereny w pobliżu koryta. Według pierwszych doniesień, pod wodą znalazła się znaczna część quartier Trivalh, a quartier Barbacane – w całości. Pont Vieux, łączący średniowieczne La Cite z Bastide, także przykryła rzeka, lecz dawało się po nim przejść. W ogrodach przy Hópital des Malades brodziło się w czarnej toni po kolana. Kilka budynków na lewym brzegu zawałiło się, podmytych silnym nurtem. Przed tamą w PaTcherou rzeka niosła podobno całe drzewa wyrwane z korzeniami.

Sytuacja w pobliżu Rennes-les-Bains oraz Quillan także nie wyglądała najlepiej, ale nie wykraczała poza to, czego się należało spodziewać po sezonie jesiennych burz.

Leonie słuchała kolejnych wiadomości z rosnącym niepokojem. Niepokoiła się o pana Constanta. W zasadzie nie miała powodu do obaw. lecz nie potrafiła nad nimi zapanować. Czuła się tym gorzej, że nie mogła powiedzieć Anatolowi, iż zna zalane dzielnice i jest wyjątkowo zainteresowana tym, co się tam

dzieje.

Kompletny absurd. Nie powinna się tak przejmować losem osoby, w której towarzystwie spędziła raptem niespełna godzinę. A jednak pan Constant stał się romantycznym bohaterem jej myśli. Nie potrafiła ani nie chciała się od niego uwolnić. I tak jak w początkach października siadywała w oknie, wyczekując listu od matki, tak teraz, pod koniec miesiąca, zastanawiała się, czy w skrzynce na poste restante w Rennes-les-Bains nie leży przypadkiem adresowany do niej list z Carcassonne.

Nie miała pojęcia, jak się dostać do miasta. Nie mogła powierzyć tak delikatnej sprawy nikomu ze służby. Ani przemiłemu Pascalowi, ani słodkiej Mariecie. Miała też jeszcze jedno zmartwienie. Jeżeli patron nie dostarczył jej listu na Square Gambetta w umówionym czasie albo jeśli koncert został odwołany, wówczas monsieur Constant, bez wątpienia człowiek stosujący się do wszelkich zasad, będzie honorowo zobowiązany zapomnieć o całej sprawie.

Dręczyła Leonie myśl, że w takim razie nie dowie się, gdzie jej szukać, albo, co gorsza, uzna ją za nieuprzejmą, ponieważ nie dotrzymała niepisanej umowy.

ROZDZIAŁ 70

Szansa pojawiła się w środę.

Po południu Izolda czuła się na tyle dobrze, że zeszła na obiad. Jadła niedużo. Próbowwała różnych potraw, ale jakoś nic jej nie smakowało. Nawet kawa, świeżo zaparzona z ziaren, które Leonie specjalnie dla niej kupiła w Carcassonne, nie wzbudziła jej entuzjazmu.

Anatol nadskakiwał Izoldzie, podsuwając jej kolejne dania, lecz udało mu się ją namówić jedynie na kawałek chleba ze świeżym masłem, kozim chevre troisjours i miodem.

–Masz ochotę na coś szczególnego? – spytał. – Przyniosę ci, co tylko zechcesz.

Izolda uśmiechnęła się zażenowana.

–Dziwnie mi wszystko smakuje...

–Musisz coś jeść – oznajmił stanowczo. – Powinnaś odzyskać siły i... -urwał w pół słowa.

Spojrzeni po sobie porozumiewawczo, a Leonie zastanowiła się, co też takiego chciał powiedzieć brat.

–Pojadę jutro do Rennes-les-Bains – podjął Anatol – i kupię ci, co ze
chcesz.

Leonie nagle wpadł do głowy wyśmienity pomysł.

–Ja pojadę! – rzuciła lekkim tonem. – Ty już i tak nie wiesz, w co ręce włożyć, a dla mnie taka wycieczka to prawdziwa przyjemność. – Odwróciła się do Izoldy. – Wiem, co lubisz, ciociu, Pascal może mnie odwieźć dwukółką. – Po

szperała w pamięci. – Przywiozę kandyzowany imbir z

Magasins Bousquet.

W szarych oczach Izoldy błysnęło zainteresowanie.

–Cóż, chyba rzeczywiście chętnie bym spróbowała – przyznała.

–I może jeszcze – dorzuciła Leonie prędko – pudełeczko jezuietek? Sama nie znosiła tych przesłodzonych ciastek z ciężkim kremem, ale doskonale wiedziała, że ciotka od czasu do czasu pozwala sobie na drobne szaleństwo.

–To może teraz niezbyt dla mnie właściwe, ale trochę sucharów z pie

przem pewnie by nie zaszkodziło.

Anatol, cały rozpromieniony, kiwał głową.

–Wobec tego ustalone – odezwał się w końcu. – Przykrył ręką drobna dłoń siostry. – Chętnie wybiorę się z tobą, petite.

–Nie trzeba, naprawdę. Będę się czuła jak na wyprawie podróźniczej A ciebie obowiązki wzywają.

Zerknął na Izoldę.

–Rzeczywiście – przyznał. – Cóż, skoro jesteś pewna, że chcesz się wybrać sama...

–Całkowicie pewna – podkreśliła szybko. – Wyjadę o dziesiątej, wrócę w sam raz na obiad. Zaraz zrobię listę zakupów.

–Jestem ci ogromnie wdzięczna – rzekła Izolda.

–Cała przyjemność po mojej stronie – odparła Leonie, wyjątkowo zgodnie z prawdą.

Dopięła swego. Jeżeli jeszcze uda jej się skoczyć na pocztę, tak żeby się o tym Pascal nie dowiedział, wreszcie będzie wiedziała, co myśleć o intencjach pana Constanta.

Wieczorem śniła o jego liście. O tym, jakie to będzie uczucie trzymać go w dłoni, co może zawierać takie słodkie przesłanie,

jakie uczucia z niego emanują.

Na tym nie koniec. Zanim odpłynęła w sen, zdążyła jeszcze ułożyć mniej więcej sto wersji pięknie skreślonej odpowiedzi na wymaginowane, elegancko przez monsieur Constanta sformułowane zapewnienia o szacunku i szczerym uczuciu.

Czwartek, dwudziestego dziewiątego października, wstał przepiękny.

Skąpał Domaine de la Cade w miękkim rudawozłotym świetle, na przejrzyste błękitnym niebie porozwieszał białe obłoczki. Zrobiło się ciepło. Burze odeszły, zostawiając miejsce wspomnieniom lata i woniom letniej bryzy. Lete indien.

Kwadrans po dziesiątej Leonie wysiadła z dwukółki na Place du Perou. Ubrana była w ulubioną czerwoną sukienkę, z żakietem i kapeluszem od kompletu. Z listą sprawunków w dłoni przeszła Gran'Rue, zaglądając do każdego sklepu po kolei. Pascal szedł za nią krok w krok, taszcząc zakupy z Magasins Bousquet, od Les Freres Marcel Patisserie et Chocolatene, boulangerie artisanale oraz kupca galanteryjnego, gdzie dziewczyna nabyła trochę włóczki. Po sirop de grenadine zajrzała do kawiarenki przy Maison Gravere; właśnie tam zatrzymali się z Anatolem na kawę przy pierwszej bytności w mieście, więc czuła się swobodnie w znajomym lokalu.

Choć w zasadzie w ogóle czuła się dobrze w miasteczku. Jakby je znała od lat i jakby ono ją znało. Co prawda, część osób, którym wypadało się ukłonić, odkłoniła się chłodno, zdarzyło się raz czy drugi, że żona odwracała wzrok, a mąż Jedwo uchylał kapelusza, niemniej Leonie nie czuła się w najmniejszym stopniu urażona. Całym sercem wierzyła, że choć jest paryżanką z krwi i kości, w niewielkim miasteczku,

zagubionym pośród lasów i jezior w regionie Aude, czuła się znacznie bardziej na miejscu niż w stolicy.

Bogiem a prawdą, sama myśl o brudnych ulicach i sadzach ósmego ar-rondissement, nie mówiąc już o poważnych ograniczeniach wolności osobistej, budziła w niej przerażenie. Gdyby Anatol zdołał przekonać mamę do przyjazdu na Gwiazdkę, Leonie bardzo chętnie zostałaby w Domaine de la Cade aż do Nowego Roku, a może i dłużej.

Z obowiązkami uporała się w ekspresowym tempie. O jedenastej pozostało jej już tylko uwolnić się od Pascala na czas dość długi, by samotnie zajrzeć na poste restante. Poprosiła go, by odniósł paczki do dwukółki, która została pod opieką któregoś z licznych krewnych chłopaka, przy poidle na Place du Perou. Oznajmiła, że sama zamierza odwiedzić pana Baillarda.

Rysy twarzy Pascala stężały.

–Nic mi nie wiadomo, żeby monsieur Baillard wrócił, madomaisela.

Ich spojrzenia się spotkały.

–Ja też tego nie wiem na pewno – przyznała – ale wolę sprawdzić. To

niedaleko. Spotkamy się na rynku.

Akurat gdy wymawiała te słowa, przyszło jej do głowy, jak może zapewnić sobie chwilę spokoju na przeczytanie listu.

–A w zasadzie nie musisz na mnie czekać – dorzuciła szybko.
– Ty za

wieziesz zakupy, a ja wrócę na piechotę.

Pascal wyraźnie poczerwieniał.

–Jestem pewien, że senher Anatol by sobie nie życzył, żeby panienska wracała pieszo.

Na pewno wiedział, jaką burę dostała Marieta po tym, kiedy

dała się Leonie odprawić w Carcassonne.

–Czy dostałeś polecenie, żeby mnie nie zostawiać samej?

Służący musiał przyznać, iż takiego polecenia nie otrzymał.

–Doskonale. Znam drogę przez las. Jak wiesz, Marieta poprowadziła

nas tamtędy w dniu przyjazdu. Trafię. Dzień jest piękny, pewnie jeden

z ostatnich słonecznych w tym roku. Chętnie się przejdę. Mój brat na pewno nie ma nic przeciwko temu.

Pascal nawet nie drgnął.

–To wszystko – powiedziała Leonie, ostrzej, niż zamierzała. Dłuższą chwilę przyglądał jej się bez słowa i z niewzruszonym wyrazem twarzy. Raptem się roześmiał.

–Jak panienka sobie życzy, madomaisela Leonie – rzekł spokojnie. Ale to panienka będzie się tłumaczyła przed panem Anatolem, nie ja.

–Powiem mu, że nalegałam, żebyś mnie zostawił.

–Poślę Marietę, żeby panience otworzyła furtkę i wyszła na spotkanie.

Na wszelki wypadek, gdyby panienka zmyliła ścieżki.

Dziewczynie zrobiło się wstyd. Pascal był przyjazny, dobroduszny i wyraźnie miał na względzie wyłącznie jej dobro. Poza wszystkim innym, choć zapewniała go o chęci do spacerów, w rzeczywistości droga przez las budziła w niej pewne obawy.

–Dziękuję – powiedziała miękko. – Obiecuję, że nie będę zwlekać. Brat

i ciotka nawet nie zauważą mojej nieobecności.

Służący kiwnął głową i z rękami pełnymi pakunków ruszył do bryczki Leonie odprowadziła go wzrokiem.

Gdy zniknął za rogiem, jej uwagę przyciągnął inny widok. Jakaś postać w niebieskiej narzutce chyłkiem skryła się w bocznej uliczce, prowadzącej do kościoła. Dziewczyna ściągnęła brwi, ale zaraz się odwróciła w stronę rzeki i szybko zapomniała o przelotnej scenie.

Na wszelki wypadek, gdyby Pascal jednak postanowił za nią iść, postanowiła dotrzeć na pocztę drogą obok domu pana Baillarda.

Uśmiechem powitała kilkoro znajomych ciotki, lecz ani razu nie zatrzymała się, by zamienić z kimś dwa słowa. Szybko znalazła się u celu. Ze zdumieniem ujrzała, że niebieskie okiennice są otwarte na oścież.

Stała. Izolda mówiła, że pan Baillard zamierzał wrócić do miasta dopiero tuż przed dniem świętego Marcina. Czyżby tymczasem dom pod-najęto komuś innemu? Czy też sam pan Baillard przyjechał wcześniej, niż zamierzał?

Powiodła wzrokiem wzdłuż rue de l'Hermitte, która od strony rzeki dochodziła do ulicy z pocztą. Jeżeli tam czeka list? A jeśli go tam nie ma? Ani słowa od pana Constanta? Biada zawiedzionym nadziejom...

Od kilku tygodni czekała na powrót pana Baillarda. Jeżeli minie jego dom, choć gospodarz już wrócił, jeśli zaprzepaści szansę na odnowienie znajomości, nigdy sobie nie wybaczy.

List nigdzie nie ucieknie. Za dziesięć minut też będzie na mnie czekał.

Weszła na schodki, zastukała do drzwi.

Jakiś czas nie działo się nic. Przyłożyła ucho do malowanych desek i wtedy usłyszała lekkie kroki na płytkach.

–Oc! – dobiegł ją dziecięcy głosik.

Drzwi stanęły otworem.

Cofnęła się o krok, nagle zawstydzona, że zjawia się w gości niezapowiedziana.

W progu stanął chłopiec o smoliście czarnych włosach i oczach koloru dojrzałych jeżyn.

–Czy pan Baillard w domu? – zapytała. – Nazywam się Leonie Vernier. Jestem kuzynką madame Lascombe. Z Domaine de la Cade.

–Czy on się panienki spodziewa?

–Nie. Przechodziłam opodal, więc pozwoliłam sobie zastukać. Jeśli przeszkadzam...

–Que es?

Chłopak odwrócił się, a na twarz Leonie wypłynął szeroki uśmiech. Miło było usłyszeć głos pana Baillarda.

–To ja, Leonie Vernier, proszę pana! zawołała ośmielona.

Chwilę później u końca korytarza ukazała się postać w jasnym garniturze, tak dobrze zapamiętana przy proszonej kolacji. Nawet w mrocznym wąskim przejściu dziewczyna widziała uśmiech gospodarza.

–Madomaisela Leonie – rzekł. – Cóż za miła niespodzianka.

–Robiłam sprawunki dla cioci... ostatnio źle się czuła. Pascal już wrócił do domu. Myślałam, że pana jeszcze nie ma w Rennes-les-Bains, ale zobaczyłam otwarte okiennice... – Uświadomiła sobie, że mówi za dużo, za szybko i bez sensu, wreszcie ugryzła się w język.

–Bardzo miło mi panią widzieć – powiedział Baillard. – Zapraszam do środka.

Zawahała się. Z jednej strony, był człowiekiem szanowanym i cieszącym się nienaganną opinią, do tego znajomym ciotki, no i zostali sobie przedstawieni w Domaine de la Cade, ale też, czy to

właściwa rzecz dla młodej dziewczyny wchodzić do domu samotnego mężczyzny?

A kto będzie o tym wiedział?

–Dziękuję, chętnie.

Przekroczyła próg.

ROZDZIAŁ 71

Poszła za panem Baillardem do pokoju na tyłach domu. Całą jedną ścianę zajmowało okno.

–Ojej! – wyrwało się dziewczynie. – Taki widok to jak obraz.

–Rzeczywiście. Gospodarz się uśmiechnął. – Mam trochę szczęścia.

Poruszył srebrny dzwoneczek, stojący na niskim stoliku obok bujanego fotela, w którym zapewne siedział przed chwilą przy dużym kamiennym palenisku. Na ten znak pojawił się chłopiec, który otworzył drzwi. Leonie dyskretnie rozglądała się po wnętrzu. Był to pokój urządony skromnie, lecz funkcjonalnie. Znajdowało się w nim kilka różnych krzeseł, sofa i podręczny stolik. Całą ścianę na wprost kominka zajmowały półki z książkami. Wszystkie pełne.

–Zapraszam, zapraszam – powtórzył pan Baillard. – Proszę, niech pa

nienka usiądzie. Słucham najnowszych wieści, madomaisela. Ufam, że w Domaine de la Cade wszystko jest w jak najlepszym porządku, ale powiedziałaś, panienko, że ciocia niedomagała. Mam nadzieję, że to nic poważnego?

Leonie zdjęła kapelusz i rękawiczki, usiadła naprzeciwko gospodarza.

–Już czuje się dobrze. W zeszłym tygodniu złapała nas okropna niepogoda i ciocia się przeziębila. Trzeba było wezwać lekarza, ale teraz już idzie ku dobremu.

–W tym stanie nietrudno o kłopoty ze zdrowiem. Zwłaszcza na samym początku. Ale wszystko będzie dobrze.

Dziewczyna przyjrzała mu się zdziwiona tym non sequitur, bo i rzeczywiście brak było logiki w jego zagadkowym stwierdzeniu.

Chciała poprosić o wyjaśnienie, lecz akurat wrócił chłopiec z miedzianą tacą, na której stały dwa zdobione szklane puchary oraz srebrny dzbanek, niby taki jak do kawy, ale wyjątkowo przyciągający oko wężowym diamentowym wzorem. Pytanie więc zamarło jej na ustach.

–Pochodzi z Ziemi Świętej wyjaśnił pan Baillard, widząc zachwyt Leonie. – Dostałem go w prezencie od przyjaciela wiele lat temu. Służący podał jej szkło wypełnione gęstym, czerwonym płynem.

–A to co takiego? spytała dziewczyna.

–Miejscowy likier wiśniowy, guignolet. Przyznani się od razu, nie jestem w stosunku do niego obiektywny. Uwielbiam go, zwłaszcza z pikantnymi sucharkami. – Skinął głową chłopcu, który podsunął dziewczynie talerz. – Można je dostać już w wielu miejscach, ale najbardziej smakują mi od Freres Marcel.

–Właśnie dzisiaj je kupiłam – powiedziała Leonie. Upiła łyk trunku i musiała zakasać. Był słodki, cudownie smakował wiśniami, ale miał przy tym sporą moc.

–Wrócił pan wcześniej – powiedziała. – Ciocia wspomniała, że nie będzie pana do listopada, a może nawet do Gwiazdki.

–Załatwiłem sprawy szybciej, niż planowałem. Różne wieści dochodzą z miasta. Uznałem, że tutaj będę bardziej przydatny.

–Przydatny? – zdziwiła się Leonie w myślach.

–Gdzie pan był?

–Odwiedziłem starych przyjaciół – odparł cicho. – Poza tym mam domek w górach, w wiosce Los Seres, niedaleko cytadeli Montsegur. Chciałem się upewnić, czy wszystko tam w porządku, czy nie potrzeba jakichś napraw przed zimą.

–Jak to? Wydawało mi się, że zimę zamierza pan spędzić tutaj, w mieście, gdzie na pewno jest łagodniejsza niż w górach.

Oczy mu rozblęły.

–Niejedną zimę spędziłem blisko szczytów, madomaisela. Jedne były

sroższe, inne mniej... – Umiłkł, zatonął we wspomnieniach. – Ale, ale. Powiedz mi, panienko, jak ci minęły ostatnie tygodnie? Czy robiłaś jakieś wyprawy od czasu naszego ostatniego spotkania?

Spojrzała mu prosto w oczy.

–Nie wróciłam do grobowca, jeśli o to pan pyta.

–Rzeczywiście, właśnie o to pytałem – potwierdził z uśmiechem.

–Muszę jednak wyznać, że tarot nadal mnie interesuje. – Przyjrzała się uważnie twarzy naznaczonej przez czas, lecz nic z niej nie wyczytała. Maluję portrety.

–Doprawdy.

–Każdy z nich to studium... albo raczej kopia. Wychylił się ku niej.

–Malujesz wszystkie, panienko?

–Cóż... nie – przyznała, choć pytanie wydało jej się osobliwe. Raczej te, które przedstawiają arkana większe. I też nie wszystkie. Niektórych nie mam ochoty zaczynać. Na przykład Le Diable.

–A La Tour?

Leonie zmrużyła zielone oczy.

–Rzeczywiście. Wieży też nie maluję. A skąd pan...

–Kiedy zaczęłaś malować, panienko?

–W dniu prozanej kolacji chciałam czymś wypełnić puste godziny oczekiwania i sama nie wiedząc, jak ani kiedy, namalowałam siebie jako jedną z postaci z talii tarota. Więc potem już malowałam dalej.

–Czy mogę spytać, którą postacią się stałaś?

–La Force. – Urwała, zadrżała na wspomnienie emocji, które przepływały przez nią w tamtej chwili. – Wcale nie miałam takiego zamiaru, ale gdy skończyłam pracę, okazało się, że Siła przybrała moje rysy. Dlaczego tak się stało?

–Najprostsze wyjaśnienie jest takie, że panienska widzi w sobie cechy dla niej charakterystyczne.

Leonie czekała na dalszy ciąg, lecz najwyraźniej pan BailJard powiedział wszystko, co miał w tej sprawie do powiedzenia.

–Przyznaję, że zaintrygowały mnie doświadczenia wuja, opisane w „Les Tarots” – podjęła. – Nie chciałabym pana naciskać wbrew pańskiej woli, ale bardzo jestem ciekawa, czy pan go znał, w czasie gdy pisał tę książkę?– Szukała w jego twarzy oznak aprobaty albo niechęci wobec pytania, lecz nic nie znalazła. – Uświadomiłam sobie, że miało to miejsce zaraz po wyjeździe mojej mamy. I naturalnie zanim wuj się ożenił. – Przerwała na moment. – Wyobrażam sobie, że był człowiekiem samotnym. Oczywiście nie robię z tego żadnego zarzutu – zastrzegła natychmiast. – Czy rzeczywiście nie lubił towarzystwa innych ludzi?

Umilkła, dając gospodarzowi czas na odpowiedź. On jednak siedział bez ruchu, z dłońmi złożonymi na kolanach, słuchając z uwagą.

–Z tego, co mówiła ciocia Izolda – podjęła więc – domyślam się, że

odegrał pan niemałą rolę w zapoznaniu mojego wujka z proboszczem

Sauniere'em, gdy ten przejął parafię w Rennes-le-Chateau. Podobnie jak pan, wspomniała też o różnych nieprzyjemnościach, plotkach i wypad

kach, wiodących do grobowca, gdzie musiał interweniować duchowny.

–Ech... – Audric Baillard splótł palce.

Dziewczyna głęboko zaczerpnęła tchu.

–Domyślam się... Czy proboszcz Sauniere odprawił egzorcyzmy? Czy

rzeczywiście taki... obrządek miał miejsce w grobowcu?

Tym razem umilkła na dobre. Pozwoliła ciszy wyrzeć nacisk.

Przez nieskończenie długi czas spokój mąciło jedynie tykanie zegara. Potem z jakichś innych pomieszczeń dobiegło pobrząkiwanie statków i szuranie miotły na drewnianych deskach.

–Uwolnił to miejsce od zła – rzekła w końcu, skoro gospodarz milczał.

–Czy tak? Raz czy drugi i ja je widziałam. Rozumiem teraz, że moja mama też mogła czuć tę obecność, kiedy jako dziewczynka mieszkała w Domaine de la Cade. Uciekła stamtąd najprędzej, jak mogła.

ROZDZIAŁ 72

–W niektórych taliach tarota – odezwał się pan Baillard – karta repre

zentująca diabła oznaczana jest głową Bafometa, antychrześcijańskiego

bożka, któremu rzekomo oddawali cześć ubodzy rycerze Chrystusa i świę

tyni Salomona.

Leonie kiwnęła głową, choć nie całkiem rozumiała, dokąd zmierza ta dygresja.

–Mówi się, że niedaleko stąd, w Beżu, było swego czasu probostwo templariuszy – ciągnął. – Oczywiście, nie ma w tym ziarna prawdy. Dawne źródła świadczą, że w ludzkiej pamięci losy ubogich rycerzy zmieszały się z historią albigensów. Rzeczywiście, jedni i drudzy żyli w tym samym czasie, jednak niewiele mieli ze sobą wspólnego.

–A dlaczego są ważni dla Domaine de la Cade?

–Widziałaś, panienko, Asmodeusza, prawda? Na jego barkach spoczywa kropielnica.

–Widziałam.

–Znany jest także jako Aszmadia lub Asmodai. Jego imię wywodzi się najprawdopodobniej z języka perskiego, ze złożenia dwóch słów: aszma-dewa, co oznacza demona gniewu. Asmodeusz pojawia się w deuterokanonicznej Księdze Tobiasza, a także w Testamencie Salomona, apokryfie Starego Testamentu, tekście, który uważany jest za dzieło króla Izraela, choć fakty temu przeczą.

Leonie pokiwała głową. Jej wiedza na temat Starego

Testamentu była dość ograniczona. Ani ona, ani Anatol nie uczęszczali na religię i nie uczyli się katechizmu. Mama uważała, że religia to zabobony, nieidące w parze ze współczesną wrażliwością. Marguerite, absolutna tradycjonalistka w kwestiach manier towarzyskich, zaliczała się do żarliwych oponentów Kościoła. Leonie po raz pierwszy zadała sobie pytanie, czy gwałtowność tych uczuć mogła mieć korzenie w atmosferze panującej w Domaine de la Cade. Postanowiła zapytać o to przy najbliższej okazji.

Spokojny głos pana Baillarda przywołał ją do teraźniejszości. Podobno król Salomon wezwał Asmodeusza do pomocy przy budo wie świątyni. Demon, najściślej związany z cielesnością, zmysłowością i pożądaniem, rzeczywiście się zjawił, lecz jego obecność rozbudziła niepokoje. Przepowiedział rozpad królestwa.

Baillard wstał, przeszedł przez pokój, wziął z półki książeczkę

oprawioną w brązową skórę. Delikatnie przewracał kartki cieniuteńkie jak bibułka, aż znalazł odpowiedni fragment.

– „Jam jest jak zwierzę ukryte w norze, przemówił demon. Więc nie proś mnie o tak wiele rzeczy. Salomonie, bo twoje królestwo ostatecznie zostanie podzielone. Chwała twoja przeminie z czasem. Możesz nas torturować, lecz potem na nowo mieszamy się z istotami ludzkimi i czczeni będziemy jako bogowie, gdyż ludzie nie znają imion aniołów, które nami rządzą”.
– Zamknął książeczkę, podniósł wzrok.

– Testament Salomona, rozdział piąty, wers czwarty i piąty.

Dziewczyna nie wiedziała, co powiedzieć, więc milczała.

– Asmodeusz jest, jak już wcześniej wspomniałem, demonem powiązany z żądzą cielesną – podjął Baillard. – Przede wszystkim zagraża nowożeńcom. W apokryficznej Księdze Tobiasza dręczy kobietę imieniem Sara, zabijając po kolei siedmiu jej mężów przed skonsumowaniem małżeństwa.

Wreszcie ósmego męża anioł Rafael pouczył, by położył na rozżarzonym

węgłu rybie serce i wątrobę. Smrodliwe opary wyгнаły Asmodeusza aż do

Egiptu, gdzie Rafael związał go i złamał jego moc.

Leonie zadrżała. Nie na dźwięk słów, ale na wspomnienie ledwie wyczuwalnego, lecz ohydneho zapachu, który prześladował ją w grobowcu. Niewytłumaczalna woń wilgoci, dymu i morza.

– Dzisiaj te przypowieści wydają się archaiczne – rzekł gospodarz. Pokiwał głową. Każda z nich powstała po to, by przekazać słuchaczom jakąś prawdę, lecz dziś jedynie zaciemniają obraz. – Stuknął w książkę dłu gimi, szczupłymi palcami. – W Księdze Salomona powiedziane jest również, że Asmodeusz nie znosi wody.

Leonie wyprostowała się w krześle.

–To dlatego na jego barkach umieszczono kropielnicę?

–Kto wie, kto wie... – Pan Baillard pograżył się w zamyśleniu.
– Ten sam demon występuje w różnych tekstach religijnych pod różnymi postaciami. Na przykład w Talmudzie jest o wiele łagodniejszy niż u Tobiasza. W tym dziele uwodzi żony Salomona i jego matkę, Batszebę. Nieco później, mniej więcej w połowie piętnastego wieku, Asmodai pojawia się jako demon pożądania w „Malleus Maleficarum”, czyli „Młocie na czarownice”, dość uproszczonym, jak na mój gust, katalogu demonów i złych duchów. Może panienci brat, kolekcjoner książek, zna to dzieło?

–Nie wiem.

–Niektórzy ludzie wierzą, że poszczególne złe duchy mają różną moc w konkretnych porach roku.

–A kiedy Asmodeusz ma być najsilniejszy?

–W listopadzie.

–W listopadzie powtórzyła jak echo. Ale co znaczy ta mieszanka przesądów i domysłów, karty, grobowiec, demon, który nie lubi wody i nienawidzi małżeństwa?

Baillard odłożył książeczkę na półkę, podszedł do okna. Wsparł dłonie o parapet.

–Proszę pana?

Obrócił się do niej. Na chwilę złociste promienie obwiodły jego głowę aureolą. Leonie miała wrażenie, że patrzy na proroka żywcem wyjętego ze Starego Testamentu. Jak z obrazu.

Monsieur Baillard wyszedł na środek pokoju i wrażenie zniknęło.

–Oznacza to, madomaisela, że kiedy miejscowi powtarzają bajania o demonie nawiedzającym doliny i lasy, w szczególnym czasie należy mieć się na baczności. Istnieją takie miejsca, a Domaine de la Cade jest jednym z nich,

gdzie objawiają się bardzo stare moce. – Zamilkł. – Są też ludzie, którzy przy

wołują duchy, zapominając, że zło nie sposób narzucić ludzkiej woli.

Nie wierzyła w jego słowa, a przecież serce biło jej szybciej.

–Mój wujek to zrobił? Mam przyjąć, że mój wuj, za pośrednictwem kart, w odpowiednim miejscu wywołał ducha? Demona, Asmodeusza? A potem nie umiał mu rozkazywać? Że wszystkie te historie o bestii są prawdziwe? Że mój wuj był odpowiedzialny, przynajmniej moralnie, za morderstwa w dolinie? I zdawał sobie z tego sprawę?

Audric Baillard wytrzymał jej spojrzenie.

Zdawał sobie z tego sprawę.

–Z tego właśnie powodu musiał skorzystać z pomocy proboszcza Saunier'a – ciągnęła. – O własnych siłach nie dał rady przegnać demona, którego sam wezwał? – Przerwała. – Czy ciocia Izolda o tym wie?

–Nie wie. Wszystko to zdarzyło się, zanim nastąpiła w Domaine de la Cade.

Leonie podeszła do okna.

–Nie wierzę – rzekła nagle. – Nie wierzę w takie historie. W duchy, diabły ani demony. Nie sposób w nie wierzyć w dzisiejszych czasach. – Zatonęła w myślach. – Biedne dzieci – szepnęła. Przemierzyła pokój raz i drugi, deski skrzypiały pod jej stopami. – Nie wierzę – powtórzyła, choć tym razem z mniejszą pewnością.

–Krew przyciąga krew – powiedział Baillard spokojnie. – Pewne rzeczy, niektóre miejsca, osoby przyciągają zło. Mogą powodować złe uczynki, grzech.

Leonie stanęła. Jej myśli podążyły inną drogą. Podniosła wzrok na gospodarza i po chwili usiadła.

–Nawet gdybym umiała się pogodzić z takim nastawieniem, co ma do

tego talia kart? Jeśli dobrze zrozumiałam, sugeruje pan, że może być

w niej ukryta jakaś moc, siła dobra lub zła. zależnie od okoliczności i tego,

jak sieją wykorzysta.

–Tak właśnie jest. Miecz może być narzędziem służącym dobru lub złu, prawda? O tym, jaką funkcję pełni, decyduje ręka, która go dzierży, nie stal.

Dziewczyna pokiwała głową.

–Skąd się wzięły te karty? Kto je namalował i po co? Gdy pierwszy raz

czytałam słowa wuja, odniosłam wrażenie, że to obrazy ze ścian grobowca jakoś się na nich odcisnęły.

Audric Baillard uśmiechnął się lekko.

–W takim wypadku byłoby ich tylko osiem, a jest cała talia.

–Rzeczywiście. O tym nie pomyślałam.

–Z drugiej strony – podjął – w twoich słowach, panienko, kryje się ziarno prawdy.

–W takim razie dlaczego te osiem wizerunków ma szczególne znaczenie? – Zielone oczy dziewczyny błyszczały ciekawością. – Może portrety na ścianach pojawiły się dlatego, że właśnie te postacie wuj do siebie przywołał? W innej sytuacji, w innym połączeniu światów powstałyby inne obrazy, rysunki z innych kart? – Zastanowiła się chwilę. – A może nawet nie z kart, tylko z innych obrazów?

Na ustach Audrica Baillarda pojawił się blady uśmiech.

–Niższe arkana pochodzą z nieszczęsnych czasów, gdy ludzie wiedzeni żądzą mordy i wytępienia herezji utopili świat we krwi.

–Mówi pan o niedoli albigensów? – Przypomniała sobie rozmowę między Izoldą i Anatolem na temat tragicznej trzynastowiecznej historii Langwedocji.

Pokręcił głową z rezygnacją.

–Ach, gdybyż ludzkość uczyła się tak szybko, madomaisela. Niestety.

jest całkiem inaczej. – W jego słowach kryło się brzemie mądrości długich

wieków.

Leonie, która nigdy nie była zainteresowana wydarzeniami przeszłości, nagle zapragnęła poznać nieunikniony ciąg zdarzeń.

–Nie mówię o albigensach, madomaisela, lecz o późniejszych wojnach religijnych, o szesnastowiecznym konflikcie pomiędzy

katolickim rodem Gwizjuszów a hugenotami z dynastii Burbonów. – Uniósł ręce w geście bezradności. – Jak zawsze było i jak pewnie będzie już do końca dziejów. żądania dotyczące wiary nie dają się oddzielić od roszczeń ziemskich.

–I karty pochodzą z tego czasu? – dopytywała się Leonie.

–Oryginalna talia, składająca się z pięćdziesięciu sześciu kart. miała pomagać spędzać czas w długie zimowe wieczory. Została stworzona na wzór włoskiej gry tarrochi. W piętnastym wieku na włoskim dworze i wśród szlachty zapanowała moda na takie rozrywki. Po narodzinach republiki karty dworskie zostały zastąpione przez Maitre i Maitresse. Fils i Filie.

–La Filie d'Epees – powiedziała dziewczyna, przypominając sobie malowidło na ścianie grobowca. – Kiedy to się stało?

–Dokładnie nie wiadomo. Ale właśnie w tym czasie, w przeddzień rewolucji, we Francji zwykła gra w tarota zaczęła się przeradzać w coś innego. We wróżbę, w sposób na połączenie tego, co znane i widzialne, z niewidzialnym i niepoznany.

–Więc ta konkretna talia była już w Domaine de la Cade?

–Pięćdziesiąt sześć kart znajdowało się w posiadaniu domu, a nie jego mieszkańców. Starożytny duch tego miejsca znaczył talię. Legendy i pogłoski nadawały kartom kolejne znaczenie i cel. A one czekały. Na kogoś, kto dopełni sekwencję.

–Na mojego wuja.

–Lascombe przeczytał książki publikowane przez paryskich karto-mantów. Z zadrukowanych stron przemówili do niego Antoine Court de Gebelin, Eliphas Levi i Romain Merlin. Uwiedli go. Do odziedziczonej wraz z posiadłością talii dodał dwadzieścia dwa arkana większe. Te, które mówią o najważniejszych zakrętach w życiu, o ich znaczeniu. Tych, których chciał wezwać, umieścił na ścianie grobowca.

–Mój wuj namalował dwadzieścia dwie karty?

–Właśnie tak. – Zamilkł. – Czy wierzysz zatem, madomaisela Leonie, że za pomocą kart tarota w szczególnym miejscu i wyjątkowych okolicznościach możliwe jest przywołanie duchów?

–To nie zasługuje na wiarę, ale... wierzę. – Uporządkowała myśli. – Jednego tylko nie rozumiem. W jaki sposób karty rządzą duchami?

–Ach nie, skądże! – zachnął się Baillard. – Wcale nie rządzą. Właśnie tę pomyłkę popełnił twój wuj, panienko. Karty mogą wezwać duchy, lecz nie mają nad nimi żadnej władzy. W karcianych obrazach zawierają się wszystkie możliwości: ludzkie charaktery, pożądanie, dobro i zło, przeszłe zdarzenia. Ale raz obudzone do życia stają się niezależne.

–Nie rozumiem.

–Obrazy na ścianie są wizerunkami ostatnich kart, przywołanych w tamtym miejscu. Lecz jeśli ktoś zmieni, choćby najmniejszym pociągnięciem pędzla, rysy twarzy postaci na którejś z nich, będzie ona przedstawiała inną historię.

–Czy tak się będzie działo wszędzie? Czy tylko w Domaine de la Cade, w grobowcu?

–Potrzebna jest, madomaisela, wyjątkowa kombinacja obrazu, dźwięku i ducha miejsca. Szczególnego miejsca. Bo ono wpływa na karty. Dlatego, na przykład, La Force może być teraz mocno powiązana z tobą. Przez twoje malowanie.

Leonie podniosła na niego wzrok.

–Ja nawet nie widziałam kart. I wcale nie tworzyłam wyrafinowanych portretów na płótnie, tylko zwykłe obrazki na papierze. Malowałam to, co zobaczyłam na ścianach.

–Niekiedy trzeba czasu, madomaisela. Zresztą namalowałaś nie tylko siebie, prawda? Na twoich obrazach widnieje brat i ciotka.

Leonie się zaczerwieniła.

–Miałam zamiar stworzyć w ten sposób pamiątkę z pobytu w Domaine de la Cade.

–Może i tak. Przechylił głowę na bok. – W obrazach twoja historia przetrwa dłużej niż w słowach.

–Pan mnie przeraża.

–Nie mam takiego zamiaru.

Musiała zadać jeszcze jedno pytanie, które cisnęło jej się na usta od pierwszej chwili, gdy się dowiedziała o talii tarota.

–Czy te karty ciągle istnieją?

Długo mierzył ją spojrzeniem mądrych oczu.

–Istnieją – odpowiedział w końcu.

–Są w domu? – spytała szybko.

–Proboszcz Sauniere błagał twojego wuja, by zniszczył karty, by je spalił i popiół rozsypał na cztery strony świata, żeby już nikt nigdy ich nie użył. I z grobowcem radził uczynić to samo. – Baillard pokręcił głową. – Ale Jules Lascombe był uczonym. Proboszcz nie umiałby się wyrzec Boga, a uczony nie potrafi zniszczyć czegoś tak starego.

–Czy karty znajdują się na terenie posiadłości? Na pewno nie ma ich w grobowcu.

–Są bezpieczne – rzekł Baillard. – Ukryte tam, gdzie płynie sucha rzeka, w miejscu ostatniego spoczynku starożytnych królów.

Ale w takim razie...

Audric Baillard położył palec na ustach.

–Powiedziałem ci to wszystko, panienko, by pohamować twoje badawcze zapędy. A nie po to, by rozbudzić w tobie ciekawość. Rozumiem, jak bardzo pociąga cię ta historia, jak usilnie chcesz pojąć losy swojej rodziny i wypadki, które nimi powodowały. Muszę jednak powtórzyć ostrzeżenie, które już ode mnie

usłyszałaś: Nic dobrego nie wyjdzie z poszukiwania kart, szczególnie w czasie, gdy tak łatwo zakłócić równowagę.

–Jak to? Nie rozumiem, co pan ma na myśli? Listopad?

Z wyrazu jego twarzy domyśliła się od razu, że nie usłyszy więcej wyjaśnień. Niecierpliwie postukała nogą w podłogę. Miała jeszcze tyle pytań! Zaczerpnęła powietrza, lecz nie zdążyła się odezwać, pan Baillard ją uprzedził.

–Wystarczy – powiedział.

Przez otwarte okno napłynęło wołanie dzwonu z kościołka Saint-Celse et Saint-Nazaire. Południe. Pojedyncza nuta. odznaczająca połowę dnia.

Ładne rzeczy!

Leonie natychmiast wróciła myślami do teraźniejszości. Jak mogła tak kompletnie zapomnieć o swoich ważnych planach? Zerwała się na równe nogi.

–Proszę mi wybaczyć, zabrałam panu zbyt wiele czasu. – Naciągnęła

rękawiczki. – I zapomniałam o własnych obowiązkach. Bureau de poste...

Jeśli się pośpieszę, może jeszcze...

Chwyciwszy kapelusz, żwawo ruszyła ku drzwiom. Audric Baillard. jak zwykle nienagannie elegancki, także się poderwał. Jeśli pan się zgodzi, chętnie zajrzę innym razem. Au reroir.

–Oczywiście, madomaisela. Cała przyjemność po mojej stronie.

Dziewczyna kiwnęła mu ręką i wypadła z pokoju. Szybko przebiegła korytarz i otworzywszy frontowe drzwi, znalazła się na ulicy. Audric Baillard został sam we wnętrzu przesyconym spokojem, pogrążony w zamyśleniu.

Z cieniów domu wynurzył się chłopiec, zamknął za gościem

drzwi.

Baillard usiadł w fotelu.

–Si es atal es atal – mruknał w dawnym języku. Co ma być, to będzie. – Ale wolałbym, aby temu dziecku zostało to oszczędzone.

ROZDZIAŁ 73

Leonie biegła rue de l'Hermitte, wygładzając rękawiczki na nadgarstkach i mocując się z guziczkami. Skręciła gwałtownie w prawo; jeszcze parę kroków wzdłuż ściany budynku poczty i będzie na miejscu.

Niestety, podwójne drewniane drzwi były zamknięte na głucho. Uderzyła w nie pięścią.

–Halol S'il vousplait! – Dopiero trzy minuty po dwunastej. Na pewno ktoś tam jeszcze jest! – Il y a quelqu'un! C'est vraiment important! – Tak, to naprawdę ważne. Czy ktoś tam jest?

Żadnego znaku życia. Zastukała i zawołała jeszcze raz, lecz nikt się nie pojawił. Natomiast z okna po drugiej stronie ulicy wychyliła się podenerwowana jejmość z dwoma siwymi warkoczami. Kazała jej przestać hałasować.

Dziewczyna przeprosiła. Uświadomiła sobie, że zachowała się rzeczywiście niemądrze, ściągając na siebie uwagę. Jeżeli faktycznie był do niej list od pana Constanta, musiał jeszcze poczekać. Z całą pewnością nie mogła zostać w Rennes-les-Bains do czasu, aż po południu poczta zostanie otwarta na nowo. Będzie musiała wrócić przy innej okazji.

Targały nią sprzeczne emocje. Z jednej strony, była na siebie wściekła, że nie załatwiła najważniejszej sprawy, z którą przyjechała do miasta. Z drugiej, miała wrażenie, jakby ktoś jej zawiesił wykonanie wyroku.

Przynajmniej się nie dowiedziałam, że pan Constant nie napisał, pocieszała się.

Pokrętnie wytłumaczenie podniosło ją na duchu.

Zeszła nad rzekę. Daleko, po lewej, widziała pacjentów uzdrowiska, siedzących w żelazistej wodzie bains forts. Za nimi

stały rzędkiem pielęgniarki w białych fartuchach i szerokich czepkach, przywodzących na myśł ptaki z rozłożonymi skrzydłami.

Przeszła na drugi brzeg i całkiem łatwo znalazła ścieżkę, którą pierwszego dnia poprowadziła ich Marieta. Las bardzo się zmienił. Niektóre drzewa straciły liście, poddały się jesieni i gwałtownym burzom. Ziemię pokrywał miękki kobierzec w barwach złota, bordo i miedzi. Leonie przystanęła na moment, myśląc o swoich akwarelkach. Le Mat ciągle jeszcze nie miał tła, może by mu ofiarować bogate, nasycone barwy jesiennego lasu?

Szła coraz wyżej, otulona miękkim rękawem wiecznie zielonych roślin. Na ścieżce i po obu jej stronach coraz więcej było patyków, obtrąconych gałęzi, luźnych kamieni, szyszek i lśniących brązowych kasztanów. Zatemskniła za domem. Za matką. Za tradycyjnymi, październikowymi spacerami po Parc Monceau, gdzie zbierali owoce kasztanowców. Przypomniały jej się jesienie z dzieciństwa.

Rennes-les-Bains zostało w dole. Przyśpieszyła kroku. Choć miasto było ciągle niedaleko, nie mogła się oprzeć wrażeniu, że weszła w dziką głuszę. Drgnęła, gdy jakiś ptak poderwał się do lotu, ciężko bijąc skrzydłami. Zaśmiała się nerwowo. To tylko gołęb. Skądś z daleka dobiegły ją odgłosy strzałów. Ciekawe, czy Charles Denarnaud był pośród myśliwych.

Przyśpieszyła kroku i wkrótce znalazła się przy ogrodzeniu majątku. Gdy ujrzała tylną furtę, poczuła nieklamana ulgę. W każdej chwili spodziewała się zobaczyć pokojówkę z kluczem.

–Marieta!

Odpowiedziało jej tylko echo. Cisza mówiła wyraźnie: nikogo tu nie ma.

Leonie ściągnęła brwi. Dziwne. Przecież Pascal sam zaproponował... A Marieta, choć trzpiotka, polecenia wykonywała, jak jej nakazano.

Może znudziło się dziewczynie czekać?

Leonie chwyciła za furtę, potrząsnęła. Zamknięta.

Zagniewana i rozzłoszczona, wsparła ręce na biodrach.

Nie miała najmniejszej ochoty iść aż do głównego wejścia. Cały ranek biegała po sklepach, wycieczka ścieżką pod górę też zrobiła swoje.

Musi być przecież inny sposób.

Na pewno znajdzie się jakaś dziura w ogrodzeniu. O posiadłość dbała tak niewielka grupka służby, że płot nie mógł być utrzymany w idealnym porządku.

Popatrzyła w lewo, potem w prawo, próbując zdecydować, gdzie lepiej szukać odpowiedniego miejsca. W końcu uznała, że w najgorszym stanie musi być część ogrodzenia najbardziej oddalona od domu. Wobec tego poszła na wschód. W razie czego po prostu okrąży posiadłość, idąc wzdłuż płotu.

Ruszyła zwawym krokiem, zaglądając przez żywopłot, odsuwając dzikie róże i omijając kolczaste gęstwiny krzaków jeżyn. Kute żelazo blisko furty było, niestety, w bardzo przyzwoitym stanie, ale jak pamiętała z pierwszego dnia w Domaine de la Cade, dalej widać było oznaki zaniedbania.

Nie minęło pięć minut, a już znalazła dziurę w ogrodzeniu. Zdjęła kapelusz, przykucnęła i prześliznęła się na drugą stronę. Co za ulga! Strząsnęła z zakietu liście i kolce, strzepnęła zaschłe błoto z kraju spódnicy i z nową energią ruszyła przed siebie, zadowolona, że jest już niedaleko celu.

Teren tutaj był bardziej stromy, dach z gałęzi ciemniejszy i gęściejszy niż gdzie indziej. Szybko zdała sobie sprawę, że trafiła do bukowego lasu i jeśli nie zachowa ostrożności, droga może ją poprowadzić obok grobowca.

Hm... A czy była inna trasa?

Co kilka chwil trafiała na skrzyżowanie ścieżek, jeden zagajnik

przypominał drugi, więc mogła się kierować tylko słońcem, a ono – w cieniu drzew – także nie było wiarygodnym przewodnikiem. Mimo wszystko uznała, że jeśli będzie cały czas szła w jedną stronę, w końcu trafi na parkowe trawniki, otaczające dom. Miała jedynie nadzieję, że nie przyjdzie jej mijać grobowca.

Przebiegła jakiś stok, trzymając się nienajlepiej dróżki, która wyprowadziła ją na polanę. Nagle, między drzewami, dostrzegła zbocze po drugiej stronie Aude. Miejsce szczególne, które wskazał jej Pascal. Uświadomiła sobie, że wszystkie charakterystyczne punkty krajobrazu, obciążone diabelskimi nazwami, były doskonale widoczne z Domaine de la Cade. Fotel Diabła, Diabli Staw, Rogata Góra. Powiodła wzrokiem wzdłuż horyzontu. Aha, jeszcze i to miejsce, gdzie spotykały się dwie rzeki La Blanche i La Salz, zwane le benitier.

Odsunęła od siebie obraz poskręcane go ciała demona, jego złośliwych, wrogich niebieskich oczu. Ruszyła dalej, spieszenie stawiając kroki na nierównym gruncie i powtarzając sobie, że nie ma powodu się przejmować jakąś rzeźbą, a tym bardziej obrazkiem.

Zbocze prowadziło ostro w górę. Po chwili zniknęły opadłe liście i gałązki, ustępując miejsca kamikom. Owszem, w pewnej odległości rosły krzewy i drzewa, lecz ona znalazła się na dziwacznej drodze jak na płachcie brązowego papieru, rzuconego w zielony krajobraz.

Zatrzymała się, rozejrzała uważnie. Wysoko nad jej głową zwieszała się stroma ściana, przegradzająca drogę, a nieco niżej widniała skalna platforma, jakby most spinający obie krawędzie szlaku. Nagle dziewczyna uświadomiła sobie, na co patrzy. Stała w wyschniętym korycie rzeki. Niegdyś płynął tędy potężny strumień wody, spadający wodospadem zebranym z pradawnych celtyckich źródeł. Właśnie on wydrążył to wgłębienie w zboczu wzgórza.

W jej głowie rozbrzmiały słowa pana Baillarda:

„Ukryte tam, gdzie płynie sucha rzeka, w miejscu ostatniego spoczynku starożytnych królów”.

Ponownie rozejrzała się dookoła, teraz już spoglądając zupełnie nowym okiem, szukając czegoś, czegokolwiek, co by się wydało inne. niż być powinno. Przyglądała się ukształtowaniu ziemi, drzewom, poszyciu, aż wreszcie zwróciła uwagę na płytkie wgłębienie w ziemi i szary płaski kamień tuż obok, ledwo widoczny pod splątanym płaszczem korzeni dzikiego jałowca.

Podeszła bliżej, kucnęła. Odgarnęła podszybie, zajrzała w zieloną wilgoć pod korzeniami. Dojrzała krąg ułożony z ośmiu kamieni. Wsunęła dłoń między liście i brudząc rękawiczkę na zielono, spróbowała sprawdzić, czy coś pod kamieniami schowano.

Największy z nich dał się szybko obluzować. Przysiadła na piętach i położyła go sobie na kolanach. Smołą albo czarną farbą wymalowano na nim znak: pięcioramienną gwiazdę w kole.

Odłożyła go na bok. Musiała jak najszybciej się przekonać, czy znalazła miejsce ukrycia kart. Jakimś większym badylem rozgarnęła ziemię na boki. I ujrzała fragment grubej tkaniny, ukrytej w zaschłym błocie. Kamienie miały ją przytrzymać.

Postępując się kijem jak łopatą, kopała dotąd, aż wyciągnęła tkaninę spod ziemi. Zakrywała ona niewielkie wgłębienie. Leonie nabrała nowych sił. Dźgała i szarpała, kopała i orała, odgarniając na boki zaschły muł i robaki, i mnóstwo czarnych żuczków... w końcu trafiła na coś twardego.

Jeszcze trochę i przekonała się, że patrzy na zwykłą drewnianą szkatułkę z metalowymi uchwyty. Owinęła wokół nich zniszczone rękawiczki, złapała za nie, pociągnęła. Ziemia nie chciała oddać skarbu, lecz dziewczyna była uparta i szarpała do skutku. Z miękkim, mokrym plaśnięciem skrzyneczka znalazła się na powierzchni.

Dysząc ciężko, Leonie zaciągnęła ją w suche miejsce i postawiła na znalezionej tkaninie. Rękawiczek już i tak nie dałoby

się uratować, więc wytarła nimi skrzynkę do czysta i powoli uniosła wieko. W środku był jeszcze jeden pojemnik, tym razem metalowy. Co tu dużo mówić, po prostu sejf, mniej więcej taki, w jakim mama trzymała swoje najcenniejsze drobiazgi. Leonie wyjęła go ze skrzynki, zamknęła ją i postawiła sejf na wierzchu. Zamknięty był na kłódeczkę, o dziwo, otwartą! Odłożyła ją na bok. popchnęła wieko w górę. Niechętnie, powoli, jednak ustąpiło.

Pod koronami drzew panował półmrok, we wnętrzu kasety również nie było jasno, więc nie od razu zobaczyła, co jest w środku. Gdy wzrok jej przywykł do ciemności, dojrzała jakąś paczuszkę, owiniętą kawałkiem ciemnego materiału. Bez wątplenia rozmiarów talii kart. Otarła brudne ręce o suche halki, a następnie ostrożnie rozsunęła na boki rogi tkaniny.

Przed oczami miała rewers karty do gry, większej niż te, do których przywykła. Ciemnozielony jak soczysty las, ozdobiony zawilim wzorem srebrnych i złotych filigranowych linii.

Musiała się zebrać na odwagę. Odetchnęła głęboko, policzyła do trzech i odwróciła pierwszą kartę.

Zobaczyła dziwnego mężczyznę o ciemnej karnacji, odzianego w długą czerwoną szatę, zdobioną chwostami. Siedział na tronie na kamiennym belwederze. Widoczne za nim góry wydały się Leonie znajome. Przeczytała napis u dołu: Le Roi des Pentacles.

Przyjrzała się karcie bliżej, uświadomiwszy sobie, że figura króla także budzi w niej jakieś skojarzenia. Tak! To była podobizna duchownego, którego wezwano na pomoc, gdy trzeba było wygnać demona z grobowca. i który błagał jej wuja, by zniszczył talię kart. Berenger Sauniere.

Trzymała w ręku dowód na prawdziwość słów pana Baillarda. które usłyszała nie dalej jak przed pół godziną. Wujek nie posłuchał rady.

–Madomaisela! Madomaisela Leonie! Odwróciła się gwałtownie, kompletnie zaskoczona.

–Madomaisela!

Na szczęście okrzyki dochodziły z pewnej odległości. Wołali Pascal i Marieta. Najwyraźniej długo nie wracała, skoro poszli jej szukać. Prędko zawięła karty. Bardzo chciała je zabrać ze sobą, ale nie miała ich gdzie schować.

Wobec tego, choć bardzo niechętnie, ukryła je na powrót w metalowej kasecie, tę włożyła do drewnianej skrzynki i całość wsunęła do dziury w ziemi. Wstała i stopami zasypała otwór, najlepiej jak umiała. Na koniec dorzuciła zniszczone rękawiczki i także przysypała je ziemią.

Musiała wierzyć, że skoro dotąd nikt kart nie znalazł, to i teraz pozostaną w ukryciu. Wróci po nie pod osłoną ciemności, zabierze je, gdy będzie mogła to zrobić bezpiecznie.

–Madomaisela!

W głosie Mariety pobrzmiwał strach.

Leonie wróciła po własnych śladach, wspięła się na skalistą platformę i pobiegła leśną ścieżką w dół, w stronę, skąd przyszła, ku głosom służących. Gdy była bliżej, zboczyła ze ścieżki, by nie zdradzić, którą szła. Wreszcie uznawszy, iż znajduje się dość daleko od skarbu, przystanęła, nabrała powietrza w płuca i zawołała.

–Jestem tutaj! Marieto! Pascalu! Tutaj!

Kilka chwil później zobaczyła zatroskaną parę służących między drzewami. Maneta stanęła osłupiała na widok ubrania panienci.

–Zgubiłam rękawiczki – skłamała Leonie odruchowo. Wróciłam ich

poszukać.

Marieta przyjrzała jej się z niedowierzaniem.

–Znalazła panienka?

–Niestety, nie.

–A co z ubraniem?

Leonie opuściła wzrok. Buty miała całkiem ubłocone, halki w żalonym stanie, spódnicę poplamioną szlamem i porostami.

–Poślizgnęłam się i przewróciłam. Nic się nie stało.

Wyraźnie widać było, że Marieta jej nie uwierzyła, ale rozsądnie postanowiła trzymać język za zębami. Wrócili do domu w milczeniu.

ROZDZIAŁ 74

Leonie zaledwie miała czas obmyć się i przebrać, gdy dzwonek obwieścił, że podano obiad.

Izolda również zeszła do jadalni. Zachwycona frykasami kupionymi w mieście, zdołała przełknąć to i owo, nawet kilka łyżek zupy. Potem zaprosiła Leonie, by popołudnie spędziły razem, na co dziewczyna przystała z ochotą. Tyle tylko, że grając w karty i rozmawiając, myślami błądziła zupełnie gdzie indziej. Na zmianę a to planowała, jak wrócić do lasu po karty, a to zastanawiała się, co zrobić, by jeszcze raz odwiedzić Rennes-les-Bains.

Reszta dnia minęła spokojnie. Pod wieczór niebo się zachmurzyło, potem na miasto i dolinę spadł ulewny deszcz, natomiast Domaine de la Cade została ledwie zroszona.

Następnego dnia Leonie spała dłużej niż zazwyczaj. Gdy wyszła na podest, zobaczyła Marietę z tacą, na której leżała korespondencja. Służąca szła do jadalni. Nie było powodu przypuszczać, że monsieur Constant poznał jej adres i przysłał list bezpośrednio do posiadłości. W zasadzie dziewczyna obawiała się sytuacji całkiem przeciwnej: mianowicie że dżentelmen w ogóle o niej zapomniał. Ale ponieważ ostatnio miała głowę w chmurach i zbudziła się w niej romantyczna dusza, łatwo wyobraziła sobie wszelkie przykre i niezręczne okoliczności.

Tak więc, z jednej strony, przytłoczona beznadziejnym przekonaniem, iż nie ma dla niej listu z Carcassonne, mimo

wszystko jednak sfrunęła po schodach, zamierzając dogonić Marietę. Obawiała się, a jednocześnie miała nadzieję zobaczyć na tacy znajomy herb, który po raz pierwszy ujrzała na eleganckiej wizytówce pana Victora Constanta.

Nie złapała służącej po drodze. Przycisnęła więc oko do dziurki od klucza – i w tej samej chwili drzwi się otworzyły. Nieszczęściem do środka. Dziewczęta krzyknęły, obie równie zaskoczone.

–Madomaisela!

Leonie spiesznie zamknęła drzwi, by hałas nie ściągnął uwagi Anatola –Zauważyłaś może, czy był list z Carcassonne? – spytała.

Pokojówka przyjrzała jej się zdziwiona.

–Nie zauważyłam takiego listu, panienko.

–Jesteś pewna?

M arieta miała coraz okrągłejsze oczy.

–Było jedno zwykłe zawiadomienie, jakiś list z Paryża do pana Anatola i po jednym liście do panienki brata i pani Izoldy, z miasta, oba takie same.

Dziewczyna odetchnęła z ulgą. Jednocześnie pojawiło się rozczarowanie.

–Pewnie zaproszenia – dorzuciła Marieta. – Bardzo ładne koperty i adresowane eleganckim pismem. Ozdobione herbem. Pascal powiedział, że dostarczył je posłaniec. Jakiś dziwak w pelerynie.

Leonie zastygła.

–W jakiej pelerynie? Jakiego koloru?

Służąca otworzyła usta ze zdziwienia.

–Tego nie wiem, panienko. Pascal mi nie powiedział. Panienka wybacz, ale muszę...

–Tak, tak, oczywiście. – Cofnęła się o krok. – Rozumiem.

Chwilę stała przy drzwiach jadalni, szukając powodu, dla którego mogłaby akurat teraz zatęsknić za towarzystwem brata. W końcu doszła do wniosku, że to nie ma najmniejszego sensu. Tylko nieczyste sumienie podsuwało jej myśl, że listy mogłyby mieć z nią cokolwiek wspólnego. Mimo wszystko jednak nadal czuła się nieswojo.

Odwróciła się i pobiegła na piętro.

ROZDZIAŁ 75

Anatol siedział przy stole. Niewidzącym wzrokiem wpatrywał się w list.

Drżącą ręką zapalił trzeciego z rzędu papierosa. W powietrzu było gęsto od dymu. Na blacie leżały trzy koperty. Jedna, ciągle zamknięta, z paryskim znaczkiem. Pozostałe dwie oznaczone herbem przypominającym wzór, który zdobił wystawy Sterna. Papier z tym samym arystokratycznym godłem leżał obok.

Rzecz w tym, że Anatol spodziewał się takiego listu. Wiedział, iż któregoś dnia go otrzyma. Niezależnie od tego, jak bardzo się starał przekonać Izoldę, że jest bezpieczna, od wrześniowej napaści w Passage des Panora-mas oczekiwał takiego właśnie rozwoju wypadków. Fatalny komunikat, jaki tydzień wcześniej otrzymali w hotelu w Carcassonne, stanowił niepodważalny dowód, że Constant zorientował się w oszustwie, a co więcej, wytropił ich na południu.

Anatol usiłował chronić Izoldę przed obawami, lecz wiedząc to, czego się od niej dowiedział, miał świadomość, iż są uzasadnione. Dla Constanta, człowieka chorego, codziennością były nerwice i paranoje. Nie panował nad emocjami. Jednym słowem, stać go było na wszystko i skoro chciał się zemścić na kobiecie, która -jego zdaniem dopuściła się wobec niego zdrady, nic go nie powstrzyma.

Opuścił wzrok na list. Słowa, choć grzeczne i uprzejme, były jednocześnie obraźliwe. Victor Constant oficjalnie wyzywał go na pojedynek. Jutro, w sobotę, trzydziestego pierwszego października, o zmierzchu. Wybrał broń. Pistolety. Pozostawił Vernierowi decyzję co do miejsca spotkania, w obrębie Domaine de la Cade, w granicach prywatnego majątku, gdzie niedozwolona przez prawo walka odbędzie się przy zachowaniu niezbędnej dyskrecji.

Zakończył informacją, że zamieszkał w Hotel de la Reine w Rennes-les-Bains i oczekuje potwierdzenia, iż ma do czynienia z człowiekiem honoru.

Nie po raz pierwszy Anatol pożałował, że udało mu się opanować morderczy impuls na Cimetiere de Montmartre. Czuł wtedy obecność Constanta. Miał ogromną chęć zastrzelić go tam, na miejscu, z zimną krwią. Gotów był ponieść wszelkie konsekwencje. Powstrzymał się z niemałym trudem. I teraz także, gdy otworzył i przeczytał wstrętny list w pierwszym odruchu chciał jechać do miasta i rozprawić się z Constantem od razu, od ręki.

Niestety, takie działanie nic by nie zmieniło, więc siedział i myślał.

Gdy papieros się skończył, zapalił następnego, odłożył do popielniczki i natychmiast o nim zapomniał.

Potrzebny będzie sekundant. Może Charles Denarnaud się zgodzi? Przynajmniej jest człowiekiem światowym. Gabignauda należałoby poprosić o asystę medyczną. Nie będzie zachwycony, lecz nie powinien odmówić. Trzeba poprosić lekarza o dyskrecję, uprzedzić, że Izolda o niczym nie wie. Ze względu na jej stan. Z tego właśnie powodu doktor zapewne się zgodzi.

Jakiś czas poświęcił Anatol na poszukiwanie innego rozwiązania, jakiegoś satysfakcjonującego wyjścia. Próbował wyobrazić sobie Constanta rannego, zmuszonego do podania ręki, zakończenia wojny, lecz jakoś nie mógł. Zamiast tego zyskał jeszcze mocniejsze przekonanie, że nawet jeśli wyjdzie z pojedynku zwycięsko, Constant nie zrezygnuje z zemsty.

Nie miał wyjścia. Musiał się pojedynkować. Rzeczywiście był człowiekiem honoru, nawet jeśli wiele jego uczynków w ostatnim czasie świadczyło o czymś przeciwnym. Jeśli nie stanie do walki z Constantem nic się nie zmieni. Izolda będzie żyła w ciągłym napięciu, stale czekając na atak. Zresztą nie tylko ona. Z listu widać było, że Constant nie zamierza zrezygnować. Jeżeli Anatol

nie stawi się na pojedynek, tamten będzie prześladował jego samego i całą jego rodzinę do końca życia.

W ostatnich dniach słyszał wśród służby plotki, że w mieście znowu krążą niestworzone historie o Domaine de la Cade. O powrocie bestii, przed którą za życia Jules'a Lascombe'a drżała cała okolica. Nie widział powodu ani sensu rozbudzania dawnych plotek, więc puszczał je mimo uszu. Teraz nabrał przekonania, iż kryje się za nimi Constant.

Zmiał papier w dłoni. Nie dopuści do tego, by dziecko rosło ze świadomością, że jego ojciec jest tchórzem. Musi podjąć wyzwanie. Strzelać celnie.

Zabić.

Zabębnił palcami w blat. Odwagi mu nie brakowało. Rzecz w tym, że nie był dobrym strzelcem. Doskonale się fechtował. Jego ulubioną bronią był rapier albo floret, o pistoletach natomiast nie miał dużego pojęcia.

Nie pora na takie myśli. Zajmie się tym później, poćwicz z Pascalem, a może i z Charles'em Denarnaud. Na razie musiał podjąć pilniejsze decyzje, między innymi tę, czy zawiadomić o sprawie żonę.

Zgasił papierosa.

Takie wieści mogłyby znowu wpędzić ją w chorobę i zaszkodzić dziecku. Lepiej nic nie mówić. Czy Izolda mogła się dowiedzieć o pojedynku przypadkiem? Trzeba poprosić Marietę, by nie wspominała pani o porannej poczcie.

List adresowany ręką Constanta do Izoldy, identyczny jak do niego. wsunął do kieszeni marynarki. Zapewne nie uda się utrzymać tajemnicy długo, ale zamierzał oszczędzić żonie przynajmniej kilku godzin niepokoju.

Najlepiej, gdyby Izolda wyjechała z Domaine de la Cade. Zrezygnowany pokręcił głową. Do tego jej nie namówi, jeśli nie przedstawi przekonującego wyjaśnienia. A ponieważ tego

właśnie zrobić nie mógł, nie było sensu rozważać takiego wariantu.

Trudniejsze okazało się znalezienie odpowiedzi na pytanie, czy mówić coś Leonie.

Izolda miała rację. Choć w dalszym ciągu traktował siostrę jak dziecko, ona już stała się młodą kobietą. Widział w niej porywcze stworzenie, które często nie potrafi utrzymać języka za zębami i nie umie lub nie chce odpowiednio się zachowywać. Z drugiej strony, dostrzegał wyraźnie, jak szczerą sympatią Leonie darzy Izoldę i z jakim oddaniem opiekowała się ciotką od powrotu z Carcassonne.

W zasadzie miał zamiar porozmawiać z nią w miniony weekend. Powiedzieć jej prawdę o miłości, która go połączyła z Izoldą, wyjaśnić, w jakiej sytuacji się znaleźli. Choroba odsunęła na dalszy plan wszystkie inne sprawy, lecz teraz rozmowy nie można już było odwlekać. Wobec tego postanowił jeszcze dzisiaj zawiadomić siostrę o swoim małżeństwie. I zależnie od jej reakcji powiedzieć także o pojedynku.

Wstał. Zebrał pozostałe listy, włożył do kieszeni marynarki, wyszedł do holu i zadzwonił na Marietę.

–Zawiadam, proszę, panienkę Leonie, że w południe będę chciał z nią

porozmawiać w bibliotece. Sprawa jest dyskretna, więc niech zatrzyma tę

wiadomość dla siebie. To bardzo ważne. I rzecz druga. Nie ma potrzeby

wspominać pani Izoldzie o dzisiejszej poczcie. Sam ją zawiadomię.

Służąca wyglądała na zdziwioną, ale nie kwestionowała poleceń.

–Gdzie jest Pascal?

Dziewczyna, nie wiedzieć czemu, spiekła raka.

–Chyba w kuchni, senher.

–Niech na mnie czeka za dziesięć minut przy tylnym wyjściu.

Po tych słowach wrócił do siebie zmienić ubranie. Napisał też krótką, oficjalną odpowiedź dla Constanta, poznaczoną drobnymi kleksami. Zapieczętował kopertę, by nikt niepowołany nie zapoznał się z treścią listu. Pascal doręczy go po południu.

A teraz najważniejsze. Dla dobra Izoldy, ze względu na ich dziecko, nie mógł spudłować.

List z Paryża pozostał w kieszeni.

Nieotwarty.

Leonie krążyła niespokojnie po sypialni, zastanawiając się, dlaczego też Anatol chce z nią rozmawiać. Czyżby odkrył jej wybieg? Dowiedział się, że odesłała Pascala i sama wróciła z miasta?

Zza okna dobiegły ją jakieś głosy. Wychyliła się zaciekawiona i zobaczyła brata w towarzystwie służącego. Szli w stronę lasu, Pascal niósł długą drewnianą skrzynkę. Wyglądała jak futerał na pistolety. Dziewczyna nie przypomiwała sobie takiej broni w domu. ale też należało przyjąć, iż wujek nią dysponował, bo i czemuż by nie.

Idą na polowanie?

Nie, raczej nie. Anatol nie był odpowiednio ubrany. Zresztą ani on ani Pascal nie mieli strzelb. Tylko pistolety.

Opanował ją lęk tym większy, że nieokreślony. Chwyciła żakiet, wsunęła stopy w pantofle i już miała biec za nimi. gdy nagle przyszła jej do głowy myśl, która ją zatrzymała.

Anatol często zarzucał jej, że działa bez zastanowienia. Taką już miała naturę, nie lubiła siedzieć z założonymi rękami i czekać na rozwój wypadków, ale tym razem co mogłaby zyskać, działając impulsywnie? Jeżeli szli do lasu w jakimś niewinnym celu, tylko by ich rozzłościła. Zresztą i tak musieli niedługo wrócić, przecież sam jej wyznaczył spotkanie na dwunastą. Zegar na kominku wskazywał dziesiątą. Jeszcze dwie godziny.

Zrzuciła pantofle, siadła na łóżku, rozejrzała się po sypialni. Trzeba by znaleźć sobie jakieś zajęcie, wtedy czas szybciej płynie.

Wzrok dziewczyny padł na przybory do malowania. Wahala się tylko chwilę, zaraz wstała, rozpakowała pędzle i papier. Doskonała okazja, by namalować jeszcze jeden obrazek z planowanego cyklu. Do końca zostały tylko trzy.

Przyniosła wodę, zamoczyła pędzel i rozpoczęła czarny szkic szóstego z ośmiu obrazów, widzianych na ścianie grobowca.

Karta XVI: La Tour.

ROZDZIAŁ 76

W Hotel de la Reine, w prywatnej salce na piętrze, usiadło przed kominkiem dwóch mężczyzn. Dwaj służący, jeden z Paryża, drugi z Carcassonne, stali za nimi, zachowując odpowiedni dystans, świadczący o szacunku. Od czasu do czasu, gdy sądzili, że nikt na nich nie patrzy, zerkali na siebie nieufnie.

–Będzie pana prosił o pomoc? – zapytał Constant.

Charles Denarnaud, z twarzą zaczerwienioną od wyśmienitej brandy. pociągał cygaro, aż kosztowne liście zajęły się ogniem. Był wyraźnie zadowolony. Odchylił się do tyłu i wydmuchnął białe kółko w stronę sufitu.

–Na pewno nie ma pan ochoty...? – spytał.

Victor Constant odmówił krótkim gestem dłoni w rękawiczce. Tego ranka nie czuł się dobrze. Zbliżał się koniec polowania, nerwy miał napięte jak postronki.

–Czy jest pan pewien, że Vernier poprosi pana o pomoc? – powtórzył pytanie.

Denarnaud usłyszał stalowe nuty w jego głosie. Usiadł prosto.

–Moim zdaniem, tak właśnie będzie – potwierdził. – Ma niewielu znajomych w Rennes-les-Bains, a chyba nikogo, do kogo mógłby się zwrócić z taką sprawą. I czasu mało, nie zdąży rozejrzeć się za kimś innym.

–Dobrze – powiedział Constant.

–Zgaduję, że o asystę medyczną poprosi Gabignauda.

Constant pokiwał głową. Odwrócił się do człowieka stojącego bliżej drzwi.

–Dostarczyłeś listy?

–Tak.

–Nikt z domu cię nie widział?

–Przekazałem pocztę lokajowi, dołożył ją do porannej korespondencji. Constant zastanowił się chwilę.

–Nikt cię nie łączy z opowieściami, które krążą po mieście? Stary wyga pokręcił głową.

Wystarczyło rzucić słówko tu i tam. Już wszyscy opowiadają, że bestia obudzona przez Jules'a Lascombe'a wróciła. Przesady i złośliwości dokończyły dzieła. No i burze. Więcej dowodów nie trzeba.

–Doskonale. – Constant skinął dłonią. – Wracaj do Domaine de la Cade i obserwuj Verniera. O zmierzchu złożysz mi raport.

–Tak jest.

Mężczyzna zdjął niebieską napoleońską pelerynę z oparcia krzesła i zniknął za drzwiami. Constant wstał.

–Chcę załatwić sprawę szybko i po cichu – oznajmił. – Rozumiemy się?

Denarnaud, zaskoczony niespodziewanym końcem spotkania, także się podniósł.

–Oczywiście. Trzymam rękę na pulsie.

Constant strzelił palcami. Na ten znak drugi sługa postąpił do przodu i wręczył panu sakiewkę.

Denarnaud na widok czerwonych blizn na głowie mężczyzny aż cofnął się o krok.

–To jest połowa obiecanej sumy – powiedział Constant, podając współnikowi pieniądze. – Resztę dostanie pan, gdy zakończymy sprawę zgodnie z moimi oczekiwaniami. Czy to jasne?

Denarnaud skwapliwie chwycił woreczek.

–Potwierdzi pan, że nie mam żadnej innej broni – rzekł Constant lodowatym głosem. – Nie może być wątpliwości.

–Na miejscu pojedynku znajdzie się para pistoletów, każdy z jednym nabojem. Jeśli pan uzna za stosowne mieć przy sobie coś więcej, ja tego nie znajdę. – Denarnaud uśmiechnął się półgębkiem. – Chociaż w głowie mi się nie mieści, żeby pan nie trafił w cel za pierwszym razem.

Constant przyjął tchórzliwe pochlebstwo z pogardą.

–Nigdy nie chybiam.

ROZDZIAŁ 77

–Niech to jasna cholera! – krzyknął Anatol. Z wściekłością kopnął ziemię obcasem.

Pascal podszedł do zaimprovizowanej strzelnicy i ponownie ustawił butelki. Wrócił do Anatola, naładował mu pistolet.

Na sześć strzałów dwa poszły w powietrze, jeden trafił w bukowy pień, a dwa w drewniane ogrodzenie, zrzucając rykoszetem trzy butelki. Tylko jeden nabój dotarł do celu, ale i ten ledwo musnął grube szklane dno.

–Niech pan spróbuje jeszcze raz – powiedział Pascal. – Trzeba spokojnie wymierzyć.

–Nic innego nie robię – burknął Anatol przez zęby.

–Trzeba sobie wyobrazić, jak pocisk wylatuje z lufy. – Pascal odsunął się z linii strzału. Spokojnie. Bez pośpiechu.

Anatol uniósł rękę. Tym razem wyobraził sobie, że zamiast butelki po piwie widzi przed sobą twarz Constanta.

–Powoli – odezwał się Pascal. – Spokojnie. Teraz!

Strzał.

W dziesiątkę. Butelka wybuchła fontanną szkła niczym tani fajerwerk. Huk zabłąkał się między pniami, strasząc ptaki.

Z końca lufy uniosła się cienka smużka dymu. Anatol zdmuchnął ją i zwrócił na Pascala zadowolone spojrzenie.

Bardzo dobrze – pochwalił sługa. – A kiedy... jest spotkanie? Anatolowi zrzęda mina.

Jutro o zmierzchu.

Lokaj przemierzył polanę i na nowo ustawił butelki.

–Przekonajmy się, czy trafi pan znowu.

–Z pomocą boską, będę musiał to zrobić tylko jeden raz – powiedział

Anatol do siebie.

Ale pozwolił służącemu ładować pistolety i ćwiczył dotąd, aż ostatnia butelka zmieniła się w kupkę szkła.

W powietrzu na dobre zagościł zapach prochu i zwietrzałego piwa.

ROZDZIAŁ 78

Pięć minut przed dwunastą Leonie opuściła sypialnię. Przeszła korytarzem, następnie po schodach. Pozornie była opanowana, lecz serce waliło jej w piersi jak oszalałe.

Obcasy stukały o płytki w holu jakoś złowieszczo, zbyt głośno w cichym domu. Spuściła wzrok. Na dłoniach zostały jej plamy farby, zielone i czarne kropki na paznokciach. Skończyła obraz La Tour, ale nie była z niego zadowolona. Obojętne, jak lekko muskała liście na drzewach, jak starannie dobierała barwę nieba, coś jej przeszkadzało malować.

Minęła przeszklone gabloty w drodze do biblioteki. Medale, pamiątki, broń. Ledwo je zauważyła, myślała jedynie o spotkaniu z bratem.

Przed drzwiami przystanęła na moment. Uniosła wysoko brodę i głośno zapukała, okazując odwagę, której wcale nie czuła.

–Wejdz.

Otworzyła drzwi, przekroczyła próg.

–Chciałeś ze mną rozmawiać? – Czuła się jak przed sądem, a nie w towarzystwie ukochanego brata.

–Tak. Uśmiechnął się do niej ciepło. Ustami i oczami.

Uświadomiła sobie, że on także jest podenerwowany.

Chodź, chodź, siadaj.

–Strasznie wyglądasz. Taki śmiertelnie poważny.

Położył rękę na ramieniu siostry i poprowadził ją do krzesła.

–Chcę z tobą porozmawiać o poważnych sprawach.

Usadowił ją, po czym odszedł kilka kroków i założył ręce za plecami. Dopiero teraz dziewczyna zauważyła, że brat coś trzyma w ręku. Kopertę.

–Co to jest? – spytała. Dusza jej się skurczyła ze strachu, że oto spraw dzają się jej najgorsze obawy. Jeżeli monsieur Constant, człowiek niewątpliwie bystry, dołożył starań i odkrył adres, pod którym przebywała, napi sał do niej bezpośrednio... Czy to list od mamy? Z Paryża?

Po twarzy Anatola przemknął dziwny cień, jakby brat sobie przypomniał o czymś, co mu umknęło.

–Nie – odparł. – To znaczy, owszem, list, ale nie od mamy. Ja go napi sałem. Do ciebie.

W Leonie na nowo obudziła się nadzieja. Może jeszcze wszystko będzie dobrze?

–Do mnie?

Anatol przygładził włosy i westchnął ciężko.

–Sytuacja jest dość wyjątkowa – zaczął cicho. – Są pewne sprawy...

o których powinniśmy porozmawiać, ale ja nie potrafię tego zrobić. Przy tobie brakuje mi słów.

Leonie zaśmiała się głośno.

–Niemożliwe! Tobie? Przy mnie?

W zamierzeniu jej słowa miały być lekką drwiną, lecz Anatol nadal miał ponury wyraz twarzy. Uśmiech zamarł jej na ustach. Zerwała się z krzesła, podbiegła do brata –Co się dzieje? Coś niedobrego z mamą? Z Izoldą? Anatol spuścił wzrok na list.

–Powierzyłem swoją spowiedź papierowi – rzekł.

Spowiedź?

Jest tam wiadomość, którą powinienem był... powinniśmy byli podzielić się z tobą jakiś czas temu. Izolda mnie do tego namawiała, ale mnie się zdawało, że racja jest po mojej stronie.

Anatolu! – Pociągnęła go za rękę. – Mów!

Lepiej będzie, jeśli w spokoju przeczytasz, co napisałem. Sytuacja stała się znacznie poważniejsza, wymaga mojego natychmiastowego działania. A ja potrzebuję twojej pomocy.

Wysunął rękę z uścisku siostry i włożył jej w dłoń kopertę.

–Mam nadzieję, że zdołasz mi wybaczyć. Głos mu się łamał. – Za czekam na zewnątrz.

I wyszedł.

Drzwi się zamknęły. Zapadła cisza.

Leonie, niebotycznie zdumiona, obejrzała kopertę. Rzeczywiście, znajdowało się na niej jej imię, wypisane czarnym atramentem, eleganckim romantycznym pismem Anatola.

Lękała się tego, co znajdzie w środku. Musiała zebrać w sobie całą odwagę, by otworzyć list.

Piątek, trzydziesty października

Moja kochana, petite Leonie,

Zawsze mi zarzucałaś, że traktuję Cię jak dziecko. Nawet wtedy, gdy jeszcze biegałaś w krótkich spódniczkach i z kokardami we włosach, słuchałem Twoich pretensji, całkiem nieuzasadnionych. Tym razem jednak sprawa jest poważna, ponieważ jutro o zmierzchu na polanie w bukowym lesie stanę twarzą w twarz z człowiekiem, który robi co w jego mocy, by nas zniszczyć.

Może nie wyjdę z tego starcia zwycięsko, tym bardziej więc nie chcę Cię pozostawiać bez odpowiedzi na wszystkie te pytania, które na pewno byś mi zadała. A i tak, niezależnie od wyniku pojedynku, chcę, byś poznała prawdę.

Kocham Izoldę z całego serca. To przy jej grobie stałaś w marcu. Falszywy pogrzeb miał ją... nas uchronić przed gwałtowną zawiścią człowieka, z którym przez pomyłkę, na krótko się związała. Nie znaleźliśmy innego wyjścia.

Leonie sięgnęła do tyłu, namacała oparcie krzesła. Usiadła.

Przyznaję, spodziewałem się, że odkryjesz oszustwo. W ciągu tych trudnych miesięcy, wiosną i na początku lata, nawet w czasie, gdy stale atakowano mnie w brukowcach, sądziłem, iż przejrzysz nasz spisek i mnie oskarżysz, lecz widać grałem swoją rolę nazbyt dobrze. A Ty, osoba tak szczerą i otwartą, dlaczego miałabyś wątpić, że moje spierzchnięte usta i podkrążone oczy nie były skutkiem rozpusty, ale żałoby?

Musisz wiedzieć, że Izolda nigdy nie chciała utrzymywać Cię w błędzie. Od momentu gdy przyjechaliśmy do Domaine de la Cade, od pierwszej chwili gdy cię poznała, miała ufność w Twoją miłość do mnie i nadzieję, że z czasem i ją obdarzysz siostrzanym uczuciem, a wtedy pozwolisz sobie na odsunięcie moralnych wątpliwości i wesprzesz nas w naszym spisku. Ja się z nią nie zgadzałem.

Byłem głupcem.

Pisząc do Ciebie ten list, być może w przeddzień śmierci, przyznaję, że moją największą winą było tchórzostwo moralne.

Największą, ale nic jedyną.

Cieszę się, że dane nam było spędzić razem czas w Domaine de la Cade. Że mogliśmy tutaj być razem. Ty, Izolda i ja.

To nie wszystko. Popeliłem jeszcze jedno oszustwo i błagam Cię, jeśli nie o wybaczenie, bo możesz go nie znaleźć w swym sercu, to przynajmniej o zrozumienie. W Carcassonne, gdy błądziłaś po ulicach obcego miasta, Izolda i ja zawarliśmy związek małżeński. Jest teraz panią Vernier, twoją siostrą w świetle prawa w równym stopniu, jak za sprawą uczuć.

Będę ojcem.

A jednocześnie, w tych najszczęśliwszych dniach, dowiedziałem się, że ów człowiek, przed którym uciekaliśmy, odkrył naszą kryjówkę. Taki właśnie był prawdziwy powód nagłego wyjazdu z Carcassonne. Takie jest wyjaśnienie choroby Izoldy. Nie sposób ciągnąć tego dłużej. Nerwy ją zabiją. Czas rozwiązać tę sprawę.

Okrutnik zorientował się w oszustwie, wytropił nas, najpierw w Carcassonne, potem w Rennes-les-Bains. Właśnie dlatego podjąłem rzucone przez niego wyzwanie. To jedyny sposób na zakończenie tej fatalnej historii.

Jutro wieczorem stawię mu czoło. Błagam Cię o pomoc, petite, jak powinienem był błagać przed nieomal rokiem. Teraz proszę, ukryj wieści o pojedynku przed moją najukochańszą Izoldą. Jeśli nie wrócę, zadbaj o bezpieczeństwo mojej żony i dziecka. Dom jest wasz.

Twój kochający brat Anatol

Dłonie opadły jej na kolana. Po policzkach wolno spłynęły łzy. Płakała nad ludzką niedolą, nad niepowodzeniem spisku i nieporozumieniami, które ich rozdzieliły. I nad Izoldą. I dlatego, że Anatol ją oszukiwał, a także dlatego, że ona oszukiwała ich oboje.

Płakała długo, aż ze łzami wypłynęły z niej wszystkie emocje.

Odzyskała jasność myśli. Zrozumiała cel przedpołudniowej wyprawy Anatola.

Przecież on jutro może stracić życie!

Podbiegła do okna i otworzyła je szeroko. Dzień spochmurniał, w poblądłych promieniach słońca świat trwał wilgotny i nieruchomy. Nad trawnikami i lasem zawisła jesienna mgła, spowijając wszystko zdradzieckim spokojem.

Jutro o zmierzchu.

Spojrzała na swoje odbicie w wysokim oknie. Jakim cudem wyglądała ciągle tak samo, choć się zupełnie odmieniła? Ta sama twarz, oczy, usta -takie same jak jeszcze wczoraj. Jak przed kilkoma chwilami.

Zadrżała. Jutro wigilia Wszystkich Świętych. Nocy wyjątkowej urody, gdy granica oddzielająca dobro od zła jest zaledwie cienką linią. To czas, gdy może się zdarzyć wszystko. Pora demonów i złych uczynków.

Nie wolno dopuścić do pojedynku. I właśnie ona mu zapobiegnie. Czas przerwać fatalny splot wydarzeń.

Tylko jak? Nie mogła zawrócić Anatola z raz obranej drogi.

–Wobec tego nie może chybić – syknęła.

Gotowa do rozmowy, podeszła do drzwi i otworzyła je zdecydowanym gestem.

Anatol stał w korytarzu, spowity chmurą dymu z papierosów. Każda minuta czekania pogłębiała niepokój na jego twarzy.

–Och, Anatolu! – krzyknęła Leonie, obejmując brata.

Teraz i jemu łzy napłynęły do oczu.

–Wybacz – szepnął. Tak mi przykro. Czy zdołasz przebaczyć bratu, petite?

ROZDZIAŁ 79

Resztę dnia spędzili we dwoje. Izolda odpoczywała w swoim pokoju, więc rozmawiali całkiem swobodnie. Anatol był tak przytłoczony, że Leonie czuła się starszą siostrą.

Miotła się między gniewem, że została oszukana, że była oszukiwana przez długie miesiące, a wdzięcznością za miłość brata i podziwem dla wszystkiego, czego dokonał, by ją chronić.

–Mama wiedziała? – spytała, wspominając dzień pogrzebu, trumnę opuszczaną do dołu na Cimetiere de Montmartre. – Czy tylko ja byłam nieświadoma, co się dzieje?

–Nic jej nie powiedziałem – rzekł Anatol – ale chyba się domyślała, iż dzieje się coś więcej niż tylko to, co się z pozoru wydaje.

–Nikt nie umarł – powiedziała spokojnie. – A co z kliniką? Rzeczywiście było dziecko?

–Nie. To jeszcze jedno kłamstwo dla uwiarygodnienia naszej historyjki.

Tylko w spokojniejszych chwilach, gdy Anatol na krótko odchodził od siostry, Leonie pozwalała sobie na dojmujący strach przed następnym dniem. Brat niewiele mówił o swoim przeciwniku. Że bardzo skrzywdził Izoldę. Że jest paryżaninem. Nie dał się zmylić fałszywym tropom i wyszedł ich na południu. Anatol nie rozumiał jedynie, jakim cudem zdołał w Carcassonne połączyć ich z Rennes-les-Bains. I ani razu nie wymienił jego imienia.

Leonie słuchała z uwagą historii o pragnieniu zemsty, które pchało do działania ich wroga. O atakach na łamach prasy, o napaści w Passage des Panoramas. o posunięciach, które miały zniszczyć oboje kochanków i wtedy słyszała w głosie brata

nieklamany strach.

Nie rozmawiali o tym, co się stanie, jeśli Anatol chybi. Obiecała mu jednak, że w razie potrzeby znajdzie sposób, by pod osłoną nocy wywieźć Izoldę z Domaine de la Cade.

–Rozumiem z tego, że on nie jest człowiekiem honoru – powiedziała. Twoim zdaniem, nie będzie przestrzegał zasad pojedynku?

–Obawiam się – tego przyznał ze smutkiem. – Jeśli jutro mi się nie powiedzie, przyjdzie tu po Izoldę.

–Szatan wcielony!

–A ze mnie głupiec – rzekł Anatol cicho – skoro sądziłem, że uda nam się przed nim ukryć.

Wieczorem, gdy Izolda poszła spać, Anatol i Leonie spotkali się w salonie, by dokończyć plany na następny dzień.

Nie podobał jej się udział w kolejnym oszustwie, zwłaszcza że wiedziała, jak się czuje ofiara takiego spisku, lecz rzeczywiście, Izolda, będąc w odmiennym stanie, nie powinna wiedzieć, co się będzie działo. Leonie miała ją zająć tak, by o wyznaczonej godzinie Anatol z Pascalem mogli się niepostrzeżenie wyśliznąć z domu.

Brat wysłał do Charles'a Denarnaud prośbę o sekundowanie i natychmiast dostał potwierdzenie. Dr Gabignaud, niechętny współuczestnik zdarzenia, miał w razie potrzeby służyć pomocą medyczną.

Leonie, choć pozornie zgadzała się ze wszystkimi pomysłami Anatola, nie miała najmniejszego zamiaru postępować zgodnie z jego poleceniami. Nie mogłaby siedzieć beczynn timer w salonie i patrzeć na wskazówki zegara, pełzające po tarczy, wiedząc, że

brat toczy pojedynek na śmierć i życie. Zamierzała znaleźć jakiś sposób, by komuś innemu przekazać opiekę nad Izoldą w godzinie zmierzchu, choć jeszcze nie wiedziała, jak to zrobić.

Nie zdradziła się ze swoimi planami ani jednym słowem, nawet najmniejszym gestem. A poza tym Anatol tak był zajęty gorączkowymi planami, że nie przyszło mu do głowy wątpić w jej ustępliwość.

Gdy on także poszedł do sypialni, oświetlając sobie drogę świecą, Leonie czas jakiś jeszcze została w salonie. Rozmyślała, jak najlepiej zrealizować jutrzejsze plany.

Będzie silna. Nie ugnie się przed strachem. Wszystko będzie dobrze. Anatol zabije niegodziwca. Nie inaczej.

Tymczasem jednak, w miarę jak upływały nocne godziny, coraz mocniej sobie uświadamiała, że nawet najgorętsze życzenia nie zawsze się spełniają.

ROZDZIAŁ 80

Sobota, 31 października

W przeddzień Wszystkich Świętych ranek wstał rzeński i różowy.

Leonie spała niewiele, więc czas dłużył jej się niemiłosiernie. Po śniadaniu, które i ona, i Anatol ledwo tknęli, brat poszedł do Izoldy i spędził z nią całe przedpołudnie. Dziewczyna siedziała w bibliotece. Słyszała ich śmiech, szepty, snucie planów. Izolda była z Anatolem szczęśliwa, a Leonie bała się ogromnie, bo dotarło do niej, jak łatwo radość może się zmienić w bolesny smutek.

Gdy zeszła na kawę do pokoju dziennego, Anatol podniósł na nią spojrzenie, w tej jednej chwili otwarte i szczere. Dojrzała w nim udrękę, strach i cierpienie. Aż się przestraszyła, czy brat się nie zdradzi.

Po obiedzie grali w karty i głośno czytali, by – zgodnie z planem – odwlec chwilę, gdy Izolda uda się na popołudniowy odpoczynek. Rozstali się dopiero koło czwartej, umówieni na wspólną kolację. Anatol odprowadził żonę do sypialni. Zszedł na dół jakieś pół godziny później. Smutek wyźłobił na jego twarzy głębokie zmarszczki.

–Śpi – powiedział.

Zapatrzyli się w brzoskwińskie niebo, gdzie ostatnie promienie słońca malowały obłoki złotymi plamami. Leonie straciła całą odwagę.

–Jeszcze nie jest za późno – odezwała się. – Jeszcze możesz wszystko odwołać. – Chwyliła go za rękę. Błagam cię, nie idź!

Anatol objął ją ramieniem, przyciągnął do siebie. Zatonęła w

ukochanym zapachu drzewa sandałowego i olejku do włosów.

–Nie mogę postąpić inaczej, petite – rzekł cicho. – To się nigdy nie skończy. Nie chcę, by mój syn wstydził się ojca tchórza. – Przytulił siostrę mocno. – Ani moja niezłomna siostrzyczka.

–Syn albo córka.

–Albo córka – zgodził się Anatol.

Odwrócili się, słysząc kroki w holu.

To Pascal. Zatrzymał się przy schodach. Przez ramię miał przerzucony ciemny płaszcz Anatola, a wyraz twarzy służącego świadczył, jak bardzo nie chce on uczestniczyć w całej sprawie.

–Senher, już czas – powiedział. Leonie przywarła do brata.

–Proszę cię, nie idź. Błagam! Pascal, nie pozwól mu... Anatol wysunął się z objęć siostry.

–Opiekuj się Izoldą – szepnął. – Moją ukochaną żonę. Zostawiłem dla niej list... – Głos odmówił mu posłuszeństwa. – Chciałbym, żeby jej niczego nie zabrakło. Ani jej, ani dziecku. Zadbaj o ich bezpieczeństwo.

Oślupiała z żalu Leonie patrzyła, jak Pascal pomaga jej bratu włożyć płaszcz. W progu Anatol jeszcze się odwrócił. Podniósł dłoń do ust, przesłał siostrze całusa.

–Kocham cię, petite.

Do wnętrza wtargnął wilgotny chłód, drzwi się za nimi zamknęły, zniknęli. Leonie słuchała stłumionego chrzęstu żwiru pod butami, aż ten odgłos zanikł w oddali.

Wtedy prawda dotarła do niej z całą mocą. Dziewczyna osunęła się na najniższy stopień, wsparła głowę na rękach i rozplakała się z głębi serca.

Spomiędzy cieni pod schodami wyłoniła się Marieta. Trochę niepewnie podeszła do panienki. Instykt wziął górę nad etykietą.

Usiadła obok Leonie i objęła ją za ramiona.

–Wszystko będzie dobrze, madomaisela. Pascal zadba, żeby panu nie stało się nic złego.

Szloch rozpaczy, przerażenia i bezradności wyrwał się z piersi Leonie jak wycie dzikiego zwierzęcia, schwytanego w pułapkę. A jednocześnie myśl: nie wolno obudzić Izoldy. Zdusiła jęk. Odsunęła od siebie rozpacz i strach. Czowała się jakaś dziwnie wyprana z emocji. Tylko coś uwięzło jej w gardle.

Przetarta oczy rękawem.

–Czy ciocia... – urwała, raptem niepewna, jak właściwie powinna mówić o Izoldzie. – Czy ciocia śpi? – zapytała.

Marieta poderwała się, wygładziła fartuszek. Wyraz jej twarzy zdradzał, że wie o wszystkim. Zapewne od Pascala.

–Mam sprawdzić, czy madama się obudziła?

–Nie, nie trzeba.

–Przynieść coś panience? Może ziółka? Leonie także wstała.

–Nie, dziękuję. Uśmiechnęła się blado. – Na pewno masz pełne ręce roboty. No i mój brat będzie chciał się odświeżyć po powrocie.

Ich spojrzenia się spotkały.

–Tak, panienko – powiedziała w końcu Marieta. – Dopilnuję, żeby jedzenie było gotowe.

Leonie została jeszcze chwilę w holu. Słuchała odgłosów zwykłej domowej krzątaniny, a kiedy się upewniła, że została sama, ruszyła na górę, do swojego pokoju, zrobić to, co zrobić musiała.

Nie zdążyła jednak dotrzeć na miejsce, bo po drodze, mijając pokoje Anatola, usłyszała stamtąd jakieś hałasy. Zamarła w pół kroku, nie wierząc własnym uszom. Przecież sama widziała, jak pół godziny wcześniej wychodził z domu.

Już miała iść dalej, gdy raptem drzwi otwały się na oścież i w progu stanęła Izolda. Jasne włosy w nieładzie spływały jej na plecy, rozchylona koszula odsłaniała szyję z koszmarem czerwoną blizną. Leonie automatycznie odwróciła wzrok. Nie znała takiej ciotki. Izolda, zawsze elegancka i opanowana, teraz wyglądała, jakby nią zawładnął jakiś zły duch.

–Ciociu! – krzyknęła dziewczyna ostrzej, niż zamierzała. – Co się stało?!

Izolda kręciła głową na boki w gwałtownym sprzeciwie. Machnęła kartką papieru.

–Poszedł się bić! Trzeba go zatrzymać!

Leonie zmartwiała. Stało się. Ciotka zbyt wcześnie przeczytała list, który zostawił dla niej Anatol.

–Nie mogłam spać, więc poszłam do niego. I znalazłam list! – Izolda zajrzała dziewczynie w oczy. – Ty wiesz – powiedziała nagle bardzo spokojnie.

Na mgnienie oka Leonie zapomniała, że brat idzie się strzelać. Wzięła Izoldę za rękę.

–Wiem, że się pobraliście. Żałuję, że mnie z wami nie było.

–Leonie... chciałam... chciałam... – zająknęła się Izolda. – Chcieliśmy ci powiedzieć.

Dziewczyna przytuliła ciotkę. Role się odwróciły.

–I o tym, że Anatol będzie ojcem – szepnęła Izolda.

–O tym też wiem. Bardzo się ucieszyłam. Kiedy rozwiązanie?

–Jeśli wszystko pójdzie dobrze, w czerwcu. Dziecko lata. Izolda nagle się wyprostowała.

–O pojedynku też wiedziałaś?

Leonie straciła pewność siebie. Już miała się wykręcić od odpowiedzi na pytanie, lecz nagle zdecydowała inaczej. Dostyc już kłamstw i oszustw. I tak stało się zbyt wiele złego.

–Wiedziałam – przyznała. – Wczoraj posłaniec dostarczył list. Anatol poprosił ze sobą Denarnauda i Gabignauda.

Izolda pobladła.

–Posłaniec, mówisz – wyszeptała. – Więc on jest tutaj. Znalazł nas.

–Anatol nie chybi – rzekła Leonie z przekonaniem, którego wcale nie czuła.

Izolda uniosła wyżej głowę.

–Muszę do niego iść.

Leonie, zaskoczona nagłym zwrotem, nie potrafiła znaleźć odpowiedzi.

–Nie możesz – zaprotestowała słabo.

–Gdzie mają się strzelać? – Izolda chyba jej nie usłyszała.

–Ciociu, nie jesteś zdrowa. Niemądrze byłoby iść za nim.

–Gdzie są? – powtórzyła Izolda. Leonie westchnęła.

–W dębowym lesie. Dokładnie nie wiem.

–Na polanie z jałowcami. Jules czasami tam ćwiczył strzelanie. Wywinęła się z objęć Leonie.

–Możliwe. Anatol mi nie powiedział.

–Muszę się ubrać.

–Nawet jeśli ruszymy natychmiast, z pewnością go nie dogonimy. Wyszedł z Pascalem dobre pół godziny temu.

–Jeżeli się pośpieszymy, może zdążymy przerwać pojedynek.

Nie tracąc czasu na gorset, Izolda włożyła szarą suknię spacerową i cieplejszy żakiet. Nogi wsunęła w buty z cholewkami, zasznurowała je jak najszybciej, po czym puściła się biegiem przez korytarz i schody. Leonie nie odstępowała jej na krok.

–Czy przeciwnik Anatola uszanuje wynik pojedynku? – spytała

dziew czyną, mając nadzieję na odpowiedź zupełnie inną niż ta, którą dostała od Anatola.

Izolda, nie zwalniając, obejrzała się przez ramię. W oczach miała rozpacz.

–Jego przeciwnik... Nie jest człowiekiem honoru.

W holu Leonie odniosła wrażenie, że świat nabrał ostrzejszych barw. Przedmioty dotąd znane i ukochane – wielki stół i drzwi, fortepian i miękki stołek, w którym schowała kartkę z utworem znalezionym w grobowcu, wszystko odwróciło się do nich plecami. Zwykle zimne, martwe przedmioty.

Sięgnęła po płaszcze wiszące przy wejściu, jeden podała ciotce, drugim owinęła się sama. Szarpnęła drzwi. Chłodny zmierzch przylgnął jej do nóg jak spragniony pieszczot kot. Chwyciła ze stojaka zapaloną lampę.

–O której pojedynki? – zapytała Izolda spokojnym głosem.

–O zmierzchu – odparła Leonie. – O szóstej.

Obie spojrzały w niebo, w ciemniejący granat nad głowami.

–Jeśli mamy zdążyć – powiedziała dziewczyna – musimy się pośpie szyc.

ROZDZIAŁ 81

–Kocham cię, petite – powtórzył Anatol cicho, gdy zamknęły się za nim drzwi frontowe.

Razem z Pascalem niosącym wysoko zapaloną latarnię ruszyli w milczeniu na koniec podjazdu, gdzie czekał na nich powóz Denarnauda.

Anatol skinął głową Gabignaudowi, który nie krył swojej rezerwy wobec całego wydarzenia. Charles Denarnaud uściskał Anatolowi dłoń.

–Zapraszam pana i doktora na tył – obwieścił spokojnie.

On i Pascal usiedli tyłem do kierunku jazdy, każdy z nich trzymał na kolanach podłużną skrzynkę z pistoletami.

–Pan zna miejsce spotkania, Denarnaud? – zapytał Anatol. – Polana w dębowym lasku, we wschodniej części majątku.

Denarnaud wychylił się i udzielił instrukcji woźnicy. Strzeliły lejce, powóz ruszył z brzękiem uprzęży.

Jedynie Charles Denarnaud przejawiał chęć do rozmowy. Zagłębił się w opowieściach o dawnych pojedynkach. W jego sprawozdaniu uczestnicy zawsze strzelali celnie, lecz nikomu nic się nie stało. Anatol rozumiał, że znajomy chce dodać mu ducha, wolałby jednak, żeby zamilkł.

Siedział sztywno wyprostowany, wodząc wzrokiem po okolicy. Myślał, iż może już ostatni raz ogląda świat. Aleję drzew ciągnących się wzdłuż podjazdu, pokrytych siwym szronem. Ciemniejące niebo, błyszczące niczym zwierciadło, uwieńczone wschodzącym księżycem. Może już nigdy więcej nie usłyszy głuchego stukania końskich kopyt o twardą ziemię, które niosło się w parku stłumionym echem.

–Przywiozłem własne pistolety – oznajmił Denarnaud,

poklepując zdobione drewno. – Sam je naładowałem. Skrzynkę zapieczętowałem. Bę dziemy ciągnąć losy, czy użyjecie tych, czy broni pańskiego przeciwnika.

–Wiem! Wiem – zachnął się Anatol. Od razu pożałował wybuchu. – Przepraszam – mruknął. Mam rozstrojone nerwy. Dziękuję panu za troskę.

–Zawsze warto trzymać się etykiety rzekł Denarnaud głośniej, mż należało w ciasnym wnętrzu powozu; Anatol zdał sobie sprawę, że on także, wbrew pozorom, ma napięte nerwy. Lepiej, żeby nie było żadnych nieporozumień. O ile mi wiadomo, w Paryżu takie sprawy przeprowadza się całkiem inaczej.

–Nie przypuszczam.

–Ćwiczył pan? – zapytał Denarnaud. Anatol pokiwał głową.

–W domu jest para pistoletów.

–Jak panu szło? Celnie pan strzela?

–Przydałoby się więcej czasu.

Powóz skręcił w wyboistą boczną drogę.

Anatol przywołał obraz śpiącej Izoldy z włosami rozrzuconymi na poduszce. Oczyma wyobraźni ujrzał drobną postać o wiotkich białych ramionach. Pomyślał o zielonych oczach siostry, stale zaciekawionych i spragnionych życia. I o twarzy nienarodzonego dziecka. Jak będzie wyglądało?

Dla niego to robię, powiedział sobie.

Tymczasem jednak świat skurczył się do turkoczącego powozu, drewnianej skrzynki na kolanach Denarnauda i przyśpieszonego, nerwowego oddechu Gabignauda.

Powóz przechylił się w lewo. Koła podskakiwały na korzeniach. W pewnej chwili Denarnaud huknął pięścią w deskę i krzyknął do woźnicy, by skręcił w drózkę po prawej.

Tak się stało. Niedługi czas ciągnęli wąską ścieżką między

drzewami, zaraz wyjechali na polanę. Po drugiej stronie stał inny powóz. Anatol rozpoznał na nim herb Victora Constanta, hrabiego de Tourmaline, złoty rysunek na czarnym tle. Serce mu się ścisnęło, choć przecież niczego innego się nie spodziewał. Dwa gniade konie w paradnych uprzężach, ozdobionych piórami, niecierpliwie grzebały kopytami. Tuż obok stała grupka ciemno odzianych mężczyzn.

Pierwszy wysiadł Denarnaud, za nim Gabignaud, następnie Pascal z drewnianą skrzynką. Wreszcie Anatol. Nawet z tej odległości bez trudu rozpoznał Constanta. A także mężczyznę o czaszce poznaczonej szkarłatnymi bliznami. Jednego z tych, którzy w noc rozruchów w operze napadli go w Passage des Panoramas. Obok stał niższy człowiek o pospolitym wyglądzie, niebudzący zaufania żołnierz w archaicznej napoleońskiej pelerynie. On także wydawał się znajomy.

Anatol zacisnął zęby. Choć myślał o Constancie od chwili, gdy się zakochał w Izoldzie, widzieli się tylko raz: przy okazji pierwszej i jedynej sprzeczki. W styczniu. Zaskoczył go własny gniew. Ścisnął pięści. Teraz potrzebował spokoju i zimnej krwi, nie porywczej żądz zemsty. Nagle jednak las wydał się dla nich dwóch za mały. Gołe pnie dębów zdawały się zaciskać krąg, zamykać przestrzeń nad głowami.

Potknął się o korzeń, o mało nie upadł.

–Spokojnie, Vernier – mruknął Gabignaud.

Anatol wziął się w garść. W milczeniu obserwował, jak Denarnaud podchodzi do Constanta. Za nim podążał Pascal, ze skrzynką na ramieniu, podobną do dziecięcej trumienki.

Sekundanci przywitali się oficjalnie oszczędnym ukłonem i przeszli na środek polany, niedaleko miejsca, gdzie poprzedniego dnia Pascal urządził strzelnicę. Odmierzyli krokami stosowną odległość, oznaczyli miejsca dla strzelających. Pascal wbił w mokrą ziemię laskę. Człowiek Constanta zrobił to samo.

Anatol czuł na sobie zimne spojrzenie przeciwnika. Ostre i

przeszywające. Mimo dutnej miny hrabia nie wyglądał najlepiej, a właściwie robił wrażenie chorego.

Jak pan się czuje? – spytał Anatola Gabignaud. – Podać może...

Nie. Nic mi nie trzeba. Wrócił Denarnaud.

–Przegraliśmy losowanie pistoletów – oznajmił. Poklepał Anatola po ramieniu. – W końcu to żadna różnica. Liczy się celność, a nie lufa.

Anatolowi zdawało się, że uczestniczy w jakimś sennym koszmarze. Świat wokół był przygaszony i wytłumiony, to, co się działo, dotyczyło kogoś innego. Wiedział, że powinno go martwić, iż będzie strzelał z broni przeciwnika, ale opanowało go dziwne odrętwienie.

Dwie grupki mężczyzn zbliżyły się do środka polany. Denarnaud zdjął płaszcz z ramion Anatola. Sekundant Constanta odebrał okrycie od swojego pana. Potem Denarnaud obszukał hrabiego, sprawdzając, czy w kieszeniach marynarki albo kamizelki nie ukrył on broni, czy nie osłania ciała czymkolwiek, co by mogło odgrywać rolę tarczy. Po chwili skinął głową.

–Wszystko w porządku.

Anatol podniósł ręce. Człowiek Constanta przeszukał go, znajdując tylko zegarek w kieszonce kamizelki. Odpiął czasomierz.

–O, nowy zegarek... Z monogramem. Ładna robota.

Anatol rozpoznał schrypnięty głos. To ten człowiek ukradł mu zegarek ojca w Paryżu.

Zacisnął pięści. Opanował się resztkami woli.

–Zostaw – warknął.

Zbir spojrział na swojego pana, po czym wzruszył ramionami i odszedł. Denarnaud ujął Anatola pod łokieć, podprowadził do jednej z lasek.

–To pana miejsce – oznajmił.

Nie mogę chybić.

Podano mu pistolet. Był zimny i ciężki. Broń znacznie lepszej klasy niż ta, która należała do wuja. Długa, wypolerowana lufa, na rękojeści złote inicjały Constanta.

Anatol miał wrażenie, że ogląda scenę z dużej wysokości. Widział człowieka bardzo podobnego do siebie, mężczyznę o takich samych smolście czarnych włosach, o identycznym wąsie, bladej twarzy i nosie zaczerwienionym od chłodu. Naprzeciw niego stał drugi, taki sam jak ten, który go wytropił, dotarł jego śladem z Paryża aż na południe.

Gdzieś w dali rozległ się głos. Nagle, szybko trzeba było kończyć sprawę.

–Panowie, gotowi?

Anatol kiwnął głową. Constant także. Znowu ten sam głos.

–Ognia!

Nic do niego nie docierało. Obrazy ani dźwięki, zapachy, żadne uczucia. Zdawało mu się, że nie zrobił nic, a przecież mięśnie dłoni zareagowały, posłuszne jakiemuś impulsowi, palec nacisnął na spust. Rozległ się szcęk kurka, iskra zapaliła proch, nad lufą wykwitł obłoczek dymu. Dwa strzały wstrząsnęły ciszą. Z czubków drzew zerwały się wystraszone ptaki.

Anatolowi zabrakło powietrza. Nogi się pod nim ugięły. Osunął się na kolana i podparł dłońmi. Myślał o Izoldzie i o Leonie. Ciepło rozlało mu się po piersiach. Powoli, jak w gorącej kąpieli, ogarniało całe zziębnięte ciało.

–Dostał? – usłyszał głos Gabignauda.

A może mu się tylko zdawało.

Otoczyły go ciemne postaci, nie do rozróżnienia. Gabignaud? Denarnaud? Ot, las czarnych i szaro prążkowanych nogawek, dłonie w futrzanych rękawicach, ciężkie buty. Wtedy coś usłyszał.

Straszny krzyk, własne imię, niesione udręką i rozpaczą.

Przewrócił się na bok. Zdawało mu się, że to Izolda go woła.

Niemożliwe.

A jednak.

Inni też usłyszeli jej głos. Odstąpili od niego, rozsunęli się na tyle, że zobaczył ją biegnącą przez polanę. Wynurzyła się spod osłony drzew. Za nią pędziła Leonie.

–Nie! Anatolu! Nie!

Nagle coś innego przykuło jego uwagę. Jakiś ruch na samym skraju pola widzenia. Wzrok mu się mącił. Chciał usiąść, ale ostry ból w boku, jak cios nożem, pozbawił go oddechu. Wyciągnął rękę, lecz niczego nie sięgnął, osunął się na plecy.

Zdarzenia potoczyły się w zwolnionym tempie. Wiedział, co teraz będzie, choć nie umiał tego pojąć. Denarnaud sprawdził, czy dotrzymano warunków pojedynku. Jeden strzał z każdej strony. Jeden jedyny. A przecież na jego oczach Constant rzucił broń użytą w pojedynku, sięgnął do kieszeni marynarki i wyciągnął drugi pistolet, tak mały, że rękojeść ginęła w jego dłoni. Przesunął rękę w prawo, pociągnął za spust.

Miał być tylko jeden strzał.

Anatol krzyknął. Na próżno.

Zatrzymała się w pół ruchu, jakby zawisała w powietrzu, po czym siła strzału odrzuciła ją w tył. Oczy, szeroko otwarte ze zdumienia, powlokły się bólem. Upadła.

W piersiach wezbrał mu szloch.

Zapanował chaos, krzyki, pandemonium. A jemu się wydało, że słyszy czyjś śmiech.

Ciemność odbierała mu wzrok, wysysała ze świata kolory.

Ten śmiech był ostatnim dźwiękiem przed kompletną ciszą.

ROZDZIAŁ 82

Powietrze rozdarło przeszywające wycie. Leonie słyszała je doskonale, tylko z początku nie wiedziała, że wydobywa się z jej ust.

Wrosła w ziemię, niezdolna uwierzyć własnym oczom. Jak na scenie zatrzymanej w czasie na płótnie lub na zdjęciu, świat zamarł bez życia, bez ruchu. Pocztówka, zaledwie odbicie rzeczywistości.

Nagle wypadki potoczyły się dalej. Leonie przejrzała ciemność, prawda odcisnęła na jej umyśle krwawe piętno.

Izolda leżała na ziemi, na szarej sukni rosta czerwona plama.

Anatol usiłował się podnieść na ramieniu, twarz miał wykrzywioną bólem, nie dał rady, opadł bezwładnie. Gabignaud klęknął obok.

Leonie spojrzała w twarz mordercy. Człowieka, którego obawiała się Izolda, którego nienawidził Anatol.

–Nie... – szepnęła bezgłośnie.

Opuściła ją cała odwaga.

Obezwładniło ją poczucie winy. Wstyd.

A potem poczuła gniew, potężny niby występująca z brzegów rzeka. Oto stał przed nią, zaledwie o kilka kroków, mężczyzna, któremu gotowa była bez reszty oddać serce i duszę. O którym od czasu Carcassonne marzyła dniem i nocą.

Victor Constant.

Zabójca Anatola. Prześladowca Izoldy.

Czy to ja go tutaj sprowadziłam?

Podniosła wyżej latarnię, w jej świetle dojrzała herb na boku

powozu stojącego u skraju polany, choć i tak nie potrzebowała potwierdzenia domysłów.

Wstrząśnięty lekarz poderwał się na nogi, omal nie stracił równowagi. Rzucił spojrzenie na Constanta i jego ludzi, potem przeniósł wzrok na Charles'a Denarnaud, który przecież sprawdzał broń i oświadczył, że warunki pojedynku zostały dotrzymane.

Leonie zalała wściekłość, silniejsza niż strach. Nie bacząc na własne bezpieczeństwo, wypadła pomiędzy drzew na polanę.

Najpierw podbiegła do Izoldy. Rzuciła się przy niej na kolana, uniosła płaszcz. Szara tkanina po lewej stronie sukni przesiąkła szkarłatem, jakby wykwitł na niej zbyt wielki cieplarniany kwiat. Dziewczyna ściągnęła rękawiczkę, podwinęła ciotce rękaw, poszukała pulsu. Był. Słaby, ale wyczuwalny. Jeszcze się w niej tliło życie. Spiesznie zbadała bezwładne ciało. Kula trafiła w ramię. Jeśli Izolda nie straci zbyt wiele krwi, przeżyje.

–Doktorze, vite! – zawołała. – Aidez-la, Pascal. Pomóż.

A Anatol? Nad jego ustami leciutko bieleł powietrze delikatny obłok oddechu. Więc i tu była nadzieja. Wstała, ruszyła do brata.

–Będę wdzięczny, jeśli zostanie panna tam, gdzie jest – usłyszała. –

I pan także, Gabignaud.

Stała jak wryta. Dopiero teraz do niej dotarło, że Constant nadal trzyma uniesioną broń, że palec ma na spuście. Co więcej, nie był to pistolet przeznaczony do pojedynkowania, lecz rewolwer kieszonkowy marki Le Protector. Taką broń miała Marguerite.

Na pewno nie skończyły mu się naboje.

A ona sobie wyobrażała, że ten człowiek szepcze jej do ucha słodkie słówka! Bez żadnego względu na skromność i reputację zachęcała go do starań!

Ja go tu sprowadziłam, wyrzucała sobie.

Wzięła się jednak w garść, powściągnęła nerwy. Uniosła wyżej brodę i spojrzała mu prosto w oczy.

Monsieur Constant – rzekła. Jego nazwisko na języku miało smak najgorszej trucizny.

Mademoiselle Vernier – powiedział, ciągle mierząc w Gabignauda i Pascala. – Cóż za niespodzianka! Nie przypuszczałem, że brat narazi pannę na takie widoki.

Zerknęła na Anatola. Leżał bez ruchu.

–Jestem tutaj z własnej woli – oznajmiła.

Constant ruchem głowy wydał rozkaz swojemu słudze i plugawemu żołdakowi, w którym Leonie rozpoznała tego, co tak impertynencko przyglądał jej się na średniowiecznym moście w Carcassonne. Straszne, jak przemyślany, jak kompletny był plan Constanta.

We dwóch chwycili Gabignauda, wykręcili mu ręce za plecami. Latarnia spadła na ziemię, szkło pękło i po wilgotnych liściach z sykiem rozlał się ogień. Zanim zrozumiała, co się dzieje, wyższy z mężczyzn wyjął spod płaszcza broń, przyłożył Gabignaudowi lufę do skroni i strzelił. Czaszka rozprysnęła się w kawałki, zbir otarł z twarzy odfamki kości i krew. Lekarz martwy padł na ziemię. Jego ciało drgnęło, znieruchomiało.

Jak niewiele trzeba, żeby zabić człowieka, oddzielić ducha od ciała, przemknęło dziewczynie przez myśl.

Zrobiło jej się niedobrze. Przycisnęła dłonie do ust, ale nie zdołała nad sobą zapanować, zgięła się w pół, z wymiotowała.

Kątem oka dojrzała, jak Pascal nieznacznie robi krok w bok, jeden, potem drugi. Nie wierzyła, że chce uciec. Nigdy nie wątpiła w jego lojalność ani odwagę... lecz z drugiej strony, cóż by zamierzał?

Napotkała jego wzrok. Spojrzeniem wskazał w dół.

Zrozumiała.

Wyprostowała się i odwróciła do Charles'a Denarnaud.

–Monsieur – powiedziała głośno. – Jestem zdziwiona pańskim zachowaniem. Zjednoczył się pan z takim człowiekiem? Poniesie pan srogą karę.

gdy pańska dwulicowość wyjdzie na jaw.

Drań uśmiechnął się zadowolony.

–A kto o niej doniesie, mademoiselle Vernier? Nie ma tu nikogo poza nami.

–Trzymaj pan język za zębami – rzucił Constant.

–Czy nic pana nie obchodzi honor siostry? – ciągnęła Leonie.
– Opinia rodziny, którą pan w ten sposób splugawił?

Denarnaud poklepał się po kieszeni.

–Pieniądze mają nadzwyczajną moc.

–Denarnaud, ca suffit!

Może i dość, ale nadal musiała ich czymś zająć.

Przeniosła spojrzenie na Constanta. Głowa mu dziwnie podrygiwała, jakby miał kłopoty z panowaniem nad własnymi ruchami.

Nagle kątem oka dostrzegła, że Anatol poruszył nogą.

Żyje? Naprawdę? Cudownie! Ulga i niezmierna radość, ale już w następnej chwili – strach. Miał szansę żyć tak długo, jak długo Constani uważał go za trupa.

Noc już zapadła. Latarnie rzucały na ziemię ruchome plamy żółtego światła.

Leonie o kilka kroków zbliżyła się do człowieka, którego uznała za swego ukochanego.

–Czy to warto, monsieur, skazywać się na potępienie? Z

jakiego powodu? Z zazdrości? Dla zemsty? Bo przecież nie dla honoru. – Jeszcze jeden krok, tym razem nieco w bok, by zasłonić Pascala.

Była już na tyle blisko, że dokładnie widziała twarz Constanta, wykrzywioną w pogardliwym grymasie. Jakim cudem uznała go za przystojnego? Gdzie w jego rysach dopatrzyła się szlachetności? Był podły, wstrętny, miał okrutne usta i źrenice jak główki szpilek. Odpychający.

–Co za buta, mademoiselle Vernier! – zaśmiał się głośno. – W takiej

sytuacji podobna krytyka! – Spojrzał na Izoldę. – Ona nie miała honoru.

Tania lafirynda! Jeden strzał to miłosierna śmierć. Wolałbym, żeby przechodziła męki, tak jak ja przez nią cierpiałem katusze.

Leonie spojrzała prosto w jego błękitne oczy.

–Teraz już nic jej pan nie zrobi skłamała gładko.

–Wybacz mi, panno Vernier, ale nie zaufam twoim słowom. Jakoś nie widzę na twoich policzkach łez. Obejrzał się na ciało Gabignauda. – Masz, panno, mocne nerwy, ale nie serce z kamienia.

Zamilkł, przymierzając się do wymierzenia coup de grace. Leonie zmartwiała. Czekwała na strzał, który miał zakończyć jej życie. A przecież Pascal z pewnością był już nieomal gotów do działania. Wiele ją kosztowało, by nie zerknąć w jego stronę.

–Muszę powiedzieć – odezwał się Constant – że charakterek masz

panna taki sam jak twoja matka.

Świat wstrzymał oddech. Białe obłoczki chłodu zastygły w powietrzu, drżące na wietrze gałęzie znieruchomiały, ucichł szelest jałowców. Minął jakiś czas, nim Leonie odzyskała głos.

–Nie rozumiem.

Oba słowa padły na ziemię, ciężkie niczym krople ołowiu. Constant był wyraźnie ukontentowany. Zadowolenie spowiło go jak smród garbarnię, ostry, cierpki, zjadliwy.

–Panna nie wie, co się przydarzyło mamusi?

–O czym pan mówi?

–W Paryżu było na ten temat głośno. Uznano, że to najstraszliwsze morderstwo, z jakim pospolite umysły gendarmes ósmego arrondissement miały do czynienia od dłuższego czasu.

Leonie cofnęła się, jakby ją uderzył.

–Nie żyje?

Zadygotała. Zęby zaczęły jej szczekać. Constant milczał i ten brak słów stanowił najmocniejsze potwierdzenie, ale jej umysł nie chciał się pogodzić z prawdą. Jeśli straci nadzieję, zawiedzie. A przecież Izolda i Anatol są z każdą chwilą słabsi.

–Nie wierzę – wydusiła.

–Ależ wierzy panna, wierzy, jak najbardziej. Widzę to wyraźnie.
– Opuścił rękę.

Leonie cofnęła się odruchowo. Za plecami słyszała kroki Denarnauda, zastąpił jej drogę. Constant zrobił krok, drugi i następny. Był coraz bliżej. Wtedy kątem oka dostrzegła, że Pascal kucnął i porwał ze skrzynki jeden z pistoletów.

–Attention! – krzyknął.

Zareagowała bez wahania, rzuciła się na ziemię. Kula gwizdnęła jej nad głową.

Denarnaud padł, trafiony w plecy.

Constant odskoczył, wypalił w ciemność, lecz chybił celu. Spieszne kroki lokaja szeleściły w poszyciu. Chciał zająć mordercę od tyłu.

Stary żołnierz na rozkaz Constanta ruszył ku dziewczynie.

Drugi służący pobiegł na skraj polany, szukając Pascala i strzelając na chybił trafił.

–Il est ici!– krzyknął. Znalazł służącego. Constant strzelił jeszcze raz i znowu chybił.

Nagle wszyscy usłyszeli tupot stóp. Biegła większa grupa ludzi. Leonie uniosła głowę.

–Arest!– usłyszała.

Rozpoznała głos Mariety. W ciemnościach odzywali się inni. Zmrużywszy oczy, dostrzegła kilka rozkołysanych świateł. Spomiędzy drzew wypadł nagle pomocnik ogrodnika, Emile. W jednym ręku trzymał pochodnię, w drugim grubą kij.

Constant omiół scenę spojrzeniem, ocenił sytuację. Strzelił do chłopaka, lecz ten był szybszy, jednym susem skrył się za drzewem. Morderca znów podniósł broń. wystrzelił w las. Twarz miał wykrzywioną szaleństwem.

Obrócił się i wpakował dwie kule w Anatola.

–Nie!!! – Leonie na czworakach rzuciła się do brata. – Nie!

Służba ruszyła do ataku. Było ich ośmioro, razem z Marietą.

Constant nie zwlekał dłużej. Rzuciwszy płaszcz, ruszył z polany, chciał

się roztopić w cieniu. Zdązał do powozu.

–Żadnych świadków – rzucił przez ramię.

Sługa bez słowa strzelił żołdakowi w głowę. W oczach umierającego odbił się wyraz kompletnego zaskoczenia. Opadł na kolana, legł twarzą w dół.

Pascal wypalił z drugiego pistoletu. Trafił Constanta. Morderca potknął się, nogi omal nie odmówiły mu posłuszeństwa, lecz kuśtykał dalej, byle zejść z polany. Wśród wrzawy Leonie usłyszała trzaśnięcie drzwiczek, brzęk uprzęży i stukot końskich kopyt. Cichły, gdy powóz się oddalał. Jechał w

stronę tylnej bramy.

Marieta opatrywała Izoldę. Pascal podbiegł do Leonie. Dziewczyna z trudem dźwignęła się na nogi, potykając się, pokonała ostatnich kilka metrów. Uklękła przy bracie.

–Anatolu – szepnęła. Objęła go za ramiona, potrząsnęła, jakby go chciała obudzić. – Proszę cię. Błagam.

Bezruch.

Chwyciła fałdę płaszcza, obróciła brata na plecy. Zabrakło jej tchu. Tyle krwi. Głęboka lepka kałuża na ziemi. Dziury po kulach w ciele. Położyła sobie głowę Anatola na kolanach, odgarnęła mu z twarzy czarne włosy. Oczy miał otwarte. A w nich ani śladu życia.

ROZDZIAŁ 83

Po ucieczce Constanta na polanie szybko zrobiło się pusto.

Pascal i Marieta powiedli ledwie przytomną Izoldę do powozu Denarnauda. Pozwoliła się prowadzić, ale nikogo nie poznawała, niczego nie rozumiała. Nie słyszała Leonie, kompletnie odrętwiała. Ciałem była na tym świecie, lecz jej dusza schroniła się w innym. Z rany, pozornie niegroźnej, stałe sączyła się krew.

Leonie, przemarznięta i drżąca, z włosami w nieładzie, w ubraniu przesiąkniętym krwią, zapachem prochu i wilgotnej ziemi, nie chciała na krok odejść od Anatola. Pomocnik ogrodnika i stajenni skonstruowali prowizoryczne mury z płaszczy i kijów. Z drewnianych trzonków narzędzi, których używali jako broni. Ponieśli ciało do domu, oświetlając drogę pochodniami. Dziewczyna szła za nimi. Samotna żałobnica.

Dalej niesiono ciało doktora Gabignaud.

Po żołnierza i zdrajcę Denarnauda urządzono później przystać psi wózek.

Zanim wrócili do domu, wieści o nieszczęściu, jakie dotknęło Domaine de la Cade, już się rozeszły po okolicy. Pascal pchnął do Rennes-le-Chateau posłańca, z wiadomością o katastrofie i prośbą o posługę kapłańską. Marieta wysłała służącą do Rennes-les-Bains, po kobietę, która trudniła się czuwaniem przy umierających i oporządzaniem zmarłych. Madame Saint-Loup.

Po jakimś czasie wezwana zjawiała się w towarzystwie chłopca, który niósł płócienny worek, dwa razy większy od niego samego. Gdy Leonie, przejmując obowiązki gospodyni, spytała o należność, dowiedziała się, iż wszystkie koszty pokrył pan Baillard. Zapłakała, wzruszona jego serdecznością i atencją.

Zabitych ułożono w jadalni. Dziewczyna patrzyła bez słowa,

jak madame Saint-Loup napełnia porcelanową miskę wodą z butelki.

–Święcona woda, madomaisela mruknęła w odpowiedzi na milczące pytanie.

Zamoczyła w niej kropidło z gałązek bukszpanu, zapaliła dwie wonne świece, po jednej dla każdego, i zaczęła odmawiać modlitwę za zmarłych.

Chłopak z szacunkiem pochylił głowę.

–Peyre Sani, Święty Ojcze, przyjmij swojego sługę...

Płynęły słowa, w których zmieszała się dawna i nowa tradycja. A Leonie nie czuła nic. Nie zstąpiła na nią łaska ukojenia, nie spłynął spokój w obliczu śmierci brata, nie oblało jej światło odchodzącej duszy, włączającej się w krąg innych. Nie znalazła pocieszenia, żadnej poezji ani ulgi w ofierze starej kobiety, jedynie coraz szersze echo przerażającej straty.

Madame Saint-Loup zamilkła. Wyciągnęła rękę do chłopca. Podał jej nożyce o szerokich ostrzach. Zaczęła rozcinać przesiąknięte krwią ubranie Anatola, oblepione ziemią i podściółką. Nie było to łatwe.

–Madomaisela?

Podziała dziewczynie dwie koperty, wyjęte z kieszeni marynarki. Srebrny papier, złoto-czarny herb. List od Constanta. Drugi, z paryskim znaczkiem, zamknięty. Oba splamione rdzawą czerwienią, jakby ktoś zdołał papier.

Otworzyła ten drugi. Było to oficjalne zawiadomienie z gendarmerie ósmego arrondissement. Informowano w nim Anatola, że jego matka padła ofiarą morderstwa. W niedzielę, dwudziestego września. Jak dotąd, nie znaleziono winnego. List podpisany przez inspektora Thourona krążył długo, przesyłany z poczty na pocztę, nim w końcu odnalazł Anatola w Rennes-les-Bains.

W piśmie proszono o kontakt przy pierwszej możliwej okazji.

Leonie zwinęła kartę w lodowatych dłoniach. Ani przez moment nie wątpiła w okrutne słowa Constanta, które rzucił jej w twarz na polanie ledwie przed godziną, ale dopiero teraz, widząc czarno na białym oficjalne słowa, pogodziła się z prawdą. Została sierotą. Ponad miesiąc temu.

Nikt po Marguerite nie zapłakał, nikt jej nie oddał należnego szacunku. Odrętwiałe serce dziewczyny zadrżało. Teraz, gdy zabrakło Anatola, na nią spadł ten obowiązek.

Madame Saint-Loup zaczęła obmywać ciało. Delikatnie przetręła Anatolowi twarz i dłonie. Patrzącej na to dziewczynie serce pękało z bólu. Wreszcie kobieta wyjęła płótna, poźółkłe i zacerowane czarną nicią, jakby już po wielekroć były używane.

Leonie nie mogła patrzeć dłużej.

–Proszę mnie zawiadomić, kiedy przyjdzie proboszcz Saunier – po

wiedziała i wyszła, zostawiając kobietę z ponurym obowiązkiem zaszycia

ciała w całunie.

Powoli, na nogach ciężkich jak z ołowiu, wspięła się na piętro. Poszła do sypialni Izoldy. U jej boku zastała Marietę, a także jakiegoś nieznanego lekarza w czarnym cylindrze i odpowiednio wysokim kołnierzyku oraz stateczną pielęgniarkę w białym, nakrochmalonym fartuchu. Pracownicy uzdrowiska, także wynajęci przez pana Baillarda.

Gdy weszła do pokoju, doktor akurat miał podać chorej środek uspokajający. Pielęgniarka podwinęła jej rękaw, wbiła w białe, wiotkie ramię igłę osadzoną w srebrzystej strzykawce.

–Jaki jest jej stan? – szepnęła Leonie do służącej. Marieta lekko pokręciła głową.

–Walczy, by z nami zostać, madomaisela.

Dziewczyna podeszła do łóżka. Nawet ona, choć nie miała żadnego doświadczenia, widziała, że Izolda stoi u progu śmierci. Była rozpalona gorączką. Usiadła, wzięła ciotkę za rękę. Pielęgniarka już zmieniła przepocone prześcieradła. Teraz kładła na gorącym czole pacjentki płótno zmoczone w chłodnej wodzie. Musiała je zmieniać dosłownie co chwila.

Gdy lek zaczął działać, gorączka spadła, Izolda, zadrżała z zimna, jej ciałem wstrząsały gwałtownie dreszcze, jak w tańcu świętego Wita.

Leonie w strachu o nią zapomniała o innych nieszczęściach. I dobrze. Bo mogłaby się załamać pod ich brzemieniem. Śmierć matki. Śmierć Anatola. Życie Izoldy i dziecka, wiszące na włosku.

Księżyc płynął po niebie. Zbliżał się dzień Wszystkich Świętych.

Wkrótce po tym, jak zegar wybił jedenastą, rozległo się pukanie do drzwi. W progu stanął Pascal.

–Przepraszam, madomaisela – odezwał się szeptem. – Ktoś chce się

z panienką widzieć.

–Proboszcz? Pokręcił głową.

–Monsieur Baillard. I policja.

Zawiadomiła lekarza, że musi wyjść, obiecała Mariecie wrócić jak najszybciej i ruszyła za Pascalem.

Na szczycie schodów przystanęła. Objęła spojrzeniem grupę mężczyzn w czarnych cylindrach i obszernych płaszczach. Dwóch było w mundurach paryskiej gendarmerie, trzeci w podniszczonym uniformie miejscowej policji. Na tle ciemnych

ubrań wyróżniał się szczupły mężczyzna w jasnym garniturze.

–Pan Baillard! – krzyknęła, zbiegając ze schodów. Chwyła go za rękę. – Tak się cieszę, że pana widzę. – Wbiła spojrzenie w jego oczy. – Anatol... – Głos odmówił jej posłuszeństwa.

Baillard pokiwał głową.

–Przyszedłem złożyć paniencie kondolencje – rzekł, po czym dodał ciszej. – Co z panią Vernier?

–Bardzo źle. Lekarz bardziej troska się o stan jej umysłu niż skutki postrzelenia. Choć trzeba też mieć pewność, że nie doszło do infekcji. Na szczęście kula ledwie drasnęła wewnętrzną stronę ramienia. – Urwała nagle. Dopiero teraz zrozumiała. – Pan wiedział, że się pobrali? szepnęła. Przecież ja nic... Jakim... I już przy kolacji...

Baillard położył palec na wargach.

–To nie jest rozmowa na teraz. I nie w tym towarzystwie. – Uśmiechem dodał jej odwagi. – Zupelnym przypadkiem, madomaisela – powiedział głośniejszym głosem – ci panowie i ja spotkaliśmy się na podjeździe.

Młodszy z dwóch policjantów zdjął kapelusz, wystąpił do przodu. Miał ciemne kręgi pod oczami, jakby od dłuższego czasu się nie wysypiał.

–Inspektor Thouron – rzekł, wyciągając rękę. – Z paryskiego komisa

riatu w ósmym arrondissement. Proszę przyjąć najszczerze kondolencje.

Niestety, jestem równocześnie posłańcem przynoszącym złe wieści. Co gorsza, wcale nie są nowe. Szukałem państwa od kilku tygodni, by zawiadomić oboje... że...

Leonie wyjęła z kieszeni list.

–Już wiem, panie inspektorze – powiedziała głuchym głosem.
– Moja

matka nie żyje. List dotarł wczoraj. Trudno powiedzieć, jak to w ogóle możliwe. A poza tym dziś wieczór Victor... – urwała. Nazwisko nie chciało jej przejść przez gardło.

Thouron przyjrzał jej się uważnie.

–Bardzo trudno było państwa znaleźć.

Leonie wiedziała, że temu człowiekowi, niewątpliwie zmęczonemu i pozornie zaniedbanemu, z pewnością nie brakuje inteligencji i lotności umysłu. Milczała.

–Zastanawiam się – podjął – czy dzisiejsza tragedia ma jakiś związek

z paryskimi wydarzeniami sprzed miesiąca.

Dziewczyna zerknęła na pana Baillarda, potem przeniosła wzrok na starszego mężczyznę, stojącego obok inspektora.

Nie zostaliśmy sobie przedstawieni – zauważyła, odwlekając moment, gdy będzie musiała odpowiedzieć.

Proszę o wybaczenie – znalazł się Thouron. – To jest inspektor Bouchou z carcassońskiej gendarmerie. Pomógł mi państwa znaleźć.

Leonie przeniosła wzrok z jednego na drugiego.

–Nie bardzo rozumiem. Pan, inspektorze Thouron, wysłał z Paryża

list, a mimo to przyjechał osobiście?

Dwaj mężczyźni popatrzyli po sobie.

–Czy mogę zaproponować – odezwał się Audric Baillard – byśmy kontynuowali tę rozmowę w bardziej odpowiednim miejscu? – Mówił cicho i bez nacisku, ale w jego słowach czuło się tak wielki autorytet, że nie sposób mu się było sprzeciwić.

Dotknął lekko ramienia Leonie. Teraz ona musiała podjąć decyzję.

–W salonie rozpalono na kominku – powiedziała.

Poprowadziła mężczyznę przez hol, pchnęła drzwi pokoju.

Zachwiała się, bo oczyma wyobraźni natychmiast zobaczyła brata. Pamięć podsunęła jej obraz Anatola stojącego przy ogniu, opartego jedną ręką o gzyms kominka, albo przy oknie, z papierosem wetkniętym głęboko między palce, rozmawiającego z doktorem Gabignaud w noc proszonej kolacji. Lub obok karcianego stolika, gdy obserwował, jak Leonie i Izolda grają w vingt-et-un. Był na stałe wpisany w matrycę tego wnętrza. Choć przekonała się o tym dopiero teraz.

Monsieur Baillard przejął jej obowiązki, zapraszając policjantów, by usiedli. Ją samą podprowadził do chaise longue. Poddała mu się bez słowa. Stał tuż obok.

Thouron wyjaśnił przebieg zdarzeń z dwudziestego września, odkrycie ciała i postępy w śledztwie, które zawiodły policję do Carcassonne, a następnie do Rennes-les-Bains.

Leonie słyszała słowa, jakby docierały do niej z bardzo daleka. Jednym uchem wlatywały, drugim wylatywały. I choć inspektor mówił o jej matce, a przecież matkę kochała, strata Anatola otoczyła serce dziewczyny kamiennym murem, tak wysokim, że nie miały do niego dostępu inne emocje. Przyjdzie czas na płacz po matce. I po uprzejmym, miłym doktorze Teraz jednak liczył się tylko Anatol. I obietnica, którą mu złożyła. Że będzie chroniła jego żonę i dziecko.

–A zatem – ciągnął Thouron – dozorca przyznał, że zapłacono mu za przekazywanie korespondencji. Pokojówka od Debussych potwierdziła, iż ona również widziała jakiegoś mężczyznę, kręcącego się po rue de Berlin w dniach poprzedzających... zdarzenie i po nim także. – Przerwał. – W zasadzie – podjął –

gdyby nie list, który brat panienki napisał do państwa matki, nie wiem, czy nawet dzisiaj byśmy tutaj dotarli.

Inspektorze – odezwał się Baillard – czy zidentyfikował pan tego człowieka?

Znamy jego wygląd, nie znamy tożsamości. To osoba charakterystyczna. Ma czerwoną twarz i łysą czaszkę, poznaczoną bliznami.

Leonie drgnęła. Trzy pary oczu spojrzały na nią z uwagą.

–Czy panienka zna tego człowieka? – zapytał Thouron.

To on strzelił Gabignaudowi w głowę. Odłamki kości i krew splamiły las. Zaczepnęła powietrza.

–Jest służącym Victora Constanta – powiedziała. Thouron znów porozumiał się z Bouchou spojrzeniem.

–Hrabia de Tourmaline?

Przepraszam?

–Constant i Tourmaline to ten sam człowiek. Używa jednego lub dru

giego nazwiska, zależnie od towarzystwa i okoliczności.

–Dał mi wizytówkę – powiedziała głucho. – Victor Constant.

Baillard uspokajająco ścisnął ją za ramię.

–Czy hrabia de Tourmaline jest podejrzanym w paryskiej sprawie, in

spektorze? – zapytał.

Policjant zawahał się, po czym najwyraźniej uznawszy, że nie ma powodu zatajać faktów, skinął głową.

–Odkryliśmy, że wyjechał na południe, kilka dni po panu Vernierze.

Dziewczyna nie słuchała. Myślała o tym, jak jej serce drżało,

gdy Victor Constant ujął ją za rękę. Jak ukrywała przed Anatolem jego wizytówkę. Jak w wyobraźni pozwalała mu towarzyszyć sobie za dnia. a w snach nocą.

To ona go tu sprowadziła. Przez nią Anatol stracił życie.

–Leonie – odezwał się Baillard miękko. – Czy to przed Constantem uciekała madama Vernier? To z nim senher Anatol pojedynkował się dzisiaj?

–Tak – rzekła z trudem.

Baillard podszedł do okrągłego stolika z alkoholami i nalał szklaneczkę brandy. Wetknął ją dziewczynie w rękę.

–Sądząc z reakcji panów – powiedział – człowiek ten jest panom znany.

–Tak – potwierdził Thouron. – Jego nazwisko kilkakrotnie wypływało w śledztwie, jednak nigdy nie mieliśmy dowodów pozwalających go powiązać ze zbrodnią. Wszystko wskazuje na to, że od dłuższego czasu mścił się na panu Vernierze. Dopiero w ostatnich tygodniach stał się nieostrożny.

–Albo arogancki – wtrącił Bouchou. – W jednym z domów... z klubów dla panów w quartier Barbes w Carcassonne mieliśmy zdarzenie... Jedna z dziewcząt została oszpecona.

–Podejrzewamy, że zachowanie tego człowieka jest, przynajmniej częściowo, wynikiem szybkich postępów jego... choroby, która zaczęła wywierać wpływ na umysł. – Thouron bezdźwięcznie wymówił słowo, którego miała nie słyszeć Leonie. – Syfilis.

Baillard usiadł obok dziewczyny.

–Opowiedz inspektorowi o wszystkim – poprosił, ujmując ją za rękę.

Leonie podniosła szklanekę do ust i pociągnęła jeszcze jeden łyk. Alko

hol palił w gardle, lecz jednocześnie zabijał kwaśny smak w

ustach.

Jaki jest sens teraz cokolwiek ukrywać?

–Zacząła mówić. Nie pominęła niczego. Opowiedziała ze wszystkimi szczegółami o tym, co się działo. Od pogrzebu na Montmartrze, poprzez napaść w Passage des Panoramas, cudowny moment, gdy razem z ukochanym Anatolem wysiedli z courrier publique na Place du Perou, aż po krwawe wydarzenia w lesie Domaine de la Cade.

Marzec, wrzesień, październik.

Na piętrze Izolda walczyła z zapaleniem mózgu.

W jej umyśle kłębiły się pomieszane obrazy i myśli. Oczy miała na wpół otwarte. W jednej, najszcześniejszej pod słońcem chwili, zdało jej się, że leży w objęciach Anatola, że migotliwy blask świecy odbija się w jego piwnych oczach. Wizja szybko zbladła. Skóra na twarzy ukochanego zaczęła się kurczyć, odsłaniając czaszkę, obnażone zęby, puste oczodoły.

I szept, głos, krzyk, pełne wściekłości słowa Constanta.

Rzucała się na poduszce, chcąc uciszyć nienawistne echo, lecz kakofonia brzmiała coraz głośniejsze. Co jest głosem, co tylko jego śladem?

Śnił jej się syn płaczący za ojcem, którego nie dane mu było poznać, oddzielony od Anatola taflą nieprzejrzystego szkła. Wołała ich obu, ale z jej ust nie dobywał się żaden dźwięk, nikt jej nie słyszał. Wreszcie dosięgła szyby, rozbiła ją na setki tysięcy kawałków, lecz za nią znalazła tylko zimny marmur. Martwe pomniki.

Wspomnienia, sny, przeczucia. Oszalały umysł.

Kilka minut przed północą, przed godziną duchów, zerwał się wiatr. Zagrzechotał okiennicami.

Niespokojna noc. Lepiej nie wychodzić.

CZĘŚĆ X Jezioro

Październik 2007

ROZDZIAŁ 84

Środa, 31 października 2007

Gdy Meredith obudziła się po raz drugi, Hala już nie zobaczyła.

Dotknęła pustego miejsca. Prześcieradło było chłodne, został tylko zapach i wgłębienie na poduszce. Przy zamkniętych okiennicach wewnątrz spowijał półmrok, zegarek wskazywał ósmą. Najwidoczniej Hal nie chciał, żeby ktoś go zobaczył wychodzącego z jej pokoju. Przyłożyła dłoń do policzka, jakby na skórze zostało wspomnienie pożegnalnego pocałunku, którego nie pamiętała.

Czas jakiś leżała wtulona w kołdrę, myśląc o kochanku, o jego cieple, o namiętności, o pożądaniu i o uczuciach, jakie w niej obudził. Potem jej myśli popłynęły ku Leonie, dziewczynie o miedzianych włosach.

„Nie mogę zasnąć”.

Słowa ze snu. słyszane, choć niewypowiedziane. Wrażenie żalu, niepokoju. Leonie czegoś od niej chciała.

Meredith wstała. Wciągnęła na stopy grube skarpety. Obok krzesła, gdzie Hal wieczorem zostawił ubranie, znalazła jego sweter. Przytuliła do niego twarz, wdychając znajomy zapach. Włożyła spodnie od dresu – i ten sweter. Za duży, zbyt obszerny, workowaty. Sweter Hala.

Zerknęła na portret w ramce. Brązowa fotografia żołnierza, praprapradziadka Verniera, tkwiła w rogu, tak samo jak poprzedniego wieczoru. Wreszcie oderwane fragmenty rzeczywistości zaczynały się układać w sensowną całość.

Najpierw trzeba sprawdzić, czy Anatol Vernier się ożenił. Łatwiej powiedzieć niż zrobić. I dowiedzieć się, co jego oraz Leonie Vernier łączyło z Izoldą Lascombe. Czy zamieszkali w Domaine de la Cade w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym pierwszym roku, wtedy gdy uwieczniono ich na fotografii? Czy też byli jedynie jesiennymi gośćmi? Niestety, zdążyła się już przekonać podczas wczorajszych poszukiwań w Internecie, że zwykli ludzie nie wyskakują z wyszukiwarki jak diabeł z pudełka. Trzeba by szperać na stronach poświęconych genealogii, znać nazwiska i daty. miejsce urodzenia i śmierci.

Włączyła komputer, zalogowała się do sieci. Z żalem stwierdziła brak nowych wiadomości od Mary, choć w zasadzie trudno było się ich spodziewać tak szybko. Wystukała list adresowany na skrzynkę w Chapel Hill. Opowiedziała w nim o swoich osiągnięciach z ostatnich czterech godzin i poprosiła o sprawdzenie jeszcze kilku spraw. Ani słowem nie wspomniała o Halu. Ani o Leonie. Nie widziała najmniejszego powodu, żeby martwić Mary. Podpisała list, obiecała na bieżąco dostarczać nowe informacje i kliknęła „Wyślij”.

Poczuła chłód, a na dodatek uświadomiła sobie, że chce jej się pić. Z czajnikiem w ręku poszła do łazienki, a potem, czekając, aż woda się zagotuje, czytała tytuły na grzbietach książek ustawionych na półce nad biurkiem. Zainteresowała ją niewielka książeczka, zatytułowana „Diables et Esprits Malefiqnes et Phantómes de la Montagne”. Z zaciekawieniem rozchyliła okładki. Na pierwszej stronie znalazła informację, że jest to nowe wydanie pozycji pióra miejscowego autora, Audrica S. Baillarda, który mieszkał w pirenejskiej wiosce Los Seres i zmarł w roku dwa tysiące piątym. Nie dopatrzyła się daty pierwszego wydania, ale z pewnością trzymała w ręku lokalną klasykę. Sądząc po

spisie treści, poświęconą górskim legendom.

Książka została podzielona na rozdziały dotyczące odrębnych regionów: Couiza, Coustaussa, Durban, Esperaza, Fa, Limoux, Rennes-les-Bains, Rennes-le-Chateau, Quillan. W części poświęconej Rennes-les-Bains znajdowała się zrobiona około roku tysiąc dziewięćsetnego czarno-biała fotografia Place des Deux Rennes, który wówczas nosił nazwę Place du Perou. Meredith uśmiechnęła się. Znajoma okolica. Potrafiła dokładnie wskazać miejsce pod gałęziami platanes, gdzie niegdyś stał jej przodek.

Czajnik gwizdnął z cicha i wyłączył się z pyknięciem. Zalała wodą saszetkę czekolady na gorąco, wsypała dwie łyżeczki cukru, zamieszała i z kubkiem w jednej dłoni, a książką w drugiej usiadła w fotelu przy oknie.

Opowieści okazały się dość podobne do siebie. Historie o duchach, diabłach i demonach, liczące setki, a może i tysiące lat, powiązane z konkretnymi miejscami w okolicy: Fotel Diabła, Rogata Góra, Diabli Staw. Znała te nazwy z mapy. Wróciła do informacji na pierwszej stronie. Jednak nie. Naprawdę nie było wzmianki o dacie pierwszego wydania. Najnowsze opowiadanie powstało na początku dwudziestego stulecia, ale skoro autor zmarł przed dwoma laty, na pewno zbierał interesujące go historie później.

Baillard pisał jasno i zwięźle, podawał fakty, oszczędnie dozując ozdobniki. W pewnym momencie odkryła wcale pokaźny fragment, poświęcony Domaine de la Cade. Majątek stał się własnością rodu Lascombe'ów w czasie wojen religijnych, serii konfliktów pomiędzy katolikami a hugenotami, jakie miały miejsce między rokiem tysiąc pięćset sześćdziesiątym drugim a sześćdziesiątym ósmym. Upadły wtedy dawne rody. w ich miejsce pojawili się parvenus, nagrodzeni za lojalność czy to wobec katolickich Gwizjuszów, czy kalwińskich Burbonów.

Jules Lascombe odziedziczył posiadłość po śmierci swojego

ojca, Guy Lascombe'a, w roku tysiąc osiemset sześćdziesiątym piątym. Następnie, równo dwadzieścia lat później, ożenił się z Izoldą Labourde, a zmarł w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym pierwszym.

Proszę bardzo, kolejny fragment układanki znalazł się na właściwym miejscu.

Przyjrzała się nietkniętej zębem czasu Izoldzie, wdowie po Lascombe. Raptem przyszło jej do głowy, że nie widziała jej imienia na grobowcu rodu Lascombe-Bousquetów w Rennes-les-Bains.

Ciekawe dlaczego.

Jeszcze i to trzeba będzie sprawdzić.

Wróciła do czytania. Baillard przeszedł do legend związanych z Domaine de la Cade. Przez długie lata słyszało się pogłoski o dzikiej bestii, terroryzującej okolice Rennes-les-Bains, porywającej dzieci i napadającej na chłopów. Zostawiała ona po sobie charakterystyczny znak, trzy równoległe nacięcia, ślad pazurów.

Meredith podniosła wzrok. Pomyślała o ranach na twarzy ojca Hala. I o liniach na obliczu figury ustawionej na wizygockim filarze przy wejściu do kościoła w Rennes-le-Chateau. Od razu przypomniał jej się też nocny koszmar. Gobelin nad schodami. Uczucie, że ktoś... coś ją ściga, chrobotanie pazurów i muśnięcie czarnego futra.

Raz, dwa, trzy, Baba-Jaga paaatrzy!

I znów Rennes-les-Bains. Tym razem nazwiska na tablicy upamiętniającej ofiary pierwszej wojny światowej. A wśród nich – Saint-Loup. Wilk.

Przypadek?

Wyciągnęła ręce nad głową, przeganiając chłód i nocne wspomnienia, po czym wróciła do lektury. Między rokiem tysiąc

osiemset siedemdziesiątym a osiemdziesiątym piątym doniesienia o zniknięciach i zgonach były bardzo liczne. Potem nastąpił okres względnego spokoju. Plotki ożyły jesienią tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego pierwszego. Ludzie wierzyli, że bestia, którą nazywali demonem, zamieszkała w wizygockim grobowcu, stojącym na terenie Domaine de la Cade. Przez kolejne sześć lat znów mówiło się o morderstwach i niewyjaśnionych porwaniach. Wszystko skończyło się jak nożem uciął w roku tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym siódmym. Autor sugerował, że zakończenie tego okresu jakoś wiązało się z faktem, że spłonęła część domu, a grobowiec został zniszczony.

Zamknęła książkę, zwinęła się w kłębek. Dopijając czekoladę, starała się uporządkować myśli, zrozumieć, co jej nie daje spokoju. Dziwne, że w książce poświęconej miejscowym wierzeniom nie znalazło się ani jedno słowo o tarocie. Autor musiał słyszeć o talii Bousqueta, która nie dość że przedstawiała miejscowe krajobrazy i została wydrukowana w tej okolicy, to jeszcze powstała w czasie, o którym była mowa w książce.

Pominał ten temat celowo?

Raptem znów poczuła znajomy chłód. Zagęszczenie powietrza. Wrażenie czyjejś obecności. Nie w samym pokoju, ale blisko. Przelotne dotknięcie.

–Leonie?

Podniosła się, sama nie wiedząc dlaczego, stanęła przy oknie. Odsunęła długą metalową zapadkę, pociągnęła do siebie skrzydła okna i pchnęła okiennice. Rześkie powietrze owionęło jej skórę, wycisnęło łzy z oczu. Wierzchołki drzew kołysały się. wzdychając do wtóru wiatrowi, który owiewał wiekowe pnie. Niespokojny świat niósł wspomnienie echa muzyki. Nuty dryfowały z nurtem bryzy. Przypominała się melodia tego miejsca.

Kątem oka Meredith dostrzegła jakieś poruszenie. Przyjrzała się uważniej i zobaczyła zwinną, wdzięczną postać w długim płaszczu, z naciągniętym na głowę kapturem. Postać dopiero co

wyłoniła się z cienia budynku. Dziewczynie wydawało się, że wiatr przybiera na sile. pędząc łukowatym przejściem w wysokim żywopłocie, otwierającym się na łąki. Na dalekim jeziorze widać było zmarszczki białych fal.

Ledwo naszkicowany kształt, czyste wrażenie, nieokreślona sylwetka trzymała się cienia, przemykając pod spojrzeniem bladego słońca, wychylającego się raz po raz spoza chmur rozrzuconych po różowym niebie. Zdawała się sunąć nad wilgotną trawą, pokrytą cieniutką warstewką rosy. W powietrzu unosił się zapach liści, wilgotnej ziemi, jesiennych ognisk. I kości.

Dziewczyna odprowadziła wzrokiem postać w długim płaszczu aż na brzeg jeziora. Tam zjawa się zatrzymała na niewielkim cyplu. Wtedy Meredith doznała przedziwnego uczucia: wzrok jej się nagle wyostrzył, jakby patrzyła przez obiektyw aparatu z potężnym zbliżeniem. Wydało jej się, że kaptur odstłonił dziewczęcą twarz. Błądą, idealnie symetryczną, o zielonych oczach, które niegdyś błyszczały jak najczystsze szmaragdy. Kolor bez barwy. Gęste miedziane loki spływały aż do wąskiej talii dziewczyny, ubranej w czerwoną sukienkę. Kształt bez formy. Spojrzała Meredith prosto w oczy, przekazując jej swoje nadzieje, obawy i oczekiwania.

A potem odpłynęła w las.

–Leonie? – szepnęła Meredith.

Jakiś czas czekała przy oknie, wpatrując się w miejsce po drugiej stronie jeziora, gdzie przed chwilą stała znajoma postać. Powietrze trwało nieruchomo. Nic nie drgnęło między cieniami.

Wreszcie zamknęła okno.

Jeszcze parę dni temu... Właściwie zaledwie kilka godzin temu byłaby wściekła. Bałaby się najgorszego. Zagładałaby do lustra i widziałaby w nim twarz Jeanette zamiast własnej.

Teraz już nie.

Nie wiedzieć jak i kiedy wszystko się zmieniło. Miała jasny umysł, czuła się doskonale. Niczego się nie obawiała. Wiedziała, że nie jest wariatką. Widzenia, czy może raczej odwiedziny, układały się w logiczny ciąg, jak melodia. Najpierw twarz pod mostem woda. Na drodze do Sougraigne -ziemia. Tutaj, w hotelu, zwłaszcza w tym pokoju, obecność była najsilniejsza. Powietrze.

Miecze, kolor powietrza, reprezentują świat myśli, inteligencję i rozum. Kielich to świat uczuć, powiązany z wodą. Denary, żywioł ziemi i świat materialny. Brakowało już tylko jednego koloru. Buław związanych z ogniem, energią i konfliktem.

„Karty znają prawdę”.

A może kwartet z przeszłości już został skompletowany? Zamknięty ogniem, który zniszczył część Domaine de la Cade przed stu laty?

Wzięła w rękę talię od Laury. Obejrzała uważnie każdą kartę po kolei, przyglądała się obrazkom jak poprzedniego wieczoru, bardzo chciała odkryć ich sekret. Kładąc je, jedną po drugiej na blacie, pozwoliła myślom błądzić swobodnie. Przypomniało jej się, co Hal opowiadał w drodze do Rennes-le-Chateau o tym, jak Wizygoci chowali swoich władców i szlachtę w ukrytych grobach, a nie na cmentarzach. W sekretnych komnatach pod korytami rzek.

Jeżeli oryginalna talia przetrwała pożar i nadal istnieje, ukryta bezpiecznie na terenie Domaine de la Cade, to gdzie, jeśli nie w dawnym wizygockim grobie? Grobowiec, o którym pisał Baillard, powstał mniej więcej w tym właśnie czasie. Jeżeli na terenie posiadłości płynęła rzeka, trudno o lepszą kryjówkę.

Słońce wreszcie przebiło się przez chmury.

Meredith ziewnęła. Była trochę mało przytomna, bo niewyspana, ale z drugiej strony, adrenalina zaczęła jej krążyć w żyłach. Zerknęła na zegarek. Hal powiedział, że pani O'Donnell przyjdzie o dziesiątej. Czyli za godzinę.

To dość czasu.

Hal stał pośrodku swojej sypialni w części hotelu, przeznaczonej dla obsługi, i myślał o Meredith.

Gdy pomógł jej zasnąć po nocnym koszmarze, sam całkowicie się rozbudził. Nie chciał zapalać światła, więc w końcu postanowił wrócić do siebie i przejrzeć notatki przed spotkaniem z Shelagh O'Donnell. Zamierzał być dobrze przygotowany.

Zerknął na zegarek. Dziewiąta. Jeszcze godzina do spotkania z Meredith.

Okna jego pokoju wychodziły na południe i wschód, otwierając widok na trawniki, jezioro na tyłach domu oraz kuchnię i teren gospodarczy. Właśnie jeden z portierów wyniósł do śmieci duży czarny worek, drugi palił papierosa, objąwszy się ramionami dla ochrony przed chłodem. Jego oddech wędrował białymi obłoczkami w czyste niebo.

Hal usiadł na parapecie. Po chwili wstat, żeby się napić wody, ale po drodze zmienił zdanie. Nie mógł sobie znaleźć miejsca. Nie powinien oczekiwać, że O'Donnell dostarczy mu odpowiedzi na wszystkie pytania. Miał jednak nadzieję uzyskać od niej informacje na temat nocy, gdy zginął tata.

Może pamiętała coś, co by zmusiło policję do potraktowania sprawy jako podejrzanego zdarzenia, a nie wypadku drogowego.

Przeczesał włosy palcami.

I znów w jego myślach pojawiła się Meredith. Może zabierze go do Stanów? Szalona myśl po drugim dniu znajomości, ale też dawno nie czuł czegoś takiego do jakiejś dziewczyny. A w zasadzie nigdy.

A w dodatku nic go właściwie nie zatrzymywało. Ani praca, ani

puste mieszkanie w Londynie. Mógł zamieszkać równie dobrze w Ameryce, jak gdziekolwiek indziej. I robić, co mu się żywnie spodoba. Będzie miał pieniądze. Przecież wuj zamierza odkupić jego udziały.

Oby tylko Meredith go zechciała.

Stał przy oknie, obserwując niespieszne życie hotelu. Założył ręce za głowę i ziewnął. Jakiś samochód toczył się wolno długim podjazdem. Gdy zahamował przed wejściem, wysiadła z niego wysoka, szczupła kobieta o ciemnych włosach. Od razu ruszyła do drzwi.

Dosłownie chwilę później zadzwonił telefon stojący na nocnej szafce. Eloise, recepcjonistka, oznajmiła, że oczekiwany gość właśnie przybył.

–Co?! – krzyknął Hal. – Godzinę wcześniej?

–Mam poprosić, żeby pani zaczekała?

–Nie, nie. To znaczy tak. Chwileczkę. Już schodzę.

Ściągnął marynarkę z oparcia krzesła, susami pokonał dwa biegi służbowych schodów. Na dole przystanął, wsunął ręce w rękawy i zadzwonił z interkomu.

Meredith zmieniła dresowe spodnie na dżinsy, włożyła bawełnianą koszulkę z długimi rękawami, a na nią beżowy sweter Hala. Stopy wsunęła w buty, chwyciła swoją ulubioną dżinsową kurtkę, szalik i parę wełnianych rękawic. Na dworze jeszcze z pewnością jest chłodno. Już położyła rękę na klamce, gdy zadzwonił telefon.

Dopadła go w dwóch susach.

Na dźwięk głosu Hala zrobiło jej się ciepło na sercu.

–Cześć, jak się masz – powiedziała. Odpowiedź była krótka i nie na temat.

–Już jest.

ROZDZIAŁ 85

–Kto, Leonie? – zająknęła się Meredith.

–Co? Nie. Pani O'Donnell. Już przyjechała. Czeka w recepcji. Możesz zejść?

Meredith rzuciła okiem przez okno. Wyprawa nad jezioro będzie musiała poczekać.

–Jasne. Będę za pięć minut.

Zdjęła sweter Hala, włożyła czerwony półgolf, przeczesła włosy i wyszła. Na podeście zatrzymała się, spojrzała w dół. Hal rozmawiał z wysoką ciemnowłosą kobietą, która wydała jej się znajoma. Chwilę potrwało, nim sobie przypomniała, gdzie się spotkały. Na Place des Deux Rennes, wieczorem tego dnia, gdy tu przyjechała, ta kobieta stała oparta o ścianę, paląc papierosa.

–Jaki ten świat mały – mruknęła pod nosem.

Hal rozpromienił się na jej widok.

–Cześć – przywitała go i cmoknęła w policzek. Następnie wyciągnęła

rękę do pani O'Donnell. – Nazywam się Meredith. Przykro mi, że musieliście na mnie czekać.

Kobieta zmrużyła oczy, najwyraźniej miała podobny kłopot, jak Meredith przed chwilą.

–Spotkałyśmy się w dniu pogrzebu – przypomniała dziewczyna. – Przed pizzerią.

–Tak? A, rzeczywiście.

–Powiem, żeby nam przynieśli kawę do baru – powiedział Hal.
– Tam będziemy mogli spokojnie porozmawiać.

Po drodze Meredith zadała pani O'Donnell kilka uprzejmych

pytań. Jak długo mieszka w Rennes-les-Bains, co ją łączy z tą okolicą, gdzie pracuje... Zwykle drobiazgi.

Od Shelagh O'Donnell biło nerwowe napięcie. Była chuda, miała niespokojne spojrzenie i ciągle pocierała czubkami palców o kciuk. Meredith dałaby jej nie więcej niż trzydzieści pięć lat, jednak, z drugiej strony, widoczne zmarszczki stanowczo ją postarzały. Sądząc po zachowaniu kobiety. nic dziwnego, że policja nie potraktowała poważnie jej zeznań na temat fatalnej nocy.

Usiedli przy tym samym stoliku w kącie, który zajmowali poprzedniego wieczoru. W dzień panowała tu zupełnie inna atmosfera. Niełatwo było przywołać wspomnienie wina i alkoholowych koktajli, w powietrzu unosił się zapach pasty do podłóg i woń świeżych kwiatów. Przy kontuarze czekała na rozpakowanie sterta pudeł.

–Merci – powiedział Hal, gdy kelnerka postawiła przed nimi tacę z kawą.

W ciszy napełnił filiżanki. O'Donnell podziękowała za mleko. Gdv

wsypywała cukier. Meredith dostrzegła blizny wokół nadgarstków, na które zwróciła uwagę przy pierwszym spotkaniu. Ponownie zaciekawiło ją, skąd się wzięły.

–Przede wszystkim – odezwał się Hal – chciałbym pani podziękować,

że zgodziła się pani ze mną porozmawiać.

Głos miał spokojny, robił wrażenie opanowanego.

–Znałam pańskiego ojca. Był dobrym człowiekiem. Niestety, raczej niewiele mam do powiedzenia.

–Rozumiem, ale byłbym wdzięczny, gdyby mimo wszystko zechciała mi pani poświęcić kilka chwil. Wypadek zdarzył się już ponad miesiąc temu, jednak ciągle mam wątpliwości co do

pewnych szczegółów śledztwa. To i owo mi się nie podoba. Mam nadzieję, że opowie mi pani o tamtej nocy. Policja twierdzi, że pani coś słyszała.

Shelagh zerknęła na Meredith, potem na Hala, wreszcie zapatrzyła się w przeszłość.

–Ciągłe twierdzą, że Seymour wypadł z drogi, bo był pijany?

–Właśnie z tym nie mogę się pogodzić. Moim zdaniem, nie usiadłby za kierownicą po alkoholu.

Shelagh wyciągała nitkę ze spodni. Była wyraźnie zdenerwowana.

–Jak pani poznała ojca Hala? – spytała Meredith. Chciała zyskać odrobinę zaufania kobiety.

Hal wydal się zdziwiony tym wtrętem, ale dziewczyna lekko pokręciła głową, więc się nie odezwał.

O'Donnell się uśmiechnęła. W tej jednej chwili stała się po prostu ładna. Tak by wyglądała, gdyby życie nie dało jej w kość.

–Wtedy na placu spytała mnie pani co znaczy bien-aime.

–Tak.

–Seymour był właśnie taki. Wszyscy go lubili. A jednocześnie poważali, nawet jeśli nie znali go dobrze. Zawsze był uprzejmy, grzeczny wobec kelnerek i sprzedawców, wszystkich traktował z szacunkiem, zupełnie inaczej niż... Urwała.

Meredith i Hal wymienili spojrzenia. Nie mieli wątpliwości, że Shelagh porównuje zmarłego z jego bratem, Julianem.

–Nie przyjeżdżał tu zbyt często podjęła szybko. Poznałam go, kiedy... Zamilkła, ukręcając guzik od żakietu.

–Tak? – zachęciła ją Meredith.

Shelagh westchnęła.

–Dwa lata temu przechodziłam dość trudny okres w życiu...

Pracowałam przy wykopaliskach niedaleko stąd. w Montagnes du Sabarthes. Wplątałam się w nieprzyjemną sprawę. Podjęłam niewłaściwą decyzję. – Przygryzła wargę. – Jednym słowem, od tamtego czasu nie było mi łatwo. Mam kłopoty ze zdrowiem, więc mogę pracować tylko kilka godzin w tygodniu, robię wyceny w ateliers w Couizie. – Odetchnęła głębiej. – Przeniosłam się do Rennes-les-Bains mniej więcej półtora roku temu. Niedaleko stąd, w Los Seres, mieszka z mężem i córką moja przyjaciółka.

–Znam nazwę tej wioski – wtrąciła Meredith. – Stamtąd pochodził pisarz Audric S. Baillard.

Hal uniósł brwi pytająco.

–Właśnie czytałam jego książkę – wyjaśniła dziewczyna. – Pewnie twój tata kupił ją na vide-grenier.

Uśmiechnął się, szczęśliwy, że zapamiętała.

–Tak, tak. Alice była z nim zaprzyjaźniona. – Oczy Shelagh pociemniały. – Ja też go poznałam.

Halowi najwyraźniej coś się przypomniało, ale nadal nie przerywał.

–Miałam kłopoty – ciągnęła O'Donnell – za dużo piłam. – Podniosła wzrok na Hala. – Pańskiego ojca poznałam w barze. A dokładnie, w Couizie. Czułam się bardzo zmęczona, pewnie wtedy też wypłam jednego za dużo. Zaczęliśmy rozmawiać... Był bardzo miły, wyraźnie się o mnie martwił. Chciał mnie odwieźć do Rennes-les-Bains. Bez żadnych podtekstów. Zgodziłam się. Następnego dnia zajrzał do mnie i razem pojechaliśmy do Couizy po mój samochód. – Pokiwała głową. – Nigdy nie rozmawialiśmy o tamtym wieczorze, ale zawsze jak przylatywał tu z Anglii, zaglądał do mnie na parę chwil.

Pani zdaniem – odezwał się Hal – nie wsiadłby za kierownicę, gdyby coś wypił?

Shelagh skrzywiła się lekko.

–Głowy bym za to nie dała, ale jakoś trudno mi to sobie wyobrazić.

Meredith, słuchając ich, nie mogła się pozbyć wrażenia, że oboje są naiwni. Ludzie często mówią jedno, a robią drugie. Z drugiej strony, ewidentna sympatia i szacunek, jakim Shelagh darzyła ojca Hala, robiły wrażenie.

–Hal dowiedział się od policjantów, że pani słyszała wypadek, tylko

nie zorientowała się w niczym aż do rana – odezwała się cicho. – Czy tak to właśnie było?

Shelagh drżącą ręką podniosła kawę do ust, upiła kilka łyków, po czym ze stuknięciem odstawiła filiżankę na spodeczek.

Szczerze mówiąc, sama nie wiem, co słyszałam. I czy to wszystko razem miało ze sobą cokolwiek wspólnego.

–Jak to?

–Coś słyszałam. Ale nie pisk hamulców albo opon, jak wtedy gdy kierowcy zbyt szybko wchodzą w zakręt. Raczej jakiś hurgot. – Lekko wzruszyła ramionami. – Słuchałam Johna Martyna, „Solid Air”. To dość spokojna płyta, ale i tak nic by do mnie nie dotarło zza okna. gdyby nie to. że hałas wszedł mi akurat między dwoma nagraniami.

–O której to było?

–Okolo pierwszej. Wyjrzałam przez okno, ale nic nie zobaczyłam. Było całkiem ciemno. I zupełnie cicho. Przyjęłam, że ktoś pojechał dalej. Dopiero rano, jak zobaczyłam policję i ambulans, zaczęłam się zastanawiać, czy to przypadkiem nie było to.

Hal najwyraźniej nie miał pojęcia, do czego zmierza pani O'Donnell, Meredith natomiast szybko złapała, o co chodzi.

–Zaraz, zaraz – powiedziała. – O ile dobrze panią zrozumiałam, nie

było widać świateł, tak?

Shelagh kiwnęła głową.

–Mówiła pani o tym na policji?

Hal przeskakiwał wzrokiem z jednej na drugą.

–Nie bardzo rozumiem, dlaczego to takie ważne.

–Może ważne, a może nie – ciągnęła Meredith. – Ale dziwne. Po pierwsze, nawet jeśli twój tata wsiadł za kółko po kieliszku, nie zrozum mnie źle, nie mówię, że tak było, ale nawet gdyby, to naprawdę prowadziłby bez świateł?

Hal ściągnął brwi, zastanawiając się nad tą kwestią.

–Lampy się potłukły – zasugerował.

–Jasne, mogły. Ale wcześniej mówiłeś, że samochód nie był mocno uszkodzony. A poza tym dowiedziałeś się od policji, że pani O'Donnell słyszała pisk hamulców, opon i tak dalej, zgadza się?

Kiwnął głową.

Tymczasem okazuje się, że w zasadzie nic takiego nie słyszała.

–Nadal nie rozu...

–Dwie sprawy. Po pierwsze, dlaczego raport policji jest niezgodny z prawdą? Po drugie, choć przyznaję, to tylko domysły, jeśli twój ojciec faktycznie stracił panowanie nad kierownicą i wypadł z zakrętu, to powinien spowodować całkiem przyzwoity rumor, no i powinno być coś widać. Nie chce mi się wierzyć, że wszystkie lampy natychmiast się potłukły.

Wyraz twarzy Hala uległ zmianie.

–Mówisz mi, że samochód mógł zostać zepchnięty?

–Jest to jakieś wyjaśnienie.

Dłuższy czas patrzyli jedno na drugie. Role się odwróciły.

Teraz Hal był nastawiony sceptycznie, Meredith budowała teorię.

–Jeszcze coś – odezwała się Shelagh.

Oboje zwrócili się do pani O'Donnell, o której prawie zapomnieli.

–Jakieś pół godziny później słyszałam drugi samochód. Z powodu tego poprzedniego hałasu wyjrzałam przez okno.

–I...?-zachęcił ją Hal.

–Niebieski peugeot. Kierował się na południe, w stronę Sougraigne. Rano uświadomiłam sobie, że skoro to było już po wypadku, mniej więcej o wpół do drugiej, to jeżeli jechał z miasta, musiał zobaczyć rozbity samochód w rzece. A więc dlaczego nie zawiadomił o tym policji?

Meredith i Hal znów popatrzyli po sobie. Oboje pomyśleli o samochodzie stojącym na parkingu dla obsługi.

–Skąd pani wie, że to był niebieski peugeot? – zapytał Hal obojętnym tonem. – Przecież było ciemno.

Jeżdżę takim samym. Zresztą tutaj większość ludzi ma takie samochody. A poza tym – dodała – przed moim domem stoi latarnia, więc widziałam.

–Co na to policja?

–Nie dopatrzyli się w tym niczego istotnego. – Zerknęła na drzwi. – Bardzo przepraszam, ale muszę się już zbierać. – Wstała.

Meredith i Hal także się podnieśli.

–Proszę pani – odezwał się Hal, wkładając ręce do kieszeni – bardzo

chciałbym panią przekonać, żebyśmy razem pojechali na komisariat w Couizie. Opowiedziałyby tam pani to, co teraz nam.

Shelagh pokręciła głową.

–Czyja wiem... Złożyłam zeznanie.

–Tak, tak, wiem. Ale gdybyśmy pojechali razem... Widziałem raport. Nie ma w nim większości tego, o czym pani powiedziała. – Przesunął ręką po włosach. – Chętnie panią zawiozę. – Wbił w nią spojrzenie niebieskich oczu. – Chcę dociec prawdy. Jestem to winien ojcu.

Shelagh znalazła się w trudnej sytuacji. Najwyraźniej wolałaby w ogóle trzymać się z daleka od policji. W końcu jednak sympatia dla ojca Hala wzięła górę. Kobieta zdecydowanie kiwnęła głową.

Hal odetchnął z ulgą.

–Dziękuję pani – powiedział. – Bardzo pani dziękuję. Podjadę o dwunastej, dobrze? Będzie pani miała czas wszystko sobie przypomnieć. Czy tak będzie dobrze? Ta godzina pani odpowiada?

O'Donnell skinęła głową raz jeszcze.

–Mam teraz kilka spraw do załatwienia... dlatego przyjechałam wcześniej. Ale o jedenastej będę w domu.

–Świetnie. A gdzie pani mieszka?

Na koniec wszyscy troje uścisnęli sobie ręce i w niezręcznym milczeniu, które nie dziwiło w tych okolicznościach, wrócili do holu. Tam Meredith skręciła na schody, a Hal odprowadził panią O'Donnell do samochodu.

Żadne z trojga nie usłyszało cichego kliknięcia, gdy domknęto drzwi, oddzielające bar od biur na tyłach budynku.

ROZDZIAŁ 86

Julian Lawrence miał przyśpieszony oddech. Krew waliła mu w skroniach. Wpadł do gabinetu, z hukiem zatrzasknąwszy drzwi, aż zadzwoniło szkło na półkach.

Przeszukał kieszenie marynarki, znalazł papierosy i zapalniczkę. Ręce tak mu drżały, że nie mógł trafić płomieniem w koniec papierosa. Komisarz, co prawda, wspomniał, że ktoś złożył zeznania, Angielka, niejaka Shelagh O'Donnell, ale podobno nic nie widziała. Nazwisko wydało mu się wtedy znajome. Wiedział, że dzwonią, tylko nie wiedział, w którym kościele. Dopóki policja nie traktowała jej poważnie, sprawa nie wydawała się istotna. Powiedzieli mu, że kobieta jest ivrogne, pijaczką.

Nawet dziś rano, kiedy zjawiała się w hotelu, nie od razu dodał dwa do dwóch. Przyczał się w biurze za barem, bo rozpoznał tę kobietę jako pracownicę jednego z antykwariatów w Couizie. Spodziewał się, że będą rozmawiali o tarocie Bousqueta. Co za ironia losu!

Dopiero kiedy zaczął słuchać, zorientował się, skąd zna nazwisko O'Donnell. W lipcu dwa tysiące piątego zdarzył się wypadek na terenie wykopalisk w górach Sabarthes, ta kobieta miała z nim coś wspólnego. Szczegółów sobie nie przypominał, ale pamiętał, że kilka osób zginęło. między innymi znany miejscowy autor, którego nazwisko również uleciało mu z głowy. Co i tak było bez znaczenia.

Znaczenie miał natomiast fakt, że O'Donnell widziała samochód. Raczej trudno byłoby dowieść, kto jest jego właścicielem, bo w okolicy było dużo pojazdów identycznych z peugeotem Juliana, ale mimo wszystko taki szczegół mógł się okazać jęczyciem u wagi. Policja nie traktowała Angielki jako poważnego świadka, jeśli jednak Hal będzie dalej naciskał.

wszystko może się zmienić.

Mało prawdopodobne, by O'Donnell powiązała peugeota z Domaine de la Cade, w przeciwnym razie nie przyjechałaby tutaj na rozmowę. Mimo wszystko ryzyko istniało. Wcale nie małe.

Trzeba coś wymyślić. Trzeba coś zrobić. Sytuacja stała się krytyczna, podobnie jak w wypadku niezdrowej ciekawości Seymoura. Julian podniósł wzrok na malowidło nad biurkiem. Stary symbol z tarota, oznaczający nieskończone możliwości. A on czuł się schwytyany w pułapkę. Pozbawiony jakiegokolwiek alternatywy.

Na półce pod obrazem znajdowały się przedmioty odkryte podczas wykopalisk na terenie posiadłości. Najwyraźniej zrujnowany grobowiec był rzeczywiście jedynie tym, na co wyglądał, stertą kamieni i niczym więcej. Natomiast poszukiwania zakrojone na nieco szerszą skalę zaowocowały kilkoma drobiazgami. Był między nimi dość kosztowny, choć uszkodzony zegarek, ozdobiony inicjałami A. V. oraz srebrny wisiołek z dwiema miniaturami w środku. Oba przedmioty wydobyto z grobów nad brzegiem jeziora.

Juliana nie obchodziła terażniejszość. Nie miał głowy do rozwiązywania problemów. Liczyła się tylko przeszłość. Musiał koniecznie odnaleźć karty.

Podszedł do stojaka na butelki i dla uspokojenia nerwów nalał sobie brandy. Wychylił szklaneczkę jednym haustem, spojrzał na zegarek.

Piętnaście po dziesiątej.

Zdjął marynarkę z haka na drzwiach, wrzucił do ust miętówkę, chwycił kluczyki i wyszedł.

ROZDZIAŁ 87

Hal próbował umówić się przez telefon z odpowiednią osobą z komisariatu w Couizie, by przekazać ustalenia pani O'Donnell, więc Meredith nie chciała mu przeszkadzać. Cmoknęła go w policzek i tyle. Podniósł rękę, bezdźwięcznie powiedział: „do zobaczenia”, i skupił się na rozmowie telefonicznej.

Meredith zapytała przemiłą recepcjonistkę, gdzie mogłaby pożyczyć łopatę. Eloise, nie dając po sobie poznać, że ta dziwaczna prośba zrobiła na niej jakiegokolwiek wrażenie, podsunęła jej myśl, żeby spytała ogrodnika.

–Dziękuję – rzekła z uśmiechem dziewczyna. Okręciła szyję szalikiem i przeszklonymi drzwiami wyszła na taras.

Poranna mgielka już wyschła, lecz na trawie wciąż błyszczała srebrna rosa. Cały świat skąpany był w ciepłym złotym blasku, spływającym z nieba naznaczonego zaledwie kilkoma różowymi i białymi obłoczkami.

Mocny zapach ognisk, w których palono liście, zawsze jej się kojarzył z Halloween. Głęboko wciągnęła w płuca woń, która nieodmiennie przenosiła ją w czasy dzieciństwa, gdy razem z Mary z namaszczeniem wycinały w dyniach upiorne twarze, podświetlone od środka. Potem przygotowywały kostium, w którym Meredith, razem z całą grupą dzieci, biegała od domu do domu, wołając: „Frykas albo psikus!”. Zwykle była przebrana za ducha, ukryta pod białym prześcieradłem z dwiema dziurami na oczy i przerażającą twarzą, wymalowaną czarnym flamastrem.

Lekkim krokiem zbiegła ze schodów na żwirową ścieżkę.

Ciekawe, co Mary teraz robi.

Głupie pytanie. W Stanach minęła właśnie piąta piętnaście, więc Mary z pewnością śpi. Może warto by później do niej

zadzwoń, życzyć szczęśliwego Halloween.

Ogrodnika nie znalazła, lecz natknęła się na jego taczki, w których zostawił różne narzędzia. Po chwili wahania zdecydowała się na mały rydel leżący na stercie liści. Wetknęła go do kieszeni.

Wybierała się nad jezioro. Na cypel.

Miała wrażenie, że idzie krok w krok za postacią, którą widziała z okna.

Widziała czy tylko sobie wyobraziła?

Raz i drugi obejrzała się przez ramię na hotel, nawet przystanąła, ciekawa, które to jej okno i czy rzeczywiście mogła widzieć to, co uznała, że widzi, z takiej odległości.

Ominęła jezioro z lewej strony, w pewnym momencie zeszła ze ścieżki i wspięła się nieco pod górę, po trawiastym zboczu, prosto na cypelek. Dokładnie naprzeciwko hotelu. Czyste szaleństwo, ale była przekonana o swojej racji. Dokładnie w tym miejscu stała tamta dziewczyna.

Leonie.

Wytwór wyobraźni.

Znajdowała się tam kamienna ława w kształcie sierpa księżycy, lśniąca od rosy. Meredith przetarła ją rękawiczkami, usiadła. Jak zawsze, gdy widziała głębszą wodę, jej myśli dryfowały ku Jeanette. Wracła świadomość tragicznej decyzji. Obraz matki, z kieszeniami pełnymi kamieni, wchodzącej do jeziora Michigan. Całkiem jak Virginia Woolf O tym Meredith dowiedziała się w gimnazjum. Jej matka pewnie nigdy.

Teraz jednak ze zdziwieniem stwierdziła, że jest całkiem spokojna. Owszem, jak zwykle przy takich okazjach, myślała o matce, lecz serce jej się nie ścisnęło z żalu, nie miała poczucia winy ani nie było jej wstyd. W tym niezwykłym miejscu, sprzyjającym refleksji, pograżyła się w spokojnym zamyśleniu. Niedaleko, na wierzchołkach drzew, krakały wrony, z grubego

żywoplotu nieco dalej dobiegały ptasie trele, a ona siedziała, oddzielona od budynku hotelu, choć doskonale go widziała – i napawała się chwilą.

Wreszcie postanowiła ruszyć dalej. Przecież jeszcze dwie godziny wcześniej nie mogła się doczekać, kiedy zacznie szukać ruin grobowca. Teraz znalazła na to czas. Hal będzie miał pełne ręce roboty. Nie wróci wcześniej niż o pierwszej.

Wyjęła telefon, sprawdziła, czy ma zasięg. Jak najbardziej. Mimo to po chwili namysłu wsunęła aparat z powrotem do kieszeni. Jeżeli Hal będzie czegoś od niej potrzebował, zna numer.

Ostrożnie stąpając po śliskiej trawie, wróciła na zwirową ścieżkę. Teraz mogła skręcić w prawo, obejść jezioro dookoła i wrócić do hotelu, albo w lewo, i pójść dosyć zarośniętym szlakiem, prowadzącym do bukowego lasu.

Skręciła w lewo. Nie minęło kilka minut, a znalazła się między drzewami. Kręta dróżka prowadziła ją przez miękkie plamy słońca aż do krzyżówki, gdzie w różne strony wiodło kilka szlaków, wszystkie podobne do siebie. Jedne biegły wyraźnie pod górę, inne zdawały się schodzić ku dolinie. Skoro zamierzała odnaleźć wizygocki grobowiec, a potem szukać ukrytych kart, logicznie rzecz biorąc, powinna stawiać raczej na miejsce zapomniane i odludne. W przeciwnym razie talia zostałaaby znaleziona dawno temu.

Ruszyła wobec tego ścieżką wiodącą do wąskiej przecinki. Po paru minutach zbocze dziwacznie się zapadło. Szła teraz po zupełnie innym podłożu. Musiała zwolnić i uważać na każdy krok. bo luźne kamienie uciekały jej spod stóp. A tam, gdzie były przysypane suchymi gałęziami i szyszkami, spadało wszystko razem. Wreszcie stanęła na kamiennej platformie, przywodzącej na myśl most. Spod niego wychodziła brązowa wstęga. przecinająca leśną zielen.

W oddali, na zboczu przeciwległego wzgórza, widać było

grupkę me-galitów, wielkich kamieni, odcinających się szarością od jesiennych barw lasu. Hal pokazywał jej te głązy w drodze do Rennes-le-Chateau.

Nagle dotarło do niej, że z tego miejsca widać chyba wszystkie charakterystyczne punkty krajobrazu. Fotel Diabła, Diabli Staw. nazywany inaczej benitier, Rogatą Górę. Mało tego, z łatwością wyszukała wszystkie tła z talii tarota.

Grobowiec zbudowano w czasach wizygockich. Może wobec tego w okolicy znajdowały się inne miejsca pochówku? Rozejrzała się uważnie dookoła. Niby las jak las. Ale ta brązowa wstęga... wyglądała na wyschnięte koryto rzeki!

Zejszła żadnego Meredith nie znalazła, więc z duszą na ramieniu przykucnęła na brzegu naturalnego mostu i spuściła nogi za krawędź. Zawisała na łokciach, odepchnęła się, spadła. Nie było wysoko. Ledwie zadrżało jej serce, a już stopy dotknęły ziemi. Z rozpędu poleciała na kolana, podparła się dłońmi, ale od razu wstała. Ostrożnie ruszyła po kamieniach przysypanych cienką warstwą ziemi, śliskich, jakby były powleczone szronem. Jednocześnie usiłowała przyglądać się okolicy, szukała czegoś szczególnego.

Z początku las wydawał jej się jednolity, z wszędzie jednakowo spletanym poszyciem, w cieniu ociekającym rosą. Ale nieco dalej, tuż przed ostrym zakrętem koryta, zwróciła uwagę na płytkie wgłębienie. Podeszła bliżej. Tkwił tam szeroki płaski kamień, obrosnięty korzeniami drzew i krzewami jałowca o ostrych igłach i fioletowych jagodach. Wgłębienie z pewnością nie pomieściłoby wizygockiego grobu, ale kamień tak czy inaczej nie pasował do tego miejsca. Meredith zrobiła kilka zdjęć aparatem z komórki.

Podeszła blisko, szarpnęła kępę ściółki. Cienkie gałązki były elastyczne i mocne, ale zdołała odsunąć je na tyle, by zajrzeć w zieloną wilgoć.

Natychmiast skoczył jej poziom adrenaliny. Zobaczyła krąg

ułożony z ośmiu kamieni. Skądś znała ten wzór. Tylko skąd? Zmrużyła oczy, poszperała w myślach. Tak. Ten sam kształt miała korona z gwiazd na ilustracji przedstawiającej La Force. A na dodatek krajobraz był dokładną kopią tła z tej karty.

Niecierpliwie zanurzyła dłonie w liściach. Szlam, błoto, porosty natychmiast przesiąkły przez wełniane rękawiczki. Wyjęła największy z kamieni. Otarła go do czysta.

Coś podobnego!

Pięcioramienna gwiazda obwiedziona kołem. Znak wymalowany smołą albo czarną farbą.

Symbol denarów. Koloru skarbu.

Zrobiła jeszcze kilka zdjęć, odłożyła kamień na bok. Wyciągnęła z kieszeni łopatkę i zaczęła kopać, zawadzając o kawałki łupku i kamienie. Gdy wyciągnęła jeden z większych, przyjrzała mu się uważnie. Wyglądał na dachówkę. Tylko skąd dachówka tak daleko od domu? Ciekawe.

Metal stuknął o coś większego.

Oby tylko niczego nie uszkodzić. Odrzuciła narzędzie, dalej kopała rękami, odgarniając na boki błoto i różne mieszkające pod ziemią robaki, mnóstwo czarnych żuczków. Zdjęła rękawiczki. Palce były jej oczami.

W końcu wymacała grubą, nawoskowaną tkaninę. Wetknęła głowę pod gałązki, ostrożnie rozsunęła na boki ciemne rogi i zobaczyła kuferek o precudnym lakowanym wieczku, inkrustowanym masą perłową. Mogła to być szkatułka na biżuterię albo skrzynka na materiały do robótek ręcznych, tak czy inaczej Meredith z pewnością miała do czynienia z przedmiotem pięknym i kosztownym. Na wieku znajdowały się dwa inicjały z mosiądzu. Zmatowiały i przerdzewiały, ale widać je było wyraźnie.

L.V

Leonie Vernier. Nikt inny.

Uchyliła wieko. A jeśli w środku rzeczywiście są karty? Co by to miało znaczyć? Czy w ogóle chciała je zobaczyć?

Nagle zawładnęło nią przemożne wrażenie samotności. Odgłosy lasu, jeszcze przed chwilą stłumione i przyjazne, teraz wydały się uciążliwe, nawet groźne. Wyjęła z kieszeni komórkę, sprawdziła godzinę.

Może zadzwonić do Hala?

Chętnie by usłyszała jakiś ludzki głos. Bardzo chętnie. Zwłaszcza jego głos.

Nie, jednak nie.

Nie chciała mu przeszkadzać podczas spotkania z policją. Po chwili namysłu wysłała SMS i natychmiast tego pożałowała. To się nazywa „działania zastępcze”. Do roboty.

Opuściła wzrok na zdobiony kuferek.

„Karty znają prawdę”.

Otarła spocone dłonie o džinsy. Powoli uniosła wieko.

Pudełko było pełne nitek, wstążek i włóczek. Po wewnętrznej stronie pokrywy tkwiły igły i szpilki. Niecierpliwie, palcami lekko zeszywniałymi z zimna, wyciągnęła garść motków i szpulek. Wetknęła dłoń do środka. Rozgarnęła na boki jakąś tkaninę.

Tak.

To one. Zobaczyła rewers wierzchniej karty. Zieleń z delikatnym wzorem splecionych złotych i srebrnych nici. Tylko tutaj kolor był bledszy, najwyraźniej malowany pędzelkiem, a nie drukowany. Przeciągnęła po karcie palcem. Szorstka. Raczej

pergamin, a nie karton powleczony plastikiem.

Meredith zebrała w sobie całą odwagę. Policzyła do trzech i odwróciła kartę.

Spojrzała na nią własna twarz. Karta numer XI. La Justice.

Przypatrywała się obrazkowi, a w jej głowie rodził się szept. Zupełnie inny niż głosy, które prześladowały jej matkę. Miękki, miły głos, znany ze snu. Zatrzepotał między konarami jesiennych drzew.

„Tutaj, w tym miejscu, czas odpływa ku wieczności”.

Meredith wstała.

W zasadzie powinna zabrać karty do hotelowego pokoju. Obejrzeć je w przyzwoitych warunkach, z notesem pod ręką i laptopem pod drugą. Porównać z reprodukcją.

Tyle że znów usłyszała głos Leonie. Na zakręcie czasu cały świat skurczył się w tym jednym miejscu. Zapach ziemi, piasek za paznokciami, wilgoć przesiąkająca w kości.

Ale czuła, że to nie jest to miejsce.

Bo coś ją wołało głębiej między drzewa. Wiatr się wzmagął, przybierał na sile, niósł coś więcej niż odgłosy lasu. Muzykę. Słyszalną i niesłyszalną zarazem. Pasma melodii w szeleście opadłych liści, w stukaniu bukowych gałązek, w pieśni wiatru. Pojedyncze nuty, żałobne zawodzenie w tonacji minorowej.

A w głowie słowa prowadzące do zrujnowanego grobowca.

Aici lo tenis s'en va res l'Eternitat.

Julian zostawił samochód na parkingu na przedmieściach Rennes-les-Bains. Nie zamknął go solidnie, tylko zatrzasnął

drzwiczki. Wolnym krokiem przeszedł na Place des Deux Rennes, przeciął go po skosie i wszedł w uliczkę, gdzie mieszkała ta cała O'Donnell.

Zrobiło mu się gorąco, więc rozluźnił krawat. Im dłużej myślał o ostatnich wypadkach, tym bardziej się martwił. A przecież chciał tylko znaleźć karty. Nie mógł tolerować niczego, co by mu w tym przeszkadzało, co by go wstrzymywało. Nic mu nie przeszkodzi.

W zasadzie nie zastanawiał się, co jej powie. Wiedział tylko, że nie pozwoli jej jechać z Halem na komisariat.

Skręcił za róg i od razu ją zobaczył. Siedziała po turecku na niskim murku, oddzielającym jej ogród od pustej drogi, ciągnącej się wzdłuż rzeki. Palila papierosa i gwałtownie machała rękami. Rozmawiała przez telefon.

Co ona tam znowu gada?

Zatrzymał się, raptem dziwnie oszołomiony. Już słyszał jej głos. zgrzytliwy akcent, płaskie samogłoski. Jednostronna konwersacja, stłumiona pulsowaniem krwi w uszach.

Krok bliżej.

O'Donnell wstała, przeszła na taras. Pochyliła się i gwałtownym ruchem zgasiła papierosa w srebrnej popielniczce. Przysiadła na niskiej ławie.

Usłyszał kilka słów.

–Muszę opowiedzieć o samochodzie.

Julian oparł się ręką o ścianę. W ustach miał sucho, do tego cierpki, przykry smak. Musiał się napić. Bezmyślnie potoczył spojrzeniem dookoła. Jego wzrok padł na gruby kij, wystający z żywopłotu. Chwycił, pociągnął.

A tamta ciągle gadała, kłamstwo za kłamstwem.

Lepiej niech się zamknie.

Zamachnął się i przyrznął jej z całej siły. Trafił w głowę.

Shelagh O'Donnell krzyknęła.

Uderzył drugi raz, żeby przestała wrzeszczeć.

Przewróciła się na bok.

Wreszcie zapadła cisza.

Julian rzucił kostur. Jakiś czas stał bez ruchu, jak obrócony w kamień. Potem dotarło do niego, co zrobił. Przerażony, nie do końca wierząc własnym oczom, kopnął kij pod żywopłot i puścił się biegiem.

CZĘŚĆ XI Grobowiec

Listopad 1891 – październik 1897

ROZDZIAŁ 88

Domaine de la Cade Niedziela, 1 listopada 1891

Anatol został pochowany na terenie majątku. Miejscem jego ostatniego spoczynku stał się cypel na jeziorze, z którego widać było dom i dolinę. Złożono go w zielonym cieniu, niedaleko kamiennej ławy w kształcie półksiężyca, na której często siadywała Izolda.

Skromną uroczystość poprowadził proboszcz Sauniere. Grupka żałobników była niewielka: Leonie, prowadzona przez Audrica Baillarda, maitre Fromilhague i madame Bousquet.

Izolda pozostała w sypialni, w ogóle nieświadoma, że odbywa się pogrzeb. Zamknięta we własnym cichym świecie, oderwanym od rzeczywistości, nie miała pojęcia o upływie czasu, jakby się dla niej zatrzymał albo zawarł całe życiowe doświadczenie w jednej minucie. Skurczył się do czterech ścian pokoju. Odróżniała światło od ciemności, wiedziała, że czasem pali ją gorączka, a niekiedy ogarnia lodowaty chłód, lecz wciąż pozostawała na granicy dwóch światów, otulona woalem, którego nie potrafiła zerwać.

Ta sama grupa pożegnała doktora Gabignaud na cmentarzu parafialnym w Rennes-les-Bains, choć tym razem towarzystwo było większe, przyszli także ludzie, którzy znali i lubili młodego lekarza. Mowę wygłosił doktor Courrent, chwając pracę zmarłego,

żarliwość, z jaką ją wykonywał, i poczucie obowiązku.

Tego samego dnia Leonie, otępiała z żalu i przytłoczona odpowiedzialnością, która niespodziewanie spadła na jej młode barki, zamknęła się w Domaine de la Cade. Życie potoczyło się utartą koleją, mijały kolejne dni, podobne do siebie jak dwie krople wody.

Wczesny śnieg spowił bielą las bukowy, trawniki oraz park. Jezioro zamarzło, lodowe zwierciadło odbijało niskie, ciemne chmury.

Nowy medyk, który pojawił się w miejsce Gabignauda, asystent doktora Courrenta, codziennie przyjeżdżał z miasta sprawdzać, czy Izolda powraca do zdrowia.

–Madame Vernier ma dziś bardzo szybki puls – mawiał ciężkim głosem, zdejmując z szyi stetoskop i pakując do czarnej skórzanej torby wszelkie przybory lekarskie. Obawiam się, że proces zdrowienia potrwa długo. Smutek nie pozwala jej walczyć o powrót do świata.

W grudniu zima rozpanoszyła się na dobre. Z północy nadciągnęły zawieruchy niosące grad, który ostrymi falami wrzynał się w dach i okna domu.

Dolina Aude skostniała. Ci, którym zabrakło dachu nad głową, jeśli mieli szczęście, znajdowali schronienie u sąsiadów. Bydło głodowało na polach, wołom gnily kopyta oblepione marznącym błotem. Lód ściał nawet rzeki. Drogi były nieprzejezdne. Brakowało jedzenia, dla ludzi i dla zwierząt. Coraz częściej niosło się w powietrzu zawołanie dzwonów, gdy zakrystian oznajmiał światu, iż po śliskich, zdradzieckich drogach ksiądz niesie Chrystusa do łoża śmierci kolejnego grzesznika. Wydawało się, że wszystko, co żywe, jedno po drugim zwyczajnie przestanie

istnieć. Zostanie tylko zimno i ciemność.

W kościele parafialnym w Rennes-les-Bains proboszcz Boudet odprawiał msze za zmarłych, dzwony niosły żałobną nutę. W Coustaussie proboszcz Gelis otworzył drzwi plebanii dla bezdomnych. Sauniere, w Rennes-le-Chateau wygłaszał kazania o złu nawiedzającym okolicę i nakłaniał wiernych, by szukali zbawienia w łonie jedyne go prawdziwego Kościoła.

W Domaine de la Cade ludzie, choć wstrząśnięci jesiennymi wydarzeniami i własnym w nich udziałem, dawali sobie radę. Ponieważ Izolda stale była niedysponowana, za panią domu uznali Leonie. Niestety, z dziewczyną też nie działało się najlepiej. Marieta z niepokojem obserwowała, jak smutek odbiera panience apetyt i powleka jej twarzyczkę bladością. Oczy dziewczyny straciły blask. Odwaga jednak została. Leonie stale pamiętała o obietnicy złożonej Anatolowi, o tym, że ma się opiekować Izoldą oraz dzieckiem – i zamierzała dotrzymać słowa.

Victor Constant został oskarżony o zamordowanie Marguerite Vernier w Paryżu, zabójstwo Anatola Verniera w Rennes-les-Bains i próbę zabójstwa Izoldy Vernier, po pierwszym mężu Lascombe. Prowadzono także śledztwo dotyczące ataku na prostytutkę w Carcassonne. Jeśli chodzi o inne sprawy, interesujące policję, przyjęto bez zagłębiania się w szczegóły, iż doktor Gabignaud, Charles Denarnaud oraz trzecia, nieznana osoba, także współnik fatalnego przedsięwzięcia, zostali pozbawieni życia na polecenie Victora Constanta, choć nie on pociągnął za cyngiel.

Miejska socjeta nie była zachwycona wieściami o skrytym ślubie Izoldy i Anatola, choć bardziej oburzał fakt, iż związek został zawarty w pośpiechu, niż to, że Anatol był siostrzeńcem pierwszego męża panny młodej. Z czasem miało się wszystko ułożyć i nowe stosunki w Domaine de la Cade zostały wreszcie zaakceptowane.

Sterta drewna pod ścianą zmywalni topniała niebezpiecznie

szybko. Izolda nie sprawiała wrażenia osoby zdrowiejącej, głównie gdy chodziło o kwestie umysłowe, bo dziecko w jej brzuchu rozwijało się bez przeszkód. W sypialni pani Vernier dzień i noc płonął ogień.

Słońce wychodziło na krótko. Ledwo zdążyło rozjaśnić niebo, nie sięgając ziemi, a już ciemność na nowo spowijała świat.

Uwięziona w smutku Izolda stała na granicy dwóch światów: świata żywych i świata umarłych. Bezustanny szept myśli przekonywał ją, że jeśli przekroczy tę cienką linię, na słonecznej polanie odnajdzie ukochanego, Anatola, skąpanego w miękkim blasku. Nie ma się czego bać. W chwilach, które przynosiły jej ukojenie, pragnęła śmierci. Chciała do niego dołączyć. Nie pozwalało jej umrzeć dziecko, które postanowiło się narodzić.

Pewnego posępnego popołudnia, niczym się nieróżniącego od dni, które minęły, ani tych, co miały nadejść, Izolda odzyskała czucie w kończynach. Najpierw w palcach. Wrażenie było subtelne, ledwo zauważalne. Ot, automatyczna reakcja, bez szczególnego bodźca. Mrowienie pod paznokciami w kształcie migdałów. Potem łaskotanie w stopach. I szczypanie skóry na karku.

Chora poruszyła dłonią. Ręka okazała się posłuszna jej woli.

Następnie, po raz pierwszy od bardzo długiego czasu, ścichły nieustanne szepty w głowie. Usłyszała zwykły dźwięk, obecny w każdym domu: szurnięcie nóg krzesła po podłodze. Czysty, wyraźny, niezniekształcony przez czas ani światło. Dotarł do jej świadomości bez żadnych przeszkód.

Ktoś się nad nią nachylił, poczuła na twarzy ciepły oddech.

–Madama?

Niezdarnie, z wysiłkiem uniosła powieki, zmrużyła oczy porażone jasnością.

Dotarł do niej tupot spiesznych kroków, szczęknięcie klamki szybko otwieranych drzwi, wołanie na korytarzu, smugi dźwięku

podnoszącego się z holu, coraz mocniejsze, pewniejsze.

–Madomaisela Leonie! Madama s'eveille!

Potem jakiś hałas, chłodne palce na dłoni. Wolniuteńko obróciła głowę na bok i zobaczyła rozmazaną twarz kuzynki.

–Leonie?

–Palce się zacisnęły.

–Tak. to ja.

–Leonie... – Głos miała słaby. – Anatol...

Rekonwalescencja Izoldy przebiegała bardzo wolno. Pani Vernier wstawiała, chodziła, podnosiła widelec do ust, ale światło w jej oczach zgasło. Zanurzona w smutku, pozostawała stale nieobecna. Wszystko, czego dotknęła, na co spojrzała, budziło w niej bolesne wspomnienia.

Większość wieczorów spędzała w towarzystwie Leonie, w salonie, rozmawiając o Anatonu. Smukłe dłonie opierała na rosnącym brzuchu. Opowiadała o miłości. Od pierwszego spotkania po decyzję o strasznym oszustwie na Cimetiere de Montmartre. O radości, jaką im dało zawarcie małżeństwa.

Niestety, obojętne, o czym opowiadała, bez względu na to, co wspominała, baśń o miłości nieodmiennie kończyła się źle.

Nareszcie zima minęła. Śnieg stopniał, choć jeszcze w lutym szron powlekał ranki ostrą bielą.

W Domaine de la Cade dwie kobiety trwały pogrążone w smutku, osierocone wpatrywały się w cienie na trawnikach. Mało kto je odwiedzał. Czasem zajrzał Audric Baillard, kiedy indziej

madame Bousquet, nieprzeciętna kobieta. Choć za sprawą ożenku Jules'a Lascombe'a straciła prawa do majątku, okazała się dobrą sąsiadką i wierną przyjaciółką.

Monsieur Baillard przywoził niekiedy wieści o policyjnych poszukiwaniach Victora Constanta, który zniknął z Hotel de la Reine w Rennes-les-Bains pod osłoną ciemności, jeszcze trzydziestego pierwszego października. Więcej go we Francji nie widziano.

Pytano o niego w różnych uzdrowiskach, specjalizujących się w leczeniu określonych dolegliwości, oraz azylach przyjmujących mężczyzn w jego stanie, poszukiwania jednak nie przyniosły rezultatu. Państwo starało się przejąć jego własność. Wyznaczono cenę za głowę mordercy. Wszystko na nic.

W dniu dwudziestym piątym marca, w rocznicę upozorowanego pogrzebu Izoldy, Leonie otrzymała list od inspektora Thourona. Policjant zawiadamiał ją, że Constant najprawdopodobniej uciekł z kraju, być może do Andory lub Hiszpanii, wobec czego zawieszono poszukiwania. Zapewniał jednocześnie, iż gdyby uciekinier kiedykolwiek pojawił się we Francji, zostanie natychmiast aresztowany i ścięty. Co za tym idzie, madame i mademoiselle Vernier nie powinny się już obawiać jakichkolwiek działań z jego strony.

Pod koniec marca, gdy nawrót zimy na kilka dni zatrzymał domowników w czterech ścianach, Leonie, sama nie wiedząc jak i kiedy, napisała do dawnego przyjaciela Anatola, sąsiada z rue de Berlin, Achille'a Debussy'ego. Choć wiedziała, iż od jakiegoś czasu używa on imienia Claude, nie potrafiła się do niego zwracać w ten sposób.

Korespondencja rozkwitła niespodziewanie bujnie. Z jednej strony, wypełniała dziewczynie pustkę smutnych dni, z drugiej, co ważniejsze, pozwalała czuć się bliżej brata. Achille opisywał, co się działo w mieście, które niegdyś było domem Vernierów, przekazywał najświeższe plotki: kto się z kim pokłócił, o

rywalizacji w Akademii, o autorach faworyzowanych i tych, co się znaleźli w niełasce, o kompozytorach pogardzanych, o skandalach i romansach.

Dziewczyna nie dbała o świat, teraz dla niej tak odległy i całkiem obcy. ale listy Debussy'ego przypominały jej rozmowy z Anatolem. Czasami, gdy wracał do domu po nocy spędzonej z Achille'em, choćby w Le Chat Noir, wchodził do pokoju siostry, z rozmachem rzucał się na stary fotel w nogach łóżka i opowiadał. A ona, z kołdrą podciągniętą pod samą brodę, słuchała chciwie.

Debussy pisał głównie o sobie, strona za stroną snuło się jego pajęczne pismo, przenosząc na papier wieści, dzięki którym Leonie znajdowała wytchnienie od codziennych kłopotów. Czasem nawet pojawiał się na jej twarzy uśmiech, jak choćby wówczas, gdy czytała o niedzielnej wyprawie Debussy'ego z przyjaciółmi ateistami do kościoła Saint-Gervais. Wybrali się tam posłuchać chórów gregoriańskich. Siedli wyzywająco, plecami do ołtarza, obrażając w ten sposób zarówno księdza pełniącego obowiązki gospodarza, jak i wszystkich zgromadzonych.

Leonie nie mogła opuścić Izoldy, ale nawet gdyby sama sobie pozwoliła wyjechać, myśl o powrocie do Paryża sprawiała jej ból. Za wcześnie było na taką decyzję. Na jej prośbę Achille i Gaby Dupont regularnie składali kwiaty na grobie Marguerite, na cmentarzu de Passy w szesnastym ar-rondissement. Kwatera opłacona przez Du Ponta w ostatnim geście szczodrości, znajdowała się blisko miejsca ostatniego spoczynku malarza, Edouarda Maneta, w spokojnym, ocienionym zakątku. Zdaniem Leonie, matka byłaby zadowolona, gdyby wiedziała, że spocznie w takim towarzystwie.

Kwiecień nadciągnął jak generał na pole bitwy. Głośny, agresywny, wojowniczy. Przepędził nad szczytami gór zastępy szarych chmurzysk. Dni się wydłużyły, ranki wstawały jaśniejsze. Marieta naszykowała przybory do szycia i zaczęła wstawianie plis w chemises Izoldy i poszerzanie spódnic, by je dopasować do coraz krągłej szych kształtów pani.

Spod zaskorupiałej ziemi wystrzeliły pierwsze kwiaty, fioletowe, białe i różowe płatki otwierały się pod dotknięciem słońca. Z czasem na tle zieleni przybywało barwnych plamek, przywodzących na myśl kropelki ska-pujące z pędzla.

Wkrótce nieśmiało, na paluszkach, pojawił się maj. Przyniósł ze sobą obietnicę dłuższych letnich dni, plam słońca na spokojnym lustrze wody. Leonie dość często bywała w Rennes-les-Bains. Odwiedzała pana Baillarda lub pijała herbatę w salonie Hotel de la Reine, w towarzystwie madame Bousquet. Przed modnymi domami pojawiły się kanarki w klatkach. Zakwitły drzewka pomarańczowe i cytrynowe, przepelniając powietrze wonią świeżości. Na każdym rogu stali przekupnie, oferujący z drewnianych wózków świeże owoce, przywiezione z drugiej strony gór, z Hiszpanii.

Domaine de la Cade nagle rozkwitła pełnią wdzięku. I wreszcie zaczęło się lato. Czerwiec rozświetlił białe szczyty Pirenejów.

Achille pisał z Paryża, że maitre Maeterlinck zgodził się na przedstawienie w formie muzycznej swojego najnowszego dramatu, zatytułowanego „Peleas i Melisanda”. Przy którejś okazji przysłał egzemplarz „Pogromu” pana Zoli. Akcja powieści toczyła się latem roku tysiąc osiemset siedemdziesiątego, w czasie wojny francusko-pruskiej. Debussy dołączył krótką notkę, w której stwierdzał, że książka zainteresowałaby Anatola tak samo jak jego, również syna skazanego komunarda. Leonie brnęła przez powieść z niemałym trudem, lecz nie przeszkadzało jej to docenić gestu przyjaciela.

Nie pozwalała sobie na myślenie o kartach tarota. Talia była nieodłącznie związana z tragicznymi wydarzeniami w wieczór zaduszny i choć dziewczyna nie umiała przekonać proboszcza Sauniere'a, by jej opowiedział o tym, co widział i co zrobił dla jej wuja. pamiętała ostrzeżenie pana Baillarda: Asmo-deusz, wcielenie demona, nawiedzał doliny, gdy nastawały złe czasy. Co prawda, nie wierzyła w takie przesady, a w każdym razie tak sobie powtarzała, jednak nie chciała ryzykować sprowokowania

nawrotu fali nieszczęść.

Spakowała niedokończony cykl obrazów. Zbyt boleśnie przypominały brata i matkę. Le Diable i La Tour pozostały ledwie zaczęte. Nie wróciła też na polanę otoczoną jałowcami. Nie chciała odwiedzać miejsca, gdzie odbył się pojedynek, w którym Anatol stracił życie. Na samą myśl o tym serce jej się krajało.

Bóle porodowe zaczęły się wcześniej rano, w piątek, dwudziestego czwartego czerwca, w dzień świętego Jana Baptysty.

Monsieur Baillard dzięki rozległej sieci znajomych i przyjaciół zapewnił Izoldzie towarzystwo sage-femme ze swojej rodzinnej wioski, Los Seres. Położna również zjawiała się na czas.

W porze obiadu poród był już mocno zaawansowany. Leonie robiła ciotce chłodne kompresy na czoło i co jakiś czas otwierała okna, by wpuścić do pokoju świeże powietrze, a wraz z nim zapach jałowców i kapryfo-lium. Marieta zwilżała usta pani gąbką namoczoną w słodkim białym winie z miodem.

Przed wieczorem Izolda bez żadnych komplikacji wydała na świat zdrowego, ślicznego chłopca o imponująco pojemnych płucach.

Leonie miała nadzieję, że narodziny dziecka rozpoczną u ciotki proces powrotu do pełnego zdrowia. Że stanie się ona mniej bierna i apatyczna, mniej krucha, nie tak zamknięta i oddzielona od otaczającego ją świata. Właściwie wszyscy mieszkańcy domu oczekiwali, że dziecko, potomek Anatola, obudzi w Izoldzie miłość i da jej cel istnienia, którego tak bardzo potrzebowała.

Niestety, jakieś trzy dni później na Izoldę padł czarny cień.

Owszem, pytała o zdrowie i kondycję swojego syna, lecz jednocześnie z wyraźnym trudem walczyła o to, by nie popaść w ten sam stan izolacji, który dotknął ją bezpośrednio po śmierci Anatola. Małeńki synek, skóra zdjęta z ojca. bardziej przypominał jej. co straciła, niż nadawał sens życiu.

Umówiono mamkę.

Lato mijało, a u Izoldy próżno by szukać jakichkolwiek objawów poprawy. Na pytania odpowiadała zawsze uprzejmie, spełniała obowiązki wobec syna, gdy jej o nich przypomniano, ale poza tym żyła w swoim własnym świecie, prześladowana głosami, które słyszała tylko ona.

Tymczasem Leonie zakochała się w bratanku bez pamięci. Louis-Anatole był dzieckiem o pogodnej naturze, po ojcu dostał smoliście czarne włosy i długie rzęsy wokół przejrzyste szarych oczu, odziedziczonych po matce. W towarzystwie rozpromienionego i roześmianego dziecka zapominała, niekiedy nawet na kilka godzin, o rodzinnej tragedii.

Nastał gorący lipiec, za nim przyszedł rozpalony sierpień. Leonie od czasu do czasu budziła się rano z uczuciem przypominającym nadzieję. Chodziła wtedy lekkim krokiem, póki nie wróciła do niej pamięć przeszłych zdarzeń i nie spadły na nią znów dawne cienie. Tylko miłość i zdecydowanie, by uchronić syna Anatola od kłopotów, pomagały jej odzyskać ducha.

ROZDZIAŁ 89

Jesień tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego drugiego niepostrzeżenie zmieniła się w kolejną wiosnę. Po Constance w dalszym ciągu nie było śladu. Leonie pozwoliła sobie uwierzyć, że umarł, choć z wdzięcznością przyjęłaby potwierdzenie swoich domysłów.

Sierpień tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego trzeciego roku był suchy i gorący jak afrykańska pustynia. Potem nadciągnęły ulewy, które zatopiły całą Langwedocję, odsłoniły długo ukryte jaskinie, różne cachettes, zasłonięte mułem i ziemią.

Achille Debussy nadal regularnie pisał. W grudniu przysłał życzenia świąteczne oraz wiadomość, że Societe Nationale de Musiäue ma przedstawić podczas koncertu muzykę do „Popołudnia fauna”, całkiem nowego baletu, planowanego najpierw jako pierwszy z trzech fragmentów. Gdy czytała żywy opis bożka na polanie, oczyma wyobraźni zobaczyła miejsce, gdzie dwa lata wcześniej odszukała karty do tarota. Przez chwilę kusił ją, by tam wrócić i sprawdzić, czy talia nadal jest na miejscu.

Nie sprawdziła.

Bardziej niż aleje i bulwary Paryża jej świat ograniczał bukowy las na wschodzie, długi podjazd od północy i trawniki na południu. Podtrzymywała ją jedynie miłość do chłopczyka i ogromna sympatia dla pięknej, chorej kobiety, którą przyrzekła się opiekować.

Louis-Anatole szybko stał się ulubieńcem służby oraz mieszkańców miasta. Zyskał sobie przydomek pichon, czyli maleńki. Wyrastał na dziecko psotne, lecz zawsze czarujące. Bez przerwy zadawał pytania, bardziej w tym podobny do ciotki niż zmarłego ojca, lecz w przeciwieństwie do niej umiał także

uważnie słuchać. Gdy podrósł nieco, zaczął w towarzystwie Leonie przemierzać ścieżki Domaine de la Cade. Kiedy indziej Pascal uczył go łowić ryby i pływać. Od czasu do czasu Marieta pozwalała mu wylizać misę po cieście i drewniane łyżki po suflecie malinowym czy puddingu czekoladowym. Stawał wtedy na wysokim krzeselku, zapartym o blat kuchennego stołu, niepewnie balansując, osłonięty sztywnym białym fartuchem pokojówki, sięgającym mu do kostek. Marieta

asekurowała go od tyłu, żeby na pewno nie spadł, i uczyła wyrabiać ciasto na chleb.

Gdy Leonie zabierała go do Rennes-les-Bains, najbardziej lubił przesiadywać w kawiarence, którą sobie upodobał Anatol, przy stoliku na zewnątrz. Chłopiec o czarnych rozwichrzonych lokach, ubrany w białą fal-baniastą koszulę i orzechowobrązowe aksamitne spodenki, ściągnięte ciasno pod kolanami, siedział ze zwisającymi nogami na za wysokim dla niego drewnianym krześle. Popijał sok wiśniowy albo ze świeżo wyciskanych jabłek i zjadał lody czekoladowe.

Na trzecie urodziny dostał od madame Bousquet bambusową wędkę. Na Boże Narodzenie maitre Fromilhague przysłał mu pudło żołnierzyków. Przy okazji złożył świąteczne życzenia Leonie.

Chłopiec był częstym gościem w domu Audrica Baillarda, chętnie słuchał żywych opowieści o czasach średniowiecznych o honorze i o chevaliers broniących niepodległości południa przed najeźdźcami z północy. Najbardziej lubił historię oblężenia Carcassonne w tysiąc dwieście dziewiątym roku, pasjonowały go losy mężczyzn, kobiet i niewiele od niego starszych dzieci, którzy uciekli do ukrytych wiosek Haute Vallee.

Gdy skończył cztery lata, monsieur Baillard podarował mu replikę średniowiecznego miecza z grawerowaną rękojeścią, na której widniały inicjały chłopca. Od Leonie dostał bułanego kucyka z gęstą białą grzywą i ogonem oraz białą gwiazdą na

pysku; konika pomógł wybrać jeden z licznych krewniaków Pascala. Przez całe gorące lato Louis-Anatole był chevalier, dzielnym rycerzem, walczącym z Francuzami, albo zwycięzcą kolejnych potyczek, zrzucając bańki wieszane przez Pascala na drewnianym płocie. Z okna salonu Leonie obserwowała zabawy chłopca, przypominając sobie, jak sama, będąc jeszcze dzieckiem, popatrywała na Anatola bawiącego się w chowanego lub wspinającego na drzewa w Parc Monceau – z tym samym uczuciem podziwu i zazdrości.

Louis-Anatole okazał się utalentowany muzycznie. Pieniądze wyrzucone na lekcje gry na fortepianie dla młodego Anatola zaprocentowały w jego synu. Leonie zatrudniła nauczyciela z Limoux. Raz w tygodniu profesor przyjeżdżał psim wózkiem, donośnie turkoczącym na długim podjeździe, powiewając białym szalikiem, w spiętych pończochach i z rozwichrzoną brodą. Przez dwie godziny szkolił chłopca w palcówkach i gamach. Co tydzień, żegnając się, przypominał, by Leonie przypilnowała chłopca, żeby codziennie ćwiczył, postawiwszy na dłoniach szklanki z wodą, co miało poprawić uderzenie. Uczeń i opiekunka zgodnie kiwali głowami, przez dzień lub dwa pamiętali o profesorskich naukach, ale gdy woda się rozlewała, mocząc chłopcu aksamitne bryczesy i szerokie spódnice dziewczyny, nieodmiennie wybuchali śmiechem i zaczęli grać hałaśliwe duety.

Louis-Anatole często grywał własne kompozycje, eksperymentując ze wszystkich sił. Leonie stawała wtedy na podeście u szczytu schodów i słuchała wpadających w ucho melodyjek, spływających spod dziecinnych

palców. Niezależnie od tego, jak zaczynał, zwykle szybko przechodził w tonację a-moll. Wtedy dziewczyna myślała o pergaminie z nutami, który przed wiekami, zdawałoby się, zabrała z grobowca. Tkwił teraz w stołku przy pianinie. Zadawała sobie pytanie, czy aby nie powinna go stamtąd wyjąć, ale obawiając się jego mocy i wpływu na Domaine de la Cade, zawsze odkładała decyzję na później.

Izolda nadal tkwiła w mrocznym świecie wspomnień, krążąc po korytarzach i pokojach niczym bezcielesna zjawa. Odzywała się rzadko, nieodmiennie zatopiona w myślach, jednak zawsze najmiłsza dla syna i służby. Tylko wówczas, gdy zaglądała w szmaragdowe oczy Leonie, zapalała się w niej jakaś iskra. Wtedy na ułamek sekundy żal i smutek przesłaniały jej wzrok, a potem znowu spadał na nią płaszcz ciemności. Bywały też lepsze dni, gdy Izolda wydobywała się z mroku, jak ciepłe słońce zza chmur. Niestety, głosy zawsze wracały, a wtedy przyciskała dłonie do uszu i szlochała, Marieta zaś delikatnie prowadziła ją do sypialni o przesłoniętych oknach, gdzie pani domu znów czekała na lepszą chwilę. Okresy spokoju stawały się coraz krótsze. Izolda coraz głębiej zanurzała się w ciemnościach, zawsze błędząc myślami przy Anatolu.

Louis-Anatole akceptował ją taką, jaka była. Innej nie znał.

Nie takie życie wyobrażała sobie Leonie. Tęskniła za miłością, za światem, chciała być sobą. Ale też kochała bratanka bez pamięci, a ciotce współczuła serdecznie, więc tym bardziej zdecydowana była dotrzymać słowa danego bratu i nie zawahała się w wypełnianiu obowiązków.

Miedziano-purpurowa jesień ustąpiła przed zimowymi chłodami, śnieg okrył grób Marguerite Vernier w Paryżu. Przyszła kolejna wiosna, niebo rozjaśniło się złotem, pastwiska zaczęły zielenieć, a na skromnej mogile Anatola, nad brzegiem jeziora w Domaine de la Cade, dzikie róże puściły młode pędy.

Ziemia, powietrze, woda i ogień. Niezmienny wzór natury.

Między Bożym Narodzeniem a początkiem nowego, tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego siódmego roku spokój się skończył. Pojawiły się znaki ostrzegawcze. Nadciągało zło.

W Quillan chłopak od kominiarza spadł z dachu i skręcił kark. W Esperazie, w fabryce kapeluszy, wybuchł pożar, w ogniu zginęły cztery hiszpańskie robotnice. W atelier rodziny Bousquet gorąca prasa drukarska wciągnęła czeladnikowi rękę. Stracił cztery palce prawej dłoni.

Leonie zaczęła się niepokoić nieco później, gdy monsieur Baillard zajrzał do Domaine de la Cade z przykrą wiadomością, iż musi na jakiś czas opuścić Rennes-les-Bains. Rozpoczęły się miejscowe targi zimowe, w Brenac dziewiętnastego stycznia, dzień później w Campagne-sur-Aude. a dwudziestego drugiego w Belvianes. Miał odwiedzić te miejscowości, a następnie wybrać się w góry. Oczywiście przesłaniała mu troska, lecz wzywałygo dawne zobowiązania, zbyt długo odkładane. Dał Leonie słowo, że wróci przed świętym Marcinem, przed listopadowymi ustaleniami w majątku, a ona nie pytała o przyczyny, choć przerażała ją perspektywa tak długiej nieobecności nieformalnego opiekuna. Dawno zrozumiała, że nie sposób go odwieść od raz powziętego zamiaru.

Po raz kolejny uświadomiła sobie, jak mało wie o tym serdecznym przyjacielu i niezłomnym obrońcy. Nie potrafiła nawet określić, ile on ma lat. Louis-Anatole twierdził, że przynajmniej siedemset, bo skąd by znał tyle różnych opowieści?

Zaledwie kilka dni po wyjeździe Audrica Baillarda w Rennes-les-Bains wybuchł skandal. Renowacja kościoła, prowadzona pod okiem Saunier'a, dobiegła końca. We wczesnych zimowych miesiącach tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego siódmego dostarczono rzeźby zamówione u specjalnego producenta w Tuluzie. Między innymi benitier, kropielnicę. Spoczywającą na barkach zdeformowanego demona. Podniosły się głosy sprzeciwu, ludzie twierdzili, że ta oraz inne rzeźby nie nadają się do domu bożego. Do merostwa i biskupstwa trafiły listy protestacyjne, w tym także anonimy. Żądano w nich pociągnięcia proboszcza do odpowiedzialności. A w niektórych domagano się, by zabronić duchownemu kontynuowania poszukiwań na

cmentarzu.

Leonie nie wiedziała o prowadzonych nocą badaniach wokół kościoła, nie dotarły do niej plotki, że Sauniere spędza czas między zmierzchem a świtem na przemierzaniu pobliskich gór, szukając skarbu. Nie angażowała się w coraz głośniejsze rozważania na temat czystości intencji księdza, nie przyłączała się do coraz donośniejszego chóru skarg na duchownego, którego uważała za człowieka oddanego sprawom parafii. Jej niepokój wypływał ze świadomości, że niektóre rzeźby stanowiły dokładne kopie postaci, znanych jej z grobowca. Jakby ktoś przemyślnie kierował Sauniere'em, najpewniej po to, by mu przysporzyć kłopotów.

Dziewczyna wiedziała, że proboszcz widział wewnątrz grobowca za życia jej wuja. Dlaczego ćwierć wieku później miałyby kopiować figury, które swego czasu spowodowały tak wiele zła, nie rozumiała. A pod nieobecność Audrica Baillarda nie miała z kim się podzielić obawami.

Niezadowolenie rozlewało się po Rennes-les-Bains i całej dolinie. Pojawiły się pogłoski, że kłopoty, z jakimi borykało się miasto przed jakimś czasem, powróciły. Ludzie plotkowali o tajemniczych podziemnych przejściach, łączących Rennes-le-Chateau i Rennes-les-Bains, o wizygockich grobowcach. Pojawiły się zarzuty, że -jak poprzednio - Domaine de la Cade jest siedliskiem dzikiej bestii, zbierającej siły do ataku. Z obejść znikwały psy i kozy, nawet wół padł ofiarą ataku czy to wilków, czy górskich kotów, które zdawały się nie obawiać ani pułapek, ani myśliwskich strzelb. Ludzie szeptali o potworze, który gwałci prawa natury.

Choć Pascal i Marieta robili, co w ich mocy, by pogłoski nie dotarły do uszu Leonie, ich wysiłki były z góry skazane na niepowodzenie. Jedna czy druga złośliwa plotka sięgnęła celu. Nikt nikogo o nic głośno nie oskarżył, ale podskórny prąd drążył skałę, narastały żale pod adresem Domaine de la Cade, mieszkańców posiadłości oraz służby.

Nie udało się zidentyfikować źródła dokuczliwych plotek, z dnia na dzień przykrzejszych. Gdy zima odeszła, a na świat zawitała chłodna, wilgotna wiosna, zarzuty o nadnaturalne wydarzenia w Domaine de la Cade przybrały na sile. Coraz częściej widywano duchy i demony, satanistyczne rytuały, odprawiane pod osłoną ciemności w grobowcu. Wracały mroczne dni z czasów Jules'a Lascombe'a. Ludzie, zgorzkniali i zawistni, przypominali wydarzenia, jakie miały miejsce w przeddzień Wszystkich Świętych, twierdząc, iż rachunki nie zostały wyrównane, że za minione grzechy powinna zostać wymierzona kara.

Na przydrożnych kamieniach pojawiały się malowane smołą pentagramy i stare zaklęcia, zapomniane słowa w pradawnym języku, mające chronić przed złością demona, który znów przemierzał dolinę. W lesie, na ołtarzach, uformowanych przez naturę, składano ofiary wotywno z kwiatów i wstążek.

Któregoś popołudnia, gdy Leonie siedziała z bratankiem w jego ulubionym miejscu, pod platanes na Place du Perou, posłyszała rzucone ostro zdanie:

–Lou Diable se ris.

–Diabeł się śmieje.

W innych okolicznościach Leonie dałaby sobie rękę uciąć, że źródłem plotek jest Victor Constant. Zganiła siebie za takie podejrzenia.

Constant nie żył. Tak właśnie uważała policja. Z pewnością był martwy. Bo w przeciwnym razie dlaczego miałby im darować nieomal sześć lat spokoju?

ROZDZIAŁ 90

Carcassonne

Gdy lipcowa spiekota powlokła zielone pastwiska między Rennes-le-Chateau i Rennes-les-Bains miedzianymi brązami, Leonie postanowiła ruszyć się z Domaine de la Cade choć na chwilę. Bardzo potrzebowała odmiany.

Niesamowite historie na temat majątku pojawiały się coraz częściej. Atmosfera w miasteczku zgęstniała do tego stopnia, że przy ostatniej tam wizycie dziewczyna postanowiła więcej nie przyjeżdżać, jeśli tylko będzie miała jakiegokolwiek inne wyjście. Zamiast uśmiechów i ciepłych słów witała ją cisza ciężka od podejrzeń. Nie było sensu narażać chłopca na takie nieprzyjemności.

Zbliżał się dzień fete nationale. Częścią obchodów święta narodowego, obchodzonego czternastego lipca, rocznicy zdobycia Bastylji w roku tysiąc siedemset osiemdziesiątym dziewiątym, miał być pokaz ogni sztucznych na terenie średniowiecznej cytadeli w Carcassonne. Leonie nie odwiedziła miasta od pamiętnej fatalnej wizyty z Izoldą i Anatolem, ale dla ukochanego bratanka zdołała odsunąć na bok strach i złe przeczucia. Zaplanowała wycieczkę do miasta, jako nieco spóźniony prezent urodzinowy.

Postanowiła przekonać Izoldę, by wybrali się we troje. Ciotka czuła się ostatnio dużo gorzej, zdawało jej się, że ktoś za nią chodzi, ktoś ją obserwuje z drugiego brzegu jeziora, widziała twarze pod wodą i dym w lesie, choć nikt nie rozpałał ognia. Dziewczyna nie chciała jej zostawiać w Domaine de la Cade samej na dłuższy czas, nawet pod serdeczną opieką Mariety.

–Ciociu, pojedź z nami – rzekła cicho, gładząc Izoldę po dłoni.

– Dobrze ci to zrobi. Wyjdiesz trochę na słońce. – Lekko ścisnęła jej palce. – Bardzo bym chciała, żebyśmy się wybrali razem. Louis-Anatole też. Trudno o wspanialszy prezent urodzinowy dla malca. Proszę cię, pojedź z nami.

Izolda podniosła na nią spojrzenie przejrzystych szarych oczu. Zdawało się, że przebija z nich ogromna mądrość, choć równocześnie nic nie widzą.

–Skoro chcesz – odezwała się czystym głosem – pojedę. Leonie była tak zdumiona, że zamarła w bezruchu. A potem objęła ciotkę serdecznie i uścisnęła mocno. Poczowała wtedy wyraźnie, przez gorset i suknię, że z Izoldy zostały dosłownie skóra i kości. Nieważne. Zgodziła się, choć tak naprawdę trudno było tego oczekiwać. Wspaniale. Cudowny znak, że ciotka, ukochana Izolda, wreszcie jest gotowa zmierzyć się z przyszłością. Stawić czoło życiu. Poznać swojego ślicznego synka.

Wyruszyli do Carcassonne w pięcioro.

Marieta dbała o potrzeby swojej pani, Pascal zajmował chłopca opowieściami o bohaterskich dokonaniach francuskich żołnierzy w Afryce, w Dahomeju i na Wybrzeżu Kości Słoniowej. Z taką pasją mówił o pustyniach, o grzmiących wodospadach, o tajemniczym świecie, zagubionym na niezbadanym płaskowyżu, że Leonie podejrzewała, iż pełnymi garściami czerpał wiedzę z powieści pana Juliusza Verne'a, zamiast ze stron gazet. Louis-Anatole rewanżował mu się historiami zasłyszczanymi od pana Bail-larda. Podróż minęła w satysfakcjonującej obie strony atmosferze zaciętych walk i rozlewu krwi.

Dotarli na miejsce czternastego lipca w porze lunchu. Zakwaterowali się w pensjonacie w dzielnicy Bastide, tuż przy

katedrze Saint-Michel, bardzo daleko od hotelu, w którym przed sześciu laty mieszkali we troje: szczęśliwa Izolda, Anatol i Leonie. Po południu Leonie z bratankiem zwiedzali miasto. Malec chłonał nieznane cuda szeroko otwartymi oczami. Pozwoliła mu zjeść stanowczo zbyt dużo lodów.

Wrócili do pensjonatu około piątej, Izolda leżała na kanapie przy oknie wychodzącym na ogrody przy Boulevard Barbes. Leonie z przykrością zrozumiała, że ciotka nie wybiera się z nimi, by podziwiać sztuczne ognie.

Nic nie powiedziała, mając nadzieję, że się myli, lecz kiedy nadszedł czas wyjścia na wieczorny spectacle, rzeczywiście usłyszała od Izoldy, iż nie czuje się na siłach wejść w tłum. Louis-Anatole nie był rozczarowany, ponieważ tak naprawdę wcale się nie spodziewał towarzystwa mamy. Tymczasem Leonie pozwoliła sobie na niezwykle u niej odruch irytacji, że nawet przy takiej specjalnej okazji Izolda nie zdobędzie się na poświęcenie dla swojego syna.

Zostawiając Marietę do opieki nad panią, Leonie i Louis-Anatole wyszli z Pascalem. Spectacle został zaplanowany i opłacony przez miejscowego przedsiębiorcę, pana Sabatiera, twórcę aperitif L'Or-Kina oraz likieru Micheline, znanego jako La Reine des Liqueurs, który rzeczywiście królował wśród likierów południa Francji. Pokaz miał być eksperymentem; jeśli odniesie sukces, w następnym roku spodziewano się większego i bardziej spektakularnego. Sabatier był wszechobecny. Spoglądał z ulotek reklamowych, które Louis-Anatole ścisnął w rączkach, z pamiątek i upominków, z plakatów rozklejonych na ścianach budynków.

Wraz z nadejściem zmroku na prawym brzegu Aude. w quartier Tri-valle, na odbudowanych murach obronnych la Cite, zaczął rosnać tłum. Dzieci i służba, sprzedawczynie i pucybuci obstąpili kościół Saint-Gimer, gdzie swego czasu Leonie schroniła się przed burzą i gdzie poznała Victora Constanta. Nie chciała o tym myśleć.

Na lewym brzegu rzeki ludzie zbierali się przed Hópital des Malades. W krótkim czasie nie było gdzie szpilki wcisnąć. Dzieci wspinały się na mur obok kaplicy Saint-Vincent-de-Paul. W dzielnicy Bastide ludzie gromadzili się przy Porte des Jacobins i wzdłuż nadbrzeża. Nikt nie wiedział, czego dokładnie się spodziewać.

–No, w górę, pichon – powiedział Pascal, sadzając sobie chłopca na ramionach.

We trójkę, z Leonie, zajęli miejsca na Pont Vieux, wciśnięci w jedną z kanciastych becz – nisz w kamiennym obrzeżu mostu. Leonie szepnęła w ucho bratanka, jakby powierzała mu wielką tajemnicę, że ponoć biskup Carcassonne ma wyjść ze swojego pałacu, by być świadkiem hucznej republikańskiej uroczystości.

Powoli zapadły ciemności. Zrobiło się późno. Z pobliskich restauracji wysypali się goście, którzy skończyli kolację, tłum na moście zgęstniał. Leonie z niepokojem spoglądała na bratanka, niepewna, czy nie powinien raczej położyć się spać oraz czy go nie przestraszy hałas i zapach prochu strzelniczego. Tymczasem na twarzy chłopca malował się wyraz skupienia i oczekiwania, podobny do tego, jaki widywała u Achille'a, gdy siadał przy fortepianie, by komponować.

Uśmiechnęła się do wspomnień, nareszcie zdolna czerpać z nich przyjemność bez obojętności i poczucia straty.

Embrassement de la Cite, pokaz, na który wszyscy czekali, rozpoczął się bez ostrzeżenia. Średniowieczne mury zalała rzeka czerwonych i pomarańczowych płomieni, iskier i dymów we wszystkich kolorach tęczy. Kolejne rakiety, jedna za drugą, strzelały w nocne niebo i wysoko nad głowami gapiów eksplodowały feerią barw.

Po zboczu wzgórza spęzła chmura cierpkiego zapachu prochu, szczypiąc w nosy i drażniąc oczy, lecz wspaniałość imprezy wynagrodziła zgromadzonym wszelkie niedogodności.

Niebo czerwieniało, powlekało się zielenią lub rozbłyskiwało bielą, czerwone fajerwerki ustępowały miejsca złotym, cytadela zatonała w jaskrawym świetle.

Leonie poczuła na ramieniu zaciśniętą rączkę bratanka. Przykryła ją dłonią. Może to nowy początek? Może wreszcie smutek, który przez długi czas rządził jej życiem, wreszcie ustąpi i pozwoli spojrzeć w przyszłość z nadzieją.

–A l'avenir – szepnęła, powtarzając toast, jaki Anatol wzniósł przy śniadaniu w Paryżu tego dnia, gdy zapadła decyzja o wyjeździe do Domaine de la Cade.

–A l'avenir, ciociu – powtórzył Louis-Anatole. – Jeśli będę grzeczny -zapytał – przyjedziemy za rok?

Pokaz się skończył, ludzie wracali do domów. Pascal niósł rozespanego chłopca. W pensjonacie Leonie ułożyła bratanka do snu. Przyniosła mu, że jeszcze niejedną raz zabierze go na podobną imprezę, ucałowała chłopca na dobranoc i wyszła, zostawiając – jak zawsze – zapaloną świecę, która broniła dostępu duchom, diabłom i nocnym potworom. Dziewczyna ledwo trzymała się na nogach, cały dzień myślała o bracie, stale przygnieciona ciężarem winy z powodu roli, jaką odegrała, doprowadzając do niego Victora Constanta. Teraz emocje opadły, przyszło zmęczenie.

Chciała spokojnie spać. Zmieszała środek nasenny z ciepłą brandy, starannie rozpuściła biały proszek w alkoholu. Wypiła powoli, wsunęła się pod kołdrę i natychmiast zapadła w głęboki sen bez marzeń.

Gdy światło poranka oddawało przedmiotom kształty, nad rzeką Aude wisiała lekka mgiełka.

Nadbrzeże, bruki i chodniki zaścielały śmiecie. Mnóstwo papierów, broszur i ulotek, tu złamany czubek laski, tam kilka zdeptanych przez tłum stron z nutami, gdzie indziej zgubiona czapka. I wszędzie ulotki pana Sabatiera.

Rzeka płynęła dostojnie, spokojna jak lustro ledwo trącone ruchem. Stary przewoźnik, Baptistin Cros, znany wszystkim w Carcassonne jako Tistou, prowadził swoją ciężką barkę w stronę grobli Paicherou. Tutaj, w górze rzeki, niewiele było śladów po fete nationale. Żadnych skrzynek ani ulotek, papierów czy zapachu prochu. Mężczyzna utkwił spojrzenie w fioletowym świetle, lśniącym nad Montagne Noire. Czarne niebo z wolna jaśniało, przechodząc w błękit, a potem biel poranka.

Długi drąg o coś zawadził. Tistou spojrzał badawczo.

Ludzkie ciało.

Powoli obrócił barkę i zatrzymał. Woda zachlupotała tuż przy burcie. ale się nie przelała do środka. Liny łączące oba brzegi rzeki zawodziły cicho, choć próżno by szukać wiatru.

Zakotwiczył barkę, wbijając drąg w muliste dno, ukląkł i przyjrzał się bliżej znalezisku. Pod zieloną powierzchnią wypatrzył kobiece kształty. Postać unosiła się z leniwym nurtem, obrócona twarzą do dołu. I bardzo dobrze. Trudno zapomnieć szklane spojrzenie topielca, sine wargi i zażółconą skórę.

Utonęła niedawno, pomyślał Tistou. Jeszcze nie obrzękła.

Kobieta roztaczała wokół siebie zadziwiającą aurę spokoju. Blond włosy kołysały się jak wodorosty. Przewoźnik dłuższy czas przypatrywał się jej jak zahipnotyzowany. Plecy miała zgięte, niby w lekkim ukłonie, kończyny skierowane w dół, jakby ją ktoś za nie przycumował do dna rzeki.

Następna samobójczyni, pomyślał.

Zaparł się kolanami o burtę, chwycił w garść fałdę szarej sukni z doskonałej tkaniny. Pociągnął. Barka zakołysała się niebezpiecznie, ale na Tistou nie wywarło to większego wrażenia. Żadna to dla niego pierwszyna, wiedział, na ile może sobie pozwolić, by nie doszło do przewrotki. Zaczerpnął głęboko powietrza i pociągnął znów, trzymając za kołnierz.

–Un, deux, trois, allez! – zakomenderował głośno. Wciągnął ciało przez burtę i upuścił je na wilgotne dno barki, jak rybę schwytaną w sieć.

Otarł czoło chusteczką, poprawił czapkę. Odruchowo uczynił znak krzyża. Był to gest instynktowny, a nie wypływający z wiary.

Obrócił topielicę na plecy. Nie pierwszej młodości, jednak ciągle piękna. Szare oczy, szeroko otwarte, nieruchomo patrzyły w przestrzeń. Włosy miała w nieładzie, ale to z pewnością była dama. Białe, miękkie dłonie świadczyły, że nie wykonywała żadnej fizycznej pracy.

Tistou był synem właściciela sklepu tekstylnego i szwaczki. Potrafił rozpoznać doskonałą egipską bawełnę. Poszukał metki krawca przy kołnierzu. Paryski. Kobieta miała na szyi łańcuszek z wisiorkiem, prawdziwe srebro, nie plater. Owalny medalion krył we wnętrzu dwie miniatury. Na jednej widniała jego właścicielka, na drugiej młody człowiek o czarnych włosach. Tistou zostawił biżuterię na szyi zmarłej. Był uczciwym człowiekiem, nie jak te hieny cmentarne, pracujące na groblach w centrum miasta. Oni okradliby trupa przed oddaniem go władzom. On chciał tylko wiedzieć, kogo wyciągnął z wody.

Zidentyfikowano Izoldę bez trudu. Leonie doniosła o jej zaginięciu z samego rana, gdy tylko Marieta, zbudziwszy się,

stwierdziła, że jej pani zniknęła.

Musieli zostać w mieście dwa dni, póki nie dopełnili wszelkich formalności i nie podpisali wszystkich niezbędnych dokumentów. Co do przyczyny zgonu nie było najmniejszych wątpliwości. Samobójstwo w chwili niepoczytalności.

Leonie przywiozła Izoldę z powrotem do Domaine de la Cade w pochmurny lipcowy dzień, pogrążony w ciszy. Wiedziała, że Kościół nie zezwoli na pochowanie w poświęconej ziemi osoby, która dopuściła się grzechu śmiertelnego. Zresztą i tak nie mogła znieść myśli, iż miałyby ją pochować w rodzinnym grobowcu Lascombe'ów.

O ostatnią posługę poprosiła proboszcza Gelisa z Coustaussy, niewielkiej miejscowości ze zrujnowanym zamkiem, leżącej pomiędzy Couizą a Rennes-les-Bains. Odprawił skromną uroczystość na terenie Domaine de la Cade. Normalnie zwróciłaby się do Saunier'a, lecz w tych okolicznościach, ponieważ nadal znajdował się pod ostrzałem krytyki, nie chciała go naznaczać kolejnym skandalem.

Dwudziestego lipca tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego siódmego roku, o zmierzchu, pochowano Izoldę obok Anatola. Zmieniono skromny kamień nagrobny, na nowym obok dat znajdowały się dwa imiona.

Słuchając cichej modlitwy i ściskając rączkę bratanka, Leonie myślała o tym, jak przed sześciu laty stała nad grobem Izoldy w Paryżu. A przedtem, w salonie mieszkania przy rue de Berlin, przed zamkniętą trumną. Ten pojedynczy palmowy liść w szklanej misie na komodzie. Przykry zapach obrzędu i śmierci, którym przesiąknął każdy zakątek domu, kadzidła i świece, maskujące mdlącą woń ciała. Tyle że wtedy trumna była pusta. A piętro niżej Achille bez końca walił w klawisze, natrętne dźwięki wciskały się przez podłogę, aż dziewczyna myślała, że od nich oszaleje.

Teraz, słuchając głuchego stukania ziemi o pokrywę trumny, znajdowała pocieszenie jedynie w świadomości, że Anatol nie

doczekał tej chwili.

Louis-Anatole objął ją w talii szczupłym ramieniem.

–Nie martw się, ciociu. Będę się o ciebie troszczył.

ROZDZIAŁ 91

W pewnym hotelu po hiszpańskiej stronie Pirenejów, w saloniku na parterze, powietrze zgęstniało od kwaśnego dymu tureckich papierosów. I nic dziwnego, skoro mężczyzna, który zajął apartament przed kilkoma tygodniami, palił właściwie bez przerwy.

Nastał sierpień, słoneczne dni ogrzewały świat, a mimo to hotelowy gość ubrał się jak w trzaskający mróz. Miał na sobie gruby szary płaszcz, dłonie ukrył w miękkich rękawiczkach z cielecej skórki. Był to człowiek wychudzony, co chwila potrzasał głową, jakby niezadowolony z odpowiedzi na pytania, których nigdy nie zadał. Drżącą ręką podniósł do ust szklankę z piwem. Ostrożnie pociągnął łyk. Nie mógł swobodnie rozchylić warg, bo doskwierały mu paskudne krosty w kącikach ust. Mimo wszystko jednak oczy tego człowieka błyszczały żądzą władzy, spojrzenie wbijało się w dusze obecnych jak sztylet.

Podniósł naczynie rozkazującym gestem.

Służący pośpiesznie nalał kolejną porcję trunku. Na chwilę utworzyli scenę żywcem wyjętą z groteskowego malowidła: inwalida przypominający kościotrupa i starzejący się sługa o czaszce poznaczonej szkarłatnymi śladami paznokci.

–Jakie wieści?

–Mówią, że utonęła. Że się utopiła.

–A druga?

–Opiekuje się dzieckiem.

Constant milczał. Lata na wygnaniu i nieubłagany postęp choroby zrobiły swoje. Był słaby. Ciało go zawodziło. Chodził z najwyższym trudem. Tymczasem umysł sprawował się lepiej niż nigdyś.

Przed sześciu laty Constant musiał działać szybciej, niż planował. Został pozbawiony rozkoszy radowania się zemstą. Miał zamiar sprowadzić siostrę znienawidzonego wroga na złą drogę, wyłącznie po to, by go torturować świadomością, jak łatwe i jak mało znaczące okazałoby się to działanie. Szybka śmierć Verniera do tej pory budziła w nim gorycz i rozczarowanie. Teraz, na dodatek, Izolda również wymknęła mu się z rąk.

Po ucieczce do Hiszpanii prawie rok nie miał wiadomości na temat finału wydarzeń z jesieni tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego pierwszego, a kiedy wreszcie do niego dotarły, okazało się, że lafirynda nie tylko przeżyła postrzał, ale nawet zdążyła wydać na świat syna. Znow mu umknęła. Tego nie mógł sobie darować.

Ze wszystkich sił pragnął dokonać zemsty, i tylko to pragnienie kazało mu cierpliwie czekać przez sześć długich lat. Dążenie do celu omal go nie zrujnowało. Trzeba było całego sprytu prawników pozostających na jego usługach, by chronić dobytek we Francji i utrzymać w tajemnicy miejsce pobytu.

Musiał być ostrożny. Ukrywać się za granicą, póki władze nie przestały się nim interesować. Wreszcie, minionej zimy, inspektor Thouron awansował i został wyznaczony do prowadzenia sprawy Dreyfusa, która tak mocno zaangażowała stołeczną policję. A co istotniejsze, inspektor Bouchou z carcassońskiej gendarmerie wreszcie przeszedł na emeryturę. Przed miesiącem.

I wówczas Constant mógł wrócić do Francji.

Wiosną wysłał tam swojego człowieka. Kazał mu przygotować grunt. Merostwo i władze Kościoła otrzymywały anonimowe listy, nietrudno było rozpuścić plotki szkodzące Saunierowi, duchownemu związanemu z Domaine de la Cade i wypadkami, jakie miały miejsce za życia Jules'a Lascombe'a. Constant doskonale znał opowieści o demonie, który swego czasu terroryzował okolicę.

Najęci ludzie rozsiewali pogłoski o bestii nękającej dolinę, atakującej bydło. Jego sługa podróżował z miasta do miasta, z wioski do wioski, sącząc w ciekawskie uszy wieści o grobowcu na terenie Domaine de la Cade, o tym, że znów dochodzi tam do praktyk okultystycznych. Zaczął od najbardziej podatnych i najbardziej bezbronnych: od bosych żebraków, spiających pod gołym niebem, od pasterzy samotnie strzegących w górach swoich stad. od tych, którzy za sędziami przysięgłymi wędrowali z miasta do miasta. Tu szepnął słowo, tam podrzucił zdanie, słuchali go handlarze tekstyliów i szklarze, pucybuci z możliwych domów, sprzątaczkę oraz pokojówkę.

Mieszkańcy doliny byli zabobonni i łatwowierni. Tradycja, mity i historia potwierdzały oszczerstwa. Wystarczyła wskazówka, że tu czy tam pokazały się ślady, których nie mogły zostawić zwierzęce pazury. Że nocą słyhać dziwny skowyt. Że powietrze napełniło się cuchnącą wonią zgnilizny. Wszystkie dowody, że demon przyszedł żądać zapłaty za nienaturalny stan rzeczy w Domaine de la Cade. Za to, że wdowa wyszła za mąż za siostrzeńca swojego męża.

Wszyscy troje byli już martwi.

Oplatał Domaine de la Cade niewidoczną siecią intryg.

Jeśli zdarzały się zbrodnie, których nie popełnił człowiek Constanta, były one dziełem górskich kotów albo wilków.

Teraz, gdy Bouchou przeszedł na emeryturę, można było zacząć działać. I tak Constant czekał już zbyt długo, stracił szansę na wymierzenie Izoldzie odpowiedniej kary. Poza tym, choć stale brał leki i poddawał się zabiegom, mimo rtęci, wód i laudanum – umierał. Wiedział, że niedługo utraci zdolność jasnego myślenia. Rozpознаwał u siebie objawy, które widział u wuja, potrafił je określić równie dokładnie jak każdy szarlatan mieniący się medykiem. Obawiał się ostatniego przebłysku świadomości przed nastaniem kompletnego mroku. Zamierzał przekroczyć granicę na początku września. Wrócić do Rennes-

les-Bains. Vernier był martwy. Izolda także. Ale został chłopak.

Z kieszeni kamizelki wyjął zegarek ukradziony Vernierowi w Passage des Panoramas. Prawie sześć lat temu.

Zachodzące słońce wydłużało cienie, a on siedział, obracając czasomierz w chorych dłoniach, i myślał o Izoldzie.

ROZDZIAŁ 92

Dwudziestego września, w kolejną rocznicę śmierci Marguerite Ver-nier, zginęło następne dziecko. Pierwsze od ponad miesiąca. Dziewczynkę porwano znad brzegu rzeki, poniżej Sougraigne. Znalaziono ją pod Fon-taine des Amoureux, z twarzą oszpeconą szramami. Czerwone ślady szponów przecinały jej policzki i czoło. W odróżnieniu od innych zaginionych dzieci, którymi nikt się nie zajmował, ta dziewczynka była ukochaną najmłodszą latoroślą dużej rodziny, mającej szerokie koneksje w Aude i Salz.

Dwa dni później w lesie niedaleko Lac de Barrenc, górskiego jeziora, w którym mieszkał diabeł, zniknęło dwóch chłopców. Ich ciała znaleziono po tygodniu. Były w tak fatalnym stanie, że nieprędko zauważono, iż także zostały poznaczone śladami szponów.

Leonie starała się nie dostrzegać zbieżności dat. Gdy jeszcze ciągle była nadzieja na odnalezienie dzieci żywych, oferowała się z pomocą w czasie poszukiwań. Nikt z jej oferty nie skorzystał. Ze względu na bratanka zachowywała pozory spokoju, lecz jednocześnie zaczęła rozważać możliwość opuszczenia Domaine de la Cade, przynajmniej na jakiś czas, póki nie minie najgorsze.

Maitre Fromilhague oraz madame Bousquet twierdzili głośno, że zarówno bydło, jak i dzieci padły ofiarą dziczących psów lub wilków. Za dnia nawet sama Leonie umiała odsunąć od siebie pogłoski o demonie. lecz z nastaniem nocy, znając historię grobowca i wiedząc o obecności kart na terenie majątku, traciła pewność siebie.

Nastroje w miasteczku szybko się pogarszały. Ludzie szukali winnego. Domaine de la Cade stała się obiektem aktów wandalizmu.

Któregoś popołudnia Leonie, wróciwszy ze spaceru po lesie, ujrzała niezwykle zbiegowisko przy wejściu do jednego z budynków gospodarczych. Zaintrygowana przyśpieszyła kroku.

–Co się stało? zapytała, dotarwszy na miejsce.

Pascal obrócił się gwałtownie. W oczach miał strach. Zasłonił jej widok.

–Nic, madama.

Leonie przyjrzała mu się uważnie, przeniosła spojrzenie na ogrodnika, potem na jego syna, Emile'a.

–Powiedz, proszę – zwróciła się do Pascala.

–Madama, to nie jest widok dla pani. Dziewczyna zmrużyła oczy.

–Nie przesadzajmy – rzuciła lekko. – Nie jestem dzieckiem. Pascal nie drgnął.

Rozdarta między irytacją z powodu jego nadopiekuńczości oraz zwykłą ludzką ciekawością Leonie dotknęła jego ramienia.

–Bądź uprzejmy...

Wszystkie spojrzenia skupiły się na Pascalu. Ten przestąpił z nogi na nogę niezdecydowany, po czym z ociąganiem obrócił się, odsłaniając widok, którego chciał oszczędzić młodej pani.

Do drzwi przybito wielkim kuśnierskim gwoździem zajęcze truchło, obdarte ze skóry i już solidnie skruszałe. Siedział na nim rój tłustych, głośno bzyczących much. Niżej krwią narysowano prosty krzyż, a pod nim widniały słowa wymalowane smołą: PARCE SIGNE TU LE VAIN-CRAS.

Dziewczyna odruchowo zakryła usta dłonią, niedobrze jej się zrobiło w równym stopniu od ciężkiego smrodu, co fatalnego widoku. Najwyższym wysiłkiem woli zdołała się opanować.

–Dopilnuj, żeby to zostało uprzątnięte – poleciła głośno Pascalowi. –

I będę wdzięczna za dyskrecję – zwróciła się do pozostałych. Powiodła wzrokiem po zebranych. W ich oczach dostrzegła odbicie własnego lęku. – Dziękuję.

Mimo wszystko nie zachwiała się w przekonaniu. Zdecydowana była nie dać się przepędzić z Domaine de la Cade, a już na pewno nie przed powrotem pana Baillarda. Obiecał, że wróci do dnia świętego Marcina. Wysyłała mu listy via jego dom przy rue de l'Hermitte, ostatnio coraz częściej, ale nawet nie wiedziała, czy którykolwiek z nich odnalazł go w rozjazdach.

Sytuacja się zaostrzała. Zniknęło kolejne dziecko. Dwudziestego drugiego października, w rocznicę cichego ślubu Izoldy i Anatola, zaginęła córka prawnika, śliczna dziewczuszka z białymi wstążkami we włosach, wystrojona w suto marszczone spódnice. Porwano ją na Place du Perou. Podniósł się wielki krzyk.

Nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności Leonie była w Rennes-les-Bains akurat wtedy, gdy odnaleziono zmasakrowane ciało dziewczynki. Ktoś je zostawił przy Fauteuil du Diable, na wzgórzu, nie tak daleko od Domaine de la Cade. Między zakrwawione paluszki wetknięto gałązkę jałowca.

Leonie, usłyszawszy o tym, struchlała. Rozpoznała wiadomość do niej skierowaną.

Koła drewnianego wózka, w którym złożono ciało, turkotały po Gran'Rue, za nim ciągnął smętny orszak. Nawet mężczyźni nie kryli łez. Nikt się nie odzywał. W pewnej chwili jakaś kobieta o czerwonej twarzy, z ustami wykrzywionymi goryczą i wściekłością, dostrzegła Leonie. Wskazała ją oskarżycielskim gestem. Kogoś należało obarczyć winą.

–Powinnyśmy wracać, madama – szepnęła Marieta.

Leonie wysoko uniosła głowę, by nie okazać lęku, i ruszyła do powozu. Tłum zafalował, odezwał się złowieszczy pomruk. Szybko pękła tama ludzkiej przyzwoitości. Za dziewczyną posypały się słowa gniewne i obraźliwe, podłe okrzyki, ciężkie

jak kamienie.

–Pas luenh – powiedziała Marieta, biorąc dziewczynę pod ramię.

Dwa dni później przez uchylone okno wrzucono do biblioteki płonąca szmatę, nasączoną oliwą i gęsim tłuszczem. Służba zorientowała się w sprawie, zanim doszło do poważniejszych szkód, ale od tamtej pory nikt już nie czuł się bezpiecznie.

Przyjaciele Leonie mieszkający w mieście, a także znajomi Mariety i Pascala robili, co w ich mocy, by przekonać oskarżających, że się mylą, obwiniając właścicielkę Domaine de la Cade o udzielanie schronienia bestii, niestety, ludzie o ciasnych umysłach wiedzieli swoje. Ich zdaniem, górski diabeł wrócił żądać tego, co uważał za swoje, jak za czasów Jules'a Lascombe'a.

Nie ma dymu bez ognia.

Leonie próbowała nie dostrzegać wyraźnego śladu Victora Constanta w prześladowaniach, które dotyczyły Domaine de la Cade i jej mieszkańców, ale też nie mogła się pozbyć wrażenia, że jej ciemnica przygotowuje się do zadania ostatecznego ciosu. Próbowała przekonać o tym gendarme-rie, błagała o pomoc w merostwie, prosiła pana Fromilhague'a, by poparł jej sprawę – wszystko na nic. Była sama.

Po trzech dniach deszczu robotnicy ugasili kilka ognisk, rozpalonych na terenie majątku przez nieznanne osoby. Próba podpalenia. Pod osłoną ciemności ktoś podrzucił na schody przed głównym wejściem wybebeszonego psa. Pokojówka, która się na niego natknęła, zemdląca. Przychodziły wstrętne anonimy, opisujące kazirodcze stosunki między Izoldą i Anatolem, rzekomy powód nieszczęść, jakie dotknęły mieszkańców doliny.

Leonie, kompletnie osamotniona wobec lęków i podejrzeń, zrozumiała, że taki właśnie cel miał Constant od samego początku. Chciał podburzyć miasto, wzbudzić nienawiść do mieszkańców Domaine de la Cade. Pojęła również, choć nigdy,

nawet w najczarniejszą noc nie ujęła tego w słowa, że jej wróg nigdy nie da za wygraną. Miał obsesję. Jeżeli znajdował się w pobliżu Rennes-les-Bains – a obawiała się, że tak właśnie jest – to z pewnością wiedział o śmierci Izoldy. Mimo to prześladowania nie ustawały. Wynikało z tego jasno, że musi zadbać o bezpieczeństwo bratanka. Wyjechać, zabierając ze sobą, co tylko zdoła, w nadziei że uda jej się szybko wrócić do majątku. Przyrowadzić syna ukochanego brata do rodzinnego domu. Nie zamierzała dopuścić, by Victor Constant pozbawił chłopca tego, co mu się z urodzenia należy.

Z drugiej strony, łatwiej było wszystko to postanowić niż zrobić.

Bo prawdę mówiąc, Leonie nie miała dokąd uciekać. Za mieszkanie w Paryżu generał du Pont już dawno przestał płacić. Tutaj z kolei prawdziwych przyjaciół mogła policzyć na palcach jednej ręki. Monsieur Baillard, madame Bousquet. maitre Fromilhague. Ludzie jej nie znali, bo stale przebywała w majątku. Achille był daleko, zresztą zajęty własnymi problemami. A za sprawą Victora Constanta nie miała bliskiej rodziny.

Tak czy inaczej, innego wyjścia nie widziała.

Zawierzywszy jedynie Maricie i Pascalowi, przygotowywała wyjazd. Miała absolutną pewność, że Constant uderzy w wigilię Wszystkich Świętych. Była to nie tylko data śmierci Anatola – a Constant wyraźnie przywiązywał ogromną wagę do dat – ale, co więcej, jak się okazało w momencie większej jasności umysłu Izoldy, trzydziestego pierwszego października tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego roku zawiadomiła go, że ich krótki romans musi się skończyć. Od tego wszystko się zaczęło.

Leonie postanowiła, że jeśli Victor Constant zjawi się w Domaine de la Cade w wigilię Wszystkich Świętych, nie zastanie ich w domu.

Nastąpiło chłodne, rześkie popołudnie ostatniego dnia października. Leonie włożyła płaszcz i kapelusz. Postanowiła zabrać karty. Nie chciała ich zostawiać w zasięgu ręki Constanta, nawet jeśli było mało prawdopodobne, by je znalazł. Teraz, póki nie wróci bezpiecznie do Domaine de la Cade razem z bratankiem, na razie, pod nieobecność pana Baillarda, zamierzała je oddać na przechowanie madame Bousquet.

Już położyła rękę na klamce, gdy usłyszała Marietę. Drgnęła i obróciła się w stronę holu.

–Jestem przy drzwiach! – zawołała. – O co chodzi?

–Przyszedł list, madame – powiedziała służąca, podając jej kopertę.

Leonie przyjrzała się poczcie, ściągając brwi. Po doświadczeniach ostatnich miesięcy wszystko, co niezwykle, przyjmowała z nieufną ostrożnością. Zbadła wzrokiem obce pismo.

–Od kogo?

–Chłopak powiedział tylko, że z Coustaussy.

Otworzyła kopertę. Był to list od starszego duchownego, Antoine'a Gelisa. Ksiądz prosił, by jeszcze tego popołudnia odwiedziła go w pilnej sprawie. Ponieważ był samotnikiem, spotkała go zaledwie dwukrotnie w ciągu sześciu lat. Za pierwszym razem w towarzystwie Henri Boudeta w Rennes-les-Bains, przy okazji chrztu bratanka, a potem na pogrzebie Izoldy. Zrozumiała zatem, że list zdziwił ją niepomiernie.

–Będzie odpowiedź, madama? – spytała Marieta. Leonie podniosła wzrok.

–Poślaniec czeka?

–Tak.

–Przyprowadź go, proszę.

Chwilę później zjawił się przed nią chłopak w brązowych spodniach, rozchełstanej koszuli i z czerwoną chustką na szyi. W dłoniach ścisnął czapkę. Wyglądał na przestraszonego.

–Nie masz się czego bać – zapewniła go Leonie. – Nie zrobiłeś nic złe

go. Chciałam cię tylko zapytać, czy proboszcz dał ci list osobiście?

Chłopak pokręcił głową.

–W takim razie – uśmiechnęła się Leonie – czy potrafisz mi powie

dzieć, kto ci go dał?

Zapadła cisza.

Wreszcie zniecierpliwiona Marieta szturchnęła posłańca.

–Pani zadała ci pytanie.

Krok za krokiem, słowo za słowem, mimo interwencji pokojówki o ciętym języku, która starając się pomóc, raczej przeszkadzała, Leonie zdołała się zorientować w sytuacji. Chłopiec miał na imię Alfred. Przebywał u babci w Coustaussie. Bawił się w ruinach chateau-fort, gdy z frontowych drzwi plebanii wyszedł jakiś mężczyzna i zaproponował mu sou za dostarczenie pilnego listu do Domaine de la Cade.

–Proboszcz ma kuzyna, który o niego dba – podrzuciła Marieta. –

Gotuje mu i pierze.

–Czy to był ten mężczyzna? – spytała Leonie chłopaka.

Alfred tylko wzruszył ramionami.

Przekonawszy się, że nic więcej od niego nie usłyszy, Leonie odprawiła posłańca.

–Pojedzie tam pani? – spytała Marieta.

Dziewczyna rozważyła sytuację. Miała jeszcze sporo zajęć przed opuszczeniem Domaine de la Cade. Z drugiej strony, trudno przypuszczać, by proboszcz Gelis wysłał taką prośbę bez ważnego powodu. Sytuacja była wyjątkowa.

–Pojadę – zdecydowała. – Poproś Pascala, żeby zaraz podprowadził bryczkę.

Ruszyli w drogę prawie wpół do czwartej.

Powietrze było ciężkie od jesiennych dymów. Mijali kolejne farmy z drzwiami ozdobionymi gałązkami bukszpanu i rozmarynu. Na skrzyżowaniach widzieli kapliczki udekorowane z okazji Wszystkich Świętych. Na kawałkach tkanin, na strzępkach papieru składano tam prośby i dawne modlitwy.

Leonie wiedziała, że wkrótce na cmentarzu w Rennes-les-Bains i w Rennes-le-Chateau, a w zasadzie w każdej parafii w okolicy, pojawią się wdowy skryte za czarną krepą i ciemnymi welonami. Uklękną na wilgotnej ziemi przed grobami i będą się modliły o wyzwolenie dla tych, których kiedyś ukochały. W tym roku będzie ich więcej niż zwykle, a wszystko z powodu przekleństwa, jakie dotknęło okolicę.

Pascal poganiał konie, aż im parowały spocone grzbiety, chrapy ciężko wciągały chłodne powietrze. Mimo to, zanim pokonali odległość między Rennes-les-Bains a Coustaussa, zaczął już nadciągać zmrok. Dopiero wtedy skręcili w stromą dróżkę, prowadzącą z głównej drogi do wioski.

Dzwony w dolinie obwieściły godzinę czwartą. Leonie zostawiła Pascala przy bryczce, a sama ruszyła do plebanii. Coustaussa była maleńka, składała się zaledwie z garstki domów.

Nie było tu ani boulangerie, ani kawiarni.

Plebania stała przytulona do kościółka, dziwnie opustoszała. Wszystkie okna powlekała ciemność.

Z rosnącym niepokojem Leonie zapukała do drzwi. Nikt nie odpowiedział. Zastukała ponownie. Tym razem mocniej.

–Halo! Jest tam ktoś?

Po namyśle postanowiła zajrzeć do kościoła. Ruszyła wzdłuż ciemniejącej ściany kamiennego budynku. Wszystkie drzwi od frontu okazały się zamknięte. Tylko w jednym miejscu na żelaznym haku wisiała oblepiona sadzą lampa oliwna.

Coraz bardziej zniecierpliwiona dziewczyna podeszła do budynku po przeciwnej stronie uliczki i zapukała. Przez pewien czas dobiegały ją tylko szmery i szurania, wreszcie jakaś starsza kobieta odsunęła metalową kratę, zamontowaną w drzwiach.

–Kto tam? – odezwał się skrzekliwy głos.

–Dobry wieczór – powiedziała Leonie. – Jestem umówiona z proboszczem Gelisem, ale nikt nie otwiera.

Kobieta o podpuchniętych oczach przyjrzała się dziewczynie podejrzliwie. Nie powiedziała nic. Leonie wyciągnęła z kieszeni jednego sou, moneta natychmiast zniknęła w szorstkiej dłoni.

–Ritou nie ma.

–Rilou!

–Księża. Pojechał do Couizy.

Leonie patrzyła na starą, nic nie rozumiejąc.

–Niemożliwe. Dostałam od niego list, nie dalej jak godzinę temu. Prosi w nim, żebym przyjechała.

–Widziałam, jak wychodził – oznajmiła kobieta z widoczną satysfakcją. – Poprzedni gość też już go nie zastał.

Leonie przytrzymała kratę. Wąziutka strużka światła wylewała

się na ulicę.

–Co to za gość? – spytała. Mężczyzna?

Odpowiedziała jej cisza.

Wyłowiła z kieszeni drugą monetę.

–Francuz – odparła stara, wypluwając słowo niczym najgorszą obrazę.

–Kiedy?

–Przed zmierzchem. Jeszcze za dnia. Dziewczyna cofnęła dłoń, krata natychmiast opadła na miejsce. Leonie odwróciła się, otuliła szczelnie płaszczem. Noc była zimna. Należało się domyślać, że w czasie gdy posłaniec biegł do niej z listem, z Coustaussy do Domaine de la Cade, proboszcz Gelis musiał wyjść. Widocznie okazało się, że nie może dłużej czekać. Pewnie wezwały go jakieś pilniejsze sprawy.

Najwyższa pora wracać do domu. Dostyc czasu straciła na tę bezsensowną podróż.

Wyjęła z kieszeni płaszcza kartkę i ołówek, skreśliła kilka słów, wyrażając zawód, że nie zastała duchownego. Wsunęła notkę przez szczelinę na listy w ścianie plebanii i pośpieszyła tam, gdzie czekał Pascal.

Wracając, jechali jeszcze szybciej niż w przeciwną stronę, a mimo to każda minuta ciągnęła się jak wieczność. Wreszcie ujrzeli światła Domaine de la Cade. Gdy zwolnili na śliskim od szronu zakręcie, miała ochotę wyskoczyć z bryczki i biec do domu, byle szybciej.

W końcu zatrzymali się przed drzwiami. Pobiegnęła do wejścia, gnana bezimiennym strachem, że pod jej nieobecność stało się coś złego. Pchnęła drzwi, wpadła do środka.

Louis-Anatole ruszył do niej biegiem, krzycząc:

–Przyjechał!

Serce zamarło jej w piersi.

Boże, błagam, tylko nie to. Chroń mnie przed Victorem Constantem.

Za jej plecami drzwi zamknęły się z trzaskiem.

ROZDZIAŁ 93

–Bonjorn, madomaisela – doszedł ją głos z cienia.

Chyba ją słuch mylił.

Przybyły ruszył przez oświetlony hol.

–Zbyt długo mnie nie było.

Leonie szeroko otworzyła ramiona.

–Monsieur Baillard! – krzyknęła. – Tak się cieszę, że pana widzę!

Audric Baillard uśmiechnął się do chłopca, który przy jego boku prze

skakiwał z nogi na nogę.

–Ten tutaj młody człowiek doskonale się mną zajął – oznajmił.
– Zabawiał mnie grą na fortepianie.

Louis-Anatole, nie czekając na zaproszenie, podbiegł do instrumentu i od razu zaczął grać.

–Ciociu! – zawołał. – Posłuchaj, jak gram! Znalazłem ten utwór w stołku. Sam się nauczyłem!

Spod dziecięcych paluszków spłynęła chwytająca za serce melodia w tonacji a-moll. Młody muzyk bardzo się starał nie pogubić dźwięków.

Muzyka, wreszcie doskonale słyszalna. Obudzona przez syna Anatola.

„Grobowiec 1891”.

Łzy napłynęły Leonie do oczu. Audric Baillard ujął ją za rękę. Miał bardzo ciekłą skórę na dłoniach. Stali zasłuchani, aż wybrzmiał ostatni akord.

Louis-Anatole opuścił ręce na kolana, odetchnął głęboko, jakby jeszcze słuchał echa w ciszy, po czym spojrział na swoją publiczność, wyraźnie z siebie zadowolony.

–Ćwiczyłem dla ciebie, ciociu.

–Masz talent, senher – orzekł pan Baillard, klaszcząc.

Louis-Anatole rozpromienił się uszczęśliwiony.

–Jeśli nie zostanę żołnierzem, to pojedę do Ameryki i będę sławnym muzykiem.

–Oba zajęcia równie szlachetne – żartował Audric Baillard. Po chwili uśmiech zniknął z jego oczu i z ust. – Na razie jednak, młody przyjacielu, muszę porozmawiać z twoją ciocią o pewnych sprawach, dotyczących dorosłych. Zechcesz nam wybaczyć?

–Ale ja...

–Daj nam kilka chwil, pichon – ucięła Leonie. – Jak tylko skończymy, od razu cię zawołamy.

Louis-Anatole westchnął zrezygnowany, po czym wrzucił ramionami i z uśmiechem pobiegł w stronę kuchni, wołając Marietę.

Gdy zniknął, dorośli przeszli do salonu. Leonie, odpowiadając na pytania gościa, pokrótce wyjaśniła, co się wydarzyło od stycznia, od czasu gdy opuścił on Rennes-les-Bains. Opowiedziała o tragediach, dziwnych zdarzeniach, tajemnicach, plotkach, a także o własnych podejrzeniach, że Victor Constant wrócił.

–Pisałam o naszych kłopotach – powiedziała. Nie zdołała usunąć z głosu nutki gorzkości. – Jednak nie wiedziałam, czy pan dostawał moje listy.

–Jedne do mnie dotarły, inne pewnie zaginęły w drodze – rzekł smutno. – O tragicznej śmierci pani Izoldy dowiedziałem się nie dalej jak dzisiaj po południu. Proszę przyjąć moje kondolencje.

Leonie podniosła wzrok na Baillarda. Wyglądał na

zmęczonego. I wydawał się taki kruchy.

–Znalazła wyzwolenie – powiedziała cicho. – Od jakiegoś czasu była

bardzo nieszczęśliwa. – Splotła palce i zacisnęła dłonie. – Proszę mi powiedzieć, gdzie pan był? Bardzo mi pana brakowało.

Bailiard złożył ręce jak do modlitwy.

–Gdyby nie sprawy najwyższej dla mnie wagi, nie opuściłbym pani rzekł miękko. – Otrzymałem wiadomość, że pewna osoba... osoba, na którą czekałem przez wiele lat, nareszcie wróciła. Niestety... – przerwał i w tej ciszy Leonie usłyszała ból -...to nie była ona.

Tylko jeden raz do tej pory mówił z tak wielkim uczuciem, tyle że wtedy odniosła wrażenie, iż dziewczyna, którą wspominał, dawno odeszła z tego świata.

–Nie jestem pewna, czy dobrze rozumiem...

–Zapewne nie – rzekł cicho. Podniósł głowę wyżej. – Gdybym wiedział... Nie opuściłbym Rennes-les-Bains. – Westchnął ciężko. – W tej sytuacji wykorzystałem podróż, by przygotować schronienie dla pani i chłopca.

–Jak to? – zdziwiła się Leonie. – Skąd pan wiedział? Przecież podjęłam tę decyzję nie dalej jak w zeszłym tygodniu. A pana nie ma tu od dziesięciu miesięcy...

Uśmiechnął się lekko.

–Dawno już obawiałem się, że to będzie konieczne.

–Ale jak...

Uniósł dłoń.

–Dobrze się pani domyśla. Victor Constant rzeczywiście wrócił w te okolice.

Leonie zamarła.

–Jeśli dysponuje pan dowodami, musimy zawiadomić władze. Jak dotąd policja nie traktowała poważnie moich podejrzeń.

–Nie mam dowodów, jedynie mocne przekonanie. I wiem z całą pewnością, iż człowiek ten zjawił się tutaj w konkretnym celu. Musi pani wyjechać jeszcze dzisiaj. Przygotowałem dla was swój dom w górach. Objaśnię Pascalowi drogę. – Umilkł na chwilę. – Przyjmuję, że on i Marieta, jego żona, pojedą z wami.

Leonie kiwnęła głową.

–Zwierzyłam się im ze swoich zamiarów.

Możecie zostać w Los Seres, jak długo uznacie za stosowne. A na pewno do chwili, gdy powrót będzie bezpieczny.

Nie wiem, jak panu dziękować. – Ze łzami w oczach powiodła wzrokiem po salonie. – Przykro mi będzie opuścić ten dom – rzekła miękko. – Dla mojej matki i dla ciotki nie był miejscem szczęśliwym, ale ja, mimo wielu smutków, przeżyłam tu najpiękniejsze chwile. – Zastanowiła się krótko. – Muszę panu coś wyznać.

Baillard spojrział na nią uważnie.

–Sześć lat temu obiecałam panu, że nie wrócę do grobowca. I dotrzymałam słowa. Lecz w kwestii kart... Muszę się przyznać, że tego dnia, gdy pierwszy raz odwiedziłam pana w domu...

–Pamiętam.

–...wracałam przez las i postanowiłam sprawdzić, czy znajdę cachette. Chciałam się tylko przekonać, czy zdołam odszukać karty.

Podniosła wzrok na Baillarda, oczekując jego rozczarowania, może nawet wyrzutu. Ku swemu zaskoczeniu ujrzała na twarzy gościa uśmiech.

–Znalazła je pani.

Było to stwierdzenie, nie pytanie.

–Znalazłam. Ale ponieważ dałam panu słowo, obejrzałam je tylko schowałam z powrotem. – Pochyliła głowę. – Teraz jednak nie chcę ich zostawiać. On może je znaleźć, a wtedy...

Audric Baillard sięgnął do kieszeni garnituru. Wyjął z niej prostokątną paczuszkę w czarnym jedwabiu. Odwinął tkaninę. Na wierzchu znajdowała się La Force.

–Pan je ma?! – zdumiała się Leonie. – Wiedział pan, że je znalazłam?

–Oczywiście. Zostawiła pani wyraźny ślad w postaci rękawiczek. – Uśmiechnął się pod nosem. Czyżby pani o tym zapomniała? Leonie spiekła raka. Baillard na powrót zawinął talię w jedwab.

Poszedłem tam, gdyż podobnie jak pani uważam, iż karty nie powinny wpaść w ręce człowieka takiego jak Victor Constant. A także... – przerwał. A także dlatego – podjął – że mogą się okazać potrzebne.

Ostrzegał mnie pan przecież przed wykorzystywaniem ich mocy -zdziwiła się.

Chyba że nie ma innego wyjścia – rzekł cicho. Obawiam się, iż właśnie wybiła ta godzina.

Leonie serce zamarto w piersiach.

–Zbierajmy się – powiedziała. Nagle zaciążył jej zimowy płaszcz i cie

płe halki. Grube pończochy drapały skórę. Grzebień z macicy perłowej,

prezent od Izoldy, zdawał się wbijać jej w głowę ostre zęby. – Jedźmy jak

najszybciej.

Nagle odżyło w niej wspomnienie pierwszych tygodni w Domaine de la Cade, czasu niezmałconego szczęścia we trójkę z Izoldą i Anatolem. Wtedy, jesienią tysiąc osiemset

dziewięćdziesiątego pierwszego, przyzwyczajona do światła Paryża, najbardziej bała się ciemności.

Il etait une fois. Dawno, dawno temu.

Była wtedy inną osobą, młodą dziewczyną, nietkniętą mrokiem smutku. Łzy przesłoniły jej wzrok, więc zamknęła oczy.

Ktoś biegł przez hol. Wspomnienia prysły. Leonie zerwała się na nogi i obróciła do wejścia. W tej samej chwili drzwi stanęły otworem i do salonu wpadł Pascal.

–Madama Leonie, senher Baillard! Atakują nas! Już minęli bramę.

Leonie podbiegła do okna. W oddali widziała nierówną linię płonących pochodni, złote i pomarańczowe plamy, odcinające się od czarnego nieba.

Gdzieś z bliska dobiegł odgłos tłuczonego szkła.

ROZDZIAŁ 94

Louis-Anatole wyrwał się pokojówce, wpadł do salonu i schronił w objęciach cioci. Był blady, dolna warga mu drżała, lecz jednocześnie starał się zachować twarz.

–Kto to? – spytał cichutko. Leonie przytuliła go mocno.

–Źli ludzie, pichon.

Odwróciła się do okna, przestłoniła oczy dłonią. Grupa ludzi, ciągle jeszcze daleka, zbliżała się nieubłaganie. Każdy z napastników trzymał w jednym ręku pochodnię, w drugim jakąś broń. Wyglądali niczym armia szykująca się do bitwy. Leonie przyjęła, że czekają tylko na znak Constanta.

–Jest ich tak wielu – szepnęła. – Jakim cudem zdołał obrócić przeciwko nam całe miasto?

–Wykorzystał ludzką skłonność do przesądów – odparł Baillard. – Wszyscy mieszkańcy okolicy, obojętne, republikanie czy rojaliści, słyszeli historie o demonie nawiedzającym dolinę.

–Asmodeusz.

–Ma różne imiona w różnych czasach, lecz zawsze taką samą twarz. Ludzie o dobrych sercach za dnia nie wierzą w bajdy, lecz po zapadnięciu nocy struchlała dusza szepcze im straszne historie. Opowiada o nieboskich istotach, rozszarpujących swoje ofiary bez miłosierdzia, o demonach, którym nie sposób odebrać życia, o mrocznych miejscach, zapomnianych przez Boga i ludzi, gdzie zostały tylko ohydne pająki, snujące zdradliwą sieć.

Leonie wiedziała, że przyjaciel ma rację. Przypomniała jej się noc zamieszek w Palais Garnier w Paryżu. A potem, zaledwie przed tygodniem, dostrzeżona na twarzach znajomych z Rennes-Bains nienawiść. Tłum rządził się własnymi prawami.

–Madama? – odezwał się Pascal nagląco.

Płomienie lizały czarną noc odbijały się od wilgotnych liści kasztanowców rosnących wzdłuż podjazdu. Zaciągnęła zasłonę i odstąpiła od okna.

–Wpędził do grobu Izoldę i mojego brata, ale jeszcze mu mało – mruknęła. Zerknęła na wtulonego w jej suknie bratanka. Oby nie usłyszał.

–Powiedzmy im, żeby sobie poszli – zaproponował Louis-Anatole. – Niech nas zostawią w spokoju.

–Czas na rozmowy już minął, przyjacielu – rzekł Baillard. – Przychodzi taka chwila, gdy chęć działania, nawet ze złych pobudek, jest silniejsza niż skłonność do słuchania.

–Będziemy z nimi walczyć?

Audric Baillard pozwolił sobie na lekki uśmiech.

–Dobry żołnierz wie, kiedy stawić wrogowi czoło, a kiedy właściwszy jest odwrót. Dzisiaj nie będziemy walczyli.

Louis-Anatole kiwnął główką.

–Czy jest dla nas jakaś nadzieja? – szepnęła Leonie.

–Zawsze jest nadzieja – rzekł Baillard cicho. Rysy jego twarzy stężały. Odwrócił się do Pascala. – Bryczka gotowa?

Służący przytaknął.

–Czeka w przecince, obok grobowca. Dość daleko, żeby jej stąd nikt nie zobaczył. Musimy się wymknąć niezauważeni.

–Ben, ben. Dobrze. Wyjdziemy tylnymi drzwiami, lasem przedostaniemy się do przecinki. Módlmy się, żeby atak na dom powstrzymał ich dość długo.

–A co ze służbą? – spytała Leonie. – Oni też muszą uciekać. Po szerokiej, szczerzej twarzy Pascala rozlał się rumieniec.

–Nie chcą uciekać – powiedział. – Postanowili bronić domu.

–Muszą! Ryzykują życie.

–Przekażę im to polecenie, madama, ale nie zmienią zdania. Oczy mu zwilgotniały.

–Dziękuję – powiedziała Leonie cicho.

–Zadbamy o Marietę w drodze do bryczki obiecał Baillard.

–Oc, senher Baillard. – Pascal ucałował żonę i wyszedł.

Przez moment nikt się nie odzywał. Potem wszyscy razem zakrzętnęli się wokół najpilniejszych spraw.

–Leonie, weź tylko najpotrzebniejsze rzeczy. Marieto, przynieś pani walizkę i futro. Czeka nas długa droga, a na dworze zimno.

Pokojówka zdusiła szloch.

–W moim bagażu odezwała się Leonie w kuferku na robótki, jest teczka z papierami. Mniej więcej tej wielkości. – Zarysowała dłońmi w powietrzu odpowiedni kształt. – Kuferek zabierz do bryczki, strzeż go jak oka w głowie. Teczkę przynieś mi tutaj, proszę.

Służąca kiwnęła głową i wybiegła do holu. Leonie zwróciła się do pana Baillarda: Poświęca się pan w sprawie, która pana nie dotyczy. Przekrzywił głowę.

–Przyjaciele nazywają mnie Sajhe. Chciałbym i ciebie zaliczyć do ich grona.

Uśmiechnęła się, mile zaskoczona konfidencją.

–Przystaję na to z ogromną radością. Powiedziałeś mi kiedyś, że nie martwi, ale żywi będą potrzebowali mojej pomocy. Pamiętasz? – Opuściła wzrok na chłopca. – Teraz tylko on się liczy. Jeśli go zabierzesz, będę wiedziała, że spełniłam swoje obowiązki, nie zawiodłam brata.

–Miłość, prawdziwa miłość, przetrwa wszystko. Wiedział o tym twój brat, Izolda i matka także. Nie są dla ciebie straceni.

Leonie przypomniała sobie słowa Izoldy, jakie padły, gdy siedziały we dwie na kamiennej ławie na cyplu, następnego dnia

po pierwszej prozanej kolacji w Domaine de la Cade. Izolda mówiła wtedy z pasją i namiętnością o swojej miłości do Anatola, choć dziewczyna nie miała o tym pojęcia. O uczuciu tak wielkim, że życie bez niego stało się dla niej nie do zniesienia. Leonie również chciała kochać tak mocno.

–Daj mi słowo, że zabierzesz chłopca do Los Seres – powiedziała. – Nie wybaczyłabym sobie, gdyby któremuś z was stała się krzywda.

Baillard pokręcił głową.

–Mój czas jeszcze nie nadszedł. Wiele mam do zrobienia, zanim będzie mi wolno ruszyć w ostatnią drogę.

Dziewczyna zerknęła na żółtą chusteczkę, jedwabny skrawek tkaniny, wystający, jak zwykle, z kieszeni na piersi Audrica Baillarda.

W progu salonu stanęła Marieta. Trzymała w rękach płaszczyk chłopca.

–Chodź! – zawołała malucha. – Szybciutko.

Louis-Anatole podszedł do niej posłusznie i pozwolił się ubrać. Nagle jednak wyrwał się z rąk opiekunki i pobiegł do holu.

–Louis-Anatole! – zawołała Leonie.

–Muszę coś zabrać! – krzyknął chłopiec. W mgnieniu oka był z powrotem, w ręku trzymał kartkę z nutami. – W nowym miejscu też musimy mieć ze sobą muzykę – oznajmił, przeskakując wzrokiem po spiętych twarzach dorosłych.

Leonie pochyliła się nad bratankiem.

–Masz rację, pichon.

–Ojej – zmartwił się maluch. – Tylko nie wiem, dokąd jedziemy.

Przed domem zabrzmiał okrzyk. Hasło do ataku.

Leonie poderwała się jak spięta ostrogą. W dłoni poczuła

rączkę bratanka.

Rozpoczęło się natarcie. Ludzie gnani strachem przed ciemnością i wszystkim tym, co wyzwałała wigilia Wszystkich Świętych, napastnicy uzbrojeni w ogień, pałki oraz strzelby rozpoczęli atak na dom.

–Zaczyna się – rzekł Baillard. – Corage, Leonie. Odwagi.

Ich spojrzenia się spotkały. Powoli, z ociąganiem, podał jej talię kart tarota.

–Pamiętasz zapiski wuja?

Każde słowo.

–Chociaż natychmiast odniosłaś książkę do biblioteki i pozwoliłaś mi wierzyć, że więcej do niej nie zajrzałaś? – Przyjrzał jej się z szelmowskim uśmiechem.

Leonie splonęła rumieńcem.

–Zajrzałam do niej raz czy drugi.

–Pewnie dobrze się stało. Starzy ludzie nie zawsze mają rację. Umilkł. – Rozumiesz, że twój los jest z tym związany? Jeśli postanowisz tchnąć życie we własne obrazy, jeżeli przywołasz demona, zabierze on również ciebie.

W zielonych oczach dziewczyny błysnął lęk.

–Wiem.

–Dobrze.

–Nie rozumiem tylko, dlaczego demon... dlaczego Asmodeusz nie zabrał mojego wuja.

Baillard pokiwał głową na boki.

–Zło przyciąga zło – powiedział. – Jules Lascombe nie chciał poświęcić swojego życia i zmagał się z demonem. Lecz został naznaczony na zawsze.

–A jeśli nie zdołam...

–Dosyć – przerwał Baillard stanowczo. – W odpowiedniej chwili wszystko stanie się jasne.

Leonie wzięła od przyjaciela czarne zawiniątko, ukryła je w kieszeni płaszcza. Następnie podeszła do kominka. Z marmurowego obrzeża wzięła pudełko zapalek.

Stanęła przed Sajhe. Wspięła się na palce i pocałowała go w czoło.

–Dziękuję – szepnęła. – Za karty. Za wszystko.

Leonie, Audric Baillard, Louis-Anatole i Marieta wyszli z salonu do ciemnego holu.

W domu wrzały ostatnie przygotowania do odparcia szturm. Syn ogrodnika, Emile, teraz już silny, wysoki młody człowiek, organizował obronę, rozdzielając wszelką broń, jaka mu wpadła w ręce. Stary muszkiet, nóż myśliwski wyjęty z gabloty, pałki i kije. Służba pracująca poza domem uzbroiła się w strzelby myśliwskie, grabie, łopaty i motyki.

Louis-Anatole nie rozumiał zmian, jakie zaszły na znajomych twarzach. Z całych sił ścisnął rękę ciotki.

Leonie zatrzymała się na środku holu.

–Nie chcę, żebyście narażali życie – oznajmiła głośno. – Jesteście dzielni i lojalni. Doceniam to i dziękuję. Jestem pewna, że gdyby pani Izolda i mój brat żyli, w tej sytuacji powiedzieliby to samo. Tej walki nie możemy wygrać. – Rozejrzała się po zebranych. – Proszę was, błagam. Uciekajcie, dopóki możecie. Wracajcie do rodzin, do dzieci.

Nikt się nie poruszył. Od szkła portretu nad fortepianem odbiło się światło. Zbudziło chwilę zastygłą w czasie. Wspomnienie słonecznego popołudnia na Place du Perou. Jakże

to było dawno! Anatol siedzi na rozchwierutanim krześle, za nim stoi Izolda oraz ona sama, Leonie. Wszyscy troje są wyraźnie zadowoleni.

Kusiło ją, by zabrać fotografię. Nie, jednak nie. Wolno jej wywieźć tylko najpotrzebniejsze rzeczy.

I tak portret został na swoim miejscu, strzegąc domu.

Nie było już nic do zrobienia, więc Leonie, trzymając bratanka za rączkę, wymknęła się przez szklane drzwi na taras. Baillard z Marietą podążyli w ich ślady. Wtedy z wnętrza domu dobiegł ich dźwięczny głos.

–Powodzenia, madama Leonie. I tobie, pichon. Będziemy na was czekać.

–Et a vous aussi – odparł maluch słodkim głosem. – Wzajemnie, powodzenia.

Na dworze było zimno. Mróz szczypał w uszy i policzki. Leonie naciągnęła kaptur na głowę. Słyszeli ludzi podchodzących do domu od drugiej strony. Choć gniewny tłum ciągle jeszcze znajdował się w pewnej odległości, budził strach.

–Ciociu, dokąd idziemy? – spytał Louis-Anatole szeptem.

Leonie słyszała w jego głosie trwogę.

–Lasem do przecinki – odpowiedziała cicho. – Tam czeka Pascal z bryczką.

–Dlaczego tam?

–Ponieważ nie chcemy, żeby nas ktoś zobaczył albo usłyszał. Stamtąd pojedziemy do domu pana Baillarda w górach.

–To daleko?

–Tak.

Chłopiec umilkł na jakiś czas.

–A kiedy wrócimy? – zapytał jeszcze.

Leonie przygryzła wargę.

Ta wyprawa jest trochę jak zabawa w cache-cache. – Położyła palec na ustach. – Teraz musimy się pośpieszyć i cichutko, właśnie jak przy zabawie w chowanego, ukryć się, zanim zaczną nas szukać. Bardzo, bardzo cichutko.

Trzeba też być odważnym. Leonie zacisnęła dłoń na kartach.

Tak – szepnęła. – To prawda.

ROZDZIAŁ 95

–Mettez le feu!

Podpalać!

Na rozkaz Constanta napastnicy zaczęli wtykać pochodnie w żywopłot. Nie minęło kilka minut, a krzewy zajęły się ogniem. Najpierw pojawiła się błyszcząca siateczka gałązek, potem płomień ogarnął pnie, strzelając iskrami jak sztuczne ognie na ścianach La Cite.

Wtedy rozległ się kolejny okrzyk.

–A l'attaque!

Mężczyźni ruszyli przez trawniki ciemną falą. Okrążyli jeziorko, zdeptując zdobione brzegi. Wskoczyli na stopnie tarasu, zrzucając donice

Constant podążał za nimi w pewnej odległości, utykając mocno, wsparty ciężko na lasce. W dłoni trzymał papierosa, jakby szedł za paradą na Polach Elizejskich.

O godzinie czwartej, gdy zyskał pewność, że Leonie Vernier była w drodze do Coustaussy, kazał podrzucić rodzicom kolejne zamordowane dziecko. Sługa przywiózł zmasakrowane ciało na wozie zaprzężonym w woły na Place du Perou, gdzie Constant już czekał. Wystarczyła jedna iskra, by rozpalić gniew tłumu. Tak strasznych ran nie mogło zadać zwierzę. Musiała je spowodować jakaś istota, żyjąca w niezgodzie z boskim planem. Ta, która ukrywała się w Domaine de la Cade. Demon. Diabeł.

Przypadkiem był w tym czasie w Rennes-les-Bains pacholek z majątku. Ludzie zasypali go pretensjami, pytaniami, gdzie ukrywają bestię, kto jej rozkazuje. A że chłopak nie umiał odpowiedzieć na tak postawione pytania, tłum rozsierdzał się coraz bardziej.

Constant sam podrzucił ludziom pomysł, by wdarli się do domu, przekonali na własne oczy, jakie zło się tam ukrywa. Nie trzeba było wiele, żeby pomysł znalazł poklask, po kilku chwilach podżegacz dał się przekonać, by stanąć na czele ataku na Domaine de la Cade.

Zatrzymał się u stóp tarasu, dysząc ciężko. Każdy krok wymagał od niego nadludzkiego wysiłku. Patrzył, jak tłum dzieli się na dwie części: jeden ludzki strumień popłynął w stronę frontowego wejścia, drugi wdarł się po kamiennych schodach na taras.

Pierwsze buchnęły płomieniem pasiaste markizy. Jeden z młodszych mężczyzn wspiał się na bluszcz i rzucił pochodnię na złożoną tkaninę. Mimo październikowej wilgoci zajęła się ogniem nieomal natychmiast. Pochodnia spadła na kafle, powietrze zgęstniało od duszącego smrodu oliwy i palącego się płótna.

–Les diaboliques! – krzyknął ktoś w tłumie.

Widok płomieni rozpałił namiętności. W którymś oknie wypchnięto szybę, już po chwili kopniakami wybijano następne. Przez wy tłuczone szyby wciskano pochodnie, podpalano zasłony.

Trzech mężczyzn chwyciło kamienną wazę i użyło jej jako tarana. Rama tarasowych drzwi poddała się szybko, podłogę zaścieliły odłamki szkła. Motłoch wdarł się do biblioteki. Za pomocą szmat nasączonych olejem i smołą podpalano mahoniowe gabloty. Jedna po drugiej zajmowały się książki; suchy papier i stara skóra płonęły jak siano. Strzelające płomienie błyskawicznie przeskakiwały z półki na półkę.

Ktoś zdarł zasłony. Brzęczały następne szyby, wybijane krzesłami, pękające od gorąca. Ludzie o twarzach wykrzywionych gniewem i zawiścią wyrócili stół, przy którym Leonie po raz pierwszy czytała „Les Tarots”. Ktoś inny wyrwał mocowania drabiny, choć niełatwo było pokonać mosiężne wzmocnienia. Szalała pożoga.

Napastnicy wylali się na korytarz. Wkrótce dotarli do holu. Za nimi, wolniej, powłócząc nogami, zdążył Constant.

Atakujący napotkali opór u stóp głównych schodów. Obrońców było znacznie mniej niż napastników, lecz walczyli dzielnie. Oni także cierpieli za sprawą pomówień i plotek, więc bronili w jednakowym stopniu reputacji Domaine de la Cade i własnego honoru.

Któryś z lokajów, odbijając cios, uderzył napastnika w głowę. Ten zatoczył się do tyłu, z rozciętej skóry popłynęła krew.

Jedni i drudzy świetnie się znali. Razem dorastali. Nierzadko łączyły ich więzy krwi. I choć dotąd byli sąsiadami, a nawet przyjaciółmi, teraz stali się nieprzejednanymi wrogami. Mężczyzna, który swego czasu na własnych ramionach nosił do szkoły syna ogrodnika, kopnął chłopaka z całej siły podkutym butem. Emile zwinął się z bólu.

Krzyki przybierały na sile.

Ogrodnicy i inna służba, pracująca poza domem, wyposażona w strzelby myśliwskie, strzelała w tłum. Jeden z mężczyzn został ranny w ramię, inny w nogę. Trysnęła krew. Ludzie parowali ciosy, zasłaniaли się przed razami. Obrońcy walczyli dzielnie, jednak nie mieli szans, było ich za mało. Pierwszy upadł ogrodnik. Ktoś mu złamał nogę. Emile wytrzymał nieco dłużej, lecz w końcu dwóch napastników chwyciło go pod rękę, a trzeci niemiłosiernie walił pięścią w twarz, raz z jednej, raz z drugiej strony. Wszystkich trzech Emile doskonale znał. Nie tak dawno bawił się z ich synami. Chwycili go za rękę i nogi, przerzucili przez poręcz. Zdawało się, że na moment zawisł w powietrzu, po czym spadł głową w dół, huknął o posadzkę. Legł z kończynami wykręconymi pod nienaturalnym kątem. Z jego ust popłynęła strużka krwi. Oczy miał martwe.

Kuzyn Mariety, Antoine, chłopak prosty, lecz dość rozsądny, by odróżnić dobro od zła, dostrzegł znajomego mężczyznę z pasem w ręku. Ojca jednego z porwanych dzieci. Twarz

napastnika wykrzywiona była goryczą i żalostí.

Niewiele myśląc, Antoine rzucił się w przód i z całej siły oplół ramionami szyję mężczyzny, chcąc go powalić. Był ciężki i silny, jednak nie umiał walczyć. W następnej chwili już leżał na wznak. Chciał osłonić głowę rękami, lecz nie zdążył.

Dostał pasem przez twarz. Metalowa klamra trafiła w oko.

Świat powlókł się szkarłatem.

Constant stał u podnóża schodów. Dłonią osłaniał usta i nos przed gorącym. Czekał na raport swojego człowieka.

–Nie ma ich – wydyszał sługa. – Szukałem wszędzie. Ponoć uciekli z jakimś starcem i pokojówką. Mniej więcej przed kwadransem.

–Pieszo?

Sługa pokiwał głową.

–I nic więcej nie wiadomo. A to znalazłem w salonie, monsieur.

Constant wziął w drżącą rękę kartę tarota. Groteskowy obraz diabła, z dwojgiem kochanków, przykutych do cokołu u jego stóp. Trudno mu było skupić wzrok, dym wyciskał z oczu łzy. Miał wrażenie, że demon ugina się pod jakimś ogromnym brzemieniem. A kochankowie przywodzili na myśl Izoldę i Verniera.

Przetarł szczypiące oczy dłonią w rękawiczce. I wtedy przyszedł mu do głowy pewien pomysł.

–Jak się załatwisz z Gelisem, zostaw tę kartę przy jego ciele.
W najgor

szym wypadku spowodujesz całkiem przyzwoite zamieszanie.
Cała Cous—

taussa wie, że dziewczyna tam była.

Sługa postusznie kiwnął głową.

—A pan?

—Odprowadzisz mnie do powozu. Dziecko, kobieta i starzec... Daleko nie zaszli. Pewnie chowają się gdzieś na terenie majątku... Wszędzie las... ale jest jedno miejsce, gdzie mogliby się ukryć.

—Co z nimi? — Sługa wskazał walczących ruchem głowy.

Starcie dobiegało końca. Wkrótce rozpocznie się grabież. Nawet jeśli chłopakowi uda się uciec, nie będzie miał do czego wracać.

—Niech robią, co chcą.

ROZDZIAŁ 96

Droga przez las pogrążony w ciemnościach nie należała do łatwych. Louis-Anatole był silnym chłopcem, a monsieur Baillard, mimo wieku, poruszał się zdumiewająco szybko, lecz mimo wszystko szli wolniej, niżby należało. Mieli ze sobą lampę, lecz nie śmieli jej zapalić, by nie ściągnąć na siebie niczyjej uwagi.

Leonie zorientowała się, że stopy same ją prowadzą ścieżką wiodącą do grobowca, drogą, której od tak dawna skrzętnie unikała. Wspinała się po zboczach, a długi czarny płaszcz podnosił z ziemi jesienne liście i zadzierał wilgotne poszycie. Myślała o wszystkich wycieczkach, jakie sobie urządzała na terenie majątku, o polanie obrośniętej jałowcami, o miejscu, w którym Anatol stracił życie, o grobach Izoldy i brata, gdzie spoczęli oboje, jedno przy drugim... Na myśl, że pewnie już tu nie wróci, ogarnął ją smutek. Tak długo czuła się zamknięta w Domaine de la Cade, tęskniła za szerokim światem, a teraz, gdy musiała wyjechać, bardzo tego nie chciała. Skały, wzgórza, zagajniki, ścieżki prowadzące przez las na zawsze splecione były z osobą, którą się stała.

–Ciociu, daleko jeszcze? – spytał Louis-Anatole cichutko. Szli już prawie kwadrans. – Buciki mnie cisną.

–Jesteśmy prawie na miejscu. – Uścisnęła drobną rączkę. – Uważaj, żebyś się nie pośliznął.

–A wiesz, że ja się wcale nie boję pajaków? – powiedział tonem, który żywo przeczył słowom.

Dotarłszy do przecinki, zwolnili kroku. Aleja cisów, które Leonie pamiętała ze swojej pierwszej wizyty w tym miejscu, wydawała się węższa, gałęzie mocniej splecione.

Pascal czekał. Po bokach bryczki ledwo żarzyły się dwie latarnie, końskie kopyta stukwały głucho o twardą ziemię.

–Ciociu, gdzie my jesteśmy? – Ciekawość zwyciężyła strach. – To jeszcze Domaine de la Cade?

–Tak, kochanie. To jest mauzoleum.

–Tutaj się składa ludzi do grobu?

–Tak.

–Dlaczego mama i tata są pochowani gdzie indziej?

Nie od razu znalazła odpowiedź.

–Bo woleli być pod gołym niebem, wśród drzew i kwiatów. Dlatego pochowałam ich nad jeziorem. W najpiękniejszym zakątku Domaine de la Cade.

Louis-Anatole ściągnął brewki.

–Żeby słyszeli ptaki?

–Tak – odpowiedziała z uśmiechem.

–Ciociu, a dlaczego mnie tu nigdy nie przyprowadziłaś? – spytał chłopiec, robiąc krok w stronę grobowca. – Bo tu są duchy?

Chwyciła go za ramię.

–Nie mamy teraz czasu. Mina mu zrzędła.

–Chciałbym zobaczyć, co jest w środku.

–Nie teraz.

–Czy tam są pająki?

–Możliwe. Ale ponieważ ty się ich wcale nie boisz, to całkiem bez różnicy.

Louis-Anatole z powagą kiwnął głową, ale jednocześnie mocno pobleął.

Kiedyś się tam wybiorę. Jak będzie jasno.

Doskonała myśl.

Leonie poczuła na ramieniu dłoń pana Baillarda.

–Nie możemy dłużej zwlekać – odezwał się Pascal. – Musimy być da leko, kiedy Constant odkryje, że uciekliśmy z domu. – Schylił się, usadził

chłopca w bryczce. – Jak tam, pichon, gotów na spotkanie z przygodą?

Louis-Anatole pokiwał głową.

–Przed nami daleka droga – zapowiedział Pascal.

–Dalej niż do Lac de Barrenc?

–Dalej – potwierdził lokaj.

–Nic nie szkodzi – uznał chłopiec. – Marieta będzie się ze mną bawiła? – Tak.

–A ciocia będzie opowiadała ciekawe historie.

Dorośli w milczeniu porozumieli się spojrzeniami. Monsieur Baillard i Marieta wsiedli do bryczki. Pascal usiadł na koźle.

–Chodź, ciociu.

Leonie zamknęła drzwiczki. Od zewnętrznej strony.

–Dbajcie o niego, proszę.

–Nie musisz tego robić rzucił Baillard pośpiesznie. – Constant jest chory. Czas i naturalny bieg rzeczy wkrótce zakończą jego wendetę. Może wystarczy poczekać, a sprawy umrą śmiercią naturalną.

Może tak odparła z mocą. Ale nie mogę sobie pozwolić na takie ryzyko. Może to potrwać rok, trzy albo i dziesięć lat. Nie dopuszczę, żeby Louis-Anatole wyrastał w cieniu strachu, wiecznie oglądając się za siebie, obawiając się człowieka, dla którego jedynym celem jest wyrządzenie mu krzywdy. – W pamięci ujrzała Anatola wyglądającego przez okna mieszkania przy rue de Berlin. A potem Izoldę z niepokojem wodzącą wzrokiem po horyzoncie, upatrującą niebezpieczeństwa w

najmniejszym drobiazgu. – Nie pozwolę na to – rzekła stanowczo. – Louis-Anatole będzie żył bez strachu. – Uśmiechnęła się, całkowicie zdecydowana. – To się musi skończyć. Dzisiaj. Tutaj. – Nabrała głęboko powietrza. – Sajhe, wiem. że się ze mną zgadzasz.

Ich oczy spotkały się w niepewnym świetle iskrzącej lampy.

Monsieur Baillard skinął głową.

–Odłożę karty na miejsce powiedział. – Kiedy chłopiec będzie już bezpieczny, a mnie nikt nie zobaczy. Możesz mi powierzyć to zadanie.

–Ciociu? – zaniepokoił się Louis-Anatole.

–Pichon, muszę jeszcze coś zrobić – wyjaśniła Leonie bezbarwnym głosem. – Nie mogę z wami jechać teraz. Pascal, Marieta i pan Baillard się tobą zaopiekują.

Twarz mu się skurczyła, wyciągnął ręce do Leonie. W głębi duszy odgadł, że więcej się nie spotkają.

–Nie! – krzyknął. – Nie zostawiaj mnie! Ciociu!

Wychylił się z bryczki i z całych sił objął Leonie za szyję. Dziewczyna ucałowała go, pogładziła po włosach, po czym stanowczo się odsunęła.

–Nie! – krzyknął Louis-Anatole raz jeszcze.

–Bądź dobry dla Mariety – nakazała Leonie. Głos uwiązał jej w gardle. – Opiekuj się panem Baillardem i Pascalem. – Odstąpiła o krok, uderzyła dłonią w bok powozu. – Jedźcie! – poleciła. – Ruszajcie!

Pascal strzelił z bata, bryczka wyrwała do przodu. Leonie starała się nie słyszeć dziecięcego wołania, cichnącego w oddali.

Gdy cisza zastąpiła turkot kół na oszronionej ziemi, dziewczyna ruszyła ku drzwiom kaplicy. W oczach miała łzy, widziała niewiele, namacała jednak metalową klamkę. Obróciła się. spojrzała przez ramię. Opanowały ją wątpliwości. W dali. na

tle czarnego nieba, płonęła jasna łuna, spowita w iskry i chmury dymu.

Dom się palił.

Pozbyła się wszelkich oporów. Nacisnęła klamkę, pchnęła drzwi i przekroczyła próg grobowca.

ROZDZIAŁ 97

Powitało ją chłodne, ciężkie powietrze.

Oczy wolno przyzwyczajały się do mroku. Wyjęła z kieszeni pudełko zapalek, otworzyła szklane drzwiczki lampy i przytknęła płomień do knota.

Poczuła na sobie błękitne spojrzenie Asmodeusza. Ruszyła przed siebie. Malowidła na ścianie zdawały się pulsować i kołysać, jakby towarzyszyły każdemu jej krokowi. Wolno szła w stronę ołtarza. Pod jej stopami szeleścił piasek rozsypany na kamieniach.

Nie bardzo wiedziała, co robić najpierw. Ręka sama powędrowała do kart ukrytych w kieszeni. W drugiej trzymała teczkę, zawierającą obrazy jej autorstwa: jej własny portret, podobiznę Anatola i studium Izoldy, z którymi nie chciała się rozstać.

Przyznała się w końcu przed panem Baillardem, że odszukawszy karty, kilkakroć wróciła do tomu napisanego przez wuja, aż nauczyła się go na pamięć. Mimo wszystko nadal miała wątpliwości, czy rzeczywiście, jak wyjaśniał monsieur Baillard, życie zawarte w kartach i muzyka niesiona wiatrem mogą podzielać jedno na drugie w taki sposób, by wezwać ducha zamieszkującego starożytne miejsce.

Czy to w ogóle możliwe?

Rozumiała, że nie dokonają tego same karty ani tylko muzyka czy miejsce, lecz połączenie wszystkich trzech elementów.

A jeżeli opowieści mówiły prawdę, nie istniała droga odwrotu. Duchy zażądają ofiary. Już raz chciały nią zawładnąć i wówczas im się to nie udało, lecz dzisiaj zamierzała im się oddać z własnej woli, jeśli tylko wraz z nią zagarną także Constanta.

Wtedy Louis-Anatole nareszcie będzie bezpieczny.

Nagle rozległo się jakieś drapanie, potem stuknięcie. Aż podskoczyła. Rozejrzała się wokół spłoszona, szukając przyczyny hałasu, i zaraz z ulgą uświadomiła sobie, że to tylko gałęzie drzewa zastukały w szybę.

Postawiła lampę na ziemi. Potarła drugą zapałkę i zapaliła wysokie świece, umieszczone w kinkietach na ścianie. Z każdej najpierw spływały grube krople tłuszczu, zastygające na zimnym metalu, lecz w końcu wszystkie świece zapłonęły. Wnętrze grobowca wypełnił drżący złoty blask.

Osiem portretów na ścianach apsydy obserwowało każdy jej ruch. Znalazła przed ołtarzem miejsce, gdzie pokolenie z górą wcześniej Jules Las-combe wypisał nazwę posiadłości, wyrażoną czterema literami, umieszczonymi w czterech rogach kamiennego kwadratu. C-A-D-E.

Nie wiedząc, czy robi dobrze, czy źle, wyjęła z kieszeni talię kart, odwinęła je z czarnego jedwabiu i ułożyła pośrodku kwadratu. W myślach dźwięczały jej słowa zmarłego wuja, zapisane jego ręką. Obok talii umieściła namalowane przez siebie obrazy. Nawet nie wyjęła ich z teczki, zaledwie ją rozwiązała.

„Za sprawą ich mocy przejdę do innego wymiaru”.

Podniosła głowę. Wszystko zamarło. Poza ścianami grobowca wiatr zawodził w gałęziach drzew. Słuchała uważnie. Dym ze świec nadal szedł do góry prostą strugą, ale coś się zmieniło. Gdzieś w tle odezwała się muzyka, ledwo słyszalna, wtórująca wiatrowi poruszającemu gałęziami cisów. Wreszcie, tak, stało się. Wśliznęło się w szczelinę pod drzwiami, przesączyło przez szpary w okiennych witrażach.

„Zafalowało powietrze, wydało mi się, że nie jestem sam”.

Leonie uśmiechnęła się na wspomnienie dobrze znanych słów. Teraz się nie bała. Czuła jedynie ciekawość. A w jednej ulotnej chwili, gdy podniosła wzrok na ośmiokątną apsydę,

odniosła wrażenie, że La Force się poruszyła. Że przez malowaną twarz przemknął leciuteńki uśmiech. I że przez moment dziewczyna z obrazu wyglądała identycznie jak ona, jak Leonie, miała jej twarz, jej miedziane włosy i zielone oczy o ufnym spojrzeniu.

„Ja i moje inne byty, przeszłe oraz należące do przyszłości, spotkały się w jednym miejscu”.

Wokół dziewczyny rozpoczął się jakiś ruch. Czy to duchy wracały do życia, czy ożywały karty, nie umiała powiedzieć. Kochankowie na jej oczach upodobnili się do Izoldy i Anatola. W twarzy La Justice, trzymającej w dłoni wagę, ubranej w długą szatę, o rąbku podkreślonym nutami, przez ulotny moment dostrzegła rysy bratanka. I wreszcie kątem oka zauważyła Audrica Baillarda, zwanego przez przyjaciół Sajhe, pod postacią młodego Le Pagad.

Stała bez ruchu, pozwalając się omywać muzyce. Twarze, stroje, krajobrazy zdawały się opływać ją niczym spokojny strumień, połyskliwe jak gwiazdy, obracały się w srebrzyście lśniącym powietrzu, niesione niewidocznym nurtem melodii. Zgubiła poczucie własnej odrębności. Wymiary, przestrzeń, czas i ciężar – wszystko straciło znaczenie.

Drżenie powietrza, poruszenie w przestrzeni. To zapewne duchy. Ocierały się o jej ramiona i szyję, muskały czoło, otaczały ją, delikatnie, słodko, bez prawdziwego dotyku. Chaos narastał, wzmagająca się bezgłośnie kakofonia szeptów i westchnień.

Leonie wysunęła ręce przed siebie. Czowała się leciutka jak piórko, przezroczysta, jakby płynęła cała zanurzona w wodzie, jakby sama stała się wodą, choć czerwona suknia nadal zwyczajnie spływała ku ziemi, podobnie jak czarny płaszcz, zarzucony na ramiona. Tamci czekali, aż do nich dołączy. Obróciła dłonie wnętrzem do góry i ujrzała całkiem wyraźnie symbol nieskończoności, wyciśnięty na jasnej skórze. Pozioma ósemka.

–Aici lo tems s'en, va res l'Eternitat.

Słowa same wybiegły z jej ust. Teraz, po tak długim czekaniu, nie miała żadnych wątpliwości co do ich znaczenia.

„Tutaj, w tym miejscu, czas odpływa ku wieczności”.

Leonie uśmiechnęła się i myśląc o bratanku, którego zostawiła w dobrych rękach, o matce, bracie i ciotce, którzy na nią czekali – wstąpiła w krąg światła.

Powóz podskakiwał gwałtownie na nierównej drodze, aż Constantowi otworzyło się kilka wrzodów na dłoniach i plecach. Czuł, jak ropa przesącza się przez bandaż.

Nareszcie wysiadł.

Dźgnął ziemię nieodłączną laską. W tym miejscu stały dwa konie. Całkiem niedawno. Ślady kół zdradzały, że był to tylko jeden powóz i że oddalił się od grobowca.

–Zaczekaj! – rzucił Constant słudze.

Między cisami flankującymi aleję prowadzącą wprost do kaplicy ciskał się niespokojny, dziwnie porywisty wiatr. Constant ciaśniej zasunął płaszcz pod brodą. Uniósł głowę, pociągnął nosem. Niewiele mu zostało po zmyśle węchu, a przecież mimo wszystko docierał do niego jakiś fatalny odór. paskudna mieszanka kadzidła i cuchnącej woni gnijących wodorostów.

Chociaż oczy łzawiły mu z zimna, widział wyraźnie, iż we wnętrzu pali się światło. Myśl o chłopcu ukrytym w grobowcu dodała mu nowych sił. Ruszył naprzód, nie zwracając uwagi na dziwne dźwięki. Na szum przypominający płynącą wodę, na pogwizdywanie, jakby wiatru trącającego druty telegrafu, czy drżenie szyn, po których nadjeżdża pociąg.

Prawie jak muzyka.

Nie miał najmniejszego zamiaru przejmować się sztuczkami, jakimi Leonie Vernier chciała odwrócić jego uwagę. Nie robiło na nim wrażenia światło, dym ani dźwięki.

Stanąwszy przed ciężkimi drzwiami, nacisnął klamkę. Niewiele to dało, drzwi ani drgnęły. Od razu się domyślił, że zostały zaryglowane albo zabarykadowane, mimo wszystko jednak spróbował jeszcze raz.

Co ciekawe, otwały się natychmiast. Mało brakowało, a straciłby równowagę. Na wpół wszedł, na wpół wpadł do kaplicy.

Dziewczyna była zwrócona do niego plecami. Stała przed niewielkim ołtarzem w ośmiokątnej apsydzie. Wcale nie próbowała się ukrywać. Natomiast chłopaka ani śladu.

Constant wyciągnął szyję, zerknął w lewo, w prawo. Niezgrabnie ruszył nawią. Jego laska stuknęła o kamienie. Po lewej, tuż za drzwiami, dostrzegł pusty cokół z poszarpaną górą, jakby ktoś wydarł z niego rzeźbę. Gipsowe postacie świętych, ustawione wzdłuż ścian za rzędami skromnych ław, odprowadzały go wzrokiem.

Nie bez trudu szedł w stronę ołtarza.

–Mademoiselle Vernier – odezwał się ostro, zirytowany jej obojętno

ścią.

Nadal się nie poruszyła. W zasadzie chyba w ogóle nie zdawała sobie sprawy z jego obecności.

Constant zatrzymał się, opuścił wzrok. Na posadzce przed ołtarzem leżały karty tarota.

–Cóż to za nedorzeczności? – rzucił i wszedł w obrys kwadratu.

Dopiero wtedy Leonie się do niego odwróciła. Kaptur zsunął jej się na

plecy. Constant odruchowo zasłonił oczy przed blaskiem. Uśmiech zwiądnął mu na ustach. Nic nie rozumiał. Widział dziewczynę, rozpoznawał rysy jej twarzy, śmiałe spojrzenie, miedziane włosy, teraz puszczone luźno, nie miał wątpliwości, że patrzy na osobę, którą znał z portretu ukradzionego z mieszkania przy rue de Berlin, lecz było w niej coś niezwykłego. Zmieniła się w nieziemską istotę.

Mało tego, gdy tak patrzył, zahipnotyzowany i oślepiiony, na jego oczach zaczęła się zmieniać. Skóra jej zaczęła prześwitywać, zaznaczyły się mięśnie, ścięgna, kości. Zarys czaszki.

Constant krzyknął.

Coś na niego spadło, jakiś napastnik, jakiś wróg, a cisza, która ciszą być przestała, przerodziła się w kakofonię jęków i zawodzenia. Zasłonił uszy, lecz ostre szpony, twarde pazury bezlitośnie odciągnęły mu dłonie, nie zostawiając na nich śladów.

Malowane postacie zstąpiły ze ścian, zmienione we własne mroczne podobizny. Ich paznokcie przerodziły się w szpony, zęby w kły, oczy w sztylety z ognia i lodu. Constant upuścił laskę, osłonił głowę ramieniem. Upadł na kolana. Brakowało mu tchu, serce biło w piersi jak oszalałe. Próbował przesunąć się do przodu, wyjść z fatalnego kwadratu, lecz jakaś niewidzialna siła niczym wszechwładny wichur spychała go do tyłu. Wycie i dźwięki muzyki przybrały na sile. Wydawało mu się, że dochodzą gdzieś z zewnątrz, choć echem odbijały się w jego głowie. I rozrywały mózg.

–Nie!

Protest nie pomógł. Głosy brzmiały coraz potężniej, odzywały się coraz gęściej.

Podniósł na Leonie pytające spojrzenie. Ale dziewczyny już nie było. Lub, jeśli była, on jej nie dostrzegał, oślepiiony jaskrawym światłem. Nawet powietrze dookoła miejsca, gdzie widział ją jeszcze przed chwilą, jarzyło się nieznośnym blaskiem.

Wtedy gdzieś zza niego albo może może spod jego skóry wydarł się nowy dźwięk. Skrobanie, jakby zwierzęce szpony drapały mu kości. Cofnął się o krok, drganie targnęło jego ciałem, krzyknął w męczarni i padł na ziemię.

Raptem coś mu zaciążyło na piersiach, owionął go smród ryby i smoły. Tuż przed twarzą ujrzał demona. Złowieszczego i zdeformowanego, o czerwonej skórze i z rogami na czole, o przeszywającym spojrzeniu niebieskich oczu. Asmodeusza. Demona, który nie miał prawa istnieć. I z pewnością nie istniał. Tylko dlaczego patrzył mu prosto w oczy?

–Nie!!!

Po raz ostatni zaczerpnął powietrza, a potem demon go zagarnął.

W jednej chwili wrócił spokój. Szepty i westchnienia powoli zamierały. aż wreszcie nastąpiła cisza. Karty zostały, rozrzucone na ziemi. Twarze na malowidłach stały się znów dwuwymiarowe, płaskie, lecz zaszły w nich subtelne zmiany. Stały się podobne do ludzi, którzy żyli w Domaine de la Cade. Upodobniły się do malowideł Leonie.

Sługa Constanta ukrył się przed wiatrem, dymem i światłem. Słyszał krzyk pana, raz, a potem drugi. Nieludzki odgłos sparaliżował mu członki.

Dopiero teraz, gdy wszystko się uspokoiło, światła w grobowcu przygasły, znalazł w sobie dość odwagi, by wyjść z ukrycia. Wolno zbliżył się do drzwi. Były uchylone. Pchnął je z ociąganiem, otworzyły się łatwo.

–Monsieur? Wszedł do środka.

–Monsieur? – zawołał ponownie.

Strumień powietrza, niby potężny wydech, opróżnił kaplicę z dymu jednym chłodnym tchnieniem, które zgasiło świece. Zostało tylko światło lampy stojącej na ziemi.

Dostrzegł ciało pana od razu. Victor Constant leżał na podłodze, tuż przed ołtarzem, twarzą do dołu. A wokół niego rozsypano talię kart. Sługa szybkim krokiem podszedł do pana, odwrócił wychudzone ciało na plecy i aż się cofnął. Przez twarz Victora Constanta biegły trzy głębokie czerwone rozcięcia, jak ślady pazurów dzikiego zwierza.

Albo szponów. Jak znaki na buziach, które on sam, na rozkaz pana, wycinał na twarzyczkach porwanych i zamordowanych dzieci.

Odruchowo uczynił znak krzyża. Pochylił się, by zamknąć oczy swego pana, szeroko rozwarte przerażeniem. Raptem zamarł w pół gestu. Na piersi Constanta, dokładnie na jego sercu, leżała jedna karta. Le Diable.

Skąd się tutaj wzięła?

Zaskoczony sługa wsunął rękę do kieszeni. Przysięgłby, że tam ją włożył, gdy pan rozkazał zostawić kartonik jak wizytówkę przy ciele proboszcza Gelisa w Coustaussie.

Kieszeń była pusta.

Czyżby karta wypadła?

Jedyne sensowne wyjaśnienie.

W chwili gdy zrozumiał, co się naprawdę stało, zatoczył się do tyłu, niezgrabnie poderwał na nogi i pobiegł do wyjścia, odprowadzany niewidzącymi spojrzeniami rzeźbionych postaci. Uciekł z grobowca, jak najdalej od wykrzywionej twarzy na karcie.

Gdzieś w dolinie odezwał się dzwon wieszczący północ.

CZĘŚĆ XII Ruiny

Październik 2007

ROZDZIAŁ 98

Domaine de la Cade

Środa, 31 października 2007

–Proszę pani! – zawołał Hal po raz kolejny.

Minęła dwunasta piętnaście. Od kwadransa bezskutecznie czekał przed domem pani O'Donnell. O umówionej porze pukał i wołał, a że nikogo nie zastał, wybrał się do sąsiadów. Nie miał szczęścia. Tam również nikogo nie było. Wrócił, ponownie zastukał i zawołał. Nadal nic.

Na pewno trafił we właściwe miejsce, bo sprawdzał adres kilkakrotnie. Nie przypuszczał też, żeby pani O'Donnell zapomniała o spotkaniu. Starał się być dobrej myśli, ale z każdą mijającą chwilą było to coraz trudniejsze. Gdzie ona się podziała? Rano były koszmarnie korki, może coś ją zatrzymało? Albo bierze prysznic i nie słyszy, że ktoś się dobija?

Najgorszy scenariusz i, niestety, najbardziej prawdopodobny, zakładał możliwość, że pani archeolog się rozmyśliła. Szanowna pani Shelagh postanowiła jednak nie jechać na policję. Z całą pewnością nie lubiła władz, więc Hal wcale by się nie zdziwił, gdyby bez jego i Meredith wsparcia postanowiła się wycofać.

Przeczesał palcami gęste włosy, cofnął się kilka kroków i uważnym spojrzeniem zmierzył okna przesłonięte okiennicami.

Dom stał w środku długości ulicy, z jednej strony odgradzony od chodnika płotem z bambusowej plecionki, z drugiej wychodził na rzekę. Halowi przyszło do głowy, że wypadałoby zajrzeć do ogrodu. Poszedł wobec tego do końca ulicy i zawrócił ścieżką nad samym brzegiem Aude. Od tej strony domy wyglądały inaczej, nie tak łatwo było określić, który jest który, jednak udało mu się zorientować po kolorze ścian. Jeden dom pomalowano błękitną farbą, następny bladożółtą, i tak dalej, aż zlokalizował posesję Shelagh O'Donnell.

Pod kątem prostym do żywoplotu ciągnął się niewysoki murek. Hal podszedł bliżej, by zerknąć na taras. Obudziła się w nim nadzieja. Wyglądało na to, że jednak w domu ktoś jest.

–Proszę pani! zawołał. – To ja! Hal Lawrence!

Cisza.

–Proszę pani! Już piętnaście po dwunastej!

Nadal żadnej odpowiedzi. A przecież ją widział. Leżała, chyba twarzą do dołu, na niewielkim tarasie tuż przy domu. Dziwne. Co prawda, miejsce było osłonięte od wiatru, a październikowe słońce grzało w tym roku wyjątkowo mocno, jednak mimo wszystko trudno było uznać taką pogodę za zachęcającą do opalania. Może czyta książkę? Nie widział dokładnie, bo spoglądał przez liście dwóch dziczających platanów.

Wszystko jedno, pomyślał zirytowany. Nie powinna udawać, że mnie nie słyszy.

–Proszę pani?

W kieszeni zadrgał mu telefon. Odruchowo wyjął aparat, odczytał SMS.

MAM JE. TERAZ GROBOWIEC.

Nic nie rozumiejąc, przyglądał się słowom na ekranie, aż wreszcie mózg zaczął pracować. Uśmiechnął się.

–Przynajmniej Meredith ma jakieś wyniki.

On też nie zamierzał rezygnować. Za dużo wysiłku kosztowało go przekonanie policjantów, by znaleźli dla niego czas. Nie zamierzał wszystkiego zawalić przez humory Shelagh O'Donnell.

–Proszę pani! Wiem, że pani jest w domu!

Dziwne, naprawdę dziwne. Nawet jeśli zmieniła zdanie, powinna mu o tym zwyczajnie powiedzieć, a nie udawać głuchą. Przesząpił z nogi na nogę i wreszcie podjąwszy decyzję, podciągnął się na murek. W kilku krokach dotarł do budynku.

Na tarasie leżał ciężki, gruby kij na wprost wepchnięty pod żywopłot. Hał wziął go w rękę. Na wszelki wypadek. I nagle zorientował się, że na drewnie widnieją charakterystyczne ślady.

Krew.

Podbiegł do Shelagh O'Donnell. Nadal leżała bez ruchu, ale teraz wystarczył rzut oka, żeby wiedzieć dlaczego. Dostała solidnie po głowie, i to więcej niż raz. Sprawdził puls. Słaby, ale był. Oddychała, chociaż nie wyglądała najlepiej.

Wyrwał z kieszeni telefon i drżącymi palcami wcisnął numer pogotowia. Trzy razy podał adres, wreszcie poniosły go nerwy.

–Maintenant! – krzyknął. – Natychmiast! Oui, elle souffle! Mais vite, alors!

–Oddycha, oddycha, ale się pośpieszcie, na litość boską.

Rozłączył się, wpadł do domu. Chwycił pled rzucony na oparcie sofy i już był z powrotem na tarasie. Okrył Shelagh starannie, nie próbując jej ruszać. Potem wyszedł frontowymi

drzwiami. Czuł się winny, że zostawia ją samą, ale nie mógł czekać na karetkę. Musiał wracać. Jak najszybciej.

Załomotał do drzwi sąsiadów. Tym razem miał więcej szczęścia, właścicielka zdążyła wrócić do domu. W dwóch słowach opowiedział wstrząśniętej kobiecie, co się stało, poprosił, by się zajęła panią O'Donnell do przyjazdu karetki, i pomknął do samochodu, zanim zdążyła zaprotestować.

Błyskawicznie uruchomił silnik, wcisnął gaz. Nie miał wątpliwości, kogo winić. Musiał wracać do Domaine de la Cade. I znaleźć Meredith.

Julian Lawrence zatrzasnął drzwiczki i ruszył w górę schodami prowadzącymi do hotelu.

Tylko bez paniki.

Twarz miał mokrą od potu. Potknął się, oparł o wielki stół. Najpierw do biura. Trzeba opanować nerwy. Potem wymyślić, co robić dalej.

–Proszę pana! Monsieur!

Obejrzał się przez ramię. Niewiele widział, obraz mu się zamazywał.

–Ach, to Eloise.

Recepcjonistka uniosła rękę na powitanie.

–Dzień dobry panu... – Urwała gwałtownie. – Co się stało?

–Nic! – uciął. Wskazał kartkę papieru, którą trzymała w dłoni. – Co to jest?

–Pana bratanek prosił o przekazanie.

Wyszarpnął jej notkę. Kilka słów od Hala. Wiadomość krótka i

treściwa. Prośba o spotkanie o czternastej. Julian zmiął kartkę.

–O której to zostawił? – spytał.

–Okolo dziesiątej trzydzieści, zaraz po pana wyjściu.

–Jest w hotelu?

–Wydaje mi się, że tuż przed południem pojechał do Rennes-les-Bains. Odnoszę wrażenie, że był umówiony z panią, która odwiedziła nas wcześniej. O ile mi wiadomo, jeszcze nie wrócił.

–Amerykanka z nim pojechała?

–Nie. Poszła do ogrodu. – Recepcjonistka przeniosła spojrzenie na drzwi tarasu.

–Dawno?

–Co najmniej godzinę temu.

–Powiedziała, co zamierza robić? Dokąd konkretnie się wybiera? Słyszałaś jej rozmowę z Halem? Wiesz cokolwiek?

W oczach kobiety odbił się niepokój, odpowiedziała jednak zupełnie spokojnie: –Nie, proszę pana. Chociaż...

–Co?!

–Pytała, gdzie pożyczyc... nie znam angielskiego słowa... unepelle. Julian zamarł.

–Łopatę?

Plasnął dłońmi o blat, aż recepcjonistka odskoczyła w tył. Na gładkiej powierzchni zostały dwie mokre plamy.

Panna Martin nie pytałaby o łopatę, gdyby nie zamierzała kopać. Wybrała dogodny moment, kiedy jego nie było na miejscu.

–Karty – mruknął. – Ona wie, gdzie ich szukać.

–Qu'est-ce qu'il y a, monsieur? – spytała nerwowo Eloise. – Vous sem-blez...

Julian nie zadał sobie trudu, by jej opowiadać, co się stało i

dlaczego wydaje się nieswój. Obrócił się na pięcie, w kilku krokach znalazł się przy drzwiach tarasu i otworzył je z takim rozmachem, że odbiły się od ściany.

–Co mam powiedzieć panu Halowi? – zawołała za nim recepcjonistka.

Nie doczekała się odpowiedzi. Zobaczyła tylko, jak jej pracodawca szybko się oddala. Nie w stronę jeziora, jak pani Martin nieco wcześniej, ale do lasu.

ROZDZIAŁ 99

Między dwoma rzędami cisów zostało wspomnienie alejki. Zdawała się prowadzić donikąd, lecz gdy Meredith powiodła za nią wzrokiem, odkryła zarys fundamentów i kilka większych kamieni, które z pewnością znalazły się na swoich miejscach nieprzypadkowo.

To tutaj.

Przyciskając do siebie skrzynkę z kartami, ruszyła wolno w stronę miejsca, gdzie kiedyś stał grobowiec. Trawa była mokra, jakby niedawno padało. Panowała tu atmosfera zapomnienia i zaniedbania. Kawałek ziemi odcięty od świata.

Dziewczyna z trudem powstrzymywała rozczarowanie. Wielki mi grobowiec! Raptem parę kamieni w miejscu zewnętrznej ściany – i to wszystko. Poza tym wszędzie trawa.

Przyjrzyj się uważniej, nakazała sobie.

Podeszła bliżej. I rzeczywiście, grunt nie był jednolity ani płaski. Przy odrobinie wyobraźni można było dojrzeć zarysy grobowca. Na wyraźnie zwilgotniałej łące.

Ścisnęła mocniej uchwyty kuferka i zrobiła jeszcze jeden krok. Zorientowała się, że odruchowo podniosła nogę wyżej.

Jakbym przestępowała próg.

Światło na wprost wydało jej się dziwnie zmienione. Gęściejsze, bardziej opalizujące. Wiatr przybrał na sile, dźwięczał w uszach jak powtarzająca się nuta albo poświstywanie drutów na słupach telefonicznych. Zdawało jej się, że dociera do niej ledwo wyczuwalna woń kadzidła i mocny zapach wilgotnego kamienia. Zapachy dawnych obrzędów.

Postawiła kuferek na ziemi, wyprostowała się i uważniej rozejrzała dookoła. Z wilgotnej ziemi uniosła się mgiełka. Po

chwili rozbłysły w niej szpileczki światła. Jedna po drugiej zawisały na granicy ruin niby płomyki świec zapalonych niewidzialną ręką. W miarę jak kolejne kręgi blasku łączyły się ze sobą, powstawał kształt zburzonych ścian grobowca. A pod mglistym welonem na ziemi Meredith ujrzała zarys czterech liter: C-A-D-E. W każdym razie tak jej się zdawało. Zrobiła następny krok. Miała pod stopami zupełnie inną powierzchnię. Nie ziemię i nie trawę. Twarde, zimne kamienie.

Uklękała, nie zwracając uwagi na wilgoć sączącą się przez dzinsy. Wyjęła z kufierka talię kart. zatrzasnęła wieko. Nie chciała zniszczyć talii, więc zdjęła kurtkę, przykryła nią kuferek i dopiero wtedy zaczęła tasować karty. Tak jak ją uczyła Laura. Spokojnie, z namysłem. Wreszcie podzieliła talię na dwie części, obie położyła na prowizorycznym stoliku: jedną dalej od siebie, drugą bliżej.

„Nie mogę zasnąć”.

Oczywiście, nie umiała sobie powróżyc. Za każdym razem, gdy przeglądała notatki zrobione po wizycie u Laury, czuła się bardziej skołowana. Teraz chciała więc tylko odsłonić karty, najlepiej pewnie osiem sztuk, i przyjrzeć im się przez pryzmat muzyki tego miejsca. Może uda jej się dostrzec jakiś wzór.

Aż zdradzą jej prawdę, zgodnie z obietnicą Leonie.

Odsłoniła pierwszą kartę i uśmiechnęła się do znajomej twarzy La Ju-stice. Mimo tasowania i przekładania na wierzchu została ta sama, co w suchym korycie rzeki.

Drugą okazała się La Tour, karta konfliktów i zagrożenia. Dziewczyna ułożyła ją obok pierwszej i pociągnęła następną. Spojrzały na nią jasne oczy. Le Pagad. Stał jak zwykle, zjedną dłonią uniesioną w górę, drugą wskazującą ziemię, z symbolem nieskończoności nad głową. Postać niosąca ze sobą odrobinę zagrożenia i niepewność. Ani całkiem pozytywna, ani zupełnie negatywna. Meredith odniosła wrażenie, że zna tę twarz, choć nie potrafiła jej połączyć z konkretną osobą.

Czwarta karta wywołała uśmiech na jej wargach. Le Mat. Anatol Vernier, w jasnym garniturze, na głowie płaski letni kapelusz, w dłoni laska. Tak jak namalowała go siostra. Dalej La Pretresse, Izolda Vernier, piękna, elegancka, wyrafinowana, dojrzała. Następnie, Les Amoureux, a więc Izolda i Anatol jako para.

Siódmą karłą okazał się Le Diable. Dłoń dziewczyny zawisła na moment w powietrzu. Złośliwa figura przybrała postać Asmodeusza. Demon, uosobienie strachu, personifikacja strasznych zdarzeń, opowiedzianych w książce pana Audrica S. Baillarda. Historie o złu, dawnym i obecnym.

Meredith wiedziała już, jaką kartę wyciągnie ostatnią. Przecież odkryła wizerunki wszystkich dramatis personae. obrazy malowane przez Leonie, odmienione nieco, by mogły opowiedzieć szczególną historię.

Czas płynął wstecz. Obudził mocną woń kadzidła i kolory z przeszłości. Teraźniejszość rozszerzała się, łącząc wszystko, co się już wydarzyło, z tym, co dopiero miało nastąpić. Jednocząc to w akcie odkrywania kart.

Przeszłość miesza się z teraźniejszością.

Dotknęła ostatniej karty czubkami palców. Nie musiała jej odwracać, by poczuć, jak z cieni występuje Leonie.

Karta VIII: La Force.

Na pewno. Patrząc na zdobioną koszulkę, usiadła na ziemi, nie czując chłodu ani wilgoci. Powiodła wzrokiem po ośmiu kartach, rozłożonych na kuferku. Oktawa. Nagle zdała sobie sprawę, że obrazy zaczęły się zmieniać. Najpierw jej spojrzenie przyciągnął Le Mat. Z początku pojawiła się tylko plamka koloru, której wcześniej nie było. Kropla krwi, tak maleńka, że ledwo zauważalna, szybko urosła w szkarłatny kwiat na jasnym garniturze. Zakryła jego serce. Anatol zatopił w oczach dziewczyny bolesne spojrzenie.

Meredith aż się zatchnęła. Bała się, i to bardzo, ale jednocześnie nie umiała oderwać wzroku od umierającego Verniera. Białą odziana postać osunęła się wolno na ziemię malowanego krajobrazu, odsłaniając Soula-rac i drugi szczyt. Beżu.

Nie chciała dłużej patrzeć, a przecież czuła, że nie ma wyboru. Ruch na kolejnej karcie przyciągnął jej wzrok. La Prctresse. Najpierw z karty numer II spoglądała na Meredith piękną i spokojną twarz Izoldy Vernier, pogodnej kobiety w długiej błękitnej sukni i białych rękawiczkach, podkreślających smukłe palce i szczupłe ramiona. Po chwili rysy zaczęły się zmieniać, twarz straciła różowy odcień, powlokła się niebieskawą bladością. Oczy się rozszerzyły, ręce ślizgały nad głową, jakby Izolda płynęła. Jakby leciała?

Topielica.

Echo śmierci matki Meredith.

Karta pociemniała, suknia wydyła się na wodzie, oblepiła smukłe nogi w kosztownych pończochach, połyskiwała mętną zielenią podwodnego świata. Miękkie palce zsunęły kremowe pantofelki ze stóp.

Wreszcie oczy Izoldy się zamknęły. Jeszcze tylko w ostatniej chwili Meredith dostrzegła w nich ulgę. Nie strach przed śmiercią, nie lęk przed utonięciem, lecz ukojenie. Jak to możliwe? Czy życie stało się dla niej aż takim ciężarem, że śmierć była wyzwoleniem?

Przeniosła wzrok na koniec rzędu, na Le Diable, i na jej wargach wykwit! uśmiech. Dwie postaci, przykute do cokołu, zniknęły. Zwisaly z niego puste łańcuchy. Asmodeusz został sam.

Meredith odetchnęła głęboko.

Zaraz, a co z Leonie? Skoro karty potrafiły snuć opowieść, chciała poznać historię dziewczyny. Jakoś jednak ciągle nie potrafiła odwrócić ostatniego kartonika. Chociaż chciała poznać

prawdę, równocześnie obawiała się historii, którą zobaczy na ruchomym obrazie.

Wsunęła paznokieć pod róg papieru, nabrała głęboko powietrza, zamknęła oczy i policzyła do trzech.

Karta była pusta.

Meredith uniosła się na kolana, nie wierząc własnym oczom. Podniosła kartę, obróciła w jedną, potem w drugą stronę. Nic się nie zmieniło. Nadal była całkiem biała. Nawet bez śladu zieleni czy błękitu krajobrazu południa.

Wówczas uświadomiła sobie, że słyszy coś, na co powinna zwrócić uwagę. Trzask gałązki, potem zgrzyt kamieni na ścieżce, nagły łopot ptasich skrzydeł.

Wstała, obejrzała się przez ramię, ale nic nie zobaczyła.

–Hal?

Tysiąc myśli przemknęło jej przez głowę w tej jednej chwili, a żadna z nich nie niosła ze sobą uspokojenia. Odepchnęła je od siebie. Na pewno Hal. Przecież wiedział, dokąd się wybrała. On i nikt inny.

–Hal? To ty?

Kroki się zbliżały. Ktoś szedł szybko przez las. słyszała szelest liści. Jeśli to on, dlaczego nie odpowiada?

–Hal? Daj spokój, mało śmieszna zabawa.

Nie wiedziała, co robić. W zasadzie powinna wiać, gdzie pieprz rośnie, a nie sterczeć na odsłoniętej polanie i zastanawiać się, kto to taki oraz czego może chcieć.

Nie. Nie przesadzajmy.

Usiłowała sobie tłumaczyć, że to jakiś gość hotelowy wybrał się do lasu na spacer. Każdemu wolno. A przecież jednocześnie prędko spakowała karty. Zauważyła przy tym, że kilka innych także pobiełało. Choćby La Tour, którą wyciągnęła jako drugą. I

Le Pagad też był teraz pusty.

Ze zdenerwowania i zimna plątały jej się palce. Gdy chwyciła całą talię, miała wrażenie, jakby pająk przebiegł jej po skórze. Strzepnęła dłonią, żeby go zrzucić z nadgarstka, lecz nic tam nie było. Dziwne, bo nadal go czuła.

I na dodatek pojawił się nowy zapach. Właściwie: odór. Zniknęła jesienna woń opadłych liści i wilgotnego kamienia, odszedł zapach kadzidła, tak wyraźny jeszcze kilka minut wcześniej. Zamiast nich pojawił się fetor zgniłej ryby albo stojącej wody morskiej. I jeszcze smród ognia. Nie jesiennych ognisk z doliny, ale gorącego popiołu i kwaśnego dymu. Rozpalonego do czerwoności kamienia.

Wszystko to trwało tylko chwilę. Meredith zamrugła, gwałtownie przywołana do rzeczywistości. Kątem oka zauważyła jakiś ruch. Zwierzę. Porośnięte matowym czarnym futrem. Na wpół ukryte w poszyciu. Okrężyło polanę. Dziewczyna zastygła. Było wielkości wilka albo dzika. Nie wiedziała, że we Francji ciągle jeszcze są wilki! Dziwacznie przeskakiwało z łapy na łapę. Przycisnęła do siebie kuferek. Teraz już widziała zniekształcone przednie kończyny i poznaczoną bliznami skórę. Na sekundę stwor zwrócił na nią przenikliwe spojrzenie błękitnych oczu. Poczowała przeszywający ból w piersiach, jakby ktoś jej wbił w serce ostry nóż. Ale stwor już odwrócił od niej wzrok i ból minął.

Usłyszała wyraźny hałas. Odruchowo spuściła wzrok. Waga wypadła z ręki postaci na karcie numer XI. To ciężkie metalowe szale zabrzęczały, uderzając o kamienną podłogę na rysunku.

Idę do ciebie.

Dwie historie nałożyły się na siebie, tak jak przepowiedziała Laura. Przeszłość i terażniejszość połączyły się za sprawą kart.

Meredith zmartwiała. Bo wypatrując zagrożenia zbliżającego się przez las. wytyczając wzrok, by dostrzec, kto wyłoni się spomiędzy drzew, zapomniała o niebezpieczeństwie nadciągającym z drugiej strony.

Za późno na uciezkę.

Ten ktoś... to coś było tuż za jej plecami.

ROZDZIAŁ 100

–Daj mi karty.

Serce podeszło Meredith do gardła.

Obróciła się gwałtownie, przycisnęła do siebie talię i odruchowo się cofnęła.

Julian Lawrence, dotąd zawsze mężczyzna o nieskazitelnej powierzchowności, czy to w Rennes-les-Bains, czy w hotelu, teraz wyglądał jak wrak człowieka. Koszulę miał rozpiętą, pogniecioną i mokrą od potu. W jego oddechu czuć było kwaśny zapach brandy.

–Coś tu jest – powiedziała, zanim pomyślała. Słowa same wyrwały jej

się z ust. – Chyba wilk albo coś takiego. Widziałam. Tuż za ścianami.

Nie zrozumiał.

–Za jakimi ścianami? Tu nie ma żadnych ścian.

Meredith rozejrzała się dookoła. Świece nadal płonęły, cienie opierały się o mury wizygockiego grobowca.

–Pan ich nie widzi? – zdziwiła się. – Są całkiem wyraźne. A światła we

wnętrzu kaplicy?

Na wargi mężczyzny powoli wypełził uśmiech.

–Tak, tak, wszystko jasne – powiedział. – Nic z tego, moja miła. Wilki, drapieżcy, duchy i demony, wszystko to bardzo istotne sprawy, ale i tak mi nie przeszkodzisz. Nie powstrzymasz mnie. Tak czy inaczej dostanę, czego chcę. – Podszedł krok bliżej. – Daj karty.

Cofnęła się o krok. Przez chwilę kusiło ją, by posłuchać. W końcu znajdowała się w jego majątku, kopała w jego ziemi, i to bez pozwolenia. To ona postąpiła źle, nie on.

Wystarczyło jednak spojrzeć na jego twarz, by utwierdzić się w postanowieniu. Lodowato niebieskie oczy o rozszerzonych źrenicach. Bała się. Tkwili w tej odludnej okolicy tylko we dwoje. W promieniu paru kilometrów – żywej duszy.

Co robić? Trzeba zwlekać. Może uda się coś wymyślić. Obserwowała go uważnie, gdy rozglądał się po polanie.

–Tu je znalazłaś? – spytał. Nie – odpowiedział sam sobie. – Tutaj to i ja szukałem. I nie znalazłem. Tu ich nie było.

Jeszcze kilka godzin wcześniej nie była szczególnie skłonna wierzyć w historyjki Hala na temat stryja. Nawet jeśli pani O'Donnell miała rację, jeżeli samochód Juliana Lawrence'a znalazł się na drodze wkrótce po wypadku, gotowa była ręczyć głową, że właściciel hotelu zatrzymał się, by udzielić pomocy. Teraz jednak domysły Hala nie wydawały się takie znowu zwariowane.

Zrobiła kolejny krok do tyłu.

–Zaraz tu będzie Hal – powiedziała.

–I co z tego?

Rozejrzała się dookoła, szukając drogi ucieczki. Była od niego dużo młodsza, znacznie sprawniejsza. Tyle że nie chciała zostawiać kuferka Leonie. A po drugie, chociaż Julian Lawrence uważał, że jej strach przed wilkiem był udawany, to przecież ona doskonale wiedziała, że zobaczyła jakiegoś drapieżnika na obrzeżu polany.

Daj mi karty i po sprawie. Nic ci nie zrobię. Następny krok do tyłu.

Nie wierzę panu.

–To nie ma najmniejszego znaczenia. – Nagle stracił

cierpliwość. – Dawaj te cholerne karty! – ryknął.

Meredith zatoczyła się, przyciskając talię do piersi. Znów poczuła ten dziwny odór, smród przyprawiający o mdłości, fetor gnijącej ryby i gryzącego dymu.

Dla Lawrence'a liczyły się tylko karty. Szedł ku niej z władczą wyciągniętą ręką. Był coraz bliżej.

–Zostaw ją w spokoju.

Oboje odwrócili się w stronę głosu. To Hal biegł między drzewami. Prosto na stryja.

Lawrence zrobił ćwierć obrotu i gładko wyrznął bratanek w szczękę. Zaskoczony Hal upadł, z nosa i ust pociekła mu krew. Hal!

Kopnął na oślep, trafiając stryja w kolano. Lawrence potknął się, ale nie przewrócił, natomiast Hal usiłował wstać, lecz nie bardzo mu to szło. Julian był cięższy, starszy i umiał się bić, bo robił to znacznie częściej niż Hal. Reagował odruchowo, a więc dużo szybciej niż bratanek. Splótł dłonie i huknął Hala w kark.

Meredith skoczyła do kuferka, wrzuciła karty do środka i zatrzęsnęła wieczko. Podbiegła do Hala. Leżał nieprzytomny.

Julian nie ma nic do stracenia. Proszę mi oddać karty.

I znów powiew wiatru przyniósł woń spalenizny. Tym razem poczuł ją również Lawrence, W jego oczach błysnęło zdziwienie.

Jeśli będę musiał, zabiję panią oznajmił. Rzucił te słowa tak lekkim tonem, że z pewnością mówił prawdę.

Meredith nie odpowiedziała.

Migotanie świec na ścianach kaplicy przybrało na sile. błysnęło złotem, pomarańczowymi i czarnymi płomieniami. Ach tak. Grobowiec płonął.

Smolisty dym spowił polanę, spływał z rozgrzanych kamieni. Meredith zdawało się, że słyszy pykanie rozgrzanej farby na

figurach świętych. I brzęk pękających witraży.

–Naprawdę pan tego nie widzi? – spytała zdumiona. – Nie wie pan, co

się dzieje?

Dostrzegła na jego twarzy niepokój, a potem strach. Czyste przerażenie. Obróciła się, ale zbyt wolno, żeby wyraźnie zobaczyć, co to takiego. Coś koło niej przebiegło, jakieś zwierzę o czarnej matowej sierści. Minęło ją w mgnieniu oka i dziwacznie podrygując, skoczyło.

Lawrence krzyknął.

Upadł na ziemię. Próbował się podnieść, ale nie mógł. Plecy wygięły mu się w łuk, jak u groteskowego kraba. Młócił rękami powietrze, walczył z jakimś niewidzialnym wrogiem, krzyczał, że ostre szpony orzą mu twarz, oczy, usta, choć nie widać było żadnych śladów. Zaczął szarpać skórę na własnym gardle, jakby się chciał uwolnić z morderczego uścisku.

A Meredith słyszała szept, jakiś inny głos, głębszy, niższy i mocniejszy niż srebrny głos Leonie, dźwięczący jej w głowie. Nie знаła słów, a mimo to je rozumiała.

Fujhi, poudes; Es capa, non.

Uciekać możesz. Uciec nie zdołasz.

Lawrence przestał walczyć. Opadł bezwładnie na ziemię.

Na polanie zaległa cisza.

Meredith rozejrzała się dookoła. Stała na trawiastej plamie. Żadnych płomieni, ścian, zapachu grobu...

Hal się poruszył, z trudem dźwignął tułów i oparł się na łokciu. Przeciągnął dłonią po twarzy, zdziwiony przyjrzał się czerwonym smugom.

–Co się stało?

Meredith podbiegła do niego, objęła go z całej siły.

–Uderzył cię. Straciłeś przytomność.

Zamrugął, jeszcze nie do końca zorientowany, odwrócił głowę. Spojrzał na leżącego stryja.

–To ty...?

–Nie – zapewniła go pośpiesznie. Nawet go nie dotknęłam. Właściwie nie wiem, co się wydarzyło. Najpierw stał... – Umilkła, bo naprawdę nie wiedziała, jak opisać to, co widziała.

Atak serca?

Podeszła do Juliana. Kucnęła przy nim. Twarz miał białą jak kreda, wokół ust i nosa błękitne cienie.

–On żyje! krzyknęła. Wyrwała z kieszeni telefon komórkowy i rzuciła go Halowi. – Dzwon. Jeśli się pośpieszą...

Hal złapał aparat, ale nie zrobił nic więcej. Popatrzyła mu w oczy. Bez trudu odgadła myśli.

–Nie. – Pokręciła głową. – Nie w ten sposób.

Wytrzymał jej spojrzenie. W jego błękitnych oczach lśnił ból i błyszczała pokusa, by odplacić stryjowi pięknym za nadobne. Czarodziej, władca życia i śmierci.

–Zadzwoń.

Jeszcze przez ułamek sekundy się wahał. Wreszcie podjął decyzję. Uznał, że sprawiedliwość jest ważniejsza niż zemsta. Wcisnął klawisz.

Julian już nie przerażał, był żaloszny. Leżał z dłońmi zwróconymi wnętrzem do góry. Na każdej z nich pojawił się dziwny czerwony znak, przypominający ósemkę.

Meredith dotknęła jego serca. Tak. Nie żył.

Wstała powoli.

–Hal.

Podniósł na nią wzrok.

Pokręciła głową.

-Za późno.

ROZDZIAŁ 101

Niedziela, 11 listopada

Minęło jedenaście dni. Meredith stała na cyplu i przyglądała się niewielkiej trumnie, opuszczanej do grobu.

Żałobników było niewielu. Ona i Hal, teraz prawny właściciel Domaine de la Cade, Shelagh O'Donnell, ciągle jeszcze nie całkiem wydobrzała po napaści Juliana Lawrence'a, miejscowy ksiądz i urzędnik z me-rostwa. Po krótkich negocjacjach władze wyraziły zgodę na pochówek w miejscu, gdzie wcześniej złożono ciała Izoldy i Anatola Vernierów. Julian Lawrence splądrował groby, ale kości zostawił tam, gdzie je znalazł.

Po stu latach z okładem Leonie wreszcie została złożona na wieczny spoczynek obok ukochanego brata i jego żony.

Meredith wzruszenie ścisnęła krtani.

Szczałki Leonie odkryto w płytkiej mogile pod ruinami kaplicy, dosłownie kilka godzin po śmierci Juliana. W zasadzie można było odnieść wrażenie, że położyła się, by odpocząć. Nikt nie potrafił wytłumaczyć, jak to się stało, że nie znaleziono jej wcześniej, zwłaszcza podczas wykopalisk prowadzonych na szeroką skalę, szczególnie w okolicy grobowca. Ani dlaczego kości dziewczyny nie zostały rozwłócone przez zwierzęta.

Tylko jedna Meredith, stojąc u stóp świeżego grobu, widziała, że barwy otaczające śpiącą na zawsze Leonie pasują do ilustracji na jednej z kart tarota. Czarna ziemia i miedziane liście, wyblakłe strzępy czerwonej sukni i czarnego płaszcza, które wciąż okrywały szczątki. I nie chodziło o jakąś kopię. Wyłącznie o oryginalną kartę. Tę z numerem VIII. La Force. Dziewczyna poczuła na chłodnym policzku wspomnienie łez.

Ziemia i powietrze, ogień i woda.

Jak dotąd, niemiłosierna francuska biurokracja uniemożliwiła ustalenie, co się dokładnie stało z Leonie w tę szczególną noc trzydziestego pierwszego października tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego siódmego roku. Wiadomo było, że w Domaine de la Cade wybuchł pożar, ponieważ został odnotowany w urzędowych dokumentach. Zaczął się o zmierzchu i w ciągu kilku godzin zniszczył część domu. Najbardziej ucierpiała biblioteka oraz gabinet. Nie znaleziono dowodów, że ogień został podłożony celowo.

Następnego ranka, w dzień Wszystkich Świętych, z dymiących ruin wydobyto kilka ciał osób zatrudnionych w majątku. Przyjęto, że ludzie ci zostali schwytani w pułapkę płomieni. Ale znaleziono też inne ciała – mężczyzn, którzy nie pracowali na terenie Domaine de la Cade, mieszkańców Rennes-les-Bains.

Nie do końca wiadomo było, dlaczego Leonie Vernier postanowiła -lub została zmuszona – zostać w majątku, podczas gdy inni mieszkańcy Domaine de la Cade, między innymi jej bratanek, Louis-Anatole, uciekli. Nikt nie potrafił odpowiedzieć na pytanie, jak to możliwe, że ogień przeniósł się tak daleko i tak szybko, i jakim sposobem zniszczył również grobowiec. „Courier d'Aude” oraz inne miejscowe czasopisma doniosły o silnym wietrze tamtej nocy, jednak mimo wszystko pozostawało zagadką, w jaki sposób płomienie pokonały przestrzeń między domem a wizygockim grobowcem w lesie.

Meredith wiedziała, że pozna odpowiedzi na te i inne pytania. Z czasem dojdzie do prawdy, poskłada wszystkie fragmenty w całość. Z powierzchni wody spoglądało na nią światło, mówiły do niej drzewa i krajobraz, który przez tak długi czas trzymał w tajemnicy mroczne sekrety. Zastłuchała się w łagodny oddech wiatru, szepczący nad górami i w dolinie. Dopiero głos księdza, jasny i odwieczny, przywołał ją do teraźniejszości.

–In nomine Patris et Filii, et Spiritus Sancti. W imię Ojca i

Syna, i Ducha Świętego.

Hal wziął ją za rękę.

–Amen. Niech się tak stanie.

Proboszcz, wysoki mężczyzna w ciężkim czarnym płaszczu, uśmiechnął się do dziewczyny. Koniuszek nosa miał zaczerwieniony z zimna, w piwnych oczach błyszcząły wyciśnięte chłodem łzy.

–Mademoiselle Martin, Cest a vous, alors.

Moja kolej.

Odetchnęła głęboko. Teraz, gdy tak długo wyczekiwana chwila wreszcie nadeszła, czuła się jakoś nieswojo. Wcale nie miała ochoty robić tego, co powinna. Hal lekko ścisnął jej palce i puścił dłoń.

Walcząc z emocjami, podeszła nad krawędź grobu. Wyjęła z kieszeni dwa przedmioty, znalezione w gabinecie Juliana Lawrence'a: srebrny wisiołek i męski zegarek. Na obu drobiazgach wygrawerowano inicjały oraz datę: 22 X 1891. Na pamiątkę ślubu Izoldy Lascombe z Anatolem Vernie-rem. Po chwili wahania Meredith przykucnęła i miękko upuściła oba przedmioty w ziemię. Tam było ich miejsce.

Podniosła wzrok na Hala. Uśmiechnął się i ledwo dostrzegalnie skinął głową.

Tym razem wyrwało jej się ciężkie westchnienie. Wyjęła z kieszeni kopertę. W niej znajdował się pergamin, na nim utwór muzyczny, dziedzictwo Meredith, które Louis-Anatole przewiózł przez ocean z Francji do Ameryki.

Trudno jej się było rozstać z tą pamiątką, lecz należała ona do Leonie. Dziewczyna opuściła wzrok na łupkową tabliczkę, leżącą na trawie. Szary kawałek kamienia na tle zieleni.

LEONIE VERNIER

22 AOUT 1874-31 OCTOBRE 1897

REQUIESCAT IN PACE

Wypuściła kopertę z dłoni obciążonej czarną rękawiczką. Papier wolno opadł po spirali.

Niech odpoczywają w spokoju. Niech śpią snem wiecznym.

Odstąpiła do tyłu, z rękami splecionymi przed sobą, z pochyloną głową. Jakiś czas grupka żałobników stała w milczeniu, żegnając zmarłych. Potem Meredith skinęła księdzu głową.

Merci, monsieur le cure.

Je vous en prie.

–Dziękuję, proszę. Takie zwykłe słowa. Odwiecznym gestem duchowny objął wszystkich zebranych na cyplu, po czym odwrócił się i poprowadził żywych ze wzgórza. Gdy weszli na trawniki lśniące od porannej rosy. wschodzące słońce zapaliło blaski w oknach hotelu.

Meredith nagle się zatrzymała.

–Chciałabym jeszcze tu zostać – powiedziała.

–Zaraz do ciebie wrócę – obiecał Hal.

Odprowadziła ich wzrokiem, aż weszli na taras, potem zawróciła nad jezioro. Owinęła się ciasniej płaszczem. Zmarły jej palce u nóg i rąk, oczy łzawiły od chłodu.

Wszystkie formalności załatwione. Nie chciała wyjeżdżać z Domaine de la Cade, ale wiedziała, że już na nią czas. Jutro o tej porze będzie w drodze do Paryża. A we wtorek, trzynastego listopada, wsiądzie da samolotu i nad Atlantykiem polecą do domu. Potem będzie musiała postanowić, co dalej.

Zdecydować, czy istnieje szansa na przyszłość z Halem.

Powiodła wzrokiem po uśpionej wodzie o powierzchni gładkiej jak lustro. Rzuciła okiem na przylądek, przyjrzała się kamiennej ławie obok grobów. Wydało jej się, że widzi tam jakąś postać. Niematerialny zarys sylwetki w zielonej sukni z szeroką białą wstawką. Suta spódnica, bufiaste rękawy, smukła talia. Rozpuszczone włosy, lśniące miedzią w promieniach słońca. Za nią siwe drzewa, powleczone szronem, połyskiwały, jakby je ktoś wykuł w metalu.

Czy rzeczywiście słyszała muzykę? Nie miała pewności. Może dźwięki dobywały się spod ziemi, a może z głębi jej serca. Nuty znane ze starego pergaminu, zapisane w powietrzu.

Stała w milczeniu, patrząc i czekając. Wiedząc, że to już ostatni raz. Po wodzie przemknęło lśnienie. To Leonie uniosła rękę. Zarys szczupłego ramienia na tle białego nieba. Smukłe palce obciążone rękawiczką.

Meredith pomyślała o talii tarota. O kartach namalowanych przez Leonie ponad sto lat temu, o obrazach, które opowiedziały jej historię ludzi ukochanych przez miedzianowłosą dziewczynę. W Halloween. gdy Hal składał zeznania na posterunku policji, gdy nie milkły telefony, gdy Shelagh O'Donnell dochodziła do siebie w szpitalu, a ciało Juliana zabrano do kostnicy. Meredith dyskretnie zakopała karty, ukryte w kuferku na przybory do szycia, tam gdzie je znalazła. W leśnej kryjówce.

Podobnie jak pergamin z utworem „Grobowiec 1891”, one także należały do ziemi.

Obraz dziewczyny na cyplu rozpływał się i bladł.

Odchodziła.

Leonie została na ziemi, bo szukała sprawiedliwości. Musiała odczekać, aż historia znajdzie swój finał i zostanie opowiedziana do końca. Teraz wreszcie mogła spocząć w spokoju, w cichej ziemi, którą pokochała z całego serca.

Wrócił Hal. Staął przy Meredith.

–Jak się czujesz? – spytał miękko.

Niech odpoczywają w spokoju. Niech śpią snem wiecznym.

Wiedziała, że Hal nie wszystko rozumie. Przez ostatnie dni bardzo dużo rozmawiali. Opowiedziała mu, co się wydarzyło, nie kryła niczego z faktów, które doprowadziły do sceny na polanie. O Leonie, o wróżeniu z kart tarota w Paryżu, o namiętności sprzed stu lat, która odebrała życie tylu osobom, o demonie i muzyce miejsca, gdzie kiedyś stał grobowiec, o tym, jak coś kazało jej przyjechać do Domaine de la Cade. Wszystko się splątało. Legendy, fakty, historia, mity.

–Jak się czujesz? – powtórzył.

–Dobrze. Zupełnie dobrze. Tylko trochę zmarzłam.

Nadal obserwowała cypel. Światło się zmieniało. Ptaki umilkły.

–Jednego ciągle nie rozumiem powiedział Hal, wciskając rękę głęboko w kieszenie. – Dlaczego akurat ty? Jasne, jesteś spokrewniona z Vernierami, jednak mimo wszystko... – Zamilkł, nie bardzo wiedząc, co właściwie chciał powiedzieć.

–Może dlatego, że nie wierzę w duchy – rzekła cicho.

W jednej chwili zapomniała o Halu, o mrozie, o bladym fioletowym świetle w dolinie rzeki Aude. Widziała tylko twarz dziewczyny siedzącej na ławie po drugiej stronie jeziora. Filigranowa postać zlewała się z tłem, z pobielonymi drzewami, ze szronem. Odpływała. Już tak niewiele jej zostało. Zarys falował, znikał. Jak echo dźwięku.

Światło przerodziło się w szarość, ona w biel, a ta w nicość.

Meredith uniosła rękę w geście pożegnania. Połyskliwy kształt zniknął. Nie zostało nic.

Wolno opuściła dłoń.

Requiescat in pace.

Wreszcie wszystko stało się ciszą, przestrzenią.

–Na pewno nic ci nie jest? – spytał Hal. W jego głosie brzmiała wyraz

na troska.

Meredith kiwnęła głową.

Jeszcze kilka minut stała bez ruchu, wpatrując się w pustkę. Jakoś nie miała ochoty odchodzić. Wreszcie zaczerpnęła głęboko powietrza i wzięła Hala za rękę. Ciepłą, z krwi i kości.

–Wracajmy.

Odwrócili się i ramię w ramię ruszyli w stronę tarasu na tyłach hotelu. Ich myśli biegły zupełnie różnymi ścieżkami. Hal marzył o gorącej kawie. Meredith wspominała Leonie. Wiedziała, że będzie za nią tęsknić.

KODA

Trzy lata później

Niedziela, 31 października 2010

–Dobry wieczór państwu. Nazywam się Mark. Mam zaszczyt powitać panią Meredith Martin.

Rozległy się żarliwe, choć niezbyt huczne oklaski, po czym w niezależnej księgarni zapadła cisza. Hal, siedzący w pierwszym rzędzie, uśmiechem dodał Meredith odwagi. Na samym końcu sali, z rękoma założonymi na piersi, stał wydawca. Uniósł do góry kciuk.

–Jak państwo zapewne wiedzą – podjął kierownik – pani Martin napi

sała wydaną w zeszłym roku wyjątkową biografię francuskiego kompozy

tora, Claude'a Debussy'ego, nagrodzoną entuzjastycznymi recenzjami.

Natomiast raczej nie wiedzą państwo, że...

Meredith знаła Marka od lat. Miała koszmarne przecucie, że przyjaciel zacznie przemówienie od Adama i Ewy, zaznajomi słuchaczy z jej losami w szkole podstawowej, następnie w liceum i na uniwersytecie, i dopiero potem, być może, zdoła poruszyć temat książki.

Pozwoliła sobie na błądzenie myślami po znajomych ścieżkach. Przywołała w pamięci wszystkie zdarzenia, które doprowadziły ją do tego punktu. Trzy lata badań, zbierania dowodów, sprawdzanie po sto razy każdego drobiazgu, dopasowywanie elementów historii Leonie, a jednocześnie

starania, by złożyć biografię Debussy'ego u wydawcy w ustalonym terminie.

Nie udało jej się dowiedzieć, czy Lilly Debussy rzeczywiście odwiedziła Rennes-les-Bains, ale dwie najważniejsze dla niej opowieści splotły się niespodziewanie w znacznie wcześniejszym okresie. Vernierowie i rodzina Debussych mieszkali w tym samym budynku przy rue de Berlin, byli sąsiadami. A odwiedzwszy grób kompozytora na Cimetiere de Passy w szesnastym arrondissement, gdzie spoczęły również takie sławy jak Manet, Morisot, Faure i Andre Messenger, odnalazła pod drzewem, w zacisznym kącie cmentarza, mogiłę Marguerite Vernier.

Rok później, gdy przyjechała do Paryża z Halem, złożyła na niej kwiaty.

Wiosną dwa tysiące ósmego roku, od razu po oddaniu wydawcy biografii kompozytora, skupiła się na badaniach dotyczących Domaine de la Cade i wydarzeń, które spowodowały, że jej rodzina wyemigrowała z Francji do Ameryki.

Zacząła od Leonie. Im więcej dowiadywała się o Rennes-les-Bains, im lepiej zaznajamiała się z teoriami dotyczącymi losów Saunier'a oraz Rennes-le-Chateau, tym bardziej utwierdzała się w przekonaniu, że Hal ma rację. Cała afera z wizygockim skarbem stanowiła przykrywkę mającą odciągnąć uwagę od tego, co działo się w Domaine de la Cade. A trzy ciała, odkryte w latach pięćdziesiątych dwudziestego wieku w ogrodzie za willą duchownego w Rennes-le-Chateau, powiązane były z wydarzeniami z trzydziestego pierwszego października tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego siódmego.

Podejrzewała, że był to Victor Constant, morderca Marguerite i Anatola Vernierów. Istniały dokumenty wskazujące, że w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym pierwszym uciekł do Hiszpanii, gdzie w kilku klinikach leczono u niego trzecie stadium syfilisu. Wrócił do Francji jesienią tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego

siódmego. Drugi trup to zapewne służący Constanta. Z pewnością znajdował się wśród osób, które napadły na dom. Oficjalnie jego zwłok nie odnaleziono. Trzecie ciało nastroczało najwięcej trudności. Charakteryzował je zdeformowany kręgosłup i nienormalnie długie ramiona przy niskim wzroście.

Kolejnym zastanawiającym zdarzeniem była śmierć proboszcza z parafii w Coustaussie. Mężczyzna ten, Antoine Gelis, został zamordowany tej samej nocy: trzydziestego pierwszego października. Był samotnikiem. Teoretycznie jego zgon wiązał się z wydarzeniami w Domaine de la Cade jedynie za sprawą daty. Przypadkowa zbieżność. Uderzono go pogrzebaczem, a potem zmasakrowano siekierą. „Courner d'Aude” doniósł, że miał na głowie czternaście ran. Głębokie uszkodzenia czaszki.

Padł ofiarą okrutnej i pozornie bezsensownej zbrodni, pozbawionej motywu. Zabójców nie odnaleziono. Wszystkie miejscowe gazety opowiadały o tym zdarzeniu, przytaczając identyczne szczegóły. Po zabiciu starego księdza mordercy ułożyli ciało na plecach i złożyli ręce ofiary na piersiach. Dom został splądrowany, otwarto sejf. tyle że ten, według słów kuzyna, który dbał o duchownego, i tak był pusty. Nic nie zginęło.

Meredith, zagłębiwszy się w poszukiwania nieco solidniej, odkryła w doniesieniach prasowych jeszcze dwa niby nic nieznaczące drobiazgi. Po pierwsze, tego samego popołudnia plebanię w Coustaussie odwiedziła dziewczyna, której opis pasował do Leonie Vernier. I zostawiła wiadomość na piśmie. A po drugie, między palcami lewej dłoni zamordowanego tkwiła karta tarota.

Karta numer XV. Le Diable.

Dowiedziawszy się tego, Meredith odświeżyła sobie w pamięci wszystko to, co się działo w ruinach grobowca, i w końcu uznała, że diabeł, za pośrednictwem swojego sługi. Asmodeusza, odebrał, co mu się należało.

Tajemnicą pozostało, kto umieścił kuferek Leonie z oryginalnymi kartami na powrót w leśnej kryjówce. Meredith oczyma wyobraźni widziała, jak Louis-Anatole wraca ukradkiem do Domaine de la Cade i pod osłoną nocy, oddając hołd pamięci ciotki, ukrywa karty we właściwym miejscu. Z drugiej strony, rozum podpowiadał jej, że zrobił to raczej niejaki Audric Baillard, którego roli w całej historii nie potrafiła do końca rozszyfrować.

Informacje genealogiczne okazały się łatwiejsze do zdobycia. Z pomocą urzędniczki z magistratu w Rennes-les-Bains, która okazała się równie pomysłowa, jak uprzejma, latem i wczesną jesienią dwa tysiące ósmego roku Meredith poznała losy syna Izoldy i Anatola. Louis-Anatole dorósł pod opieką Audrica Baillarda w niewielkiej miejscowości Los Seres w górach Sabarthes. Nigdy nie wrócił do Domaine de la Cade, więc majątek obrócił się w ruinę. Jeśli chodzi o samego Baillarda, zapewne był to ojciec lub dziadek owego Audrica S. Baillarda, który wydał „Diabes et Esprits Malefiques et Phantómes de la Montagne”.

W tysiąc dziewięćset czternastym Louis-Anatole Vernier oraz Pascal Barthes, lokaj z Domaine de la Cade, zaciągnęli się do francuskiej armii. Pascal zdobył wiele odznaczeń, lecz nie przeżył wojny. Louis-Anatole przetrwał i po zawarciu pokoju, w roku tysiąc dziewięćset osiemnastym, wyjechał do Ameryki, oficjalnie przepisując zaniedbaną posiadłość na krewnych z linii Bousquetów. Zarabiał na życie, grając na fortepianie na statkach parowych i w wodewilach. Meredith nie dysponowała żadnymi dowodami na poparcie swoich domysłów, ale chciała wierzyć, że zetknął się wtedy z innym muzykiem wodewilowym, który nazywał się Paul Foster Case.

Syn Anatola osiadł pod Milwaukee, w miejscu współcześnie nazywanym Mitchell Park. Dalsze losy tego człowieka stanowiły otwartą księgę. Zakochał się w mężatce, niejkiej Lillian Matthews, urodziła im się córka, Louisa. Romans nie trwał długo, Lillian i Louis-Anatole szybko się rozstali. Meredith nie znalazła żadnych dowodów na to, że ojciec utrzymywał kontakt z córką,

choć równocześnie miała nadzieję, iż dyskretnie obserwował jej dorastanie.

Louisa odziedziczyła po ojcu talent muzyczny. Została pianistką, tyle że grała w salach koncertowych, a nie na statkach parowych na Missisipi. Po debiutanckim koncercie przed niezbyt liczną publicznością w Milwaukee podrzucano jej paczuszkę. W środku znajdowała się fotografia młodego człowieka w mundurze oraz utwór na fortepian, zatytułowany „Grobowiec 1891”.

W przededniu drugiej wojny światowej Louisa zainteresowała się kolegą muzykiem, wiolonczelistą napotkanym w trasie koncertowej. Jack Martin okazał się człowiekiem lekkomyślnym i niegodnym zaufania, a z obozu jenieckiego w Birmie wrócił uzależniony od narkotyków, cierpiący na halucynacje oraz koszmary. Louisa powiła mu córkę, Jeanette. jednak nie układało im się dobrze, więc gdy w latach pięćdziesiątych Jack zniknął, Louisa raczej po nim nie rozpaczała.

Trzy lata upartych poszukiwań doprowadziły Meredith do terazniejszości. Louis-Anatole przekazał wnuczce urodę i talent. Kruchy wdzięk oraz wrażliwość odziedziczyła po francuskiej prababce, Izoldzie.

Meredith opuściła wzrok na tylną okładkę książki leżącej na jej kolanach. Na fotografię Leonie, Anatola i Izoldy, zrobioną na rynku w Rennes-les-Bains, w roku tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym pierwszym. To była jej rodzina.

Mark nadal mówił. Hal pochwycił jej spojrzenie i gestem zamarkował zamykanie ust na zamek błyskawiczny.

Uśmiechnęła się do niego szeroko.

Przeprowadził się do Ameryki w październiku dwa tysiące ósmego roku. Był to dla Meredith najwspanialszy prezent urodzinowy w życiu. Kwestie prawne, dotyczące francuskiego majątku, okazały się dość skomplikowane. Poświadczenie testamentu zajęło dłuższy czas, pojawiły się problemy z ustaleniem dokładnej przyczyny śmierci Juliana Lawrence'a. Nie

był to ani zawał, ani udar. Nie znaleziono żadnych urazów, które by mogły zaowocować skutkiem śmiertelnym. Jedynie zagadkowe znaki we wnętrzach dłoni. Wyglądało, jakby jego serce nagle przestało bić.

Gdyby przeżył, postawiono by mu zarzut zamordowania brata i próby zabójstwa Shelagh O'Donnell. W obu wypadkach należałoby się spodziewać procesu poszlakowego, bo w pierwszej sprawie policja nie paliła się do ponownego uruchamiania śledztwa, a Shelagh O'Donnell nie widziała napastnika. Nie było też żadnych świadków.

Nie brakowało natomiast dowodów na defraudacje, których Julian Lawrence dopuszczał się, okradając Domaine de la Cade i zapożyczając się pod zastaw majątku. W jego biurze znaleziono cenne przedmioty z okresu wizygockiego. Wszystkie zostały pozyskane bezprawnie. W sejfie znajdowały się szkice ukazujące miejsca wykopalisk prowadzonych w granicach posiadłości oraz notesy z zapiskami na temat jakiejś szczególnej talii kart tarota. Meredith, przesłuchiwana na ten temat w listopadzie dwa tysiące siódmego roku, przyznała, że dysponuje kopią takiej właśnie talii, ale oryginały ponoć uległy zniszczeniu w czasie pożaru, który pod koniec dziewiętnastego wieku strawił część domu.

W marcu dwa tysiące ósmego Domaine de la Cade została sprzedana. Tonący w długach interes nie przynosił zysków. Hal doszedł do ładu z przeszłością i gotów był do przeprowadzki. Utrzymywał kontakt z Shelagh O'Donnell, która przeniosła się do Quillan i właśnie od niej dostał informację, że pewnemu angielskiemu małżeństwu z dwójką nastoletnich dzieci udało się przekształcić posiadłość w dobrze prosperujący biznes, jeden z najlepszych hoteli rodzinnych na południu.

–Wobec czego, drodzy państwo, proszę o serdeczne oklaski dla Meredith Martin!

Rozległy się brawa i okrzyki, w niemałej części świadczące o uldze, że Mark nareszcie skończył przemowę.

Meredith wzięła głęboki oddech i wstała. Dziękuję ci za bardzo szczegółowe wprowadzenie powiedziała, uśmiechając się do Marka. Miło mi, że mogę tu dzisiaj być. Przeniosła wzrok na zebranych. Pomysł na tę książkę zrodził się w czasie podróży, gdy pracowałam nad biografią Debussy'ego. Poszukiwania zaprowadziły mnie do Rennes-les-Bains, prześlicznego miasteczka w Pirenejach. Tam zaczęłam śledzić losy moich przodków. W rezultacie napisałam powieść, która stanowi próbę dojścia do ładu z duchami przeszłości. – Urwała, zebrała myśli. – Bohaterką jest młoda kobieta, Leonie Vernier. Gdyby nie ona, w ogóle by mnie nie było. – Uśmiechnęła się lekko. – Dedykuję tę książkę mojej matce, Mary. Osobie równie wspaniałej jak Leonie.

Hal podał Mary siedzącej między nim a Billem bielutką chusteczkę. Dzięki niej poznałam muzykę. Ona zachęcała mnie do stawiania pytań i szukania ciągle nowych możliwości. Nauczyła mnie iść raz obraną drogą, niezależnie od przeszkód. – Uśmiechnęła się szeroko i dorzuciła lżejszym tonem: – A co najważniejsze, nauczyła mnie robić fantastyczne latarnie z dyni!

Przyjaciele i rodzina zaśmiali się serdecznie.

Meredith, lekko podenerwowana, odczekała, aż zapadnie cisza. Wtedy otworzyła książkę i zaczęła czytać.

Historia zaczyna się w nekropolii. Pośród alej miasta zmarłych. Na cichych bulwarach, promenadach i w ślepych zaułkach paryskiego cmentarza Montmartre, miejsca oddanego grobowcom i kamiennym aniołom oraz duchom ludzi zapomnianych przez żywych i martwych, zanim jeszcze ostygli w grobach.

Słowa płynęły nad głowami słuchających, stając się częścią zbioru opowieści wygłaszanych w noc Halloween. Towarzyszyły im znajome odgłosy starego budynku. Tu skrzypnęło krzesło, tam zatrzeszczała podłoga, ówdzie zagrała rynna na dachu. Na ulicy odezwał się czasem klakson, ekspres do kawy zabulgotał w kące. Z baru po sąsiedzku sączyły się melodie grane na pianinie.

Nuty przysiadły na klepkach, szukały schronienia w podłodze i suficie.

Głos Meredith przycichł.

Gdyż tak naprawdę historia ta nie zaczyna się od pogrzebu na paryskim cmentarzu, ale od talii kart. Od tarota Verniera.

Zapadła cisza.

A potem wybuchły brawa.

Meredith uświadomiła sobie, że wstrzymuje oddech. Wypuściła powietrze. Podniosła wzrok na zebranych. Przyjaciół, rodzinę, kolegów. Przez ułamek sekundy światło załamało się w szczególny sposób. Zdawało jej się, że widzi dziewczynę o długich miedzianych włosach i zielonych oczach. Stała na końcu salki. Na jej ustach rozkwitł uśmiech.

Odpowiedziała jej uśmiechem. A gdy spojrzała po raz drugi, nikogo tam nie było.

Schyliwszy głowę, pomyślała o duchach, które przeszły przez jej życie. Marguerite Vernier na Cimetiere de Passy. Cmentarz w Milwaukee, niedaleko miejsca, gdzie spotykały się trzy rzeki. Tam został złożony na wieczny odpoczynek jej pradziadek, Louis-Anatole Vernier, francuski żołnierz, obywatel Ameryki. Louisa Martin, pianistka. Jej prochy zostały rozsypane na wietrze. Rodzona matka, pochowana na brzegu jeziora Michigan, w miejscu, gdzie płonie zachodzące słońce. I Leonie, nareszcie spokojnie śpiąca w Domaine de la Cade.

Powietrze, woda, ogień i ziemia.

–Dziękuję – powiedziała, gdy brawa przycichły. – Jestem wam wdzięczna, że przyszliście.

SŁOWO OD AUTORKI

Tarot Verniera jest talią wymyśloną specjalnie na potrzeby powieści. Namalował go Finn Campbell-Notman, na podstawie klasycznej talii Ridera-Waite'a.

Znawcy nie potrafią się porozumieć w kwestii pochodzenia tarota. Znajdują jego korzenie w Persji, w Chinach, w starożytnym Egipcie, Turcji lub Indiach – każdy z tych krajów dowodzi swoich praw do pierwszeństwa. W jednym tylko wszyscy się zgadzają: talia, którą dzisiaj znamy jako karty tarota, zyskała swój kształt w połowie piętnastego wieku, we Włoszech.

Istnieją na świecie setki wzorów talii tarota i co roku powstają nowe. Najpopularniejsze są jednak dwie: tarot marsylski, o charakterystycznych jasnożółtych koszulkach oraz ilustracjach w błękitach i czerwieni, a także opisowa uniwersalna talia Waite'a, stworzona w roku tysiąc dziewięćset dziesiątym przez angielskiego okultystę, Arthura Edwarda Waite'a. Zilustrowała ją amerykańska artystka, Pamela Colman Smith. Z takiej właśnie talii korzystała Solitaire w filmie z serii przygód Jamesa Bonda, zatytułowanym „Żyj i pozwól umrzeć”.

Osoby, które chciałyby się dowiedzieć o tarocie czegoś więcej, mają do dyspozycji ogromną liczbę książek i stron w sieci. Ja polecam wszechstronny przewodnik Rachel Pollack, zatytułowany „The Complete Illustrated Guide to Tarot”, opublikowany przez Element (1999).

PODZIĘKOWANIA

W czasie pisania „Grobowca” miałam szczęście korzystać ze wsparcia, cennych rad i pomocy wielu osób. Natomiast, co

rozumie się samo przez się, za wszelkie błędy, dotyczące faktów czy interpretacji, ponoszę odpowiedzialność tylko ja sama.

Mój agent, Mark Lucas, nie tylko wspaniały wydawca i serdeczny przyjaciel, jak zawsze poprzednio, tak i tym razem przyjął na siebie rolę dostawcy barwnych samoprzylepnych karteczek, tym razem czerwonych. Wszyscy z LAW zasługują na podziękowania za ciężką pracę i wsparcie, zwłaszcza Alice Saunders, Lucinda Bettridge oraz Petra Lewis, a także Nicki Kennedy – za entuzjazm, Sam Edenborough z zespołem w ILA, przyjaciółka z Carcassonne, Catherine Eccles z wydawnictwa Annę Louise Fisher.

Miałam to szczęście, że w Zjednoczonym Królestwie publikacją zajął się Orion. Wszystko zaczęło się od udziału Malcolma Edwardsa i niezrównanej Susan Lamb. W pracy nad „Grobowcem” ogromnie pomogli mi też inni: wydawca, Jon Wood, człowiek szalenie energiczny, redaktor, Gene-vieve Pegg, niesłychanie skuteczna i zawsze spokojna, oraz redaktor wydania, Jane Selley. Dzięki tym osobom, które włożyły w powstanie książki mnóstwo pracy, całe zadanie od początku do końca było niekłamaną przyjemnością. Koniecznie chcę podziękować całej grupie osób, których mrówcza praca często pozostaje niezauważona: pracownikom działów produkcji, sprzedaży, marketingu i reklamy, szczególnie Gaby Young, Markowi Rusherowi, Dallas Manderson, Jo Carpenter i wszystkim z LBS.

Jeśli chodzi o ekipę ze Stanów Zjednoczonych, chcę podziękować przede wszystkim Georgeowi Lucasowi oraz wspaniałej Rachel Kahan, która wydała książkę w ramach grupy wydawniczej Putnam. W Niemczech została w mojej wdzięcznej pamięci Annette Weber z Droemer, a we Francji Phillipe Dorey oraz Isabelle Laffont z Lattes.

Szczególne podziękowania składam autorowi i kompozytorowi, Gregowi Nunesowi, który pomógł mi przy pisaniu fragmentu dotyczącego ciągu Fibonacciego, a także

skomponował przepiękny utwór, „Grobowiec 1891”. Nuty zostały dołączone do książki, istnieje także wersja audio. Ogromnie pomógł mi Finn Campbell-Notman oraz cały zespół artystyczny w Orionie, który pracował nad ośmioma kartami tarota Verniera.

Wdzięczna jestem miłośnikom tarota i osobom wróżącym z kart po obu stronach Atlantyku za cenne porady, sugestie i hojne dzielenie się doświadczeniem. Dziękuję zwłaszcza Sue, Louise, Estelle i Paulowi, Mysteries in Covent Garden, Ruby (vel Jill Dawson, pisarka) – za ułożenie wróżby dla Meredith, a także tym, którzy wolą pozostać anonimowi.

Jeśli chodzi o osoby, które pomogły mi we Francji, chciałabym podziękować Martine Rouche i Claudine 1'Hôte-Azema z Mirepoix. Reginę Fou-cher z Rennes-les-Bains, Michelle i Rolandowi Hillom za udostępnienie mi pamiątnika, madame Breithaupt oraz jej zespołowi w Carcassonne, a także Pierre'owi Sanchezowi i Chantal Billautou za całą pomoc, jakiej udzielają mi od osiemnastu lat.

Ogromne podziękowania składam przyjaciołom. Są między nimi Robert Dye, Lucinda Montefiore, Kate i Bob Hingstonowie, Peter Clayton, Sarah Mansell, Tim Bouquet, Cath i Pat O'Hanlonowie, Bob i Maria Pulleyowie, Paul Arnott, Lydia Conway, Amanda Ross, Tessa Ross, Kamila Shamsie i Rachel Holmes. Specjalne wyrazy szacunku dla zespołu badawczego z Rennes-les-Bains, czyli Marii Rejt, Jona Evansa i Richarda Bridgesa, którzy spędzili w pizzerii więcej czasu, niżby mieli ochotę.

A przede wszystkim wyrazy miłości i wdzięczności adresuję do mojej rodziny: najukochańszych rodziców, Richarda i Barbary Mosse'ów oraz macochy, Rosie Turner, która pilnuje, by wszystko szło jak należy.

Moja córka, Martha, jest zawsze nastawiona optymistycznie i entuzjastycznie; niezmiennie pełna energii, stale oferuje mi wsparcie i nieodmiennie dzieli się ze mną swoją głęboką wiarą, że książka zostanie ukończona. Felix spędził długie miesiące na

przemierzaniu Sussex Downs, kipiał nowymi pomysłami, podsuwał mi sugestie dotyczące akcji oraz wskazówki wydawnicze. Bez jego wkładu „Grobowiec” byłby zupełnie inną książką.

I na koniec, oczywiście, Greg. Jego miłość i wiara w moje zamierzenia, pomoc we wszystkim, począwszy od rad dotyczących wydania, przez praktyczne wskazówki, odnoszące się do wszystkiego, po robienie kopii plików komputerowych i dostarczanie jedzenia noc w noc, były nieocenione. Jak zawsze.

Pas dpas... Krok za krokiem. Przez całą drogę, aż do celu.



OSTATNIA POSŁUGA

Si par une nuit hurcie et sombre Un bon chretien, par char i te
Derriere quelque vieux decembre Enterre votre corps vante, A
l'heure ou les chastes etoiles Ferment leurs yeux appesantis,
L'araignee yfera ses toiles, Et la vipere ses petits; Vous
entendrez toute 1'annee Sur votre tete condamnee Les cris
lamentables des loups Et des sorcieres fameliqes, Les ebats
des vieillards lubriques Et les complots des noirsfilous.

Charles Baudelaire, 1857

Jeśli w noc czarną w błocie śliskim Chrześcijańskie serce
litościwe Za jakimś starym rumowiskiem Pochowa ciało twe
chełpliwe, W godzinie, kiedy gwiazdy czyste Wzrok kryją w cieniu
rzęs, tam sieci Pająk rozepnie swe wzorzyste I żmija będzie
płodzić dzieci.

Będziesz słyszała rok okrągły Nad grzeszną głową sabat
ciągły: Skomlenie wilka, co się czai, Odgłos wiedźmowych
niecnych harców.

Lubieżne mlaski sprośnych starców I zmowy rzezimieszków
zgrai.

Wydawnictwo Literackie

Tłum. Bohdan Wydzga

This file was created with BookDesigner program bookdesigner@the-ebook.org

2011-03-03

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/